

EMILY BARRR

NOCNY



EMILY
BARR

NOCNY

przełożył Andrzej Leszczyński



Dla Jamesa, Gabe'a, Seba i Lottie, jak zawsze z wielką miłością.

Prolog

Styczeń

Powinna była wrócić dwie godziny temu.

Nikt nie może zniknąć z pociągu w środku nocy, ale wszystko wskazuje na to, że ona zniknęła. Wsiadła w Paddington (przynajmniej tak nam się wydaje), ale nie wysiadła w Truro.

– Na pewno nic jej nie jest – powiedziałam mu.

Moje słowa zawisły w powietrzu, mało wiarygodne i wyświechtane. Zaczęłam gorączkowo szukać wyjaśnienia. Jednak, jeśli odrzucić amnezję i lunatyzm, w zasadzie pozostawały tylko dwa powody i żaden z nich nie mógł przynieść jej mężowi ukojenia.

– Mam nadzieję.

Marszczył czoło, a jego oczy zdawały się mniejsze pod ciężkimi półprzymkniętymi powiekami. Sprawiał wrażenie, jakby stopniowo zapadał się w sobie, przestał nawet udawać, że jeszcze wierzy, iż ona za chwilę stanie w drzwiach. Dziwnym sposobem jego twarz, pomarszczona, jak gdyby chropowata, wyglądała jednocześnie na zaczerwienioną i poszarzałą.

Nie miałam pojęcia, co robić, więc po raz kolejny zaczęłam parzyć kawę. A on spoglądał na telefon i raz za razem sprawdzał wiadomości, jak gdyby jakimś cudem mogły przyjść niepostrzeżenie, mimo że podkreślił głośność aparatu i jeszcze zadzwonił pod swój numer z telefonu stacjonarnego, żeby skontrolować odbiór.

– Następny pociąg za siedem minut – oznajmił.

Ustawiłam dzbanek z kawą na kuchence i zapaliłam gaz. Zajrzałam do kilku szafek w poszukiwaniu czegoś lekkiego, co mógłby przegryźć, nawet o tym nie myśląc.

Dziwnie się czułam w nie swojej kuchni, pełna obaw, że wplątałam się w coś, co jest zaledwie początkowym stadium całkowitego załamania się życia człowieka, którego nawet nie znałam. Już teraz był na samej krawędzi przepaści, wręcz wisiał tylko na palcach, trzymając się wątlej kępki trawy.

Wyłożyłam na talerzyk kilka ciastek.

Z okna roztaczał się wspaniały widok, lecz oboje mogliśmy się skupić wyłącznie na małej stacji kolejowej w dole. Kiedy pisk hamulców zapowiedział rychłe przybycie pociągu, on już był na nogach i zapierając się dłońmi o szybę panoramicznego okna, wbijał wzrok w peron. Wybaczyłby jej wszystko, gdyby zjawiała się teraz, wyłoniła zza końca składu, ciągnąc za sobą małą walizeczkę na kółkach (byłam pewna, że używała takiej właśnie walizeczki, jak to robią tacy ludzie jak ona). Nie obchodziłoby go, gdzie była, co robiła i z kim.

Ranek wstał chłodny i rześki, a teraz na niebie pojawiły się szybko wędrujące chmury. Gromadziły się nad nami, czekając tylko na dogodną chwilę. Wreszcie

oświetlenie gwałtownie się zmieniło i choć było to wczesne przedpołudnie, zrobiło się ciemno jak o zmierzchu.

Oboje czekaliśmy, zawieszeni w próżni przez tych parę sekund, dopóki dwuwagonowy skład nie dotoczył się do końca peronu i nie wypluł z siebie garstki pasażerów. Większość ludzi wysiadała na tej linii na poprzedniej stacji Falmouth Town.

Wbrew mojej woli serce zaczęło mi mocniej bić, gdy czworo pasażerów wyłoniło się zza wiaty na końcu peronu. Pierwsza szła siwowłosa para w sportowych ubraniach, z kijkami i plecakami, kierując się energicznym krokiem do wylotu parkingu. Byłam pewna, że zamierzają wyruszyć na turystyczny szlak nadmorski. Za nimi pojawił się chłopak z deskorolką pod pachą, ubrany w ciepłą kurtkę, szalik i wełnianą czapkę. Wreszcie wyszła kobieta.

Była mniej więcej w pasującym wieku, choć trochę za niska i niepewna. Rozejrzała się dookoła i przystanęła na skraju parkingu, jakby na coś czekała. Na ramieniu trzymała dużą torbę. Oboje wpatrywaliśmy się uważnie, dopóki nie zatrzymał się przed nią samochód. Kobieta, rozluźniona i uśmiechnięta, otworzyła tylne drzwi, wrzuciła do środka torbę, po czym wsiadła z przodu obok kierowcy.

Więc to nie była ona. Oczywiście, że nie. Nawet nie spodziewałam się już, żeby jeszcze przyjechała.

Na szybie okna zabłyśły ciskane wiatrem kropelki deszczu.

– Musimy zadzwonić na policję – powiedziałam.

Udał, że tego nie słyszał.

Część I

Lara

Rozdział 1

Sierpień

Staje obok mnie na balkonie i podaje mi zielony kubek, który jego wredna matka dała mi na Gwiazdkę. Na stację w dole wjeżdża pociąg. Ma tylko dwa wagony, ale to największy skład, jaki może się zmieścić przy tym peronie.

– Herbata dla pani – mówi z ironiczną kurtuazją, a ja staram się nie krzywić. – Mam nadzieję, że przypadnie pani do gustu.

Nie przypadnie, ale tego oczywiście nie mogę powiedzieć. Obejmuję kubek obiema dłońmi i staram się zrobić stosowną minę. On wie, które kubki lubię, i wie też, że ten, oględnie mówiąc, do nich nie należy. Nie mogę mu również powiedzieć, że obchodzą mnie takie drobiazgi. Zrobiłby odpowiednio zdziwioną minę, wysoko unosząc brwi.

– Dzięki – mówię.

Nasze łokcie się stykają, gdy oparci o poręcz spoglądamy na miasto. Słońce oświetla pociąg na stacji, znajdujące się za nią doki, zabudowania rozłożone łukiem nad zatoką, jak gdyby obejmujące ramionami port. Promienie wzbudzają rozbłyski na lekko sfalowanej wodzie, skry światła na powierzchni pojawiają się i znikają w rytm wędrówki fal. Po drugiej stronie estuarium drzewa, pola i rozrzucone gospodarstwa Flushing stoją skąpane w pełnym słońcu, co jest niezwykle nawet jak na koniec sierpnia. Na szczycie dachów jednego z magazynów w dokach mewy siedzą w równym szyku, zażywając ptasiego odpowiednika kąpieli słonecznej. Wręcz palący żar słońca na skórze, słona wilgoć w powietrzu, której w normalnych warunkach nie czuję, jaskrawe rozbłyski na szczytach fal – to wszystko niespodziewanie przywołuje wspomnienia odległych dziecięcych wakacji.

– To wygląda jak ilustracja z książki dla dzieci, nie sądzisz? – mówię. – Stacja. Kontenerowce. Okręty wojenne. Żaglówki. Samochody. Ciężarówki. Pod spodem powinien znajdować się napis. – Kreślę go palcem w powietrzu pod parkingiem stacji kolejowej. – „Ile różnych środków transportu widzisz na tym rysunku?”

Gapi się na mnie, a nie na to wszystko, co mu pokazuję, odwracam więc głowę i patrzę na niego.

– Zgadza się – odpowiada szybko. – I jeszcze te chwytaki – dodaje, wskazując samobieżny sprzęt w dokach – te żelazne kolosy do przenoszenia ciężkich rzeczy. To rzeczywiście idealny widok dla ilustratora książek dla dzieci.

Kładę dłoń na jego przedramieniu porośniętym krótkimi, sprężystymi blond włoskami. Nawet ta krótka wymiana zdań za bardzo zbliżyła nas do kwestii, której staram się unikać, bo w tym zakresie chyba nie zostało już nic do powiedzenia. Dlatego szybko zmieniam temat. Pociągam łyk herbaty (która, jak zwykle, jest najwyżej w połowie tak mocna, jak ta, którą sama parzę) i wskazuję budynki miasta ciągnącego się na lewo od nas.

– A popatrz tam. Ile żywych stworzeń możesz tam zobaczyć? Tysiące domów. Dziesiątki tysięcy okien. Wyobraź sobie to wszystko, co się za nimi rozgrywa. Mogłabym się założyć, że dzieją się tam tak zdumiewające rzeczy, że wręcz nie sposób sobie tego wyobrazić.

Mruży oczy, patrząc na budynki.

– Takie, których ja nie umiałbym sobie wyobrazić czy ktokolwiek?

– Ktokolwiek – uściślam, chyba trochę za szybko.

Sam przekłada kubek z herbatą do lewej ręki, a prawą mnie obejmuje. Przytulam się do niego. Jest wielki jak niedźwiedź, barczysty, ale nie gruby. Zawsze to w nim lubiłam. I chociaż żegnam się z myślą, że należę do kobiet pragnących dużego i silnego mężczyzny, który będzie się nimi opiekował, to mimo wszystko z przyjemnością tulę się do jego szerokiej piersi.

– Pamiętasz, że dziś po południu przychodzi z wizytą moja przyjaciółka? – pytam. – Ta, którą poznałam na promie.

– Ach, tak. Uprzedzałaś. Możesz mi przypomnieć, jak ona ma na imię?

– Iris.

– Jasne. Iris.

Nie jest zadowolony. Nie lubi, gdy ktoś trzeci wkracza w nasze życie. W zasadzie nie mamy żadnych przyjaciół. Zaprosiłam Iris właśnie po to, żeby to zmienić.

– I tak mam wrażenie, że po raz pierwszy od wieków przyjmujemy tu kogoś – mówi, wyraźnie podenerwowany. – No wiesz, fajnie jest, gdy nie trzeba przez cały czas prowadzić poważnych rozmów. Mieliśmy swoje plany, ale przeznaczenie zaśmiało nam się w twarz. – Spinam się cała na myśl, że zaraz usłyszę, iż nic nie dzieje się bez przyczyny. – Nic nie dzieje się bez przyczyny – ciągnie. – Myślę jednak, że wszystko, co się wydarzyło, tylko zbliżyło nas do siebie, bo musimy pamiętać, że gdzieś na świecie czeka na nas dziecko, może w Chinach, a może w Himalajach, jak to często powtarzasz. I to dziecko nas potrzebuje. Tak już musi być, jestem tego pewien.

– Właśnie zamieniłeś pogawędkę w poważną rozmowę.

– Przepraszam.

Biorę głębszy oddech.

– Nie ma sprawy – mówię.

Słyszałam już tę jego małą przemowę setki razy. Pewnie ma rację. Być może bezpłodność sprzymierzyła się z resztą wydarzeń z jakiejś mętnej, niesprecyzowanej przyczyny. Być może w górskich odludziach Nepalu naprawdę jest dziecko, które przeznaczenie wybrało dla nas. Nie ma już możliwości, abyśmy wsiedli do samolotu i polecili tam, by się o tym przekonać. Nawet Visa, udzielająca kredytów także na takie eskapady, odmówiła nam finansowania dalszych przygód.

Sam ma rację, zawsze mówiłam o Himalajach. Bo zawsze marzyłam, żeby się tam wybrać, wynająć jakąś chatkę w górach i przez kilka miesięcy cieszyć się ostrym, rześkim powietrzem, spacerować, podziwiać widoki i po prostu żyć.

Zrobiłabym to choćby jutro, lecz nawet wtedy, kiedy mieliśmy więcej pieniędzy niż pomysłów na ich wydawanie, nigdy się na to nie zdecydowałam, bo mój mąż nie miał dosyć odwagi. Zawsze nakłaniał mnie na coś, co nazywał „stosownymi wakacjami”.

Więc jeśli nawet rzeczywiście moje dziecko czeka tam na mnie, ja nie mogę się po nie wybrać. I ta myśl wytrąca mnie z równowagi.

– Kocham cię – mówi. – Możemy zostać całkiem bez pieniędzy i stracić wszelkie szanse na zdobycie tego dziecka, a ja i tak będę cię kochał.

– Ja też cię kocham – zapewniam pospiesznie.

– Laro...

Podziwiając widoki i popijając herbatę, tulimy się do siebie w słońcu, które przypieka nam odsłonięte ramiona i czubki głów. Nic więcej nie zostało do powiedzenia.

Mam ochotę krzyczeć i niekiedy to robię. Od czasu do czasu wrzeszczę na całe gardło, ale nigdy wtedy, gdy Sam jest w domu. Kiedy przebywa gdzieś w pobliżu, duszę tę wściekłość w sobie. Nie mogę mu powiedzieć niczego choćby zbliżonego do prawdy i przez to, jak sądzę, nasze małżeństwo nie jest takie, jak mu się wydaje. Jego zdaniem wciąż jesteśmy w sobie zakochani, zmęczeni, lecz pełni optymizmu, gotowi wyruszyć w kolejną podróż, co prawda nieprzewidzianą, ale z tego powodu wiodącą do ciekawszego celu. Uważa, że już zawsze będziemy razem, tutaj, w Kornwalii, setki kilometrów od naszych obu trudnych rodzin. Traktuje nas jak zgrany zespół.

Jednak ja wolałabym być sama. Oczywiście nie mogę mu tego powiedzieć. Ale cieszę się, że nie udało nam się adoptować dziecka. Miałby złamane serce, gdyby się o tym dowiedział. W gruncie rzeczy nie stało się nic szczególnego: żadne z nas nie dopuściło się zdrady, a najgorsze, co spotkało mnie z jego strony, to wzbudzenie niesamowitej, zenującej irytacji. Po prostu wyszłam za niewłaściwego mężczyznę, mając już wtedy mętne przeczucie, że właśnie tak jest. Zatem to wyłącznie moja wina i mój problem.

Ciekawa jestem, co by powiedział na to, że od początku mam gotowy plan ucieczki, trzymam spakowany plecak i jestem gotowa zwać w stosownej chwili. I choć to nie z jego powodu, mimo wszystko ten fakt świadczy sam za siebie.

Wmówiłam sobie, że dziecko, jeśli pojawi się w naszym życiu, rozwiąże wszystkie problemy, że będę się mogła na nim skupić i otoczyć je miłością. Ale w głębi duszy wiedziałam, że życie nie działa w ten sposób. Zatem szczęśliwie się złożyło dla dziecka, że tu nie dotarło.

Pół godziny później wybucham gromkim śmiechem, gdy uświadamiam sobie, że wyglądam jak najbardziej uległa gospodyni domowa na świecie. Wyjmuję z pieca dwa biszkoptowe blaty, używając rękawic kuchennych z deseniem w kwiatki oraz fartucha obszytego falbanką, a więc ucieleśniając tandetną wersję efektu Cath

Kidston. Czuję się jak intruz w życiu innego człowieka, jak stwór z gatunku science fiction, wykorzystujący zewnętrzną ludzką powłokę do ukrycia własnego ciała. Kryje się w nim ktoś, kogo Sam w ogóle nie zna. Odrażający i złowrogi potwór, zimny, sfrustrowany i szyderczy. Nie pozwalałam mu się ujawnić, bo Sam nie zasługuje na to, co mogłoby się stać po spuszczeniu tego potwora z uwięzi.

Prawda jest taka, że nie kocham męża. Ani trochę go nie kocham. Najwyżej go lubię, a i to w przypiływie dobrego humoru. Wiem, że jest dużo lepszym człowiekiem ode mnie, i przez to jeszcze bardziej nim gardzę. Ale jakimś sposobem właśnie dlatego nie mogę od niego odejść. Nie znoszę robionej przez niego herbaty, która z powodu najkrótszej z możliwych styczności z torebką suszonych liści przypomina rozwodnione ciepłe mleko o beżowym zabarwieniu. Kiedy ją piję, w duchu krzywię się z obrzydzenia, ale jakoś ją przełykam, gdyż po pięciu latach tłumaczenia mu, jaką herbatę naprawdę lubię, ostatecznie się poddałam.

Kiedy słyszę, jak nazywa portowe dźwigi „żelaznymi kolosami do przenoszenia ciężkich rzeczy”, wyposażonymi w „chwytaaki”, mam ochotę z wrzaskiem rzucić się do ucieczki i nie zatrzymywać się aż do samego Londynu. Wyszłam za mężczyznę, który ładowarkę do komórki nazywa „tym, co się wtyka do gniazdka”, a pilota „tą rzeczą z klawiszami od telewizora”. To, co kiedyś uważałam u niego za uroczy zwyczaj, teraz traktuję jak pretensjonalną pozę, która popycha mnie ku myślom samobójczym. Raz za razem, zgrzytając zębami, muszę nakazywać sobie, żeby nic nie mówić.

Przez lata proponowałam wakacje wypełnione pieszymi wędrówkami po Nepalu, lecz choć doskonale wiedział, że jest to coś, czego pragnęłam najbardziej na świecie, ciągle znajdował jakieś wymówki uniemożliwiające wyjazd: to hipochondryczne bóle w kolanie, to znów lęk wysokości czy też urlop za krótki, by taka wyprawa się opłacała. Zawsze przekierowywał mnie na plaże, czy to na Wyspach Kanaryjskich, czy we Francji, ale przecież i tu mamy plaże, a poza tym plaże są nudne. Ja marzyłam o górach.

Oba blaty upiekły się idealnie. To tylko dlatego, że po przeprowadzce z Londynu do Kornwalii dysponowaliśmy jeszcze wystarczającymi funduszami, żeby kupić sobie drogą nowoczesną kuchnię marki Smeg. Wtedy nie mieliśmy jeszcze pojęcia, że wpompujemy wszystkie nasze oszczędności w trzy bezproduktywne cykle zapłodnienia in vitro. Gdybyśmy o tym wiedzieli, zadowolilibym się kuchnią tańszą o kilka tysięcy funtów i też bym się z niej cieszyła, nawet gdyby takie właśnie blaty biszkoptowe wychodziły w niej dużo mniej sprężyste.

Żadne z nas nie podejrzewało, że natura może nie akceptować naszych planów. We własnym mniemaniu byliśmy wspaniałymi ludźmi odnoszącymi same sukcesy, zdolnymi do wszystkiego. Jako londyńscy zawodowcy przenosiliśmy się do Falmouth Docks, żeby tu założyć rodzinę. Sam chciał mieć córeczkę, potem synka, a później trzecie dziecko dowolnej płci. Miały być jasnowłose i dobrze zbudowane, miały uczyć się pływać na małych żaglówkach i grać w piłkę na plaży.

Układałam oba blaty do wystudzenia na drucianej podstawce, a formy zalewam

w zlewie wodą, żeby odmiękły. Jestem dobra w tych ziemskich sprawach. Nikt, kto by mnie obserwował, nie mógłby niczego podejrzewać. Ale życie obcego stwora w cudzej postaci jest strasznie samotne.

Iris ma przyjaciela, co do którego również żywi mieszane uczucia. To nas właśnie do siebie zbliżyło. Rozpoznałyśmy w sobie bratnie dusze, jestem tego pewna. To z tego powodu upiekłam te dwa blaty biszkoptowe.

Czasami chciałabym pokochać Sama, ale gdybym go kochała, nie byłabym sobą. Prędzej byłabym sobą, żyjąc w kłamstwie i próbując znaleźć w sobie odwagę do zrobienia właściwej rzeczy, niż udając mizdrzącą się kurę domową, której on potrzebuje.

Kiedy w kuchni jest już porządek, a Sam, jak widzę z balkonu, strzyże trawę w ogrodzie na dole, biegnę sprawdzić moją pocztę mailową. Po raz kolejny jedyny kontakt ze światem zewnętrznym zapewnia mi mój zaufany przyjaciel, strona moneysupermarket.com.

Siadam i zaczynam pisać. Serce wali mi tak mocno, że czuję jego uderzenia w całym ciele.

Piszę: „Leon. Coś nowego? L x”.

Wysłałam maila i natychmiast wykasowuję go z rejestru poczty wychodzącej. Sam nigdy by nie sprawdzał mojego konta mailowego, wolę jednak zachować środki ostrożności.

Dzwonek rozlega się punktualnie o wpół do czwartej i gdy otwieram drzwi, na widok Iris uśmiecham się szeroko, uszczęśliwiona. Gdybym nie miała okazji w najbliższym czasie porozmawiać z nikim normalnie, pewnie zamordowałabym swojego męża w czasie snu.

Iris ma gołe nogi i jest ubrana w zwiewną spódniczkę, w rękę trzyma kask rowerowy. Jej długie i gęste włosy są zmierzwione. Mają odcień ciemnobrązowy, ale jasnoblond na końcach.

– Jechałaś na rowerze w tej spódnicy? – rzucam zamiast powitania.

– Wiesz, że nawet o tym nie pomyślałam? Jeśli ktokolwiek w ogóle był zainteresowany tym widokiem, to mógł nacieszyć oczy. W każdym razie jestem pewna, że nikt specjalnie się na mnie nie gapił.

– Wejdz.

Widuję w mieście kobiety w typie belferek z podstawówki albo kogoś w rodzaju artystek, które potrafią ułożyć tu sobie życie, łącząc je z pracą zawodową jako dekoratorka, pisarka czy ilustratorka, i często myślę, że byłabym znacznie szczęśliwsza, gdybym miała gromadkę takich przyjaciółek. Mogłybyśmy się spotykać w barze Town House u stóp wzgórza, sączyć koktajle albo pinot grigio i zaśmiewać się z naszych nudnych mężów. Bo tak przecież robią inni ludzie.

Iris to mój pierwszy krok w tym kierunku. Jest w moim wieku, jak sądzę, najwyżej odrobinę starsza. Podoba mi się jej ekscentryzm. Wiem, że ma chłopaka,

który doprowadza ją do rozpaczy. Jeszcze go nie poznałam, ale chętnie się z nim spotkam.

Przygląda mi się z lekkim uśmiechem, a ja zastanawiam się, co we mnie widzi. Małą blondyneczkę, idealną gospodynię domową noszącą bawełniane sukienki i legginsy, która nastawia wodę w czajniku i przenosi idealnie równiutki biszkopt przełożony dżemem na stolik pod panoramicznym oknem zapewniającym piękny widok? Czy może dostrzega w środku złowrogiego morderczego obcego? Mam ochotę ją o to zapytać.

– Jak się miewasz? – mówię, nie mogąc zapytać o to, o co bym chciała.

– Och, świetnie – odpowiada. – Nawet więcej: wspaniale. Jazda na rowerze pomaga mi oczyścić umysł z pajęczyn. – Przeczesuje palcami włosy, chcąc je choć trochę ułożyć.

– To dość pagórkowata okolica, prawda?

Kiwa głową.

– I właśnie o to chodzi. Zamęczasz się, żeby wjechać na jakąś górkę, a potem zażywasz rozkoszy, zjeżdżając bez pedałowania na dół tak szybko, na ile tylko ci starczy odwagi, i jesteś już w połowie następnego wzniesienia, zanim zwolnisz. W dużym ruchu trzeba mieć nerwy ze stali, ale to i tak się opłaca. Latami nie wsiadałam na rower, ponieważ się bałam, aż w którymś momencie pomyślałam: do diabła z tym. Kogo to obchodzi?! Przejeździłam wtedy cały dzień i czułam się cudownie.

Rozglądam się. Sam jeszcze nie wrócił.

– Jak widzisz, upiekłam biszkopt. Lata spędzone na uniwersytecie na coś mi się przydały. Do ciasta możemy się napić herbaty. Chyba że wolałabyś lampkę prosecco?

Widzę po jej oczach, że wyczytała z mojej miny, na co ja miałabym ochotę, gdyż chętnie podchwytuje:

– Cóż, prosecco jest bardzo kuszące, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Ależ skąd.

– Nikt nie zwróci uwagi, gdy wsiądę na rower lekko podchmielona. Oczywiście to wbrew przepisom, ale przecież tylko sobie można przez to zaszkodzić, tak mi się przynajmniej zdaje. Na szczęście policja ma ważniejsze zadania.

– Twój chłopak też jeździ na rowerze?

Lekko kiwa głową.

– Kiedyś jeździł, ale teraz już niezbyt często. W ogóle... zrobił się ostatnio samotnikiem.

Chciałabym usłyszeć coś więcej, ale zajmuję się otwieraniem butelki. W końcu korek wyskakuje z przyjemnym odgłosem i siadamy przy stoliku. Kiedy razem z Samem kupiliśmy ten dom, nasz przyszły dom rodzinny, na podłogach leżały powycierane dywany, a we wnętrzach panowała cudownie staroświecka atmosfera nadmorskiego domku. Na początku niczego nie zmienialiśmy, bo mnie się tu podobało. Ale z czasem stare dywany musiały ustąpić miejsca lakierowanym panelom podłogowym, a fantazyjnie wzorzyste sufity z artexu zastąpiły gipsowe

tyнки. Wywaliliśmy koszmarny kominek (trochę wbrew mojej woli, gdyż był tak koszmarny, że aż uroczy), a jego miejsce zajął obowiązkowy nowoczesny piecyk opalany drewnem. Dom stał się równie uroczy, jak więzienie. Bardzo się cieszyłam, mogąc go komuś pokazać.

Planowaliśmy, że gdy już będziemy mieć dzieci, przebudujemy wnętrze, dodamy sypialnie dla nich, urządzimy bawialnię, zbudujemy domek na drzewie i postaramy się o inne atrakcje. Sam już widział oczyma wyobraźni odciski tłustych paluszków na szybach, te jednak do dzisiaj pozostały czyste.

– Wspaniały widok – mówi Iris, patrząc przez okno.

– Trudno się do niego przyzwyczaić, bo każdego dnia jest nieco inny.

– Wierzę na słowo. Gdybym tu mieszkała, gapiłabym się przez to okno bez przerwy.

– Mniej więcej tym się właśnie zajmuję.

Śmieje się, ale ja mówię poważnie. Nie mam nic innego do roboty. Nie udało mi się znaleźć pracy nawet w żadnym urzędzie. Ilekroć składam wnioski, zawsze dostaję podobną odpowiedź z identycznym uzasadnieniem: „za wysokie kwalifikacje”. A przecież moje kwalifikacje nie dadzą się tu nijak wykorzystać. Wszystkie etaty w mojej specjalności, w zakresie zagospodarowania przestrzennego i architektury, są od dawna zajęte. Przez jakiś czas nosiłam się z myślą podjęcia pracy w supermarkecie Asda, ale Sam mnie przed tym powstrzymał.

– Jak ci idzie redakcja? – pytam, zadowolona, że o tym pamiętam.

Któregoś popołudnia poznałyśmy się z Iris na promie do St Mawes. Nawiązałyśmy błahą rozmowę i szybko wyszło na jaw, że obie znalazłyśmy się na pokładzie, żeby wypłynąć w morze wyłącznie dla zabicia czasu. Po dotarciu na miejsce obeszczyłyśmy wkoło przystań w porywistym wietrze, który nie tylko jej włosy ciskał w twarz, ale nawet moje zaczął wyciągać spod spinek i gumek. Później ruszyłyśmy w głąb miasta i w małym mrocznym pubie wypiliśmy po butelce piwa. Wszystko w tej wyprawie było grzeszne i przypadkowe, dlatego tak mi się podobała.

– Och, świetnie – odpowiada. – Lubię pracować w domu. Mam swobodę w ustalaniu godzin pracy, a więc sprawuję pełną kontrolę nad swoim życiem zawodowym. – Uśmiecha się, przy czym na jej twarzy pojawia się mnóstwo drobnych zmarszczek, które mnie się kojarzą z widokiem uradowanej buzi dziecka. – To brzmi tak, jakbym obsługiwała erotyczne linie telefoniczne, co nie? Albo pozowała przed obiektywem kamery internetowej. Specjalizuję się w książkach prawniczych. To niezły rock and roll. Ale idzie mi całkiem niezle, dzięki. Powinnam prowadzić pamiętnik. Pewnie byłby to najnudniejszy pamiętnik na świecie. Każdy dzień dokładnie taki sam, jak poprzedni.

– Ja kiedyś pisałam pamiętnik – mówię. – Dawno temu, kiedy moje życie było jeszcze ciekawe. Ale pamiętników na pewno nie chciałabyś redagować, prawda? Pewnie czułabyś piekielne obrzydzenie. Bo przecież musisz czerpać satysfakcję ze swojej pracy, tak czy inaczej.

– Zgadza się. Przynajmniej czasami. Do tego trzeba mieć odpowiednie nastawienie. Ja mam cały czas włączone radio, BBC 6, więc muzyka gra na okrągło, a poza tym... co dla mnie jest bardzo ważne... bez przerwy mam przy sobie mojego chłopaka. Lauriego. On także pracuje w domu, więc nawzajem dotrzymujemy sobie towarzystwa. I oboje lubimy muzykę. Zamykamy się we własnym przytulnym małym świątku. Ktoś mógłby powiedzieć, że to nudne, ale mnie odpowiada.

Podaję jej kieliszek prosecco.

– Na zdrowie – mówię.

– Zdrowie – odpowiada.

Pociągam łyk wina i natychmiast dopada mnie świadomość, że mogłabym się bardzo łatwo uzależnić od alkoholu. Byłoby to nawet logiczne, gdybym miała nawyk raczenia się winem każdego popołudnia.

– A więc jesteście tylko we dwoje – mówię. – Tak samo jak my, Sam i ja.

– Owszem – odpowiada. – Ty też się zamknęłaś w swoim własnym małym świątku, prawda?

– I nigdy nie jest ci w nim za duszno?

– Chyba mam naturę pustelnika, podobnie jak Laurie. Dobrze jest nam we dwoje z naszymi kotami. Nie każdemu takie życie by odpowiadało, ale nam pasuje. Gdybym się urodziła w innych czasach, pewnie wybrałabym życie zakonnicy w zamkniętym klasztorze albo zostałabym dzikuską mieszkającą w jaskini gdzieś w górach.

– A tak masz swoją jaskinię w Budock.

– Zgadza się.

– Tyle tylko, że nie własną.

– Nie.

– Ile macie kotów?

– Tylko dwa. – Wpatruje się we mnie uważnie. – Myślałaś, że powiem „osiemnaście”?

– Miałam takie obawy.

– Na szczęście sprawy nie zabrnęły aż tak daleko. Te dwa to Desdemona i Ofelia. Bohaterki naszych dramatów. Zresztą lubią dramatyczne sytuacje. Ale mnie to odpowiada.

Sam wkracza do pokoju.

– Dobry wieczór szanownym paniom!

Przeponony biały T-shirt lepi mu się do ciała. Tylko Sam mógł wybrać na taką okazję zwykły biały T-shirt. John Travolta kiedyś dobrze w nim wyglądał, ale u mojego męża taka koszulka świadczy wyłącznie o braku wyobraźni.

– Sam. – Wstaję i kładę rękę na jego przedramieniu, uświadamiając sobie nagle w przyпіływie przenikliwości, że robię to wyjątkowo często. Ale to mój sposób na zaakcentowanie swojej woli, gdy tylko jest to konieczne, przy ograniczeniu do absolutnego minimum kontaktu fizycznego. – Przedstawiam ci Iris. Iris, to mój mąż Sam.

Wyciąga dalej rękę, żeby ucisnąć jej dłoń, a ona wstaje i całuje go w policzek.

– Poznałyście się na promie – mówi mój mąż. – Tak mi powiedziała Lara.

Widzę, że odganiacie codzienne smutki bąbelkami!

Iris zaczyna jakąś ugrzecznioną odpowiedź, gdy rozlega się sygnał mojej komórki. To niemodny już elektroniczny sygnał, który rozcina powietrze jak brzytwa. Rzucam się w stronę aparatu. Tak rzadko ktoś dzwoni na ten numer.

Spoglądam na ekranik. Po chwili kojarzę numer i wybiegam na balkon. Serce wali mi jak młotem.

– Leon? – Dokładnie zasuwam za sobą drzwi. Powietrze jest zimne, ale ożywcze.

– Jak się masz?

– Lara – odzywa się mój ojciec chrzestny, jedyny człowiek, który dobrze mnie zna. – Darujmy sobie gadkę szmatkę. Czy na pewno tego chcesz?

A więc zrozumiał. Wyczuwam to po jego tonie.

– Tak. Proszę, Leonie. Muszę. Już dłużej tak nie dam rady.

Oglądam się na Sama, który nerwowo pociąga łyk wina z mojego kieliszka, po czym odkrawa sobie wyjątkowo duży kawałek biszkoptu. Zajmuje miejsce przy stoliku, najwyraźniej zastanawiając się gorączkowo, o co mógłby zapytać tę dziwaczkę siedzącą naprzeciwko niego. Wolałabym, żeby nie było po nim aż tak bardzo widać niechęci do mojego gościa.

– W takim razie mam coś dla ciebie.

– Słucham – odpowiadam niecierpliwie.

Przenoszę spojrzenie na zabarwioną czerwono-czerwonawo chmurę, która szybko nadciąga nad estuarium, i ledwie mój ojciec chrzestny zaczyna mówić, przyszłość zaczyna mi się rysować w odmiennych kolorach.

Rozdział 2

Ćwiczę to jedno zdanie, zamknięta w łazience.

– Mam pracę – mówię do swego odbicia w lustrze. Nie mogę się nacieszyć brzmieniem tych słów. Ledwie potrafię ogarnąć potencjał, który się w nich kryje. I z góry nie cierpię sposobu, w jaki Sam je przyjmie.

Ale muszę mu to powiedzieć już teraz. Wie, że z jakiegoś powodu jestem podniecona. Zorientował się, ledwie skończyłam rozmawiać z Leonem, wróciłam do stolika i dopiłam swoje prosecco jednym haustem.

– Co się dzieje, Lara? – pyta po raz kolejny, a ja znów odpowiadam „nic” z szerokim, jednym z najszczęśliwszych moich uśmiechów.

– Mam pracę – powtarzam do swojego odbicia. Ale twarz w lustrze wygląda aż nazbyt poważnie, chociaż błyski w oczach dorównują wspaniałością perspektywom tego całkiem nowego świata, który się przed nią roztacza. Zmuszam ją, by wypowiedziała to właściwie. W końcu zdobycie pracy to dobra wiadomość. No i zmuszam się, żeby dodać tę najważniejszą część informacji:

– Mam pracę, do tego w Londynie.

– Lara?

Dla niepoznaki spuszczam wodę w toalecie i poprawiam spinki na kilku niesfornych kosmykach włosów. Iris pojechała już do domu. Pożegnała się nagle, gdy szepnęłam jej na ucho, że muszę powiedzieć Samowi coś bardzo ważnego. Pewnie myśli, że jestem w ciąży. Zostawiam załatwienie tej sprawy na później.

– Już wychodzę! – wołam.

Mam pracę, do tego w Londynie. Ta wiadomość powinna wywołać bezgraniczne zdumienie.

Pochodzę z Londynu i szczycę się tym. Tam się urodziłam, tam się wychowywałam. Tam poznałam Sama i tam mieszkaliśmy razem przez trzy lata, zanim pod wpływem nagłego impulsu doszliśmy do wniosku, że nie mogę zająć w ciąży, bo wiele godzin dziennie spędzamy oboje w metrze. Tłumaczyliśmy sobie, że to bardziej wpływ środowiska niż naszych genów. Obarczaliśmy winą tych wszystkich ludzi, którzy stale się przepychali, napierali i mijali nas w biegu. Winiliśmy szminkę do ust, zakupy w supermarkecie i zatrute środowisko, piętrowe autobusy, które przejeżdżały pod oknem naszego pokoju w Battersea, umożliwiając pasażerom na górnym poziomie zajrzenie do naszej sypialni, gorączkowe bieganiny do Sainsbury's Local po gotowe dania obiadowe w drodze powrotnej do domu, jak również to, że spacer po parku są miłe, ale nie mogą zastąpić wyprowadzki z miasta na prowincję.

Do tego, rzecz jasna, dołączał się stary komunał, że nawet mieszkając w Londynie, rzadko chodziliśmy do teatru, zwiedzaliśmy galerie czy muzea.

Teraz, gdy mieszkamy w Kornwalii, wyprawa do stolicy staje się dużym

wyzwaniem. Nie byliśmy w Londynie od półtora roku, więc to miasto wydaje się odurzające, pełne nieodgadnionych perspektyw. I oto nagle otwierają się dla mnie te wszystkie możliwości, pochłaniają mnie bez reszty.

Przeprowadzka, rzecz jasna, także była jego pomysłem. W któryś niedzielny poranek zszedł po schodach, mając na sobie jeden ze swoich niezliczonych białych T-shirtów oraz spodnie od pizamy, i zastał mnie pogrążoną w poszukiwaniach pracy.

– O której wstałaś? – zapytał, kierując się niemal po omacku do ekspresu do kawy.

– Nie pamiętam. – Postarałam się skupić na nim uwagę i uśmiechnąć się stosownie. – Jakoś po piątej, jak sędzę. Ściągnęłam parę plików. Już prawie skończyłam.

– Och, Laro...

Odwróciłam się, żeby spojrzeć na niego. Stał tyłem do mnie i nalewał sobie do kubka ledwie ciepłej kawy. Zawsze uwielbiałam pracę wczesnym rankiem. A on nigdy nie mógł tego zrozumieć. Tłumaczyłam mu to nie raz, ale on zawsze spoglądał na mnie w zamyśleniu, z takim wyrazem twarzy, jakby słyszał same wymówki.

– No co? – Uczyniłam wysiłek, żeby oderwać się myślami od pracy. Ale on podszedł i usiadł przy stoliku naprzeciwko mnie. Szybko sięgnęłam po filiżankę z kawą, chociaż napój był już całkiem zimny, i ujęłam ją obiema dłońmi, tylko dla ratowania resztek dobrego samopoczucia.

– Laro... – powtórzył nagle z twarzą pomarszczoną od snu. – Nic dobrego ci z tego nie przyjdzie. Wiesz, jeśli naprawdę chcemy założyć rodzinę, jeśli naprawdę ma się to nam udać, bo przecież tak będzie, upłynęło zaledwie parę miesięcy, to musimy zacząć mniej stresujące życie, musimy się wyprowadzić z Londynu. Znalazłem ogłoszenie o pracy, na które chcę odpowiedzieć.

Westchnęłam głośno. Sam zawsze miał skłonności do układania swoich wspaniałych planów, ale ten, jak zdążyłam się rozeznać, należał do innej kategorii.

– Co to za praca? – zapytałam, sądząc, że chodzi o jakieś nudne zajęcie gdzieś w Hampshire albo Surrey.

Uśmiechnął się.

– To oferta wytwórcy luksusowych jachtów z Falmouth. Pewnie znaleźlibyśmy tam sobie wspaniałe gniazdko. Absolutnie wymarzone dla większej rodziny.

Zaśmiałam się krótko.

– Masz rację. Wyjedziemy i zamieszkamy w Falmouth. Ot tak, po prostu. Nawiasem mówiąc, gdzie jest to Falmouth? W Devon? I czym będę się tam zajmować?

Wstał, obszedł róg stołu i stanął za moim krzesłem. Pochylił się i objął mnie ramionami.

– W Kornwalii – odparł, mówiąc do moich włosów. – A ty, skarbie, będziesz się zajmować naszym dzieckiem.

– Jasne – rzuciłam swobodnie. – Ty podejmiesz dobrze płatną pracę i wszystko jakoś się ułoży.

Nie spodziewałam się nawet przez sekundę, że tak właśnie będzie, do tego tak gładko, jakby wszystko zostało ustalone z góry, w dodatku pod moją niewagę. Sam dostał propozycję zatrudnienia i wyprowadziliśmy się z Londynu. Zarząd stoczni chciał, żeby podjął pracę jak najszybciej, toteż bez zwłoki sprzedaliśmy nasz dom (szczęśliwie za jedną z wyższych cen na rynku, choć wówczas wszystko wskazywało na to, że ceny nieruchomości będą stale rosły i rosły), pożegnaliśmy się z naszymi londyńskimi etatami i wyruszyliśmy na zachód. A kiedy już dotarliśmy na ten zachód, wybraliśmy zachód jeszcze dalszy, a stamtąd pojechaliśmy dalej, oczywiście też na zachód. W końcu, mniej więcej jakieś trzydzieści kilometrów od najdalej wysuniętego na zachód skrawka lądu, zaparkowaliśmy samochód przed naszym nowym domem i zaczęliśmy nowe życie.

Podoba mi się w Kornwalii, i to pod wieloma względami. Uwielbiam Falmouth. Gdybym miała rodzinę i pracę, żeby zająć czymś umysł, byłoby mi tu bardzo dobrze. Są tu plaże i pola, lasy i małe sklepiki. Pociągiem można bez trudu dojechać do większych miast. Czasem nawet sprawia mi radość poczucie, że znajduję się daleko od całej reszty kraju. Bo to nie Falmouth leży w odległym zakątku, odległa jest cała reszta.

Jednakże życie tutaj, tylko we dwójkę z Samem, bez dziecka, bez bliskich przyjaciół, bez pracy, wcale mnie nie cieszy. Teraz, gdy jesteśmy już bliżej czterdziestki niż trzydziestki, coraz częściej stwierdzam, że nie dam rady dłużej tak żyć. Falmouth jest wspaniałe. I ja czuję się świetnie. Ale z Samem, gdziekolwiek na świecie, już nigdy nie będzie mi dobrze.

Jest na górze, ponieważ nasz dom zbudowany jest na zboczu wzniesienia, ma piętra usytuowane odwrotnie. Zastaję go w kuchni, gdy zmywa kieliszki po prosecco i talerzyki po cieście.

– Cześć – mówi. – Jesteś wreszcie.

– Zostało jeszcze trochę wina. – Wyjmuję butelkę z lodówki i unoszę ją pod światło. – Napijmy się razem. Daj kieliszki.

Śmieje się nieco nerwowo.

– Nawet nie ma jeszcze piątej, Laro, a ty wypijaś już dość dużo. Mówisz poważnie?

– Tak. Daj kieliszki. Zaraz je wytrę. Trzymaj butelkę.

– Co się stało?

Zamierzałam poprosić go, żeby usiadł, i dopiero wtedy ostrożnie przedstawić nowinę, ale ta po prostu wyrywa mi się z gardła.

– Wcześniej dzwonił Leon – mówię. – Pewnie wiesz. Jeszcze gdy była tu Iris. No więc, Sam, dostałam propozycję pracy. W Londynie, w firmie Sally. Robiłabym dokładnie to samo, co kiedyś. Poprosili mnie, żebym objęła nadzór nad dużym projektem w Southwark. Chcą przerobić stare magazyny na budynki mieszkalne

i obiekty handlowe, więc to dokładnie moja specjalność. Będę kierownikiem całego tego projektu, zatem w przybliżeniu wrócę do starej pracy. Na razie firma tylko wykupiła kompleks magazynów. Cała reszta, czyli zebranie zespołu, przygotowanie projektów i strategii realizacji tego przedsięwzięcia, będzie należała do mnie. Zajmę się tym wszystkim, w czym jestem dobra. To będzie półroczny kontrakt. Krótka przygoda.

Urywam, wpatruję się w niego i czekam.

– Nie ma mowy.

Wiedziałam.

– Zastanów się, Sam. Pieniądze będą naprawdę duże. I tylko sześć miesięcy. Nie na stałe.

– Ale to praca w Londynie. Ja nie mogę rzucić swojej roboty. Zatem nie możemy stąd wyjechać i znów zamieszkać w Londynie, nawet na pół roku, prawda?

Pociągam spory łyk wina z bąbelkami, rozlewa mi się po języku dziwnie wodnistym i metalicznym smakiem.

– Owszem, nie możesz rzucić pracy – przyznaję, mówiąc jak najrozsądniejsza kobieta świata. – Ale ja mogę dojeżdżać. Zamieszkam u Olivii albo u rodziców. I będę jeździć pociągiem. Nocnym. Mogłabym wyjeżdżać stąd w niedzielę wieczorem, a wracać w sobotę wczesnym rankiem. Spędzilibyśmy ze sobą cudowne weekendy.

– Nie – odpowiada spiętym głosem. – To nie wchodzi w rachubę, Laro. Wyprowadziliśmy się z Londynu, żeby uciec od tego wszystkiego. Mamy adoptować dziecko. Nie pozwolę ci wrócić do wyścigu szczurów. Dlaczego, do diabła, postanowili wywrócić ci życie do góry nogami, zamiast wziąć do tej pracy któregoś z doskonale wykształconych londyńczyków? Mówisz, że robiłabyś to wszystko, w czym jesteś dobra, ale prawda jest taka, że byłaś w tym dobra kiedyś. Dzięki Bogu, tamte dni mamy już za sobą.

Czuję, że to ważne, aby nie dowiedział się, co ja naprawdę o tym myślę.

– Ale mnie na tym zależy – mówię spokojnym, zrównoważonym tonem. – Muszę znów zacząć używać swoich szarych komórek, Sam. Nie mogłam zajść w ciążę. Ale z tymi zadaniami na pewno sobie poradzę. Tutaj nie mogę znaleźć pracy. A chcę pracować. I co najważniejsze, w ten sposób będziemy mogli przez pół roku uwolnić się od wszelkich długów.

I tak zamierzam podjąć tę pracę, nawet gdybym musiała od niego odejść. Aż robi mi się gorąco od tego sekretu. Jakbym wręcz miała nadzieję, że się nie zgodzi. Bo wtedy miałabym powód, żeby odejść.

– Och, Laro... – mówi cicho, co świadczy wyraźnie, że moje zwycięstwo nabiera realnych kształtów.

Dopijam resztkę wina. On robi to samo. Patrzy na mnie straszliwie smutnym wzrokiem. Znowu go rozczarowałam. Za oknem grzbiety fal połyskują w słońcu. Na poręczy balkonu siadają dwa gołębie. Portowy dźwig obraca się powoli, zdejmując z pokładu olbrzymiego statku przybyłego nie wiadomo skąd kontener

z nie wiadomo jaką zawartością.

Wcześniej rano, kiedy świat na zewnątrz dopiero zaczyna się przeciągać, budzę się gwałtownie. Sam leży obrócony w moją stronę i cicho pochrapuje, na zaczerwienionym policzku ma odciski od poduszki.

Jadę do Londynu. Znową będę miała życie wypełnione zajęciami, znową będę w ciągłym ruchu. Na pewno nie będzie to łatwe. Będę musiała wrócić do dawnego rytmu pracy, a lata spędzone z dala od zawodowych obowiązków zmuszą mnie do tego, żebym się wykazała. Wyjazd do Londynu oznacza, że znową będę musiała stać się profesjonalistką; będę musiała wyglądać idealnie, być opanowana i pewna siebie, pracować z planami i z ludźmi. Moim podstawowym zadaniem stanie się realizacja projektu. Ale wszystko to, z dalekiej perspektywy, wydaje mi się jak skok do chłodnej wody w basenie kąpielowym podczas upalnego dnia.

Ptaki na dworze robią taki rwetes, że aż nie chce mi się wierzyć, że Sam (czy ktokolwiek inny) może spać w takich warunkach. Słońce zaczyna wyglądać zza krawędzi zasłony i zalewać pokój swoim wspaniałym blaskiem.

Nasza sypialnia jest nieduża. Trzeba się przeciskać obok łóżka, żeby dostać się do szafy. Zamierzaliśmy rozbudować cały dolny poziom tego postawionego na głowie budynku, gdy doczekamy się rodziny. Chcieliśmy powiększyć ten pokój, żeby zmieściły się w nim dodatkowe sprzęty. Wiem dokładnie, co jeszcze miałyby się tu znajdować, gdyż rozmawialiśmy o tym wiele razy. Czytaliśmy poradniki i robiliśmy plany, co gdzie powinno stać. Miało się tu znaleźć dziecięce łóżeczko i stolik do przewijania niemowlęcia. Stolik powinien obowiązkowo mieć pod spodem półkę, na której można by układać zapasowe śpioszki czy małe sweterki.

Sam bardzo chciał mieć dziecko, ponieważ jest normalnym człowiekiem. Ja pragnęłam dziecka, gdyż moim zdaniem to była najlepsza okazja do tego, żeby pokochać kogoś całym sercem i poświęcić mu się bez reszty.

Patrzę teraz, jak on śpi w tym miękkim świetle poranka. To tak intymna chwila, że chyba nie powinnam tego robić, ale mimo to gapię się dalej, oparta na łokciu. Pograżony we śnie wydaje się bezbronny, nakazuję więc sobie, żeby myśleć o nim wyłącznie dobrze, kiedy jest nieświadom mojego wzroku.

Będzie sypiał samotnie w tym łóżku po sześć nocy w tygodniu przez pół roku. Po tym czasie oboje będziemy już wiedzieli, co robić dalej.

Gdybym miała teraz odejść, powiedziałabym mu: „Szybko znajdziesz sobie inną. Na pewno spotkasz taką kobietę, jakiej potrzebujesz. I szybko doczekasz się z nią dziecka, ponieważ twoje nasienie jest w porządku”. Wszystko wskazuje na to, że moje narządy także działają normalnie. Po prostu nam się nie udało.

„Nie powinieneś być się ze mną żenić”. Przesyłałam mu taki komunikat drogą telepatyczną. „Byłbyś szczęśliwy u boku kobiety, która by cię podziwiała, zamiast kogoś, kto chwycił się ciebie jak tratwy ratunkowej na wzburzonym morzu, a potem żałował, że nie może się ciebie pozbyć, gdy już dopłynął do lądu. Bo

wtedy było już za późno”. Powinnam była, jak zawsze, posłuchać rady Leona. Ostrzegął mnie przecież, żebym nie wychodziła za Sama.

– Na razie wydaje ci się kimś wspaniałym – powiedział po naszym wspólnym spotkaniu z Samem. – Ale, na miłość boską, Laro, nie wychodź za niego. Zanudzi cię na śmierć, bo jest aż nazbyt miły. Jak ten facet Olly, tyle że on przynajmniej nie będzie się na tobie wyżywał. Jednak skończy się na tym, że to ty zaczniesz wyżywać się na nim.

Przynajmniej pod tym względem się mylił.

Coraz częściej wyobrażam sobie kobietę, z którą byłoby mu najlepiej. Próbuje sobie wyobrazić jego drugą żonę. Dzisiaj spoglądałam na Iris, zastanawiając się, czy byłaby dobrą kandydatką, ale raczej nie. Iris żyje ze swoim partnerem, lecz ma sekrety. Znaczne fragmenty swojej przeszłości trzyma w tajemnicy. Sam potrzebuje żony, którą będzie prześladowało równie mało demonów, co jego.

Idealna pani Finch musiałaby mieć szczęśliwe dzieciństwo i być pozbawiona ambicji zawodowych. Powinna tęsknić za tym, żeby poświęcić się rodzinie i z radością zajmować się obowiązkami domowymi. Musiałaby być dobrze zorganizowana i wdzięczna życiu za wszystko. Powinna uważać Sama za najbardziej seksownego, najwspanialszego faceta na świecie.

Nie mogłybyśmy się zaprzyjaźnić.

Niemniej sporadycznie podejmowałam próby wcielenia się w nią. Ostatnio zaczęłam się za nią rozglądać, na wzór tych opisywanych w kolorowych czasopismach kobiet, które wiedzą, że niedługo umrą, dlatego zaczynają przed śmiercią szukać swoim mężom drugiej żony, a dzieciom macochy. To dosyć dziwna sytuacja, a na pewno jeszcze dziwniejsza w moim wypadku, skoro pozornie żyję w szczęśliwym związku małżeńskim. Jak również z uwagi na to, że nie mamy dzieci. Chciałabym mieć powód, żeby od niego odejść. Ale chciałabym też móc się pogodzić z tym, że mam przystojnego, troskliwego, czułego męża, który mnie kocha, i odnaleźć spokój ducha. Zależy mi, aby spełniło się jedno albo drugie.

Pojadę do Londynu. Dzięki temu wszystko może się ułożyć i uspokoić i potem znów będzie dobrze. Niewykluczone jednak, że oddalimy się od siebie i rozstaniemy za obopólnym porozumieniem, bez żadnej urazy i obwiniania się nawzajem. Właśnie o takich rozstrzygnięciach marzę teraz każdego dnia.

Wstaję z łóżka najciszej jak potrafię i idę na palcach na górę, żeby nastawić wodę w czajniku i popatrzeć na wschodzące słońce.

Rozdział 3

Wrzesień

Sam nalega, żeby mnie odwieźć do Truro na mój pierwszy niedzielny pociąg nocny. Jest tak ostentacyjnie zasmucony, że przekornie chce mi się śmiać. Najchętniej pojechałabym lokalnym pociągiem ze stacji Docks, która przecież znajduje się pod naszym domem, ale widzę, że dla niego ma to wielkie znaczenie, dlatego szybko się poddaję.

Niemalże wybucham płaczem, kiedy się żegnamy przed barierką kontroli biletowej na stacji w Truro.

– Uważaj na siebie – powtarza. – Dobrze? I obiecaj mi, że przez cały czas będziemy w kontakcie. Żałuję, że nie mogę z tobą jechać.

Uśmiecham się i całuję go.

– Nie bądź głuptasem – odpowiadam z uśmiechem. W takiej chwili potrafię być bardzo miła. – Ty pracujesz na spłatę hipoteki i bieżących rachunków. Ja będę pracować na spłatę pozostałych kredytów. Wrócę w sobotę rano i spędzimy razem wspaniały weekend. Każdy będzie wspaniały. Sam! Nie masz się czym smucić, jasne? Tym bardziej że mnie tu nie będzie, żeby cię rozweselić. Chodź dalej do pubu, i w ogóle. Spotykaj się z przyjaciółmi. Biegaj regularnie. Zapełniaj sobie czas, a wrócę, zanim się spostrzeżesz.

Wtula twarz w moje włosy.

– Dobrze, proszę pani – mówi ze sztuczną potulnością. – Wiem. I rozpocznę proces starań o adopcję z zagranicy.

– Jasne. Dobra myśl. Muszę już iść. Nie ma co dłużej stać tutaj i pogrążyć się w smutku. Na razie, kochanie. – Bardzo mu zależy, żebym dodała, że go kocham. Dobrze to wiem. Zresztą zasługuje, żeby to usłyszeć. Nie mogę odejść, nie powiedziawszy tego. Biorę głęboki oddech. – Kocham cię, jasne?

Mówię to cicho, z ustami tuż przy jego ramieniu, i czuję, jak wielka ogarnia go ulga.

– Dziękuję, kochanie – odpowiada, jak słyszę, uśmiechnięty. – Dziękuję.

Kiedy pociąg wjeżdża na stację, wiem, że on wciąż stoi w hali biletowej i wygląda przez okno. Odnajduję wagon E i przedział 23, którego drzwi są otwarte.

Jest jeszcze mniejszy, niż się spodziewałam, znajduje się tu tylko łóżko (nisko nad podłogą, co przyjmuję z radością), zlew ukryty pod stolikiem, lusterko, przezroczysta kosmetyczka z podstawowymi przyborami toaletowymi, kilka siatek zamocowanych na ścianie, żeby włożyć do nich swoje rzeczy. Jest także ekran telewizyjny umieszczony wysoko pod sufitem, w najlepszej pozycji do oglądania go z łóżka, i nic poza tym.

Ciasna, efektywnie zagospodarowana przestrzeń jest czysta. Łóżko z zaskakująco elegancką kołdrą w białej poszwie – wąskie, ale wygodne. Przez

chwilę rozglądam się dookoła z dużą przyjemnością.

Roleta w oknie jest już spuszczone na noc. Gdybym ją podniosła, pewnie mogłabym zobaczyć w poczekalni Sama, który z pewnością lustruje cały pociąg, wypatrując mojego przedziału.

Zamykam drzwi i siadam na brzegu łóżka. Z lekkim szarpnięciem pociąg wyrusza na trasę.

Jest dziesiąta. Mam się stawić w pracy z samego rana. Powinnam od razu kłaść się spać.

Oprócz lustra umieszczonego na ścianie przy zlewie jest jeszcze drugie, po wewnętrznej stronie drzwi. W pociągu wyglądam jakoś inaczej. W Falmouth jestem żoną, niedoszlą matką, sympatyczną babką, która zgłasza się na ochotnika do różnych akcji, jeśli tylko uda jej się zebrać wystarczająco dużo energii i zgromadzić pewien zapas uśmiechów. Ale z chwilą wkroczenia do tego pociągu stałam się osobą dojeżdżającą do pracy.

Kiedy rozlega się pukanie do drzwi, ogarnia mnie irytacja i panika. W pierwszej chwili przychodzi mi do głowy, że Sam potajemnie wykupił drugi bilet, żeby zrobić mi niespodziankę. Błagam w duchu, żeby to nie był on, i zarazem nienawidzę się za to.

Otwieram drzwi, bo przecież nie mogę udawać, że mnie tu nie ma. Stoi przed nimi kobieta o krótko przyciętych kręconych włosach i rumianych policzkach. Opiera się ramieniem o framugę i zagląda do jakiegoś spisu.

– Witam, moja droga – odzywa się radośnie. – Pani Finch, prawda? Zgadza się? Czy mogłabym rzucić okiem na twój bilet, skarbie? I co chciałabyś na śniadanie, słodziutka?

Wręczam jej bilet z rezerwacją.

– To dostanę nawet śniadanie?

– Tak, oczywiście.

– I wie pani, jak się nazywam?

– Mam listę pasażerów, kochana.

Skoro jestem na tej liście, nic złego stać się nie może. Aż mam ochotę sfotografować tę listę i wysłać zdjęcie Samowi, żeby wiedział, że jestem w dobrych rękach. Gdybym poprosiła, pewnie dałoby się to załatwić.

Zamiast tego proszę o kawę i rogalika, zdając sobie sprawę, że nie będą tak kuszące, jak można by sądzić, ale przynajmniej spełnią swoje zadanie.

Gdy konduktorka odchodzi, wyruszam do toalety na końcu wagonu. Po drodze muszę się przecisnąć obok jednego pasażera w korytarzu, mężczyzny prawdopodobnie około czterdziestki. Ma ciemne włosy, jest wysoki i dobrze zbudowany. Też wygląda na dojeżdżającego do pracy. Posyła mi sympatyczny uśmiech, kiedy się mijamy, dużo bliżej niż zazwyczaj, bo w wagonie sypialnym korytarz jest bardzo wąski. Mimo moich starań ocieramy się o siebie, toteż przyspieszam kroku, zawstydzona.

Te nocne podróże chcę spędzać w samotności. Wkrótce mają mi wejść w krew, dlatego nie chcę być zmuszona, żeby się zatrzymywać i z kimkolwiek rozmawiać.

Ten pociąg powinien stać się idealną komorą dekompresyjną między jednym moim życiem a drugim, zapewniać mi dwie przerwy tygodniowo zarówno od pracy (albo, ściślej rzecz biorąc, od pobytu w mieszkaniu mojej siostry, który w miarę zbliżania się do Londynu wydaje mi się coraz mniej ciekawą perspektywą), jak i od domu, pełnego poczucia winy i z góry narzuconej czułości.

Nie mogę zasnąć na wąskim łóżku, które podryguje lekko, ilekroć koła pokonują złączenie szyn, przybliżając mnie nieuchronnie do miasta. Uśmiecham się coraz szerzej, wreszcie wybucham głośnym śmiechem w półmroku wypełniającym przedział, uradowana tą nagłą odmianą w moim życiu. Sześć tygodni wcześniej było bezsensowne, wypełnione nudą. Byłam w nim „żoną Sama” albo „tą kobietą w poczekalni”. Włączyłam się po całym Falmouth i przepływałam promem do St Mawes bez żadnego celu, chociaż ledwie mnie było stać na bilet. Ale teraz znów jestem sobą, pędzę z powrotem do miasta, zostawiwszy za sobą frustrację i świadomość porażki, pragnąc rzucić się w wir pracy, w której, jak mam nadzieję, wciąż jestem dobra. I wmawiam sobie, że robię to wyłącznie dla pieniędzy.

Mam wrażenie, że w ogóle nie usnę, ale mimo to szybko zasypiam, a kiedy się budzę, pociąg stoi nieruchomo. Zza okna dolatują odgłosy, których, mimo sąsiedztwa doków, nie słyszy się w Falmouth. To hałasy tętniącego życiem dworca Paddington. Warkot silników i zgrzytanie kół na szynach, czyjś ostrzegawczo podniesiony głos i nagły wybuch śmiechu. Z oddali dolatuje z megafonów dworcowa zapowiedź, z której nie mogę rozróżnić ani słowa. Okno za spuszczoną roletą jaśnieje szarawym kwadratem. Na zewnątrz wstaje ranek.

Kiedy sięgam po komórkę, wciśniętą w kąt za siatką nad łóżkiem, rozlega się donośne pukanie i śpiewny kobiecy głos obwieszcza:

– Dzień dobry! Śniadanie!

Wychyliłam się na łokciu i odsuwam zasuwkę, nie wstając z łóżka. Konduktorka wchodzi do przedziału, szybkim ruchem opuszcza stolik i stawia na nim tacę.

– Należy opuścić przedział do siódmej – mówi, odwracając się do wyjścia. – Później można skorzystać z poczekalni dworca w Paddington. Wie pani, gdzie jest poczekalnia na peronie pierwszym?

– Dzięki, ale jadę prosto do pracy – odpowiadam.

Kawa jest typowo kolejowa, a gliniasty rogalik zapakowany w folię, ale mimo to częstuję się jednym i drugim. Potem robię zdjęcie tacy ze zjedzonym do połowy śniadaniem i wysyłam je Samowi. Mam nadzieję, że przyjmie to z wdzięcznością.

Na dworcu piszę SMS-a: „Zostałam nakarmiona. Wszystko w porządku. Za minutę wyruszam do pracy. Zadzwoń później. xxx”.

Potem usilnie próbuję się obmyć flanelową ściereczką, którą dostałam od zarządu kolei, następnie z umiarem używam dezodorantu. Ubieram się w spódnicę, bluzkę i żakiet, które wieczorem starannie powiesiłam na wieszaku, po czym, nie mając możliwości umycia i wysuszenia włosów, poświęcam przed lustrem dwadzieścia minut na ich ułożenie i uformowanie czegoś w rodzaju koka

za pomocą mnóstwa spinek, które specjalnie po to zabrałam ze sobą. Makijaż robię taki jak kiedyś, gdy mieszkałam w Londynie. Wreszcie dopełniam ostatniej formalności, wkładam służbowe buty. Trzymałam je przez te wszystkie lata i teraz są już zapewne przeżytkiem. To klasyczne mary jane na wysokim obcasie, takiego kroju, jaki sekretarka z lat pięćdziesiątych wybrałaby na wyjście w piątkowy wieczór. Są ciemnowiśniowe i wciąż je uwielbiam. Kiedy staję w nich, od razu powraca ta porzucona, tylko połowicznie mi znana osoba.

Uśmiecham się do swego odbicia w lustrze. Jestem tą właściwą Larą. Przez lata było ich wiele, ale ta, na którą teraz patrzę, to moja ulubiona. Ta zapracowana. Odnosząca sukcesy. Błyskotliwa. Ta jedyna, która jest cholernie dobra w tym, co robi.

Także ta samolubna, ta wiecznie samotna.

Jest siódma. Wsiadam z pociągu zaraz za kobietą będącą, na moje oko, po pięćdziesiątce. Podobnie jak ja, jest elegancko ubrana do pracy, a z problemem fryzury uporała się za pomocą szerokiej opaski na włosy, w rodzaju tych, jakie nosi się na plaży. Ta jest jasnozielona, dopasowana odcieniem do jej garsonki i świetnie spełnia swoje zadanie.

– Dzień dobry – mówi kobieta z uśmiechem, odwracając się na peronie w moją stronę. Od razu budzi moją sympatię. Gdybym ujrzała jej zarys w książce do kolorowania, zamalowałabym ją na pomarańczowo i czerwono z dobroczynnymi płomykami strzelającymi do otaczających ją ludzi.

– Dzień dobry – odpowiadam, nieco zawstydzona, ale nagłe poczucie bliskości wywołuje mój uśmiech.

– Prosto do pracy? – pyta, spoglądając na moje ubranie. – Nie masz ochoty wcześniej na kawę? Twierdzą stanowczo, że na dworcach można wypić coś dużo lepszego od tej lury, którą serwują w pociągu, a której przestępstwem byłoby nie wypić. Bo jest za darmo. A właściwie to nie. Została wliczona w cenę obsługi w wagonie sypialnym, więc i tak jest już kupiona. Trzeba z niej skorzystać.

– Zamierzałam jechać prosto do pracy. – Podnoszę wzrok na staroświecki zegar wiszący na ścianie przed nami. – Ale to mój pierwszy dzień, więc mogłabym najwyżej odszukać jakiś pobliski bar szybkiej obsługi i w zdenerwowaniu odczekać swoje w kolejce. Zatem, szczerze mówiąc, chętnie skorzystam. Jeśli ma być choćby tylko w połowie przyzwoita, to i tak dobrze.

Poświęcam chwilę na to, żeby nacieszyć się londyńskim powietrzem. Jest brudne, wypełnione kurzem i pyłem z wszystkich urządzeń kolejowych. Cudowne.

Kobieta uśmiecha się do mnie szeroko i rusza do wyjścia, mijając człowieka w uniformie czytającego przy stoliku gazetę, któremu, naśladując ją, macham przed nosem biletem. Dworcowy bar jest zastawiony stolikami i krzesłami, na umieszczonym wysoko ekranie jest odtwarzany jakiś wyciszony film z napisami. Kobieta kieruje się prosto do automatu z kawą. Bierzymy obie duże białe filiżanki z podstawkami, bardzo podobne, co uświadamiam sobie z dreszczem grozy, do

jednej z tych, których Sam używa w domu.

– Pierwszy dzień? – pyta nieznajoma, gdy siadamy przy stoliku. Jest tu również jedzenie, kanapki, banany, ciastka na dużych tacach, ale jej wzorem wolę z nich nie korzystać. Pociągam łyk kawy. Miała rację. Jest całkowicie znośna. – Co to oznacza? Byłaś na urlopie macierzyńskim czy co?

Dlaczego znowu rozmowa musi nawiązywać do dzieci?

– Nie. To długa historia. Przeprowadziłam się do Kornwalii z mężem. Rzuciłam pracę. On znalazł tam zatrudnienie. – Urywam, niezbyt chętna, by dzielić się całą naszą historią z nieznajomą. – Nadal pracuje. A ja dostałam propozycję powrotu do dawnego zawodu w ramach półrocznego kontraktu, a ponieważ potrzebujemy pieniędzy, przyjął ją.

– Cotygodniowe dojazdy do pracy przez pół roku?

– Tak. Ty też tak żyjesz? Dojeżdżasz raz w tygodniu?

– Mniej więcej. Nie zawsze, ale pewnie często będziemy się spotykać w nocnych pociągach w niedziele i piątki. Jest nas kilkoro. Czasami większą grupą idziemy na drinka w poczekalni. Najlepiej jest w piątki. Mam na imię Ellen.

– Lara.

– Lara – powtarza, obrzucając mnie taksującym spojrzeniem. – To bardzo prestiżowe imię. Pasuje do ciebie.

– Dzięki. Nie miałam pojęcia, że na takie cotygodniowe dojazdy decyduje się więcej ludzi. Myślałam, że będę sama. Czym się zajmujesz?

– Pracuję w banku. Wiesz, w Londynie zaliczam się do grona znienawidzonych bankierów, choć w rzeczywistości nikt nie czuje do nas nienawiści. A w Kornwalii jestem tylko zwykłą kobietą, która pracuje w Londynie.

– Dlaczego nie zamieszkaż tutaj?

Wzrusza ramionami.

– Bardzo lubię Kornwalię. Uwielbiam spędzać tam weekendy. Są cudowne. Dlatego o wiele bardziej wolę takie życie, nauczyłam się lubić te nocne podróże pociągami, to dużo lepsze od wynajęcia jakiegoś idiotycznego mieszkania w Clapham, jak to robią inni. Poza tym mam partnera w Kornwalii. Jest farmerem, więc nie miałby czego szukać w wielkim mieście. A podróże tylko niekiedy są męczące, najczęściej bardzo je lubię. – Uśmiecha się i rozgląda dokoła.

– Nic nie zastąpi tego gwaru. Ludzie nie cierpią poniedziałków, ale ja jestem inna.

– Unosi rękę, pozdrawiając kogoś. – Ja się nimi delectuję.

– Wspaniale to słyszeć. Wiesz co? Ta kawa nie jest specjalnie zachwycająca, prawda?

– Och, nie, skądże. Nie ma nawet porównania z prawdziwą kawą. Ale zawiera kofeinę i jest stosunkowo świeża. A to właśnie dzięki kofeinie mogę dziś przystąpić do pracy.

– No tak, ja też.

Wracam myślami do Sama i narzuconego przez niego sposobu, w jaki oboje ograniczyliśmy kofeinę w ramach prób zajścia w ciążę. Oboje z pełną powagą przyjęliśmy teorię, że wyeliminowanie z naszego życia produktów zawierających

kofeinę nagle jakimś cudem zmusi ospałe plemniki do zapłodnienia jajeczka i w końcu będziemy mieli dziecko, skoro inne sposoby zawiodły. Przez cały czas wiedziałam, że to drobne przesterowanie naszego wszechświata w stronę bezkofeinowej szarości nie zaburzy w większym stopniu istniejącej równowagi, ale na wszelki wypadek poddałam się temu reżimowi.

– Masz dzieci? – pytam wręcz mimowolnie. Czuję się urażona, kiedy słyszę od obcych to pytanie, a teraz robię to sama. – To znaczy... Przepraszam, nie chciałam.

Ellen chichocze.

– Nie, Laro, nie mam. Prawdę mówiąc, nigdy nie chciałam mieć dzieci. Przez pewien czas byłam mężatką, ale sprzeciwiałam się założeniu rodziny, bo doskonale wiedziałam, że postąpiłabym wbrew sobie. A gdy poznałam Jeffa, było już za późno na dzieci. Cieszę się, że ich nie mam. Nie mogłabym prowadzić tak zwariowanego życia, gdybym była matką. Domyślam się, że ty też ich nie masz?

Wbijam wzrok w swoją kawę, z której powierzchni zniknęła już delikatna pianka z mleka. Taka rozmowa, nawet z przyjaźnie nastawioną nieznaną, jest zawsze trudna.

– Staraliśmy się przez lata. Mój powrót do pracy zawodowej oznacza w przybliżeniu, że nam się nie udało. – Podnoszę wzrok na jej twarz i szybko dodaję: – Nic wielkiego się nie stało. Mówię poważnie. Nigdy nie kierowałam się instynktem macierzyńskim. Bardziej zależało Samowi niż mnie. Oczywiście otoczyłabym nasze dziecko miłością, to jasne, ale skoro go nie ma... a wszelkie starania przejmują kontrolę nad ludzkim życiem, przeradzają się w gigantyczną obsesję i każdy aspekt codzienności zaczyna być podporządkowany kolejnym seriom zastrzyków i okresom, a wszyscy w kółko się dopytują: „Więc jak, zamierzacie w końcu założyć rodzinę?”, jak gdyby nie był to już i tak jedyny temat rozmów w naszym małżeństwie – bo rzeczywiście Sam nie potrafił już myśleć ani rozmawiać o niczym innym... więc kiedy się w końcu poddaliśmy, poczułam tylko bezgraniczną ulgę. I jestem szczęśliwa, że mamy to już za sobą.

– Właśnie, i po sprawie. – Unosi filiżankę z kawą. – Za nasze zdrowie, Laro. Witaj w swoim nowym życiu. To powinna być dla ciebie radosna zmiana.

Wstajemy, zabieramy nasze bagaże i ruszamy razem przez halę dworca Paddington u progu poniedziałkowego porannego szczytu, zmierzając do metra, do pracy, do londyńskiego życia.

Rozdział 4

Dzień pracy to najłatwiejsza część. Pierwszych kilka godzin poświęcam na spotkania z ludźmi, rozeznanie się w rozkładzie biura i zapoznanie z założeniami projektu. Zapowiada się ciekawie, bo to teren sąsiadujący z galerią Tate Modern. Kompleks przemysłowych magazynów trzeba przerobić na budynki mieszkalne i restaurację. Zaczynam projekt od samego początku, układając sobie w głowie każdy kolejny krok. To rejon o wysokim poziomie wód gruntowych, z dużym prawdopodobieństwem napotkania komplikacji archeologicznych i z dużą presją ze strony lokalnej społeczności, która będzie uważnie śledzić każde nasze posunięcie. Jestem w tym dobra, więc szybko i bez kłopotów wracam do życia zawodowego. Mimo niespodziewanie bezpośredniej rozmowy z Ellen tego ranka (po której poczułam się co nieco obnażona, czego od razu pożałowałam), a może raczej dzięki niej, jestem nastawiona zdecydowanie serdecznie, chociaż z dystansem wobec moich nowych kolegów, z których większość jest ode mnie młodsza.

Wychodzę z biura o wpół do siódmej, zadowolona z siebie.

Następnie przebijam się przez Covent Garden w kierunku mieszkania siostry, która mieszka przy denerwująco idealnej ulicy, jeśli tylko ktoś lubi mieszkać w śródmieściu. Jest wczesny wieczór, świeci jeszcze słońce i ulice są pełne robotników wracających z pracy, turystów i studentów, jak również wszelkich ludzi wymykających się klasyfikacji. Niemalże czuję w powietrzu napięcie i choć uwielbiam Falmouth i Kornwalię, wiem w głębi serca, że tu jest moje miejsce. Pochodzę z Londynu, a więc wróciłam do domu i nawet to, że będę musiała przystąpić do negocjacji z Olivią, nie może mi zakłócić tej gwałtownej fali szczęścia.

Przez chwilę widzę w wyobraźni siebie na obrazku w książce dla dzieci, która nosi tytuł *Lara w Londynie*. Jestem naszkicowana w oryginalny sposób, jak modelka w eleganckim żurnalu mody z lat trzydziestych, z głębokim wcięciem w tali i dużym kokiem, a idąc przez miasto, przeżywam różne przygody. Nie układają się w żaden logiczny ciąg, gdyż *Lara w Londynie* to bardziej ilustrowany przewodnik po najważniejszych punktach miasta niż cokolwiek innego. W tej chwili, postukując obcasami moich wspaniałych butów, skręcam za róg Covent Garden Market. Przy stolikach na ulicy przed pubem wychłodzeni ludzie raczą się zimnym piwem. Uliczny artysta na czerwonym dywanie żongluje krzeselkami, wokół niego zgromadził się spory tłumek gapiów. Przechodząc, macham do niego ręką, bo nagle czuję w sobie taki przyływ mocy, że nabieram pewności, iż mogłabym go nakłonić, żeby odpowiedział na mój gest, a tym samym zrujnował sobie występ. Oczywiście wcale na mnie nie patrzy, a ja w wyobraźni przekształcam go błyskawicznie w postać z ilustracji, z karykaturalnie wydętymi policzkami pokrytymi czarną szczecina zarostu.

Moim pierwszym celem jest salon Marksa & Spencera przy stacji metra. Kiedy

kupuję wino, oliwki i gęstą słodką śmietankę, co do których nie ma sensu udawać, że przywiozłam je z Kornwalii, wmawiam sobie, że wszystko będzie w porządku. Wmawiam to sobie tak skutecznie, że wręcz czuję, że nie może być inaczej. Olivia powiedziała, że bez problemu mogę u niej zamieszkać, przynajmniej w dni robocze. Przecież nie powiedziała by tego, gdyby nie zamierzała być dla mnie miła.

Ale, jak na złość, mogła dokładnie tak zrobić i świetnie zdaję sobie z tego sprawę. Nie widziałam się z siostrą przez półtora roku, bo na ostatnie święta wybraliśmy się najpierw do rodziny Sama i gdy dotarliśmy do moich rodziców dwudziestego ósmego grudnia, jej już nie było, „wyjechała gdzieś z przyjaciółmi”.

Tłumię swoje lęki pospolitymi komunałami. Skoro nie widziałyśmy się tak długo, zapewne wszystko będzie w porządku. Nasze wzajemne stosunki potrzebowały takiej dłuższej przerwy. W dzieciństwie nigdy nie byłyśmy zbyt blisko, a później, już u progu dorosłości, wykopałyśmy między sobą gigantyczną przepaść i trudno temu zaprzeczyć. Tak więc nigdy nie łączyła nas przyjaźń, nawet w najlepszym okresie. Ona niemalże urodziła się z nienawiścią do mnie, być może w początkowym okresie jej życia zrobiłam coś, co się do tego przyczyniło, lecz jeśli tak było, zrobiłam to nieświadomie. Niemniej ta nienawiść przetrwała przez lata, a zachowanie siostry zmusiło mnie, żebym także odpowiedziała nienawiścią.

Zawsze traktowałam sceptycznie egzaltowane opowieści o bliskich siostrzanych relacjach. Prawdę mówiąc, mimowolnie podejrzewałam, że to zwykła lipa, że stosunki między siostrami muszą mniej lub bardziej przypominać moje stosunki z Oliwią, a więc pieczołowicie hołubione żale, gromadzone już od pierwszego dnia pojawienia się na świecie drugiego dziecka.

Ale teraz była najlepsza pora, żeby odbudować nasze relacje. Obie przekroczyłyśmy już trzydziestkę i powinnyśmy zacząć się dogadywać. Jest na to szansa, powtarzam sobie w myślach, wtykając kartę płatniczą w szczelinę czytnika i prosząc o wypłatę gotówki. Ufam, że już niedługo będę umiała wypowiedzieć słowa „moja siostra” bez tego skrajnego rozgoryczenia, które mi obecnie towarzyszy. I właśnie pod wpływem tej myśli chwytam z wystawy przed sklepem pęk białych róż. Płacę za nie oddzielnie gotówką. I spoglądam ze współczuciem na człowieka stojącego za mną w kolejce, zastanawiając się, czy nie powinnam przejść na jej koniec ze swoim drugim zakupem. Z wyglądu to gość po czterdziestce, pan i władca tego świata, który nerwowo kiwa głową w odpowiedzi na pytania kwiaciarki i odzywa się z akcentem króla antypodów. Uśmiecham się przepaszająco, próbując się uwolnić od dziwnego uczucia, że już go gdzieś widziałam. Oczywiście to raczej wykluczone, jesteśmy przecież w Londynie.

Tylko raz w życiu Olivia mnie przeprosiła. Wkrótce potem obie popadłyśmy z powrotem w stan wzajemnej pogardy. Wyjątkowo szybko przeszła do porządku dziennego nad swoim występkiem. I to był też ten jedyny raz, kiedy zrobiła mi coś konkretnego, coś, o czym wszyscy wiedzieli i co mogłam jej wypomnieć, mówiąc: „Zrobiłaś to”. Ale gdybym teraz do tego nawiązała, pewnie zostałabym wyśmiana.

Jej ulica wygląda inaczej niż wtedy, kiedy byłam tu ostatnio. Odchodzi od Long Acre i wydaje się bardzo modna. Powstał tu gigantyczny salon klasycznych ubrań, centrum jogi, wjazd do nowego kompleksu modnych sklepów. Przechodzę aż na koniec pawilonów i spoglądam na znajdujący się tam pub. Wygląda całkiem nieźle. W skrzynkach pod oknami sąsiedniego domu rosną setki pelargonii, a ku ziemi zwieszają się jakieś pnącza. Kieliszek wódki z pewnością dodałby mi odwagi.

Oczywiście muszę o tym zapomnieć, chociaż bardzo bym chciała być taką kobietą. Cofam się do budynku Olivii, mając wrażenie, że wieczorne słońce ochładza mi policzki. Blok także przeszedł renowację od czasu, kiedy byłam tu po raz ostatni. Zdecydowanie wyładniał, choć nadal jest klasyczny, z czerwonej cegły. Olivia mądrze zrobiła, kupując to mieszkanie, jak tylko dostała pierwszą pracę, kiedy Londyn dopiero był u progu astronomicznych podwyżek cen.

Przelatujące ptaki podnoszą nagle gromki wrzask. Z naprzeciwka nadchodzi mężczyzna, któremu przyglądam się desperacko, jak gdyby w nadziei, że uwolni mnie od konieczności naciśnięcia dzwonka. Przechodzi na drugą stronę ulicy, zwalnia kroku i mówi do komórki, którą trzyma przy uchu:

– Pewnie, że moglibyśmy, ale musisz się liczyć z reakcją Goddarda, stary. Ja nie biorę na siebie żadnej odpowiedzialności.

Mam ochotę go zapytać, kim jest ten Goddard i jak może zareagować, ale odwracam się do wejścia i naciskam guzik. Elektryczny zamek drzwi otwiera się bez jednego słowa odpowiedzi z głośniczka domofonu.

Siostra czeka na mnie na korytarzu, w którym wykładzina została wymieniona od czasu mojej ostatniej wizyty, ale ściany pozostały tak samo brudne.

Biorę głębszy oddech.

– Olivia! – wyrzucam z siebie, próbując zlekceważyć ewidentny wyraz pogardy w jej kamiennych oczach. – Wspaniale móc cię znowu zobaczyć! – Idę prosto na nią, jakbym chciała ją uściskać, ale zatrzymuję się pod wpływem mocy jej lodowatego spojrzenia. – Wielkie dzięki, że zgodziłaś się mnie przyjąć. Jak się miewasz? Wyglądasz wspaniale. Proszę, kupiłam ci coś. Kwiaty i parę drobiazków do mieszkania.

– No tak, jasne – odzywa się. – Dzięki.

Przeczesa jej palcami ufarbowane na kruczoczarno włosy, krótsze niż kiedykolwiek. Ale dobrze jej w nich, przycięła je sobie na chłopczycę, przez co wygląda młodo, w stylu francuskim, który naprawdę tylko nielicznym pasuje.

Wchodzimy do niewielkiego, ale pięknego mieszkania z oknami od frontu. Przez prawie przez cały dzień słońce zalewa swoim blaskiem salon i sypialnię. Kuchnia, łazienka i mniejszy pokój są w porównaniu z nimi ponure, ale zauważam od razu, że w tych pomieszczeniach, urządzonych w charakterystycznym agresywnym stylu współczesnego gospodarstwa domowego, siostra sprytnie zainstalowała oświetlenie wszędzie tam, gdzie trzeba

rozjaśnić półmrok.

Zostawia w mrocznej kuchni torbę z zakupami, nawet do niej nie zaglądając, i prowadzi mnie do saloniku. Przyglądam się, jak siada w podniszczonym, obitym skórą fotelu, który jest częścią tego pokoju od tak dawna, jak tylko sięgam pamięcią, tyle że teraz pokrywają go purpurowe i srebrzyste poduchy. Ja rozsiadam się na kremowej sofie i przywołuję na usta przeznaczony dla siostry fałszywy i desperacki uśmiech.

– A więc jesteś – mówi, skubiąc skórę przy paznokciu. – Jak ci minął pierwszy dzień powrotu do wielkiej kariery?

– Świetnie – odpowiadam i nagle, wbrew sobie, zaczynam trajkotać: – Szczerze mówiąc, był wspaniały. Od razu rzuciłam się w wir pracy. Poświęciłam ten dzień na sprawdzenie planów rozbudowy, od czego zawsze zaczynam. I natychmiast poczułam się jak w tamtych czasach. A co u ciebie, Olivio? Jak ci idzie w pracy? I w ogóle jak sobie radzisz?

– No wiesz. Nic szczególnego. Szarzyzna.

Śmieję się krótko.

– Twoje życie jest dalekie od szarzyzny i dobrze o tym wiesz.

– Ale z mojego punktu widzenia wygląda to inaczej. Mniejsza z tym. Rodzice chcą się z tobą zobaczyć. Zaprosiłam ich na środowy obiad. Tata już zarezerwował stolik w Pizza Express. Można się było tego spodziewać. Jakby w Londynie nie było żadnej innej restauracji.

– Jasne. Nie ma sprawy.

Odchylam się na oparcie i uśmiecham rozpaczliwie. Olivia podciąga nogi pod siebie i usadawia się w fotelu niczym kot. Zwracam uwagę, że jest bardzo szczupła. Próbuję oszacować, czy poczuje się bardzo obrażona, jeśli pójdę do kuchni i otworzę butelkę wina, którą kupiłam, po czym naleję dla nas obu po dużym kieliszku. Wiem jednak, że celowo zignorowała moje zakupy. Uśmiecha się do mnie sarkastycznie.

Jestem jej starszą siostrą. Poza tym, od kiedy tylko sięgam pamięcią, w jej rozumieniu jestem „złotym dzieckiem”. W końcu złote dzieci mogą przejąć inicjatywę.

– Nie jesteś głodna? – pytam. – Kupiłam trochę jedzenia. Mogę coś przygotować na kolację, jeśli masz ochotę.

Wiem, że i tak by odmówiła, ale ja w ten sposób próbuję sobie utorować drogę do kuchni, żebym mogła poustawiać sprawy po swojemu.

– Prawdę mówiąc, jestem umówiona.

– Aha. Super.

– Super? No pewnie, że jest super, bo będziesz miała całe mieszkanie tylko dla siebie.

– Nie o to mi chodziło! Moje „super” miało znaczyć „bardzo dobrze”. Dokąd się wybierasz?

– Po prostu wychodzę. – Nerwowo próbuje owinać wokół palca kosmyk włosów, ale teraz są na to za krótkie, toteż kwituje to chichotem.

Wstaję z kanapy.

– W porządku – mówię. Na to nigdy nie trzeba za długo czekać, tym razem i tak chyba ustanawiamy rekord. Wielki zegar z wahadłem i w drewnianej obudowie (który ja bym wystawiła na aukcji staroci, bo wygląda koszmarnie, chociaż temu mieszkaniu dziwnie dodaje uroku) wskazuje, że jest za dziesięć ósma. Za oknami jest jeszcze jasno. – Zrobię sobie coś do jedzenia, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Kupiłam też wino. – Znów nabieram głęboko powietrza i przywołuję na usta przyjazny uśmiech. – Napijesz się ze mną przed wyjściem?

– Jasne – odpowiada ze skrajnie znudzoną miną.

Moją sypialnią będzie pakamera znana także pod nazwą „gabinetu”. Przez lata gościła rozmaitych porąbanych i nieokreślonych przyjaciół Olivii, a między kolejnymi gośćmi stopniowo przeradzała się w magazyn najróżniejszych rzeczy, na które ona nie mogła już patrzeć.

Otwieram drzwi z obawą, gdyż zależy mi na podtrzymaniu przyjacielskich stosunków z siostrą, ale jestem szczerze poruszona tym, że zechciała dla mnie zabrać stąd swoje graty i wyczyścić pokój. Byłam gotowa obstawiać w ciemno, że podłoga będzie zasłana gazetami i piętrzącymi się pod ścianą kartonami pełnymi rzeczy, na których wyrzucenie zabrakło jej odwagi. Ale mam przed sobą idealnie czystą podłogę, jednoosobowy tapczan (bo nie wyobrażam sobie, by ten pokój mógł pomieścić więcej osób) jest zasłany pikowaną białą kołdrą i dwiema poduszkami. W nogach łóżka leży nawet złożony duży różowy ręcznik kąpielowy. Na drążku w szafie wieszaki czekają na moje ubrania, puste szuflady wpuszczonej w ścianę komody są gotowe na resztę moich rzeczy.

– Dzięki za przygotowanie pokoju, Olivio! – wołam głośno. Chciałabym się do niej zwracać Liv albo Oli, jak robią to zapewne jej przyjaciele. Nie wątpię, że część z nich zwraca się do niej zdrobnieniami typu Libby albo Libster czy też Ols, nie mówiąc już o dalszych wariacjach jej imienia, używanych zależnie od stopnia zażyłości. Ja nigdy nie byłam w stanie wydusić z siebie niczego poza oficjalnym pełnym brzmieniem imienia Olivia.

Ten dylemat nie działa w drugą stronę. Nie istnieją żadne zdrobnienia od Lary. Jeśli dobrze pamiętam, tylko jedna osoba w moim życiu zdołała cokolwiek wymyślić w tym zakresie. Rachel zwracała się do mnie skrótem Laz. Aż przełykam ślinę, odpychając od siebie te wspomnienia.

Nawet moja matka nigdy nie posunęła się do skrótu La (który – przyznaję – brzmiałby głupio). Niczego nie znalazł także Sam. Tak więc jestem Larą, ludzie nazywają mnie Larą i niech tak zostanie. Nie jestem podobna do siostry i nie zamierzam za jej przykładem wykorzystywać swojego imienia w charakterze bronii.

– Nie ma za co! – odkrzykuje gdzieś z głębi mieszkania dokładnie w chwili, gdy wyciągam szufladę komody, żeby ujrzeć stertę starych gazet, znoszonych ciuchów i rzeczy, które można opisać jedynie jako różnorodne odpady.

Przez chwilę się zastanawiam, czy nie zareagować na ten prezent, ale w imię zachowania pokoju przyklękam i wszystkie te śmieci wpycham pod łóżko.

W drzwiach pojawia się smukły mężczyzna z brodą i w tweedowej marynarce. Trochę przypomina Jarvisa Cockera i jestem mu bezgranicznie wdzięczna, kiedy wita mnie ciepło.

– Aha! – mówi, oskarżycielsko wymierzając we mnie palec wskazujący. – Na pewno jesteś tą słynną siostrą! Kusicielką od wina! Kornwalijską przybyłą do pracy w naszym mieście, co nie?

– Zgadza się. – Nawet nie chcę wiedzieć dokładnie, co siostra o mnie naopowiadała.

– Jestem oczarowany, że mogę cię poznać – mówi, składając delikatny ukłon. – Nazywam się Allan.

– Cześć, Allan. – Patrzy na mnie wyczekująco, jakby w opowieściach siostry nigdy nie padło moje imię. – Lara.

Wyciąga długą rękę i ściskamy sobie dłonie w dziwnie formalnym powitaniu.

– Lara – powtarza, jakby chciał się rozsmakować w moim imieniu. – Lara... Przykro mi, że muszę porwać ci siostrę już pierwszego wieczoru twego pobytu. Nie zechciałabyś do nas dołączyć, Laro?

Kusi mnie, żeby przyjąć to zaproszenie, choćby tylko po to, żeby zobaczyć jej minę.

– Nie, dziękuję. Muszę się uporać z wieloma rzeczami. Bawcie się dobrze.

– Tak też zamierzamy.

Allan życzy mi dobrej nocy, gdy wychodzą, bo Olivia udaje, że mnie tu nie ma, kiedy przeciska się w drzwiach obok mnie na nową wykładzinę w korytarzu, która już wygląda na brudną.

Rozmawiam z Samem przez półtorej godziny, zdumiona faktem, że nie upłynęła nawet jeszcze doba od mojego wyjazdu z domu. W trakcie tej rozmowy krążę po całym mieszkaniu, także po dużym pokoju, w którym wciąż jest jasno, mimo że zapadł zmrok, bo rozświetla go blask ulicznych latarni, jak również po ciasnej kuchni, gdzie posilam się oliwkami, kawałkiem chleba pita maczanym w humusie, i wreszcie, przy trzecim nawrocie, kolejną lampką wina.

– I co robiłeś przez cały dzień? – pytam mimowolnie protekcyjnym tonem, którego Sam wydaje się nie zauważać.

– No, wiesz – odpowiada. – Bardzo źle spałem bez ciebie. Łóżko jest za duże. I nikt się nie skarży, gdy ściągam kołdrę na siebie. W ogóle smutno tu jest po twoim wyjeździe.

– Aha, rozumiem – mówię. – To podobnie jak tutaj. Mnie też jest smutno bez ciebie.

– Zagrzebuję się we własnych śmieciach – dodaje szybko, uwalniając tłumioną frustrację. – Szkoda, że się na to zdecydowałaś, Laro. To błąd. Wolałbym, żebyśmy wspólnie wykpił ten pomysł i nazwali go dziwacznym. Wolałbym, żebyśmy

razem, ty i ja, zapomnieli o pieniądzach i wszystkim innym. Wolałbym, żebyś nadal była tu ze mną. Nie tak powinno być.

– Wiem – mówię, nie tylko po to, żeby go pocieszyć. Mimo że Londyn wydał mi się dzisiaj ekscytujący, a dzień w pracy okazał się niezwykle i podziałał na mnie stymulująco, nagle tęsknię za powrotem do Falmouth, za naszym małym domkiem przy dokach i za Samem. Przy nim czuję się bezpieczna. Zarówno on, jak i nasz dom nagle identyfikują się w mojej świadomości z pojęciem bezpiecznej przystani, i to na wielu płaszczyznach. Pewnie jakoś byśmy wspólnie wykaraskali się z kryzysu finansowego. – Wrócę w sobotę – przypominam mu.

– Ale to dopiero poniedziałek!

– Koniec poniedziałku. A ja przyjadę w sobotę z samego rana. Tydzień szybko minie. Przywykniesz do tego. Będiesz mógł do woli oglądać program *Człowiek kontra jedzenie!* Będiesz mógł zostawiać podniesioną deskę sedesową. – Urywam nagle, uświadomiwszy sobie, jak żałośnie to brzmi.

– No tak. – Żadne z nas nie odzywa się przez kilka sekund. – No więc... – zaczyna Sam w tej samej chwili, gdy ja mówię: – No i...

Znowu zapada niezręczne milczenie, gdy każde z nas czeka na to, co powie drugie.

– Proszę, mów – odzywa się w końcu Sam i oboje wybuchamy śmiechem, rozładowując chwilowe napięcie.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że ty przynajmniej nie musisz mieszkać u Olivii. Zostałeś w naszym własnym domu. Więc zarezerwuj nam wspólny sobotni lunch w którymś z lepszych pubów.

– Zgoda – odpowiada stanowczo, co bardzo mi się podoba. – Masz rację, zarezerwuję stolik w Pandorze albo w Ferryboat.

Wymienia dwa położone nad wodą puby z Falmouth, które oboje lubimy. Pandora Inn stoi na brzegu Restronguet Creek, mieści się w krytej strzechą chacie, która spłonęła, ale ostatnio została pieczołowicie odtworzona w swojej pierwotnej postaci. Należy do niej przystań, gdzie w pogodne dni mogą przycumować żeglarze robiący sobie przerwę na lunch, a w sąsiedztwie dzieciaki wyłapują kraby i wrzucają je do plastikowych wiader.

Natomiast Ferryboat znajduje się nad estuarium Helford, już w okręgu Frenchman's Creek, nad plażą nadrzeczną z zawsze spokojną wodą i szeregiem wyciągniętych na brzeg łodzi, a z pobliskiej przystani prom przewozi ludzi z jednego brzegu na drugi. Oba te puby to oazy niezmaconego spokoju, gdzie nic złego nie może się wydarzyć. Oba tworzą iluzję całkiem beztroskiego świata, zamieszkanego wyłącznie przez otoczonych aurą bezpieczeństwa ludzi z grubymi portfelami. Kiedy ostatni raz byliśmy w Ferryboat, z ciekawością obserwowałam dokoła rodziny szykownych plażowiczów, których dobrze odżywione dzieci z wprawą wyjmowały krewetki ze skorupki i popijały organiczną lemoniadę. Próbowałam sobie wmówić, że każdy boryka się ze swoimi smutkami, że część dorosłych potajemnie cierpi w swoich związkach małżeńskich, że patrzę na ludzi, którzy mogą mieć romanse, są uzależnieni od alkoholu albo od hazardu i którzy

żyją na krawędzi całkowitego upadku, rozpadu rodziny czy też bankructwa ich firmy.

W końcu się o tym przekonałam, głównie przez to, że spojrzałam tak samo krytycznym wzrokiem na swój związek z Samem. Dla obcych ludzi musieliśmy wyglądać jak idealne młode małżeństwo, ledwie po trzydziestce, jedzące lunch w drogim pubie nad wodą. Po naszych minach nikt nie mógł się domyślić, że trzecia runda zapłodnienia in vitro właśnie zakończyła się fiaskiem, że próbujemy pogodzić się ze świadomością, że nigdy nie będziemy mieć własnych dzieci, że mamy wiele tysięcy funtów długów i że jedno z nas dużo lepiej od drugiego godzi się z wyrokiem bezpłodności.

Dopiero wtedy, gdy po raz kolejny rozejrzałam się uważnie dokoła, dostrzegłam błyski desperacji w oczach ludzi, przejawy ich nieszczęścia, fałszywe uśmiechy, którymi próbowali mamić się nawzajem. Zauważyłam, że niektórzy próbowali potajemnie pod stołem wysyłać jakieś maile i z rozdrażnieniem przyjmowali to, że nie ma tu zasięgu sieci komórkowych. Miałam ochotę płakać, głęboko żałując, że nie zdołałam się uwolnić od cynizmu.

– Będę się bardzo cieszyła – odpowiadam. – Niezależnie od twojego wyboru. To bardzo kusząca perspektywa.

– Jak ci poszło z Olivią? – pyta i mogę się tylko cieszyć, że jest jedyną osobą na świecie, może poza Leonem, która autentycznie przejmuje się takimi sprawami. – Dała ci popalić?

Śmieję się trochę sztucznie.

– Och, nic takiego, z czym bym sobie nie poradziła. Damy sobie radę, głównie unikając wzajemnych kontaktów. Tak wygląda siostrzane pojednanie, na które po cichu liczyłam. Nic z tego nie będzie. Na szczęście wyszła dziś wieczorem w towarzystwie przystojnego, postawnego mężczyzny, który był dla mnie miły. I to mnie pociesza.

– Nie daj się wplątać w jej problemy, dobra?

– Tak, wiem.

– Kocham cię, Laro. I tylko to się naprawdę liczy, co nie? Cała reszta to tylko drobiazgi.

– Owszem, masz rację.

Odkładałam telefon. Potem biorę szybki prysznic, bo dobrze wiem, że gdybym zaczęła się nim delektować, zużyłabym za dużo ciepłej wody, a gdyby Olivia po powrocie do domu zastała mnie pod nim, na pewno doszłoby do sprzeczki. Wylewam resztkę wina z kieliszka do zlewu, myję go dokładnie, po czym zamykam się w swojej pakamerze i natychmiast zapadam w błogi sen, z którego gwałtownie wybudza mnie zgrzyt klucza w zamku drzwi wejściowych i późniejsze odgłosy krzątania mojej siostry po mieszkaniu. Dolatuje mnie zapach robionego przez nią tosta i ogarnia mnie żal, że nie mogę wstać, żeby dotrzymać jej towarzystwa.

Nagle dolatuje mnie jej szloch, zaskakujący odgłos, który bezskutecznie usiłuje stłumić. Słyszę, jak głęboko oddycha. Bardzo stara się być cicho. Spoglądam na

zegarek, jest trzecia w nocy. Nie chcę tego słuchać. Mam ochotę ponownie zasnąć, tyle że jestem wytrącona z równowagi. Olivia płacze, z minuty na minutę coraz mocniej. Aż serce mi się kraje.

Na pewno byłaby wściekła, gdybym teraz do niej wyszła, zostaję więc w łóżku i dalej wsłuchuję się w odgłosy jej płaczu, udając pogrążoną we śnie.

Rozdział 5

Październik

Piątkowy wieczór na stacji Paddington to jedyny czas, kiedy ogarnia mnie autentyczne i bezwarunkowe szczęście. Wyczekuję go przez cały tydzień, a gdy wysiadam z pociągu na stacji w Truro, już zaczynam tęsknić za podróżą powrotną w niedzielny wieczór. Ta prawda sprawia, że krzywię się z niechęcią, przeciskając się przez tłum podróżnych. Nie powinnam tego tak odbierać, a jednak tak jest.

Zresztą w piątki stacja robi inne wrażenie, jakby wypełniała ją atmosfera oczekiwania. Ludzie wyruszają z pracy do domu i nie muszą jutro wracać albo też wyjeżdżają na weekend ze spakowanymi plecakami, gotowi się zabawić. Chodzę po peronie, wypatrując znajomych.

Zatrzymuję się nagle. Na chwilę dopada mnie przecucie, że ktoś idzie tuż za mną, tak blisko, że gdyby wyciągnął rękę, złapałby mnie za ramię, w dodatku wcale nie życząc mi dobrze. Bliska obecność wrogiej mi osoby jest wręcz namacalna, jak gdyby faktycznie coś mnie dotknęło, lecz tak delikatnie, że aż niezauważalnie. Odwracam się szybko i lustruję twarz w tłumie, ale nie znajduję w nich niczego niezwykłego. Nikt mnie nawet nie popycha. Większość ludzi rozchodzi się w różnych kierunkach albo stoi nieruchomo, gdy przechodzę obok nich. Wyczuwam jednak, że ktoś tu był, a może raczej coś tu było.

Przekonuję sama siebie, że to nieprawda. Nikogo tu nie było. Moje podejrzania są śmieszne. Zdarza mi się to nie po raz pierwszy. Coś wyczuwam, jak gdyby utkwione we mnie spojrzenie, i aż przeszywa mnie dreszcz, bo jestem przekonana, że naprawdę ktoś mnie obserwuje i zaraz wydarzy się coś tragicznego. W takich chwilach czuję się jak Philippe Petit idący po linie rozpiętej między dwoma wieżowcami i tracący równowagę.

Idę prosto do poczekalni pierwszej klasy, macham biletem przed nosem kobiety czytającej „Metro”, która odprowadza mnie lekkim uśmiechem, po czym dołączam do grona pozostałych pasażerów oczekujących na nocny pociąg.

Jestem pierwsza z mojego nielicznego grona, kupuję więc butelkę wody gazowanej i małą paczkę herbatników. Siadam przy stoliku. Nadal czuję dreszcze na plecach, chociaż nic złego się nie stało, sięgam więc po swoją komórkę, żeby czymś się zająć.

Wysłałam Samowi SMS-a z informacją, gdzie jestem, do której dołączam, a następnie kasuję opis ostatniej złośliwości Olivii (czyli wstawienia zepsutej kuchenki mikrofalowej do mojej sypialni), po czym skupiam się na wiadomościach, które poznaję głównie z kostropatych liter na pasku u dołu ekranu całkiem ściszonego telewizora ustawionego na kanał informacyjny BBC.

– Witaj, Laro – mówi Ellen, siadając obok mnie, pisząc coś na swoim iPhone, zgarniając włosy do tyłu głowy i upychając jakieś rzeczy w bocznej kieszeni swojej torby podróżnej, a wszystko to niemal równocześnie. – Dobry wieczór.

Szczęśliwego piątku.

– Cześć – odpowiadam, otwierając paczkę herbatników, ucieszona jej widokiem.

– Jak minął tydzień?

– W porządku. Całkiem nieźle. A tobie? Jak ci się układa z siostrą? – Spogląda na mnie spod półprzymkniętych powiek. Opiera się wyłącznie na moich słowach, toteż z pewnością uznaje Olivie za wredną sukę. Przychodzi mi nagle do głowy, że powinnam łagodzić swoje wypowiedzi, dodając uwagi w rodzaju: „Jestem pewna, że gdybyś z nią porozmawiała, dowiedziałabyś się, że ona patrzy na to zupełnie inaczej”. Jednakże Ellen i Guy na pewno nie dbają o to.

Rozglądam się szybko za nim.

– No, wiesz... – zaczynam.

– Znajdź sobie własne miejsce! Będę ci to powtarzała tak długo, dopóki będziesz odpowiadała: „No, wiesz...”. Jesteś fachowcem. Zasługujesz na to. Powinnaś sobie wynająć jakąś małą kawalerkę, która wcale nie musi być odrażająco kosztowna. Mogłabyś się wreszcie uwolnić raz na zawsze od całej tej toksycznej relacji.

Wzdycham ciężko. Znamy się dość krótko, ale zdążyłam się już przekonać, że Ellen mówi tylko to, co myśli. I ma rację, świetnie o tym wiem.

– Gdybym jej powiedziała, że się wyprowadzam, nigdy by mi nie pozwoliła o tym zapomnieć.

Ellen wzrusza ramionami.

– I co z tego? Mieszkasz w jej pakamerze. A ona na każdym kroku demonstruje ci swoją pogardę. Nie musisz się na to godzić. Przeorganizuj swoje życie.

– Tak, wiem. Przemyślę to sobie w czasie weekendu.

– I porozmawiaj z Samem. Szczerze. Domyślasz się pewnie, że powie ci to samo, co ja.

Rozglądam się po raz kolejny za trzecim członkiem naszej bandy. Tylko nasza trójka, Guy, Ellen i ja, pokonujemy tę trasę regularnie co tydzień, z samego końca zachodniej Kornwalii. On mieszka gdzieś w okolicy Penzance z żoną i nastoletnimi dziećmi. Przez dwa ostatnie piątkowe wieczory aż nadto raczyliśmy się we trójkę ginem z tonikiem w wagonie restauracyjnym w drodze na zachód.

– Guy nie wraca dzisiaj do domu? – pytam.

Ellen kręci głową.

– Mówił, że wraca, ale kto wie? Może rodzina przyjechała do niego na weekend do Londynu albo jeszcze coś innego. Widzisz? To kolejny powód, dla którego powinnaś się na dobre pożegnać z mieszkaniem u Olivii. Mogłabyś ściągać tu Sama na weekend, gdybyś miała samodzielne mieszkanie. Przecież wystarczyłaby ci kawalerka gdzieś w północnym Londynie. Nie kosztowałaby bardzo dużo. I gdyby to on przyjeżdżał na weekend, mogłabyś się zatroszczyć o całą tę stronę teatralno-muzealno-restauracyjną.

Postanawiam nie dyskutować z nią na temat granic pojęcia „bardzo dużych” opłat za samodzielną kawalerkę.

– A ty tak robisz? Jeff w ogóle przyjeżdża do Londynu?

Macha lekceważąco ręką o starannie wymanikiurowanych paznokciach.

– Och, nie, na Boga! Jeff nie cierpi Londynu. A ja nie zamierzam go do niczego zmuszać. Wystarczy mi, że sama podróżuję. W ramach weekendowych rozrywek zaliczam wizytę w pubie w Zennor. Wolę jej nie zamieniać na kłótnię na środku Leicester Square. Mówię o tobie, Laro. Ty żyjesz gwarem tego miasta. Wcześniej oboje tu mieszkaliście. Z tego, co mówiłaś mi o swoim mężu, podejrzewam, że bardzo by się ucieszył na możliwość spędzenia weekendu w Londynie i skorzystania z jego licznych atrakcji.

– Wiesz co? Masz rację – odpowiadam po chwili zastanowienia. Sam ma urodziny dopiero pod koniec lipca, więc to za długo, może uda mi się coś załatwić na Boże Narodzenie. Już widzę oczyma wyobraźni, jak oglądamy lampki świąteczne na Oxford Street, jeździmy na łyżwach pod Somerset House i chronimy się przed mrozem w sali kinowej. Moglibyśmy wynająć pokój w jakimś uroczym hoteliku. Mam ochotę natychmiast przystąpić do ich wyboru. – Dzięki, Ellen. To świetny pomysł. Załatwimy to w grudniu.

Do sali wkracza Pierwsza Dama Linii Kolejowych Great Western i obwieszcza:

– Szanowni państwo, proszę zajmować swoje miejsca w wagonach.

Obie z Ellen wstajemy i włączamy się w tłumek podróżnych zmierzających do wyjścia. Skinieniami głowy pozdrawiamy kilku starszych mężczyzn w garniturach, uśmiecham się do kobiety, której nigdy wcześniej nie widziałam, pod czterdziestkę, w krótkiej spódniczce, kurtce w jaskrawe plamy, z dużą spinką w kształcie kwiatu we włosach. Musi być albo dekoratorką wnętrz, albo pisarką. Ellen twierdzi, że najlepiej jest spotykać takich właśnie w wagonie restauracyjnym, bo sprawiają, że podróż staje się interesująca.

Wchodzimy do wagonów o wpół do jedenastej, mimo że pociąg odjeżdża dopiero krótko przed północą. Konduktorka, której dotąd nie widziałam, młoda, poważna dziewczyna z blond kucykami, wskazuje nam drogę do naszych przedziałów, przy czym oba znajdują się w wagonie F, rozdzielone pięcioma innymi. Rozpakowuję się tylko częściowo, kładę piżamę w nogach łóżka i umieszczam swoje przybory toaletowe, których brakuje mi w zestawach dostarczanych przez kolej, przy zlewie zakrytym stolikiem, po czym zarzucam torebkę na ramię i ruszam od razu do wagonu restauracyjnego.

Jakimś sposobem Ellen już tam jest, usadowiona wygodnie w jednym z miękkich, dużych foteli, i przegląda darmową prasę. Przy sąsiednim stoliku siedzą dwaj starsi panowie w garniturach, reszta stałych bywalców nadciąga tuż za mną.

– Pozwoliłam sobie zamówić dla nas to, co zwykle. Jeszcze niczego nie podają, ale jak tylko otworzą bar, zrealizują nasze zamówienie w pierwszej kolejności.

Siadam naprzeciwko niej.

– Wspaniale – mówię. – Dzięki, Ellen.

– Nie ma za co. To tylko pierwsza kolejka. Na początek weekendu. Rzadko pijam w Londynie. Dlatego bar w tym nocnym pociągu to dla mnie wyjątkowa okazja.

– Poważnie? Ja pijam przez większość wieczorów w Londynie. Muszę. –

Wracam myślami do Olivii, do tej wojny podjazdowej na słowa i gesty, do której obie przystąpiłyśmy. Bez przerwy jeżymy się na siebie nawzajem. Staram się łagodzić wszystkie sprawy na bieżąco, ale to ją tylko bardziej rozjusza, bardziej niż cokolwiek innego z mojej strony. Aż mam ochotę w przyszłym tygodniu spróbować łagodzenia naszych stosunków poprzez przyjęcie stanowiska bardziej konfrontacyjnego.

– Wiem, jak to jest, kochana.

– Dobry wieczór, drogie panie.

Serce zaczyna mi mocniej bić, chociaż staram się to lekceważyć. Usiłując zachować obojętną minę, przesuwam się nieco, żeby zrobić miejsce dla Guya, który siada przy mnie.

To właśnie obok niego przeciskałam się w korytarzu podczas tamtej pierwszej podróży, w przeddzień powrotu do pracy. Po raz pierwszy odezwałam się do niego, gdy Ellen przedstawiła nas sobie w poczekalni dworca Paddington tamtego piątku. Jest przystojny na swój powalający, Clooneyowski sposób, należy do tej mniejszości mężczyzn, którzy wyglądają doskonale, będąc już w średnim wieku. No i wspomniały z niego kompan.

– Spóźniłeś się, kolego – mówi Ellen. – Już myślałyśmy, że wystawiłeś nas do wiatru.

– Przepraszam – odpowiada. – Musiałem zostać trochę dłużej. Już zamówiłyście? Ale na pewno niczego dla mnie. To było przyjęcie pożegnalne z szampanem i różnymi bzdetami w jakiejś głupiej winiarni przy London Bridge. Z przyjemnością skorzystałem z wymówki i pożegnałem się z towarzystwem, żeby zdążyć na pociąg. – Uśmiecha się najpierw do Ellen, potem do mnie. – Zdecydowanie wolę wodę mineralną i zwykłe herbatniki z wami w tutejszej poczekalni niż tego szampana z moimi kolegami w winiarni. Pewnie o tym wiecie.

– Po cichu na to liczyłam. – Ellen wstaje i idzie do baru, żeby uzupełnić zamówienie o trzeciego drinka. Kiedy odchodzi, Guy odwraca się do mnie, a ja próbuję zlekceważyć jego spojrzenie. Siedzimy tak blisko siebie, że o mało nie stykamy się biodrami, toteż jestem szczególnie wyczulona na tę fizyczną bliskość. Włosy ma gęste i ciemne, tylko trochę przyprószone siwizną, a w kącikach oczu kurze łapki drobnych zmarszczek.

– Jak minął tydzień? – pyta. – Wyprowadzasz się wreszcie z mieszkania siostry?

– Jeszcze nad tym rozmyślam – mówię. – Boże, wiem, że to zabrzmiało żałośnie, ale jestem o krok bliżej decyzji o wyprowadzce i dzisiaj nie mogę nic więcej w tej sprawie powiedzieć.

Może to zdumiewające, ale wreszcie potrafię być sobą wobec Guya i Ellen podczas tych podróży pociągami, chociaż nigdy tego nie umiałam w jakimkolwiek innym towarzystwie i innym miejscu. Gdyby poznała tę dwójkę w odmiennych okolicznościach, pewnie nadal bym się chowała za podwójną gardą. Tylko tu, w pociągu, mogę opuścić ręce. Jestem zdolna do tego, żeby powiedzieć im wszystko, niczego nie ukrywając. Zastanawiam się teraz, czy nie powiedzieć Guyowi o dziwnych złowrogich dreszczach, jakie chodziły mi po plecach na stacji,

postanawiam jednak zachować to dla siebie.

– W każdym razie jest jakiś postęp. – Kiwa głową. Ściąga marynarkę, wiesza ją na oparciu wolnego krzesła obok miejsca Ellen i podwija rękawy koszuli.

– Barack Obama tak robi – kwituję, ruchem głowy wskazując jego odsłonięte przedramiona, które, jak oczywiście zauważam, są muskularne i owłosione we właściwych proporcjach. Szybko odwracam głowę i uśmiecham się do siebie. To najbardziej niewinny ze wszystkich możliwych romansów, biorąc pod uwagę, że jestem mężatką, a on jest żonaty.

– Co robi Barack Obama? – pyta zdziwiony.

– Zdejmuje marynarkę i podwija rękawy koszuli. To sprawia, że wygląda sympatycznie, nic więcej. Lubię, gdy mężczyźni tak się zachowują.

– Naprawdę? – Spogląda na swoje odsłonięte przedramiona, opierając się łokciami na brzegu stolika. – To także działa na kobiety?

– Na mnie tak.

– Dzięki, Laro. Dobrze wiedzieć. Niestety, teraz nie mam ani możliwości, ani ochoty, by to wykorzystać.

Wraca Ellen w towarzystwie znanej mi już konduktorki z wagonu sypialnego, która niesie tacę z trzema kubeczkami ginu z tonikiem.

– Dzięki, Saro – mówi Guy, puszczając do niej oko. – Ratujesz ludziom życie.

– Nie ma za co – odpowiada kobieta. – Na zapleczu mam spory zapas tego towaru.

– Znakomicie. – Zdejmuję z tacy jeden kubek i zaczynam mieszać trunkę plastikową szpatułką od kawy.

– Na zdrowie – odzywa się Ellen.

Trącamy się kubeczkami z tworzywa i szybko się rozluźniam. Mam za sobą szaleńczy tydzień. Liczę na to, że weekend nie będzie już tak trudny, jak te poprzednie. Napięcie, z jakim stęskniony Sam na początku oczekiwał mojego powrotu po całym tygodniu pracy, sprawiło, że kłóciliśmy się niemal bez przerwy, za to w ostatni weekend oboje się popłakaliśmy w niedzielne popołudnie wobec wizji nieuchronnej rozłąki i konieczności podejmowania wyzwań, co jeszcze bardziej pogorszyło sytuację.

Trzy drinki później Guy odchyła się na oparcie swojego siedzenia i zaczyna ziewać. Jego kolano styka się z moim.

– Czy zwróciłyście uwagę... – zagaduje, patrząc najpierw na Ellen, a potem, wyraźnie dłużej, na mnie – ...czy zauważyłyście, że w weekendy czasami musimy odwalać tak samo ciężką robotę, jak w ciągu tygodnia? Chodzi mi o to, że w sobotę rano wysiadam z pociągu całkiem wykończony, a tu słyszę bez przerwy: „Tato, zrób to, Guy, zajmij się tym, pobaw się, bądź miły, napraw to, idź i kup to, pomóż mi z pracą domową... Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy przez cały tydzień nie można wytknąć nosa z domu, bo przecież pracujesz w Londynie, ale przynajmniej ten jeden raz mógłbyś nastawić pranie...”.

– Nie – przyznaje szybko Ellen. – Jeff jest rolnikiem. Jak zresztą wiecie. Nasze codzienne obowiązki chyba nie mogłyby bardziej się różnić. Farmy nie da się

zamknąć na cały weekend, chociaż on się stara ograniczyć pracę do minimum, żebyśmy mieli dla siebie jak najwięcej czasu. Dlatego uwielbiam weekendy. Ale dobrze rozumiem, że jesteśmy tylko we dwójkę, więc nigdy na dobrą sprawę nie czułam takiego napięcia. Gdybym była matką, sprawy zapewne przedstawiałyby się zupełnie inaczej. Tymczasem żadne z nas nie zwraca uwagi na to, kto nastawia pranie. Po prostu musi zostać zrobione, tak czy inaczej.

Oboje spoglądają na mnie.

– No cóż... – Gin poprawiony winem całkiem mnie rozluźnił. – Dla mnie to też niełatwe – przyznaję, starając się kierować te słowa do Ellen, bo Guy mnie za bardzo rozprasza. – Jak oboje dobrze wiecie, to dopiero moje początki. Ale gdybym nie była zachwycająca, pełna wdzięku i uwielbienia, gdybyśmy nie przeżywali cudownych, porywających weekendów, czułabym się bardzo rozżalona. Mój ostatni weekend był okropny. Wiecie o tym chociażby po moim zachowaniu w czasie niedzielnej podróży. Ale nie mogę za wszystko winić Sama, bo z jego punktu widzenia mam bardzo wymagającą pracę, po której bez przerwy muszę się użerać z moją cholerną siostrą, a potem jeszcze spędzam całą noc w pociągu, bo przecież nie ma pojęcia, jaka tu panuje atmosfera, nie wie nawet, że przez większą część podróży siedzę w wagonie restauracyjnym i piję bez umiaru. Uważa więc, zresztą nie bez racji, że odbijam to sobie na nim i usycham z tęsknoty za spokojnym życiem w Kornwalii, co akurat, ogólnie rzecz biorąc, nie jest zgodne z prawdą.

– Prawdopodobnie żyje przez cały tydzień myślą o twoim powrocie, Laro – wtrąca Guy. – Jaką ma pracę? Spotyka się po godzinach z kolegami w pubie, żeby się trochę zabawić? Czy też siedzi przez cały tydzień w fotelu, patrzy na zegar, wzdycha głośno i odlicza na palcach upływające godziny?

– Otóż to – dorzuca Ellen. – Mnie też ciekawi, jaki jest ten twój Sam. Mogłabyś go ściągnąć w niedzielę na stację, żebyśmy go przynajmniej zobaczyli?

To mnie przyprawia o śmiech.

– Przecież oboje jeździcie z Penzance. Jeśli nawet odprowadzi mnie na peron, najwyżej przelotnie zobaczycie go za oknem.

– Niekoniecznie – odpowiada Guy. – Podejdziemy do drzwi przy wjeździe do Truro i jak tylko pociąg się zatrzyma, wyskoczymy z wagonu, żeby ci pomóc z bagażami. Oboje. Postąpimy szarmancko.

– I śmiertelnie go wystraszycie.

Ellen kiwa głową.

– Pewnie tak. Więc mów dalej. Jaki on jest? Jak się poznaliście?

– Jest przeuroczy – mówię stanowczo, gdyż ich ciekawość połączona z lekkim rozbawieniem sprawia, że czuję się nielojalna wobec własnego męża. Odsuwam nogę, żeby nie stykała się z nogą Guya, a on na szczęście nie stara się odnowić tego kontaktu. – Naprawdę. To najbardziej uroczy mężczyzna na świecie, a jeśli jakiegokolwiek moje teksty skłoniły was do innych wniosków, to wyłącznie moja wina. Poznaliśmy się, gdy miałam dwadzieścia cztery lata. Dwanaście lat temu. Przez pewien czas podróżowałam po Azji. Tak się złożyło, że... Nie chciałabym się

rozwodzić na temat mojego pobytu w Tajlandii, dlatego ugryzę się w język i przejdę od razu do rzeczy najważniejszych. Gdy stamtąd wróciłam, miałam wrażenie, że oczyściłam organizm z wielu naleciałości. Prawdę powiedziawszy, byłam gotowa do tego, żeby się ustatkować. Szczerze mówiąc, tęskniłam za normalnym, ustabilizowanym życiem. Zrobiłam dyplom w zakresie gospodarki przestrzennej. Mój ojciec chrzestny, Leon, najlepszy przyjaciel mojego ojca, pomógł mi znaleźć pracę. I zmobilizował mnie, żebym nie siedziała beczynnie w domu rodziców. Zaczęłam więc pracować, i to dosyć intensywnie. Wynajęłam niewielkie mieszkanie, potem kupiłam własny dom. I wtedy poznałam Sama.

– Ale nawet to nie zapewniło ci dobrych stosunków z siostrą? – wtrąca Ellen.

– W żadnej mierze – przyznaję. – Zajmowała to samo mieszkanie, w którym mieszka dzisiaj, chociaż kupiła je za pieniądze ze swojej pierwszej pracy w charakterze rzeczniczki prasowej. Moim zdaniem od początku nie nadawała się do tej roli. Jest osobą, która wyjdzie z siebie, byle tylko dać ci do zrozumienia, że cię nie lubi. Okazało się jednak, że to tylko moja opinia. Inni uznali ją za błyskotliwą profesjonalistkę w zakresie błahych pogaduszek. W każdym razie nasz ojciec przekonał mnie, że powinnam jak najszybciej kupić sobie własne mieszkanie, toteż zostałam właścicielką segmentu w zabudowie szeregowej w Battersea. Może teraz, dziesięć lat później, wydaje się to niewiarygodne, ale tak było. Miałam świetną pracę, kredyt hipoteczny, przyjaciół i tylko potrzebowałam faceta. Nie był mi niezbędny, rzecz jasna, ale potrzebowałam go wręcz desperacko.

– I wtedy poznałaś jego...?

– Tak, poznałam go w kawiarni w Soho w sobotnie popołudnie. To było spotkanie jak z filmu. Lało jak z cebra, wpadłam więc na coś do picia, chyba na kawę, gorzko żałując, że wybrałam się do śródmieścia. Z kilkoma torbami zakupów przy nodze zastanawiałam się, czy nie wpaść do Curzona, ale tylko dlatego, że znalazłam się niedaleko, bo choć nie wiedziałam, co wtedy wyświetlali, miałam ochotę posiedzieć jakiś czas w ciepłym i suchym miejscu, nie nudząc się przy tym. Kawiarnia była zatłoczona, a wszystkie szyby zaparowane. Siedziałam przy oknie i z braku lepszego zajęcia mimowolnie zaczęłam kreślić na nim palcem jakieś rysunki. I nagle ktoś uprzejmie zapytał, czy może się przysiąść. Całkowicie mnie zaskakując. Miałam ochotę odmówić, ale z góry wiedziałam, że muszę się zgodzić. I wtedy spojrzałam na niego. To trudno wyjaśnić, choć może dla was sprawa jest oczywista, bo oboje macie od dawna partnerów. No więc jak tylko na niego spojrzałam, zyskałam pewność, że to właśnie ten człowiek, którego poszukiwałam.

– Miłość od pierwszego wejrzenia?

Zerkam szybko na Guya, podejrzewając, że kpi sobie ze mnie, ale nic w jego twarzy na to nie wskazuje. Jego kolano znowu dotyka mojej nogi, ale zaraz się cofa.

– Nie miłość, tylko poczucie bezpieczeństwa. Zaufanie i pewność. Przekonanie, że to właśnie ten mężczyzna, z którym chętnie bym spędziła resztę życia, na

pierwszy rzut oka brakujący element układanki. Świetnie pasował do tej roli. Wysoki i barczysty, a ja lubię obie te cechy u facetów. Nieogolony blondynek o pięknych oczach. Roztaczał wokół siebie aurę... poprawności. Usiadł przy mnie i zaczął się śmiać z moich rysunków na szybie.

– A co to były za rysunki? – pyta Ellen.

– Takie tam, dziecięce bohomyzy. Domek z czterema oknami i drzwiami, obok drzewo, a pod nim ludzik chyba nieproporcjonalnie duży w porównaniu z wysokością domu.

– To pewnie z powodu perspektywy – zapewnia Guy. – Ten człowieczek musiał znajdować się bliżej obserwatora.

– Dokładnie tak. Dzięki. Zatem patrząc na ten obrazek, ja dopiłam swoje espresso, on łyżeczką pozbierał piankę z cappuccino, a potem poszliśmy razem do Curzona i trafiliśmy na wspaniały film Almodóvara. Z kina poszliśmy na obiad. I już byliśmy parą. Tak to się zaczęło.

– Ile on wtedy miał lat? Dwadzieścia cztery?

– Dwadzieścia osiem. Przedtem umawiał się z jakąś dziewczyną, ale rozstali się mniej więcej pół roku wcześniej. Tak więc po prostu znaleźliśmy się oboje we właściwym miejscu. Pobraliśmy się kilka lat później.

– Aha – mówi Ellen. – Mam zbyt cyniczne podejście do ślubów, skoro już o tym mowa. Na samo brzmienie tego słowa jeżą mi się włosy na karku. Ta przerażająca mizoginia, która się za tym kryje, przekazywanie kobiety z ręki jednego mężczyzny w ręce drugiego. Tym razem jednak muszę zapomnieć o swoich uprzedzeniach, Laro, i powiedzieć, że na pewno byłaś olśniewającą panną młodą. Co o tym myślisz, Guy?

Ten wygląda na dziwnie zakłopotanego.

– No cóż... – odzywa się niepewnie, obracając w palcach swój plastikowy kubeczek. – Biorąc pod uwagę, że Lara należy do tych kobiet, które wyglądałyby ślicznie nawet w czarnym worku na śmieci, muszę przyznać, że jako panna młoda bez wątplenia musiała wyglądać cudownie.

– To brzmi jak szczęśliwe zakończenie bajki – wtrącam pospiesznie – ale oczywiście tak się nie stało. Nie doczekaliśmy się dziecka. Przenieśliśmy się do Kornwalii i teraz ja jestem tu, gdzie jestem, a on siedzi w domu i czeka na mnie. Chciałby adoptować dziecko, ale ja jestem temu przeciwna. Odpowiadając na wasze pytania z początku rozmowy, powiem, że w ogóle nie chodzi do pubu. Ma przyjaciół w pracy, chociaż to tylko pobieżne znajomości. Zależy mu tylko na mnie.

– I na nikim innym? – dopytuje Ellen.

– Może jeszcze na dwóch albo trzech innych osobach, ale te, jak się okazało, nie dostały szansy przyjscia na ten świat. On żyje od jednego weekendu do drugiego. W każdym razie jestem przekonana, że tak jest. Równie dobrze każdego wieczoru mógłby się szlajać po mieście z inną albo zostać stałym klientem jakichś klubów ze striptizem czy jeszcze coś podobnego. Ale szczerze wątpię, że to robi.

– Jasne – potwierdza Guy. – Ja też wątpię. No cóż, mam tylko nadzieję, że

czeka cię przyjemny weekend, Laro, że nie będziesz się czuła za bardzo pod presją.

– Hej, panie Thomas – mówi Ellen, odwracając się do niego. – A jak panu idą łowy? Czyżby przestał się pan już rozglądać za czymś bliżej domu?

Odpowiada śmiechem.

– Owszem. Nosiłem się z takim zamiarem. I w tym kontekście zamierzam wziąć następną kolejkę. Dla was to samo, drogie panie?

– Czemu nie?

Mam ochotę przesiedzieć tutaj całą noc, upijając się z nowymi znajomymi. Co prawda powinnam się położyć spać, żeby wyglądać olśniewająco i tryskać energią przez całą sobotę. Ale przecież jeszcze jeden drink nie zaszkodzi, chociaż później to ja będę musiała postawić, gdy przyjdzie na mnie kolej. Tyle że po niej już definitywnie pójdę do przedziału.

Kiedy ostatecznie zbieram się do łóżka i cmokam Ellen oraz Guya na pożegnanie, jest już druga w nocy. Ellen ściska mnie serdecznie, przeciąga mi dłońią po plecach i całuje w policzek. Guy tylko muska mnie wargami, ale bierze za ramiona i spogląda głęboko w oczy. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że trzymam dłonie na jego biodrach, lecz nie cofam ich, chcąc się nacieszyć tą chwilą poufałości.

I ja zaglądam głęboko w jego piwne oczy. Nie odwraca głowy. Żadne z nas nie odzywa się ani słowem. W takiej sytuacji moglibyśmy się zwyczajnie pocałować, lecz zaledwie ta myśl przychodzi mi do głowy, odsuwam się od niego.

– Dobranoc – mówię szybko.

Śmieje się krótko i także się cofa.

– Dobrej nocy, Laro. Miłych snów.

To tylko chemia, wmawiam sobie, leżąc na wznak i czując, jak z każdym wstrząsem pociąg uwozi mnie dalej na zachód. To feromony i inne tego typu rzeczy. Nic poza tym. Jestem mężatką, on ma żonę, podobne sytuacje będą mi się przydarzać od czasu do czasu. Trzeba tylko mieć tę świadomość i troszczyć się o to, żeby wszystko było pod kontrolą.

Zanim udaje mi się zasnąć, nadchodzi pora wstawania i udawania, że nic niezwykłego się nie stało.

Rozdział 6

Wstaje jeden z tych przejrzystych kornwalijskich poranków i gdy wychodzę z wagonu na peron, lekki wiatr uderza mnie w twarz i unosi każdy kosmyk włosów. Na nic nie mam siły, toteż po wstaniu z łóżka tylko przecesałam je palcami.

Rozglądam się, mając nadzieję zobaczyć Sama, mimo że go namawiałam, żeby został w domu i nastawił ekspres do kawy. W głowie jeszcze mi się kręci z przepicia, toteż mój ranny świat jest denerwująco rozmyty przy krawędziach. Wiem, że wyglądam okropnie, mam skołtunione włosy i twarz bez makijażu, do tego wciąż jestem we wczorajszym stroju z pracy, bo był najbliżej pod ręką.

Wczoraj wieczorem o mało nie pocałowałam Guya. Oglądam się na pociąg stojący jeszcze na stacji, mając nadzieję zobaczyć jego twarz w oknie, ale nikt nie patrzy w tę stronę. Poza mną wysiada jeszcze parę osób, większość z bagażami dojeżdżających do pracy, tylko garstka z torbami turystycznymi. Mam ochotę wypytać ich po kolei o życie prywatne, żeby się przekonać, kto jeszcze ma tego ranka podobny do mojego mętlik w głowie.

Szare i czarne kamienie budynku stacji w Truro oświetla jesienne słońce, co stwarza taki efekt, jakby i one znajdowały się na granicy trzeźwej świadomości. Uśmiecham się do tej małej stacyjki, napawając się świadomością, że ten jeden z najważniejszych punktów w kornwalijskiej siatce transportowej jest zaledwie miniaturą w porównaniu z takimi dworcami, jak Paddington czy którakolwiek inna stacja londyńska. Rozmiarami przypomina bardziej stację metra, składa się tylko z dwóch i pół peronu, dwóch kładek dla pieszych, maleńkiej sali biletowej, nadzwyczaj skutecznej sieci barier oraz nieodłącznego punktu sieci barowej Pumpkin.

Pociąg do Falmouth odjeżdża o 7.14, a więc za osiem minut. Odwracam się i ruszam po peronie szumnie nazwanym Peronem 1, koncentrując się na opanowaniu nudności i powrocie do roli gospodyni domowej oraz takiej żony, na jaką Sam zasługuje. Powinnam się była przebrać w stosowniejsze ubrania. Przrzekam sobie, że po następnej podróży postaram się przynajmniej zapanować nad włosami i nałożyć trochę fluidu na twarz.

Nocny rusza z miejsca, kierując się dalej na zachód. Oglądam się po raz kolejny, ale w żadnym oknie nadal nie dostrzegam Guya.

Między nami do niczego nie doszło. Zdecydowała tylko ta jedna chwila, może raczej ciąg chwil, które jednak do niczego nie doprowadziły. To dobrze.

Stacja Falmouth Docks, kończąca tę linię, znajduje się na wprost okien naszego domu. Odruchowo spoglądam w górę, gdy niewielki skład, który przywozi tylko mnie i, jak zdążyłam się zorientować, dwoje innych pasażerów – drugą kobietę z nocnego pociągu i chłopaka, który wsiadł w Penryn – wtacza się na peron.

Sama nie ma w oknie. Miałam nadzieję, że będzie czekał na mnie w oranżerii, uradowany, z prawie gotowym śniadaniem.

Jednak ledwie wysiadam z wagonu, on pędzi prosto na mnie, obejmuje mnie i ściska tak, że ledwie mogę oddychać. Próbuję go więc odepchnąć, zaśmiewając się w głos.

– Cześć, Sam – mówię z nadzieją, że nie czuć ode mnie wypitego w nocy alkoholu. On pachnie bardzo ponętnie, najwyraźniej jest świeżo po kąpieli i ogolony. Staram się wzbudzić w sobie radość z powodu jego poufałości i niezawodności. Powinnam być szczęśliwa, że mam męża, który czeka na mój powrót.

– Och, Laro... – mamrocze, wciskając nos w moje włosy. – Wróciłaś, skarbie. Będziemy mogli na krótko wrócić do normalnego życia. Specjalnie dla ciebie wyszło dzisiaj słońce.

– Owszem – przyznaję, uśmiechając się do niego. – Wróciłam. Chodźmy. – Podnoszę wzrok na nasz dom, dość brzydki, ale przytulny, i ogarnia mnie autentyczna radość z powrotu. – Znajdzie się tam jakaś kawa zrobiona specjalnie dla mnie? – pytam.

– Tak! Oczywiście! Mam kawę, na której napis „Dla Lary” wygląda jak wykuty w kamieniu. Trudno go odczytać, bo jest zrobiony w kawie, ale możesz mi wierzyć, że tam jest.

– Cudownie! A więc daj mi jej skosztować!

Ale on wygląda na lekko rozczarowanego moim wyglądem.

– Oczywiście – mówi z ociąganiem. – Chodźmy więc. Trzeba ci dostarczyć kawy.

Ruszamy obok siebie przez parking, Sam ciągnie za sobą moją małą walizeczkę.

– Jak ci minął tydzień? – wyrzucam z siebie dziwne formalne pytanie. – Jak tam w pracy, i w ogóle? I co porabiałeś wieczorami?

Muszę o to zapytać, chociaż codziennie rozmawialiśmy przez telefon.

– W porządku – mówi, podnosząc mój bagaż, żeby go znieść po schodkach prowadzących z dworcowego parkingu na ulicę przed naszym domem. – Prawdę mówiąc, był fenomenalnie nużący. W żadnym wypadku się nie zgodzę, żebyś pracowała dalej po zakończeniu tego półrocznego kontraktu, rozumiesz, skarbie? Nie zniosę dłużej rozstań z tobą. Musisz wiedzieć, że jak tylko widzę twój pociąg wjeżdżający na stację, wszystko wraca do normy. Bez ciebie jest tak piekielnie nudno. Jesteśmy sobie pisani. I to od bardzo dawna. Nie cierpię, gdy muszę się kłaść do łóżka sam. Nie cierpię, gdy muszę grać w scrabble z samym sobą na telefonie.

Kwituję to śmiechem, chociaż wcale mi nie do śmiechu.

– Tym się właśnie zajmowałaś? Grałaś na komórce w scrabble z samym sobą?

– Wiem! To typowo męska reakcja, prawda? – Zatrzymuje się, odwraca do mnie i przygryza dolną wargę. – Chcesz wiedzieć, co jest w tym najgorsze? Otóż to, że prawdziwym powodem, dla którego wykorzystuję telefon komórkowy do gier, jest pragnienie trzymania go cały czas w ręku i patrzenia na ekran, bo w rzeczywistości czekam na wiadomość od ciebie.

- Sam! Powiedz mi, że to nieprawda!
- W porządku. To nieprawda.
- Ale jednak to prawda? – Mam ochotę odepchnąć go od siebie, a tego mi nie wolno.
- Więc jak minęła podróż? Wyglądasz na zmęczoną.

Otwiera frontowe drzwi naszego domu. Patrzą na jego plecy, ale mam przed oczyma bolesny grymas, który pojawiłby się na jego twarzy, gdybym powiedziała mu prawdę, że jestem zmęczona, bo do drugiej w nocy piłam gin i wino ze wspaniałymi nowymi przyjaciółmi, rozmawiając z nimi szczerze na jego temat. Nawiasem mówiąc, jeden przystojny gość napierał kolanem na moje, co mi się nawet podobało, a potem o mało go nie pocałowałam.

- Nie śpiam dobrze podczas podróży pociągiem – mówię zamiast tego.
- Tak, wiem. Biedactwo. Możemy od czasu do czasu kupić ci bilet na samolot, jeśli zechcesz.

– Nie, lubię jeździć pociągami. Szczerze. Napiję się kawy i będę na pełnym chodzie. No i zjem śniadanie. Bo nie dałam rady przełknąć dziś rano choćby jednego kęsa kolejowego rogalika. Umieram z głodu.

– No cóż, to dobra wiadomość, bo zamierzam ci przygotować najlepsze śniadanie, jakie do tej pory jadłaś – odpowiada, gdy stawiam swój bagaż na podłodze i zdejmuję płaszcz. Po chwili podchodzę do ekspresu, żeby nalać sobie filiżankę kawy. Jestem w domu.

Tego popołudnia idziemy do pubu w mieście. Jest jeszcze słonecznie, ale zimno, wieje wiatr prosto znad Atlantyku. Mam na sobie mój kornwalijski uniform złożony z cienkich dzinsów, bluzki w niebiesko-białe paski i płaszcz, który kupiłam w Nowym Jorku przed pięcioma laty, zanim wydaliśmy wszystkie pieniądze na bezużyteczne leczenie bezpłodności. Sam wygląda w każdym calu jak kornwalijski stoczniovec, ubrany w luźną pikowaną kamizelkę podszytą polarem, dzinsy i niezgrabne buty marki Timberland, także kupione przed laty, kiedy byliśmy jeszcze przy forsie.

– Na zdrowie – mówię z szerokim uśmiechem, unosząc swoją szklaneczkę z wódką i coca-colą. Z braku red bulla, który tutaj wywołałby powszechne zdumienie, to chyba najlepsza mieszanka stymulująca, jaką da się zmieścić w jednej szklance.

Pierwszy łyk alkoholu przyprawia o mdłości, nasilając dodatkowo objawy trawiącego mnie potajemnie kaca, ale przemagam się i już po krótkim czasie zaczynam się czuć o wiele lepiej.

– Lara!

Oglądam się, wdzięczna za jakiegokolwiek towarzystwo, i dostrzegam Iris. Nie widziałam się z nią od tamtego dnia, kiedy wpadła na herbatę, a ja po krótkim czasie poprosiłam, żeby zostawiła nas samych. Z tego powodu nadal mam wyrzuty sumienia.

– Cześć! – Poklepuję dłonią sąsiedni pusty drewniany stołek przy dużym okrągłym stole, przy którym, co oczywiste, siedzimy z Samem obok siebie. Ale dokoła nas jest wiele wolnych miejsc, całe kilometry pustych ławek. – Usiądź z nami. Sam, na pewno pamiętasz Iris.

– Oczywiście – mówi niezbyt uprzejmym tonem. – Co u ciebie?

– Nic nowego – odpowiada Iris. Wygląda jeszcze bardziej ekscentrycznie niż wcześniej, chociaż może tylko tak mi się wydaje, teraz kiedy wsiąkam w korporacyjny świątek Londynu. Ma na sobie pasiaste rajstopy, króciutką aksamitną spódniczkę, którą, muszę przyznać, nosi z wyjątkową gracją, i do tego mechaty sweter. Jej włosy nadal są ciemne przy głowie i jasne na końcówkach, swobodnie spadają na kark. – Świetnie – dodaje. – A co u ciebie? To prawda, że pracujesz teraz w Londynie?

– Owszem, zgadza się – przyznaję, nie chcąc się wdawać w szczegóły. – Wracam tylko na weekendy. Mów, jak ci się powodzi. Co teraz porabiasz?

Uśmiecha się.

– Och, nic specjalnego. Pracuję. Siedzę w domu z moimi kotami. Kręcę się po kuchni. Nic takiego, co by cię zainteresowało.

Pamiętam, że miała chłopaka, którego określała mianem odludka, i że oboje rzadko wychodzili gdzieś z domu.

– Jak się miewa twój partner? – pytam.

– Doskonale, dzięki. Świetnie mu idzie. Szczerze mówiąc, i ja tęsknię za Londynem. Od czasu do czasu.

Sam prycha pogardliwie.

– Akurat! Przecież mieszkasz tutaj, w najlepszym miejscu na świecie.

– Tak, wiem. Łatwo z dystansu tęsknić za wielkomiejskim życiem. Hej, Sam! Na pewno się cieszysz z powrotu Lary?

Mój mąż kiwa głową.

– To chyba jasne.

– Więc nie będę wam dłużej przeszkadzać – mówi Iris, wstając ze stołka. – Na pewno wolelibyście zostać sam na sam.

– Mówisz poważnie? – pytam. – Może napijesz się z nami.

Sam także wstaje.

– Co ci przynieść? – pyta tonem wskazującym jednoznacznie, że wolałby, aby jednak sobie poszła.

Iris doskonale to wyczuwa i teatralnie rozkłada szeroko ręce.

– Nie, absolutnie. Chociaż bardzo dziękuję za zaproszenie. I tak muszę już lecieć, a nie mogę sobie pozwolić na kolejny mandat za jazdę na rowerze pod wpływem alkoholu. Baw się dobrze. Korzystaj z uroków Londynu. A gdybyś kiedykolwiek trafiła do Budock, zajrzyj do mnie.

– Dzięki – mówię, po czym patrzę, jak przeciska się między klientami baru i znika w wyjściu. Żałuję, że była tu bez swego chłopaka, bo gdyby oboje usiedli przy nas, moglibyśmy razem się napić i napięcie szybko by się rozładowało. Upodobnilibyśmy się do zwykłej pary siedzącej w barze z przyjaciółmi.

– „Korzystaj z uroków Londynu”? – powtarza Sam ze zdziwioną miną. – Dziwnie to zabrzmiało.

– Po prostu chciała być uprzejma. Wiesz co, Sam? A ty nie chciałbyś na któryś weekend przyjechać do Londynu? – Ściągnięcie go do siebie na Boże Narodzenie w ramach niespodzianki nagle przestaje mi się wydawać dobrym pomysłem. – Moglibyśmy popijać w barach koktajle, pójść do Globe Theatre i robić wiele innych rzeczy. Zamieszkalibyśmy w uroczym hotelu. Więc co myślisz o odwróceniu naszych ról w dojazdach pociągiem na weekend? Zrobilibyśmy zakupy świąteczne i w ogóle...

– Hmm. Dałoby się załatwić.

Wiem, że ten pomysł budzi w nim odrazę.

– Nie martw się. To na razie tylko luźny pomysł.

Podnosi na mnie wzrok.

– No proszę, znowu to samo. Niech mnie kule... Adrian.

Między nami staje mężczyzna w jasnoniebieskim golfie.

– Hej, wy dwoje! Miło was widzieć. Jak się masz, Laro? Dzięki, że przywróciłaś uśmiech na twarzy tego gościa. Bo zamartwiał się od czasu twojego wyjazdu.

– Wcale nie wyjechałam – odpowiadam. Nigdy nie lubiłam tego człowieka, mimo że należy do grona kolegów Sama. – Jak widzisz, jestem tutaj.

– Tak, jasne, ale przez cały tydzień wyglądał jak mop do zmywania podłogi. Bardzo tęskni za swoją żoną. To urocze. Każdy z nas od razu skorzystałby z okazji, jeśli wiesz, o czym mówię, tylko nie Sam. Masz porządnego męża.

– Rozumiem – mówię i odwracam się, jakbym zapomniała o podstawach dobrego wychowania.

– Tak... – bąka Adrian. – No cóż... Miłego weekendu. Bawcie się dobrze, jeśli wiesz, o czym mówię.

Jak tylko oddała się nieco, mówię:

– Ten facet to zwykły palant.

Sam robi zbolałą minę.

– No wiesz, jest całkiem w porządku. Razem z żoną w ciągu tygodnia zapraszali mnie na obiad.

– Więc trzeba było skorzystać z zaproszenia, skoro go lubisz.

Patrzę, jak mewa siada na brzegu niedawno zwolnionego sąsiedniego stołu i zaczyna wyskubywać resztki czipsów z pozostałej na nim otwartej paczki, którą po chwili wiatr zwiewa na ziemię.

– Ale ty go nie cierpisz.

– Przecież nie byłoby mnie na tym obiedzie.

– Zależy ci, żebym jakoś zagospodarował wolny czas?

Oglądam się na niego.

– Oczywiście, że właśnie na tym mi zależy, durniu. Ja w Londynie nie mam nawet chwili wytchnienia, dopóki w piątek nie skończę pracy. Chciałabym, żebyś czuł to samo. Byłoby mi łatwiej.

Sam nerwowo zakręca swoją szklaneczką, jakby chciał zamieszać drinka, ale

niec trunku wylewa się poza krawędź i spływa mu na rękę. Przyglądam się, jak ją oblizuje, wreszcie szczęśliwa, że ogarnia mnie bezgraniczna czułość.

– Możemy iść dziś wieczorem do kina? – pytam, przypomniawszy sobie naszą pierwszą randkę.

– Do kina? – Zamyśla się głęboko. – A grają coś ciekawego?

– Na pewno coś znajdziemy.

– Możemy sobie na to pozwolić?

– Tak. Teraz możemy sobie na to pozwolić.

– Na pewno? Ostatnią rzeczą, jakiej byśmy teraz potrzebowali po twoim powrocie do pracy, byłoby trwonienie pieniędzy, przez które skończylibyśmy w punkcie wyjścia.

– Sam. Już to przerabialiśmy. Nie pójdziemy nawet na kolację do lokalu droższego niż Harbour Lights, dopóki nie spłacimy wszystkich długów. Ale ile może nas kosztować kino? Piętnaście funtów? Mam na myśli tylko koszty biletów. Założmy, że poświęcimy jeszcze kilka funtów na jakieś napoje na wynos. Nic poza tym.

Pod lekkim płaszczem przeszywa mnie dreszcz na myśl o sumach, jakie wydaję w Londynie, nawet nie zwracając na to uwagi. We wtorek będzie pierwszy listopada. Miniony miesiąc był aż nadto jesienny, przez pięć minut świeciło słońce, potem walił grad, a po nim znowu robiło się słonecznie. Kiedy byłam w Falmouth, na niebie pojawiała się jedna tęcza za drugą. Możliwe, że podobnie było w Londynie, tyle że tam trudno zauważyć tęczę na niebie, bo zawsze zasłania ją jakiś wieżowiec czy inny budynek sięgający powyżej linii wzroku.

– Zmarzłaś? – pyta mój mąż, więc przytakuję ruchem głowy. – Wracajmy do domu.

To już miesiąc – przypominam mu, gdy skracamy sobie drogę przez przystań jachtową, wystukując na klawiaturze znany nam kod otwierający żelazną furtkę. Nie powinniśmy tego robić, lecz ilekroć zarząd przystani zmienia kody, Sam wypytuje o nie kolegów z pracy, toteż zawsze możemy przejść na skróty przez zagrodzony teren. Oszczędzamy w ten sposób parę minut, ale nie to jest najważniejsze. Na przykład dzisiaj na pomoście spotykamy opatulonych w grube kurtki, ale ewidentnie bogatych ludzi, zbierających się na wysokości dość małego, lecz olśniewającego jachtu. Brzęk furtki sprawia, że oglądają się w naszą stronę i jak na komendę podnoszą ręce w geście powitania. Skoro znamy kod do furtki prowadzącej na przystań, musimy należeć do ich kręgu, warto więc pomachać na przywitanie. Nasze kroki rozbrzmiewają echem na żelaznym mostku, a za nim, jak zawsze, jest wielka kałuża, którą trzeba obejść dookoła.

Kiedy i druga furtka z głośnym szczękiem zamyka się za nami, Sam bierze mnie za rękę. Lubię ten jego gest. Mimo wszystko pasujemy do siebie w takim samym stopniu, jak do tej pory. Dopada mnie nagle myśl, że wszystko między nami będzie dobrze. On poza domem usycha z tęsknoty, i to nie tylko za mną, bo to

byłoby po prostu żałosne u faceta dobiegającego czterdziestki, ale za życiem rodzinnym, które powinno tętnić wokół niego. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale zdaję sobie sprawę, jak bardzo na każdym kroku prześladowają go wizje z tego życia, które nie było mu dane. Wyobrażam go sobie w domu wieczorami, pewnie już po kolacji złożonej z miseczki płatków z mlekiem, siedzącego przed telewizorem. Kątem oka bez przerwy obserwuje z uwagą każdy ruch czterolatki, to znaczy tego dziecka, które już byśmy mieli, gdyby pozytywny skutek odniosły zabiegi, będące przedmiotem naszej ślepej wiary, zanim się okazało, że nic z tego nie wyjdzie. Inne dziecko, niemowlę, śpi smacznie w najmniejszym pokoiku na parterze, bo starsza dwójka, dwulatek i czterolatka, zajmuje większy pokój dziecięcy.

Ale zamiast tego wciąż jest sam. Od dłuższego czasu nie rozmawialiśmy już o adopcji, wiem jednak, że ciągle o tym myśli. Na razie jednak wolałabym nie poruszać tego tematu.

Mam zamówić pizzę? – pytam nieco piskliwym głosem, mającym zamaskować to, że z powodu kaca robię się strasznie głodna. Sam stoi w drzwiach oranżerii odchodzącej w bok od budynku. W zależności od nastroju czuję się w niej jak zawieszona nad przepaścią albo jakbym cudownym sposobem lewitowała ponad światem. Sam wpatruje się ponad doki i wodami estuarium w posiadłości na przeciwległym brzegu oraz miasto rozłożone szerokim łukiem nad ujściem rzeki Fal.

Nie odpowiada. Podchodzę i staję obok niego. Wciąż nie oglądając się na mnie, obejmuje mnie w ramionach.

– Byle nie Domino's – mówi i pod moim czujnym okiem zbiera się w sobie, żeby przenieść wzrok ze znanego tylko sobie punktu w oddali na mnie. – To twój jedyny wieczór w domu. Wcześniej chciałaś iść ze mną do kina. Więc co w końcu chcesz zrobić? Mogę coś upichcić na kolację. Albo możemy pójść do miasta i tam czegoś poszukać.

Oboje spoglądamy znowu na panoramę za oknem. W Penryn u ujścia rzeki ewidentnie pada. Chmury wiszące na niebie z tamtej strony są ciemnoszare, co oznacza deszcz. Ale bliżej maszty jachtów oraz budynki stojące w bezpośrednim sąsiedztwie przystani są oświetlone jaskrawym słońcem. Błyskawica na ciemnej stronie nieba upodabnia ten widok do zdumiewających renesansowych dzieł sztuki. Przez chwilę czuję się jak postać na płótnie któregoś ze starych mistrzów z Galerii Narodowej, uwieczniona na pierwszym planie tylko po to, żeby stanowić kontrast dla drugiego planu.

– Zostańmy w domu, żeby nie zmoknąć – mówię, doskonale wiedząc, że właśnie to najbardziej chciałaby usłyszeć.

Uśmiecha się szeroko.

– Znakomity wybór. Zaraz wrzucę coś do jedzenia na ruszt. Ale w trakcie gotowania chętnie z tobą pogadam. A potem może zagramy w scrabble.

Ledwie się powstrzymuję od śmiechu. To brzmi jak kwintesencja nudy, mimo że lubię scrabble tak samo jak kiedyś.

– Tak więc zapowiada się wspaniały wieczór – odpowiadam i przynajmniej tym razem mówię szczerze.

Rozdział 7

Lara! Najwyraźniej zrobiłaś fenomenalne wrażenie. – Jeremy uśmiecha się do mnie. – Dzięki. Widzisz? Właśnie dlatego musieliśmy cię wykraść z mrocznych otchłani Devonu.

– Kornwalii – poprawiam go cicho, ale nie zwraca na to uwagi, tylko kręci głową i dalej się uśmiecha.

– Powinnaś wiedzieć już teraz, że za nic nie pozwolimy ci odejść po zakończeniu tego półrocznego kontraktu.

Przepelnia mnie szczęście, gdy wychodzę z pracy. Nie mam wątpliwości, że właśnie ten zawód jest mi pisany. Właśnie w tej pracy mogę się wykazać. Do tego uwielbiam zajęcia, które przyprawiają o stres. Siedziałam prawie przez całą noc, szykując się do tego, i mój wysiłek został doceniony. I to właśnie Jeremy ostatecznie zaakceptował mój angaż do tego projektu, więc to, że teraz jest tak bardzo zadowolony z mojej pracy, sprawia, że rozpiera mnie duma. Co najważniejsze, mam pełną świadomość, że ma z czego być zadowolony. Poszłam na spotkanie, żeby przedstawić postępy w szykowaniu projektu, i znalazłam się w sali pełnej ludzi darzących pogardą koncepcję luksusowych apartamentów, czego wcale nie ukrywali. Dzięki temu spotkaniu zjedналиśmy sobie dużą część lokalnych przeciwników projektu.

Myślę pozytywnie nawet o powrocie do mieszkania Olivii. Chcę się z nią ostatecznie rozmówić, przysięgam. Dziś wieczorem będę bardzo zajęta, ale już jutro powiem jej, że zamierzam się wyprowadzić i znaleźć sobie własne miejsce do życia.

Idę prosto do restauracji. Nie muszę się przebierać, ale po drodze zaglądam do toalety w biurze, żeby powyciągać spinki i rozpuścić włosy. Są i tak krótsze, niż się wielu ludziom wydaje, sięgają mi zaledwie trochę poniżej ramion. Przez chwilę bawię się przed lustrem w układanie grzywki, jak nastolatka przed pierwszą randką. Ściągam kosmyk włosów znad czoła i układam go nad brwiami. Wygląda to okropnie.

Po wyszczotkowaniu włosów upinam je z powrotem. Drobny kok na czubku głowy stał się moim ulubionym uczesaniem. Teraz każde inne wygląda dziwnie. Zaczęłam się tak czesać zaraz po rozpoczęciu pracy, krótko po dwudziestce, bo miałam wrażenie, że w ten sposób wyglądam dojrzałej, i tak już zostało. Szybkie skrócenie włosów w koczek i wsunięcie sześciu spinek w odpowiednie miejsca weszło mi w krew. Mniej zwracałam uwagę na fryzurę, kiedy nie pracowałam, jednakże teraz szybko wróciłam do tego elementu profesjonalnego wyglądu. Znow liczy się dla mnie, żeby w pracy wyglądać nienagannie, do tego cieszę się tym dużo bardziej, niż mogłabym się komukolwiek przyznać.

Buty do pracy wybrałam spośród najlepszych: czerwone, na wysokim obcasie,

takie, w których mogę swobodnie chodzić. Reszta mojego stroju jest tak pospolita, jak to zwykle bywa, ale buty są zawsze wyjątkowe. Teraz mam już dwie podobne pary czerwonych, do tego jedne czarne i jeszcze jedne żółte. Ludzie dokładnie się przyglądają, co mam na nogach, i to mi się podoba. Bardzo się starałam, żeby w krótkim czasie opanować chodzenie na obcasach i tę umiejętność także bardzo sobie cenię. Sam uważa, że to śmieszne, i bez wątplenia ma rację. Ale mimo wszystko ja czerpię z tego radość.

Poprawiam jeszcze makijaż i nakładam świeżą warstwę szminki, rozprowadzając ją papierową chusteczką, którą wyrzucam do kosza, pełną karykaturalnych śladów pocałunków. Skoro jestem zależna wyłącznie od siebie, zaglądam także do torebki. Zawsze mam przy sobie gotówkę, na wszelki wypadek, a mój zapas jest bezpieczny i systematycznie rośnie. Powtarzam sobie, że nigdy nie będę potrzebowała żadnego funduszu kryzysowego, ale mimo wszystko zapas gotówki sprawia, że czuję się zabezpieczona. Nie mówię o tym nikomu, bo zdaję sobie sprawę, że zabrzmiałoby to głupio.

Wiem od lat, że grozi mi niebezpieczeństwo. Gdybym nie zrobiła tego, co zrobiłam, pewnie uszłoby mi na sucho. Został wypuszczony i pewnie któregoś dnia postanowi mnie odnaleźć, bo tylko ja wyszłam z opresji cało.

Chciałabym móc powiedzieć o tym Samowi, Guyowi czy komukolwiek innemu. Jest już za późno, żeby mówić o mojej przeszłości Samowi, zresztą gdybym nawet to zrobiła, za nic by w to nie uwierzył. Więc nie mogę wyznać prawdy nikomu innemu, skoro nie wyjawiałam jej nawet własnemu mężowi. Jestem w ślepej uliczce.

Tu, w Londynie, mam wrażenie, że jestem bez przerwy obserwowana, czego w ogóle nie czuję w Kornwalii. Powtarzam sobie, że to zwykła paranoja. Mam w życiu za dużo problemów, żeby się jeszcze przejmować tymi wyimaginowanymi.

Tata znowu zabiera nas do Pizza Express. To jego ulubiona ze wszystkich restauracji londyńskich. Zabierał nas do Pizza Express przy każdej możliwej okazji, nawet gdy byliśmy jeszcze małe, i zrobił to też po moim pierwszym tygodniu pracy. Spędziłam ten wieczór w pogodnym, wesołym nastroju, za to Olivia, jak się później przekonałam, skomentowała go w internetowych wpisach różnymi odmianami słowa „nuda” połączonego ze słowem „rodzina”.

Między sobą, gdy byliśmy sam na sam, narzekałyśmy na ten brak wyobraźni naszego ojca. Wspólne narzekanie na konieczność następnej wizyty w Pizza Express stało się jednym z nielicznych elementów zacieśniających siostrzane więzi.

– Nie możemy pójść na curry? – mruzczała pod nosem Olivia.

– W barach curry nie podają pikantnych minibułek! – przypominałam jej szeptem, mając pełną świadomość swojej nikczemnej grzeszności.

– Racja! Poza tym on by chyba nie przełknął nawet kęsa hot doga. Woli... inne ciepłe bułeczki. Dużo ciekawsze ciepłe bułeczki.

– Zatem nie mamy na co liczyć.

Takie rozmowy szybko przeradzały się w ironiczne dogryzanie, ale do dzisiaj zachowały się wśród moich najszcześniejszych wspomnień z dzieciństwa. Tego

ranka postanowiłam więc nawiązać do tamtej atmosfery.

– Znowu Pizza Express? – zagadnęłam, spoglądając na nią zaczepnie. – Nie byliśmy tam od dobrych paru tygodni.

Wzruszyła ramionami.

– Jeśli on stawia, wchodzę w to.

Okiennice się zatrzęsęły. I już się nie uchyliły, nawet o centymetr, nawet na chwilę.

Zjawiam się na miejscu pierwsza. Młoda kelnerka wita mnie uśmiechem, odhacza naszą rezerwację na swojej karcie i prowadzi mnie do stolika przy oknie. Siadam i wyglądam na Charlotte Street, zastanawiając się, ile mogłoby mnie kosztować wynajem małej kawalerki w tej części Londynu zwanej Fitzrovią. Na pewno więcej, niż mogłabym na to poświęcić. Próbuję sobie wyobrazić reakcję Sama, gdybym mu powiedziała, że wydaję (tu biorę kwotę z powietrza) półtora tysiąca funtów miesięcznie, nie licząc podatków i rachunków za media, za wynajęcie studia w centrum Londynu. Takiej rozmowy z nim w ogóle nie chciałabym zaczynać.

Uwielbiam tę ulicę, ponieważ znajdują się przy niej prawie same restauracje. Gdyby to ode mnie zależało, spotkalibyśmy się w niezbyt odległym hinduskim lokalu wegetariańskim, ale nie mam nic do gadania, więc jest, jak jest. Sprawdzam telefon komórkowy. Sam w mailu życzył mi powodzenia tego wieczoru. Szybko piszę odpowiedź i gdy tylko ją wysyłam, dostrzegam za oknem moich rodziców, kierujących się wejścia do restauracji.

Wstaję i przyklejam na ustach szeroki uśmiech. Chciałabym umieć im się postawić, przestać wychodzić przed szereg i zacząć wreszcie być sobą. Jednakże o wiele bardziej umiem być sobą w pracy. A przede wszystkim jestem sobą, konstatuje w myślach, gdy już wracam nocnym pociągiem do domu. I znowu wędruję myślami do Guya, chociaż staram się je odepchnąć od siebie.

– Jesteś już! – wita mnie tata.

Kiedy patrzę na niego, jak zawsze uderza mnie, że jest już stary. W moich wspomnieniach pozostaje koło czterdziestki, więc ilekroć się spotykamy, muszę szybko przewinąć nagrania o tych dwadzieścia pięć lat, żeby wrócić do dnia dzisiejszego. Jest wysoki i barczysty, ale teraz już lekko przygarbiony. Włosy ma siwe i nieco (według mnie) za długie, jakby na siłę starał się zachować swoją bujną gęstą czuprynę, którą się szczycił przez lata. Jest także chorobliwie otyły, ale o tym nie należy wspominać.

Niemniej odznacza się tak samo przenikliwym wzrokiem jak zawsze. Jego spojrzenie do dzisiaj budzi mój strach. Kiedy patrzę na niego, pragnę tylko jego aprobaty.

– Cześć, tato – mówię i całuję go w policzek.

– Lara. – Uśmiecha się. – Wyglądasz nadzwyczaj korzystnie. Twoja siostra jeszcze się nie pojawiła, prawda?

– Jeszcze nie. Witaj, mamo.

Moja matka należy do pięknych blondynek, ale jest także nieprzenikniona i nieprzewidywalna, najmniej pasuje do teoretycznego wzorca matki. Rzadko zdarza mi się poświęcić jej dłuższą chwilę wspomnień. Przez całe moje życie robiła dokładnie to, co dyktował jej tata. Nie mam pojęcia, co się dzieje w jej głowie albo za zamkniętymi drzwiami w ich związku. Jest jedną z tych kobiet, które wolą nie zbliżać się do jakiegokolwiek granicy. Lecz jeśli ja nią lekko pogardzam, Olivia otwarcie i bezgranicznie jej nienawidzi.

– Witaj, skarbie – odpowiada, po czym wszyscy siadamy.

Jak można się było spodziewać, tata zamawia butelkę Montepulciano d’Abruzzo, swojego ulubionego trunku w Pizza Express.

– Wydałaś mi się wyższa niż zazwyczaj. – Odchyła się i zagląda pod stolik, żeby popatrzeć na moje nogi. – Tak myślałem! Jak, do diabła, możesz w tym chodzić?

– Przyzwyczaiłam się. Poza tym mi się podobają.

Kręci głową.

– Te kobiety! Twoja matka nigdy się nie pokusiła o chodzenie w czymś takim. Gen „kobiecej miłości do butów” nie został jej przekazany. Ale ty jednak dajesz sobie z tym radę, kochanie, naprawdę dobrze.

– Lara ze wszystkim daje sobie radę – przytakuje mama, tonem tak samo łagodnym jak zawsze.

– Pewnie. – Tata uśmiecha się do mnie. – No więc? Jesteś gotowa, żeby rzucić tę pracę i wrócić do Kornwalii, czy raczej ściągniesz Sama do miasta?

Przez chwilę zastanawiam się nad odpowiedzią.

– Polubiłam swoją pracę – mówię. – A Sam nie cierpi rozstań ze mną. Ale na pewno nie przeniósłby się tutaj. Zatem chwilowo jestem szczęśliwa, choć wiem, że to samolubne uczucie, bo Sama ani trochę nie cieszy ta sytuacja. Niemniej zrobię ten projekt i wyniosę się z powrotem do Kornwalii. Prawdopodobnie.

– Aha. – Wciąż przeszywa mnie swoim przenikliwym wzrokiem, ale zarzuca ten temat. – Nawiasem mówiąc, później ma nas odwiedzić Leon – dodaje, co podnosi mnie na duchu.

– Przepraszam za spóźnienie – mówi Olivia, zajmując wolne miejsce przy okrągłym stole, między rodzicami, dokładnie naprzeciwko mnie. Patrę na nią, ale szybko odwracam wzrok. Zrobiła coś dziwnego z włosami, na środku głowy wyraźnie sterczą jej ku górze. W luźnej bluzce w czerwono-białe pasy i obcisłych czarnych dżinsach wygląda (jak zwykle) na modelkę z kolorowych magazynów. Oczy ma mocno podmalowane na ciemnogrnatowo, a wargi uszminekowane jaskrawoczerwoną szminką.

– Olivia – odzywa się tata. Nie wstaje, bo zaskoczyła go szybkim zajęciem miejsca przy stole, lecz pochyła się i niezdarnie cmoka ją czule w policzek. – Miło cię widzieć. Napijesz się czegoś?

– Chętnie. Poproszę peroni. Jeśli to możliwe.

– Oczywiście, że możliwe.

Zapada cisza, ale przez chwilę wyzywająco patrzą sobie w oczy. Nie trwa to

długo.

W obecności Olivii rozmowa się nie klei. Tata ostentacyjnie patrzy na jej buty i w milczeniu porównuje je z moimi błyszczącymi od lakieru czerwonymi szpilkami. Olivia promienieje. Mama jednym haustem opróżnia swój kieliszek i zaczyna tak kręcić nim po stole, że po chwili go przewraca i rozbija. Tata wściekły, podniesionym głosem przywołuje kelnera, żeby zrobił porządek na stoliku. Ja staram się załagodzić sytuację. Czuję, że się pogrążam w mikrokosmosie pierwotnych uczuć, rządzących naszą rodziną w minionych latach.

W dzieciństwie żyłam w ciągłym niepokoju. Wiedziałam już, że z punktu widzenia Olivii to ja jestem tą wybraną, podczas gdy ona, tylko przez kontrast, czuje się dzieckiem odrzuconym. Ale ciesząc się ojcowską aprobata, żyłam w strachu, że pewnego dnia nieumyślnie popełnię jakiś straszliwy błąd i w jego oczach Olivia zajmie moje uprzywilejowane miejsce.

Jednak nigdy do tego nie doszło. Tata zawsze mnie lubił, zawsze aprobował to, co robiłam, doceniał moją pracę, szanował sposób, w jaki postanowiłam wieść swoje życie.

Nikt, nawet mama, nie wie o tym, że przed laty po kryjomu w pojedynkę wyciągnęłam jego firmę z kłopotów. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. On nigdy nie zwrócił mi pieniędzy. I nikt, nawet on, nie ma pojęcia, że gdybym wtedy tego nie zrobiła, teraz nie bałabym się i byłabym wolna od paranoi, ilekroć mam wrażenie, że ktoś mnie szpieguje. Nigdy nie zapytał nawet, skąd wzięłam te pieniądze. A ja od początku zakładałam, że po prostu instynkt mu podpowiada, że lepiej tego nie wiedzieć.

Niemniej ta sprawa zawsze groziła przykrymi konsekwencjami.

Spoglądałam na siedzącą naprzeciwko Olivie, na jej wydęte z nadąsania wargi i obrażoną minę, i znów czuję się jak czternastolatka.

Tego dnia wróciłam ze szkoły do domu o zwykłej porze. Nigdy się nie guzdrałam, zawsze wracałam w rozsądnym tempie z moimi rozsądnymi przyjaciółmi, ponieważ tata, nawet jeśli był w pracy, właśnie tego się po mnie spodziewał. Kiedy dotarłam na miejsce, jak zwykle skręciłam za róg domu, żeby wejść kuchennymi drzwiami.

– Już jestem! – zawołałam, nastawiając wodę w czajniku. Specjalnie zmuszałam się do tego, żeby zacząć popołudnie od wypicia herbaty. Wyjęłam kubek i sięgnęłam po puszkę z torebkami. – Masz ochotę na herbatę? – zapytałam.

– Tak, poproszę – odpowiedziała głośno mama gdzieś z głębi domu.

Dom rodziców w Bromley, w którym mieszkają do dzisiaj, to dosyć brzydki budynek w stylu edwardiańskim. Z zewnątrz wygląda niepozornie, ale w rzeczywistości jest dosyć rozległy.

Zaparzyłam dwa kubki herbaty, usiadłam ze swoim przy stole kuchennym i wyciągnęłam pracę domową.

– Herbata gotowa! – zawołałam. – Mam ci ją przynieść?

– Nie, kochanie. Zaraz schodzę.

Olivia ma rację. Musiałam być wtedy nieznośna. Z taką desperacją zabiegałam o uznanie, że nigdy, ale to przenigdy nie zaryzykowałabym odstępstwa od przyjętych norm.

Mama zeszła do kuchni, uśmiechnęła się do mnie słabo i pociągnęła łyk gorącej herbaty.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Oczywiście – zapewniłam.

– Nie widziałaś gdzie swojej siostry?

Oboje rodzice mówili o „mojej siostrze”, ilekroć zwracali się do mnie w sprawie Olivii. Nie używali jej imienia. Powiedziała kiedyś, że to dlatego, że nie mogliby znieść wrażenia zażyłości, jakie niosło ze sobą imię, które sami jej nadali. Być może miała rację.

– Nie. Nie widziałam jej.

W szkole była o dwie klasy niżej ode mnie i nasze drogi rzadko się przecinały, a kiedy już tak się działo, starannie ignorowałyśmy się nawzajem. Zwykle kręciła się po obrzeżach szkolnego terenu i paliła papierosy w towarzystwie znajomych, podczas gdy ja najczęściej przesiadywałam w bibliotece.

– Mam nadzieję, że wróci przed piątą. Wasz ojciec wraca dzisiaj wcześniej do domu. Uprzedził mnie telefonicznie.

Obie równocześnie spojrzałyśmy na duży zegar wiszący na środku ściany. Wskazywał kwadrans po czwartej. Żadna z nas się nie odezwała.

Zgrzyt klucza w zamku rozległ się trzy minuty przed piątą. Siedziałam nad swoją pracą domową, sztywno wyprostowana na krześle przy stole kuchennym jak przykładna dziewczynka, ale serce nie stosowało się do tej postawy. Poważnie się obawiałam, nawet już nie tyle wściekłości ojca i jej konsekwencji, ile wręcz o bezpieczeństwo Olivii.

Ojciec wszedł do kuchni rozpromieniony. Był wtedy w sile wieku, przed pięćdziesiątką, wysoki i barczysty, tylko trochę za gruby.

Pocałował mnie w czubek głowy.

– Odrabiasz lekcje? Dobra dziewczynka. Nad czym siedzisz? Twój staruszek mógłby ci w czymś pomóc?

Przez dłuższy czas dyskutowaliśmy na temat dzielenia liczb wielocyfrowych, aż wreszcie on uniósł wzrok do sufitu, jakby chciał nim przeniknąć na piętro, i zapytał:

– A gdzie się podziewa ta twoja krnąbrna siostra?

Olivia miała dopiero dwanaście lat. Nie wolno jej było robić niczego niezwykłego, musiała po szkole wracać prosto do domu.

– Nie jestem pewna – mruknęłam, nie chcąc osłaniać jej kłamstwami.

– Jeszcze nie wróciła?

– Naprawdę nie wiem. Nie mam pojęcia.

– Victoria! – krzyknął na mamę. To imię bardzo do niej pasuje. Potrzebuje właśnie takiego, którego nie da się skrócić. I zgodnie z brzmieniem tego imienia rzadko można było zobaczyć uśmiech na jej twarzy.

Kiedy tata przekonał się definitywnie, że Olivia nie wróciła jeszcze ze szkoły, ruszył prosto do samochodu. Po dwudziestu minutach wrócił z zapłakaną dwunastolatką na tylnym siedzeniu.

– Masz iść do swojego pokoju i nie wychodzić stamtąd – nakazał jej stanowczo, ledwie weszli do domu. – Ale najpierw stań i popatrz na to.

Weszłam do jadalni, gdy zatrzymali się na wprost drzwi. Olivia wbijała wzrok w podłogę, wyglądając na uosobienie skrajnego nadąsania.

– Nie życzę sobie dalszych kłopotów z powodu twojego zachowania, młoda damo – rzekł ostro. – Możesz nie wychylać nosa ze swego pokoju aż do rana, ale teraz będziesz musiała się pogodzić z konsekwencjami swego postępowania. – Wyjął z kieszeni portfel, otworzył go i wyciągnął plik banknotów. – To jest twoje kieszonkowe na resztę tego roku, Olivio. Dwadzieścia funtów miesięcznie razy dziewięć miesięcy, czyli w sumie sto osiemdziesiąt funtów. Dlaczego miałbym ci dawać pieniądze, skoro tak się zachowujesz? Miałbym ci wypłacać kieszonkowe za to, że lekceważysz nawet najprostsze zasady? Oczywiście, że nie. Weź przykład z Lary, która wraca ze szkoły prosto do domu i zaczyna odrabiać pracę domową. Jak zawsze. Dlatego kieszonkowe Lary pozostanie bez zmian, ale w nagrodę dam jej jeszcze i to.

Tata położył gotówkę na stole przede mną. Pamiętam, że zagapiłam się na nią, mając świadomość, że od tej pory nic już nie będzie takie, jak dawniej. Nawet nie próbowałam mu jej zwrócić. Nie potrafiłam wyciągnąć po nią ręki. Plik banknotów leżał przy moim podręczniku do matematyki, jakby rozżarzony do czerwoności, przyciągający wzrok.

Olivia odwróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia z jadalni, ewidentnie ledwie się powstrzymując, żeby nie trzasnąć drzwiami. Tata położył mi dłoń na głowie, potargał mi włosy, po czym także wyszedł. Zaszuchana w łomot pięt Olivii na schodach, nabrałam pewności, że odtąd będzie mnie nienawidziła do grobowej deski, właśnie z powodu tych pieniędzy.

I tak też się stało. Może nie tylko z tego powodu, ale w znacznym stopniu.

Ja poproszę sałatkę giardiniera – zwracam się z uśmiechem do kelnera. – I do tego zwykłą wodę.

– Nie ma mowy – odzywa się Olivia. – Giardiniera? Pewnie dołączą twoją fotkę do menu we wszystkich oddziałach Pizza Express, a przy niej umieszczą napis: „Ta kobieta nie zamawiała nic poza giardinierą przez ostatnie dwadzieścia lat. Nie musicie jej pytać, co zamówi następnym razem”. Miło cię widzieć w takiej reklamowej roli, siostrzyczko.

Ostentacyjnie zamawia nowy rodzaj pizzy, która ma w środku dziurę

wypełnioną liśćmi sałaty, pewnie tylko po to, żeby mi zademonstrować, jak bardzo jest impulsywna i jak otwarty ma umysł.

– Dobry wieczór wszystkim!

Podnoszę wzrok, z ulgą i rozkoszą witając przy stoliku mojego ojca chrzestnego.

– Leon! – Podrywam się na nogi, żeby go uściskać. Jakimś cudem udało mu się niezauważenie dla nas wszystkich podkraść aż do samego brzegu stolika. Olivia mnie już nie obchodzi. Leon to najlepszy przyjaciel taty z czasu studiów i co dziwne, także mój najlepszy przyjaciel na świecie. Zawsze trzymał się na uboczu i patrzył na mnie ojcowskim wzrokiem, dopóki nie zaczęłam go potrzebować. Dopiero wtedy dał mi się poznać z tej strony, z której go wcześniej nie znałam. To jedyny człowiek, który wie o mnie wszystko.

– Miło cię widzieć – odzywa się półgłosem. – Wszystko w porządku?

– Teraz już tak, gdy cię widzę – odpowiadam, mając świadomość ironicznego spojrzenia Olivii, które mnie nie obchodzi. Leon, podobnie jak nasz tata, jest po sześćdziesiątce. Ale w przeciwieństwie do mojego ojca, który sprawia wrażenie, jakby jedynie czekał na atak serca, Leon jest bardziej stylowy i z wiekiem wygląda coraz lepiej od niego. Ma siwe włosy zaczesane do tyłu i sięgające mu prawie do kołnierzyka, a zmarszczki na twarzy tylko podkreślają jego rysy. Uzupełnia to wszystko ubraniami, bo choć zawsze ubierał się bez zarzutu, teraz wygląda jak modny Europejczyk, dobierający sobie stroje w Paryżu czy Mediolanie. Nigdy nie zostało to powiedziane wprost, lecz domyślałam się po ironicznym uśmiechu Olivii na samo brzmienie imienia Leona, że uważa nas za kochanków, a nasz romans za trwający od wielu lat. Jest w błędzie, jednak żadnym sposobem nie umiałabym jej o tym przekonać. Bo między mną i Leonem powstała więź dużo silniejsza.

Odwraca się do reszty rodziny.

– Olivia – mówi z serdecznym uśmiechem. – Wyglądasz dziś nadzwyczaj szykownie. Urocza jak zawsze, jednakże dziś jeszcze bardziej przyciągasz wzrok.

Moja siostra nie odpowiada, tylko skłania się lekko, jak jedna osoba z klasą na powitanie drugiej. Siadam, podczas gdy Leon cmoka mamę w oba policzki, ściska rękę tacie. Zajmuje wolne miejsce między mną a mamą, która patrzy na niego z dziwnym uśmiechem, po czym sięga po bułeczkę i zaczyna ją rozkruszać na drobne kawałki. Tata napełnia kieliszki. Sala wokół nas rozbrzmiewa radosnym gwarem innych osób siedzących w barze.

– Więc jak się miewa rodzina Wilberforce'ów? – pyta Leon, rozglądając się dookoła.

– Doskonale – odpowiada szybko Olivia, co samo w sobie jest niezwykle. Odsunęła swój kieliszek na środek stolika i teraz zwracam uwagę, że nie upiła nawet odrobiny wina. – Prawdę mówiąc, mam elektryzujące wieści.

Zamykam oczy. Jakiegokolwiek są te wieści, mogę z góry założyć, że mnie się nie spodobają. Podejrzewam, że lada chwila zacznę rozpowiadać, jaką to jestem straszną współlokatorką. Będę zmuszona się bronić i może dojdzie do prawdziwej jatki.

Zwraca uwagę na moją postawę.

– Dlaczego zamknęłaś oczy, Laro? Nie zamierzam cię bić.

– Tak, wiem. Jeśli sobie życzysz, zaraz je otworzę. To ci odpowiada?

– Jezu. Posłuchajcie. Wszyscy. To nic strasznego. Ja już się pogodziłam z tą świadomością i odbieram to jako pozytywną nowinę.

Ktoś coś upuszcza w drugim końcu sali i wszyscy goście milkną na chwilę, jakby mieli nadzieję, że głośny brzęk oznacza rozbicie wielu talerzy naraz. Ale już po chwili powraca wcześniejsza atmosfera, obsługa podejmuje przerwana krzątanie, odżywają przerwane rozmowy, chyba tylko z wyjątkiem naszego stolika, przy którym wszyscy wpatrują się w Olivię z nieskrywanym przerażeniem.

A ona kieruje wzrok do nieba. Uzmysławiam sobie, co chce powiedzieć, na chwilę przed tym, zanim pada to z jej ust.

– Jestem w ciąży.

Przyglądam się, jak cała trójka kieruje wzrok na mnie. Wszyscy poza Olivią oczekują mojej reakcji.

– Gratulacje – mówię, nie oglądając się na nią. – To wspaniała nowina.

– Jasne. Wszystkiego najlepszego.

– Kiedy rozwiązanie?

– W kwietniu. Dwudziestego trzeciego kwietnia.

– W urodziny Szekspira. Niech lepiej tak zostanie.

To jasne, że jest w ciąży. Wreszcie mogę zaczerpnąć oddechu. Odsunęłam to wszystko od siebie, z zacięciem pokonałam tę przeszkodę po latach comiesięcznych złudnych nadziei, późniejszych iniekcji i natrętnych badań, rachunków, udręki i małżeńskich sporów, które dokumentnie odmieniły nasz związek. Wszystko to teraz, co w jednej chwili przemyka przez mój umysł, nim zdołam się od tego uwolnić.

Tata pochyla się nad stolikiem.

– Pozwolisz, że zadam ci jedno pytanie? – mówi niebezpiecznie obojętnym głosem. – Kto jest ojcem?

Olivia uśmiecha się promiennie.

– Akurat na to nie pozwolę. Nie powiem, kto jest ojcem mojego dziecka, skoro nie usłyszałam od ciebie gratulacji ani choćby wyrazu zadowolenia, że w końcu będziesz jednak dziadkiem. A więc skoro nie pozwolę, nie powiem, kto jest ojcem.

– Och, pieprz się, Olivia.

Zamieram. Nie cierpię, kiedy tata przeklina, bo to zawsze znamionuje niebezpieczeństwo.

– Sam się pieprz – odpowiada moja siostra. – Tobie marzy się tylko wnuk, którego mogłaby ci dać pieprzona uświęcona Lara, prawda? Nie chcesz, żeby moje pośledniejsze geny przeszły na następne pokolenie, zgadza się? No więc wygląda na to, że w tej materii Lara nie radzi sobie za dobrze, za to ja, przypadkiem, tak. Pogódźcie się z tym. Wiele rzeczy się zmieni.

Co dziwne, to mama pierwsza zabiera głos w tej sprawie, może dlatego, że tata wciąż nie może złapać oddechu.

– Olivio – mówi, pochylając się nad stolikiem i obracając wokół palca kosmyk włosów za uchem. Tak rzadko zdarza jej się wystąpić przed szereg, że wpatruję się w nią jak urzeczona. Głos ma cichy i miękki, ale ponieważ rzadko się go słyszy, wszyscy zamieniamy się w słuch. – To nie fair wobec Lary. Zaskoczyłaś nas tą wiadomością, nic ponadto. Więc jeśli możesz, proszę, daj nam trochę czasu na oswojenie się z tym.

Moja siostra reaguje śmiechem.

– Jasne! Oczywiście. Przecież w tym wszystkim chodzi tylko o was.

– Nieprawda – odpowiada mama z bezgranicznym spokojem. Nikt nie ma najmniejszego pojęcia, co się dzieje pod tą jej niewzruszoną powłoką, toteż nikt nie ma odwagi jej przerwać. – Rzecz jasna, chodzi o ciebie, a w znacznie większym stopniu o twoje dziecko. Z wielką radością znów powitamy niemowlę w naszej rodzinie.

Uświadamiam sobie nagle, że wszyscy poza Olivią kątem oka przyglądają się mnie i tylko udają, że jest inaczej.

Ja patrzę na moją siostrę, a ona odpowiada niezachwianym spojrzeniem z błyskami tryumfu w oczach. Chociaż słyszałam ostatnio, jak płakała – a teraz już chyba wiem dlaczego – i chociaż doskonale zdaję sobie sprawę, że nie planowała zajścia w ciążę, muszę przyznać, że pokonała mnie pod tym względem. I teraz napawa się swoim zwycięstwem.

Chciałam mieć dziecko. Bardzo chciałam. I choć specjalnie postanowiłam przejść nad tym do porządku dziennego, wszystko poza niedoszlą ciążą to tylko plan B i nigdy nie będzie inaczej.

– Dobrze się czujesz? – pyta półgłosem Leon.

– Nie – odpowiadam. – Urwiesz się ze mną na drinka?

Rozgląda się dookoła.

– Oczywiście.

Zmuszam się do zachowania spokoju.

– Olivio – mówię. – Cieszę się z twojego szczęścia. Naprawdę. Gratuluję. Ale w tej chwili muszę stąd wyjść i gdzieś indziej napić się czegoś mocniejszego. Poza tym wyprowadzę się od ciebie. Nosłam się z tym zamiarem od pewnego czasu, a teraz wiem, że będziesz potrzebowała dodatkowego pokoju.

– W porządku. – Wzrusza ramionami, jakby ten krok, do którego szykowałam się od dłuższego czasu, nie był dla niej niczym szczególnym. Odwracam wzrok. Dobrze wiem, że będę widziała chytry uśmieszek na jej ustach niezależnie od tego, czy będzie się uśmiechała, czy nie.

– Jesteś tego pewna, Laro? – odzywa się tata, gdy już stoję przy stoliku i poprawiam sobie torebkę na ramieniu.

– Tak.

– Ja z nią pójdę, Bernie. – Dłoń Leona na krótko ląduje na moim ramieniu.

– Dzięki, Leonie – mówi tata ze skinieniem głowy.

Mama tylko patrzy na mnie z bladym uśmiechem i bez słowa sięga po swój kieliszek.

Wychodzimy na Charlotte Street tłocznią od przechodniów szybko idących w zapadającym zmroku. Każdy ma dokąd się udać, spieszy więc z połamiami płaszcza zebranymi pod szyją albo w grubym szaliku. Ciepły wrzesień sprzed sześciu tygodni, kiedy zaczynałam pracę, już całkiem ustąpił miejsca bezwzględnej zimowej pogodzie.

Jest już prawie całkiem ciemno, palą się uliczne latarnie. Jeszcze nie pada, ale wilgoć zbiera się w powietrzu, osadza na twarzy i we włosach.

– Tutaj – mówi Leon, wskazując wejście dosyć zatłoczonego małego pubu, w którym już niewiele brakuje do ścisku. Kiedy znajdujemy w najdalszym kącie wolny stolik, nakazuje mi usiąść, a sam zawraca do baru, nie zapytawszy nawet, na co mam ochotę.

Wraca z dwoma kieliszkami i dwiema wysokimi szklankami z bezbarwnym płynem.

– Zaczynaj od tego. – Wskazuje kieliszek z bursztynowym trunkiem.

To whisky, a może brandy, przelatuje mi przez głowę. Pociągam łyżek i zmuszam się do uśmiechu. Alkohol natychmiast rozgrzewa mnie od środka.

– Takie drinki są wspaniałe – mówię. – Każdy powinien tego skosztować. Zwłaszcza teraz, kiedy tak znakomicie rozgrzewa żołądek. To fantastyczna rzecz na zimę.

– Wypij do dna.

Podnoszę wzrok na niego i pociągam następny łyżek.

– Dzięki za to.

– Przykro mi, że nie mogliśmy spotkać się wcześniej po twoim powrocie do Londynu. Nie byłaś nazbyt szczęśliwa, mieszkając kątem u siostry, świetnie to wiem. Ale dokąd zamierzasz się teraz przeprowadzić? Mogę ci udostępnić pokój gościnny, ale jestem pewien, że wolałabyś zachować pełną niezależność.

– Dzięki. Znalazłam już pewne lokum niedaleko miejsca pracy. To hotel robotniczy. Mogę tam zamieszkać na jakiś czas i zobaczyć, co z tego wyjdzie.

– Hotel? Laro, to chyba nie najlepszy sposób na szybkie spłacenie kredytu za dom.

Wzruszam ramionami i odstawiam już pusty kieliszek.

– Potrzebuję trochę swobody. Choćby na krótko. Najdalej za tydzień czy dwa wszystko sobie poukładam.

– A jak tam twoje sprawy w Kornwalii?

Uprzytamniam sobie, że Samowi o niczym jeszcze nie powiedziałam.

– Wszystko w porządku.

Nasze spojrzenia się spotykają. Leon powiedział mi przed laty, że nie powinnam wychodzić za Sama, bo zanudzę się przy nim na śmierć. Staram się pogodzić ze świadomością, że miał rację, ale jednocześnie samym spojrzeniem dać mu do zrozumienia, że nie będziemy o tym rozmawiać.

Sięgam po drugą szklaneczkę i upijam łyk.

– To wódka z dietetycznym tonikiem – mówi.

– Dzięki.

– Twoja siostra jest złośliwa, ale nawet ona nie zrobiłaby czegoś takiego celowo.

– Tak, wiem, że tego nie zrobiła. Słyszałam, jak płacze po nocach, jak półgłosem rozmawia przez telefon. Nie mam pojęcia, kto jest ojcem dziecka, bo nie przyznałaby mi się, nawet gdyby miała kogoś na stałe. Być może to ten wysoki i żylasty Allan. Sprawia wrażenie sympatycznego. Ale dobrze wiem, że tu nie chodzi o mnie, tylko o nią. Nie mogę winić wszystkich kobiet dokoła za to, że zachodzą w ciążę. To tylko...

– Tak, rozumiem. To nadal świeża rana.

– Wiesz co? Masz rację. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że tak jest. Wmawiałam sobie, że już się pogodziłam, że tylko Sam jest nadal rozgoryczony z tego powodu, ale ja z radością przejdę nad tym do porządku dziennego. – Jednym haustem opróżnięm pół szklaneczki wódki z tonikiem. – Ale to wcale nie takie proste. I chyba zniszczyło już to, co było między mną a Samem. Poprosiłam cię, żebyś zdobył dla mnie tę pracę, bo bardzo mi zależało, żeby się od niego uwolnić. Bardzo. O czym to świadczy? O niczym dobrym. Nasze małżeństwo jest skończone. Dobrze to wiem, ale jemu nie mogę jeszcze o tym powiedzieć, bo o niczym nie ma bladego pojęcia.

Leon unosi brwi, czekając na ciąg dalszy.

– Poza tym – dodaję, bo on jest jedyną osobą na świecie, której mogę to powiedzieć – poznałam kogoś innego.

Patrzę mu w oczy.

– Aha. – Kiwa głową. – To trudna sytuacja, skarbie, lecz wcale mnie nie dziwi.

– Mój Boże, Leonie. Sama nie wiem, co mam robić. Na pewno muszę się trzymać z dala od niego.

Mój ojciec chrzestny ponownie kiwa głową.

– Unikniesz wielu komplikacji, jeśli będziecie trzymać się z dala od siebie. Spróbuj rozstrzygnąć, na czym ci naprawdę zależy. Nie chcesz mi powiedzieć niczego więcej o tym drugim mężczyźnie?

Wędruję myślami do Guya, przypominam sobie jego łagodne oczy, gęste włosy, muskularne ramiona. Przymierzam go do swojej rzeczywistości i szybko kręcę głową.

– Nie – mówię. – To by mnie tylko bardziej zachęciło. – Nagle uświadamiam sobie, o co naprawdę chciałabym go zapytać. – Leonie... – zaczynam z ociąganiem. – Posłuchaj. Tylko ty wiesz o tym, co robiłam. – Zawieszam głos, gdyż nie jestem pewna, czy nawet jemu powinnam o tym mówić, ale chyba już nie muszę się zastanawiać, on już wie. – W Azji – dodaję w celu uściślenia. – Może to zabrzmie głupio, ale czasami odnoszę wrażenie, że tamte sprawy kiedyś mnie dopadną. Wiem, że nigdy nie zdołam się od nich całkowicie uwolnić. Robiłam bardzo złe rzeczy dla strasznych ludzi. I do dzisiaj mnie to przeraża.

Mruży oczy i przeszywa mnie ostrym spojrzeniem.

– Czy coś się stało?

Silę się na uśmiech.

– Nie. Ja tylko... czuję się zagrożona. Mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Sama nie wiem, co byłoby gorsze: to, że ktoś mnie naprawdę obserwuje, czy to, że tracę pewność siebie i ulegam złudzeniom. – Patrzę na Leona i od razu zaczynam czuć się lepiej, robi mi się głupio. – Myślisz, że tylko to sobie wyobrażam?

Pochyliła się ku mnie.

– Na to bym stawiał. Jesteś pod wpływem silnego stresu, Laro, ale nie z powodu swojej przeszłości, bo minęło dużo czasu i tamte zdarzenia powinny pójść w niepamięć. Z powodu obecnej sytuacji. I niepewnej przyszłości. Nie chcesz adoptować dziecka, podczas gdy Samowi na tym zależy. W tej sprawie kiedyś musi dojść do konfrontacji i dobrze o tym wiesz. A tego drugiego mężczyznę, niezależnie od tego, kim jest, traktujesz tylko jako odskocznię. Podobnie jak wspomnienia z pobytu w Tajlandii, chociaż w tej kwestii należy zachować czujność. Gdyby coś się naprawdę wydarzyło, musisz natychmiast reagować. Jednak szczerze mówiąc, sądzę, że podświadomie starasz się zająć myśli tymi mniej znaczącymi problemami, żeby nie myśleć o tym najpoważniejszym.

Wzdycham głośno.

– Masz rację – odpowiadam i siłą woli nakierowuję swoje myśli na obecne problemy, a nie te z przeszłości. – Masz absolutną rację.

Dopijam resztę drinka jednym haustem, starając się nie myśleć także o tym, jak przedstawię nowinę Olivii Samowi.

Rozdział 8

W piątek wieczorem mam ochotę tylko się upić i gadać, a jedynymi osobami, z którymi chcę rozmawiać, są Ellen i Guy. Na stacji zjawiam się wcześniej, lecz w poczekalni pierwszej klasy nie podają alkoholu, toteż wjeżdżam ruchomymi schodami do pubu na najwyższym poziomie.

Śmierdzi w nim jak w zwykłej mordowni. I atmosfera też jest tutaj podobna. Niemniej przychodzi mi na myśl, że jednak można znaleźć na dworcu miejsca, gdzie trudno się czuć jak na dworcu. Przy pierwszym stoliku jakiś mężczyzna czyta w kolorowym czasopiśmie artykuł na temat raka; dalej para obstawiona wielkimi walizkami siedzi naprzeciwko siebie, a między nimi na blacie leży rozerwane opakowanie czipsów ziemniaczanych, do tego przed nim stoi zaledwie resztką piwa, a przed kobietą szklanka do połowy pełna. Nikt nawet przez chwilę nie patrzy w moją stronę, gdy ruszam w kierunku baru, siadam na stołku i zamawiam wódkę z tonikiem u kiepsko ufarbowanego na blond barmana z twarzą pokrytą bliznami po trądziku.

Wychyłam całego drinka jednym haustem. Bez słowa i bez zastanowienia. Potem zamawiam następnego i robię to samo.

Noc po ogłoszeniu przez Olivię szokującej nowiny, a więc noc rozliczeń, spędzam w jej ciasnym pokoiku, po czym rano, pilnie unikając kontaktu z nią, pakuje tylko te rzeczy, które pozwolą mi doczekać chwili, gdy ochłonę i nabiorę odwagi, żeby wrócić po resztę. Ostatnią noc spędziłam w hotelu St Paul's. To hotel dla podróżujących biznesmenów, całkiem niezły, ale dla mnie niepraktyczny ze względów finansowych.

Mimo wszystko i tak jest lepszy od tego, co ojciec nazywa domem rodzinnym, a w szczególności od dojeżdżania z niego do pracy i poczucia, że jestem dojrzałą kobietą mieszkającą z rodzicami.

– Daj spokój, Laro – rzekł tego wieczoru przez telefon. – Przecież to także twój dom i nic tego nie zmieni. Pozwól, że się tobą zajmiemy.

Pokręciłam głową.

– Nie mogę, tato – odparłam. Musiałam być wobec niego tak bardzo stanowcza, na ile tylko starczało mi odwagi. – Zamieszkałam w Londynie, żeby zaoszczędzić na dojazdach. Muszę być blisko miejsca pracy, żeby sprawnie wypełniać swoje obowiązki w ciągu tygodnia. Naprawdę to dla mnie najważniejsze. Zależy mi na swobodzie późnych powrotów i wczesnego wychodzenia. Niemniej dziękuję. Znajdę sobie jakieś małe mieszkanie albo kawalerkę.

– Twoja siostra... – zaczął i zawiesił głos, a ja spięłam się wewnętrznie, chcąc rozładować atmosferę.

– Wszystko jest w porządku – odparłam szybko. – To nie jej wina. Cieszę się z jej sytuacji, naprawdę. Po prostu muszę przez jakiś czas pobyc z dala od niej.

– Nieprawda, że wszystko jest w porządku – zaproponował. – Nie musiała być aż tak okrutna. Jesteś pewna swojej decyzji? Byłoby nam bardzo miło, gdybyś zamieszkała z nami, i szczerze mówiąc, chętnie skorzystałbym z twoich rad w paru sprawach.

Usiłowałam zachować neutralne brzmienie głosu, mimo że serce aż mi się tłukło z niepokoju.

– W tym celu możemy się spotkać każdego dnia, kiedy tylko będziesz chciał – powiedziałam, mając głęboką nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie. – Nawet nie mam czasu w pracy, żeby zrobić sobie przerwę na lunch, ale moglibyśmy się spotkać wieczorem, choć i tak wolałabym nie oddalać się zbyt daleko od biura.

Ku mojej bezgranicznej uldze pogodził się z tym. Ale od tamtej pory trzymam się jak najdalej od wszystkich członków mojej toksycznej rodziny.

Dopiero kiedy wsiałam do pociągu, jak zwykle w piątkowy wieczór ze szklaneczką ginu z tonikiem w rękę, gdy widzę obok siebie Ellen, a naprzeciwko mnie Guya, zaczynam się choć trochę rozluźniać. Rozsiadam się wygodnie, słuchając opowieści Ellen o skype'owej rozmowie z Singapurem, zaczynam głęboko oddychać, potem zrzucam z nóg buty.

Zaczynam się śmiać, gdy Ellen kończy opowieść.

– Wszystko w porządku, Laro? – pyta Guy. Podnoszę na niego wzrok, przyglądam się z dużą dozą podejrzliwości. Błyskawicznie opuszczam psychiczny szlaban, usiłując zachować wobec niego dystans.

– Tak, jasne – odpowiadam. – Jestem tylko... trochę spięta.

– Z powodu siostry? – pyta Ellen.

– Nie. A właściwie tak. Miałam niezły tydzień. Przeżyłam wielką rodzinną dramę. Nie chcę o tym rozmawiać. – Patrzę na jej minę i wybucham śmiechem. – Nie dlatego, że jestem urażona, ale dlatego, że zaczyna mnie to kurewsko nudzić.

Rzadko przeklinam. Lecz tym razem podoba mi się brzmienie tego słowa. Pociągam łyk drinka ze szklaneczki.

– W takim razie porozmawiajmy o czym innym – wtrąca pospiesznie Guy. – Chcesz wiedzieć, co mnie teraz dręczy?

– Tak, bardzo proszę. – Pochyliłam się lekko w jego stronę. – Co cię teraz dręczy?

– Już się domyślam – mówi Ellen gardłowo. – Pojawiła się ciekawa praca gdzieś w zachodnim okręgu.

Guy wybuchą śmiechem i w kącikach jego oczu tworzą się zmarszczki. Bardzo mi się podobają.

– Chyba za długo jeździmy razem tym pociągiem – odpowiada, a ona podnosi swoją szklaneczkę jak do toastu. Guy odwraca się do mnie. – To prawda. Wiesz, że mieszkam z rodziną na przedmieściach Penzance, prawda? Właściwie to za Penzance, bliżej Sennen, niemal tak blisko końca ziemi, że dalej już się nie da.

– I przeniosłeś się tam, żeby być bliżej rodziny żony.

– Zgadza się. Ojciec Diany zmarł niespodziewanie trzy lata temu. To długa historia, lecz ostatecznie przeprowadziliśmy się tam, żeby Di mogła być bliżej swojej mamy, która z jednej strony wydaje się bardzo wrażliwa, ale z drugiej

potrafi być mocniejsza od zaprzęgu wołów. Nasze dzieciaki właśnie zaczynały naukę w szkole średniej, więc ostro sprzeciwiły się przeprowadzce i szczerze mówiąc, byłam po ich stronie. Przeniesienie z Surrey do Kornwalii to naprawdę wielka rzecz, gdy ma się trzynaście lat. Ale nie mieliśmy innego wyjścia, świetnie zdawałem sobie z tego sprawę. Biedna stara Betty nie była w stanie odpowiednio zatroszczyć się o siebie i nie należała do tych osób, które byłyby skore zamieszkać w domu opieki, dlatego musieliśmy się nią zająć. Di zawsze powtarzała, że jest jej to winna za swoje szczęśliwe dzieciństwo, i może było w tym trochę prawdy. W każdym razie bardzo się cieszyła z perspektywy powrotu w swoje rodzinne strony.

– Tyle że w tamtych stronach trudno o jakąś pracę.

Przytakuje ruchem głowy.

– Dokładnie tak, Laro. Zwłaszcza dla mnie. Nie zostawało mi dosłownie nic innego, jak szukać roboty w Tesco, McDonalddie czy w Argos. Ustaliliśmy więc, że będę dojeżdżał do Londynu, dopóki nie znajdzie się coś ciekawego bliżej. Polubiłem ten koczowniczy tryb życia. Chybabym zwariował, gdybym musiał na stałe mieszkać w zachodniej Kornwalii. Do tego w domu pełnym nastolatków, bo choć mamy ich tylko dwójkę, to wszędzie jest ich pełno, no i jeszcze z teściową, która bez przerwy wszystko przestawia. Dlatego z prawdziwą radością wsiąknę w ten sposób zarabiania na życie. Nieważne, że w dni robocze muszę się zadowolić ciasnotą mojego pokoju w pensjonacie, bo mało mnie to obchodzi. I nagle pojawia się jedna oferta pracy w Truro. Weźcie to pod uwagę: Truro! Od kiedy to istnieją atrakcyjne oferty pracy w Truro?

– Co to za praca? – odzywa się cicho Ellen, ale gdy oglądam się na nią, widzę rozbawienie na jej twarzy, a gdy ona odwraca się w moją stronę, puszcza do mnie oko.

– Chodzi o klan notariuszy, tych z największym doświadczeniem. Chyba musiałbym wykupić znaczący pakiet akcji firmy, żeby zostać współnikiem.

– Nie żartuj, Guy. Byłbyś świetny na tym stanowisku.

– Wiem o tym! Dlatego zamierzam wystąpić z symboliczną ofertą, żeby na pewno ją potem spieprzyć. Napijcie się jeszcze czegoś, drogie panie?

O pierwszej w nocy Ellen wstaje z miejsca.

– No dobra – mówi. – Miło się z wami rozmawia, ale czas pójść spać. Mam przed sobą pracowity weekend. Do zobaczenia w niedzielę.

– Dobrej nocy, Ellen – mówię.

– Dobranoc, Johnson – odzywa się Guy. – Pewnie zaraz pójdziemy w twoje ślady.

– Ja na pewno za chwilę także się położę – przyznaję. – Będziemy w Truro za sześć godzin.

– Sześć godzin! To jeszcze kupa czasu, prawda? – podchwytuje ironicznie Guy. – Zdaje mi się, że możemy jeszcze trochę pogadać. Otóż to! Miałem wam pokazać,

jak należy zamieszczać wpisy na Twitterze, co nie? Jaki jest twój adres mailowy?

Śmieję się jeszcze z tej żalösnej wymówki, gdy Guy już wciska klawisze telefonu, dyktuję mu swój adres mailowy, a on po chwili podaje mi aparat i mówi:

– No proszę. Jestem na twoim koncie na Twitterze. Śmiało, zrób jakiś wpis. Twoje hasło to „lovelylara”.

– Och, dzięki. To świetne hasło, co nie?

– Tak, jasne. Gdybym był trzeźwy, wymyśliłbym ci lepsze.

Korzystając z jego komórki, piszę: „Próbuję zrozumieć, jak korzystać z Twittera”, po czym oddaję mu telefon.

– Jeden punkt mniej na mojej liście rzeczy do zrobienia – mówię. – Właśnie napisałam moją pierwszą i z pewnością ostatnią notatkę na Twitterze. To kolejna rzecz, z którą moja siostra radzi sobie lepiej ode mnie, ale ja przynajmniej się starałam. I teraz zamierzam położyć się spać.

Wędruję myślami do Sama, desperacko czekającego na mój powrót i wiążącego wszelkie nadzieje na szczęście z wizją wspaniałego weekendu. Jeśli uda mi się przespać sześć godzin, będę w stanie dać mu to szczęście. Zgodzę się uczestniczyć we wszystkim, co zaplanował, i nawet będę zdolna zrobić to właściwie.

Mam już zamiar wstać, gdy uświadamiam sobie, że pod stolikiem napieram kolanem na kolano Guya. W dodatku odnoszę wrażenie, że trwa to już od pewnego czasu. Nie chce mi się tego zmieniać.

– W porządku – mówię cicho.

Bar jest otwarty przez całą noc, ale w tej chwili w jasno oświetlonej przestrzeni nie ma nikogo poza nami. Wszystko się zmieniło.

– Laro – odzywa się Guy. Otwiera usta, żeby coś jeszcze dodać, ale po namyśle zachowuje milczenie.

– Tak.

– To jest...

– Wiem. – Oczywiście niczego nie wiem. Nie mam pojęcia, czy chciał powiedzieć „to jest niebezpieczne”, czy może „to coś zupełnie innego, nieodparcie i szaleńczo, przemożnie ekscytującego”. Ale to dobrze, bo chodzi przecież o coś złego.

Atmosfera między nami staje się elektryzująca. Guy pochyla się i bierze mnie za rękę. Palce ma ciepłe, skórę suchą. Spoglądam na te nasze splecione dłonie. Nie powinny być tak splecione, ale razem wyglądają dobrze. Trzymamy się wzajemnie za ręce w taki sposób, żeby nie było widać obrączek na naszych palcach.

– Czy mogę się przesiąść na twoją stronę stolika? – pyta.

Spoglądam w jego ciemne oczy, ale nie ma w nich niczego oprócz ciepła.

– Tak – odpowiadam szeptem i przyglądam się, jak zsuwa się ze swojego miejsca. Pospiesznie siada obok mnie i obejmuje mnie w pasie. A ja odwracam się do niego i wbrew sobie nastawiam twarz do pocałunku.

To dziwne uczucie, gdy całuję się z kimś innym niż z mężem. Bo on jest jedyną osobą na świecie, z którą powinnam się w ten sposób całować. Ale sam fakt, że to nie on, tak skrajnie podnieca, tak desperacko popycha mnie ku tej chwili, w której chcę się zatracić, zanim będę musiała wrócić do rzeczywistości, że jestem cała rozdygotana.

Dotyk warg Guya to coś nowego. Są miękkie, a jego język bardzo delikatnie penetruje wnętrze moich ust. Czuję, że robię coś wspaniałego, co jest absolutnie zakazane. Minęło już wiele lat od chwili, kiedy ostatni raz dopuszczałam się zakazanych czynów. Moja zła strona, uśpiona przez wiele lat, wychodzi teraz na jaw i z radością wita dłonie Guya przesuwane się powoli w górę mojego ciała. Jedna z nich spoczywa na krótko na mojej piersi, po czym zakrada mi się pod bluzkę i szybko odnajduje drogę pod stanik.

Moje roztropne ja bierze na krótko górę, więc się odsuwam, a on pospiesznie cofa rękę.

– Och, na Boga – mówi. – Laro. Jesteś niesamowita. Przepraszam za niestosowne zachowanie.

To właśnie ta chwila, którą bezbłędnie rozpoznaję. Właśnie teraz mogłabym się jeszcze wycofać. Mogłabym uznać to za błąd, zapomnieć o całym zdarzeniu i unikać Guya przez kilka tygodni.

Albo mogłabym podążać dalej tą drogą.

– Twoje zachowanie nie jest niestosowne – odpowiadam cicho. – A jeśli nawet, to oboje się tak zachowujemy.

Uśmiecha się szeroko, cała jego twarz się rozpromienia. Przysuwa się bliżej.

– Jesteś pewna? Bez wątpienia zauważyłaś, jak na ciebie patrzę. Bo wiedziałem to już w chwili, kiedy cię ujrzałem, a więc zapewne podczas twojej pierwszej podróży tym pociągiem. Tylko... chodzi mi o to, że gdy jest się żonatym, to przecież nie znaczy, że nie zwraca się uwagi na inne kobiety. A potem się poznaliśmy. Och, Boże, posłuchaj. Nikt ci nie powie, że nie można już poczuć czegoś takiego, gdy ma się czterdzieści cztery lata. Myślisz, że to przejaw kryzysu wieku średniego? Chyba nie, prawda?

– Guy, zamilcz wreszcie. Mówisz przecież o dwojgu ludziach, którzy spotykają się przypadkiem w pociągu.

Obejmuje mnie w ramionach. Przytulam się do niego i czuję, jak całuje mnie w czubek głowy.

– Mam ochotę zaprowadzić cię do swojego przedziału i rozebrać – szepcze. – Co o tym myślisz?

Robię ostatni wysiłek, żeby nad sobą zapanować.

– Zgoda – mówię. – Ale...

– Tak? Ale co?

– Ale tego byłoby za wiele. – Nie powinnam już mówić nic więcej, ale nie mogę się opanować. – Zgodziłabym się z ochotą. Dobrze o tym wiesz. Niemal każdym zmysłem tego pragnęła. Ale nie możemy, Guy. Ponieważ oboje pozostajemy w związkach małżeńskich. Pocałunek to jedno, ale dobrze wiesz, do czego by

doszło, gdybyśmy znaleźli się razem w zamkniętym przedziale.

– Owszem. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. I muszę przyznać, że masz rację. Powinniśmy się zachowywać rozsądnie.

Wyczuwam jednak ociąganie w jego głosie. Świadomość tego, że już teraz, za chwilę, mogłabym uprawiać seks w pociągu z przystojnym mężczyzną, który nie jest moim mężem, ale podejmuję decyzję, aby tego nie robić, daje mi niesamowite poczucie władzy.

Znów wędruję myślami do Sama. Ale przychodzi mi też na myśl Diana czekająca w swoim domu w Penzance, opiekująca się swoją postarzałą matką i dwójką nastoletnich dzieci w oczekiwaniu na powrót męża na weekend. Niemal widzę oczyma wyobraźni, jak desperacko liczy na to, że on znajdzie jakąś pracę w Truro i znowu zamieszka z nimi na stałe. I dobrze wiem, że nie zależy mu na rzuceniu pracy w Londynie, a może i jej na tym nie zależy, kto wie?

– Naprawdę nie powinniśmy – mówię. – Jestem mężatką od dziewięciu lat i nigdy nie byłam w podobnej sytuacji. Ale ty bardzo na mnie działasz, Guy. Nigdy wcześniej nie czułam czegoś podobnego wobec nikogo innego. Tylko wobec jednej osoby, i to dawno temu. Ale nie zamierzam z tego powodu iść z tobą do łóżka.

– Masz rację – mówi. – W chłodnym świetle wstającego dnia bez dwóch zdań zaakceptuję twoje skrupuły.

Znowu pochyla się w moją stronę i całuje mnie. Uznaję, że nie powinnam dać mu poznać, jak łatwo mógłby mnie nakłonić do zmiany zdania. Jestem wycieńczona. W takiej chwili ani trochę nie dbam o Olivie, rodziców, moje małżeństwo czy też dziwne odległe dotychczasowe życie. To Guy sprawia, że zapominam o tym wszystkim. Wiem, że to grzeszne myśli, ale jakimś sposobem to, że dzięki niemu czuję się szczęśliwa, zdaje się górować nad wszystkim innym.

Nie udaje mi się zasnąć. Leżę na wąskim łóżku w ciasnej przestrzeni i wpatruję się w mętną poświatę na suficie oznaczającą brzask nowego dnia, ale nie mogę myśleć o niczym poza Guyem. Niemalże wbrew sobie badam rozmiary ciasnego przedziału. Nie ma mowy, żeby dwoje ludzi mogło się jakoś pomieścić na tym wąskim łóżku. A seks w tych warunkach musiałby być czynnością czysto fizjologiczną, wyzbytą jakiejkolwiek przyjemności. Już sobie wyobrażam, jak stajemy naprzeciw siebie, ja go niezgrabnie obejmuję, po czym ciągnę na łóżko. Próbuję wymyślić inne trudności, bardziej racjonalne, ale nic mi z tego nie wychodzi.

Wysiadam na peron w Truro ze świadomością, że zakłęcie zostało złamane. Aż muszę się przez chwilę pozbierać w sobie, żeby Sam dostał to, na co zasłużył w czasie samotnego weekendu. Wmawiam sobie, że wypiję tyle mocnej kawy, ile tylko zdołam, i nic mnie od tego nie odwiedzie.

Stojąc na peronie w Falmouth, dostrzegam jeszcze przelotnie Guya, kiedy zamyka drzwi swojego przedziału. Ginie mi z oczu w ułamku sekundy, nawet nie potrafię uchwycić wyrazu jego twarzy.

Zanim docieram do Falmouth Docks, uświadamiam sobie, że popadłam w szaleństwo.

Widzę Sama, który macha do mnie z okna oranżerii, unosząc wysoko kubek z kawą, i zmuszam się do tego, by z uśmiechem pozdrowić go w ten sam sposób. Całowałam się z innym mężczyzną i przez to czuję do siebie obrzydzenie. Sam jest człowiekiem dobrym do szpiku kości i na pewno nigdy by nie uwierzył, że byłabym zdolna do takiego czynu. Zawsze byłam dobrą żoną, ale teraz jestem złą, i już nic na świecie nigdy tego nie zmieni.

Idę powoli ku końcowi krótkiego peronu. W dokach po lewej powoli obraca się wielki żuraw, nagle rozlega się głos syreny, później cała seria różnorodnych sygnałów dźwiękowych. Na wprost stacji stoi dziwacznie usytuowany akademik, od dworcowego parkingu idzie w jego stronę dziewczyna ubrana jeszcze w wieczorowe ciuchy, obracająca na palcu pęk kluczy.

Zatrzymuję się i biorę głęboki oddech. Muszę udawać, że nie zdarzyło się nic niezwykłego. Sam nie może się o niczym dowiedzieć, bo to za bardzo by go zraniło. Zamykam więc oczy i powtarzam sobie, że muszę być dla niego miła.

– Kochanie!

Aż podskakuję w miejscu i zachłystuję się powietrzem. Jak można się było domyślać, przyznał biegiem na stację. To oczywiste. Przez pięć dni czekał, aż wysiądę z tego pociągu. Bez reszty pochłaniały mnie moje własne problemy, a przecież ten nieskazitelny człowiek cierpiał wyłącznie z powodu mojej nieobecności. I w tym czasie (muszę to otwarcie przyznać) znajdował się bardzo daleko na liście moich priorytetów.

Poczucie winy ściska mnie w dołku. On podbiega i tuli mnie w objęciach. Bardzo się staram robić wrażenie odprężonej. Siłą zmuszam się do rozluźnienia wszystkich mięśni i dopiero wtedy dociera do mnie, jak bardzo byłam spięta.

– Witaj, kochanie – mówię z twarzą wtuloną w jego ramię. Obiecuję sobie, że już nigdy nie zrobię niczego podobnego. Kocham Sama. Bez niego byłabym nikim. – Przepraszam, że byłam bardzo daleko stąd – mruczę.

– Naprawdę? – pyta bardziej rozbawiony niż zmartwiony. – A gdzie byłaś?

– Rozmyślałam właśnie, jak dobrze jest wrócić do domu.

– Ale na pewno nie tak dobrze, jak mieć cię znowu przy sobie. Kawa czeka. Mogę też ugotować ci jajka w koszulkach. Masz ochotę? Zjadłabyś jajka? – Bierze ode mnie torbę podróżną. – Jak ty w ogóle możesz się poruszać w tych butach?! No, chodź.

Uśmiecham się.

– To moje londyńskie szpilki. Zaraz zamienię je na porządne buty.

– Tak trzymać. Jak się czujesz? Co chciałabyś dzisiaj robić?

Staram się nie krzywić, odpowiadając tak, jak on sobie tego życzy.

– Z ochotą przystanę na wszystko, co zaproponujesz. Chcesz dokądś wyjść? – Odwracam głowę i spoglądam na panoramę Falmouth za nami. Niebo jest szare,

ale jasnoszare, słońce próbuje się przebijać przez chmury. – To jeszcze może być ładny dzień. Możemy się wybrać na długi spacer.

– Jasne – odpowiada uszczęśliwiony. – Tak zrobimy. Wedrzemy się do samego serca Kornwalii. Dasz radę? Naprawdę? Co powiesz na wycieczkę do Zennor?

– Zapowiada się fantastycznie. Muszę się tylko napić kawy i będę gotowa.

Z trudem daję radę iść ścieżką wiodącą wzdłuż krawędzi klifu. Podejmuję decyzję, że powinnam mu powiedzieć o Guyu. Może jeśli się przyznam, wyjawię wszystko i powiem, jak bardzo mi przykro, uwolnię się od wyrzutów sumienia. W końcu Sam jest moim najlepszym przyjacielem. Gdybym powiedziała mu teraz, może powstrzymałoby mnie to od dalszych kroków. Byłabym w stanie wytrzymać w swoim przedziale i lekceważyć Guya, gdybym go spotkała, a wtedy wszystko byłoby w porządku. Wiem, że muszę mu o tym powiedzieć.

Prawda zżera mnie od środka. Muszę się skoncentrować, wędrując tą ścieżką pod ciężkim od chmur niebem, bo łatwo mogłabym stracić równowagę w stanie takiego zmęczenia. W wielu miejscach wystarczyłoby źle postawić stopę, żeby runąć w dół urwiska. Może tych miejsc nie jest za wiele, ale gdy się je napotyka, budzą w człowieku przerażenie przemieszane z magnetycznym przyciąganiem.

– Sam! – wołam za nim, przekrzykując wycie wiatru i donośne wrzaski krążących nad nami mew.

– Tak?

Jego szerokie bary sprawiają kojące wrażenie. Jest niższy od Guya, ale szerszy w ramionach, sylwetką przypomina rugbistę.

– Posłuchaj! – wołam. – Muszę ci coś powiedzieć. Chodzi o to... – Urywam i biorę głęboki oddech, żeby mówić dalej, ale już wiem, że pewne słowa nie przejdą mi przez gardło. Nie starcza mi odwagi, żeby szczerze wyznać mu prawdę. Nie mogę znieść świadomości, że bardzo bym go zraniła, ale przede wszystkim brak mi śmiałości. – Chodzi o to, że to nie będzie proste. Sam, Olivia jest w ciąży.

Nie powiedziałam mu tego przez telefon, bo miałam obawy, że przyjmie to dużo gorzej ode mnie, i tak też jest właśnie teraz. Zwalnia, gdy zaczynam mu relacjonować rodzinne spotkanie w Pizza Express, wciąż przekrzykując wiatr. Nie reaguje nawet wtedy, gdy kończę krzykiem:

– Wydaje mi się, że tata nie rozmawiał z nią od tamtej pory! A to sprawia, że jest mi jej żal! Wiem, że nie zrobiłaby tego specjalnie!

– Może jednak tak. A może nie.

Odwraca się, żeby poczekać na mnie, po czym obejmuje mnie i tuli do siebie. Kiedy całuje mnie w czubek głowy, wtulam twarz w jego pierś, czując obrzydzenie do siebie.

– Dlaczego mnie o tym nie uprzedziłaś, Laro? Dlaczego nie powiedziałaś mi tego przez telefon?

– Nie chciałam cię martwić. Po prostu zabrałam swoje rzeczy i tę ostatnią noc przed powrotem do domu spędziłam w hotelu.

– Więc może powinnaś teraz zostać w domu. Daj sobie spokój z tym londyńskim kontraktem.

– Podpisałam umowę, nie mogę teraz tak po prostu się wycofać, Sam. Naprawdę nie mogę. Ale znajdę sobie jakieś sensowne miejsce do życia. Niewykluczone, że przeniosę się do domu rodziców. Ostatecznie to nie musi oznaczać końca świata.

Oczekuję, że wykpi ten pomysł, ale dziwnym sposobem tego nie robi. Sam nie zdołał się zaprzyjaźnić z moimi rodzicami, ponieważ w oczach mojego ojca żaden mężczyzna nie jest mnie godzien. Taki zięć, którego mógłby zaakceptować, po prostu nie istnieje.

Wpatrujemy się w morze. Fale wydają się czarne, nieustępliwe. Woda unosi się i opada jak gdyby w rytm oddechu jakiegoś morskiego stwora.

– Może i powinnaś tak zrobić – odzywa się w końcu. – To by cię nic nie kosztowało. A ja miałbym świadomość, że są ludzie, którzy dobrze się tobą opiekują.

Powoli, w milczeniu ruszamy dalej na wędrowkę samym skrajem kontynentu, wzdłuż krawędzi klifów, omijając wielkie głazy, schodząc do jaskiń i wspinając się z powrotem na szczyt.

Chmury robią się coraz ciemniejsze i w końcu całkiem zasłaniają słońce. Od morza zrywa się złowieszczy wiatr, który uderza mi w twarz i wyciąga kosmyki włosów spod spinek.

Sam się zatrzymuje.

– Zaraz zacznie padać – mówi głośno. – Powinniśmy wracać.

Czuję, jak wycieńczenie z wolna bierze nade mną górę, z dużym wysiłkiem pokonuję niemoc i zawracam.

Kilka minut później spadają na nas pierwsze krople deszczu. Nie da się przyspieszyć na zdradliwej ścieżce, bo wystarczy jeden zły krok na śliskim podłożu, żeby napotkać śmierć poza krawędzią urwiska. Mam ochotę wziąć Sama za rękę, ale ścieżka jest za wąska na to, żebyśmy mogli nią iść obok siebie.

Zanim docieramy do pierwszego schronu, jesteśmy już przemoczeni do suchej nitki. Mokre włosy lepią mi się do twarzy, deszcz zmył z nich chyba wszystkie spinki. Mam jeszcze kilka zapasowych w kieszeni, reszta musi pozostać na szlaku. Strone zejście na początku ścieżki wydawało mi się karkołomne, teraz wdrapanie się na poziom parkingu będzie jeszcze trudniejsze. Zatrzymujemy się i patrzymy na morze. Zastanawiam się, ile czasu spędziliśmy na tym szlaku. Miałam wrażenie, że szliśmy godzinami. Wygląda na to, że minęło tylko około dwudziestu minut.

Morze wznosi się złowieszczo, fale rozbijają się u podnóża klifu w rozbryzgach białej piany. Coraz ciemniejsze niebo siecze nas deszczem. Łapię Sama za rękę i ruszamy biegiem wzdłuż podnóża klifu brzegiem plaży, gdzie wznoszące się nad nami skały dają choćby niewielką osłonę przed ulewą.

– To ciekawe! – wołam, przekrzykując burzę.

Sam przyciąga mnie do siebie. Z ochotą wtulam się w jego ramiona.

– Czyste szaleństwo! – odkrzykuje. – Niczego takiego nie zapowiadali!

Zagląda mi w oczy, toteż uśmiecham się, idąc w jego ślady. Stajemy, zapatrzeni w strugi deszczu spadające na piasek i wybijające w nim dołki. Pogoda okazuje się nieobliczalna. Wiatr miota po plaży solidnymi kawałkami drewna wyrzuconego na brzeg. W dali uderza grzmot.

– Nie możemy stać w czasie burzy – decyduje Sam. – Chyba damy radę wrócić do samochodu, jeśli zachowamy ostrożność.

Ale ja mam ochotę zostać pod osłoną skał i przyglądać się, jak żywioły natury walczą ze sobą.

– W porządku – odpowiadam i ruszam za nim biegiem po mokrym piasku, zerkając nerwowo w kierunku stromej ścieżki prowadzącej na szczyt urwiska.

Sam uruchamia silnik samochodu i od razu ustawia grzanie na maksimum. Ściągam z tylnego siedzenia jego sweter, wycieram nim sobie twarz i włosy, po czym podaję jemu.

– To było nawet dość zabawne – mówię, patrząc, jak palcem owiniętym w brzeg swetra wyciera sobie wodę z uszu.

– Na swój sposób rzeczywiście było zabawne – przyznaje. – Ale dość tej zabawy. Dżinsy obrzydliwie kleją mi się do nóg.

– Moje także.

Wrzuca pierwszy bieg.

– Wracajmy do domu. Wyglądasz na zmęczoną. Utniesz sobie drzemkę, jeśli tylko zdołasz.

Kiwam głową z ironiczną wdzięcznością. Mimo przemoczonego ubrania i mieszanki kofeiny z adrenaliną, którą zamierzałam utrzymać się na chodzie przez cały dzień, czuję, że oczy mi się same zamykają, gdy tylko opieram głowę o brzeg starego swetra Sama zawieszzonego w oknie auta. Przesypiam całą drogę powrotną do domu, przeżywając w marzeniach sennych denerwujące zmiany, w których Sam i Guy zamieniają się miejscami, jak gdyby zlewając się w jedną osobę.

Rozdział 9

W poniedziałek o siódmej rano, przekonana, że udało mi się bezproblemowo spędzić podróż i jestem już gotowa stawić czoło wyzwaniom Londynu, natykam się na Guya. Przeciskam się przez tłum wypełniający stację Paddington, zmiernając z innymi podróżnymi do ruchomych schodów prowadzących do metra, gdy nagle słyszę za sobą, jak wykrzykuje moje imię.

Udaję, że go nie słyszałam, i dalej spieszę do stacji metra, mając nadzieję, że gdy wskoczę do pociągu, zgubię go na dobre. Ale wbrew sobie oglądam się.

– Lara! – wykrzykuje z obojętną miną.

Jego widok przyprawia mnie o poczucie krańcowej zdrady. Wszystko, co wmawiałam sobie przez ten weekend, blaknie nagle pod wpływem niewiarygodnej fali fizycznego pożądania.

– Cześć. Wszystko w porządku? Miałem nadzieję spotkać się z tobą wieczorem na stacji.

Zbieram się do kupy, mając nadzieję, że z powodzeniem nadaję moim rysom wyraz rozsądnego i stosownego spokoju. Bo przecież muszę zachować godność, nie mogę dopuścić, żeby zrozumiał, jak bardzo go pragnę.

– Przepraszam, ja tylko... nie widziałam cię wcześniej, Guy. – O tak wczesnej porze na stacji wcale nie panuje taki ruch, jak można by się spodziewać, ale mimo wszystko mijają nas jacyś ludzie, przy czym każdy pędzi z taką determinacją, jakiej zawsze można się spodziewać w poniedziałkowy ranek. Tymczasem my zastygamy naprzeciw siebie, może trochę bliżej, niżby wypadało, jak gdyby nieświadomi toczącego się wokół nas życia.

Wszystko można poznać po wyrazie jego twarzy, która przypomina mi maskę człowieka z odległej przeszłości. Czuje się bezpieczny. Mogę to wyczytać w każdym szczególe jego rysów. Odpycham od siebie świadomość, że jest żonaty i ewidentnie gotów zdradzić swoją żonę.

– Posłuchaj, bardzo przepraszam – mówi. – To się nigdy nie powinno było wydarzyć, ta sprawa pozostaje poza dyskusją. Żadne z nas nie jest gotowe do zaangażowania się w tego rodzaju związek... Ale pozostajemy przyjaciółmi, prawda? Proszę, nie staraj się mnie unikać, Laro. Już nigdy więcej nie dojdzie do czegoś takiego. Jasne? Możemy śmiało wrócić do takich relacji, jakie łączyły nas wcześniej. Nie spotykajmy się więcej pod nieobecność Ellen. Potraktujmy ją jak naszą przyzwoitkę. W ten sposób zachowamy bezpieczny dystans. – Bierze mnie za rękę, a ja, całkiem mimowolnie, odwzajemniam jego gest. I od razu tego żałuję, pospiesznie cofam rękę i uśmiecham się na tyle sztucznie, na ile sztuczny musiał mu się wydać mój gest.

– Laro. Dobrze wiesz, jak bardzo cię lubię. Z wytęsknieniem oczekuję co tydzień spotkania z tobą. Oboje posunęliśmy się za daleko pod wpływem alkoholu. Ale bądźmy dalej przyjaciółmi, dobrze?

Kiwam głową.

- W porządku.
- To dobrze. Świetnie. Nie będę ci się teraz dalej naprzykrzał, ale spotkamy się w piątek, dobrze? I nie martw się. Nie przysporzę ci dalszych zmartwień.
- Zatem życzę ci miłego tygodnia, Guy.
- Ja tobie tego samego.

Oboje się wahamy. Przychodzi mi do głowy, że on, podobnie jak ja, zastanawia się nad pocałunkiem na pożegnanie. Decyduję szybko, że byłoby to zbyt niebezpieczne, toteż unoszę rękę, odwracam się i odchodzę w stronę wyjścia z peronu do stacji metra. Mam wielką ochotę się obejrzeć, ale postanawiam tego nie robić.

W piątek rano wymeldowuję się z hotelu i wychodzę, ciągnąc za sobą swoją walizkę na kółkach. Przez cały dzień, który spędziłam przy telefonie na rozmowach z radcami prawnymi, sugerując im wydanie zgody na nasze projekty budowlane, starałam się o nim nie myśleć. Wmawiałam sobie, że jestem zła i nie mogę do tego dopuścić. Aż robi mi się niedobrze na wspomnienie tamtego wieczoru. Nie chcę być tego typu kobietą. Przed laty porzuciłam perspektywę tego rodzaju przyszłości dla siebie.

Dzień upływa powoli. Doradcy ważą swoje siły, wystawiając moją cierpliwość na próbę.

Zjawiam się na stacji przekonana do swojej decyzji. Deszczowy spacer sprzed tygodnia szlakiem turystycznym z Samem budzi miłe wspomnienia, toteż cieszę się z możliwości powrotu do Kornwalii. Odbieram jego SMS-a, wjeżdżając ruchomymi schodami na peron dworca Paddington. „Co powiesz tym razem na Jaszczurczą Ścieżkę? Na Kynance Cove? Wracaj szybko i bezpiecznie do domu”. Odpowiadam z taką serdecznością i entuzjazmem, jakie tylko da się zawrzeć w wiadomości tekstowej, po czym kieruję się prosto do poczekalni pierwszej klasy z groźnie ściskającym się żołądkiem.

Guy zjawia się w barze wcześniej niż zazwyczaj. Ellen przychodzi zaraz po nim, zastanawiam się więc, czy nie poprosił jej o odegranie roli przyzwoitki, jak zapowiadał wcześniej. Popijamy gazowaną wodę i przegryzamy ją herbatnikami, tylko dlatego, że akurat obie te rzeczy są pod ręką i są bezpłatne. Rozmawiamy bez zaangażowania o swoich przygodach z tego tygodnia i porównujemy plany na nadchodzący weekend, toteż mogę się cieszyć, że w tym zakresie wypadam świetnie.

Potem kontynuujemy rozmowy w pociągu, jak zwykle popijając gin z tonikiem i przegryzając go darmowymi czipsami, które niespodziewanie dostajemy od obsługi, zachowując się jak najbardziej poprawnie. Udaje mi się tak zaaranżować miejsce przy stole, że tym razem to Ellen siedzi przy oknie naprzeciwko Guya, a ja siadam obok niej. W ten sposób znajdujemy się najdalej od siebie, jak to tylko możliwe. I nawet po dwóch kolejkach udaje mi się odegnać od siebie żądze, bo

nauczona wcześniejszymi błędami wcielam się w rolę rozsądnej zameężnej kobiety, którą przecież jestem.

A ten cieniutki głosik protestu, który nakazuje mi szukać kontaktu wzrokowego z Guyem i szybko odwracać spojrzenie, który nachalnie przypomina mi o niezwykłych wrażeniach z ubiegłego tygodnia, jest lekko irytujący, ale udaje mi się go stłumić. Jestem ponad to.

– No, dobra – odzywam się do nich po dwóch drinkach. – Przykro mi, że opuszczam was tak wcześnie, ale jestem skonana. Kładę się spać. Do zobaczenia w niedzielę.

– Na pewno pojawisz się w niedzielę, Laro? – pyta Ellen. – W ubiegłym tygodniu wcale się nie pokazałaś.

– Przepraszam. – Celowo unikam wzroku Guya. – To był dla mnie trudny weekend. Nie udało mi się nadrobić zaległości w spaniu. Musiałam paść do łóżka jak zabita.

Kiwa głową i odsuwa kosmyk włosów z twarzy.

– Nie ma sprawy. Każdemu przytrafiają się takie weekendy. No cóż, śpij smacznie i do szybkiego zobaczenia, skarbie.

Niby wszystko robię normalnie, przebieram się w piżamę, kładę do łóżka, ale wpatrując się w sufit, próbuję zapomnieć o tęsknocie, która osiąga taki poziom, że jest już w stanie przyćmić wszystko inne. Ale postępuję właściwie: wracam do Sama. Każde inne działanie byłoby horrendalne. Nie do pomyślenia.

Ale jednak nie całkiem nie do pomyślenia, bo gdyby tak było, aż tak bardzo nie zaprzętałabym sobie tym głowy.

Ciche pukanie do drzwi całkowicie mnie zaskakuje. W równym stopniu marzyłam o tym, jak też bardzo się tego bałam.

Wstaję, lekko roztrzęsiona, i uchylam drzwi przedziału.

– Guy... – mówię.

Wchodzi do środka i szybko zamykam za nim drzwi. Na zasuwkę. Odwracam się do niego. Czarne włosy sterczą mu do góry, jakby specjalnie nastroszył je palcami. Mam ochotę je przygłodzić, ale powstrzymuję się przed tym.

– Przepraszam – odzywa się cicho. – Nie powinienem był tu przychodzić. Nie planowałem tego. Jakoś tak wyszło, że nie zdołałem się powstrzymać.

– Ja też próbowałam zachowywać się przyzwoicie. Ale w głębi serca miałam nadzieję, że się pojawisz. Skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać? Chyba nie pytałeś nikogo, który przedział zajmuję?

Reaguje śmiechem.

– Oczywiście, że nie. Po prostu zerknąłem do twojej rezerwacji, gdy byliśmy jeszcze w poczekalni.

– Proszę! Co za detektyw!

– Czasami przydaje się znajomość podstaw dedukcji. Naprawdę miałaś nadzieję, że przyjdę? Nie planowałem tego. Ale musiałem przyjść, choćby tylko po to, żeby

porozmawiać, ponieważ bardzo chciałem cię zobaczyć, Laro. Przez cały wieczór byłem podenerwowany. Bóg jeden wie, co Ellen o nas myśli. Mogę się założyć, że coś podejrzewa.

– Nie jest taka głupia.

Stoimy naprzeciwko siebie i patrzymy sobie w oczy, atmosfera szybko się zmienia. Moje ciało zachowuje się w jego obecności jak zdrajca. Skwapliwie szykuje się na to, co wkrótce nastąpi. Czuję, jak cała mięknę, na wszystkie możliwe sposoby.

Mój fizyczny pociąg do Guya okazuje się niezwykły. Kiedy tak stoję przed nim, jedyne, co się dla mnie liczy, to możliwość dotknięcia go. Już nie myślę o Samie. Jestem niezdolna do myślenia o czymkolwiek innym niż ten mężczyzna przede mną i moja desperacka chęć na niego. Pragnę go obsesyjnie i co gorsza, bardzo mi się to podoba.

Podchodzę bliżej, zarzucam mu rękę na szyję i przyciągam go do siebie. Całujemy się, potem zaczynamy ściągać z siebie nawzajem ubrania. Ciasny przedział nie jest najlepszym miejscem do uprawiania seksu, ale tym się nie przejmujemy. On siada na wąskim łóżku, ja siadam na nim okrakiem i rozpinam mu pasek spodni. Kiedy wsuwa dłoń pod moje majtki od pizamy, wstaję tylko na tak długo, żeby zdołał je ze mnie ściągnąć, po czym siadam z powrotem. Znowu się całujemy. I zaczynamy się obmacywać jak nastolatki.

Chyba równocześnie zdajemy sobie z tego sprawę, bo nagle odsuwamy się od siebie.

– Cóż... nie sądzę – odzywa się Guy z lekkim uśmiechem – abyś miała przy sobie prezerwatywę.

Wybucham śmiechem.

– Nie planowałam tego. Nawet nie brałam pod uwagę takiej możliwości. A na co dzień nie noszę prezerwatyw w kieszeniach.

– Ja też nie. A pomijając fakt, że zjawiłem się przed drzwiami twojego przedziału jak złodziejasek, bo ty wcześniej uprzejmie się z nami pożegnałaś, także nie jestem przygotowany na taką okazję.

– Może jednak uda nam się coś na to zaradzić – mówię z ociąganiem.

Zsuwam się z niego i klękam przed nim na podłodze. Już wcześniej przekroczyliśmy tyle granic, że i teraz szybko zapominam o moim mężu i jego żonie, a właściwie o wszystkim poza rytmicznym kołysaniem pociągu i nabrzmiałym członkiem Guya w moich ustach.

Później, dużo później, tulimy się do siebie na wąskim kolejowym łóżku, całkiem nadzy. Jestem niezwykle podniecona i tak bezgranicznie pochłonięta tą chwilą, że nawet przez moment nie dopada mnie poczucie winy.

– Naprawdę nie powinniśmy tego robić – odzywam się, przeciągając nosem po jego szyi. – Nawiasem mówiąc, podoba mi się twój zapach.

– Serio? Dziękuję. Ja także uwielbiam twój zapach. Doprowadza mnie do

szaleństwa.

– To dobrze. – Uśmiecham się i przeciągam palcami po włosach na jego piersi. – Coś ty mi takiego zrobił? To było... – Urywam, nagle zawstydzona. – No cóż, w każdym razie znasz się na rzeczy. To wszystko.

– To nie moja zasługa, Laro, tylko twoja. A raczej nasza wspólna. Razem potrafimy się doprowadzić do takiego stanu, jakiego dotąd nie znałem.

– Nie przesadzaj, musiałeś to znać. Bądź realistą. Po prostu od dawna nikt nowy cię tak bardzo nie podniecał. – Nagle uzmysławiam sobie, że prawdopodobnie jestem w błędzie. – W każdym razie ja na pewno niczego podobnego dotąd nie zaznałam. Dobrze wiesz, że tak jest. Ale ty mogłeś to wcześniej przeżywać. Nie chcę niczego sugerować, lecz nawet jeśli jestem tylko najnowszym wpisem na długiej liście twoich zdobyczy, mnie to i tak nie przeszkadza.

– Och, Laro! – Całuje mnie w czubek głowy. – Nie jesteś ostatnia na długiej liście. Przecież wiesz, że nie mam żadnego powodu, żeby cię okłamywać. To fakt, że nie zawsze byłem przykładnym mężem.

– Tak eufemistycznie nazywasz rżnięcie przy każdej okazji?

– To rzeczywiście eufemizm skoków na boki. Nie przy każdej okazji. Przez te wszystkie lata miałem tylko parę romansów. Jestem łobuzem. A moja żona jest święta.

– Wie o twoich skokach na boki? – Nagle wyobrażam sobie, jak szczerze wyznaje żonie, że kobieta w pociągu mu obciągnęła, a on odwdzieczył jej się z nawiązką. Na tę myśl aż ciarki przechodzą mi po grzbiecie. Spinam się cała i odsuwam od niego. Bo przecież jego żona łatwo mogłaby mnie wyśledzić i stanąć w progu naszego domu, żeby opowiedzieć o wszystkim Samowi.

– No, niezupełnie. Nigdy nie pokłóciliśmy się na ten temat. Zawsze podejrzewałem, że pewnie się domyśla, ale to jedna z tych rzeczy, którymi nie trzeba sobie zaprzętać głowy, jeśli się o nich nie mówi. A ta sytuacja obojgu nam odpowiada.

– Guy! Jak łatwo ci o tym mówić. Współczuję twojej żonie.

Staram się myśleć o niej obiektywnie, utożsamiać się z nią, dlatego jej współczuję. Nie ma to nic wspólnego z faktem, że właśnie tulę się do jej męża, przywieram do niego całym ciałem, przy czym oboje jesteśmy nadzy. Aż mam ochotę podjąć ryzyko stosunku przerywanego. Pewnie i tak bym nie zaszła w ciążę, ale biorąc pod uwagę jego przeszłość, nie to jest moim największym zmartwieniem.

– Tak myślisz? – pyta po namyśle. – Sądzisz, że skoro trafiają mi się ciastka, to je zjadam?

– Oczywiście! Ale ona przecież może robić to samo! Co byś powiedział, gdyby właśnie teraz tonęła w objęciach roznosiciela mleka?

Zamyśla się znowu.

– Nie mamy roznosiciela mleka. Teraz to już zanikająca profesja. Coraz rzadziej spotyka się mleczarzy. Ale rozumiem, do czego zmierzasz. Gdyby rzeczywiście odbywała się właśnie podobna schadzka i jakiś przystojniak dobierał się teraz do

mojej żony, oczywiście byłbym wściekły. Natomiast gdyby robiła to w przeszłości... a skąd mam mieć pewność, że tak nie było? Na pewno miała wiele okazji. To mało prawdopodobne, ale zdarzają się niezwykle rzeczy. Więc gdyby miało się okazać, że nie była mi wierna, musiałbym się z tym pogodzić, dlatego bardzo, ale to bardzo wolałbym o niczym nie wiedzieć. Byłbym za to niezmiernie wdzięczny.

– No cóż, jak na ironię, takie podejście moralne daje ci wolną rękę do postępowania według własnych życzeń, bez obowiązku wspomnienia jej o tym choćby jednym słowem.

– Rzeczywiście to jest wygodne, prawda? – Całuje mnie. – Wybacz, że taki gówniany ze mnie facet i że w pełni pojmuję tę sytuację i godzę się z nią. Przynajmniej możesz mieć pewność, że nie powiem o niczym Di, więc nie grozi ci to, że będzie cię nachodzić w domu.

– A niech cię szlag... Właśnie tego się obawiałam. Więc jednak coś w tym jest, jak sądzę.

– A ty? Zakładam, że zaraz po wyjściu na stacji w Falmouth nie załamiesz się i nie wyznasz od razu wszystkiego mężowi.

– Jeśli mam być szczerą, w tej chwili nawet boję się myśleć, co mnie czeka w czasie weekendu. Na razie jest mi dobrze, tu i teraz. Domyślam się, że prawda zwali się na mnie całym brzemieniem, jak tylko wyjdiesz z mojego przedziału. Nie, o niczym nikomu nie powiem. Nie mogłabym tego zrobić Samowi. Ostatni weekend był dla mnie jednym pasmem wyrzutów sumienia. Teraz, rzecz jasna, będę miała do nich dużo więcej powodów. Prawdę mówiąc, zapisałam się do kolejki spragnionych najcięższych wyrzutów sumienia.

Przenosi rękę ponad moim ramieniem i obejmuje mnie w pasie, układa dłoń u nasady mojego kręgosłupa i delikatnie przyciąga mnie do siebie. Uwielbiam dotyk jego palców na mojej skórze. Jeszcze nikt w ten sposób nie dotykał moich pleców, nawet Sam.

– Laro – mówi z ociąganiem. – Posłuchaj. Jeśli masz ochotę, możesz mi powiedzieć, żebym się od ciebie odpieprzył. Ale powinnaś wiedzieć, że wcale nie musisz się skazywać na żadne cierpienia. Ludzie robią to na każdym kroku. Połowa twoich znajomych postępuje dokładnie tak w całkowitej tajemnicy. Może to robić także Sam, który całymi tygodniami jest w Falmouth skazany tylko na siebie. Jak powiedziałem wcześniej, może to robić także Diana, chociaż ma tak ściśle wypełniony czas każdego dnia, że musiałaby naprawdę imponująco kombinować. Więc może właśnie w ten sposób ludzie próbują przejść przez życie. Może właśnie takie sprawy stanowią sekret długotrwałych związków.

– Guy! Przestań. To nie działa.

– Wiem, że nie działa. Przepraszam. Chciałem tylko usłyszeć, jak to brzmi. Bo przecież mogłoby działać.

– Nic z tego. Ale... – Nie chcę tego powiedzieć, lecz jakimś sposobem nie mogę się powstrzymać. – Problem polega na tym, że ja nie muszę szukać wymówek na to, by wmawiać sobie, że wszystko jest w porządku. Po prostu nie potrafię cię

wykopać z mojego łóżka. Wiem, że to złe podejście, ale nie zamierzam się z nim kryć. Powinnam była rozstać się z Samem przed wiekami. Dałeś mi tylko dowód, że przeczucia mnie nie myliły.

Rozdział 10

Wigilia

Iris mieszka przy niedużej ulicy, pod małym laskiem, w domu, który z perspektywy sprawia wrażenie chylącej się ku ruinie siedziby artystycznej bohemy. Pada drobniutki deszcz, taki rodzaj mżawki, która zdaje się zawisać w powietrzu, umożliwiając człowiekowi swobodne przejście, zamiast ciskać w niego kroplami wody. Podjazd jest brukowany, między kamieniami rosną kępy wybujałej trawy, i kończy się pod ścianą z ustawionym pod nią szeregiem pustych doniczek oraz porzuconym dziecięcym rowerkiem, przez co tym bardziej sprawia wrażenie dalekiego ubożego kuzyna tych wspaniałych posesji, do których przyprowadzą sąsiednie podjazdy.

Ruszam w jego stronę od ulicy, na której zaparkowałam samochód zgodnie z tym, co powiedziała mi nerwowo w rozmowie telefonicznej.

– Tylko nie wchodź do środka – rzuca pospiesznie, po czym oferuje spotkanie w kawiarni czy pubie, gdziekolwiek, byle nie tutaj. Ale ja się uparłam, uznawszy, że nie mam innego wyjścia. Mam wyrzuty sumienia przez to, co zamierzam tu dzisiaj zrobić, ale wmawiam sobie, że któregoś dnia wszystko jej wynagrodzę.

– Proszę – mruknęłam błagalnie pod koniec rozmowy telefonicznej. – Muszę wyjść i z przyjemnością obejrzę dom, w którym mieszkasz. Nie zajmę ci dużo czasu. Chcę tylko na jakiś czas wyrwać się z Falmouth. Przywiozę ciastka.

Po chwili milczenia zaśmiała się.

– No cóż, skoro przywieziesz ciastka...

Wyczułam, że nikogo nie zaprasza do swojego gniazdka, przez co jeszcze bardziej mnie zaintrygowała.

W miarę jak zbliżam się do domu, spostrzegam, że jest w gorszym stanie, niż można by sądzić z oddali. Drewniane ramy okienne są przegniłe. W wielu miejscach wapienna zaprawa poodpadała. Z kępy drzew po lewej wyłania się kot, podchodzi do mnie i zaczyna mi się ocierać o nogi. Przystaję, żeby go pogłaskać. Ma długą sierść i roztacza wokół siebie tajemniczą aurę, jego czarne futro, z pozoru miękkie i puszyste, okazuje się przemoczone.

Staję na progu z kotem przy nodze i pociągam za staroświecki łańcuszek, który wywołuje dźwięczny głos dzwonka za drzwiami. Dzwonienie powtarza się drugi i trzeci raz, co też jest nietypowe, tak samo jak słyszane na co dzień odgłosy dzwonka. Czekać na Iris, pozwalałam sobie posmakować samotności w takim miejscu.

Dla Sama jestem tak miła, jak to tylko możliwe. Zwraca na to uwagę i przytula mnie mocniej do siebie. Nie odstępuje mnie na krok, przynosi kolejne filiżanki herbaty, pyta, co chciałabym robić, i robi smutną minę, jeśli moje propozycje wykluczają możliwość nieskończonego pozostawania sam na sam, trzymania się

za ręce i ciągłego uśmiechania się do siebie. Dobrze wiem, że zasługuje na pełnię mojej uwagi, którą mu zresztą poświęcałam od chwili powrotu z pracy w piątek, ale czasami zachodzi konieczność wycofania się z wcześniejszej postawy.

Bo teraz już mam romans. To określenie tak często pojawia się w mojej głowie i jest tak bardzo szokujące i przypominające o grzechu, że mam poważne wątpliwości, czy zdołam spokojnie zasnąć. Ciągle się martwię, że zwrócę się do Sama nie tym imieniem, że czymś się zdradzę albo zrobię coś niewłaściwie.

A ponieważ jest Boże Narodzenie i oboje z Guyem spędzamy czas z rodzinami (albo raczej to on przebywa w gronie rodzinnym, bo ja jestem tylko z Samem), uzgodniliśmy, że nie będziemy się ze sobą kontaktować do czasu powrotu do pracy w Londynie w nowym roku. Tak więc jestem zdeterminowana, by sprawiać wrażenie bezgranicznie oddanej mężowi. Nie wysyłam SMS-ów do Guya, nie dzwonię do niego, nie zjawiam się przed jego domem, chociaż wiem dokładnie, że mieszka w wiosce na samym krańcu świata.

Mamy z Samem swoją choinkę, kartki świąteczne i całą masę jedzenia. Przed nami perspektywa świąt z nieprzyjemną lekką mżawką, spędzonych na jedzeniu, piciu i oglądaniu telewizji. Nikt nas nie odwiedzi, Sam postarał się, żeby jego zniechęcała matka i agresywny brat pozostali w domu rodzinnym w Sussex, grając naszymi cotygodniowymi rozstaniem jak kartą atutową, przez co udało mu się zapobiec ewentualnej inwazji na naszą fortecę.

– W tym roku będziemy mieli spokojne święta – zapowiedział przez telefon. Nie miałam wtedy pojęcia, o co mu chodzi, ale nie miało to większego znaczenia. – Tylko ja i Lara. To najlepszy prezent gwiazdkowy, jaki mógłbym sobie wymarzyć.

Mną kierują zdradzieckie intencje. Przez poczucie winy jestem dla niego szczególnie miła, a on jest z tego powodu nadzwyczaj szczęśliwy.

Ale dzisiaj wzięłam sobie wychodne. Musiałam się spotkać z Iris, głównie w celu ucieczki od sztucznej zażyłości, lecz także z drugiego, równie karygodnego powodu. Kiedy za drzwiami rozlegają się ciężkie kroki, przez myśl przelatuje mi pytanie, czy jej chłopak kontroluje ją na każdym kroku, czy może ich związek jest jeszcze bardziej ponury. Instynktownie przyjmuję tę drugą wersję i nagle odżywa we mnie nadzieja, że w końcu go poznam.

– Lara! Cześć. Miło cię widzieć.

Iris ruchem ręki zaprasza mnie do środka. Ma na sobie cienkie czarne dżinsy i gruby puszysty sweter, o który muszę z pozoru mimowolnie się otrzeć, gdy ją mijam, bo wydaje się tak niemożliwie miękki.

– To kaszmir? – pytam.

Śmieje się w głos.

– Dobrze by było. To sztuczny kaszmir z H&M, zamówiony przez internet. Jak się miewasz? Napijesz się herbaty? Kawy? A może czegoś mocniejszego?

Nagle zaczynam żałować, że nie przyjechałam tu na rowerze, jak robi to ona.

– Z przyjemnością napiję się kawy. Dzięki. Gdybym nie przyjechała samochodem, z chęcią napiłabym się czegoś mocniejszego. – Wręczam jej kartonowe pudełko z ciasteczkami czekoladowymi.

– Otóż to, właśnie dlatego zaproponowałam ci spotkanie na mieście. Ale w porządku. Kawa już się robi. Ciasteczka? Wielkie dzięki.

Idę za nią do kuchni, miłej i przytulnej, ani trochę nie tak obskurnej, jak można by sądzić po zewnętrznym wyglądzie domu. Podłoga jest z wyślizganych wiekowych desek, a urządzenie kuchni, trochę staroświeckie, robi miłe wrażenie.

– Podoba mi się twoja aga – mówię.

Odgarnia do tyłu włosy z twarzy i wyjaśnia:

– Nie jest prawdziwa, tylko elektryczna. Prawdę mówiąc, to nowoczesny elektryczny piecyk udający staroświecką agę, ale masz rację, wygląda nieźle. Skoro już o tym mowa, stygną w niej paszteciki z mięsem. Mam nadzieję, że będą ci smakować.

– Nie wątpię w to. Dzięki. Trudno nie lubić pasztecików z mięsem. Czy twój chłopak Laurie jest w domu?

Nalewa wrzątku do dziwnego urządzenia z dwoma plastikowymi cylindrami i przeciska przez nie tłok, podstawivszy dzbanuszek pod dzióbek.

– Jest setki kilometrów stąd, jak sądzę. Wielka szkoda. Normalnie trudno wyciągnąć go z domu, a właśnie teraz musiał wyjechać w sprawach rodzinnych. No, wiesz, Boże Narodzenie. A jego rodzina... ma skomplikowaną sytuację.

– Nie musisz nic więcej mówić. Lata minęły, zanim uświadomiłam sobie, że za każdym ciągnie się jakaś dziwna historia rodzinna. Zawsze myślałam, że w tym zakresie jestem wyjątkiem. Dopiero gdy otworzyły mi się oczy na rzeczywistość, uprzytomniłam sobie, że w tej dziedzinie nie ma żadnych wyjątków. A przynajmniej trzeba być niezłym świrem, żeby uważać się za wyjątek.

– Z grubsza rzecz biorąc, to prawda. Pozostaje mi się cieszyć, że nie musiałam jechać z nim na tę rodzinną wizytę. Tak więc jestem sama z kotami.

– Ale nie jesteś sama na Boże Narodzenie, prawda? Co z twoją rodziną?

– Och, o niej wolę w ogóle nie wspominać. Mieszkają w Putney, ale nie widziałam się z nikim od lat, a i oni tu nie zaglądają. Mylisz się jednak, Laurie powinien wrócić dzisiaj późnym wieczorem. Zatem nie będę sama. Aż nie mogę się doczekać, jak usłyszę taksówkę zatrzymującą się przed naszym domem. To jedyna pora roku, kiedy wyjeżdża na dłużej, a i to tylko dlatego, że uważa to za nieuniknione.

Wkłada rękawicę kuchenną, kuca przed drzwiczkami piecyka i uchyla je, wypuszczając falę intensywnego aromatu mięsnego farszu, który według mnie ma zakończyć tę dyskusję. A ja chciałabym ją jeszcze zapytać o jej rodzinę. Intryguje mnie, że nigdy o niej nie wspominała, jak gdybyśmy obie miały pewność, że już nigdy nie zamieni z nią ani słowa. Ale chciałabym wiedzieć, co ona czuje w tej sprawie.

Zdobywam się jednak tylko na tyle, żeby powiedzieć:

– Jasna cholera, Iris! Po raz pierwszy widzę takie paszteciki domowego wyrobu! Musiałaś poświęcić na nie kilka godzin pracy.

Uśmiecha się.

– Lubię piec. Nadzwyczaj dobrze wychodzą mi wszelkie ciasta. To przez zimne

dłonie. Gdybym kiedykolwiek musiała się przenieść do Paryża albo jeszcze dalej na południe, mogłabym się ubiegać o tytuł mistrzowski w zakresie piekarnictwa. Inni ludzie mają zdolności do matematyki albo... no wiesz, fizyki jądrowej, a ja jestem w stanie pokonać wszystkich w szykowaniu tarty z jakimś dżemem.

– A ludzie zawsze będą mieli ochotę na takie tarty.

– Zgadza się. Weź pod uwagę na przykład apokalipsę. Wystarczy, że zgromadzę sobie zapas mąki, tłuszczu i owoców, żeby zapewnić ocalałym słodkie wypieki i zyskać ich wdzięczność.

Podaje mi kubek z kawą, po czym układa moje czekoladowe ciasteczka na talerzu razem ze swoimi pasztecikami. Szeroki kubek, ozdobiony różnym wzorkiem, jest nieporęczny. Ale sama korzysta z identycznego, przy czym jej, jak zauważam, jest wyszczerbiony po jednej stronie.

– To wielka ulga – mówię, po czym biorę talerz z ciasteczkami i ruszam za nią ciemnym korytarzem do saloniku z panoramicznym oknem i drzwiami balkonowymi prowadzącymi na pozbawiony roślinności, ale zadbane ogród na tyłach domu. Trawa jest krótko przystrzyżona, płaty darni odwrócone korzeniami ku górze są wolne od chwastów. – Oczywiście z tego powodu, że dobrze wiesz, co możesz zrobić w wypadku załamania się struktur społecznych.

Wskazuje mi miejsce w głębokim fotelu, a sama siada na sofie, odsuwając ostatni numer sobotniego magazynu „Guardiana” na bok. Nie wiadomo skąd pojawia się kot i wskakuje jej na kolana.

– Możesz tu zostać, Desi – odzywa się Iris matczynym tonem – jeśli nie będziesz się dobierać do moich pasztecików, zrozumiano? Ale ty na pewno też dasz sobie radę, Laro. Wiesz, jak zbudować dom. Powinnaś się znaleźć wśród najbardziej przydatnych ludzi pozostałych po zagładzie świata.

– Jestem gotowa zbudować ci dom w zamian za to, co upieczesz – mówię. – Te paszteciki są niesamowite.

– Dzięki.

– To nieprawda, że potrafię budować. Musiałabym zebrać gromadkę budowlańców, żeby móc nimi zarządzać. – Zamyślam się na chwilę. – A do tego nikt nie musiałby występować o zgodę biura planowania przestrzennego, prawda? Tak więc znacząca część moich umiejętności byłaby zbyteczna.

– Nieprawda, świetnie poradziłabyś sobie z zarządzaniem. Zostałabyś królową, zanimbyś się spostrzegła.

– Mam przez to rozumieć, że mogłabym instruować innych ludzi, jak rozmieszczać instalację elektryczną, zamiast zajmować się tym sama? To byłaby dobra nowina.

Rozglądam się dokoła. Pokój jest elegancko urządzone, ale widać w nim ślady życia Iris i Lauriego. Bez trudu można wydedukować, że jedno z nich lubi kryminały, podczas gdy drugie zaczytuje się powieściami obyczajowymi. Kupują „Guardiana”, ale głównie wydania sobotnie. Sądząc po identycznych ciemnych kręgach na blacie stolika do kawy, oboje gustują w czerwonym winie. Pod oknem stoi niewielka prawdziwa choinka, udekorowana głównie srebrzystymi kulami,

z umieszczonym na czubku przykucniętym aniołkiem, sprawiającym wrażenie artystycznego wyrobu jakiejś sekty z Gwatemali, ale pod nią nie ma żadnych prezentów. Na gzymsie kominka stoją tylko dwie kartki świąteczne i mogłabym się założyć, że gdybym się im przyjrzała z bliska, okazałyby się, że są to kartki wysłane przez Iris do Lauriego i odwrotnie.

– Uroczu tu – mówię. – Ale nie nudzi ci się?

– Nie. – Podciąga nogi pod siebie. – Jeśli nawet wygląda to na znudzenie, oboje jesteśmy tak samo szczęśliwi w naszej sytuacji.

Czuję dobrze mi znane poczucie tęsknoty, z którym muszę się zmagać w każdej chwili dnia codziennego. Jednak skutecznie odcinam się od niego i skupiam na celu mojej wizyty. Nie tylko mam obsesję na punkcie Guya, odczuwam co do niego taki niepokój, że nawet nie chcę o nim mówić, żeby nie wyjść na wariatkę. Właśnie dlatego zamierzam o tym szczerze porozmawiać z Iris.

– Wiesz co? – zaczynam z ociąganiem. – Może to zabrzmie dziwnie, ale czy mogłabyś mnie oprowadzić po swoim domu?

Spogląda na mnie.

– Mówisz poważnie? Nie jest szczególnie interesujący, ale mogę cię oprowadzić, jeśli tego chcesz. Oczywiście w nadziei, że przymkniesz oko na bałagan i nieporządki. Tylko skąd ta prośba? Raczej nie możesz się kierować zawodową ciekawością w takim miejscu.

Wzdycham głośno.

– Nie mogę się powstrzymać od tego, żeby nie oglądać różnorodnych budynków. Zajmuję się właśnie przerabianiem dawnych powierzchni magazynowych na mieszkania i winiarnię. Z przyjemnością urządziłabym tę przestrzeń w taki sposób, jakiego nikt się nie spodziewa.

Iris wstaje.

– W porządku. Ale weź pod uwagę, że tylko wynajmujemy ten dom, więc od razu mi powiedz, co moglibyśmy zrobić, gdybyśmy mieli nieograniczone zasoby finansowe i kupili go na własność. Moglibyśmy z niego zrobić naprawdę imponującą posiadłość.

Z kubkami kawy w rękach ruszamy na obchód. Jak się okazuje, niewiele jest tu do oglądania. Drzwi z salonu prowadzą do jadalni z masywnym stołem, na którym leżą sterty książek i jakichś papierów.

– Tutaj pracuję – potwierdza Iris. – Masz przed sobą scenerię zaciętego redagowania tekstów.

– To przyjemny pokój. Mogłabyś wiele w nim zrobić. Jest tu mnóstwo naturalnego światła.

Iris podchodzi do okna.

– Wiem, że jest bardzo miły, chociaż zimą jest tu naprawdę chłodno, bo piec znajduje się za ścianą. Więc wyobraź sobie, jak bardzo robi się tu zimno, gdy nastaje wyjątkowo mroźna zima.

Podchodzę do okna i staję obok niej.

– Zgadza się, to ściana od południowego zachodu. Pewnie musi być stąd

wspaniały widok z jasnoblękitnym niebem i jaskrawym słońcem nad zaśnieżonym trawnikiem. Z soplami pod okapem i lodowymi taflami na kałużach. Jak, dajmy na to, w Himalajach.

Obie w milczeniu wyobrażamy sobie przez chwilę zimowy krajobraz.

– W pokoju jest tylko dwanaście stopni przez cały rok – dodaje Iris. – Ale przynajmniej mamy wspaniałą zieleń za oknem.

– A to już coś, prawda? – odpowiadam z uśmiechem.

Poza ciasną łazienką na parterze nie ma już nic ciekawego. Na piętrze dominuje duża sypialnia, bez wątpienia należąca do Iris i Lauriego, bo na dywanie leżą porozrzucane części garderoby, zarówno męskiej, jak i damskiej. Druga, mniejsza sypialnia; dom budzi moje pożądanie.

– Ten pokój wykorzystujemy jako gabinet – tłumaczy Iris, zatrzymawszy się w progu. – Trzymamy tu wszystkie papiery.

Biurko kojarzy mi się z tanim meblem, który ludzie kupują, gdy nie mają innego wyjścia, ale na pewno nie jest to sprzęt z Ikei, bo nigdzie w Kornwalii nie ma sklepu tej sieci. Na nim rzeczywiście piętrzą się sterty papierów, ale starannie poukładanych. Całą ścianę zajmuje wielki regał z książkami, których jest tak dużo, że nie tylko leżą jedne na drugich, ale jeszcze tworzą pokaźne sterty na podłodze przy regale. A naprzeciwko stoi duża szafka z szufladami na papiery.

– Nie trzymamy tu ubrań – tłumaczy Iris. – Tylko wszystkie rachunki, stare dokumenty i różne graty.

Komórkę trzymam przygotowaną w kieszeni. Nachodzą mnie wyrzuty sumienia, ale to jedyny plan, jaki byłam w stanie wymyślić. Zbliżam się do okna wychodzącego na frontowe podwórze, widać też z niego kamienisty podjazd i mój samochód stojący w oddali przy ulicy.

– Ten pokój także łatwo byłoby przerobić. Jest nad nim poddasze? Można by tu wpuścić blask gwiazd, a przynajmniej wypełnić przestrzeń naturalnym światłem.

Rozlega się donośny, staroświecki dzwonek telefonu stojącego gdzieś w głębi domu. Iris spogląda na mnie zmieszana.

– To linia stacjonarna – mówi. – Dziwne. Rzadko ktoś dzwoni pod ten numer. Pewnie lepiej będzie, jak odbiorę. Ten terkot jest naprawdę nie do zniesienia.

Wychodzi na korytarz i ledwie znika mi z oczu, wyciągam szufladę regału z papierami. Wyrzuty sumienia nie dają mi spokoju, ale to naprawdę jedyne wyjście, jakie przychodzi mi do głowy. Któregoś dnia wszystko wyjaśnię albo odłożę to na miejsce. Być może nawet niczego nie zauważy.

Po minucie zjawia się z powrotem w pokoju, kręcąc głową.

– Wszystko w porządku? – pytam, odwracając się od okna i ruszając w jej kierunku.

– Tak – mówi niepewnie. – Chyba tak. Nikt się nie odezwał. A gdy wywołałam rejestr połączeń, okazało się, że nie ma takiego numeru.

Wracamy krótkim korytarzem i dalej schodami na dół.

– Nam to się zdarza cały czas. Chodzi o reklamy. Wynajęci ludzie dzwonią pod każdy numer w danym rejonie.

– Poważnie? Może i tak, ale mnie się to wcześniej nie zdarzało. Zresztą mniejsza z tym. Masz ochotę na drugą kawę?

– Owszem – mówię. – Napiję się z przyjemnością.

Rozdział 11

Styczeń

Święta dobiegają wreszcie końca. Nowy rok witamy z Samem uroczystym obiadem i drinkami w Falmouth, niczym wodoszczelny dwuosobowy zespół. W milczeniu wędrujemy później do domu wśród grupki wiwatujących ludzi, jak gdyby całkiem obojętni na powód ich hulanki. W pierwszy wieczór nowego roku ściskam czule męża i z bijącym mocno sercem, z pulsem łomoczącym w skroniach, wyruszam w drogę do pociągu. Guy czeka na mnie w wagonie restauracyjnym, jak gdybyśmy w ogóle się nie rozstawali.

Tygodnie upływają błyskawicznie. Moja obsesja na punkcie Guya sięga progu szaleństwa. Nigdy dotąd nie zaznałam niczego podobnego. Zależy mi tylko na tym, żeby być z nim, żeby go dotykać i rozmawiać z nim. Nic innego się nie liczy.

Znam każdy centymetr jego ciała, a on zna moje. Kiedy spoglądam na obcych albo kolegów z pracy, zastanawiam się, czy przeżywali taką seksualną obsesję. Czy małżeństwa innych ludzi zaczęły się od takich fajerwerków? Czy to z tego powodu Leon, kiedy poznał Sama, radził mi, żebym za niego nie wychodziła? Czyżby już wtedy dostrzegał to, czego ja nie widziałam: że któregoś dnia zdarzy się właśnie coś takiego, co pochłonie mnie bez reszty i odciągnie od męża?

Bardzo długo byłam dobrą dziewczynką. Tylko raz w przeszłości zrobiłam się złą. Teraz znów jestem złą, ale zupełnie inaczej, poza tym stawka jest dużo niższa. Pewnie dlatego tak łatwo mi to przychodzi.

Nawet poczucie winy, świadomość zdrady, ekscytacja malująca się na twarzy Sama, kiedy przyjeżdżam do domu w sobotę rano, i jego smutek, gdy wyjeżdżam w niedzielę wieczorem, nie mogą mnie powstrzymać. Dobrze wiem, że to, co robię, jest złe. Wiem, że rujnę nasze małżeństwo. Mam ochotę zakończyć je natychmiast. Tylko ciągle coś mnie powstrzymuje, czasami nadzieja, że urok pryśnie i pędem powrócę w ramiona Sama, żeby błagać go o wybaczenie, zastanawiając się, w co naprawdę grałam. Kiedy indziej otwieram już usta, żeby wyznać wszystko, ale nie potrafię. Pragnę Guya i tylko Guya, przez cały czas.

Staram się być miła dla Sama w czasie pobytów w domu, jak choćby w święta. Jestem o wiele miłsza, niż byłam do tej pory. Uprzejma i troskliwa, zainteresowana wszystkim, co mówi, znajduję nawet siły na spacer i przesiadywanie w pubach. Kiedy od czasu do czasu uprawiamy seks, fantazjuję, że nie jest moim mężem, tylko kochankiem. Nienawidzę siebie za to, ale jeszcze bardziej się brzydzę, kiedy tego nie robię.

Na każdym kroku widzę cienie i zjawy. Jestem przekonana, że coś mi zagraża, chociaż nie umiem powiedzieć, czy to zagrożenie realne, czy tylko mój umysł ubiera niepokój w formę zewnętrznego zagrożenia. Próbuję sobie wmawiać, że wyobraźnia podsuwa mi wizję wrogiej postaci śledzącej mnie zza rogu bocznej uliczki albo czającej się w bramie. Aż mam nadzieję, że ktoś fotografuje moje

spotkania z Guyem w Londynie, bo to by wymusiło jakąś zmianę. Mimo to łapie pociąg do Hendon i poświęcam całe popołudnie na ostatnie przygotowania, po których już nie rozstaję się z moim zestawem ewakuacyjnym. To nieco poprawia mi nastrój. Nie mogę rozpowiadać naokoło o tym, co zrobiłam, ponieważ nie zrozumie mnie nikt, kto nigdy naprawdę się nie bał o własne bezpieczeństwo. I mam nadzieję, że nikt nie będzie musiał doświadczać tego na własnej skórze. W gruncie rzeczy zawsze byłam gotowa do ucieczki, gdyby zaszła taka konieczność, a ten plan wydaje mi się jak dotąd najlepszy.

Tego nieprzyjemnego pochmurnego dnia stoję w deszczu na Waterloo Bridge. Mam wielką parasolkę, którą znalazłam w biurze i która wydaje się nie należeć do nikogo. Jest cudaczna, w szkocką kratę, do tego mam świadomość, że ciągle wpycham komuś w oko ostre zakończenia jej drutów, ale dzięki niej wciąż jestem sucha.

Odwracam się błyskawicznie, czując na sobie spojrzenie kogoś z przeciwnej strony ulicy, ale nikogo tam nie ma. To tylko mój sekret. Nie odważyłam się o tym wspomnieć nawet Guyowi.

Deszcz pada na mętną wodę Tamizy, każda kropla wzbudza koncentryczne kręgi, które szybko krzyżują się z innymi i zanikają. Pode mną przepływa statek wycieczkowy, prawie całkiem pusty. Gmach Parlamentu, Londyńskie Oko, South Bank – to wszystko widzę, stojąc na moście.

Dostrzegam go z daleka, wybija się z tłumu ludzi wracających z pracy. Jest już prawie całkiem ciemno, palą się uliczne latarnie, przejeżdżające autobusy i taksówki wzbijają spod kół fontanny wody. Niemniej rozpoznaję go z daleka, prostuję się więc z parasolką uniesioną wysoko, żeby nie sprawiać kłopotu innym przechodniom.

Kocham go bezwarunkowo i namiętnie. To tajemnica, której nie mogę zdradzić nikomu, także jemu samemu. Gdybym mu wyznała prawdę, mógłby się spłoszyć i przestać ze mną widywać, a to by oznaczało koniec mojego świata. Żałuję, że nie poznaliśmy się wcześniej, kiedy oboje byliśmy wolni. Chciałabym, żeby jego dzieci były moimi dziećmi, żebyśmy mogli żyć razem i razem spłacać kredyt hipoteczny oraz płacić coroczne podatki od dochodów. Chciałabym, żebyśmy spędzali weekendy na czytaniu gazet i sprzątaniu domu, robiąc się coraz bardziej zgryźliwi wobec siebie nawzajem. Byłabym gotowa na wszystko, bo przecież nasz związek byłby oparty wyłącznie na nieskończonej miłości i pożądaniu.

– Wilberforce! – zaskakuje mnie, używając mojego panińskiego nazwiska. Nie mam nic przeciwko temu. Nikt mnie już nie nazywa Larą Wilberforce, co mi się zresztą kojarzy z osobą zdolną do karygodnych czynów, do których Lara Finch nigdy by się nie posunęła. Poza tym, jak mówi Guy: „Wilberforce to zabawne nazwisko. Ale w pozytywny sposób. «Wilber» brzmi trochę żałośnie, ale »force« dodaje mu siły i ciska człowiekowi prosto w twarz. To nazwisko, które powinno ci dawać fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Jest jak kociak, który byłby zdolny

wydrapać ci oczy”.

– Aha, dzięki – mówię.

Od tamtego dnia zostałam dla niego Larą Wilberforce, na szczęście tylko dla niego.

– Guy – mówię, bo mogę się do niego zwracać tylko po imieniu.

Chcąc, żeby mnie chwycił w pól i uniósł w górę, gwałtownie odchyłam parasolkę w bok, przez co mijający nas człowiek przeklina pod nosem. Ale Guy bierze mnie pod ramiona i unosi, jak często to czyni. Zdarza się, że próbuję mu się odwdziaczyć tym samym, ale jest dla mnie za duży i za ciężki.

– Postaw mnie!

Opuszcza mnie i całuje namiętnie jak młodzik. Możemy to robić nawet w centrum Londynu w godzinach szczytu.

– Jak chciałabyś spędzić dzisiejszy wieczór? – pyta. Czwartkowe wieczory stały się dla nas czymś niezwykłym. Staramy się je wykorzystać, żeby zasmakować różnych rzeczy, jakie oferuje stolica. Biorę go za rękę i ruszam na północ, w stronę Aldwych.

– Znalazłam coś, co może być niezłe – mówię. – Albo dziwne. Później będziemy mogli spróbować. To stara publiczna toaleta. Męska.

– Brzmi uroczo.

Idziemy do pubu Lyceum, wchodzimy do środka, żeby się schronić przed deszczem, i znajdujemy wolny stolik na piętrze.

Dużo później siedzimy w sąsiednim podziemnym barze. Naprawdę mieści się w dawnej męskiej toalecie publicznej, która jeśli wierzyć wstępowi do menu, była często odwiedzana przez tak znanych ludzi, jak Wilde, Orton czy Gielgud, gdyż wszyscy mieszkali w West End. Teraz została przekształcona w bar koktajlowy z występami artystycznymi i na szczęście żadne z tych przedsięwzięć nie jest aż tak tandetne, jak można by sądzić.

Blond barman, wyjątkowo żywiłowy, wita nas jak starych przyjaciół i woła:

– Patrzcie, tam jest wolny stolik! Zajmujcie go szybko! Rzadka okazja!

Ściskamy się przy małym stoliku i pogryzając darmowy popcorn, zaczynamy się przebijać przez koktajlowe menu. Klientelę baru stanowi przypadkowa, ale znośna zbieranina samotnych wędrowców, kilka par oraz większa gromadka pań, które, jak zdradzają zasłyszane wypowiedzi, świętują rozwód jednej z nich. Delikwentka regularnie zalewa się łzami, po czym szuka pocieszenia u przyjaciółek.

– Spróbujmy teraz koktajlu z absyntem – decyduję. – Nigdy nie próbowałam absyntu. A ty?

– Ja też nie. Ominęły mnie szaleństwa młodości. Patrz, serwują tu nawet tabakę. To dziwactwo. Zażywałaś kiedyś czegoś takiego? Nie chodzi mi o samą tabakę. Najwyraźniej sprzedają ją, bo to rzecz najbardziej zbliżona do kokainy.

– Nie, Boże, skądże znowu – odpowiadam. – Nigdy nie próbowałam czegoś takiego.

– Ja też nie. Ani razu. Więc zamawiamy martini z absyntem?

– Tylko jedno. Potem wychodzimy.

– Zgoda.

W rogu sali zajmuje miejsce kobieta, która zapewne będzie śpiewać. Ma na sobie czarny gorset i króciutką spódniczkę, do tego odznacza się wielką grzywą natapirowanych czarnych włosów i jaskrawoczerwoną szminką na wargach. Zaśmiewa się razem z gromadką świętującą rozwód.

– Szkoda, że musimy iść jutro do pracy – wtrącam.

Guy pochyla się ku mnie.

– Czy nie moglibyśmy kiedyś zostać w Londynie na cały weekend? Mielibyśmy dla siebie dwie noce, piątkową i sobotnią.

To jest do załatwienia. Moglibyśmy się wykręcić od powrotu do domu i zalegalizować nasze wspólne życie w Londynie. Ale nie mogę go o to prosić. Nie mam prawa wymagać, żeby porzucił dzieci.

Wyciągam rękę i ściskam jego dłoń. Jest ciepła i silna, jak zawsze. Należę do ciebie, przychodzi mi nagle na myśl. Kocham cię. Ledwie mogę się powstrzymać, żeby nie powiedzieć tego na głos.

Kobieta zaczyna śpiewać *Sex on Fire*, chociaż robi to w trudnej do rozpoznania wersji akustycznej. Co dziwne, dającej się słuchać. Guy coś przekazuje samym ruchem warg. Przez chwilę zachodzę w głowę, czy nie było to „kocham cię”. Ale zaraz stwierdzam, że równie dobrze mogło to być „gdzie jest WC?”. Śmieję się krótko, odsuwam kieliszki i pochylam się nad miseczką z popcornem, żeby go pocałować.

Później ruszamy Fleet Street do hotelu, trzymając się za ręce. Jestem wstawiona, ale jeszcze nie pijana, a do tego szczęśliwsza, niż na to zasługuję. Już od kilku miesięcy zachowuję się skandalicznie i teraz zamierzam postąpić, jak należy. Dla mnie to już koniec takiego życia. Nadeszła pora, żeby zrujnować życie Samowi.

Rzadko wychodzę z budynku w porze lunchu, jeśli nie jestem umówiona na spotkanie. Nikt nie wychodzi, dni przestrzegania przysługującej wszystkim przerwy są już za nami i ogólnie rzecz biorąc, mnie się to podoba. Ale tego dnia wstaję od biurka o wpół do pierwszej.

– Muszę wyskoczyć na parę minut – informuję półgłosem Jeremy`ego. – Mam wizytę u dentysty. Nie przeszkadza ci to?

Ledwie unosi głowę. Zjada ostro przyprawioną kanapkę nad pudełkiem na lunch, które przyniósł z domu, nie przerywając stukania w klawisze laptopa.

– Skądże – mówi. – Jak musisz, to wychodź, bylebyś wróciła na spotkanie z architektami. Wcale ci się nie dziwię, że wolisz leczyć zęby tutaj niż w Devonie. Też bym chciał mieć porządne plomby.

– W Kornwalii – prostuję, po czym wymykam się na spotkanie z Leonem połączone z błyskawicznym lunchem, podczas którego chcę mu powiedzieć, że zamierzam rzucić Sama.

Siadamy w jednej z tych małych kafejek z chwiejącymi się żelaznymi stolikami i ladą cukierniczą, kanapki popijamy wodą i kawą, ponieważ oboje potrzebujemy dawki kofeiny, a żadne z nas nie ma czasu na wizytę w kawiarni. Leon spogląda na mnie znad swojej kanapki i mówi:

– Widzę, że bardzo tego potrzebujesz, Laro. On da sobie radę, możesz być pewna. Podobnie jak ty. – Wzdycham głośno. Przede mną siedzi człowiek, który kiedyś zapłacił za mnie kaucję, jedyny, któremu ufam bezgranicznie. – Aż sam się dziwię, że wytrzymałaś tak długo – dodaje po chwili.

Jego miękki, łagodny głos działa na mnie kojąco, aż pod wpływem dziwnego impulsu sięgam przez stół i biorę go za rękę, chociaż tylko na krótko.

– Dzięki – odpowiadam cicho.

Leon jest dla mnie drugim ojcem w dosłownym tego słowa znaczeniu, roztacza nade mną taką opiekę, na jaką moich rodziców nigdy nie było stać. Kiedy dorosłam, pojawiła się między nami lekka więź wzajemnego pociągu seksualnego, o której nigdy żadne z nas nie wspomniało nawet słowem, mimo to dodaje nieco pikanterii naszym stosunkom. Ale to bardzo subtelna więź.

– Zrzuńnię mu życie – mówię i wzdycham po raz kolejny. – Tylko to mnie powstrzymywało.

Lekceważąco macha ręką, jakby odpędzał te obawy.

– Kobiety uwielbiają takich mężczyzn jak Sam Finch. Błyskawicznie znajdzie ukojenie w objęciach ratowniczek.

Przez chwilę zastanawiam się nad tym, ale wiem, że ma rację.

– Tylko nie angażuj się w żadną poważniejszą historię z Guyem – ostrzega Leon. – Mówię poważnie. Przez jakiś czas bądź sobą. Daj sobie szansę. Jeśli zdecyduje się porzucić żonę i dzieci dla ciebie, wasz związek całkowicie się zmieni. Tak więc będziesz musiała trochę przyhamować, jeśli marzysz o długofalowym związku. Nie sądzisz?

Kręcę głową.

– Problem polega na tym, że jestem w nim tak szaleńczo zakochana, że aż wątpię, czy zdołam ostudzić swoje żądze. Ale masz rację, nie zamierzam go do niczego zmuszać. To nie w moim stylu. Chcę się tylko przekonać, jak zareaguje, gdy mu powiem, że odchodzę od Sama. Być może natychmiast zaczniesz szukać wyjścia ewakuacyjnego.

– Niewykluczone – przyznaje Leon, choć wolałabym, żeby zaproponował. – A jeśli tak się stanie, Laro, ani trochę nie ucierpisz z tego powodu.

Postanawiam udawać, że w to wierzę.

W piątek po pracy ruszam szybko Fleet Street do Covent Garden. Wieje ostry zimowy wiatr, który szczypie w policzki, ale świeci słońce, a w jego promieniach błyszczą wszystkie oblodzone powierzchnie. Uwielbiam Londyn w takie dni jak ten. Kornwalia także jest piękna, ale w zupełnie odmienny sposób, tyle że nie chcę teraz o tym myśleć.

W Covent Garden jest mnóstwo ludzi, siedzą w barach, restauracjach i kafejkach albo wędrują energicznym krokiem alejkami, zatrzymują się, przyglądają różnym rzeczom, rozmawiają. Gwar rozmów jest tak intensywny, że można odnieść wrażenie, iż rozcina powietrze. Zwykle tak się dzieje, kiedy nastaje słoneczna pogoda, nawet w styczniu. Próbuję się uśmiechać, żeby przypominać normalną spacerowniczkę.

Guy już czeka w barku wybranym przypadkowo na nasze spotkanie i drinka przed wyjazdem na Paddington. To dość obskurny lokalik, oferujący rozcieńczone koktajle i niekończące się „happy hours”. Dostrzegam go z daleka przy stoliku pod oknem i ledwie się powstrzymuję, żeby nie przebiec tych ostatnich metrów.

Zdążył już zamówić dla nas obojga po butelce piwa Corona.

– Witaj, ślicznotko – mówi, gdy zatrzymuję się na wprost niego, a on obejmuje mnie w pasie i przytula. Stroszę mu włosy, które w tym oświetleniu wydają się bardziej upstrzone siwizną niż do tej pory.

– Cześć.

Siadam naprzeciwko niego.

– Nie masz wrażenia, że bez przerwy pijemy alkohol? – pytam. – To nie jest powód do zmartwienia?

– Nie. No, może tak. Rzeczywiście bez przerwy pijemy alkohol. Ale to dlatego, że całe dnie spędzamy w pracy, a całe weekendy w domu. Zostają nam tylko wieczory. Zanim cię spotkałem, rzadko piłem wieczorami w dni powszednie. Ale weź pod uwagę, że upijamy się tylko w czwartki.

– To prawda. Czasami jeszcze w pociągu.

Kiwa głową, uśmiechając się i mrużąc powieki.

– Czasami jeszcze w pociągu. Zgadza się. W takim razie proponuję, byśmy przyszły tydzień ogłosili tygodniem kinowym. Sama mówiłaś, jak trudno jest się dostać do kina w Kornwalii. Cóż, pewnie łatwo byłoby załatwić rezerwację, tylko trzeba by się tym wcześniej zainteresować. Co o tym myślisz? Jeśli nie zdarzy się nic nieprzewidzianego, oboje powinniśmy zdążyć na seans o dziewiątej każdego wieczoru, od poniedziałku do czwartku. Podoba ci się ten plan? Mielibyśmy okazję zobaczyć różne filmy: coś z klasyki, jakiś film akcji, komedię, romans.

– To byłoby niezłe. Ale nie jestem pewna. Nie wyrobiłam się dzisiaj z całą zaplanowaną robotą. – Mówiąc szczerze, musiałam podjąć nadludzki wysiłek, żeby przetrwać ten dzień w pracy, robiąc do tego wrażenie normalnie efektywnej i dbałej o szczegóły. – Okazuje się, że kac po absyncie nie jest szczególnie pomocny w zmaganiach z codziennymi obowiązkami.

– Więc proponuję wizyty w kinie bez alkoholu. Weźmiemy sobie wodę mineralną czy coca-colę i jakieś słodczy. Jak nastolatki. Żadnych napojów wysokowych.

Ledwie mogę się skupić na tym, co mówi. Jestem nazbyt pochłonięta przyglądaniem się twarzom ludzi przechodzących ulicą za oknem. A ponieważ jest już ciemno, wszystkie ukazują mi się w mętным blasku ulicznych latarni, toteż wszystkie wyglądają złowrogo. Po drugiej stronie ulicy kręci się podejrzany

mężczyzna w bawarskich krótkich spodenkach na szelkach, które każą mi go brać za nieszczęsnego turystę albo zdziwaczałego modnia.

– Może – mówię.

Facet w krótkich spodenkach trzyma w ręku czerwoną różę. Nie zwraca na mnie uwagi. Ale ja nie mogę oderwać od niego wzroku.

– Albo możemy spędzać każdy wieczór w hotelu.

Podchodzi do niego kobieta, którą całuje w policzek i wręcza jej różę.

– To także byłoby cudowne – odpowiadam, odprowadzając wzrokiem tę parę, która odchodzi, trzymając się za ręce.

Kiedy w końcu znów ktoś się zjawia, okazuje się, że to moja siostra. Niemalże cieszy mnie jej widok, bo zestaw jej problemów jest strasznie prozaiczny.

Już widać, że jest w ciąży. Ale oprócz uwydatniającego się brzuszka coś jeszcze się w niej zmieniło. Ostre rysy jej twarzy wyraźnie zmiękły.

– Laro – mówi, przyglądając mi się podejrzliwie.

– Witaj, Olivio – odpowiadam, próbując się uśmiechnąć. Szybko przenosi spojrzenie ze mnie na Guya i z powrotem. Domyśla się prawdy. – Jak się masz? Wyglądasz wspaniale.

– Dzięki. – Odwraca się do Guya. – Cześć, jestem Olivia, siostra Lary.

Guy podrywa się z miejsca.

– Witaj, Olivio. Miło cię poznać. Lara wiele mi o tobie mówiła. Nazywam się Guy, jestem przyjacielem Lary.

– To widać. Nie wątpię też, że dużo ci o mnie mówiła.

Ogląda się na mnie z ironicznym uśmiechem. Nie powinnam była tak bez troski umawiać się na piwo w barze niedaleko jej domu, wiedząc, że mieszka w odległości zaledwie kilkuminutowego spaceru. To oczywiste, że często tu zagląda.

Na krótko zapada między nami krępująca cisza. Postanawiam przejąć inicjatywę.

– Hej, przepraszam cię za tamten wieczór – mówię. – Naprawdę. Nie powinnam była wynosić się od razu tego samego dnia. W dodatku od tamtej pory powinnam się była odezwać. Już nie mogę się doczekać, kiedy urodzisz.

– To fajnie – rzuca swobodnie. – W takim razie zadzwoń. Teraz jestem umówiona z przyjacielem, ale chętnie z tobą pogadam. Odezdziesz się w przyszłym tygodniu?

– Tak, jasne. Dzięki.

Odchodzi, zanim zdążę cokolwiek więcej powiedzieć.

Guy uśmiecha się szeroko.

– No proszę, nawet poznałem twoją siostrę! Ani trochę nie wygląda tak, jak się spodziewałem. W najmniejszym stopniu nie przypomina kobiety, którą sobie wyobrażałem.

Ledwie go słucham.

– Naprawdę? A czego się spodziewałeś? Teraz będzie rozpowiadała naokoło, że widziała mnie w towarzystwie mężczyzny. Od razu się domyśliła. Co do tego nie

mam złudzeń.

– A czy to ma jakieś znaczenie? – pyta Guy.

– Cóż, dla mnie już nie, choć ostateczny wybór nie należał do mnie. Całkiem poważnie, Guy. Nie zamierzałam ci o tym mówić już dzisiaj. Ale... – Urywam, żeby kontynuować po chwili: – Postanowiłam odejść od Sama. Nie mogę tego dłużej ciągnąć. – Przywołuję z pamięci słowa Leona. – To nie w porządku wobec niego, bo o niczym nie ma pojęcia. Ale gdyby był wolny, mógłby przebierać w kandydatkach skorych do tego, żeby się nim zająć. W pełni na to zasługuje. A ja nie zniosę dłużej tych tajemnic i zakłamania.

– Och – odzywa się Guy. – To niesamowite, co mówisz, Wilberforce, ponieważ, mimo skomplikowanej sytuacji rodzinnej, biłem się już z podobnymi myślami. Jak mogę postępować niczym ostatni łajdak? Wiem, że to będzie trudne, ale i ja zamierzam powiedzieć prawdę Di. Oba nasze związki nie mają większych szans przetrwania w tej sytuacji. A ja chcę być z tobą, Wilberforce. To wszystko. Cała reszta musi jakoś sama dać sobie radę. Wiem, że to skrajnie egoistyczne podejście, ale...

– Rozumiem.

Ledwie mogę dobyć z siebie głosu. Bo przecież otwiera się przede mną droga do tego, żebyśmy z Guyem oficjalnie mogli być razem. Pewnie będzie to wymagało pewnych negocjacji, ale jakoś przez nie przebrniemy. Ze wszystkim sobie poradzimy.

Mam ochotę komuś o tym powiedzieć, ale nie ma nikogo, kto by to zrozumiał. Tylko Ellen i Leon wiedzą o naszym związku, a z Ellen mamy się spotkać dopiero wieczorem w pociągu. Wyjmuję więc swoją komórkę i piszę krótkiego SMS-a, ponieważ desperacko zależy mi na tym, żeby podzielić się z kimś nowinami.

Wysyłam go do Leona. Nie mogę się zdradzić przed nikim innym, iż Guy właśnie zapowiedział, że zamierza porzucić żonę. „Od poniedziałku będziemy już razem. Dzięki za to, że mnie wysłuchałeś. Pewnie będzie sporo zamieszania, ale zapowiada się cudownie. Chciałam cię tylko o tym powiadomić. Zjesz w przyszłym tygodniu kolację ze mną i z Guyem? L xx”.

Układałam w głowie treść przemowy do Sama. Chcę mu to powiedzieć z samego rana, jak tylko dotrę do domu. A potem, już od jutra, zacznie się moje nowe życie.

Rozdział 12

W dworcowej hali jak zawsze jest tłoczno. Razem z Guyem przeciskamy się przez tłum, trzymając się blisko siebie, ramię przy ramieniu. Bardzo się cieszę, że wszyscy są w ruchu, nawet ci, którzy tylko na coś czekają. Dworzec Paddington to symbol przemijalności: zjawiasz się tu, czekasz na swój pociąg, ewentualnie biegniesz do niego, po czym odjeżdżasz do prawdziwego miejsca swojego przeznaczenia. Lub odwrotnie: przybywasz tutaj pociągiem i z niego ruszasz od razu do metra albo na postój taksówek. To miejsce, przez które się przechodzi. Mam wrażenie, że dziwnie bym się czuła, gdybym tutaj pracowała, pełniąc rolę tymczasowego punktu orientacyjnego pośród panującego tu zgiełku.

Guy zatrzymuje się i kładzie mi rękę na ramieniu.

– To na razie, Wilberforce. Tutaj musimy się rozstać. Zobaczymy się w wagonie restauracyjnym.

Ruchem głowy wskazuje kiosk z pamiątkami, który kiedyś należał do sieci Paperchase. Domyślam się natychmiast, że to oznacza, iż musi kupić prezent urodzinowy dla kogoś z rodziny, toteż nie podejmuję tematu. Dla mnie to na razie nie ma żadnego znaczenia. Na pewnym etapie będę musiała poznać jego dzieci i podjąć próbę stworzenia z nimi jakichś stosunków. Zacznę też kupować kartki urodzinowe.

– Jasne – odpowiadam, ruszając dalej, gdy on odchodzi w bok.

Do tej pory powinnam już przywyknąć do nawyków Guya. Razem powinniśmy przebić się przez pozłocaną powłokę i stanąć twarzą w twarz z brutalną rzeczywistością. Powinniśmy oboje się ocknąć i w przerażeniu popędzić z powrotem w ramiona naszych współmałżonków, dziękując Bogu, że pozwolił nam się z tego wyrwać. Ale ponieważ żadne z nas tego zrobiło, moim zdaniem z niechęci do upraszczania życia, nadal jesteśmy razem.

Nasz związek rozwinął się tak, żeby pochłonąć całą dostępną mu przestrzeń. Guyowi wystarczyło przeprowadzić się do mojego pokoju hotelowego, dzięki czemu oboje mogliśmy skutecznie rozpocząć podwójne życie. Mój związek z nim to największe i najbardziej zdumiewające wydarzenie w moim życiu.

Nie powinnam była wychodzić za Sama. Zrobiłam to, bo wtedy potrzebowałam jedynie poczucia bezpieczeństwa, świadomości tego, że nic mi nie zagraża i już nic bardziej wyniszczającego nie może mi się przydarzyć.

Ale pomieszały mi się te wszystkie pojęcia. Kiedy próbowałam zaznać przygód, efekt okazał się druzgocący. Spróbowałam więc bezpiecznego bytowania i z tego także niewiele wyszło. W obu wypadkach skończyło się tym, że najgorszy horror przerzuciłam na kogoś bliskiego. Muszę więc zostawić Sama, zarówno dla jego dobra, jak i mojego.

Rozmarzam się na temat przyszłego tygodnia. Najbliższy weekend będziemy jeszcze musieli poświęcić na obowiązki, ale już od poniedziałku powinniśmy zacząć patrzeć w przyszłość.

Idę bez pośpiechu peronem pierwszym, kierując się do wagonu restauracyjnego. Mogę wreszcie dać Samowi wolną rękę, by zaczął spotykać się z kimś innym, bo w mojej sytuacji to najmniej odrażający sposób postępowania. Na pewno szybko kogoś sobie znajdzie. Uwije gniazdko rodzinne z kobietą, która będzie go podziwiać i dla odmiany rodzić mu dzieci. Nie będzie musiał po całych tygodniach czekać na mój powrót do domu, pozostając w nieświadomości tego, jaka naprawdę jestem.

Ale i ta perspektywa jest zniechęcająca. Na pewno będzie zdruzgotany. Powiem mu o Guyu tylko wtedy, jeśli będę musiała.

Uśmiecham się, podczas gdy żołądek podchodzi mi do gardła ze strachu i podniecenia.

Kiedy Guy dotyka mego ramienia, odwracam się, ale jego nie ma za moimi plecami. Nikogo tam nie ma. Pociąg dopiero co wjechał na stację i ludzie wysypują się z wagonów, mijają mnie w pośpiechu. Nikt nie stoi bez ruchu, nikogo przy mnie nie ma. Niemniej dobrze wiem, że czyjaś ręka spoczęła na moim ramieniu. Przez chwilę czułam jej ciepło i delikatny nacisk, zanim wrażenie przyszło.

Mija mnie rodzina ciągnąca za sobą wielkie walizki na kółkach, sprawiająca wrażenie zagubionej. Za nią idą trzy dziewczyny z wypchanymi plecakami pogrążone w rozmowie, chyba w jakimś skandynawskim języku. Ludzie, którzy wyszli prosto z pracy, najczęściej ubrani jeszcze w służbowe stroje, zmierzają energicznym krokiem w stronę postoju taksówek. Nikt się nie zatrzymuje. Nikt się mną nie interesuje.

Wmawiam sobie, że to był gest kogoś przechodzącego tuż przy mnie, czyli zwykły przypadek. Prześladują mnie rzeczy, których się dopuściłam przed laty, toteż przysięgam sobie, że w poniedziałek opowiem o wszystkim Guyowi. Mam nawet zamiar w ciągu weekendu wygrzebać ze staroci mój ukryty pamiętnik i dać mu do poczytania. Wtedy będziemy mogli rozpocząć nasz związek bez żadnych dręczących sekretów. Ta myśl nieomal wprawia mnie w euforię.

Przyspieszam kroku i wchodzę do poczekalni pierwszej klasy. Biorę dwie butelki wody mineralnej i kilka paczek herbatników, po czym rozsiadam się w fotelu.

Po godzinie, kiedy idziemy do pociągu, który czeka nieopodal, w swoim zwykłym miejscu przy peronie pierwszym, słyszę jakieś nawoływania z końca peronu i gdy oglądam się w tamtym kierunku, gdzie kończy się dworzec i odchodzą tory prowadzące na zachód, mój wzrok przykuwa sylwetka człowieka.

Na ułamek sekundy serce we mnie zamiera, a puls zaczyna łomotać w uszach. Mimowolnie napinam mięśnie nóg, szykując się do ucieczki albo uskokienia w bok. Czuję, jak krew uderza mi do twarzy, a po chwili odpływa w dół ciała.

Ale w zasięgu wzroku nie ma nikogo znajomego, nie rozpoznaję żadnej postaci. To tylko przypadkowy człowiek stojący na końcu peronu. Łapię w nozdrza intensywny nocny zapach olejów silnikowych i rozgrzanej maszynierii.

Temperatura powietrza bez wątpienia utrzymuje się poniżej zera. Kiedy pod płaszczem przeszywa mnie dreszcz zimna, zamykam na krótko oczy.

Zasiadamy w pociągu na swoich zwykłych miejscach przy tym samym stoliku i Guy idzie do baru po drinki i przekąski. Ellen zaprosiła do nas kobietę poznaną w poczekalni, ilustratorkę o imieniu Kerry, która mieszka w Bodmin. Bardzo się staram być błyskotliwa i zajmująca, gdy Kerry wyraża się z zachwytem na temat piątkowego pociągu nocnego. Opowiada nam o swoim życiu, o łączeniu obowiązków w świeżo założonej rodzinie z pracą zawodową.

– Rodzice musieli się zająć moim domem, kiedy podjęłam pracę w Londynie – mówi, wydymając policzki przy każdym łyku swojego drinka. W grubym swetrze koloru musztardy i z białymi kwiatami we włosach wygląda nieco osobliwie, ale nie odrażająco. – Takie układy wymagają ścisłej organizacji, jednak w chwili gdy wsiadam do pociągu, staję się inną osobą. I bardzo mi się to podoba.

– To prawda – przyznaję i oglądam się na Guya, który wdał się w pogawędkę z barmanem. Rozlega się sygnał telefonu. Kerry spogląda na ekranik swojej komórki i wstaje od stolika.

– Niestety, jak was lubię, tak muszę was opuścić – mówi. To dość rozpowszechnione powiedzenie, chociaż nie wiem, co ludziom się w nim podoba. Bo w sumie brzmi dziwacznie. – Muszę zadzwonić do domu. Ale wrócę za chwilę, cała i zdrowa, więc zaczekajcie na mnie z następną kolejką.

Odchodzi, przyciskając telefon do ucha. Najwyraźniej jest przykładną żoną.

Guy odbiera nasze drinki, rozmawiając jeszcze z kimś przy barze. Ellen pospiesznie sięga nad stolikiem i przytyka mi dłoń do twarzy.

– Witaj, Laro – mówi. – Co u ciebie?

W pierwszej chwili krzywię się z niechęci, ale gdy spoglądam jej w twarz, dochodzę do wniosku, że jeśli komukolwiek mam ufać, to właśnie Ellen.

– Co masz na myśli?

– Och, przestań. Widzę, że nie jesteś sobą. Od pewnego czasu wydajesz się bardzo nerwowa. Daj spokój, skarbie. O co chodzi?

Przygryzam dolną wargę i wbijam wzrok w ciemność za oknem, w której nadal widać zabudowania stacji Paddington. Jest dopiero kwadrans po jedenastej, od wyruszenia w drogę dzieli nas jeszcze godzina.

– Zamierzam odejść od Sama – mówię, czując, jak serce wali mi z każdą sylabą wypowiedzianych słów. – Już nie dam rady tak dłużej. A Guy postanowił rzucić Dianę. Właśnie w ten weekend. Jutro.

Ellen unosi wysoko brwi.

– Czyżby? Naprawdę? – Urywa, jakby chciała dodać wagi swoim słowom. – Tylko się nie zdziw, jeśli zaraz ci powie, że nie dał rady tego zrobić. Do tego będzie miał świetną wymówkę. To kiepski moment. Albo coś w tym rodzaju. To zbyt poważna sprawa, bo przecież chodzi o rozbicie rodziny.

Ogarnia mnie wstyd.

– Tak, wiem. Poza tym może to odwlekać tak długo, jak tylko zechce. Ale ja i tak rozstanę się z Samem, niezależnie od wszystkiego.

– Chcesz się przeprowadzić z powrotem do Londynu? Stracimy w tobie towarzyszkę cotygodniowych podróży pociągiem?

– Pewnie tak.

– Ale nadal będziemy się spotykali w Londynie. Przynajmniej Guy będzie się z tobą spotykał, rzecz jasna, ale mam nadzieję, że i ja cię czasem zobaczę.

– Oczywiście, Ellen. Jak zawsze. I wiesz co?

– Słucham.

– Jest coś jeszcze...

Urywam nagle, gdyż Guy wraca z drinkami dla nas wszystkich. Ellen poprosiła o małą butelkę białego wina, ja i on mamy gin z tonikiem. Ostrożnie stawia na stoliku drugą miniaturową butelkę wina dla Kerry. Znaczącym spojrzeniem daje znać Ellen, że nie mogę jej powiedzieć prawdy w obecności Guya, zwłaszcza teraz, chociaż chętnie podzieliłabym się z nią swoimi zmartwieniami.

– To dla ciebie – mówi Guy, stawiając przede mną plastikowy kubeczek z płynem, po którego powierzchni zdają się pływać kręgi nieprzeniknionej czerni.

– Specjalnie dla mnie? A co jest w nim takiego niezwykłego?

– Po prostu pozwoliłem sobie zamówić dla ciebie podwójnie mocną. Facet za barem powiedział, że wygląda na to, iż bardzo tego potrzebujesz, a gdy się obejrzałem, doszedłem do wniosku, że ma rację. Naprawdę kiepsko wyglądasz. To może cię postawić na nogi na cały weekend.

Mówi z taką troską w głosie i tak przyjaznym tonem, że choć ciągle sobie przypominam, iż jest żonaty oraz ma dzieci i właśnie wraca na łono niespodziewającej się niczego rodziny, moje serce przepelnia miłość do niego. Desperacko go pragnę. Marzę o tym, żeby być z nim całkiem oficjalnie.

– Dzięki – odpowiadam. – Powiedziałam Ellen o naszych planach. Wybacz, ale nie mogłam się powstrzymać.

– Wasze zdrowie – wtrąca Ellen, przelewając swoje wino do plastikowego kubeczka.

Wszyscy podnosimy drinki w toaście.

– Wypiję za ciebie, Laro – dodaje Ellen, gdy już przytykam kubeczek do ust. – Bo to ty postępujesz tak, jak należy. I za ciebie, Guy. Życzę powodzenia w takim załatwieniu wszystkich spraw, żeby nikt na tym nie ucierpiał.

Pociągam spory łyk, potem drugi, i jak przez mgłę dociera do mnie odpowiedź Guya:

– Och, lepiej o tym nie wspominać.

Czuję, jak alkohol zaczyna we mnie krążyć z krwią, rozprowadzając odrętwienie po całym ciele. Biorę jeszcze jeden łyk, gdy obraz na brzegach mojego pola widzenia nagle ciemnieje. Faktycznie muszę być bardziej przemęczona, niż mi się wydawało.

Odchylam się, żeby oprzeć tył głowy o ścianę, gdy niespodziewanie zsuwam się po niej w bok i niechcący opieram skroń na ramieniu Guya.

Jak gdyby z daleka docierają do mnie ich zatroskane głosy.

– Lara! – odzywają się równocześnie. – Lara, nic ci nie jest?

Słyszę, jak ta nowa, Kerry, również coś mówi zaniepokojonym głosem, ale nie potrafię już rozróżnić jej słów.

– Tak, w porządku – słyszę własną odpowiedź. Otwieram na siłę oczy. – Wszystko dobrze. To tylko zmęczenie.

– Musi być w olbrzymim stresie – rozlega się głos Ellen, która szybko przejmuje inicjatywę. – Spójrzcie. Prawie jednym haustem błyskawicznie wypłała pół swojej porcji ginu. Nic dziwnego, że traci równowagę. Zabierzmy ją do przedziału i połóżmy do łóżka. A ty daj jej dzisiaj spokój, kolego. Dobra? Od przyszłego tygodnia będzie już tylko twoja, jeśli wierzyć temu, co mówiła.

– Jasne – odpowiada Guy. – Tak, masz rację. W porządku. Ale nic jej nie będzie, prawda? Hej, Wilberforce?

Poruszanie nogami wymaga gigantycznego wysiłku, ale robię, co w mojej mocy, wspierając się na ramionach ich dwojga, z Kerry trzymającą się gdzieś w pobliżu. Z trudem udaje nam się dotrzeć do mojego przedziału, który znajduje się w wagonie sąsiadującym z restauracyjnym.

Kładą mnie do łóżka. Docierają do mnie ich głosy, ale tak stłumione, że nie jestem w stanie rozpoznać poszczególnych słów. Ktoś zdejmuje mi buty z nóg. Przykrywają mnie kołdrą, gaszą światło i zapada cisza.

Czuję, jak ciemność zwala się na mnie niczym gigantyczna fala, i ledwie pociąg zaczyna z turkotem przemierzać rozjazdy, pochłania mnie bezwarunkowo.

Mrok w przedziale rozcina sygnał przychodzącej wiadomości mailowej i budzę się błyskawicznie, jak gdyby pobudzona do działania tym odgłosem. Odruchowo sięgam po telefon, lecz ponieważ nie kładłam się sama do łóżka, nie ma go za siatką na podręczne przybory nad łóżkiem. Zwykle ściszam go do minimum, ale nie wyłączam. Teraz oglądam się na ciasną przestrzeń skąpaną w niebieskim blasku nocnego oświetlenia, ale nie wiem, gdzie może być moja komórka.

Pociąg mknie przez noc. Nie mam pojęcia, jak długo spałam.

Robi mi się niedobrze, dociera do mnie nagle, że powinnam się pospieszyć. Wstaję z łóżka i rzucam się w stronę toalety, po omacku unoszę klapę i pochylam się nad muszlą w ostatniej chwili.

Tkwiąc w niewygodnej pozycji, pewna, że lada moment dojdzie do spodziewanego spazmu, słyszę powtórny sygnał i uzmysławiam sobie, że telefon wciąż musi być w mojej torebce. W tej samej chwili z moich ust wyrывa się gwałtownie strumień żrącego kwaśnego płynu. Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że toaleta jest sprawna, bo myśl o możliwości jej przepełnienia i wylania przyprawia mnie o dreszcze.

Energicznie płuczę usta i wycieram wargi przydziałowym ręczniczkiem linii kolejowej First Great Western, po czym starannie myję zęby. Dopiero wtedy zawracam na trzęsących się nogach i siadam na krawędzi łóżka. Odnajduję swoją

torebkę i z wewnętrznej kieszeni z przodu wyjmuję telefon komórkowy.

Wybucham śmiechem. Obudziły mnie dwa reklamowe maile, jeden z Pizza Express, a drugi z internetowego sklepu Dotcomgiftshop, w którym kiedyś kupiłam świeczkę, i od tamtej pory dostaję od niego wiadomości z regularnością godną lepszej sprawy. Ale jest także trochę starszy mail od Guya, przysłany godzinę temu, kiedy spałam jak zabita. Zwykle o tej porze byłam jeszcze na chodzie, gdyż dopiero dochodzi wpół do pierwszej w nocy.

„Kochana Wilberforce”, czytam. „Będę się o ciebie martwił przez całą noc, ale wiem, że Ellen ma rację i powinienem dać ci się wyspać. Jeśli będziesz chciała mnie zobaczyć, gdy się zbudzisz, jestem w przedziale F21. Kocham cię. Szczerze. Musi nam się udać. xxx”.

Wstaję, lekko chwiejnie, choć i tak zaskakująco pewnie, i sięgam do zasuwki drzwi, po czym stwierdzam po dłuższej chwili, że nie jest zasunięta, ponieważ nie byłam w stanie zamknąć drzwi przedziału.

W radosnym nastroju wychodzę na korytarz, raz za razem powtarzając w myślach jego słowa. Kocha mnie. Nigdy wcześniej mi tego nie powiedział, zresztą ja, ze względów bezpieczeństwa, również mu tego jeszcze nie powiedziałam. Ale musi nam się udać. Bo mnie kocha. Na pewno nam się uda.

Ruszam wąskim korytarzem tego dobrze mi znanego wycinka świata, wypełnionego standardowymi kolejowymi zapachami i podrygującego w rytm jazdy pociągu. W ciasnym przejściu między wagonami mijam mężczyznę w samych spodniach od piżamy i kąpielowych klapkach, zmierzającego do toalety. Odprowadza mnie wstydliwym uśmiechem oznaczającym „oboje jesteśmy w takiej samej sytuacji”. Pukam do drzwi przedziału Guya, a gdy nie słyszę odpowiedzi, naciskam klamkę i uchylam je.

Krzyk więźnie mi w gardle. Zaciskam palce na futrynie, żeby ustać na nogach, wpatrując się w scenę przed sobą, która wydaje mi się całkiem pozbawiona sensu.

Pociąg gwałtownie hamuje z donośnym zgrzytem i po chwili wszystko zastyga w bezruchu.

Część II

Iris

Rozdział 13

Znowu ogarnęła mnie poranna chandra. Przytrafiała mi się coraz częściej, a ja jej nie znośiłam. Byłam wściekła na to, że postępuję tak głupio. Tego rodzaju rzeczy w ogóle nie powinny się zdarzać.

Obudziłam się w całkowitej ciemności, zapłakana, szlochająca, ogarnięta poczuciem beznadziei. Przez chwilę myślałam, że Lauriego nie ma przy mnie, że w nocy wymknął się niepostrzeżenie z domu, ale zaraz go dostrzegłam, śpiącego smacznie na boku, z lekko rozchyłonymi ustami. A więc nawet go nie obudziłam.

Nie pozostało mi nic innego, jak wstać. Wyprowadziłam rower i pojechałam w mrok nocy.

Od razu poczułam się lepiej. Orzeźwiająco podziałała na mnie sama świadomość, że mogę sobie jechać w mroźny zimowy poranek z zapalonymi światłami (ze względów bezpieczeństwa zainstalowałam sobie z przodu i z tyłu po dwie lampki), długimi włosami upiętymi na czubku głowy i osłoniętymi kaskiem, obszerną kamizelką odblaskową naciągniętą na futrzaną kurtkę. Zaledwie zmrożona trawa zachręściła mi pod stopami, w mojej duszy jak gdyby także zapaliło się światełko. Poczułam się jak maleńka cząstka olbrzymiego wszechświata i cała reszta przestała się dla mnie liczyć. Wszystko było przecież ulotne, któregoś dnia wszyscy mieliśmy zniknąć bez śladu. I ta myśl natychmiast przyniosła mi ukojenie.

Przypomniałam sobie o kryjówce, w której zostawiłam rower, i wyciągnęłam go pomiędzy krzewów żywopłotu. Wielką radość sprawiały mi odgłosy tej przejażdżki – ciche skrzypienie siodełka, zgrzyt łańcucha, chrzęst kamyków pod kołami na brukowanej alejce – były najgłośniejszymi odgłosami w moim mikroskopijnym wycinku kosmosu.

Wiedziałam, że jest już po szóstej, ale czułam się tak, jakby była dopiero druga w nocy. W pewnej chwili nad alejką rozległ się głos sowy i jakieś tajemnicze nocne stworzenia przede mną dały nura w trawę. Potem zasłuchałam się w stłumiony warkot przejeżdżającego gdzieś w oddali samochodu i pocieszyłam się wrażeniem solidarności, a zwłaszcza niezbitą pewnością, że kierowca tego samochodu nigdy by nie pomyślał, że gdzieś niedaleko przejeżdża kobieta na rowerze.

Zmierzając do głównej drogi, uświadomiłam sobie, że nadejdzie taki dzień, kiedy będę musiała przestać uciekać. Między mną a Lauriem nie wszystko układało się jak należy i dobrze wiedziałam, że gdybym miała więcej odwagi, powiedziałabym mu to prosto w twarz. Któregoś dnia musi odejść. Powinien odejść. I byłoby lepiej, gdybym to ja wzięła sprawy w swoje ręce i w końcu doprowadziła do tego, zamiast ciągle się tak miotać.

Zdarzało się, że byłam bliska utraty panowania nad sobą. Ledwie się powstrzymywałam, żeby nie zacząć wrzeszczeć na niego i przeklinać, domagać się, aby wreszcie zniknął z mojego łóżka i mojej głowy. Kiedy zniknął z domu

przed Bożym Narodzeniem, poczułam ogromną ulgę. Świetnie dawałam sobie radę. Przyjęłam nawet w domu przyjaciółkę jak całkiem normalny człowiek, choć w pierwszej chwili spanikowałam, kiedy zaproponowała, że tym razem nie spotkamy się na mieście albo na plaży, tylko ona przyjedzie do mnie. Okazało się jednak, że wyszło z tego najprzyjemniejsze, jakie od lat przeżyłam, spotkanie z osobą z realnego świata.

Tak właśnie powinnam żyć, stwierdziłam, wjeżdżając na teren oświetlony już blaskiem latarni głównej drogi. Popatrzyłam na kościół, skupiska drzew, zabudowania oddalone od szosy. W każdej chwili mogłam do niej zadzwonić. To by mnie otrzeźwiło. Dałoby mi wystarczająco długi kontakt z rzeczywistością, żeby przez jakiś czas normalnie funkcjonować.

Cały poprzedni wieczór spędziłam przed piecykiem na drewno, precyzyjnie malując sobie paznokcie na fioletowo i próbując zebrać się na odwagę, żeby mu powiedzieć, aby znowu zniknął z domu, wyjechał w podróż, zrobił cokolwiek beze mnie. Byłam całym jego światem, a on moim, i to, jak zaczęłam w końcu podejrzewać, wcale nie było zdrowym układem. Ludzie dokoła żyli inaczej. Zrywaliśmy wszystkie kontakty przez to, że byliśmy niemili dla znajomych. Nie zostałam tak wychowana, ale ta sytuacja dosyć mi się podobała.

– Nie zostawię cię – mówił stanowczo. – Nigdy. Przenigdy.

Mnie zaś ogarniała taka wściekłość i taka złość na siebie, że bez słowa protestu ulegam jego naciskom, że wybuchałam płaczem i biegłam do sypialni, by rzucić się na łóżko.

Mieszkaliśmy na skraju wioski na obrzeżach Falmouth, miasteczka, jak się domyślałam, znajdującego się na obrzeżu Wielkiej Brytanii. Oboje ukrywaliśmy się tutaj od lat, zerwawszy wszelkie znajomości, gdyż przez jakiś czas ta sytuacja obojgu nam odpowiadała. Mieliśmy dwie kotki, Ofelię i Desdemonę, ja pracowałam w domu, zajmowałam się redakcją niezrozumiałych tekstów prawniczych, które kurier przywoził mi co kilka tygodni. Wiedliśmy skromne życie, dopóki pewnego dnia pod wpływem chwili nie kupiłam z sobotnią gazetą losu na loterię. Od tamtego czasu wszystko surrealistycznie się odmieniło.

Nie powiedziałam Lauriemu, że wygrałam na loterii. Nie uwzględniałam go w swoich planach.

Wyjechałam na główną drogę, na której wyjątkowo nie było samochodów. Pomyślałam, że mogłabym pojechać do Falmouth i pokręcić się trochę po mieście, zjeść śniadanie w kafejce, skoro teraz było mnie na to stać, a potem odwiedzić Larę. Podobał mi się pomysł, żebyśmy obie zaczęły regularnie odwiedzać się nawzajem, bez udziału Lauriego ani jej gburowatego męża.

Nie znałam Lary za dobrze, prawie wcale jej nie znałam. Wiedziałam, że w ciągu tygodnia mieszka w Londynie i zajmuje się przerabianiem uroczych starych budynków na domy z luksusowymi apartamentami, a jej mąż przy okazji naszych dotychczasowych dwóch spotkań wyraźnie dawał mi do zrozumienia, że nie odpowiada mu moje towarzystwo. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby odwdziżyć mu się taką samą wrogością. Bo dla mnie nawiązanie bliższej

znajomości z Larą było jak pierwszy nieśmiały krok w stronę powrotu do świata. Nieświadomie stała się dla mnie znajomą na próbę. Poczyniłam duży wysiłek, żeby jej nie zniechęcić, nie odzywać się szorstko i nie być niemiłą. Początkowo przychodziło mi to z trudem, ale dość szybko zaczęło się podobać.

Kiedy się spotkałyśmy w Wigilię, opowiadała z entuzjazmem o swoich podróżach nocnym pociągiem. Uwielbiała jeździć pociągami. Właśnie dzisiaj powinna wysiąść z dalekobieżnego i w szarym brzasku poranka zająć miejsce w lokalnym składzie do Falmouth. Mogłam podjechać na stację i zobaczyć, jak zareaguje. Gdyby kazała mi ruszać swoją drogą, posłuchałabym. Gdyby była zajęta, wróciłabym na rowerze do domu. Ale to był tylko mętny pomysł.

Kiedy przyczepiałam rower łańcuchem do słupka znaku drogowego przed kawiarnią Trago, w środku dopiero zapalały się światła. Wciąż paliły się uliczne latarnie, a niebo zaledwie różowiało na wschodzie. Pod kurtką było mi dość ciepło po intensywnym pedałowaniu, ale policzki miałam zmarznięte. Pomyślałam, że musi jeszcze trochę minąć, abym mogła zjeść śniadanie, dlatego ruszyłam szybkim krokiem ścieżką prowadzącą szczytem nadmorskiego klifu.

Wędrowałam tak mniej więcej przez godzinę, aż doszłam do miejsca, gdzie ścieżka zaczyna prowadzić w dół ku plaży Maenporth. Ten fragment szlaku był bardziej kamienisty, pełen kałuż pokrywanych szklistą warstwą lodu, stromych podejść i rozległych połaci zamarznętego błota. Z tego miejsca morze wyglądało na gładkie jak tafla szkła, a nagie gałęzie drzew rosnących przy ścieżce w ogóle się nie poruszały. Minęłam tylko jednego biegacza, kościstego mężczyznę o muskularnej sylwetce i zapadniętych policzkach człowieka nazbyt oddanego joggingowi, oraz będącą na spacerze z psem kobietę koło czterdziestki o dzikim spojrzeniu osoby cierpiącej na bezsenność.

Powietrze znad morza było orzeźwiające i pewnie dzięki niemu w mojej głowie aż się zaroilo od różnych myśli i pomysłów. Wyruszyłam w marzeniach w podróż i aż zaskoczyło mnie, jak szybko dotarłam do celu. Ruszyłam spacerem wzdłuż plaży do miejsca, gdzie fale rozbijały się o wielkie głazy i nanosiły między nie wodorosty, po czym stanęłam i zapatrzyłam się na wielki tankowiec widoczny na horyzoncie. Później zawróciłam do początku szlaku na przylądku Pendennis, stamtąd zaś skierowałam się do domu Lary.

Pomyślałam, że byłoby lepiej pojechać do Londynu, choćby tylko z krótką wizytą. Laurie nie miałby nic przeciwko temu. Przyspieszyłam jeszcze kroku, układając w myślach plany. Z Londynu można było się dostać do Paryża dużo szybciej, niż wymagała tego podróż z Falmouth do stolicy. Z Paryża można było złapać pociąg do dowolnego zakątka Europy czy też udać się na lotnisko i wybrać jakikolwiek punkt przeznaczenia. Bo przecież pieniądze, moje tajemne pieniądze, mogły mnie zawieść w każde miejsce na świecie. Nie miałam jedynie pojęcia, skąd wziąć odwagę, aby wyruszyć w tę podróż.

W czasie drogi powrotnej wyobrażałam więc sobie różne jej cele. A to

wyglądałam przez okno pociągu przemierzającego Indie, w Argentynie uczyłam się tańczyć tango albo skakałam na bungee w Nowej Zelandii. Czasami doznawałam nawet wrażenia, że mogłabym to zrobić w rzeczywistości. Ale zaraz przypomiinałam sobie, że jestem najmniej przystosowaną do podróży osobą na świecie, że moje plany zwykle kończą w głębinach wyobraźni, a mój paszport od pięciu lat leży nietknięty na dnie szuflady z bielizną. Nie mogłam zostawić Lauriego samego, a już na pewno nie bez uprzedzenia. Gdybym wyjechała niespodziewanie, wciąż bym się zamartwiała, jak sobie poradzi.

Lara mieszkała w dość dziwnym, z pozoru nowoczesnym domu, pomalowanym na biało i utrzymanym w niezwykłym stylu, czymś pośrednim między kalifornijskim art déco a klasycznym brytyjskim domkiem letniskowym nad morzem. Na podjeździe stał samochód, ten sam niebieski renault, którym przyjechała do mnie w odwiedzinach. Dom stał na zboczu wzgórza, toteż otaczający go ogród znajdował się poniżej parteru. Gdy oparłam się o balustradkę i popatrzyłam w dół, poczułam się tak, jakbym patrzyła na ogród z okna pierwszego piętra. Był bardzo ładny, zarośnięty trawą, z kępami powojnika oraz kamelii oczekującymi wiosennego ciepła oraz górującą nad wszystkim palmą o brązowych liściach.

Nacisnęłam dzwonek, ośmielona szybkim przemarszem i nagle wygłodniała, gdyż ponieważ uświadomiłam sobie, że pominęłam tę część planu, która obejmowała śniadanie. Mogłam jeszcze w drodze powrotnej zatrzymać się gdzieś i zapełnić koszyk rowerowy świeżą żywnością.

Ze środka doleciał mnie odgłos ciężkich kroków i drzwi otworzyły się gwałtownie.

Mąż Lary, blondyn o szerokich barach, miał włosy lekko poprzetykane siwizną, którą trudno było dostrzec w jego jasnej fryzurze. Nosił dżinsy oraz workowatą bluzę dresową i ciepłe dziadkowe kapcie. Obrzuciłam go jednym szybkim spojrzeniem, zanim jeszcze minęła chwila, gdy na mój widok jego mina zmieniła się diametralnie, wyraźnie posmutniała, choć od początku była dosyć markotna.

– Ach, witam – mruknął.

Był niższy, niż mi się wydawało, ponadto jego wygląd świadczył wyraźnie o niespokojnym charakterze. Do tego był jeszcze mniej sympatyczny niż ostatnim razem. Gdyby otaczała go jakaś aura, pewnie natychmiast by popękała i rozświetliła się blaskiem wrogości. Usiłowałam się powstrzymać, żeby nie odpowiedzieć w ten sam sposób. W myślach nakazałam sobie złagodzić wyraz twarzy, skąpana w mętnym blasku zimowego słońca, i zdobyłam się na uśmiech.

– Cześć – rzuciłam, próbując sobie przypomnieć, jak on ma na imię. – Jestem Iris. Już się spotkaliśmy. Jestem przyjaciółką Lary i...

– No właśnie, Lary – przerwał mi. – Gdzie ona jest?

Wybałuszyłam oczy.

– Jak to: gdzie ona jest?

– Nie spotkałaś się z nią? Nie dostałaś od niej wiadomości? Co się stało? – pytał coraz bardziej podniesionym głosem. – Gdzie ona jest? Gadaj! No, gdzie? Co się stało z moją żoną?

Rozdział 14

Na pewno się z nią nie widziałaś? – zapytał po raz kolejny. – I nie miałaś od niej wiadomości? Kiedy po raz ostatni się spotkałyście? Dlaczego nie odbierała ostatnio telefonu? Nie zjawiałabyś się tu, gdybyś naprawdę nie miała pojęcia, że coś się stało.

Usiadłam na brzegu kanapy. W saloniku było bardzo jasno, nawet w tym mglistym świetle wczesnego poranka. Zapach centralnego ogrzewania w domach innych ludzi zawsze wydaje mi się dziwny, bo nasz ogrzewany jest piecem opalonym drewnem. Kaloryfery wypełniają zamknięte pomieszczenia poczuciem nostalgicznej wygody.

– Spóźnia się dzisiaj z powrotem do domu – odparłam. – To się zdarza.

Nie miałam odwagi poprosić go o kawę, bo sam ewidentnie nie zamierzał jej zaproponować. Coś do zjedzenia tym bardziej nie wchodziło w rachubę w tej sytuacji.

Jeśli wierzyć jej mężowi, pociąg przyjechał punktualnie, o 7.38. Ale jej w nim nie było.

– Zawsze wysiadała z tego pociągu – powiedział. – Nie, kłamie, raz jej nie było, bo nocny się spóźnił, ale uprzedziła mnie telefonicznie i przyjechała następnym pociągiem. A teraz następny też już przyjechał i z niego także nie wysiadła.

Sam. Tak ma na imię. Nagle zyskałam co do tego prawie całkowitą pewność.

– Zgadza się – odparłam. – Ale na pewno jest jakaś ważna przyczyna. Być może zgubiła swoją komórkę. Może nocny znów się spóźnił, ale z powodu zgubionej albo zepsutej komórki nie mogła o tym zawiadomić. Mój telefon często nie łąpie zasięgu. Jestem pewna, że wszystkie komórki tracą połączenie z siecią gdzieś w okolicach Liskeard, gdzie nie sięgają już żadne fale przekaźników.

Wpatrywał się w widoczną za oknem stację przy dokach, znajdującą się na wprost domu. Był to znakomity punkt do obserwacji ludzi przyjeżdżających pociągami, uwagi Sama nie mógł ujść nikt wysiadający na peron. Czułam przez skórę, jak bardzo mu zależy na tym, żeby przyjechała następnym pociągiem, po czym wytłumaczyła swoje spóźnienie tak, że w jednej chwili stałoby się w pełni zrozumiałe.

– Bardzo ciężko pracuje. Do tego spędza połowę życia w kolejowych przedziałach sypialnych. Wszystko po to, żeby spłacić nasze długi. Ciągnie się to dłużej, niż planowaliśmy, bo koszty jej życia w Londynie wzrosły niepomiaralnie z powodu jej siostry... Tak czy inaczej, bardzo mi jej brakuje. Gdzie ona się podziewa?

Był już na krawędzi załamania nerwowego, dlatego chociaż wcale nie miałam na to ochoty, uznałam, że muszę przejąć inicjatywę w swoje ręce. Przede wszystkim niepokoiłam się o Sama, i to nie dlatego, że mogło jej się stać coś złego, ale tylko z tego powodu, że nie wróciła do niego. Dlatego wpatrywałam się w telefon, tak samo jak on, w oczekiwaniu, że może nastąpi jakaś zmiana w tej

sytuacji.

– Sam – odezwałam się w końcu, a kiedy nie zareagował, zyskałam pewność, że dobrze przypomniałam sobie, jak ma na imię. – Sam. Chyba powinniśmy zadzwonić do dyrekcji kolei. Nocne połączenie obsługuje First Great Western.

– Już zaglądałem na ich stronę internetową, ale nic tam nie ma. Jest część poświęcona wypadkom kolejowym, ale to wszystko nie to. Mogłabyś sprawdzić ponownie rejestr wypadków?

– Oczywiście. A mogę też zaparzyć świeżej kawy? Wyglądasz, jakbyś bardzo jej potrzebował.

Ucieszyło mnie, że zdobyłam się na to pytanie. Ofiarne przygotowanie kawy dla niego, podczas gdy sama bardzo potrzebowałam zastrzyku kofeiny, stanowiło plan idealny.

– Skorzystaj z ekspresu. Zawsze go używam przed jej powrotem. Ale tą starą wylej. Już za długo stygła w dzbanku.

Znowu niepewnie zmarszczył brwi, aż musiałam go pchnąć na fotel, żeby móc odejść i zrobić kawę. Musiałam się jej napić. Na talerzyku leżały cztery rogaliki, wiedziałam jednak, że zachowałam się po chamsku, gdybym zjadła jednego. Nie chciałam wyjść na kogoś, kto wprosił się do tego domu w gości i podkradł rogalika przeznaczonego dla zaginionej gospodyni.

– Zadzwonię na stację kolejową – powiedziałam. – Czasami wiadomości w internecie są nieaktualne, prawda? Zwłaszcza w weekendy o tak wczesnej porze. Jeśli normalnie przyjeżdża tym pociągiem o wpół do ósmej, to na razie spóźnia się niewiele ponad godzinę. Uwierz mi, Sam. Nic jej się nie stało.

Używali ekspresu ciśnieniowego. Wylałam z dzbanuszką starą zimną kawę i zaczęłam się rozglądać za jakimś rondelkiem, w którym można by podgrzać trochę mleka.

Dziwnie jest krzątać się po nie swojej kuchni, pomyślałam. Musiałabym bliżej znać Larę, żeby się tu lepiej orientować, a tak muszę się domyślać, gdzie stawiają kubki, czy kawę trzymają w lodówce, czy gdzie indziej.

Przez chwilę zaczęłam sobie wyobrażać, że jestem Larą i że zachowuję się swobodnie we własnej kuchni. I nagle mnie olśniło, aż się cofnęłam o krok. Zrozumiałam, że była znudzona Samem. Bo on jest nudny. Ona nie. Tak więc prawdopodobnie go zostawiła.

Trochę to trwało, zanim nasypałam mielonej kawy i ubiłam ją w odpowiedniej części ekspresu. Ciszę przerywał jedynie głośny oddech Sama. Nabierałam pewności, że Lara skontaktuje się z nim tylko po to, by mu powiedzieć, że nie wróci do domu. Już w Wigilię była wyraźnie podenerwowana. Było coś, o czym mi nie powiedziała.

Zgodnie z informacjami w internecie nocny pociąg wyruszył z Londynu o czasie, zgodnie z rozkładem zatrzymał się w Truro i tak samo punktualnie dotarł do celu w Penzance. Zwróciłam jednak uwagę, że stacja w Penzance została chwilowo

zamknięta „z powodu wypadku”. Chyba należało przez to rozumieć, że ktoś wpadł pod pociąg. Z drugiej strony trudno się było rzucić pod koła w Penzance, bo na stację końcową pociągi wjeżdżają bardzo powoli. Niemniej ludzie mają bogatą wyobraźnię.

Zatem pociąg przyjechał, ale ona z niego nie wysiadła. Pewnie zdecydowała się nie wracać dzisiaj do domu. Wolałam jednak nie wypowiadać się w sprawie tego prawdopodobnego, wręcz oczywistego scenariusza.

Sam siedział przy stole pod oknem wychodzącym na stację kolejową w dokach i co kilka minut dzwonił pod numer jej komórki.

– Gdzie ona mieszka w Londynie? – zapytałam, obejmując obiema dłońmi kubeczek z kawą. – Możesz zadzwonić do jej mieszkania? – Chciałam, żeby ją zaskoczył i zmusił do przyznania, co teraz robi.

– Nie ma własnego mieszkania. – Nie spuszczał oczu ze stacji. Na peronie czekało kilka osób, wyglądało na to, że wkrótce przyjedzie pociąg. – Przez jakiś czas nocowała w mieszkaniu siostry, ale źle się ze sobą dogadywały. Przez to nie spłaciliśmy jeszcze nawet połowy zaległych rat kredytu. Przeniosła się do hotelu. Finansowo okazało się to katastrofą, ale wreszcie była szczęśliwa. Tak mi się przynajmniej zdaje.

– Cóż, w takim razie zadzwoń do hotelu.

Zamyślił się nad tą propozycją.

– A mogłabyś ty to zrobić? Przepraszam, bo przecież nawet się nie znamy. Czy byłabyś tak miła i zadzwoniła do hotelu, żeby sprawdzić, czy wyjechała na weekend?

Z minuty na minutę wyglądał na coraz bardziej załamane.

Zajął mi całe wieki skontaktowanie się z jakimś człowiekiem, ale w końcu zgłosił się energiczny i sprawny recepcjonista mówiący z lekkim wschodnioeuropejskim akcentem.

– Lara Finch? – powtórzył i doleciał mnie cichy stuk klawiszy komputera. – Ach, tak. Zawsze melduje się w poniedziałek po południu i wymeldowuje w piątek rano. W minionym tygodniu było tak samo. Wymeldowała się wczoraj. Czy coś się stało?

– Owszem – odparłam pewnym głosem. – Stało się. Zaginęła.

– Zaginęła? – spytał zaskoczony. – Policja już o tym wie?

– Właśnie chcemy ich zawiadomić. Chwileczkę. – Popatrzyłam na Sama. W chwili przyjazdu na stację pociągu, który zatrzymał się z głośnym piskiem hamulców, poderwał się z miejsca i stanął z dłońmi opartymi o szybę. Wyszedłam z pokoju na korytarz w nadziei, że nie będzie mnie słyszał. – Czy jest ktoś jeszcze w jej pokoju? Mógłby pan tam pójść i sprawdzić?

– Przykro mi, proszę pani. Pokój został już sprzątnięty i teraz zajmują go inni goście. W czasie weekendów mamy tutaj zupełnie inną klientelę niż w dni robocze. Jeśli pani Finch zaginęła, z przyjemnością uczynimy wszystko, co

w naszej mocy, aby pomóc w tej sprawie. Proszę jednak jak najszybciej zawiadomić policję. A ja oczywiście zapytam sprzątaczkę, czy pani Finch nie zostawiła niczego w pokoju.

– Dzięki – odparłam. – Czy mógłby pan w takim razie zapisać mój numer telefonu? – Nie miałam pojęcia, jaki jest numer telefonu komórkowego Sama, podyktowałam więc swój własny i zanotowałam w pamięci, żeby włączyć komórkę. Potem przeszłam do kuchni i spojrzałam na pocztówkę przymocowaną magnesikiem do lodówki. Było na niej napisane: telefon stacjonarny 551299. Ten numer także podyktowałam recepcjoniście.

– Jestem pewien, że odnajdzie się cała i zdrowa – powiedział tym samym tonem, którym ja się zwracałam do Sama. – Mamy nadzieję, że jak zwykle zamelduje się w poniedziałek.

Jedno spojrzenie na minę Sama powiedziało mi, że i tym pociągami nie przyjechała.

– Sam – odezwałam się. – Musisz koniecznie porozmawiać z policją.

Usiadłam przy nim na kanapie i wzięłam go za rękę, która była miękka i pozbawiona włosów. Laurie miał zupełnie inne dłonie, o długich i smukłych palcach, bardzo ładne.

– Czy możesz położyć mi dłoń na ramieniu? – zapytał.

Spojrzałam na niego.

– Słucham?

– Lara tak robi. Kiedy rozmawiamy, i w ogóle. Kładzie dłoń na moim ramieniu, tutaj. – Wskazał mi miejsce. – I trzyma ją cały czas, kiedy mówi. To mi bardzo poprawia samopoczucie. Wiem, że to głupia prośba.

Położyłam mu dłoń na ramieniu, we wskazanym miejscu. Nie miałam tylko pojęcia, jak długo powinnam ją tak trzymać.

Ulegając kaprynowi, przyjechałam w odwiedziny do mojej nowej przyjaciółki Lary, teraz zaś siedziałam na jej kanapie, z zażenowaniem trzymałam jej męża za ramię i tylko czekałam, kiedy rozlegnie się zgrzyt klucza w zamku. Właśnie przez to nigdy nie robiłam nic impulsywnie, bo trudno było przewidzieć, do czego to doprowadzi.

Siedziałam tak blisko Sama, że nasze biodra się stykały, miałam zamiar się odsunąć, ale nie mogłam. Nie chciałam być aż tak blisko niego. Chciałam, żeby Lara wróciła. Albo przynajmniej dała znak życia. Odchodząc bez uprzedzenia, zostawiła go w strasznej sytuacji, wyobraźnia musiała mu podpowiadać niesłychane wypadki.

Ja sama żyłam wyobraźnią, do tego z każdą minutą coraz bardziej, aż odnosiłam wrażenie, iż naprawdę słyszę metaliczny stuk klucza wsuwanego do dziurki, między dopasowane zapadki, potem zgrzyt przesuwających się części mechanizmu zamka, dźwięk odsuwanego drewnianego rygla, tak dużego, że trzeba było pod nim wyłobić nieco ścianę, wreszcie szelest ubrań i odgłos kroków

osoby wchodzącej do domu. No i głos:

– Sam?

Aż ścisnęło mnie w dołku. To nie były jednak prawdziwe odgłosy. Nic takiego nie mogło się zdarzyć.

Rozdział 15

Kiedy ktoś w końcu stanął przed drzwiami, wolno podniosłam się z kanapy. To nie mogła być ona, chociaż istniał jeszcze cień szansy. Mogło się więc zdarzyć, że oto nadeszła ta chwila, kiedy Lara wejdzie do środka, jakimś swobodnym wyjaśnieniem uratuje sytuację, a ja będę musiała wracać do domu. Przyszło mi nawet do głowy, że z zakłopotania postanowiła użyć dzwonka, zamiast otwierać drzwi kluczem, bo świetnie zdawała sobie sprawę, że postąpiła źle, nie zawiadamiając Sama, co się z nią działo.

Lara zawsze była pełna życia i energii. Powietrze wokół niej zdawało się skrzyć od naelektryzowania. Gdyby to ona się teraz zjawiła, powinna stać we wstydlivej brunatnoczerwonej poświacie. To byłoby w porządku.

Sam został na kanapie, w ostentacyjnie niedbałej pozie. Ja ruszyłam statecznym krokiem do drzwi frontowych, zerkając po drodze na upozowane zdjęcie ślubne gospodarzy i oprawiony w ramkę plakat do filmu *Zawrót głowy* Hitchcocka. Żadne z nas nawet jednym słowem nie skomentowało tego, że to pierwszy kontakt ze światem zewnętrznym od czasu jej zaginięcia. Na swój sposób było to zdarzenie najbardziej powiązane z jej powrotem do domu.

Przed drzwiami stała para z policji, na której widok poczułam się nagle winna jakiejś straszliwej zbrodni. Świat zewnętrzny wydawał się pokryty cienką warstwą lodu. Było zimniej, niż to zapamiętałam z podróży do miasta. Stłumiłam w sobie chęć, żeby popędzić w dół zbocza, odszukać swój rower i popedałować z powrotem do domu, wydychając obłoczki zmrożonej pary.

– Dzień dobry – odezwała się kobieta dużo niższa ode mnie. Włosy miała przystrzyżone trochę za krótko w stosunku do owalu twarzy, a w uszach drobne kolczyki w kształcie serduszek. Patrzyła na mnie z miną osoby, która twardo stąpa po ziemi. – Mieliśmy zgłoszenie w sprawie pani Lary Finch.

Jej partner przytaknął ruchem głowy, uważnie mi się przyglądając. Odwzajemniłam to twarde spojrzenie, taksując jego okulary w stylu Harry’ego Pottera i gładkie policzki, tak dokładnie wygolone, że jednolicie różowe, co dziwnym sposobem przypomniało mi, że nie mam nic do ukrycia. Był o tyle wyższy od partnerki, że stojąc obok siebie, wyglądali wręcz humorystycznie, niemniej oboje sprawiali identyczne wrażenie do bólu rzeczowych, a ponieważ służyli w policji, zdecydowałam się nie zwracać uwagi na tę komiczną dysproporcję.

Pomyślałam o Lauriem i nakazałam sobie w myślach, żeby nie mówić ani nie robić niczego, co skłoniłoby tych ludzi do złożenia wizyty w naszym domu.

– Zaginęła – powiedziałam, zachodząc w głowę, ile razy trzeba powtórzyć to jedno słowo, nim człowiek przestanie się czuć, jakby papugował wypowiedź z serialu telewizyjnego. Jeśli Lara odeszła od Sama, to przecież zaginęła na swoich własnych warunkach.

– Proszę wejść. – Odsunęłam się z przejścia z wdziękiem hostessy, przy czym nie

uszło mojej uwagi, że mężczyzna z lekkim rozbawieniem popatrzył na mój robiony na drutach wełniany sweter.

Sam był już na nogach, wyciągał przed siebie rękę, zanim jeszcze weszli do pokoju. Był ewidentnie żałośnie wdzięczny za to, że ktoś poświęcił mu uwagę.

– Mam na imię Iris – zwróciłam się do policjantki. – Jestem przyjaciółką Lary. Właśnie wpadłam, żeby się z nią zobaczyć. Nie miałam pojęcia, że...

– Detektyw Jessica Staines – przedstawiła się.

– Piękny stąd widok – powiedział jej partner. – Detektyw Alexander Zielowski.

– Zielowski? Tak się nazywa gliniarz z serialu telewizyjnego.

Skinął głową, ewidentnie lekko rozbawiony.

– Zgadza się – przyznał. – Chociaż pewnie panią zaskoczy, że wcale nie jestem takim twardym nowojorczykiem, jak można by sądzić po tym nazwisku.

– Napiją się państwo kawy? – zapytałam.

On znowu skinął głową.

– Tak, poprosimy. – Jessica obróciła się do mnie, przejmując dowodzenie. – Z wielką przyjemnością. Dzięki. Tak więc rozumiemy, że pani Finch podróżowała nocnym pociągiem, ale nie wróciła do domu. Czy mógłby pan opowiedzieć mi o wszystkich okolicznościach tego zdarzenia, panie Finch?

Okazała się dużo bardziej rzeczowa i mniej swobodna, niż można by podejrzewać, wzięwszy pod uwagę, że rozmawiamy o dorosłej osobie, która po prostu nie zjawiała się o czasie we własnym domu. Szybko jednak na podstawie tempa zadawania pytań nabrałam podejrzeń, że policja wie o czymś, co dla nas pozostaje tajemnicą. Nappełniłam pojemnik mieloną kawą, włączyłam ekspres i wróciłam do pokoju.

– Bez powodzenia leczyliśmy się z bezpłodności – mówił Sam – i dlatego zdecydowaliśmy się przyrzeć bliżej możliwościom adopcji dziecka z zagranicy. Problem polegał na tym, że wydaliśmy na leczenie wszystkie oszczędności. Bardzo potrzebowaliśmy pieniędzy. Lara dostała propozycję półrocznego kontraktu w Londynie, w swoim dawnym zawodzie. Jest projektantką rozwoju nieruchomości, kierowniczką projektu, w którym zajmuje się przebudową starych magazynów na tyłach Tate Modern. Jest w tym bardzo dobra. Zaoferowano jej stawkę trzykrotnie wyższą od mojej pensji w stoczni, do tego z pewnymi dodatkami związanymi z koniecznością podróżowania pociągiem, i w ogóle. – Mówił takim tonem, jakby podejrzewał, że nikt mu nie wierzy. – Podjęła tę pracę dla nas, abyśmy mogli zapoczątkować proces adopcji dziecka. Tylko tyle... – Głos mu się załamał i zaczął szlochać.

– Rozumiem – powiedziała Jessica, siadając przy nim na kanapie. Detektyw Alexander usiadł na jedynym krześle, a ja zostałam na nogach, w przejściu do kuchni. – Problem jest bardziej złożonej natury. Obawiam się, że nie będzie to dla państwa przyjemna wiadomość. Otóż kiedy dziś nad ranem nocny pociąg dojechał do Penzance, obsługa linii First Great Western odkryła w jednym z przedziałów zwłoki.

Sam aż jęknął. Ja zacisnęłam palce na futrynie, żeby zachować równowagę.

Ekspres do kawy zaczął syczeć i bulgotać jak stara lokomotywa. Wszystkie moje myśli zastąpiły powtarzające się na okrągło słowa: „ona nie żyje”.

– Zwłoki mężczyzny – wtrącił pospiesznie Alexander, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć donośne odgłosy ekspresu do kawy. – Nie pańskiej żony. Przepraszam za to niedomówienie. – Spojrzał na partnerkę. – Powinniśmy byli to od razu zaznaczyć. Stacja w Penzance została zamknięta do odwołania, gdyż policja uznała pociąg za miejsce zbrodni. Nasi koledzy z Penzance, na polecenie MCIT, przesłuchali wszystkich pasażerów. – Powiódł wzrokiem po naszych zdziwionych minach. – MCIT to zespół dochodzeniowy wydziału poważnych przestępstw. W tym kontekście wasze zgłoszenie zaginięcia pani Finch zostało oczywiście potraktowane nadzwyczaj poważnie. Poproszono nas o przeprowadzenie tej rozmowy, ponieważ komenda w Penzance nie ma zbyt wielu ludzi, ale nie ulega wątpliwości, że sami będą chcieli z wami wkrótce porozmawiać, jeśli pani Finch nie odnajdzie się cała i zdrowa. Gdyby tak się stało, wtedy oczywiście chcieliby rozmawiać z nią w pierwszej kolejności.

Poszłam zrobić kawę. Naparu z małego dzbanuszka ekspresu starczyło tylko na dwie porcje, więc podałam je policjantom. Sam sprawiał takie wrażenie, jakby nic nie mogło mu przejść przez gardło, ale moje także się ścisnęło.

– Czy ten mężczyzna zmarł z przyczyn naturalnych? – zdobyłam się na pytanie, roztrzęsionymi rękami stawiając przed policjantami kubeczki z kawą. Gdyby starszy człowiek dostał zawału w trakcie podróży pociągiem, byłaby to sytuacja całkiem do przyjęcia, wręcz prozaiczna. Już wyobrażałam go sobie, jak leży na wąskim kolejowym łóżku, czy jak to się nazywa, z dłońmi przyciśniętymi do piersi i twarzą wykrzywioną w ostatnim przedśmiertnym grymasie bólu. W moich wyobrażeniach był bardzo stary, tak stary, że wszyscy musieliby pomyśleć tylko, że miał piękne życie i do samego końca pozostał aktywny: „Był niesamowity, prawda? Żeby dojeżdżać do pracy nocnym pociągiem w jego wieku!”.

Ale uprzytomniłam sobie szybko, że w takiej sytuacji śmierć starego człowieka nie stałaby się przyczyną uznania pociągu za miejsce zbrodni.

– Wstępne badania wskazują – zaczęła Jessica beznamiętnie – że nie była to śmierć naturalna. Jej przyczyny zostały zaliczone do podejrzanych. Dzięki, ta kawa jest wspaniała. Na razie nic więcej nie wiadomo, czekamy na dalsze szczegóły. Personel kolei natknął się na zwłoki tuż przed wjazdem do Penzance. Konduktorzy zaglądali do wszystkich przedziałów, sprawdzając, czy wszyscy się obudzili. Na stacji zatrzymano pasażerów, zebrano odciski palców, zabezpieczono bilety i tak dalej. – Zauważyłam, że Sam się wyprostował, ewidentnie oczekując, że usłyszy jakieś wyjaśnienie zaginięcia Lary. Ale policjantka ciągnęła obojętnym tonem: – Ponieważ pani Finch miała wysiąść z pociągu w Truro, nie mogło jej już być wśród pasażerów. Oczywiście sprawdziliśmy to po państwa zgłoszeniu i okazało się, że faktycznie nie było jej w pociągu w tamtej chwili.

Z pozoru była bardzo opanowana, chociaż nieświadomie zginała poliniowaną kartkę papieru z notesu w rodzaj wachlarza. A kiedy podnosiła do ust kubeczek z kawą, ten wyraźnie lekko dygotał. Aż mnie zaciekawiło, jak często policja

z Falmouth ma do czynienia z podobnymi sprawami. Byłam pewna, że większość czasu poświęcają na wypisywanie mandatów za niesprzątnięte odchody psów i monitorowanie wyjść z nocnych klubów, w których studenci lubili się upijać już o tak wczesnej porze na początku weekendu.

Postanowiłam zaparzyć drugi dzbanuszek kawy dla Sama i dla siebie, po części dlatego, że on chyba jej potrzebował, a ja na pewno, ale głównie zależało mi na tym, żeby wyjść z pokoju. Nasłuchiwałam, jak znów wypytują Sama o przyzwyczajenia Lary, robiąc to na tyle metodycznie, na ile on był w stanie odpowiadać. Aż nie chciało mi się wierzyć, że wdepnęła w tę sprawę.

– Zatem nie ma pan pewności, czy pańska żona wsiadła do pociągu, czy nie? – zapytał detektyw Alex. Zapaliłam gaz pod ekspresem do kawy i po raz kolejny zapatrzyłam się w niebieskawe płomyki wyglądające spod jego dna. – Czy zwykle zawiadamiała pana o przyjeździe do Paddington albo zakończeniu pracy w piątek? Czy rozmawiał pan z nią wczoraj wieczorem?

– Jak tylko podjęła pracę, dzwoniła dwa razy dziennie – zaczął Sam obronnym tonem. – Ale potem, jak łatwo się domyślić, okrzepła w tej swojej rutynie i uznała, że nie musi już być przez cały czas w kontakcie telefonicznym ze mną. Mimo to rozmawialiśmy co najmniej raz każdego dnia. Bez względu na wszystko. Są ludzie, z którymi się zaznajomiła w czasie tych cotygodniowych podróży pociągiem – dodał z ożywieniem. – Oni powinni wiedzieć, czy wsiadła wczoraj do pociągu. Pierwsza to kobieta z Penzance. Ma na imię Ellen. Lara bardzo ją polubiła. Dołączał do nich jeszcze jakiś mężczyzna, chociaż od dłuższego czasu już o nim nie mówiła. Ale spotykali się tylko na drinku w wagonie restauracyjnym. Mnóstwo ludzi powinno wiedzieć, czy jechała wczoraj pociągiem, czy do niego nie wsiadła. To ci sami ludzie, o których... – Urwał nagle.

– Wczoraj jak co tydzień wymeldowała się z hotelu – wtrąciłam szybko. – Dzwoniliśmy dzisiaj rano tam, gdzie zwykle się zatrzymywała. Ale powiedzieli, że jak zawsze zwolniła pokój w piątek rano.

Prawdę mówiąc, recepcjonista powiedział, że „oni” wymeldowali się jak zwykle, usiłowałam jednak nie traktować tego inaczej, jak przejęzyczenie zabieganego pracownika hotelowego. A już na pewno nie zamierzałam o tym mówić policji w obecności Sama.

– Jak tylko się z wami skontaktuje – oznajmił Alexander Zielowski, kiedy nalewałam po drugiej porcji kawy do dwóch pasiastych kubków – proszę nas zawiadomić. Natychmiast. To nadzwyczaj istotne. Proszę jej przekazać, żeby skontaktowała się z nami w trybie pilnym. Tymczasem nasi koledzy będą wypytywać pasażerów pociągu o jakiegokolwiek informacje mogące nam ułatwić jej odnalezienie.

Alex Zielowski miał w sobie coś ujmującego, podobało mi się to, że można było o nim powiedzieć, że nie był człowiekiem powierzchownym. Gdybym miała go pokolorować, użyłabym mojego ulubionego jasnego, pastelowego błękitu. Intrygowało mnie, co się kryje pod tą jego zewnętrzną powłoką. Od bardzo dawna nie poznawałam żadnych nowych ludzi, a tego ranka, w dodatku w dość

nerwowych okolicznościach, poznałam już kilkoro.

Niemniej przystąpiłam do kolorowania policji (Jessica była pomarańczowa z licznymi oznaczającymi bezradność żółtymi wstawkami przy krawędziach) po to, żeby odciąć się od myśli na temat Lary. Ktoś zmarł, a jej nigdzie nie było. Bardzo się starałam wygonić z wyobraźni widok jej poskręcane go ciała leżącego gdzieś w rowie przy nasypie kolejowym, gdzie została wyrzucona z jadącego pociągu przez nieznanego sprawcę, ponieważ widziała za dużo.

Teraz Jessica przejęła ster prowadzenia tej rozmowy i zaczęła się bardziej agresywnie od swojego partnera dopytywać, czy Sam i Lara nie pokłócili się w czasie poprzedniego weekendu, czy ona nie należała do tego typu kobiet, które będą się dąsać, nawet jeśli według niego nie było żadnego powodu, żeby trzymała się od niego z daleka. Czy zdarzało jej się, rozważała Jessica, zgubić telefon komórkowy albo nawet torebkę? Czy miała jakieś chroniczne problemy zdrowotne? Ciągnęło się to bez końca. W świetle śmierci mężczyzny te pytania sprawiały wrażenie niewinnych, a nawet takich, na które właściwa odpowiedź sprowadzi Larę do domu z przeprosinami za wszystkie niedogodności.

Kiedy ona wciąż zadawała pytania, a ja próbowałam się skupić na porządkach kuchennych, Alexander odebrał telefon. Jak tylko usłyszałam sygnał jego komórki, zapatrzyłam się na niego jak urzeczona. On zaś ruszył powoli w moją stronę, zapewne tylko po to, by się oddalić od Sama. Jessica zaczęła udawać, że z uwagą słucha jego wyjaśnień, iż nigdy, z żadnego powodu nie kłócili się z Larą, widać było jednak, że z uwagą przysłuchuje się temu, co mówi do aparatu jej partner.

– Aha... – mruknął dwukrotnie. – Rozumiem. Właśnie rozmawiamy z jej mężem, jeśli o to chodzi... Tak, oczywiście.

Kiedy przerwał połączenie, zapadła napięta cisza. Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że w pokoju nie ma żywej duszy. A kiedy policjant wreszcie ją przerwał, odezwał się oficjalnym tonem, jak gdyby był na konferencji prasowej i dystansował się od słów, które musi przekazać słuchaczom.

– Potwierdzono już, że martwy pasażer został zamordowany. Został też zidentyfikowany jako Guy Thomas, a kilku stałych pasażerów tej linii oraz personel kolei zasugerowali, że łączyły go bliższe powiązania z pańską żoną, panie Finch. Czy ona kiedykolwiek o nim wspominała?

Sam zamknął oczy.

– Był blisko związany z moją żoną? – powtórzył, jakby nie rozumiał tego zdania, testował jego znaczenie. – Na pewno wspominała o nim raz czy dwa. Pamiętam, że wymieniała imię Guy. Ale z pewnością ten człowiek nie mógł być z nią blisko związany.

Po całej serii błyskawicznych rozmów telefonicznych i prowadzonych szeptem narad Alexander wyszedł. Jessica została w domu, oznajmiła jednak, że nie będzie się narzucała.

– Proszę uznać, że mnie tu nie ma – powiedziała, zajmując posturę w kącie przy oknie i zapatrując się na panoramę miasta. Wcześniej jeszcze wyszczególniła, czego nam nie wolno, z czego najważniejsze było to, że Sam nie ma prawa zbliżać się do komputera.

Klapnął ciężko na kanapę i oparł się na moim ramieniu. Postawił mnie w niezręcznej sytuacji, lecz postanowiłam to znosić tak długo, jak tylko się da. Miałam ochotę włączyć wiadomości telewizyjne, żeby się przekonać, co mówią o zabitym Guyu Thomasie. A jeszcze bardziej chciałam wejść do internetu i sprawdzić wszystkie najnowsze doniesienia.

– Sam – odezwała się w końcu. Miałam już tylko ochotę zasiać z powrotem w domu ze swoimi kotami przed piecykiem opalanym drewnem i opowiedzieć o wszystkim Lauriemu. Podobnie nie wiedział, gdzie jestem, jak Sam nie miał pojęcia, co się dzieje z Larą. – Powinieneś być teraz w towarzystwie kogoś bliskiego, a nie moim i Jessiki. Zadzwoń do kogoś. Przecież to nienormalne, że tylko my dwoje i policja, no i jeszcze recepcjonista z hotelu, wiemy o zaginięciu Lary. Domyślam się, że wkrótce ta wiadomość pojawi się w serwisach informacyjnych, a wtedy mnóstwo ludzi może nagle chcieć z tobą rozmawiać. Chyba nie chcesz, żeby twoja rodzina, jak również rodzina Lary, dowiedziały się o jej zaginięciu w ten sposób. Podaj mi numery telefonów, to podzwonię do ludzi. Kto jest twoim najlepszym przyjacielem w Falmouth?

Popatrzył na mnie w osłupieniu, ze zboląłą miną. Naszła mnie nagle ochota, żeby nakrzyczeć na niego, aby natychmiast wziął się w garść. To nie był najlepszy moment, żeby się tak rozklejać. Miał jeszcze na to czas.

– Zostań ze mną, Iris. Jesteś przyjaciółką Lary. Zostań, proszę. Nie odchodź.

– Sam. Nie masz rodziców? Żadnych krewnych? – Nie chciałam niczego z góry zakładać. – Przecież musisz mieć jakąś rodzinę.

Ukrył twarz w dłoniach i jęknął cicho. Ale jakoś dziwnie, jak przerażone zwierzę.

– Niech to weźmie jasna cholera! Wiem, że musisz zadzwonić do mojej mamy. Zabije mnie, jeśli o wszystkim dowie się z telewizji. Ale ona i Lara nigdy... Posłuchaj, Iris. Czy mogłabyś przynajmniej poczekać, aż się wyjaśni, czy ona była w tym pociągu, czy nie? Możesz to zrobić dla mnie? Nadal podejrzewam, że spontanicznie zmieniła plany. Nie obchodzi mnie, z jakiego powodu. Dopóki jest bezpieczna.

– Z przyjemnością zostanę tu tak długo, jak sobie życzysz – odparłam, chociaż z trudem przeszło mi to przez gardło. – Ale na pewno czułbyś się lepiej, gdyby to ktoś ci bliższy parzył kawę i otwierał drzwi. Jestem o tym przekonana. Nie zadzwonię do twojej mamy, jeśli sobie tego nie życzysz, ale pozwól mi ściągnąć tutaj kogoś z twoich przyjaciół.

Jessica ruszyła w stronę kuchni.

– Pozwolicie, że nastawię wodę w czajniku? – zapytała.

Sam nie zareagował.

– Oczywiście, proszę bardzo – odparłam. – Sam. Do kogo mam zadzwonić?

Nic do niego nie docierało.

– Proszę, Iris. Nie odchodź. Mam przyjaciół z pracy, ale podejrzewam, że nie o takich ludzi ci chodzi. Każdy z moich kolegów, gdyby usłyszał przez telefon prośbę, żeby tu przyjść i dotrzymać mi towarzystwa, byłby... całkiem zaskoczony. Wszyscy zakładają, że w takiej sytuacji wolałbym, by ktoś inny był przy mnie. Ja i Lara... byliśmy bardzo zżyci ze sobą. Nie przepadaliśmy za żadnym towarzystwem. Mieliśmy siebie nawzajem.

Ale ona miała do tego, w takim czy innym zakresie, Guya Thomasa. Wydawało mi się, że te słowa zawisły w powietrzu niewypowiedzianym brzemieniem.

Sam poruszył się i strącił łokciem swoją komórkę leżącą na poręczy kanapy, pochylił się i błyskawicznie chwycił ją z podłogi z nagłym ożywieniem, jakby naszły go podejrzenia, że przyszła jakaś wiadomość dokładnie w tym ułamku sekundy, gdy stuk aparatu mógł zagłuszyć sygnał odbioru SMS-a.

– Nic – mruknął z rezygnacją. – Iris, co się dzieje, do diabła? Co ona wyprawia? Gdzie jest? Przecież nie może... tak po prostu bez wyjaśnienia nie wrócić do domu.

Usiadłam obok niego i położyłam mu rękę na ramieniu.

– Wszystko się wyjaśni – powiedziałam. Nie czułam już żadnej potrzeby, aby traktować go grubiańsko. Znalazł się w strasznej sytuacji, która mogła się już tylko pogarszać. – Na pewnym etapie będzie musiała nawiązać kontakt. Zresztą świetnie rozumiem, co miałeś na myśli, mówiąc, że mieliście siebie nawzajem i nie potrzebowaliście innego towarzystwa. Może niewiele osób w pełni by to zrozumiało, ale ja rozumiem. Naprawdę. Na twoim miejscu także nie chciałabym do nikogo dzwonić. Świetnie rozumiem, jak bardzo za nią tęsknisz. Może to zabawne, ale dotąd odnosiłam wrażenie, że tworzycie parę, która miała setki dobrych znajomych. Sądziłam, że często, niemal w każdy weekend, bywaliście u innych ludzi na przyjęciach. Rozumiesz chyba, o czym mówię? – Uświadomiłam sobie nagle, że posługując się czasem przeszłym zamiast teraźniejszym, mogłam mieć tylko nadzieję, że nie zwrócił na to uwagi.

– Nic podobnego – odparł. – Zależało nam przede wszystkim, żeby być ze sobą. Niczego więcej nie potrzebowaliśmy.

– Tak samo jak ja. – Obejrzałam się na Jessicę, która stała przy kuchni i wpatrywała się w ekranik swojej komórki. Zdawała się nie słuchać naszej rozmowy. – Ja i mój chłopak Laurie wiemy bardzo podobny tryb życia.

– Kto chciałby mieć setki „przyjaciół” bez przerwy przysyłających SMS-y i próbujących namówić człowieka do tego, na co on nie ma najmniejszej ochoty?

– Ja nie. Lubię słuchać muzyki tak głośno, jak lubię, i załatwiać wszystko w taki sposób, jaki mi najbardziej odpowiada. W dodatku lubię rozmawiać z Lauriem, ale tylko z nim. Żyjemy tak we dwoje od wielu lat.

Natychmiast powędrowałam myślami do swojego poprzedniego życia, kiedy mieszkałam i pracowałam w Londynie. Wtedy miałam mnóstwo przyjaciół. Ostatnio trochę mi ich brakowało. Ale nigdy nie podejrzewałam, że dojdzie do czegoś takiego. To tęsknota za czymś zupełnie innym sprawiła, że zapukałam tego

ranka do drzwi domu Sama.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się smutno.

– Więc jednak rozumiesz – rzekł. – No to wyobraź sobie, że zaginął twój chłopak. Do tego jeszcze ktoś został zamordowany. I wszystko zaczyna wyglądać jak przerażający nonsens, jak koszmar senny, chociaż jest w pełni realne. W dodatku dowiadujesz się, że twój chłopak był „blisko związany” z tą zabitą osobą. Jak byś się czuła?

Nie przyjąłam tego scenariusza.

– Gdyby Lara była tu dzisiaj jak zwykle – odparłam, poklepując go po ramieniu, w nadziei, że weźmie to za gest teatralnej protekcjonalności, ale on złapał mnie za rękę i ścisnął tak mocno, że aż zabolalo – i ja zjawiałabym się na progu waszego domu, żeby po prostu wpaść na chwilę i przywitać się serdecznie, zapewne byłbyś wkurzony, prawda?

Zaśmiał się, ale bez rozbawienia.

– Pewnie bym był. Lecz jeśli naprawdę wróci, będziesz mogła wpadać, kiedykolwiek zechcesz. Prawdę mówiąc, nawet będę się z tego bardzo cieszył. Powinnaś zostać naszą przyjaciółką. Właśnie ty, nikt inny.

– Dziękuję.

Dołączyłam do jego mozolnego wysiłku umysłowego mającego na celu udawanie, że wszystko będzie w porządku. Ale sytuacja była teraz dużo trudniejsza. Bo nie tylko Lara zaginęła, ale znaleziono też zamordowanego mężczyznę. A to nasuwało wnioski, że ona także nie żyje, i to niemal tak oczywisty, że z trudem odepchnęłam od siebie tę myśl. Uświadomiłam sobie aż nadto wyraźnie, że powinnam spojrzeć na całą sprawę z zupełnie innego punktu widzenia. Powinnam była dalej udawać, że Lara za chwilę zjawi się w domu, podenerwowana, ze skomplikowanym wyjaśnieniem, ale cała i zdrowa. A policjantka krzająca się po kuchni przyjąłaby jej tłumaczenie z uśmiechem, ale bez sprzeciwu zajęłaby się swoim następnym zadaniem.

Zaczęłam krążyć po pokoju. Pomieszczenia na piętrze w zasadzie nie miały ścianek działowych, więc niewiele tam było do odkrycia, ale i nie musiałam też prosić o pozwolenie na to, żeby się rozejrzeć.

– Wasza sypialnia znajduje się na dole, prawda? – zapytałam.

– Aha. – Spojrzał na mnie i nieoczekiwanie zachichotał. – Śmiało. Możesz się rozejrzeć po całym domu, jeśli masz ochotę. Nie mamy nic do ukrycia. A widzę, że chciałybyś to zrobić. Lara też by się zgodziła.

Pomyślałam, że to również może zostać uznane za miejsce zbrodni, ale skoro ona nie wróciła do domu, co stanowiło klucz do zagadki, uznałam, że mogę sobie pozwolić na małą wycieczkę. W końcu ona tak samo obeszyła mój dom.

Obejrzałam się na Jessicę Staines, która wzruszyła ramionami.

– Nie ma sprawy, tylko proszę niczego nie dotykać.

Sam zignorował ją.

– Otwórz kuchenne drzwi – powiedział – i wyjdź do ogrodu. Obchód powinien być systematyczny.

– Dasz sobie radę? Zawołaj, gdyby cokolwiek się zdarzyło.

– Jasne.

Sprawiał wrażenie lekko podekscytowanego, jak gdyby ta drobna zmiana w zaistniałej patowej sytuacji miała pobudzić telefon do dzwonienia. W głębi duszy liczyłam na to samo.

Podobało mi się to, że – z tradycyjnego punktu widzenia – dom stał do góry nogami. U podnóża schodów znajdowało się to, co zazwyczaj roztaczało się z podestu na ich szczycie, ale skoro było położone na poziomie gruntu, trudno to było nazwać piętrem. Pewnie wystarczyłoby nazwać przestrzeń za frontowymi drzwiami holem. Pchnęłam najbliższe drzwi i stanęłam na progu pokoju, który bez wątpienia pełnił rolę małżeńskiej sypialni.

Na łóżku królewskich rozmiarów leżała pościel ułożona tak gładko, że trudno było dostrzec na niej choćby jedną fałdkę, a w powietrzu unosił się zapach świeżego prania. Można by się spodziewać czegoś zupełnie innego po pokoju, w którym samotny mężczyzna spędzał większą część nocy w dni robocze. W każdym razie gospodarz na pewno nie należał do flejtuchów.

Popatrzyłam na oprawione zdjęcia, ponieważ zajmowały większą część każdej ściany. W zaistniałej sytuacji mogły już wręcz przyprawić o dreszcze. Na moich oczach przemieniły się w zdjęcia, które można by zobaczyć w wiadomościach telewizyjnych i na pierwszych stronach gazet. Oto Lara, w dniu ślubu piękna i rozradowana, stoi z ręką na ramieniu młodszego i szczuplejszego Sama, uśmiechając się do obiektywu. Ogólnie rzecz biorąc, ja w ogóle nie miałam czasu na śluby, ale teraz musiałam przyznać, że przedpotopowa biała suknia i bukiet róż bardzo do niej pasowały. A Sam u jej boku promieniał szczęściem. Nic nie mogło tego zakłócić, mimo upływu lat i słabej jakości fotografii.

Kolejne zdjęcia przedstawiały ich na wczasach w Nowym Jorku, na jakiejś bezimiennej plaży i w Londynie. Wiele zdjęć było upozowanych i tylko na kilku Lara występowała sama, ale rozpromieniona i uśmiechnięta, gdyż to Sam ją fotografował, gdy podlewała geranium, czytała książkę, pichciła coś w woku. Nie było indywidualnych zdjęć przedstawiających jego.

Próbowałam sobie wyobrazić, jak on tu zasypia pod jej nieobecność, w otoczeniu tylu jej zdjęć. Sypialnia przypominała wręcz świątynię poświęconą Larze.

Sąsiednia sypialnia została przerobiona na gabinet, lecz nie mniej schludny, wręcz antyseptyczny. Na biurku stał otwarty laptop, ale wyłączony, a nie miałam odwagi, żeby coś przy nim robić. Łazienka była starannie wysprzątana, aż uzmysłowiłam sobie, że Sam musiał robić porządki i sprzątać całe mieszkanie specjalnie dla niej w piątkowy wieczór. Wszystko było bowiem przygotowane na jej powrót, wręcz nieskazitelnie czyste na jej powitanie.

Nagle wydało mi się dziwne całe to bezowocne oczekiwanie na czyjś powrót, do tego przy policjantce, której obecność powinna stale przypominać o najbardziej prawdopodobnym i najmniej szczęśliwym rozwiązaniu. Ale nie miałam nic innego do roboty, a sytuacja stała się nerwowa i nudna, tyle że Sam uprosił mnie, żebym została.

– Możesz zadzwonić do swojego chłopaka, jeśli chcesz – zaproponował, ale skwitowałam to wzruszeniem ramion.

– Da sobie radę beze mnie, przynajmniej ten jeden raz – odparłam, a w wyobraźni ujrzałam Lauriego pogrążonego we śnie, nawet niezdającego sobie sprawy, że wyjechałam, a gdyby się obudził, przekonanego, że wybrałam się na zakupy. Bardzo często przesypiał całe dnie, ponieważ nie miał nic innego do roboty.

Usiadłam na fotelu i zaczęłam przeglądać ostatnie sobotnie wydanie gazety, zastanawiając się, co jutrzejsze nagłówki oznajmią całemu światu. Tak jak Sam czekał na powrót Lary, ja czekałam na najświeższe informacje przeznaczone dla Jessiki. Na maleńką stacyjkę pod oknem wjechał kolejny pociąg i oboje poderwaliśmy się z miejsc na odgłos jego hamowania, żeby popatrzeć, nawet wbrew sobie, na to, że i z niego nie wysiada Lara. Dokładnie to samo zdarzało się co pół godziny.

W końcu Sam pozwolił mi zadzwonić do swojego brata, który okazał zaskoczenie w dość agresywny sposób.

– Co takiego? Czy dobrze słyszę? Gdzie ona jest? Czyżby on sądził, że natychmiast wszystko rzucimy?

Westchnąwszy głośno, poprosił o możliwość rozmowy ze swoją matką. Nawet ja słyszałam, jak ze słuchawki telefonu doleciał odgłos włączanego telewizora.

Jak coś się dzieje, zazwyczaj dzieje się szybko. Przed domem stanęło dwóch innych policjantów, tym razem mężczyzn. Sam powiódł wzrokiem po ich twarzach, ewidentnie oczekując mało prawdopodobnych dobrych wieści. Ale oni przyjechali, żeby go aresztować pod zarzutem morderstwa Guya Thomasa.

– To najlepszy sposób, żeby zmusić człowieka do poddania się drobiazgowemu przesłuchaniu – powiedziała mi Jessica, kiedy został wyprowadzony z pokoju, osłupiały i skonsternowany, ale najwyraźniej niezdolny do oswojenia się z biegiem wydarzeń. – Pobiorą od niego odciski palców i próbki krwi, zbadają zawartość jego komputera, sprawdzą alibi. Najlepszym sposobem na sprawdzenie tego wszystkiego jest aresztowanie.

Próbowałam sobie wyobrazić, czy Sam faktycznie mógł być odpowiedzialny za to, co się stało z jego żoną. Byłam przeświadczona, że kiepski z niego aktor, ale ostatecznie nie znałam człowieka. W końcu mógł wskoczyć do swojego granatowego samochodu i zjechać przed którąkolwiek ze stacji na trasie pociągu. Mógł wsiąść do wagonu sypialnego i rozprawić się zarówno ze swoją żoną, jak i z tym facetem, Guyem Thomasem. Wszystko to było jak najbardziej prawdopodobne.

– Czy Iris może pójść ze mną? – zapytał już w drzwiach frontowych, tuż przed

wyściem, przez co obaj eskortujący go policjanci obejrżeli się na mnie.

– Muszę wracać do domu, Sam – odparłam na tyle pewnym głosem, na ile było mnie stać, sięgając po swoją torebkę. Jessica została na piętrze, toteż pospiesznie pożegnałam się z Samem, gdy zajmował miejsce na tylnym siedzeniu wozu patrolowego. Wyglądał dokładnie tak, jak można było oczekiwać po człowieku niespodziewanie aresztowanym. Niemniej oczyma wyobraźni już widziałam w gazetach jego zdjęcie jako głównego podejrzanego. Samym ruchem warg przekazał mi coś na pożegnanie, aż policjant siedzący na prawym przednim fotelu auta popatrzył na mnie z zainteresowaniem.

Stałam i przyglądałam się, jak policyjny wóz zjeżdża w dół zbocza i znika za zakrętem, zanim w końcu ruszyłam w stronę swojego roweru stojącego pod żywopłotem, próbując sobie wmówić, że wcale nie zdradziłam Sama i nie zostawiłam go na łasce policji.

Przyjechałam do domu na tyle szybko, żeby zastać Lauriego nad rybą z frytkami, które były jeszcze gorące. Zjadłam obiad zdecydowanie zbyt łapczywie, a potem opowiedziałam mu o wszystkim. Przyglądał mi się rozszerzonymi oczami, słuchając w skupieniu. Historia wydawała się nie z tej ziemi, ale nie wzbudziła jego podejrzeń. Nie potrafiłam zrozumieć, czego się obawiałam. Moje potajemne plany wyruszenia w samotną podróż wydawały się teraz śmieszne. Należało więc uznać, że pieniądze w banku są naszymi pieniędzmi. Musiałam mu o nich powiedzieć. Ale na razie musiałam się jeszcze podzielić wrażeniami z tego koszmarnego dnia. Teraz, gdy nie było przy mnie Sama, mogłam swobodnie pomyśleć o swoich straszliwych, ponurych obawach o Larę. Jeśli jeszcze żyła, nie mogła być w dobrej sytuacji. Nie umiałam już dłużej wmawiać sobie, że nic jej nie jest.

– Więc jak myślisz, co się stało? – zapytał, podwijając pod siebie nogi na poduszce na podłodze i zajadając frytki palcami. – Ktoś zabił tego biednego gościa? A ona za dużo widziała i musiała uciekać? A może wierzysz, że naprawdę zrobił to jej mąż?

Wytarłam usta kawałkiem papierowego ręcznika, który wcześniej przezornie położyłam na stole.

– Jestem pewna, że Sam nie miałby pojęcia, jak się do tego zabrać – odparłam. – To na pewno nie on. Nawet policja w to za bardzo nie wierzy. Myślę, że go aresztowali, żeby przede wszystkim wyeliminować go z gry, jeśli Lara naprawdę miała romans z tym Guyem. Podejrzewam, że widziała za dużo i... Sama nie wiem, co się stało. Trudno się w tym połapać. W gruncie rzeczy nawet nie znałam jej za dobrze. Ale zdążyłam ją polubić.

– Powinnaś była ją tu zaprosić, przedstawić mi ją.

– Odwiedziła mnie, kiedy wyjechałeś przed świętami.

– Ale powinna była to zrobić kiedy indziej. Zobaczyłaby, jak żyjemy. Tylko we dwoje. Sama by się przekonała.

– Nie wątpię, że byłaby gotowa odejść od męża. Nadal nie można wykluczyć takiej ewentualności, prawda? Bo przecież wcale nie musiała wsiadać do tego pociągu. Tylko przypadkiem ten facet mógł zostać zamordowany, a ona postanowiła zostać w Londynie. Powinna jednak zawiadomić Sama, że nie wraca. Szkoda, że go dzisiaj nie widziałeś. Lara pewnie chętnie odeszłaby od niego z kimkolwiek, nie mówiąc już o kimś, na kim jej zależało. O nowym życiowym partnerze. – Odwróciłam głowę, żeby nie dostrzegł łez, które zakreśliły mi się w oczach. – Mężczyźnie, z którym chciałaby mieć dzieci. Ale powinna mu powiedzieć prawdę prosto w oczy. Albo co najmniej zadzwonić. Czy też napisać. Powinna była jakoś to załatwić. Nie wierzę, że odeszłaby bez słowa.

– Byłaby prawdziwym potworem.

– Może jej list zaginął gdzieś na poczcie. Albo on przegapił wiadomość telefoniczną.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że szanse na to, że nic jej się nie stało, są żałośnie małe?

– Nie mów tak!

– Ty ode mnie nie odejdiesz, prawda, Iris? Nie wiedziałbym, co robić. Bez ciebie byłbym nikim.

Wzięłam frytkę z jego talerza, chociaż na swoim miałam ich jeszcze sporo. Ale zrobiłam to, żeby zademonstrować, jak wiele nas łączy.

– Nigdy od ciebie nie odejdę – powiedziałam. – Oboje wybraliśmy takie właśnie życie. Więc to jest nasze życie. Niczego więcej nie pragnę.

Popatrzyłam w jego ciepłe oczy, a on spojrzał w moje, promieniejąc miłością. Zepchnęłam zdradzieckie marzenia w najdalszy zakamarek umysłu, żeby przypadkiem niczego nie zauważył. Dusiałam się przy nim, ale byłam bezpieczna. Wmawiałam sobie, że powinnam się tym zadowolić. Poczucie bezpieczeństwa było wystarczające. Desdemona wskoczyła mi na kolana. Zaczęłam ją spychać, ale się rozmyśliłam i pozwoliłam jej zostać.

– Posprzątam – powiedziałam. – Nawiasem mówiąc, kocham cię.

– Ja cię kocham bardziej – odparł, a mnie przyszło do głowy, zresztą nie po raz pierwszy, że być może ma rację.

Rozdział 16

Luty

Dom Guya Thomasa stał na otwartej przestrzeni za Penzance. Musiałam wsiąść z rowerem do pociągu, a potem pół godziny pedałowac przez wzgórza, zanim dotarłam na miejsce. Zawsze mi się wydawało, że Falmouth leży najdalej na zachód, ale teraz uświadomiłam sobie, że tak nie jest. Jeszcze wiele kilometrów terenu oddzielało mój dom od rzeczywistego zachodniego krańca Kornwalii.

Tutaj tereny były skaliste, a oświetlenie inne, niemalże eteryczne. Tutaj było czuć, że jest się na samym skraju kontynentu, na szczycie skał dźwigających się z ogromnego dna Atlantyku. Powietrze było bardzo czyste, gdyż nie było tu miast, poza Truro leżącym wiele kilometrów stąd na wschodzie. Było tylko Penzance i otaczające je wioski.

Thomasowie mieszkali w zwalistej wiejskiej posiadłości z kamienia na obrzeżu St Buryan, a więc już niedaleko od Sennen i Land's End. Można tu było odnieść wrażenie, że jest się na końcu świata, co na zasadzie transformacji otwierało wiele możliwości. Anioły mogły tu zstępować z nieba i lądować na szosie przede mną. Krzaki mogły się same zajmować płomieniami.

Stojąca u wylotu polnej drogi furgonetka reporterskiej ekipy telewizyjnej była pierwszym kłującym w oczy elementem. Następne były auta osobowe stojące na skraju wąskiej alejki dojazdowej, niemal na całej długości, przechylone w bok nad rowem. Brama posiadłości była zamknięta na kłódkę, a zgromadzeni przed nią dziennikarze bezdusznie gadali i opowiadali sobie dowcipy. Para wydobywająca się z ust tworzyła małe obłoczki nad ich głowami, jedni przytupywali z zimna, inni pisali SMS-y, ale wszyscy wyglądali na znudzonych, choć byli zaskakująco młodzi. Wyobrażałam sobie, że będą to starzy wyjadacze z Fleet Street, zobaczyłam jednak gromadę sprawiających wrażenie stażystów, młokosów o zaczerwienionych policzkach.

Przecisnęłam się między nimi i zaczęłam włączyć na ogrodzenie. Rzucili się w moją stronę i na wszelki wypadek zaczęli robić zdjęcia, gdy byłam już w połowie wysokości i prezentowałam się najbardziej nieelegancko, jak tylko można. Ale na ich miejscu sama bym się sfotografowała, w końcu byłam, jakkolwiek by na to patrzeć, nieproszonym gościem w posiadłości wdowy pogrążonej w żałobie. O niczym nie mieli pojęcia.

– Halo, jest pani przyjaciółką rodziny? – odezwał się przystojny młodzieniec. – Co teraz porabia Diana?

– Jak przeżywają to dzieci? – rzucił ktoś inny.

– Przykro mi – rzuciłam, czując się zobligowana, żeby coś powiedzieć. Ale poza tym nic nie przychodziło mi do głowy, toteż ruszyłam podjazdem i minęłam dwa samochody (jeden mały czerwony, a drugi wielki czarny, z rodzaju terenówek z napędem na cztery koła), udając, że nie słyszę nawoływań dziennikarzy.

Wszystko się zmieniło, kiedy policja potwierdziła, że Lara znajdowała się w pociągu w chwili jego wyjazdu z Londynu i że bezsprzecznie miała romans z Guyem Thomase, zaawansowany do tego stopnia, że przerodził się we wspólne mieszkanie w Londynie, a więc oboje skutecznie wiedli podwójne życie. Wiedzieli o tym wszyscy stali bywalcy tego nocnego pociągu. Personel nawykł już do tego, że należało rano dostarczać im razem śniadania, doskonale wiedząc, że nauczyli się rozkładać górną leżankę, żeby móc spać w jednym przedziale. Według dziennikarzy łóżka w wagonach sypialnych były zdecydowanie za wąskie na to, żeby nawet najbardziej oddani kochankowie mogli usnąć obok siebie. A teraz Guy nie żył, a Lara była zaginiona, toteż po uwolnieniu Sama i wyeliminowaniu go z grona podejrzanych wszyscy jak na ironię przyjęli wniosek, że to Lara zabiła Guya Thomasa (prawdopodobnie przez przypadek, jak powszechnie sądzono, w trakcie żywiołowej kłótni dotyczącej terminu jego odejścia od żony), po czym uciekła z pociągu.

Żona Guya, Diana, dowiedziała się najpierw, że jej mąż został zamordowany, a potem że z pełnym zaangażowaniem ją zdradzał. Przed jej domem od razu zebrali się dziennikarze żądni sensacyjnego nagłówka na pierwszą stronę swojej gazety. W całej prasie brukowej i telewizji roztrząsano życie erotyczne jej męża, bo przecież opinia publiczna nigdy nie miała dosyć tego rodzaju sensacji. Nie umiałam sobie wyobrazić, co ona teraz musi przeżywać.

Byłam tak bardzo zainteresowana jej osobą i tak zdesperowana, żeby się z nią spotkać, że gdy tylko Sam poprosił mnie o złożenie jej wizyty i przekazanie wyrazów współczucia, ponieważ i on nie mógł wyjść z domu bez wzbudzenia sensacji, natychmiast skorzystałam z tej okazji. Przekazałam swoją prośbę za pośrednictwem Alexandra Zielowskiego z policji w Falmouth i Diana Thomas od razu zgodziła się na to spotkanie.

„Może to masochistyczne”, napisała w mailu, „ale czuję, że powinnam się dowiedzieć czegoś więcej o Larze od kogoś, kto ją znał, a nie tylko z prasy, której, niestety bez powodzenia, próbuję unikać. Zatem czemu nie? Proszę przyjechać. Już nic gorszego nie może z tego wyniknąć”.

Zniknięcie Lary wciąż pozostawało taką samą tajemnicą, jak na początku, ale zaskoczenie minęło, a przyczyny zaginięcia weszły w zakres twardej rzeczywistości. Minął tydzień, znów była sobota i prawie nic się nie zmieniło. Śledztwo, które otrzymało nazwę „Operacja Wodnik”, było nadzorowane przez policję z Penzance, a prowadził je zespół dochodzeniowy od poważnych przestępstw, w którym, według Alexa Zielowskiego, pracowali wyspecjalizowani detektywi. Pewnie sam chciałby się znaleźć w składzie tego zespołu, lecz niestety nie brał udziału w dochodzeniu.

Bez końca dyskutowaliśmy o tym z Lauriem, ale nasze teorie wciąż wracały do punktu wyjścia, opierając się nieustannie na tych samych przesłankach. Według policji i podekscytowanej prasy Lara położyła się wcześniej do łóżka po tym, jak

zasłabła w wagonie restauracyjnym (co stało się źródłem spekulacji, że chciała w ten sposób zapewnić sobie alibi). Niemniej szybko wróciła do siebie, gdyż jeden z pasażerów widział ją około wpół do pierwszej w nocy idącą w kierunku przedziału Guya. Rano już jej nigdzie nie było, a Guy leżał martwy, zabity małym ostrym nożykiem, na którego trzonku znaleziono jej odciski palców. Pasażerowie z sąsiednich przedziałów mówili, że słyszeli jakieś głosy, ale nawet nie podniesione, a potem jakiś stuk, lecz nie na tyle głośny, żeby wtedy odnieść inne wrażenie poza rozdrażnieniem z powodu zakłócenia spokoju.

Wszyscy pasażerowie wagonu sypialnego zostali poddani drobiazgowemu sprawdzeniu, co zresztą było proste, ponieważ każdy miał wykupioną rezerwację, a tożsamość weryfikował personel kolejowy, jak w staroświeckich pociągach. Ale poza tym pociąg prowadził też wagony drugiej klasy, w których pasażerowie siedzieli przez całą noc. W pełni ufałam Alexowi, kiedy mi powiedział, iż żaden z pasażerów wagonu sypialnego zapewne nie miał nic wspólnego z morderstwem, podświadomie nabrałam więc pewności, że zabójca musiał podróżować w wagonie drugiej klasy i zapewne wysiadł z niego na długo przed tym, nim pociąg dotarł do celu swojej podróży.

Nikt jednak nie skłaniał się ku podobnym wnioskom. Cały świat zakładał, że skoro mordercą nie był Sam, musiała nim być Lara.

Policja sprawdzała teren wzdłuż nasypu kolejowego, jednakże ten rozciągał się na wiele kilometrów, poza tym sądziłam, iż przede wszystkim trwają poszukiwania jej zwłok, skoro było wielce prawdopodobne, że szukała drogi ucieczki po tym, jak przypadkowo śmiertelnie pchnęła nożem kochanka. Prasa lubowała się w bardziej sensacyjnych wyjaśnieniach: według niej Lara rozplynęła się w powietrzu i teraz mogła być gdziekolwiek. Mogła się nawet ukrywać gdzieś obok nas! – zaznaczano w podnieceniu. Dokładnie w tej chwili! Mogła siedzieć przy nas w autobusie! Wszyscy powinni się za nią rozglądać! Apele były podobne do tych, jakie wygłaszano po zaginięciu dziecka, tyle że zamiast szukać niewinnego aniołka, ludzie w całym kraju ludzie powinni na ulicy uważnie zaglądać sobie w twarze w poszukiwaniu pięknej zdeprawowanej morderczyni. W ten sposób tworzono ekscytującą rozrywkę dla tych, którzy nie traktowali żadnego z aktorów dramatu jak żywego człowieka.

Spotkałam się z Samem raz jeszcze, ale tylko na krótko. Nie mogłam znieść jego cierpienia. To była moja słaba strona. Opowiedział mi o godzinach spędzonych w areszcie w Camborne, o tym, jak śledczy przeszukiwali jego komputer, samochód, dom.

– To akurat było pozytywne – dodał. – Wtedy tak nie myślałem, ale przecież w końcu coś się działo.

Jego schorowana matka okazała się onieśmielająca, a potężny brat krzykliwy, toteż Sam desperacko próbował mnie powstrzymać, kiedy się żegnałam. Uznałam, że nie jestem mu nic winna, chociaż serce podpowiadało, że powinnam zostać dłużej. Nie miał żadnych przyjaciół, żonę stracił niemalże podwójnie i najwyraźniej źle się czuł w towarzystwie swojej rodziny.

Detektyw Alex zapukał do moich drzwi już następnego dnia po zaginięciu Lary. Zdenerwował mnie tą niespodziewaną wizytą. Przyjechał w niedzielę, w porze lunchu, gdy gotowałam obiad. Nie spodziewałam się nikogo i kiedy rozległ się dzwonek, Laurie aż jęknął głośno.

– Nie chcę się z nikim widzieć – burknął. – Może z wyjątkiem samej Lary Finch. Będę na górze. Nie mów nikomu, że tu jestem.

– Dobrze, wasza wysokość – mruknęłam, lecz na tyle cicho, że tego nie słyszał, i wymaszerowałam z kuchni.

Policjant, wysoki, tykowaty i miły, popatrzył na mnie wstydliwie, wchodząc szybko do środka, żeby nie napuścić zimnego powietrza.

– Przepraszam – rzekł. – Powinienem był wcześniej zadzwonić.

– Nic się nie stało. – Zachowywał się aż nazbyt swobodnie, ale po jego minie było widać, że nie ma dobrych wiadomości. – Proszę wejść – powiedziałam, czując się do tego zmuszona. Byłam pewna, że Laurie pozostanie na górze tak długo, jak będzie to konieczne. Wiedziałam, że jest gotów na wszystko, byle tylko uniknąć kontaktu z policją.

– Chciałem porozmawiać z panią jako przyjaciółką pani Finch – wyjaśnił, wchodząc w głąb pokoju. – Och, widzę, że jest pani zajęta w kuchni. Wspaniale pachnie. Bardzo przepraszam, że przeszkadzam. Spodziewała się pani gości? Mam przyjść kiedy indziej?

– Nie – odparłam. – Naprawdę. Zaraz zrobię panu coś do picia. Mojego chłopaka nie ma w domu i nie spodziewam się nikogo. – Nagle nabrałam ochoty na drinka. Z Lauriem rzadko piliśmy alkohol. – Podejrzewam, że nie mogę zaproponować lampki wina. To zabronione na służbie, prawda?

– Owszem. Ale chętnie napiłbym się kawy. Przepraszam, Iris. Nie napiję się z panią niczego innego poza kawą.

– Nie ma sprawy, to dopiero mój drugi kieliszek. Mam nadzieję, że panu nie przeszkadza.

Przyglądając się, jak szykuje mu kawę, wyjaśnił, że chce ze mną porozmawiać nieformalnie.

– Ta cała sprawa jest nietypowa – rzekł. – Bardzo nietypowa. Cały czas nie mogę się w niej rozeznać. Wygląda na to, że pani Finch zapadła się pod ziemię.

– Jasne – mruknęłam. – I to ma być coś niezwykłego?

– Tak, wiem. Zresztą nawet nie jestem już zaangażowany w dochodzenie. Mój udział zakończył się na wizycie u pana Fincha. Jestem z komendy w Falmouth, a jak pani wie, śledztwo prowadzi zespół dochodzeniowy z Penzance. Ale przyzna pani, że nieczęsto zdarza nam się tutaj coś tak niezwykłego. – Przysiadł na skraju kuchennego blatu. Nogi miał tak długie, że stopami wciąż niemal dotykał podłogi. – Podoba mi się pani spódnica. W starym dobrym stylu.

Na tę uwagę zaśmiałam się w głos. Miałam na sobie starą sukienkę w kwiaty, którą kupiłam w sklepie z używaną odzieżą. Musiałam ją prać aż trzy razy, zanim pozbyłam się z niej trupiego fetoru.

– Tyle żeto dobry styl z lumpeksu, a nie z salonu mody. Ale dziękuję. Poza tym

to nie spódnica, ale sukienka. – Uniosłam brzeg swetra, żeby mu pokazać górną część.

Uświadomiłam sobie, że się do niego uśmiecham, a on patrzy mi głęboko w oczy, i zmieszałam się jak podłotek.

– A co się tyczy Lary – powiedziałam szybko – nawet nie znałam jej za dobrze. Nie miałam pojęcia, że spotykała się z Guyem Thomasem. Biedny facet. Oczywiście dlatego, że nie żyje, a nie dlatego, że spotykał się z Larą. Zresztą sam pan rozumie, co mam na myśli.

– Owszem, rozumiem – przyznał z powagą. – Wygląda na to, że tylko stali pasażerowie tego pociągu wiedzieli o romansie Lary z Guyem. No i obsługa hotelowa, chociaż się tym nie interesowała. Szczerze mówiąc, coś podejrzewali też jej siostra i ojciec chrzestny mieszkający w Londynie, który zeznał jednak, że nie miał okazji poznać pana Thomasa.

– Jak to odbiera jej rodzina?

– Tak, jak należałoby się spodziewać. Proszę posłuchać. Przykro mi, że muszę o to zapytać, ale jak to się stało, że była pani w domu Finchów wczoraj rano? Oczywiście nie chcę sugerować, że było w tym coś niestosownego. Wiem, że pan Finch został już zwolniony z aresztu bez postawienia zarzutów. Chodzi tylko o to... Kiedy odnajduje się zwłoki sekretnej kochanki kobiety, w pierwszej kolejności trzeba sprawdzić jej męża. A gdy się go odwiedza w jego domu, gdzie przebywa w towarzystwie innej kobiety...

– Tego was uczą w szkole policyjnej?

– Owszem, i to na samym początku.

Opowiedziałam mu dokładnie, co się wydarzyło. Zaczęłam od chwili, gdy się obudziłam wcześniej rano, a skończyłam na tym, jak Sama aresztowali i wsadzili do wozu patrolowego.

– A pani chłopak? – zapytał. – Czy on też mógłby złożyć zeznania w tej sprawie, gdyby zaszła taka potrzeba? Tylko po to, żeby powiązać wszystkie fakty? Chociaż nie wyobrażam sobie, żeby było to konieczne, dopóki na jaw nie wyjdzie coś nowego.

To mnie skłoniło, żeby odpowiedzieć:

– Na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu.

– Mógłbym więc zanotować jego nazwisko?

Nie miałam powodów, żeby okłamywać policję, toteż nie zostało mi nic innego, jak powiedzieć prawdę:

– Laurie Madaki. – Natychmiast tego pożałowałam i od razu dodałam, mówiąc zdecydowanie za szybko: – Jak pan widzi, mam wino w kieliszku. Na pewno nie chce pan dotrzymać mi towarzystwa? Nawet odrobinę?

Alex uśmiechnął się szeroko i zeskoczył na podłogę.

– Chyba dam się namówić. Za dwadzieścia minut kończę służbę. Wizyta u pani to moje ostatnie dzisiejsze zadanie, zatem nikt się nie dowie. Dziękuję, z przyjemnością napiję się wina.

Starałam się nie myśleć o Lauriem, który na górze musiał kipieć ze złości.

Wmawiałam sobie przy tym, że nie mógł słyszeć, jak podawałam policji jego nazwisko. Otworzyłam butelkę lekkiego czerwonego wina i usiadłam przy stole ze szczególnie pociągającym policjantem, czując w całym ciele poczucie winy z powodu psychicznej zdrady, niemniej bezdusznie się tym cieszyłam.

Pomyślałam, że gdybym była samotna, zagiełabym parol na Alexa Zielowskiego. Od razu weszłabym na jego orbitę. I chciałabym dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Gdybym była samotna.

I właśnie wtedy umówił mnie, w roli wysłanniczki Sama, na spotkanie z Dianą, z czego ochoczo skorzystałam, gdyż chciałam się z nią zobaczyć. Lecz nawet kiedy stanęłam już przed drzwiami posiadłości Thomasów, zza ogrodzenia wciąż dolatywały okrzyki dziennikarzy. Powinni byli już dawno zrezygnować, zająć się nowszymi sensacjami. Ale problem polegał na tym, iż żadne z nowszych doniesień nie dotyczyły aż tak sprośnego tematu. Tu przecież chodziło o seks i zabójstwo w przedziale kolejowym, w porównaniu z tym sprawy ekonomiczne wydawały się nudne i przygnębiające. Wszyscy oczekiwali nowin o tym skandalu, cały kraj niemalże dostał szału na punkcie Lary.

Guy miał konto na Twitterze, rzadko używane, które teraz nagle, po jego śmierci, odwiedziło prawie pół miliona gości, podczas gdy wcześniej zrobiło to zaledwie dwadzieścia siedem osób. Wszystko, co kiedykolwiek napisał (a nie było tego wiele), zostało poddane ścisłej analizie, ale okazało się rozczarowujące, gdyż zawierało głównie odniesienia do artykułów w „Guardianie” albo BBC. Uznano powszechnie, że to jedno z najnudniejszych kont na Twitterze, bo mimo najbardziej wnikliwych analiz nie znaleziono na nim zaszyfrowanej korespondencji między kochankami. Lara także miała konto na Twitterze, ale właściwie nieużywane, do tego stare konto na Facebooku, jak można się było spodziewać, równie mało używane. Tego ranka zauważyłam na jednym z tabloidów krzykliwy nagłówek: „Czy kobieta sukcesu może mieć zaledwie 47 przyjaciół?”. Jak wyraził się znany psycholog, „Charakter psychotyczny musi panować nad swoim otoczeniem”.

Masywne drzwi domu były polakierowane i wyposażone w mosiężną kołatkę, która podskoczyła, gdy podniosłam ją i upuściłam. Diana Thomas niemal natychmiast otworzyła mi drzwi. W naturze wyglądała o wiele lepiej niż w wiadomościach telewizyjnych czy na zdjęciach w prasie. Była wyższa ode mnie, miała gęste czarne włosy zebrane w niedbały kok poprządkany siwizną. Oczywiście wyglądała niesamowicie, gdyż wszystkie uczucia odmalowywały się wiernie na jej twarzy, choć mimo to próbowała się uśmiechnąć.

– To ty jesteś Iris – powiedziała, zerkając ponad moim ramieniem na podniecony tłum robiących jej zdjęcia fotoreporterów przed bramą. – Wejdz, proszę. Tylko szybko.

– Dziękuję, że chciałaś się ze mną zobaczyć. Bardzo dziękuję. To naprawdę miłe z twojej strony. I bardzo mi przykro ze względu na wszystko, przez co musisz

przechodzić.

Rzucalam wyświechtane komunały, ale nie miałam pojęcia, co innego mogłabym powiedzieć.

– Musiałaś przejść przez płot, prawda? Widziałam to z okna. Cały czas trzymamy bramę zamkniętą na kłódkę. Chyba rozumiesz, z jakiego powodu?

– Och, tak, na Boga, oczywiście. Zostawiłam swój rower po tamtej stronie parkanu.

– Powinien tam być bezpieczny. – Miałam wrażenie, że ledwie się powstrzymuje od śmiechu. – Nie sądzę, żeby istniało ryzyko, że ktoś z nich postanowi sobie na nim pojeździć. Podejrzewam, że to w ogóle nie w ich stylu.

– Dzięki, że zgodziłaś się na to spotkanie.

Westchnęła głośno, wydmuchując powietrze pomiędzy wydętymi wargami.

– Na swój perwersyjny sposób chciałam się dowiedzieć jak najwięcej o tej kobiecie. Najlepiej od kogoś, kto ją znał, a nie z tych bzdur wypisywanych w gazetach. Nigdy wcześniej nie widziałam na oczy Sama Fincha, ale teraz wygląda na to, że od dawna byliśmy ze sobą powiązani, nie mając o niczym pojęcia. Dlatego świetnie rozumiem, czemu chciał się ze mną skontaktować. Może gdy wszystkie te łobuzy rozjadą się wreszcie do domów, będziemy mogli swobodnie się spotkać.

Ruszyłam za nią ciemnym korytarzem z podłogą wyłożoną wiekowymi wyślizganymi płytkami, sugerującymi, że stary dom jest dobrze utrzymany, aż do kuchni ze skrzydłowymi oknami wychodzącymi na trawiaste tylne podwórze. Na sznurze za oknem wisiało pranie, ale wyglądało tak, jakby nie zdejmowano go od dłuższego czasu, toteż zdążyło zamarznąć.

Na ścianie wisiała rodzinna fotografia. Przyjrzałam się jej dyskretnie. Została zrobiona chyba na jakimś przyjęciu. Diana miała na sobie turkusową sukienkę, nieco za jasną w stosunku do tonacji jej cery, a Guy szczyrzył zęby do obiektywu, blad różowy krawat miał poluzowany, guzik koszuli pod szyją rozpięty. Wyglądał bardzo dobrze. Od razu pojąłam, skąd się wzięło zauroczenie Lary, chociaż wciąż mnie dziwiło, że była zdolna do tak namiętnego i długotrwałego romansu.

Wyglądało na to, że w domu nie ma nikogo więcej. Uznałam to za dziwne. Spodziewałam się, że będzie tu sporo przyjaciół i krewnych, kręcących się wszędzie.

– Jest pani sama? – zapytałam, gdy nalewała wody do staroświeckiego czajnika, który postawiła na kuchence gazowej.

– Próbowałam być przez tych ostatnich kilka dni, ale teraz wszyscy chcą mnie odwiedzić i pocieszyć w żałobie. Dzieci są na górze z przyjaciółmi. Mam wrażenie, że to im najlepiej służy. Przyjechał mój brat i na jakiś czas zabrał mamę do siebie. Bo chyba wie pani, że ona mieszka z nami. Poza tym odwiedziła nas policyjna psycholog, która była po prostu niesamowita, okazała się dla nas wielkim oparciem, większym, niż mogłabym przypuszczać. Ale teraz już przyjeżdża tylko na krótko, raz dziennie. Cała reszta krewnych i znajomych na szczęście też zjawia się na krótko. Czasami aż nie mogę tego znieść. Siedzę przy stole, piję herbatę

z ludźmi, którzy szczerze mi współczują, lecz dobrze wiem, że choć starają się odpowiednio dobierać słowa, nie mają pojęcia, jak to naprawdę jest. Jakie to uczucie, kiedy ktoś złamał człowiekowi życie, kiedy mąż nie żyje. A potem odkrywa się inne fakty i nawet nie można się na niego złościć. Prawdę mówiąc, jestem na niego cholernie rozżalona, bo ten łobuz, przez to, że dał się zamordować, pozbawił mnie możliwości porozmawiania z nim, więc nawet nie mogę... – Przygryzła wargę i wzięła kilka głębszych oddechów. – Tak czy inaczej, napijmy się herbaty, dobrze? Zdecydowanie wolałabym coś mocniejszego, ale próbuję nie ulegać takim pokusom, bo wiem, do czego to prowadzi. Proszę mi o niej opowiedzieć. O Larze Finch. To ona zabiła mi męża?

– Nie – odparłam. – Jestem absolutnie przekonana, że tego nie zrobiła. – Z łatwością przywołuję wyolbrzymioną wersję naszej znajomości. Gdyby Lara pojawiła się żywa i niewinna, musiałabym poważnie zrewidować tę wersję w zakresie mocy i trwałości łączących nas więzów. Jej prawdziwi przyjaciele, koledzy z pracy oraz znajomi, którzy wypowiadali się dla gazet, byli autentycznie zdumieni dramatyczną historią, podkreślali, że nawet związki pozamałżeńskie nie leżały w jej naturze, a co dopiero zabójstwo. – Byłam z Samem w tę sobotę, gdyż przyjechałam, żeby ją odwiedzić, ale ona nie wróciła do domu. Oboje wiedzieliśmy tylko tyle, że nie wysiadła z tego pociągu, z którego powinna wysiąść. Nie miałam pojęcia, że ona i Guy... Tak mi przykro. Ale nigdy nie mówiła o nim, nawet przede mną zachowywała tajemnicę. Tak więc nigdy wcześniej nie słyszałam jego imienia.

Diana odwróciła się tyłem i zaczęła szykować dzbanek na herbatę.

– Biedny łajdak – powiedziała. – Mam na myśli Sama Fincha. Musi być doszczętnie zdruzgotany – po tym, jak aresztowano go w tak dramatycznej sytuacji. Ja się domyślałam. Nie miałam pewności; Guy, rzecz jasna, o niczym mi nie powiedział. Bo i czemu miałyby to robić? Ale to nie była jego pierwsza zdrada, umiałam już czytać w jego oczach jak w otwartej księdze. Skoro w jednej chwili często mówił o kobiecie, którą poznał w pociągu, a potem nagle zaczynał milczeć na jej temat, wiedziałam, że wszedł w swój zwykły tryb postępowania.

– Zwykły tryb?

Odwróciła się i spojrzała mi w oczy. Każda zmarszczka na jej twarzy zdawała się świadczyć, że tylko siłą woli zachowuje panowanie nad sobą.

– Byliśmy małżeństwem od ponad dwudziestu lat. Choć może powinnam powiedzieć, że to ja byłam jego żoną tak długo. Oboje skończyliśmy czterdzieści siedem lat i oboje znaliśmy się nawzajem jak łyse konie. Jego romans z Larą Finch był, jak na złość, całkowicie w jego stylu, chociaż wszystko, co pisali ostatnio w gazetach na temat ich wspólnej egzystencji i podwójnego życia w Londynie w ciągu tygodnia, dużo bardziej czyni z niego pieprzonego drania, niż podejrzewałam. Piszą, że ona go zabiła, ponieważ nie chciał odejść ode mnie. Lecz dla mnie to wierutna bzdura, bo sądząc po wszystkich faktach, które ujawniła prasa, prawdopodobnie szykował się do tego, żeby mnie rzucić. Nieomal słyszę jego słowa, jak mówi: „Di, jest coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać”.

I brzydziłby się każdą chwilą tej rozmowy. Czasami miałam wrażenie, że właśnie do tego zmierza. Na pewno rozpoznałabym odpowiednią minę na jego twarzy i cała spięłabym się wewnątrz z niepokoju. A on właśnie wtedy zainicjowałby tę rozmowę. Tylko kto wie? Może wcale nie zamierzał ode mnie odejść? Może to jej dużo bardziej zależało na nim? Wiele na to wskazuje, prawda? Ta ich wspólna znajoma z pociągu, Ellen, na którą kiedyś się natknęłam razem z dziećmi, teraz utrzymuje, że dobrze wiedziała, co się święci. To miłe z jej strony. Wydaje się całkiem pewna, że Lara zamierzała odejść od swojego biednego męża, a Guy zaproponował to samo. Dalej mieli razem żyć szczęśliwie. Ale może ostatnio zaczął tracić pewność siebie? W końcu nie wiemy nic więcej. Do tego typu decyzji wystarczy choćby chwila szaleństwa. Ludzie czasem robią różne szalone rzeczy.

Czajnik zaczął gwizdać. Popatrzyłam, jak Diana gasi gaz pod nim i odmierza łyżeczką do dzbanka całe duże liście suszonej herbaty.

– Ja też używam takich całych liści – powiedziałam. – Teraz już mało kto zwraca na to uwagę. Ale te są dużo lepsze.

Uśmiechnęła się do mnie i na ułamek sekundy odmienił się cały wyraz jej twarzy.

– Naprawdę? Moja matka w ogóle nie uznaje drobniejszej herbaty, a ponieważ zostałam tak wychowana, też nie stosuję innej. Ta zaparzana w bibułowych torebkach smakuje inaczej.

– To podobna różnica, jak między prawdziwą kawą a rozpuszczalną.

– Zgadza się! Ale teraz mało osób to rozumie. Wszyscy mają albo snobistyczne podejście do sprawy, albo z politowaniem traktują temat kawy rozpuszczalnej, ale torebki z herbatą są całkowicie akceptowane w społeczeństwie. Cieszę się, że pani to docenia.

Na moich oczach rzeczywistość na powrót zwała jej się na barki niczym czarna chmura, która tylko przysporzyła dodatkowych zmarszczek na jej twarzy.

– Naprawdę nie wierzę, żeby ona mogła to zrobić – powiedziałam. – Mówię o Larze. Oczywiście, nie chcę o niczym przesądzać, bo nie czuję się do tego uprawniona, ale nawet przez chwilę nie wierzyłam w jej winę. Sądzę, że wydarzyło się coś innego.

– Na przykład co?

– No cóż, sama nie wiem. Mógł być jeszcze ktoś, a ona stała się tylko przypadkowym świadkiem. Może i ona nie żyje.

– Do tej pory już by znaleźli jej zwłoki.

– W jeziorze albo coś w tym rodzaju? A może zabójca zmusił ją, żeby razem z nim wysiadła z pociągu? Mogła zostać przewieziona w dowolne miejsce. Jestem pewna, że ta sprawa skrywa dużo więcej tajemnic, niż się powszechnie uważa.

Diana nie odpowiedziała. Nalała do dwóch identycznych kubeczków mleka, a potem herbaty. Wydawały się idealnie pasować do życia na wsi, były kremowe, z różyczkami po obu stronach. Do pokoju bezgłośnie wszedł kot i zaczął się ocierać o moje nogi. Diana ciężko klapnęła na kanapę obok mnie.

– Mój Boże... Sama nie wiem. Nie jestem przekonana do tego, że było dokładnie

tak, jak można by sądzić po pozorach, bo skąd miałabym znać prawdę? Na razie próbuję przede wszystkim rozeznać się w swoim położeniu. Wie pani? Każdy nosi historię swojego życia we własnej głowie. Wychodzimy za mąż, rodzimy dzieci, urządzamy rodzinny dom w Kornwalii, a w takiej chwili myślimy: „Może Guy nie był najwspanialszym mężem, a ja za bardzo wcieliłam się w rolę wycieraczki do butów, ale jakoś nam się razem układało, dzieci rozjechały się z domu do szkół, moja matka nie zawracała nam bez przerwy głowy, zestarzeliliśmy się razem, jeśli nawet po jakichś wybojach, to jednak przede wszystkim w szczęściu i wzajemnej życzliwości. Tak właśnie postrzegałam swoją przyszłość do ostatniego weekendu. Bo teraz muszę sobie przypominać, że moja historia powinna zaczynać się od słów: „Kiedy miałam czterdzieści siedem lat, mój mąż został zamordowany i...”. Nie mam pojęcia, jak miałyby to brzmieć dalej. Bo na początku jest głównie niedowierzanie, człowiek budzi się każdego ranka, mając nadzieję, że on śpi tuż obok albo że zaraz wróci z pociągu. Ale potem wraca pamięć. A później, powoli, człowiek zdaje sobie sprawę, że od dzisiaj będzie już tylko tak. I uśmiecha się smutno do tej ponurej rzeczywistości.

– Boże, jak to musi boleć.

Zdobyła się na skąpy uśmiech.

– Owszem. A jak się czuje Sam Finch? Nie mieli dzieci. Więc jak sobie radzi w samotności?

Westchnęłam głośno.

– Sama nie mam pojęcia, jakim cudem zamierza przez to wszystko przejść.

– Otóż to! – Pokiwała głową, wpatrując się w jakiś punkt w oddali. – Ze mną jest tak samo, tylko trochę inaczej. Bo zniknęła jego żona i mój mąż. Pieprzona sprawa. – Próbowała się uśmiechnąć. – Nawiasem mówiąc, do tej pory rzadko przeklinałam. To nie w moim stylu. A więc proszę mi o niej opowiedzieć. Jak się poznałyście? Jak wyglądało jej życie, zanim zdecydowała się szukać szczęścia z moim mężem? Naprawdę o niczym pani nie wiedziała? Bo przecież nie będę miała do pani pretensji, jeśli było inaczej, moja droga. W żadnej mierze. Nie jestem aż tak małostkowa. W końcu wszystkie powinnyśmy trzymać się razem w obliczu tak pozbawionego skrupułów zachowania. Bóg jeden wie, że ja taka jestem.

Poprawiłam się na krześle.

– Naprawdę o niczym nie wiedziałam. Ale miałam pewne przeczucia, że nie jest w pełni szczęśliwa z Samem. Kiedy poznałyśmy się na promie...

Zajęło nam to całe popołudnie, ale powiedziałam wdowie po Guyu wszystko, co wiedziałam na temat kobiety powszechnie uważanej za jego zabójczynię.

Rozdział 17

Dziennikarze rzucili się za mną, kiedy wychodziłam, ale Diana ostrzegła, że tak będzie. Powiedziała, że wystarczy tylko kroczyć pewnie przed siebie.

– Wkrótce zmęczą się tym wyczekiwaniem – dodała. – Więc istnieje pewna nadzieja.

– Jak się miewa Di?! – wykrzyknęła kobieta stojąca dokładnie na wprost mnie.

Olałam ją i podbiegłam do roweru, wdzięczna, że nikt z nich do tej pory go nie ruszył. Diana miała rację: choć byli młodzi, nikt z nich nie wyglądał na miłośnika rowerów.

– Jak ona się czuje? Jak się miewa Diana? – wykrzykiwali pozostali.

Wsiadłam na rower i chciałam odjechać, lecz zablokowali mi drogę, otoczył mnie zwarty tłum wzbudzający strach. Miałam nadzieję, że jak będę jechać dalej, w końcu zejdą mi z drogi. Gdybym podróżowała samochodem, na pewno by zeszli. Ale teraz tylko naciągnęłam kask głęboko na oczy, aż poczułam jego ucisk na czole nad brwiami, po czym nadepnęłam mocno na pedał. W ten sposób wyrwałam się z gromady, chociaż początkowo nieco chwiejnie. Ale na wprost mnie wyrósł jakiś mężczyzna, który tylko uśmiechał się ironicznie, blokując mi drogę. Ruszyłam prosto na niego, ale on nie zechciał ustąpić mi pierwszeństwa.

Była to chyba najwolniejsza ze wszystkich kraks pokazywanych w zwolnionym tempie. Jechałam prosto przed siebie, chociaż chwiałam się jeszcze trochę na boki, gdyż nie miałam czasu, żeby nabrać prędkości i ustalić właściwą równowagę. A on twardo stał na mojej drodze. Nie mogłam go objechać, gdyż po bokach także tłoczyli się ludzie, skierowałam się więc prosto na niego. Nie odskoczył, jak należałoby się tego spodziewać. Wjechałam mu przednim kołem prosto w kolano i musiałam się zatrzymać.

Wybuchnął gromkim śmiechem.

– Przejechała mnie rowerem! – obwieścił zgromadzonym dokoła kolegom. Mówił z wyraźnym miejscowym akcentem, przyszło mi więc na myśl, że musi pracować dla którejś z lokalnych kornwalijskich gazet.

– Powinien był się pan odsunąć – powiedziałam. – Na pewno by pan to zrobił, gdybym jechała samochodem.

– To prawda, odsunąłbym się. Ale pani jedzie cholernym rowerem!

– I co z tego? Oczekuje pan przeprosin? To się pan nie doczeka. Bo ja próbuję tylko stąd odjechać. A pan może wracać do przerwanego naprzykrzania się pogrążonej w smutku wdowie.

– No tak. Prawdopodobnie to ja powinienem panią przeprosić, lecz również nie zamierzam tego robić. Bo ja z kolei próbuję tylko zmusić panią do chwili rozmowy ze mną.

– Dość tego. Proszę mi zejść z drogi.

– Mówi pani poważnie? – zapytał groźnie gardłowym głosem. – Zapytam nieformalnie. Jak ona sobie radzi?

– Nic panu do tego.

Policzki miał zaróżowione od mrozu, wyglądał na jakieś dwadzieścia pięć lat. A to oznaczało, że był o ponad dziesięć lat młodszy ode mnie.

– Niech to jasna cholera – syknął. – Dlaczego ludzie z takim uporem nie chcą rozmawiać z dziennikarzami? Jakbyśmy byli wysłannikami Hitlera albo kimś w tym rodzaju. Pracuję dla „Western Morning News”, a nie dla wkurzającego „Daily Star”. Chociaż część tych ludzi na pewno pisze do tabloidów. Wystarczyłoby, żeby powiedziała pani: „ona miewa się tak i tak”, mógłbym wtedy napisać: „przyjaciele twierdzą, że pani Thomas miewa się tak i tak”. Wtedy nie musielibyśmy tu marznąć i próbować wydusić choćby pół zdania, które dałoby się zacytować w gazecie.

– Przecież pan i tak napisze: „przyjaciele twierdzą, że pani Thomas miewa się tak i tak”. Jak zwykle coś pan zmyśli.

Westchnął ciężko.

– Ale byłoby lepiej, gdyby miało to choćby minimalny związek z prawdą, nie sądzi pani?

Chciałam już odjechać, ale zmieniłam zdanie.

– W porządku – powiedziałam, gorączkowo usiłując w myślach sklecić coś sensownego. Cała reszta szybko podeszła bliżej, chcąc usłyszeć to, co powiem. – To bardzo silna kobieta i radzi sobie najlepiej, jak tylko można w zaistniałej sytuacji. Największym jej zmartwieniem są dzieci, dlatego byłaby wam wszystkim wdzięczna, gdybyście zostawili ją w spokoju. Na pewno nie wyjdzie przed dom i nie wybuchnie płaczem przed kamerami, więc możecie już teraz się stąd wynieść.

– Kim pani jest?! – padł okrzyk z tłumu. – Jak się pani nazywa?!

Jak tylko znów wskoczyłam na siodełko, młody reporter wsunął mi coś do kieszeni futrzanej kurtki. Błyskawicznie się zatrzymałam.

– Co to jest? – zapytałam ostro.

– Moja wizytówka. Na wypadek gdyby postanowiła pani powiedzieć coś więcej.

Pozostali także zaczęli gorączkowo sięgać po wizytówki. Odjechałam stamtąd najszybciej, jak mogłam, kierując się alejką dojazdową wzdłuż szeregu aut zaparkowanych nad rowem i telewizyjnej furgonetki przy szosie, po czym skręciłam w dół zbocza. Nagle cały świat znów stanął przede mną otworem, mogłam podziwiać rozległe odkryte przestrzenie, skały, rozmytą linię horyzontu nad odległym Atlantykiem. Powietrze było rześkie, blade zimowe słońce tylko od czasu do czasu wyłaniało się zza chmur. Popędziłam w dolinę, biorąc zakręty szybciej, niż powinnam, i pedałowałam energicznie na najmniejszej przerzutce, dopóki nie poczułam, że policzki mnie palą, emanując żarem z głębi ciała, bo na zewnątrz wciąż były zimne od mrozu. W końcu nogi mnie zaczęły boleć, ale znów byłam wolna.

Rozbudziło się we mnie kiełkujące i wymagające uwagi przecucie. Lara tego nie zrobiła. W pociągu był jeszcze ktoś inny i to on zabił Guya, po czym upozorował winę Lary. Mogę sobie wyobrazić, że miała romans, powtarzałam w myślach, przejeżdżając przez osadę złożoną w połowie z drewnianych chat

i w połowie z kamiennych rezydencji. Sam był wrażliwy i wymagający opieki – chociaż poznałam go dopiero po zniknięciu bez śladu jego niewiernej żony, więc nie była to bezstronna ocena. Mimo wszystko poświęcił swoje życie na oczekiwanie jej powrotu z Londynu, a zdążyłam się przekonać, jak bardzo wyniszczający może być taki tryb życia.

Mogłam też sobie wyobrazić, że Lara od niego odchodzi. Na pewno byłby zdruzgotany, jak oceniła to Diana, ale w końcu przytrafiało się to wielu ludziom. Małżeństwa kończyły się w ten sposób.

Pomyślałam, że mogłabym zadzwonić do Lauriego i uprzedzić o moim bliskim powrocie. Nie mógł się tego spodziewać. Przywykł do czekania na mnie. Dlatego ciekawiło mnie, co by pomyślał, gdybym wybrała się jeszcze gdzieś dalej. Na pewno by mi nie wybaczył, że piłam wino z Alexem. Przekraczałam ustalone granice.

Kiedy przyczepiałam rower łańcuchem przed sklepem garmazeryjnym w Penzance, uświadomiłam sobie, że bez przerwy wpatruję się w twarze mijających mnie ludzi, na wszelki wypadek. Istniała znikoma szansa, że ona tu jest, w mieście na końcu torów kolejowych. Mogła przecież wysiąść na tutejszej stacji i niepostrzeżenie przekraść się z dworca na ulicę.

Ale, rzecz jasna, nie zrobiła tego. Penzance nie należało do miast, w których ktokolwiek mógłby zniknąć bez śladu. Gdyby tu była, zostałaaby już dawno zidentyfikowana.

Ludzie mnie mijali, zostawiając za sobą obłoczki pary z marznącego oddechu. Powoła chmur wyraźnie się obniżyła od czasu, gdy wyjechałam z posiadłości Diany, i teraz wisiała nisko nad głowami, poczerniała od groźby nadciągającego mroźnego deszczu.

W sklepie nikogo nie było. Wiedziałam, że mogłam po drodze wpaść do którejkolwiek restauracji, ale miałam ochotę na pasztecika. Sekretne pieniądze na moim koncie bankowym dawały mi pewność, że już nigdy nie będę musiała się martwić o stan swoich finansów, gdyż było bardzo mało prawdopodobne, żebym dożyła chwili ich wyczerpania. Mogłam więc sobie pozwolić na wydatek trzech funtów na pasztecika oraz puszkę dietetycznej coca-coli.

W domu szykowałam dla nas dwojga najbardziej wyszukane obiady, na jakie tylko pozwalał skromny domowy budżet. Gotowałam zupy z miejscowych jarzyn i sama piekłam chleb. Niemniej jadałam dobrze, do tego dużo ćwiczyłam, więc cieszyłam się zdrowiem i byłam nudną gospodynią domową. Ale w domu nie mogłam sobie pozwolić na żadne ekstrawagancje, gdyż nie powiedziałam mu o wygranej na loterii. Gdybym mu teraz o tym wspomniała, musiałabym wyjaśnić, dlaczego nie powiedziałam wcześniej. A to stawało się coraz bardziej niewykonalne.

Kiedy szłam nadmorskim pasażem, wzdłuż obrzeżonego pomostem morskiego basenu Jubilee, czując pierwsze krople deszczu na twarzy i zlizując z palców pokruszone płatki francuskiego pasztecika, nadal wpatrywałam się w twarze mijających mnie ludzi. Lecz gdy tylko następna sylwetka pojawiała się w oddali,

było dla mnie jasne, że to nie Lara. Każdy przechodzień był albo za stary, albo za młody, albo za gruby, albo za wysoki. Zresztą jeśli jeszcze żyła, musiała być teraz setki kilometrów stąd, jak najdalej od miasta, w którym odkryto zwłoki Guya.

Linia brzegowa odchodziła w obu kierunkach pofałdowana i skalista. Morze było wzburzone, wiatr przybierał na sile. Dlatego w Newlyn skręciłam w kierunku zamku St Michael's Mount, który był odcięty od stałego lądu przez wysoką falę, a potem poprowadziłam rower w stronę stacji kolejowej.

Nakarmiłam koty, zaparzyłam dwa kubki herbaty, usiadłam obok Lauriego, nadąsanego i pełnego podejrzeń, po czym włączyłam komputer. Przejrzałam wszystko, co tylko można było znaleźć na temat Lary (nie natknęłam się na nic nowego, chociaż kilka portali internetowych zdążyło już zamieścić zdjęcia mnie przechodzącej przez płot, co do których pozostawało tylko mieć nadzieję, że nie zobaczy ich nikt znajomy). Potem zadzwoniłam na komendę policji w Penzance i zostałam połączona z jakimś znudzonym oficerem dyżurnym.

– Myślę, że zrobił to ktoś inny – powiedziałam mu. – Powinniście dokładnie sprawdzić wszystkich pasażerów, prześledzić ich kroki. Morderstwo musiał popełnić ktoś z nich, a nie Lara.

Starął się odpowiadać grzecznie.

– Oczywiście, że badamy wszelkie tropy i rozmawiamy z każdym pasażerem.

Zaraz jednak poprosił, żebym się rozłączyła, zrobił to spokojnie, lecz stanowczo, dając do zrozumienia, że uważa mnie za naprzykrzającą się nudziarę, czyli najgorszy gatunek rozmówcy, jaki może się przytrafić odbierającemu telefony oficerowi.

Prasa oraz internet na razie były zainteresowane Larą i Guyem, ale już wkrótce musiała się pojawić inna elektryzująca historia. Policja mogła odnaleźć zwłoki Lary albo ją zatrzymać, ewentualnie miejsce jej pobytu miało na zawsze pozostać nieznanne. Istniały tylko te trzy możliwości.

– Mam nadzieję, że nic jej się nie stało – odezwałam się do Lauriego.

– Obawiam się, że to płonne nadzieje – odparł beznamiętnym tonem. – Sama dobrze o tym wiesz. Niezależnie od tego, czy jest winna zabójstwa, czy nie.

– Tak, wiem. Powinnam otworzyć butelkę wina?

Zaśmiał się.

– Dla odmiany napijesz się ze mną? To miłe z twojej strony, kochanie.

– Posłuchaj, Laurie. Mam wielką ochotę coś zrobić.

– Co? – Niepokój w jego głosie kazał mi natychmiast porzucić swój pomysł, na co zresztą zanosilo się od początku.

– Och, to nic wielkiego. Napijmy się. Zostało też jeszcze trochę zupy.

Nie odpowiedział. A ja nie miałam odwagi spojrzeć mu w oczy. Mieliśmy w domu tylko jedną butelkę wina, ponieważ to lepsze wypiałam z Alexem, zostało tylko to gorsze. Przypomniałam sobie nawet, jak je kupowałam, kosztowało trzy funty i czterdzieści dziewięć pensów, ale smakowało jak jeszcze tańsze.

Mimo wszystko nawet tanie czerwone wino podziało na mnie kojąco. W dzinsach, wełnianym swetrze i grubych skarpetach usiadłam przed rozpalonym piecykiem, usiłując zebrać się na odwagę, żeby ujawnić swój plan. Ofelia zaczęła mi się ocierać o nogę, więc Desdemona podeszła do Lauriego, ale on jak zwykle ją zlekceważył. Mnie także lekceważył, toteż zaczęłam rozmawiać z kotem, ale tylko w wyobraźni, żeby nie słyszał.

– To nie moja sprawa – oznajmiłam kotce. – Nic nie mogę zrobić. Dlatego muszę biernie czekać.

– Ale nie chcesz tego, prawda? – zripostowała równie bezgłośnie. – Chcesz znać prawdę.

– Owszem, zgadza się. Chcę znać prawdę. Chcę wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło.

– No cóż – mruknęła Ofelia, wskakując mi na kolana, aż musiałam odchylić się do tyłu i oprzeć na rękach, kiedy zaczęła po mnie deptać, jakbym była wygodną poduchą. – Dlaczego nie pojedziesz do Londynu, żeby sprawdzić, jak sprawy się przedstawiają z tamtejszej perspektywy?

– To mogłabym zrobić. Oczywiście. Tylko kto by się wtedy wami zajął?

Usiadła wreszcie i zaczęła mruzczyć, co oznaczało, że jej udział w tej wymianie zdań dobiegł końca.

– To pewnie byłoby dużo lepsze niż siedzenie tutaj i rozmawianie z kotem – powiedziałam, ale oczy miała już zamknięte. Kiedy kota coś nie obchodzi, to nie obchodzi go zupełnie.

W środku nocy obudziłam się nagle. Laurie także się poruszył.

– Masz obsesję na punkcie tej kobiety – rzekł.

– Cii – syknęłam, więc ułożył się z powrotem do snu.

Wyobrażałam sobie, że coś w kimś pękło. Mnie się to przydarzyło przed laty i teraz te pęknięcia dawały o sobie znać z dnia na dzień coraz bardziej. Ich konsekwencje przybierały na sile. Być może podobne pęknięcia rozpoznałam w Larze, a ona dostrzegła je u mnie. Może właśnie z tego powodu nawiązałyśmy bląhą rozmowę, a potem spędziłyśmy razem cały dzień, pijąc i dzieląc się uwagami.

Dziwiłam się, że moja sytuacja z Lauriem, nasz dziwaczny układ przetrwał tak długo. On nigdy nie wychodził z domu. Nie wyobrażałam sobie takiego życia na stałe.

Potrafiłam się zidentyfikować z kimś, kto nagle pod wpływem chwili postanowił uciekać, rzucił wszystko, żeby stać się niewidocznym. W końcu trudno było wykluczyć, że właśnie tak postąpiła Lara. Dziennikarze przeanalizowali dokładnie rozkład jazdy pociągu i ustalili miejsca, gdzie zatrzymywał się w ciągu nocy, a potem ruszał dalej, żeby dotrzeć do Kornwalii o wyznaczonej godzinie i umożliwić pasażerom zaplanowany z góry powrót do świata. Było ich wielu.

Mogła przypadkiem natknąć się na mordercę i rzucić się do ucieczki. Już sobie

wyobrażałam, jak ogarnia ją panika, puls przyspiesza i nagle Lara uświadamia sobie, że musi zwiewać i to natychmiast. Być może pociąg stał wtedy pod semaforem. Nikt na nią nie zwracał uwagi, działała impulsywnie. Mogła chociażby wyskoczyć przez okno i rozpląnąć się w mroku nocy, przerażona, niezdolna do logicznego myślenia.

Istniała też możliwość, że wysiadła w Reading, gdyż ustalono, że Guy został zabity mniej więcej wtedy, kiedy pociąg się tam zatrzymał. Na nagraniach z systemu bezpieczeństwa nie dostrzeżono nikogo, kto by ją przypominał, ale kamery nie obejmowały całej długości peronu i wszystkich wyjść z pociągu. Morderca mógł właśnie tam wsiąść albo wysiąść i ewentualnie wywlec Larę ze sobą.

Wysunęłam się z pościeli, poszłam do gabinetu i zamknęłam drzwi. Gdy zapaliłam światło, oślepiło mnie na chwilę i naszała mnie myśl, że wszystko, cały ten papierowy balast współczesnego życia, wygląda srogo, niemal złowieszczo.

Wcale nie musiała zatrzymywać się w Londynie, jeśli tam właśnie zaprowadził ją pierwszy etap ucieczki.

Mój paszport leżał w szufladce z literą P w dużej blaszanej szafce na akta. Wyciągnęłam ją tak energicznie, że aż uderzyłam się kantem szufladki w kolano i o mało nie zawyłam z bólu.

W środku go nie było. Przerzuciłam kilka innych rzeczy przyporządkowanych do litery P (kartkę z danymi kontaktowymi malarza pokojowego, kopertę ze zdjęciami, na które nie mogłam patrzeć), ale paszportu nie było. Wyciągnęłam wszystko i sprawdziłam pustą szufladkę. Bez rezultatu.

A przecież był tam. Ja go nie wyjmowałam.

Laurie mógł go gdzieś schować, żeby uniemożliwić mi wyjazd. Musiałabym go o to zapytać, wystarczyłyby mi jeden rzut oka na jego twarz, żeby wiedzieć, czy nie kłamie. Ale takie rzeczy nie były w jego stylu. Nie schowałby mojego paszportu, chcąc mnie zatrzymać w domu. Przy nim trzymała mnie sama jego obecność.

Lecz jeśli nie on go zabrał, to kto?

Zamyśliłam się. Nikt nie wchodził na piętro w tym domu. Nikt nie pozostawał na tyle długo sam, żeby przyjść tu, wyciągnąć szufladkę i wyjąć z niej mój paszport. Absolutnie nikt. I nikt się do nas nie włamał. Nikt po kryjomu nie przekroczył progu tego domu. A może jednak?

Aż usiadłam na podłodze, żeby to sobie przemyśleć.

Rozdział 18

Mój plecak stał już przy drzwiach. Zabierałam ze sobą bardzo mało rzeczy, wszystkie zmieściły się do plecaka oraz małej płóciennej torby podróżnej. Plecak należał niegdyś do mojego ojca, wiele lat temu, gdy był jeszcze ktoś taki w moim życiu. Czarny, z nieprzyjemnego w dotyku skaju, z solidnymi parcianymi taśmami, stanowił jedyną tego typu rzecz, jaką posiadałam. Mieściły się w nim tylko absolutnie niezbędne ubrania i przybory toaletowe.

Dzień dobiegał końca, zrobiło się już prawie całkiem ciemno, więc była to dziwna pora na wyruszenie z domu.

Wcześniej stanęłam przed Lauriem i po raz kolejny próbowałam mu wszystko wyjaśnić. Ale patrzył tylko na mnie w milczeniu. Nie cierpię, kiedy tak robi. W końcu odeszłam bez słowa. Razem z kotami musiał sobie jakoś poradzić. Zostawiłam kotom mnóstwo jedzenia, zapełniłam lodówkę oraz szuflady w kuchni zapasami wszystkiego, czego mogli potrzebować.

Gdybym musiała zostać poza domem dłużej, niż planowałam, mogłam jeszcze telefonicznie poprosić sąsiadów, żeby im uzupełnili zapasy. Czułam się do tego upoważniona, gdyż przez lata karmiłam węża ich chłopców, kiedy wyjeżdżali na wakacje. Pamiętam, że przychodziło mi wtedy do głowy, żeby wrzucić jedną z naszych kotek do terrarium tego węża i zobaczyć, co się stanie. Stawiałabym na kota, ale doprowadzenie do takiej konfrontacji byłoby nieludzkie, nawet gdybym się specjalnie przygotowała do interwencji na wypadek, gdyby sprawy zaszły za daleko.

Zatem wszystko gra, powtarzałam sobie. Przez lata nie ruszałam się z Kornwalii, ale powrót do Londynu mnie nie odstraszał. Wszyscy jeździli do Londynu. Lara przetała ten szlak, z którego zamierzałam skorzystać dwa razy w tygodniu.

W końcu jechałam tylko do Londynu. Laurie musiał tu czekać. Miałam wrócić do niego.

Piecyk na drewno rozpałam do czerwoności w pierwszym przejawie troski o nich na czas mojej nieobecności. Rozpuściłam też wieści, że przez pewien czas nie będę mogła brać zleceń redakcyjnych. Rower ustawiłam jak należy pod ścianą w korytarzu. W małej torbie podróżnej miałam bilet, torebkę, telefon oraz książkę do czytania. Słońce zaszło już jakiś czas temu, normalnie o tej porze popijałabym herbatę przed piecykiem, pewnie w samych spodniach od piżamy i swetrze, myśląc o tym, żeby iść już do łóżka z moim mężczyzną, książką i kotkami.

Chciałam wyjść bez pożegnania, ale okazało się to niemożliwe.

– Kocham cię – rzuciłam przez ramię. – Będę tęskniła. Przepraszam. Na pewno wrócę.

– Pewnie – odparł, siląc się na swobodny ton. – Nie ma sprawy. Baw się dobrze. I nie martw się, Iris. Ja też cię kocham i zawsze będę kochał. Wracaj do mnie.

Mrugając często, ruszyłam przez mrok na koniec drogi, by tam poczekać na taksówkę. Nocne powietrze od razu zaczęło mnie szczypać w policzki. Powinnam mieć na twarzy samotną marznącą łzę, lecz zamiast tego zaczęło mi cieknąć z nosa, który elegancko wytarłam rękawem kurtki.

Między chmurami pojawiały się gromadki gwiazd, ale księżycy nie było widać, toteż byłam w stanie dostrzec tylko niewyraźne zarysy bezlistnych drzew rosnących dokoła.

Kiedy nocny mrok przecięły snopy światła reflektorów, aż cofnęłam się na pobocze, mając ochotę uciec przed tym nienaturalnym blaskiem. Taksówkarz zgrzytem żwiru zatrzymał wóz obok mnie, wysiadł i otworzył bagażnik na moje rzeczy. Nie trzeba ich było wkładać do bagażnika, ale nie zaprotestowałam.

– Nawet nie wiedziałem, że ktoś mieszka aż tak daleko – powiedział.

– Owszem – przyznałam, bo przez całą podróż do miasta musiałam uprzejmie podtrzymywać błahą rozmowę. – To dość odludne miejsce.

– Zgadza się. Dokąd się pani wybiera, moja droga? Pewnie do Truro, prawda?

– Tak. Poproszę na stację w Truro. Chcę złapać pociąg do Londynu. Oczywiście nocny.

– Ach, osławiony nocny do Londynu. Moja córka czasem nim jeździ. To dobre połączenie. Ale jednak trzeba na siebie uważać.

– To prawda.

– Kiepska sprawa. Proszę dokładnie zamknąć drzwi przedziału.

Uśmiechnęłam się do niego, siłą powstrzymując się od ironicznej uwagi.

– Nic mi się nie stanie – odparłam. – Ale dziękuję za troskę.

Kiedy wkraczałam z ciemnego peronu do jasno oświetlonego wnętrza wagonu, wyobrażałam sobie Larę robiącą to samo. Guy Thomas pewnie już był w pociągu i na nią czekał. Ciekawa byłam, czy stawał w drzwiach, wyciągał do niej rękę, żeby pomóc jej wsiąść, a potem przytulał ją do siebie i całował, jeszcze zanim pociąg wyruszył z Truro. A może czekali, aż znajdą się dalej od stacji, wjadą między tonące w ciemności, bliżej nieznanne tereny wiejskie.

W Truro wsiadało do pociągu, według mojej oceny, około piętnastu osób. Specjalnie wykupiłam bilet na niedzielny wieczór, żeby łatwiej odtworzyć drogę Lary, zatem prawdopodobnie część z tych pasażerów po zakończeniu podróży ruszała prosto do pracy tak jak ona. Nie zauważyłam nikogo w wyjściowym ubraniu. Kilka osób taszczyło wielkie bagaże i zapewne jechało na lotnisko. Reszta była w dzinsach i ciepłych kurtkach.

Mój przedział okazał się ciasny, chociaż sprawiał wrażenie dość komfortowego. Trzeba było być skrajnie nastawionym na seks pozamałżeński, żeby uprawiać go tutaj, ale dla jednej osoby miejsca wystarczyło. Wiedziałam jednak, że tej nocy nie zmruję oka, nawet jeśli zostanę tu przyjęta luksusowo.

Naprawdę nie umiałam sobie wyobrazić, jak dwoje ludzi mogło się pomieścić na tak wąskim łóżku, węższym nawet od standardowego jednoosobowego tapczanu. Musieli albo spać jedno na drugim, albo nie spać w ogóle. Nic dziwnego, że romans bardzo szybko przeniósł się do Londynu i zaczął rzutować na ich życie

codzienne.

Usiadłam na brzegu łóżka i po chwili pociąg z szarpnięciem ruszył ze stacji.

Miałam ochotę zadzwonić do Lauriego, ale byłam pewna, że nie odbierze.

Nie wątpiłam, że moi znajomi z dawnego życia w Londynie nadal tam mieszkają. Jak tylko przeniosłam się do Kornwalii, przez pewien czas wysyłali mi maile, wyrażające troskę i żal. Zlekceważyłam je wszystkie. Ja i Laurie nie potrzebowaliśmy takich znajomości, toteż po pewnym czasie maile przestały przychodzić. Zmieniłam numer telefonu komórkowego, zamknęłam wcześniejsze konto poczty mailowej i nikomu nie wysłałam nawet kartki z życzeniami świątecznymi.

Gdyby mnie spotkali na ulicy, pewnie chcieliby porozmawiać, żeby się przekonać, co porabiałam przez cały ten czas. Wynikało to tylko stąd, że jedynie Londyn zapewniał takie bezpieczeństwo. Moglibyśmy się schronić w jakimś odległym zakątku miasta na wszystkie te lata i zachować spore szanse, że nie napotkamy na ulicy żadnych znajomych. Ale ta podróż dotyczyła Lary, a nie mojej przeszłości. A tym bardziej nie Lauriego.

Poza tym teraz, gdy dysponowałam swoim nieoczekiwanym funduszem, mogłam śmiało planować najróżniejsze rzeczy. Gdybym miała wyruszyć w podróż po świecie, i tak musiałabym najpierw przyjechać do Londynu. Więc po części była to także wyprawa badawcza, test mojej odwagi, pierwszy krok na drodze do rozstania.

I tylko tutaj mogłam również sobie wyrobić nowy paszport, skoro poprzedni zniknął bez śladu. Ta sprawa nie dawała mi spokoju. Nikomu o tym nie powiedziałam, a już na pewno nie zamierzałam o tym rozmawiać z Lauriem. Niemniej brałam pod uwagę, że napomknę o tym w rozmowie z Alexem Zielowskim.

W otwartych drzwiach przedziału stanęła kobieta w kolejowym uniformie. Była niska i starsza ode mnie, wyglądała na troskliwą matronę.

– Witam – powiedziała. – Pani nazywa się... – Popatrzyła na trzymaną w rękę listę pasażerów – ...Iris Roebuck. Zgadza się? Czy mogłabym zobaczyć pani bilet, moja droga?

Ludzie musieli uprawiać seks w każdym kącie tego przedziału. Na stojąco zaparci o ścianę, z kobietą siedzącą na brzegu zlewu, w pozycji klasycznej na łóżku, skoro nie było możliwości położenia się na nim obok siebie. I w mojej wyobraźni nie była to już tylko Lara z Guyem, lecz także Laurie i ja, potem Guy i Diana, Sam i Lara, Guy i jedna z jego kochanek, Sam i ja, Laurie i Lara. Wreszcie ja i detektyw Alex Zielowski. Chwyciłam swoją torebkę i wyruszyłam na poszukiwanie ginu z tonikiem, jak również Ellen Johnson.

Wagon restauracyjny był prawie pusty. Głębokie, wygodne siedzenia kusily wyczekująco, darmowa prasa na każdym stoliku została doceniona tylko przez dwóch mężczyzn w średnim wieku.

– Słucham – zagadnął młody barman. Od razu zrobiło mi się go żal, bo liczne blizny po trądziku musiały mu się dawać we znaki jeszcze przez długie lata, już po osiągnięciu wieku dojrzałego.

– Gin z tonikiem poproszę – powiedziałam, rozglądając się w poszukiwaniu tajemniczej kobiety, która zaprzyjaźniła się z Larą i Guyem. Ale jej tu nie było.

– Proszę bardzo – rzekł, sięgając po szklaneczkę. – Z lodem i cytryną?

– Tak, poproszę. Zawsze pan pracuje w tym pociągu?

Westchnął ciężko, jakby się spodziewał, co nastąpi dalej.

– Owszem, często.

– Zatem musiał pan znać...

Wpadł mi w słowo, nim zdążyłam dokończyć.

– Owszem. Powinienem przygotować sobie tabliczkę z napisem: „Tak, znałem ich i serwowałem im drinki. Ale nie wiem nic więcej od was na temat tego, co się wydarzyło”. Teraz wszyscy o to pytają. Ale nie miałem służby tamtej nocy, kiedy... No cóż, wie pani, o co mi chodzi.

Małymi szczypczykami wziął z talerzyka plasterek cytryny i wrzucił go do mojej szklaneczki. Rozległ się cichy plusk, jakby wróżka wskoczyła do basenu kąpielowego.

– Mogę się założyć, że widział pan wiele rzeczy w tej pracy. – Wydawało mi się, że będzie to najlepsze podsumowanie.

– Och, pewnie by pani nie uwierzyła, co się tu czasami dzieje. Niemniej to straszna historia, gdy jeden z pasażerów zostaje zamordowany. I to w pociągu! Dokładnie w tym! A przecież tych dwoje mogło się tu spotykać w nieskończoność. Ludzie myślą, że jesteśmy niewidzialni albo coś w tym rodzaju. Albo po prostu nie dbają o to.

– Mówiąc szczerze, jestem przyjaciółką Lary Finch – powiedziałam.

Zmierzył mnie ostrym spojrzeniem spod przymkniętych powiek.

– Naprawdę? – zapytał. – Prawdziwą przyjaciółką czy tylko ją pani udaje?

– Prawdziwą. Mieszkam obok niej w Kornwalii. – Domyśliłam się, że muszę jakoś udowodnić to twierdzenie, więc dodałam: – Razem z jej mężem czekałam na jej powrót, kiedy się nie pojawiła. To jedno z tych doświadczeń, których nigdy nikomu bym nie życzyła.

Nalał toniku do szklanki, nie patrząc na mnie.

– No cóż, przykro mi. Mam nadzieję, że ja nie...

Chciałam usłyszeć, na co ma nadzieję, ale on najwyraźniej nie zamierzał dokończyć tego zdania.

– Ani trochę – zapewniłam. – Właśnie jadę do Londynu, żeby się spotkać z jej rodziną.

– Poważnie? Jasna cholera. Może to niewiele znaczy, ale wszyscy jesteśmy zaskoczeni tym, co usłyszeliśmy. Zawsze robiła wrażenie bardzo miłej pasażerki, bardzo przyjaznej, uprzejmej i kulturalnej, a kiedy byli razem, po prostu nie mogli zapanować nad swoimi rękami. Moim zdaniem doszło między nimi do sprzeczki. Być może on zaczął jej grozić, a ona próbowała się bronić i sprawy zaszły za

daleko. Może on miał nóż, ona mu go wyrwała, no i...

Pociągnęłam łyk trunku.

– Niewykluczone. Też brałam to pod uwagę. A ta ich przyjaciółka, Ellen Johnson, nadal jeździ tym pociągiem?

– Tak, oczywiście – odparł, biorąc ode mnie pięciofuntowy banknot, który trzymałam w palcach. – Dzisiaj też jest w tym pociągu, ale jak dotąd pozostaje w swoim przedziale. Nie wychylała z niego nosa od czasu, jak to się stało. Nic dziwnego. Nie chce, żeby wszyscy się na nią gapili. Ale wróci do normalnego trybu postępowania za tydzień czy dwa, jestem o tym przekonany. To też miła kobieta.

– Czy to... no, wie pan, dokładnie ten sam pociąg?

Z jakiegoś powodu dopiero teraz naszła mnie ta myśl. Istniała przecież szansa, że dostałam miejsce sypialne w tym samym przedziale, w którym to się stało.

– Nie. Do zabójstwa doszło w drugim, bliźniaczym składzie, zresztą policja i tak zarządziła odstawienie tego wagonu na bocznice. Ciągłe trwa zbieranie śladów. Założę się, że tamten wagon jeszcze przez dłuższy czas nie wróci na trasę.

Wątpiłam w zasadność tego wniosku. Czyżby zarządca linii kolejowej dysponował zapasowymi wagonami sypialnymi, które mógłby podstawić zamiast tego wycofanego jako miejsce zbrodni? A może teraz kursowały krótsze składy niż poprzednio? Mimo wszystko i tak byłam całkiem pewna, że zarządzono dokładne czyszczenie tego wagonu przed przywróceniem go do cyrkulacji składów.

Pierwszy łyk ginu z tonikiem, ulubionego w tym pociągu drinka Lary, a zarazem pierwszego drinka z alkoholem, kiedy człowiek jest młody i próbuje udawać dorosłego, niemalże zmroził mi język. Słodycz toniku jako pierwsza przedarła się przez moje gardło i chociaż resztki soku z cytryny były mało wyraziste, a do tego pochodziły sprzed wielu godzin czy nawet dni, uśmiechnęłam się do tej dawno zapomnianej przyjemności. Nie zaznawałam niczego podobnego od wielu lat.

Na wprost mnie siedział mężczyzna, który popijał piwo z puszki i czytał książkę, ale trzymał ją tak nisko, że nie mogłam zobaczyć okładki. Pomyślałam, że jeśli będę mu się przyglądała wystarczająco długo, w końcu podniesie wzrok. Spróbowałam. Ostatecznie przyniosło to rezultat. Ludzie nie potrafią za długo powstrzymać się od spojrzenia na człowieka, który natrętnie im się przygląda. Nie są przyzwyczajeni do tego, że ktoś zwraca na nich uwagę; ten mężczyzna z pewnością nie był. Miał siwe włosy, rozległą łysinę grożącą rozprzestrzenieniem się na całą głowę i wyglądał nadzwyczaj zwyczajnie.

Kiedy nasze spojrzenia się zetknęły, wyczytałam z jego miny: „Na co się tak gapisz, młoda damo?”.

Uśmiechnęłam się do niego teatralnie.

– Często pan jeździ tym pociągiem? Bo to moja pierwsza podróż nocnym.

– Och, tak. Może nie tak regularnie, jak niektórzy. – Utkwił wzrok w darmowym egzemplarzu „The Times”, chociaż artykuł o Larze był na rozkładówce, a nie na pierwszej stronie. – Jeżdżę nim najwyżej dwa razy w miesiącu, kiedy mam ważne spotkanie.

– Naprawdę? I kiedykolwiek widział pan tę parę?

– Chyba nie. Sporo się nad tym zastanawiałem, jak łatwo się domyślić, ale nie potrafię wydobyć z pamięci choćby jednego wspomnienia. Zmierzam do tego, że w życiu spotyka się wielu mężczyzn w średnim wieku. Nie wątpię jednak, że ta młoda dama na pewno zapadłaby mi głęboko w pamięć.

– Pewnie tak.

Wrócił do przerwanej lektury.

– Co pan czyta?

Nie odpowiedział, tylko podniósł książkę, żebym mogła zobaczyć okładkę.

– *Harry Potter*?

Wzruszył ramionami.

– A dlaczego nie?

Z powodu ginu nie mogłam zasnąć przez pewien czas, gdy pociąg ze stukotem i zgrzytem kół uwoził mnie w mrok coraz dalej od mojego spokojnego i wygodnego życia na prowincji. Leżałam na wąskim łóżku, pod kołdrą podciągniętą aż pod brodę, starając się nie myśleć o mężczyźnie, który właśnie na takim łóżku został zadźgany na śmierć.

Nagle ktoś zaczął się dobijać do drzwi przedziału i zanim jeszcze zdążyłam się rozeznać w sytuacji i chociaż trochę zdenerwować, usłyszałam z korytarza:

– Śniadanie!

Dopiero wtedy uzmysłowiłam sobie, że pociąg stoi w miejscu.

Kiedy otworzyłam drzwi, żeby wziąć tacę od konduktorki, odpowiedziała na moje pytania, jeszcze zanim zdążyłam je sformułować w głowie.

– Jesteśmy na Paddington. Gdyby zechciała pani zwolnić przedział przed siódmą, byłibyśmy bardzo zadowoleni, moja droga. Proszę bardzo. Poradzi pani sobie z tacą?

– Tak, dziękuję.

Nigdzie nie dostrzegłam Ellen Johnson, gdy wysiadłam z pociągu. Nie było jej w poczekalni tego peronu, doszłam więc do wniosku, że musiała ruszyć na miasto, gdy tylko pociąg się zatrzymał, a więc na długo przed tym, jak się obudziłam. Nie udało mi się znaleźć numeru jej telefonu, a moje wpisy na jej konto facebookowe, jak można się było spodziewać, pozostały bez odpowiedzi. Postanowiłam, że w drodze powrotnej muszę ją namierzyć na Paddington. Chciałam ją zaczepić, gdy wsiądzie do pociągu.

Nabrałam ochoty na drugą, poranną szklaneczkę ginu. W końcu istniał ważny powód, dla którego nie wracałam tutaj przez tyle lat.

Szybkim krokiem przeszłam przez poczekalnię pierwszej klasy. Było to straszne miejsce, duszne, przypominające o przemijalności. Wiedziałam, że Lara przesiadywała tu godzinami przed podróżą albo po przyjeździe, wołałam jednak nie tropić tutaj jej śladów.

W kawiarni na piętrze, nad halą dworca, zamówiłam sobie coś konkretnego i wyjęłam notatnik, żeby sporządzić plan na ten dzień.

Dworzec był ogromny, a przynajmniej nieporównywalnie wielki w stosunku do stacji w Truro. Aż przyszło mi na myśl, żeby zrobić z tego oficjalne hasło: „Większy od Truro”. W gruncie rzeczy mógł to być slogan dotyczący całego miasta.

Udało mi się znaleźć miejsce przy stoliku, z którego mogłam widzieć wszystkich ludzi kręcących się wkoło. Większość wysiadała z przyjeżdżających pociągów, kierowała się prosto do stacji metra i znikwała na schodach podziemnego przejścia. Bardziej ciekawili mnie ci, którzy zaczynali się kręcić i kluczyć dookoła, głównie dla zabicia czasu. Duża część z nich ustawiła się w kolejce do zapiekanek i pączków. Pewien mężczyzna dłubał w nosie, starając się to robić dyskretnie. Jakaś kobieta potknęła się, omal nie upadła, po czym złapała równowagę i poszła dalej ze wzrokiem wbitym w podłogę, jakby nic się nie stało.

Kelnerka postawiła przede mną talerz z jajecznicą i fasolką, rozmrożonymi starymi ziemniakami i pieczonymi pomidorami, do czego po chwili dołączył wielki kubas kawy z kozuszką pianki z mleka. Nie byłam specjalnie głodna, ale z ciekawością nabrałam na widelec kilka ziaren fasoli.

Serce waliło mi jak młotem i bardzo się starałam odzyskać spokój. Byłam tu z tego powodu, że Lara zniknęła i prawdopodobnie posłużyła się moim paszportem. Może to brzmiało głupio, ale świetnie wiedziałam, że powinien być w tej szufladce szafki na akta. Na pewno go stamtąd nie wyjmowałam. Byłam pewna, że Laurie także tego nie zrobił, bo inaczej zachowywałby się niepewnie, co od razu bym rozpoznała. Tymczasem Lara była w tym pokoju sama, kiedy wyszłam, żeby odebrać telefon od rozmówcy, który się nie odezwał. Gdzieś w głębi duszy podejrzewałam, że moje przypuszczenia mogą być bezzasadne, lecz zarazem byłam coraz bardziej niespokojna. Najpierw chciałam złożyć wniosek o wystawienie nowego paszportu, a dopiero potem podjąć próbę sprawdzenia, czy nie wyjeżdżałam donikąd za granicę.

Mimo że jej zdjęcia przewijały się we wszystkich serwisach informacyjnych, bez trudu mogła odmienić swój wygląd i rozpocząć nowe życie w tym mieście. Wystarczyło, żeby zmieniła fryzurę, a nikt już by jej nie rozpoznał. Londyn był na to za dużym miastem, nawet jeśli wszyscy poszukiwali jej od dziesięciu dni. Mogła ukrywać się gdziekolwiek.

Starałam się odtworzyć jej sposób myślenia. Kiedy już złożyłam wniosek o nowy paszport, postanowiłam odszukać jej siostrę, ponieważ Olivia Wilberforce była bardzo ciekawą postacią, a Sam żywił do niej wręcz żenującą odrazę. Do tego była w ciąży, tyle wiedziałam, ponieważ to dodatkowo denerwowało Larę. Od pewnego czasu w ogóle ze sobą nie rozmawiały, jeśli wierzyć Samowi, pamiętam jednak Larę z naszej wyprawy do St Mawes, skąd wyszła z dziwną ochotą na miętowe pierniczki, mamrocząc pod nosem złe słowa pod adresem swojej siostry.

Wiedziałam, gdzie mieszka Olivia, toteż jej odnalezienie powinno być łatwe. Nie chciałam wpaść na kogoś z moich znajomych z poprzedniego życia

w Londynie, ale to było mało prawdopodobne, wręcz niemożliwe. Jak wygrana na loterii.

W zamyśleniu zjadłam połowę śniadania. Szybko dopiłam kawę i podeszłam do lady, żeby zapłacić. Olivia mieszkała w Covent Garden, jak dowiedziałam się od Sama, na Mercer Street, niedaleko Long Acre. Pracowała w dziale public relations, zakładałam więc, że jest w biurze w powszechnie przyjętych godzinach urzędowania, wiedziałam też, że mimo wszystko wróciła do pracy, ponieważ czytałam w gazecie wywiad z nią. Zamierzałam pokręcić się na jej ulicy o odpowiedniej porze, w nadziei, że wcześniej czy później wróci do domu. Przynajmniej taki miałam plan. Nie zamierzałam się nawet zbliżyć do Putney czy też Notting Hill.

Zanim się zjawiłam w pobliżu domu Olivii, byłam już prawie całkiem spokojna. Z powodu anonimowości. W końcu trudno odczuwać niepokój w mieście, w którym nic, co by się zrobiło lub nosiło na sobie, nie może wywołać niczego więcej poza zdumionym uniesieniem brwi.

Nie było mnie w Londynie przez pięć lat, lecz nadal czułam się tu jak w domu. Teraz mieszkałam w świecie, gdzie z założenia mówi się dzień dobry wszystkim spotkanym ludziom i gdzie zna się nie tylko nazwiska sąsiadów, ale nawet imiona i charakter ich psów. Tutaj mogłam być kimkolwiek i zajmować się czymkolwiek. Wcześniej nikt nie przyglądał się mojej krótkiej spódnicy i sportowym butom, teraz też nikt na mnie nie patrzył, gdy już przebrałam się w nowiutkie czarne spodnie i jasnoniebieski sweterek, który kupiłam w tajemnicy, gdyż wydawało mi się, że Lara nosiłaby właśnie taki. W następnej kolejności zamierzałam pójść do fryzjera i ściąć blond końcówki włosów, które przez pewien czas wydawały mi się zabawne. Potem, gdybym zdołała stłumić obrzydzenie do takich rzeczy, poszłabym do sklepu z kosmetykami i poprosiła ekspedientkę o dobranie mi odpowiedniego makijażu, po czym kupiłabym wszystkie niezbędne utensylia. Tymczasem sama zrobiłam sobie makijaż za pomocą tych niewielu kosmetyków, jakie miałam (czarny tusz do rzęs, trochę nieudolnie nałożonego cienia do powiek i ciemnoróżowa szminka, z którą zapewne wyglądałam jak wampir niepotrafiący się zachować przy stole). Bardzo mi zależało, żeby wyglądać na najbardziej pospolitą mieszkankę Londynu, jak tylko to możliwe.

Wizyta w biurze paszportowym okazała się dobrym krokiem na początek. Formularze i kolejki świetnie pasowały do sztywnej biurowej atmosfery. Nie pozostawało nic innego, jak wypełnić papiery, pozaznaczać odpowiednie kwadraciki, przekazać zdjęcia i zapłacić.

Robiłam to z poczuciem winy, o czym starałam się zapomnieć. Koncentrowałam się na bieżących czynnościach. Całą resztę odkładałam na później. Powinnam zadzwonić do Alexa i powiedzieć mu o zgubionym paszporcie, ale zdawałam sobie sprawę, że kontakt z nim może się okazać zdradliwy.

Przez jakiś czas krążyłam pod sklepem z używanymi ciuchami, w końcu

weszłam do środka i dałam nura między stojaki ze starymi sukniami i pięknymi butami. Potem przeszłam na drugą stronę ulicy i skręciłam między pawilony, których na pewno tu nie było, gdy po raz ostatni odwiedzałam Covent Garden. Były nowe i elegancko wykończone, znajdowała się w nich restauracja Jamiego Olivera, sklep, w którym były wyłącznie drogie balerinki, krzykliwie urządzona kwiaciarnia. Ale każdy dłuższy pobyt dalej od ulicy napawał mnie obawą, że mogę przeoczyć wracającą Olivie.

Blżej skrzyżowania znajdował się pub o kuszącym wyglądem i punkt ksero, przy których przechodziło więcej ludzi, kierując się do Pineapple Studios przy sąsiedniej ulicy. Bezdyskusyjnie wyróżniały się wśród nich baletnice. Chodziły wyprostowane jak struna, z wysoko podniesionymi głowami na łabędzich szyjach. Reszta wyglądała nieco bardziej prozaicznie, byli to ci tancerze, którzy występują w tle muzycznych wideoklipów, z wielką swobodą prezentując figury taneczne, których nie odważyłabym się nawet nazwać.

Zatupałam z zimna i ruszyłam z powrotem, z obawą zerkając w niebo zaciągnięte ołowianymi chmurami. Było mi zimno i coraz bardziej się nudziłam.

Pospieszyłam na drugi koniec ulicy, żeby zobaczyć, co tam się dzieje. Na Long Acre było więcej przechodniów, coś się tu działo. Zawróciłam po raz kolejny. Nie, jednak tutaj nic się nie wydarzyło. Ilekroć ktoś pojawiał się na chodniku, przyglądałam się uważnie, ale wciąż nie mogłam namierzyć Olivii Wilberforce. Aż nagle ją zobaczyłam.

Szła powoli, równocześnie wystukując coś na iPhone, miała przy tym spuszczone głowę, więc nie widziałam dobrze jej twarzy. Wiedziałam jednak, że to ona. Jej ciężę było już widać, choć nie miała jeszcze dużego brzucha. Serce zaczęło mi mocniej bić, gdy zbliżała się do mnie. Miała czarne włosy, przystrzyżone w szykowny, geometryczny sposób, krótsze z tyłu i dłuższe z przodu, z grzywką, która u większości ludzi wydawałaby się groteskowo krótka, ale do niej pasowała. Dżinsy miała tak obcisłe, że wyglądały jak legginsy, a do tego kurtkę w wojskowym stylu, też dziwnie do niej pasującą.

Aż poskubałam brzeg jedwabnej marynarki, którą z powodu zimna musiałam nałożyć na moje nowe ubrania. Była poprzecierana i wyglądała idiotycznie, na pierwszy rzut oka dało się rozpoznać, że została kupiona w sklepie z używanymi ciuchami setki kilometrów od Londynu.

– Cześć – powiedziałam, gdy mnie mijała.

Przystanęła i obrzuciła mnie wzrokiem pełnym absolutnie wyjątkowej pogardy.

– Nie, dziękuję.

Ruszyła dalej z groźnie obojętną miną. Wyglądała jak chińska lalka i jak seksowna zabójczyni z tandetnego filmu. Niewiarygodne, że u Olivii Wilberforce te dwa wyglądy zgodnie współistniały. A jej zaokrąglony brzusek tylko akcentował ten niepokojący stan rzeczy.

– Nie pracuję dla prasy – powiedziałam, doganiając ją truchtem. – Jestem przyjaciółką Lary.

Znów się zatrzymała, lecz tylko na tak krótko, żeby rzucić:

– Na pewno.

– To prawda. Mieszkam niedaleko Falmouth. Byłam z Samem tamtego ranka, kiedy nie wróciła do domu. Zostałam z nim aż do czasu, gdy policja zabrała go na przesłuchanie. To ja zadzwoniłam do jego brata.

Przymrużyła oczy.

– Jaka jest jego rodzina?

– Jego brat to odrażający i agresywny typek. Muszę przyznać, że aż byłam zdziwiona. Bo Sam to... no cóż, w ogóle jest pozbawiony agresji i taki łagodny, że tego też się nie spodziewałam. Jego mama wygląda na uroczą starszą panią, ale jest niewiarygodnie szorstka.

Przez chwilę patrzyła mi w oczy, po czym wyraźnie się rozluźniła. Jej postawa uległa całkowitej przemianie, chociaż rezerwa nie zniknęła.

– No tak, to całkiem trafny opis. Na ich ślubie zachowywali się obrzydliwie. To dysfunkcyjny układ. Jak masz na imię?

– Iris. Iris Roebuck. Spotkałam Larę pewnego dnia na promie do St Mawes, zaczęłyśmy rozmawiać, a potem się zaprzyjaźniłyśmy.

Olivia zaśmiała się nagle, głucho i gardłowo, ale szybko spoważniała.

– Jeśli chcesz ze mną porozmawiać, to czemu nie zadzwoniłaś? Nie powinnaś zjawiać się przed moim domem i zaczepiać mnie na ulicy. Może ten świat i jest popieprzony, ale to nie oznacza jeszcze, że powinniśmy zapomnieć o wszelkich manierach.

To mi się spodobało. Pewnie powiedziałabym to samo na jej miejscu.

– Przepraszam, Olivio. Masz całkowitą rację. Szczerze. Jeszcze raz przepraszam. Po prostu... tak się złożyło, że jestem w Londynie. Do tego, rzecz jasna, myślałam o Larze. Jestem pewna, że to nie ona zabiła Guya. Wiem, że wszystko wskazuje na jej winę, ale... – Przyglądała mi się obojętnie, jakby nie chciała podjąć tej rozmowy. – Cóż. Słyszałam, że gdy rozpoczęła tu pracę, początkowo zamieszkała razem z tobą, dlatego wiedziałam, gdzie mieszkasz. No i...

Nie byłam oswojona z taką sytuacją. Nikt się nigdy nie domagał, żebym o cokolwiek błagała.

– Jak chcesz, mogę odejść. Chodzi mi o to, że w najmniejszym stopniu nie zależy mi na tym, żeby ci przeszkadzać, wprawiać w zakłopotanie.

Wciąż wpatrywała mi się w twarz, dosłownie świdrowała mnie tymi swoimi niebieskimi oczami.

– Problem polega na tym, Iris – powiedziała – że ona nigdy o tobie nie wspomniała. Widzę, że wiesz o mnie chyba wszystko. Ale ja o tobie nie wiem nic. A teraz wszyscy znają moją rodzinę, bo prasa dostała obsesji na naszym punkcie. Nietrudno jest się o mnie dowiedzieć bardzo wielu rzeczy. Każdy stary czubek może mnie zaczepić na ulicy. Wierz mi, nie jesteś pierwsza.

– Jasne. – Zaczęłam sięgać po dokumenty. – Więc uważasz, że powinna o mnie przynajmniej wspomnieć, ale tego nie zrobiła?

– W każdym razie nie mnie. Ani razu. Ale masz rację, wcale nie musiała mi o tobie mówić. Jestem pewna, że nie powiedziała też rodzicom. Ostatnio

rozmawialiśmy o jej przyjaciółach. Chyba rozumiesz, że skoro nasz świat się zawalił, porównywaliśmy różne znane nam szczegóły. I wspólnie doszliśmy do wniosku, że nie miała żadnych bliższych znajomych w Kornwalii.

Wzruszyłam ramionami.

– Zapytaj Sama, jeśli masz ochotę.

– Faktycznie przyznał, że ktoś z nim był tamtego dnia. Mogłaś to być ty.

– Teraz żałuję, że nie zgodziłam się na ten wywiad dla tabloidu, który proponowano mi setki razy. Wtedy mogłabym ci przedstawić dowód.

– Coś wiem na ten temat.

Sięgnęła do torebki po klucze, ale wyraźnie się rozmyśliła. Ja przerzucałam zdjęcia w swoim telefonie, wdzięczna, że kupiłam sobie ostatnio nowszy model.

– Zaraz ci pokażę. – Odnalazłam wreszcie fotkę z notatki w gazecie, w której padło moje nazwisko. Wymieniano mnie jako przyjaciółkę rodziny, która dotrzymywała towarzystwa mężowi w tej tragicznej chwili. – Popatrz. Tu jest moje nazwisko. A zaraz pokażę ci dowód osobisty.

Przez dłuższy czas przyglądała się zdjęciu w telefonie, potem znów spojrzała mi w oczy, wreszcie skinęła głową i znowu jej rysy uległy przemianie. Z szarych stały się żałośnie jasnozielone.

– Posłuchaj. Stało się coś strasznego. Wszyscy to wiemy. Ilekroć dzwoni telefon... Nie mogę uwierzyć, żeby naprawdę zrobiła to, o co ją oskarżają, ale też nie widzę innej możliwości... Nasz tata pije, mama szprycuje się po uszy środkami uspokajającymi. Jeśli znałaś Larę, na pewno wiesz, jak wyglądały nasze stosunki. Mówiła ci coś na ten temat?

– Tylko tyle, że nie mogłyście się dogadać. Nic więcej. Mieszkała u ciebie przez pewien czas, potem się wyprowadziła.

– Chodźmy na drinka.

– Chętnie.

– Ja tylko na bezalkoholowego. Z przyjemnością wypiłabym lampkę wina, ale nie w miejscu publicznym, gdy wciąż istnieje zagrożenie, że ktoś z prasy czai się z aparatem fotograficznym. I nie w tym pubie po drugiej stronie ulicy. Tam wszyscy by nas podsłuchiwali.

Ruszyła energicznie w głąb ulicy, nie czekając na moją odpowiedź, aż musiałam nieźle wyciągać nogi, żeby za nią nadążyć.

Bar był duży i hałaśliwy, zapewniający całkowitą anonimowość. Od razu zrozumiałam, czemu Olivia wybrała właśnie ten lokal. Większość klientów stanowili ludzie w roboczych ubraniach, rozprawiający się z drinkami z dużą dozą koncentracji, oraz turyści, zdecydowanie szczęśliwsi od nich i bardziej wyluzowani.

Kupiłam jej szklanekę świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego, a dla siebie, bez szczególnych intencji, lampkę białego wina.

– Szczęściara z ciebie – powiedziała z lekkim uśmiechem, spoglądając na mój

kieliszek. – Co to jest?

– Sauvignon blanc. Prawdę mówiąc, niezbyt często pijam wino, a jeśli już, to czerwone, ale kobieta przede mną kupowała właśnie to, spodobało mi się i postanowiłam wziąć to samo.

– Kiedy Lara pierwszy raz przysłała do mojego mieszkania, przyniosła ze sobą właśnie butelkę sauvignon. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jest zdenerwowana, ale piła wino dużymi haustami. Pewnie przez to, że znalazła się na moim terenie. Zwykle on też pijała czerwone. Przejdźmy do rzeczy, Iris. Jak myślisz, co się naprawdę stało?

Przy moim krześle precyzyjnie się mężczyzna, był tak blisko, że poczułam z jego z ust zapach mięsa z ostatniego posiłku. Pochyliłam się w stronę Olivii.

– No cóż... – Popatrzyłam na kobietę, która ledwie trzymała się na nogach. – Jak już powiedziałam, nie wierzę, że to ona go zabiła. Po prostu nie wierzę.

– Oczywiście, że to nie ona. – Olivia także pochyliła się nad stolikiem. – Policja przesłuchiwała mnie godzinami. To było straszne, jakbym nagle znalazła się na planie serialu telewizyjnego albo czegoś takiego. Człowiekowi się wydaje, że dobrze zna scenariusz, ale tu przecież chodzi o moją siostrę i o to, czy zamordowała swojego kochanka, czy nie. A to przecież absolutnie wykluczone. Powtarzałam to na okrągło. Nie byłyśmy ze sobą nazbyt blisko, ale w tej sprawie będę jej broniła aż do śmierci. Ona tego nie zrobiła. Owszem, zdradzała Sama, to w końcu coś zupełnie innego. Ale żeby kogoś zamordować? Nie ma mowy. Sama ta myśl jest śmieszna. Niedorzeczna.

– W pełni się zgadzam.

– Ktoś musiał ją zrobić.

– Co policja twierdzi na ten temat?

Wzruszyła ramionami.

– Że chciała, aby Guy odszedł od żony, ale on nie chciał, dlatego się załamała i pchnęła go nożem. Nigdy w życiu nie nosiłaby ze sobą noża, więc skąd ten pomysł? Problem polega na tym, iż świetnie wiem, że mam rację, ale gdy słyszę te słowa padające z moich ust i widzę sceptyczne spojrzenia na twarzach ludzi, domyślam się, że dla nich jestem jedną z tych osób, które mieszkając po sąsiedzku z seryjnym zabójcą, będą powtarzały: „to był taki spokojny i miły człowiek”. Zaczynają się nade mną użalać, sądząc, że jestem mało rozgarnięta. – Westchnęła głośno. – Mogę wziąć łyżeczek twojego wina?

Popchnęłam kieliszek w jej stronę.

– Dzięki. Nienawidziłyśmy się wzajemnie z Larą i to wcale nie jest za mocne określenie. Ciągnęło się to od wczesnego dzieciństwa. Ona była doskonała, nigdy nie umiałam jej dorównać. Bez końca rywalizowałyśmy na każdym kroku i ona zawsze wygrywała. Była grzeczną dziewczynką, więc ja musiałam być niegrzeczna. Koniec, kropka. Było to dość skomplikowane i z pewnych rzeczy nie jestem dumna. Po studiach wybrała się za granicę, bardzo długo podróżowała po Azji i był to jedyny okres, kiedy wreszcie czułam, że mam jakąś własną przestrzeń. Ale wróciła i szybko zdobyła uznanie jako wysoko ceniona profesjonalistka, więc

znowu wylądowałam na drugim miejscu. Potem miała wspaniały ślub, podczas gdy moje życie uczuciowe przypominało jeden wielki karambol. Jednak nie mogła zająć w ciążę, a ja zaszłam, nie planując jej, no i moi rodzice nagle wpadli w furję, bo uznali, że specjalnie zrobiłam jej na złość. Żadne z nich nawet przez sekundę nie ucieszyło się z perspektywy posiadania wnuka. Z ich punktu widzenia posunęłam się do kolejnej chamskiej zagrywki przeciwko siostrze. Wiem, że spotykała się z Guyem, bo tamtego wieczoru, czyli tuż przed jej zniknięciem, wpadłam na nich w barze. Siedzieli przy piwie. I wystarczył mi jeden rzut oka, żeby zrozumieć, że ona jest w nim zakochana, a znałam ją na tyle dobrze, by się domyślać, że prędzej odejdzie od Sama, niż zdecyduje się na dłuższy romans. W końcu jesteśmy siostrami. Bez względu na to, jaki wiąże się z tym ciężar, ciągle jesteśmy siostrami. Dlatego dobrze wiem, że nigdy, przenigdy nie skrzywdziłaby tego człowieka, mimo że prasa szaleje na temat „dobrej dziewczynki, która przemieniła się w potwora”.

– Jak sądzisz, gdzie ona może być?

Olivia odchyliła się na oparcie krzesła i zaczęła gładzić się po zaokrąglonym brzuchu.

– Myślę... – zaczęła z namysłem. – Chociaż nikt nie chce o tym słyszeć... Uważam, że stało się jej coś złego. Ten, kto zabił Guya, mógł zrobić to samo jej. Jestem więc przekonana, Iris, że gdziekolwiek teraz jest, jest martwa. Ale nie mam najmniejszego pojęcia, kto mógł to zrobić. Przychodzi mi na myśl tylko jakiś przypadkowy szaleniec, ale to nie ma sensu. Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają, a jeśli nawet, sprawca zostaje szybko schwytany. Dlatego się zastanawiam, czy mógł to być ktoś z jej znajomych. Ale nikt nie przychodzi mi na myśl. – Zamilkła na krótko. – Ale to nie wszystko. Jestem absolutnie pewna, że coś dramatycznego przydarzyło jej się w czasie pobytu w Tajlandii. W coś się wplątała. Miała chłopaka o imieniu Jake, ale gdy niespodziewanie wróciła, nagle przestała wychodzić z domu, cały czas przesiadywała w swoim pokoju. To był ten jedyny raz, kiedy Lara zachowywała się inaczej. Tajemniczo. Przejrzałam wszystkie pudła z jej rzeczami na strychu domu rodziców, bo przecież nic nie wiadomo. Chwytam się tego jak tonący brzytwy, ale coś może się za tym kryć, nie sądzisz? Nie wiem, co mogłabym jeszcze zrobić. Nawet nie znam nazwiska tego Jake’a, który był z nią dawno, bo jakieś piętnaście lat temu.

Pokiwałam głową.

– Gdybyś dowiedziała się czegoś – zagadnęłam, ale uznałam, że to zanadto bezczelne, żeby ją prosić, toteż umilkłam.

– Cieszę się, że i ty wierzysz w jej niewinność – powiedziała. – Przez to czuję się trochę mniej osamotniona. Jasne. Wymieńmy się numerami i jeśli dowiem się czegoś, zadzwonię do ciebie. Ty zrób to samo.

Otworzyłam już usta, żeby wspomnieć o swoich kłopotach z paszportem, ale ugryzłam się w język. Ta sprawa wyglądała zbyt niedorzecznie, a nie chciałam na próżno podsycać jej nadziei, którą później musiałabym odebrać. Dlatego tylko położyłam rękę na jej dłoni i po raz drugi podsunęłam jej kieliszek z winem.

– Możesz mieć pewność, że zadzwonię – obiecałam.

Rozdział 19

Hotel Lary i Guya, przeznaczony głównie dla ludzi biznesu, stał naprzeciwko katedry św. Pawła. Szybko się przekonałam, dlaczego wybrała właśnie ten: nie był odstraszająco drogi (przynajmniej jak na centrum Londynu) i można się w nim było meldować przez automat, bez kontaktu z recepcjonistą. W ciasnym holu było sporo ludzi, głównie mężczyzn w urzędniczych garniturach, rozmawiających z podnieceniem o sprawach ważnych tylko dla nich.

Przyjrzałam się bliżej kilku, ale zdawali się nierozróżnialni. Żałowałam, że nie mogę im wykazać, jak łatwo pękają te ich baloniki próżności. Ale poza tą brygadą „przymusowej pracy w Londynie” była tam jeszcze obowiązkowa gromadka turystów kursujących ze swoimi ogromnymi bagażami do windy i z powrotem.

Dostałam pokój o numerze 253. Prowadzące do niego drzwi wyglądały jak wszystkie inne w korytarzu. Lara i Guy mogli go używać, choć statystyka wskazywała, że było to bardzo mało prawdopodobne.

Nie byłam w hotelu od lat. Pokój bez wyrazu, nieskazitelnie wygładzona pościel na łóżku, maleńki czajnik i małe plastikowe opakowania czarnej kawy bez mleka składały się na otoczenie, które w niewielkim stopniu przypominało pokój hotelowy, gdzie ostatnio mieszkałam, ale i tak zaparło mi dech w piersi. Nałożył mi się na to obraz pokoju z charakterem, z podłogą z surowych desek, kolorową pościelą i panoramicznym oknem usytuowanym tak, żeby do środka swobodnie wpadała słona bryza znad morza.

Zacisnęłam powieki. Gdybym zdołała zachować rytmiczny oddech, wszystko byłoby w porządku. Tamten inny hotel znajdował się setki kilometrów stąd. Nie w Londynie, ale we Włoszech. I nie miał żadnego interesu, żeby ingerować w teraźniejszość.

Teraz Laurie był w domu. Tamten Laurie, który zabrał mnie w podróż po Włoszech, zniknął bezpowrotnie.

Nogi mi się trzęsły, ale zdołałam bezpiecznie dojść do łóżka. Nawet gdy już leżałam skulona, z moimi wielkimi butami grzesznie spoczywającymi na pościeli, potrwało kilka minut, zanim wspomnienia się rozmyły. Nie lubiłam takich nawrotów, chociaż wiedziałam, że będą się zdarzać, zwłaszcza tu, w Londynie, do którego kawałki tamtego innego świata z łatwością przenikały.

Skoncentrowałam się na myślach o Larze i wkrótce wszystko minęło, znowu znalazłam się w jej londyńskim życiu. Tak więc razem ze swoim zabitym kochankiem mieszkali w takich pokojach jak ten, całymi tygodniami i miesiącami. Wyobrażałam sobie leżące obok siebie walizki, z których zawartość wysypywała się i mieszała ze sobą na podłodze. Ich codzienne ubrania mogły wisieć w szafie na identycznych wieszakach niedających się zdjąć z drążka. Aż któregoś dnia wsiedli razem do nocnego pociągu, a kiedy ten dotarł do Kornwalii, on był martwy, a ona zniknęła bez śladu.

Liczyłam, że schronię się w tym pokoju na dzisiejszy wieczór, znajdę

wytchnienie od Londynu i związanego z nim balastu natrętnych wspomnień, ale w rzeczywistości miasto dziwnie mnie kusilo. Mogłam iść dokądkolwiek i robić cokolwiek, mając pewność, że nikt nie zwróci na mnie uwagi. Weszłam do pubu, który był dość zatłoczony jak na styczniowy poniedziałkowy wieczór. Usiadłam przy stoliku ze szklanką soku pomarańczowego i solidną porcją smażonej ryby z frytkami, żeby postarać się zdecydować, co, u diabła, powinnam dalej robić. Olivia zgodziła się na rozmowę ze mną i, całkiem niespodziewanie, przypadła mi do gustu. Powinnam wszcząć własne dochodzenie, ale nie miałam pojęcia, od czego zacząć.

Na sąsiednim stoliku ktoś zostawił gazetę, toteż sięgnęłam po nią i zaczęłam przerzucać strony. Nie znalazłam niczego nowego, tylko same spekulacje i kilka raczej żałosnych wizji. Przebiegłam wzrokiem byle jak sklecony artykuł na temat ludzi pracujących z dala od swych rodzin. Nie miał wiele wspólnego z doniesieniami o Larze i Guyu, niemniej słowa: „spędzali wszystkie wieczory w barach i klubach centralnego Londynu, żeby publicznie obnosić się ze swoim uczuciem” zdawały się aż krzyczeć z tego tekstu. A w dalszej części natrafiłam na mało wiarygodne zestawienie miejsc, w których według informacji dziennikarzy ich widziano.

„Naoczni świadkowie donoszą, że widzieli ich w podejrzanym niszowym barze kabaretowym urządzonym w dawnej toalecie publicznej w centrum Londynu na dzień przed zabójstwem”, przeczytałam. „Lara Finch mogła już wtedy snuć plany akcji, do której miało dojść tej nocy”.

Słyszałam o tym podziemnym barze, ale mało, zresztą niewiele się nad nim zastanawiałam. Ale nie mając nic innego do roboty, zanim opracowałam plan zaaranżowania spotkania z kolegami Lary, postanowiłam pójść w jej ślady. Pomyślałam, że jeśli samodzielnie zdołam odnaleźć ten bar w dawnej toalecie publicznej, będzie to oznaczało, że jestem zdolna do wszystkiego.

Niemniej z wyraźną ulgą przypomniałam sobie, że nie warto szukać podejrzanego lokalu w poniedziałek. Powinnam z tym poczekać do końca tygodnia, pójść do niego choćby w czwartek, jak zrobili to oni. Oznaczało to, że na razie mogę o nim zapomnieć.

Uzmysłowiłam sobie powoli, że ktoś mi się przygląda. Ludzie wychodzili z pubu, wszystko wskazywało na to, że zaraz zostanie zamknięty. Nie wiadomo kiedy pozostała w nim tylko garstka ludzi, a spośród nich jeden mężczyzna przyglądał mi się natarczywie z drugiego końca sali, nie próbując nawet udawać, że na mnie nie patrzy.

Podniosłam wzrok, obróciłam głowę i po chwili spojrzałam w jego kierunku. I przez ułamek sekundy naszła mnie ochota, by rzucić się do ucieczki. Serce zabiło mi w piersi tak mocno, jakby przy nadarzającej się sposobności pragnęło całkiem wyrwać się na wolność, a mięśnie moich nóg napięły się odruchowo, gotowe do biegu.

Nagle jednak wszystko to minęło. Miałam do czynienia z przypadkowym klientem baru, który zwrócił uwagę na kobietę tylko dlatego, że była sama. Nic

więcej. Przez pomyłkę wzięłam go za kogoś, kim po prostu być nie mógł. Miał gęste czarne włosy, był mniej więcej odpowiedniego wzrostu i odznaczał się tym samym karmelowym odcieniem cery, który mógł świadczyć o mieszanym pochodzeniu. Do tego był w odpowiednim wieku. Ale nic poza tym.

Nie mógł to być Laurie, który pozostał w Kornwalii. Ponadto Laurie nie mógłby mnie wytropić aż tutaj i zaskoczyć lawiną uzasadnionych oskarżeń.

Po krótkiej chwili zerknęłam na niego ponownie. Uśmiechnął się i ruszył w moją stronę. Wstałam, chwyciłam swoją torebkę i skierowałam się do wyjścia, nie oglądając się na niego. Miałam nadzieję, że nie odbierze tego jako zaproszenia, zresztą na ulicy zaczęłam biec, na wypadek gdyby jednak tak się stało.

Korytarze hotelowe były identyczne, nie do odróżnienia. Mogłam pójść prosto do swojego pokoju, ale pojechałam windą na ostatnie piętro i stamtąd ruszyłam schodami na dół. Mijałam jedne drzwi po drugich, wiele z zawieszoną na klamce plakietką z napisem „nie przeszkadzać”, inne otwarte na oścież, z wystawionym na korytarz koszem na śmieci. Mijałam wejście każdego pokoju, w którym mogli się zatrzymywać Guy i Lara.

Żałowałam, że nie znałam jej lepiej. Żałowałam, że nie zaufała mi bardziej, chociaż spotkałyśmy się zaledwie cztery razy. Pragnęłam wiedzieć, czy była w nim zakochana, czy spędzała czas w tym hotelu na niekończących się namiętnych rozmowach, seksie i swojej obsesji, czy tylko odczuwała nudę związaną z perspektywą powrotu do domu i szukała pociechy w zachowaniu destrukcyjnym. Miałam nadzieję, że chodziło o to pierwsze. Wyobrażałam sobie, jak gwałtownie zrywają z siebie ubrania, jak tylko zamykały się za nimi drzwi pokoju.

Ale tutaj wszystko było nijakie – miało to być miejsce do spania i nic poza tym, i przez to cały budynek zapewniał wygodne lokum wszystkim, którzy chcieli cokolwiek zrobić po kryjomu. Co kilka kroków mijałam wejście do kolejnego pokoju, w którym stało kolejne łóżko. Naprawdę wszystko mogło się dziać za drzwiami tych pokojów.

Przyspieszyłam kroku, starając się zapomnieć o mężczyźnie z baru. Nie zrobił nic złego, nawet jeśli uznać zwrócenie uwagi na dziwną klientkę pubu za całkowicie niezgodne z jego charakterem. Oczywiście nie musiało to być niezgodne z jego nawykami, niepasujące do prawdziwego charakteru. Mogło tylko być wyrazem dziwaczego zachowania mężczyzny, kłócącego się z jego wyglądem.

Mogło też być dziwacznym zachowaniem Laurence'a. Ale przecież Laurie był w Kornwalii, został w domu, w którym mieszkaliśmy.

Ostatecznie, na czwartym piętrze, natknęłam się na wózek pokojówki. Zatrzymałam się przy nim, niepewnie przestąpiłam z nogi na nogę, zakręciłam palcem młynka we włosach, drugą ręką skubnęłam krawędź tapety, aż wreszcie

kobieta się pojawiła. Była niska, z włosami gładko zaczesanymi do tyłu, ubrana w szaro-białą uniform służby hotelowej.

– Dobry wieczór – mruknęła ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

– Cześć – rzuciłam, starając się rozsądzić, co ją skłoni do szczerzej rozmowy ze mną. Musiałam to odpowiednio rozegrać. – Witaj. Pracujesz tutaj codziennie?

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Najczęściej. Ma pani jakiś problem w swoim pokoju?

– Nie, skądże, nic podobnego. Mój pokój jest w jak najlepszym porządku. Ale w tym hotelu zatrzymywała się moja przyjaciółka. Lara Finch. Razem z... – urwałam, zmuszając się do użycia jak najbardziej obojętnego słowa: – ...ze swoim przyjacielem. Ze swoim chłopakiem. Wiedziałaś o tym? Mnóstwo ludzi teraz jej szuka.

– Tak, to prawda. – Domyślałam się, że pochodzi z Ameryki Łacińskiej. Nie wyglądała na kogoś, kto marnotrawi czas na plotki. Popchnęła swój wózek korytarzem, więc ruszyłam za nią. – Wiem.

– Widziałaś ją kiedykolwiek, gdy tu mieszkała? Pamiętasz ją?

Pokręciła głową.

– Mamy tu bardzo wielu gości.

– Być może sprzątałaś jej pokój.

– Możliwe. Skąd mam to wiedzieć? – Wyjęła z kieszeni kluczyk i otworzyła drzwi pokoju numer 413. – Gdy sprzątam pokoje, nikogo już w nich nie ma.

Weszła do środka i zamknęła mi drzwi przed nosem.

Recepcjonista także niewiele zdołał mi pomóc.

– Widujemy tu mnóstwo ludzi – powiedział. – Oczywiście pamiętam tę parę, ale nigdy nie zwracałem na nią szczególnej uwagi. To nie moja sprawa, czy mają romans i co robią za zamkniętymi drzwiami. Bo przecież to jest hotel. Ludzie spędzają tu czas, jak im się podoba. Szczerze mówiąc, najbardziej się cieszę, że nie zadźgała go tutaj, w naszym pokoju.

– Sądzi pan, że ktoś z obsługi mógł z nimi rozmawiać albo zauważyć coś podejrzanego?

– Nie – odparł stanowczo. – Proszę mi wierzyć, że policja przeczesła każdy pokój, w którym kiedykolwiek się zatrzymywali. Nachodzili nas tu tacy dziennikarze, że nie dałaby pani wiary, ale i tak niczego się od nas nie dowiedzieli. Jeśli ona była pani przyjaciółką, to jest mi bardzo przykro, ale głównym powodem, dla którego ludzie wybierają taki hotel jak ten, jest życzenie, aby nikt im nie przeszkadzał. A my nie zwracamy uwagi na życie prywatne naszych gości. Nie mamy nawet czasu, żeby się nad tym zastanawiać. To po prostu nie nasza sprawa.

Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając błyszczące białe zęby, zrozumiałam więc, że to koniec rozmowy. Moje skryte marzenia o odszukaniu pokojówki, która ujawni różnorodne sekretne fakty, legły w gruzach. Aż trudno mi było powiedzieć, czego

się spodziewałam.

Zadzwoiłam do Alexa, spragniona brzmienia znajomego głosu, chcąc porozmawiać z kimś, kto mnie nie wyśmieje, że wybrałam się aż do Londynu, żeby tu ścigać duchy. Poza tym dopuściłam się oszustwa, gdyż swoje zdjęcia paszportowe podpisałam imieniem i nazwiskiem mojej dawnej nauczycielki, podrobiłam także jej podpis. Chciałam się do tego przyznać w trakcie rozmowy z detektywem.

Jednakże nie odebrał. Nagrałam mu krótką oficjalną wiadomość, gdyż zrobiło mi się głupio. Nie dość, że podobała mu się moja spódnica, to jeszcze napił się ze mną wina. Porozmawialiśmy na luzie i teraz miałam wrażenie, że znam go od dawna. Dobrze się czułam w jego towarzystwie. Ale to przecież nic nie znaczyło.

Spałam kiepsko. Czułam przy sobie obecność i jej ducha, i Guya. Czułam, jak moje dawne londyńskie życie zaczyna nade mną ciążyć, a nie chciałam w ogóle o tym myśleć.

Rozdział 20

Mój telefon zadzwonił następnego dnia o dziewiątej rano. Spałam jeszcze i ledwo zdążyłam odebrać. Ale dobiegające zza okna londyńskie hałasy obudziły mnie błyskawicznie i nieoczekiwanie wprawiły w podniecenie. Odgłos silników aut zlewał się w jeden monotonny warkot, przetykany syczeniem autobusów, dźwiękami klaksonów i rozlegającymi się z rzadka głosami wzburzonych ludzi. I zanim na dobre wyłoniłam się z mgły snu i w pełni oprzytomniałam, pomyślałam, że dobrze jest być w domu. Nagle rozbudziłam się całkowicie i błyskawicznie odepchnęłam od siebie tę myśl. Telefon wciąż dzwonił, jazgotliwym brzękiem odtwarzając melodię, którą zaprogramował mi Laurie, gdy tylko kupiłam tę komórkę. Była to mało znana miłosa piosenka zespołu I Am Kloot pod tytułem *To The Brink*. I była to nasza wyjątkowa piosenka. Ale teraz postanowiłam zmienić ten dzwonek najszybciej, jak tylko będę mogła.

Odebrałam głównie po to, żeby uciszyć ten jazgot, zapominając w sennym majaku, że poczta głosowa zrobiłaby to równie skutecznie, gdybym zaczekała jeszcze parę sekund. Nie spojrzałam nawet na wyświetlacz, gdyż podświadomie chciałam, żeby głos rozmówcy okazał się dla mnie niespodzianką.

– Halo?

– Iris? Nic ci nie jest?

Chciałam mieć niespodziankę i moje życzenie się spełniło.

– Witaj.

– Przepraszam. Mówi Alex. Nie chciałem cię niepokoić. Wybacz.

– Nie ma sprawy, Alex. Dzwoniłam do ciebie wczoraj wieczorem, więc teraz oddzwoniasz. To miło z twojej strony. Nie musisz więc przeproszać za coś miłego.

Usiadłam na łóżku, odgarnęłam włosy z twarzy i przypomniałam sobie, że chciałam iść do fryzjera. Zmierzwione i splątane były po prostu denerwujące. Aż przyszło mi do głowy, żeby ostrzyć je całkiem na krótko.

– Więc jak się miewasz? – zagadnął ciepłym głosem. – Jak tam w Budock?

– No cóż... – Wstałam z łóżka i odłączyłam od sieci mały czajnik elektryczny, ramieniem przyciskając aparat do ucha. – Nie jestem w Budock. Pewnie cię zaskoczę, ale dzwonię z Londynu.

– Poważnie? Wydawało mi się, że rzadko wychodzisz z domu.

– Wiem! Sama się sobie dziwię. – Odkręciłam kran w łazience i podstawiłam czajnik pod strumień wody. Jej bulgot rozbrzmiał donośnym echem w wyłożonym glazurą pomieszczeniu, aż się skrzywiłam, uprzytomniwszy sobie, że może przypominać odgłos mojego sikania. – Przepraszam za te hałasy – wtrąciłam pośpiesznie. – Nalewałam wody do czajnika. Jestem w hotelu.

– A niech cię, Iris! – powiedział, a ja się zaśmiałam. To osobliwe powiedzenie było chyba nie na miejscu, ale zabrzmiało uroczo. – Mówisz poważnie? Co tam robisz?

Próbowałam wyjaśnić, ale nie było to łatwe, gdyż nawet sobie nie potrafiłam

tego odpowiednio uzasadnić.

– Wynajęłam pokój w tym samym hotelu, co Lara i Guy – powiedziałam, po czym uzmysłowiłam sobie nagle, że jest to dowód mojego szaleństwa. – Chcę odwiedzić te miejsca, w których bywali. Bo nie mam cienia wątpliwości, że to nie ona go zabiła. Wiem, że to nie ona. Zrobił to ktoś inny. I chcę się przekonać kto.

– Aha. A twój... – zawahał się – ...twój przyjaciel jest z tobą?

– Nie – odparłam szybko. – Nie, został w domu. Bardzo źle się czuje w Londynie.

Aż nie chciało mi się wierzyć, że rozmawiam z policjantem o Lauriem. Zagotowała się woda i czajnik zaczął gwizdać tak głośno, jakby pragnął zademonstrować, że jego produkcja wymagała pewnego wysiłku, a ja teraz wykorzystuję go do zalania kubeczka podłej herbaty wodą o wysokiej temperaturze.

– A twoja rodzina? Wciąż mieszka w Londynie?

– Tak. Pewnie tak. Przynajmniej z tego, co wiem.

– To znaczy, że nie jesteś z nią w kontakcie?

– Nie. Ale to kochani ludzie. Długa historia. Co u ciebie?

– No wiesz, wszystko w porządku. Powinienem zajmować się innymi sprawami, ale wciąż śledzę szczegóły dochodzenia w sprawie Lary. To fakt, że nic się nie zmienia. Wczoraj odbył się pogrzeb Guya. Ale to pewnie już wiesz. Od nowa wszczęli poszukiwania, podejrzewając, że jej zwłoki leżą gdzieś w trudno dostępnym miejscu przy torach.

– Nie mogą zacząć wszystkiego od początku! Nie mają żadnej poszlaki.

– Co masz na myśli? W jakiej kwestii mieliby się kierować poszlakami?

– Co do Lary. Ona...

Cisza zawisła w powietrzu na chwilę dokładnie tak długą, ile by potrwały moje wyjaśnienia dotyczące zaginionego paszportu. Zarazem czułam, że Alex też chce coś powiedzieć, ale się waha. Kiedy w końcu zdecydowałam się wyjawić mu prawdę, po ułamku sekundy to on zaczął mówić pierwszy.

– Iris – odezwał się. – Biorę urlop, jutro jestem ostatni dzień na służbie. Sam się zastanawiałem, czy nie odwiedzić Londynu. Zawsze staram się gdzieś wyjechać, gdy mam kilka tygodni wolnego. A wiesz dlaczego? Bo w przeciwnym wypadku wcale bym nie czuł, że mam urlop. Więc gdybyś tylko chciała, moglibyśmy się spotkać gdzieś na drinku albo zjeść coś razem. Opowiedziałabyś mi o swoich poszukiwaniach. Jestem tak samo zaintrygowany, jak ty, bo przecież wszystkie podejrzane miejsca wzdłuż linii kolejowej zostały już dokładnie sprawdzone, więc jeśli Lara nie wyskoczyła z pociągu w starannie wybranym miejscu albo nie wysiadła na przypadkowej stacji, już by ją do tej pory znaleźli. Jak wiesz, nie da się wykluczyć, że nie wysiadła w Reading, chociaż na nagraniach systemu bezpieczeństwa nie ma nikogo nawet z grubsza podobnego do niej. Na innych, mniejszych stacjach nie ma kamer, lecz gdyby wysiadła na którejś z nich, musiałyby się przecież dokądś udać. Tutaj kończy się moja pomysłowość. Masz jakąś teorię?

Odchyliłam wieczko małego kartonika z mlekiem, przy czym, jak to zwykle

bywa, prysnęło mi na palce. Ze złością nalałam go sobie do kubka z herbatą.

– Z chęcią spotkam się z tobą, kiedy tu przyjedziesz – odparłam ostrożnie. – Posłuchaj mnie, Alex. Nie potraktuj tego, co usłyszysz, jako dowód, że zwariowałam. Mogę na to liczyć?

– *Mais bien sur* – odrzekł.

– Jednym z głównych powodów mojego przyjazdu tutaj była konieczność złożenia wizyty w biurze paszportowym i wyrobienia sobie nowego paszportu. Na wszelki wypadek zrobiłam to szybko, bez zastanowienia. Jaki to teraz cholerny wydatek! Ale do rzeczy. Musiałam złożyć wniosek na nowy paszport... – Urwałam, żeby zaplanować, jak mam to powiedzieć policjantowi, żeby zabrzmiało wiarygodnie. – Miałam w domu paszport. Trzymałam go w szafce na dokumenty. Miał jeszcze trzy lata ważności. Ale zniknął. A pamiętasz, jak ci mówiłam, że Lara odwiedziła mnie w Wigilię?

– Tak? – mruknął z ociąganiem, dość nieudolnie próbując zamaskować niedowierzanie.

– No więc zapytała mnie wtedy, czy mogłabym jej pokazać swój dom. Lauriego wtedy nie było. Zatem oprowadziłam ją, a ona mówiła, co by zrobiła w każdym pokoju, gdybyśmy mieli wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zacząć remont generalny. Kiedy weszliśmy do drugiej sypialni na piętrze, gdzie urządziłam sobie gabinet, zadzwonił telefon stacjonarny. A to rzadki wypadek. Wyszłam, żeby odebrać, ale nikt się nie odzywał. Wróciłam więc do niej i poszliśmy dalej. A kilka tygodni później okazało się, że mój paszport, podobnie jak Lara, zniknął bez śladu.

Nie odzywał się przez kilka sekund. Zrobiło mi się cholernie głupio, ale powstrzymałam się przed dodatkowymi uwagami czy nawet próbą wartościowania tego, co właśnie powiedziałam, zdaniem w rodzaju: „oczywiście to chyba nie ma żadnego związku”, ponieważ byłam pewna, że ma.

– Poważnie? – rzekł wreszcie. – Mówisz mi to jako policjantowi czy jako przyjacielowi?

Aż się skuliłam na to określenie.

– Mówię to tobie jako Alexowi Zielowskiemu. Jesteś... cóż, pewnie jednym i drugim. To bardziej od ciebie zależy, jak to przyjmiesz.

– Jasne. Posłuchaj. Jestem dzisiaj na służbie i muszę podjąć ten wątek, ale jak wiesz, sprawa Lary nie jest już w moim rewirze, dochodzenie prowadzi komenda w Penzance. Postaram się jednak znaleźć sposób na sprawdzenie twoich informacji. Nie będzie to łatwe. Powinienem wystąpić o dostęp do danych chronionych. W każdym razie spróbuję. Nie pamiętasz przypadkiem numeru swojego paszportu?

– Niestety nie.

– Zrobię, co będę mógł. Zaraz mam zebranie, na które muszę już lecieć, więc zadzwonię później, jeśli pozwolisz.

– Oczywiście. Będę czekała.

– Dzięki. I wiesz co, Iris?

– Tak?
– Twój chłopak dobrze sobie radzi? Kiedy zostaje bez ciebie?
– Radzi sobie – odpowiedziałam szybko. – Nie martw się o niego.
– Oczywiście. Zatem życzę miłego dnia w Londynie. Porozmawiamy później. –
Ostatnie zdanie powiedział urzędowym tonem, toteż wyczułam, że ktoś wszedł do jego pokoju.

– Na razie.

Siedziałam na łóżku i gapiłam się na telefon, siorbiąc herbatę. Uzmysłowiłam sobie, że się uśmiecham. Dzwoniłam kilka razy do Budock, lecz Laurie ani razu nie odebrał. Postanowiłam więc, że dzisiaj nie będę już próbować. Wiedział przecież, jak się ze mną skontaktować.

Spoglądając na telefon, pomyślałam, że mogłabym go podnieść i zrobić coś radykalnego. Na przykład zadzwonić do swojej matki. Świerzbiała mnie ręka, żeby to zrobić. Choćby tylko po to, żeby się przywitać.

– Halo? – usłyszałam w wyobraźni jej ostry, wręcz agresywny ton. – Halo! Iris, kochanie, to ty? Gdzieś ty się podziewała, głupia dziewucho?!

Dlatego nie zadzwoniłam. Wszyscy uważali, że zareagowałam przesadnie, aż do granic absurdu. Nawet się temu nie dziwiłam. Świat jest pełen złamanych serc i najlepszym sposobem radzenia sobie w takiej sytuacji jest pogrążanie się w smutku tylko przez określony czas, a potem zepchnięcie wszystkiego w niepamięć. Kiedy się ma trzydzieści dwa lata, na pewno nie załatwia sprawy wyjazd do Kornwalii i odizolowanie siebie i swojego kochanka od świata.

Telefoniczna rozmowa z Alexem skłoniła mnie do tego, żeby wsiąść do pociągu District Line, choć naprawdę nie miałam na to ochoty. Alex miał w sobie coś takiego, co sprawiało, że chciałam postępować tylko właściwie. Usiadłam w wagonie metra pogrążona w myślach i zaczęłam odruchowo obserwować ludzi. Mężczyzna siedzący na wprost spał z głową odchyloną do tyłu i opartą o szybę, ale od czasu do czasu się budził i prostował. Obok niego starsza kobieta w skupieniu marszczyła brwi nad książką, tak pochłonięta lekturą, że zachodziła obawa, iż przegapi swoją stację. Może nawet już ją przegapiła.

Za Earls Court wagon opustoszał. Pozostał tylko śpiący mężczyzna, kobieta zatopiona w lekturze, wyglądający na udęczonego człowieka z niemowlęciem w nosidełku oraz młoda dziewczyna w tandetnie zdobionych legginsach i zdecydowanie za krótkiej bluzeczce, z pełnym poświęceniem wystukująca coś na swoim telefonie komórkowym.

Kiedy dojeżdżaliśmy do stacji East Putney, teraz już na powierzchni, w strugach deszczu smagającego szyby wagonu, wstałam automatycznie i podeszłam do drzwi.

Czułam się dokładnie tak samo jak kiedyś, ta sama szara codzienność nakazała mi przejść przez halę dworcową, jota w jota podobną do setek innych hal, ze stertami darmowych gazet i szeregami kas biletowych, z których niewiele było

czynnych, niemniej odmienną i szczególną ze względu na kształt, wykończenie i panującą tu atmosferę.

Właśnie stąd wyruszałam we wszystkie podróże. Jeździłam do szkoły właśnie z tej stacji. Tu spotykałam się z przyjaciółmi. Tu kupowałam bilety przed wyruszeniem w szeroki świat.

Nogi same poprowadziły mnie do wyjścia, na plac nadal pełen samochodów, autobusów, furgonetek i taksówek, z powietrzem gęstym od spalin, położony przy High Street (dużo ciekawszej, niż wynikałoby z jej nazwy), od której odchodziły wszystkie uliczki prowadzące ku rzece. Przystąpiłam nad kilkoma kałużami i ominęłam łukiem jedno większe błotniste bajoro.

Okoliczne domy musiały być teraz warte miliony funtów. Były starannie zadbane, otoczone pieczołowicie wypielęgnowanymi ogródkami, z nienagannie utrzymaną murarką. Niektóre, rzecz jasna, były zlepkami wynajmowanych mieszkań. To zawsze nakręcało interes w nieruchomościach. Ale nawet te mieszkania były już dzisiaj wspaniale wykończone.

Dom na rogu był obrzeżony równo wystrzyżonym trawnikiem, tak gęstym i tak doskonale utrzymanym, że chyba każde źdźbło trawy było tej samej długości. Przed patio pomalowanym na jasnobrązowo stał dziecięcy rowerek trójkołowy, oczywiście drewniany, nieco dalej stół z blatem wyłożonym mozaiką i cztery identyczne krzesła stoicko moknące w deszczu w oczekiwaniu na wiosnę i słońce.

Ten dom należał do Grimaldich. Bert i Jonno byli już po siedemdziesiątce, lecz mieszkali w części odziedziczonej przez Bertiego. Wciąż pamiętałam, jak mówił: „Czemu miałbym spędzić resztę życia jako Bottomley, kiedy mogę być kojarzony z nazwiskiem Grimaldi?”

Nie wiedziałam, czy się wyprowadzili, czy umarli od czasu, kiedy ostatnio tu byłam. Ciekawa byłam, co się z nimi stało.

Każdy mijany dom rozbudzał w mej pamięci kolejne wspomnienia. Mimo to kroczyłam pewnie prowadzącą do mojego przedszkola ulicą, na której uczyłam się jeździć na rowerze. Pamiętałam, jak ścigałam się z moją siostrą, Lily, od rogu ulicy do drzwi naszego domu, do których obie docierałyśmy tak samo rumiane i bez tchu, bo każda z nas tak bardzo chciała wygrać.

Cieszyłam się teraz, że pada. Włosy miałam w nieładzie, lepiące się do karku, a ubranie nieprzyjemnie obklejało mi całe ciało. Ale tak przecież miało być.

Minęłam kobietę pchającą szeroki wózek z dwojgiem niemowląt w środku, leżących ramię przy ramieniu. Z wyglądu była młodsza ode mnie, ale miała to szczęście, że została matką. Starła się zamaskować przemęczenie makijażem i, jak podejrzewałam, grubą warstwą drogich kremów, niemniej nie dało się go ukryć całkowicie. Odznaczała się pulchnym wyglądem kobiety, która kiedyś była szczupła, lecz najdalej pół roku temu wydała na świat bliźnięta. Miała na sobie drogie, ale praktyczne ubrania: džinsy, buty marki Fly, zapiętą pod szyję niebieską wiatrówkę. Blond włosy z ciemnymi odrostami zebrała z tyłu głowy w coś w rodzaju koka.

Uśmiechnęłam się, gdy ją mijałam, i odniosłam wrażenie, że odpowiedziała

uśmiechem, po części konspiracyjnym, kogoś, kto sam doświadczył czegoś takiego.

Aż się zdziwiłam, gdy na mnie spojrzała. Miałam wrażenie, że idę po ulicy niczym duch.

Dom stał tam, gdzie zawsze, a moi rodzice nadal w nim mieszkali. Ich czarne volvo było zaparkowane na podjeździe. W oknach na parterze wisiały te same zasłony. Stałam po drugiej stronie ulicy i przyjrzałam się uważnie.

Wystarczyło tylko zrobić parę kroków przed siebie i nacisnąć dzwonek. Możliwe, że nie było ich w domu. Nie musiałabym się tłumaczyć. Ale wiedziałam dobrze, że z taką samą radością przyjąłby mój powrót. Kochali mnie. I stracili mnie.

Ale gdy dostrzegłam sylwetkę w oknie, uświadomiłam sobie, że nie dam rady. Być może kiedy indziej. Teraz zawróciłam na pięcie i dałam stamtąd drapaką tymi samymi klaustrofobicznymi uliczkami, prowadzącymi w dół ku rzece i dalej przez most do Fulham. Wydawało mi się nawet przez moment, że ktoś mnie woła po imieniu, ale trwało to tylko chwilę.

Zadzwoiłam do Olivii z budki na rogu. Na szczęście nie zapytała, jak się miewam.

– Zastanawiałam się właśnie... – powiedziała – czy nie powinnaś porozmawiać z ojcem chrzestnym Lary, Leonem Championem. Była z nim blisko związana. Chciałam powiedzieć, że jest z nim związana. Próbowałam rozmawiać z nim o niej, kiedy to się zdarzyło, ale nie miał do tego serca. On mnie nie lubi. Nigdy zresztą nie lubił. Według jego norm jestem wrogiem. Powinien nosić specjalną koszulkę z wielkim napisem na piersi: „Drużyna Lary”.

– Jasne. Rozumiem. – Perspektywa skupienia się na czymś innym niż na sobie przyniosła mi ogromną ulgę, toteż usiłowałam zebrać myśli. – Kim on jest? Ojcem chrzestnym? Prawdziwym ojcem chrzestnym?

– Tak. To stary przyjaciel taty. Moim zdaniem nieco szemrana postać. Prowadzi jakieś podejrzanе interesy i tak dalej. Wymuskany elegancik. Od początku był blisko związany z Larą. Nigdy nie udało mi się rozszyfrować natury tego związku. Wydawało mi się, że przez jakiś czas kręcili ze sobą, i nadal uważam, że coś między nimi było na pewnym etapie. W każdym razie wciąż łączą ich bliskie więzi. Być może nie chodzi tu o seks. Ale coś między nimi jest.

– Gdzie mogę go znaleźć?

– Prześlę ci SMS-em jego numer. Pewnie ci powie, żebyś się odpięrzyła, ale chyba warto spróbować. Musi być teraz niesamowicie przeczulony na punkcie Lary, wiem też, że ostatnio bywał częstym gościem w domu rodziców. Mogłabyś spróbować go złapać tak samo, jak złapałaś mnie, jeśli dasz radę. Porozmawiaj z nim w cztery oczy, w jego biurze. Nie w domu. Głównie po to, by miał odwagę powiedzieć to, czego nie chciałby ujawniać przy swojej żonie, Sally. Jest bardzo miła.

Zanotowałam w pamięci adres, potem przypomniałam sobie, żeby zapytać, jak się miewa dziecko.

Olivia zawahała się.

– Wydaje mi się, że wszystko jest w porządku. Na pewno ten szok, który musiało przeżyć jeszcze w łonie matki, nie wyszedł mu na dobre. Jestem zarżnięta, do tego zdana wyłącznie na siebie, bo rodzice są obsesyjnie skupieni na mojej siostrze, a ja zachowuję się podle, wspominając im o wnuku, podczas gdy Lara zaginęła i wszyscy, w tym także pewnie oni sami, zakładają, że przypadkiem zabiła mężczyznę, z którym sypiała. Robienie szumu wokół wydania na świat nowego człowieka zapewne wydaje im się czymś absolutnie niestosownym. Ale wiesz, to typowe dla Olivii. I tak dalej, i tak dalej. Zawsze nie na miejscu. Zresztą cholera wie, jak zamierzam związać koniec z końcem, kiedy to dziecko już się urodzi.

– Czy jego ojciec... to znaczy, jesteście jeszcze ze sobą?

Zaśmiała się krótko, gardłowo, nienaturalnie.

– Nie, to od początku nie wchodziło w rachubę. Połączyło nas chwilowe uczucie. On nawet jeszcze nie wie, że jest ojcem, ponieważ zdecydowałam, że dam sobie radę bez dodatkowych komplikacji. Podejrzewam, że albo chciałby odgrywać rolę szczęśliwego tatuśka, przed czym niech mnie Bóg broni, albo zacząłby mnie oskarżać, że zaszłam w ciążę celowo. Tak czy inaczej, nie chcę mieć z nim nic wspólnego. To będzie dziecko samotnej matki.

– Boże, Olivio. Wiem, że jesteś silna.

– Chyba niezupełnie. Ale w życiu trzeba postępować tak, jak życie tego od nas wymaga.

Schroniłam się w głębokim holu wejścia do biurowca i zadzwoniłam do Leona Campiona, jak tylko dostałam jego namiary. Oczywiście był to numer komórki, ale szybko odebrał. W słuchawce rozległ się jego władczy ton.

– Dzień dobry – powiedziałam. – Czy rozmawiam z Leonem Campionem?

– Kto mówi? – zapytał gardłowo, ale dość uprzejmie.

– Iris Roebuck. Jestem przyjaciółką Lary. Przepraszam, że przeszkadzam, ale dostałam pański numer od Olivii...

– Nie uprzedziła? – przerwał mi ostro. – Nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie.

– Naprawdę jestem przyjaciółką. Chciałam tylko...

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Ale przecież na pewno...

– Przepraszam, wyrażałem się dotąd niezbyt jasno? Proszę się odpieprzyć!

Przerwał połączenie. Spojrzałam na ekranik i zaśmiałam się krótko. Kiedy zadzwoniłam po raz drugi, oczywiście od razu włączyła się poczta głosowa. Nagrałam długą i wyczerpującą wiadomość, nie bacząc na to, że jego ton świadczył wyraźnie, iż nawet jej nie odsłucha.

Z trudem trzymałam się w ryzach. Wydawało mi się, że krążę po Londynie całkiem przypadkowo, nie mając przed sobą żadnego konkretnego celu, a jednak nogi zaprowadziły mnie do miejsca, którego chciałam unikać.

Konkretnie rzecz biorąc, zaprowadziły mnie na pewne światła w centrum Londynu. Było to zwyczajne, zapchane skrzyżowanie w pobliżu Euston Road. Bariery, które kiedyś obwieszono girlandami kwiatów z przyczepionymi do nich wzruszającymi listami, teraz były gołe tak samo, jak zazwyczaj od pięciu lat.

Minął mnie rowerzysta. Miał na sobie elastyczne spodenki z lycry i jechał na rowerze wyścigowym. To był zawodowiec, być może kurier, ale nie zatrzymał się na czerwonym świetle. Chciałam na niego wrzasnąć. Chciałam mu powiedzieć.

Dokładnie w tym samym miejscu stałam wcześniej. Odwróciłam się i pobiegłam z powrotem, najszybciej jak tylko mogłam. Pognałam sprintem przez Londyn, dopóki nie oddaliłam się wystarczająco od tamtego miejsca.

Kiedy zadzwonił Alex, siedziałam w barze niedaleko hotelu, popijałam wódkę z tonikiem i głęboko się zastanawiałam. Melodia *To the Brink* sprawiła, że omal nie spadłam ze stołka. Niewiele brakowało, żebym nie odpowiedziała, ale zrobiłam to, ponieważ chciałam z kimś porozmawiać, a mało miałam ku temu okazji od czasu naszej porannej rozmowy.

– Cześć – powiedziałam.

– Wszystko w porządku? – zapytał z niespodziewaną troską w głosie. – Bo mówisz jakoś dziwnie, Iris.

– Naprawdę rozpoznałeś to po jednym słowie? Oczywiście, że wszystko w porządku. Tylko trochę... Czuję się prześladowana przez wspomnienia. Ale wszystko gra.

– No tak, jasne. Widocznie... – Umilkł, z czego się ucieszyłam. – Wiesz co? Miałem szczęście. W tych okolicznościach postanowiłem spróbować na Heathrow, podjąłem ryzyko i pod koniec dnia zadzwoniłem do tamtejszego komendanta straży granicznej. Delikatnie zasugerowałem mu, że jestem moim własnym szefem. Zgodził się sprawdzić listy pasażerów bez koniecznych papierków. I jeszcze do tej pory w to nie wierzę, ale wygląda na to, że przecucie cię nie zawiodło, Iris. Zgodnie z ich zapisami wyleciałaś z kraju kilka godzin po zabójstwie Guya Thomasa. W każdym razie zrobił to ktoś posługujący się twoim paszportem. Odleciał z Heathrow.

Ja też nie mogłam w to uwierzyć. W głębi ducha wciąż podejrzewałam, że to Laurie coś zrobił z moim paszportem, chociaż wszystko przemawiało za tym, że to nie on.

– Dokąd... – wycedziłam – wyleciałam?

– Do Bangkoku. Odebrałaś wizę turystyczną i jak dotąd nie wyjechałaś z Tajlandii. Posłuchaj, jak już wcześniej mówiłem, wybieram się do Londynu.

– Czy powiedziałaś... to znaczy, jesteś przecież policjantem, ale czy powiedziałaś o swoim odkryciu śledczym z Penzance?

Chciałam, żeby zaprzeczył, żeby zachował się jak ten gliniarz z filmu, który wścieka się na szefa i na własną rękę podejmuje nieoficjalne dochodzenie. Pragnęłam usłyszeć, że z moją pomocą samodzielnie ją wytropi poza zasięgiem radaru. Ale nie zrobił tego.

– Tak, oczywiście. Na początku ten pomysł został przyjęty dość chłodno. Prawdę mówiąc, dano mi do zrozumienia, że powinno się ciebie zasufladkować z innymi czubkami. Ale okazało się, że miałaś rację. Podejmą ten trop, ale za bardzo bym nie liczył, że wyjdzie z tego coś konkretnego. Ja na pewno będę się dalej przyglądał tej sprawie razem z tobą. Bo twoje podejrzania się sprawdziły. Oczywiście jeśli pozwolisz.

– Pozwolę – odparłam.

Zaraz po zakończeniu rozmowy dopiłam resztę wódki i wstałam. Dalsze przesiadywanie w barze i popijanie w samotności niczemu nie służyło.

Rozdział 21

Siedziałam na ławce w parku St James i gapiłam się na swój telefon. Było tak zimno, że palce mi drętwiały. W dodatku nigdy, pod żadnym pozorem nie wyobrażałam sobie, że mogę należeć do tych, którzy w pięknym parku w centrum wielkiego miasta, w sąsiedztwie stadka pelikanów, między pałacem po prawej i Whitehall po lewej, pośród ludzi robiących interesujące rzeczy, będą rozgryzać zawiloci Twittera.

Niemniej jednak to właśnie robiłam. Jeśli Lara była w Tajlandii, powinna zaglądać do internetu. A jeśli do niego zaglądała, mogła otworzyć swoje konto na Twitterze. Wiedziałam, że je ma, ponieważ media rozgłosiły, że do tej pory zamieściła na nim tylko jeden wpis: „Próbuję zrozumieć, jak korzystać z Twittera”.

Mimo to jej konto odwiedziło aż dwadzieścia siedem tysięcy zainteresowanych. Aż tyle osób próbowało ją odnaleźć, prześledzić jej kroki na wypadek, gdyby jej sprawa miała dramatyczny wydźwięk i nadawała się do sensacyjnej telewizji. Dziwny był ten świat.

Dla mnie był to jedyny środek złapania z nią kontaktu. Facebook się do tego nie nadawał, ponieważ nie figurowałam na liście jej znajomych, a ustawione przez nią zabezpieczenia konta uniemożliwiały przekazanie wiadomości.

Obłoczki skondensowanej pary z oddechu krążyły mi nad głową. Jasnoszare chmury wisiały nisko, w powietrzu czuć było zapowiedź opadów śniegu. Inni ludzie przemierzali park różnym krokiem, tupali w drogich zimowych butach, trzęśli się w tanich futrzanych kurtkach, zmierzając do swoich punktów przeznaczenia, w których każdy miał ściany i ogrzewanie.

Założyłam własne konto na Twitterze. Zamiast zdjęcia wzorem Lary wstawiłam ikonkę przedstawiającą jajko i nazwałam się od imion moich biednych kotek: @desi_ophelia. Wkraczałam do nowego, nieznanego mi świata. Trochę to potrwało, nim rozczarowana stwierdziłam, że nadal nie mogę przesłać Larze prywatnej wiadomości, nawet jeśli wejść na jej konto, bo to ona musiałaby wejść na moje, żeby mi to umożliwić. Splotłam zmarznięte palce tak, żeby wytrzymały kontrolę, gdyby przyglądał im się jakiś członek społeczeństwa.

W końcu powstał mój pierwszy wpis: „Cześć, Lara. Tu Iris. Myślę i mam nadzieję, że nic ci nie jest. Jeśli widzisz ten tekst, możesz mi zostawić wiadomość? Wiem, że tego nie zrobiłaś. xx”.

Miałam ochotę nawiązać do Tajlandii, lecz ponieważ mój post był ogólnodostępny (choć nie umiałam sobie wyobrazić, kto by chciał zaglądać na moje konto i czytać wpisy), nie zrobiłam tego. Wolałam zostawić to do czasu, aż będziemy mogły porozmawiać na osobności, mimo że uznawałam taką okazję za bardzo mało prawdopodobną.

Wstałam i ruszyłam przed siebie. Nie zamierzałam wychodzić z parku, ale odczuwałam już skutki dłuższego siedzenia. Palce miałam zbieleiałe i zeszywniałe. Wyszłam na środek mostu i zapatrzyłam się na tafłę lodu, która już do połowy

zakrywała jezioro. Przypomniałam sobie Holdena Caulfielda, który zastanawiał się, gdzie znikają dzikie kaczki, gdy ich staw zamarza. Tutejsze kaczki ze stoicyzmem trzymały się jeszcze niezamarzniętych powierzchni, pływały jak zwykle, chociaż musiało być im bardzo smutno. Robiły tylko dobre kaczce miny do złej gry.

Ulubioną powieścią Lauriego był *Buszujący w zbożu*, a to był jego ulubiony park. Lubił go, ponieważ był mały, lecz bogaty: „wyrafinowany”, jak zwykł go określać.

Czasami stawaliśmy na mostku i karmiliśmy kaczki. Nigdy nie pozwalał mi przynosić resztek chleba.

– To dla nich coś strasznego – mawiał. – Dlaczego, do diabła, ludzie myślą, że kaczki chcą chleba? Co dobrego może przynieść dieta z przetworzonych węglowodanów stworzeniom, które żyją na wodzie i żywią się roślinnością wodną? Dlaczego mielibyśmy im zastępować wegetariańskie pożywienie z naturalnych białek czymś, co zawiera cukier, sól i konserwanty?

Starannie przygotowywał piknikowe zestawy dla kaczek, złożone ze skrawków surowego boczku oraz mieszanek pożywnych ziaren, które kupował w sklepie dla zwierzaków niedaleko swojego biura. To był jeden z powodów, dla których tak bardzo go kochałam.

To były nasze szczęśliwe lata. Mieszkaliśmy w zachodnim Londynie i wszystko układało się idealnie, nawet przez chwilę nie wyobrażałam sobie, że będziemy żyć tak, jak przez ostatnie lata, ukrywając się przed całym światem, wiodąc cień cienia naszego wcześniejszego życia.

Krążyłam po alejkach i trawnikach, dreptałam po całym parku bez konkretnego celu. Podobały mi się dzieci, które biegały z zaróżowionymi policzkami, w podnieceniu czekając na pierwszą okazję do ulepienia bałwana. Podobali mi się ludzie wychodzący z Whitehall w eleganckich garniturach. Oddalali się szybkim krokiem, w drogich paltach, wciąż otoczeni aurą swojej pracy. Wnosili do parku te drobne bąble polityki, najwyraźniej uważając, że park powinien być im za to wdzięczny.

– Tu jesteś – odezwał się.

Podniosłam wzrok. Stał przede mną, wysoki i barczysty, uśmiechając się nieco nerwowo.

– Tu jestem – odparłam, odsuwając się na krok. Umówiłam się tu z nim na spotkanie, ale mimo to mnie zaskoczył.

Staliśmy tak w milczeniu. Ja wciąż byłam przemarznięta. Śniegu wciąż nie było.

– A więc udało ci się – powiedziałam w końcu, ruszając przed siebie.

Poszedł ze mną. Wyglądał na dużo bardziej wyluzowanego niż kiedykolwiek dotąd, miałam okazję się przekonać, że policjant po służbie bardzo się różni od tego, co sobie wyobrażałam. Gdybym nie wiedziała, że Alex jest policyjnym detektywem, uznałabym go za człowieka jakiejś bardziej złożonej profesji. Miał na

sobie dzinsy i jaskrawoczerwony wzorzysty sweter, jak gdyby typowo świąteczny, tylko trochę bardziej stylowy. Obszerna puchowa kurtka w traperskim stylu należała do tych, których nigdy bym nikomu nie kupiła, domyślałam się jednak, że musi być w niej ciepło.

– Owszem – przyznał. – Podróż strasznie mi się dłużyła, jak nigdy, ale jakoś ją przetrwałam.

– Podobają mi się twoje buty – powiedziałam. – Trochę przypominają buty kowbojskie, prawda? Albo takie, jakie noszą gwiazdy rocka.

To mu się spodobało.

– Kupiłem je w sklepie ze starzyzną – wyjaśnił. – Nie byłem nawet pewien, czy na mnie pasują, ale i tak je kupiłem. I okazało się, że to najwygodniejsza para obuwia, jaka kiedykolwiek została wykonana ludzkimi rękoma, zatem miałem szczęście.

– To rzeczywiście szczęście – zgodziłam się. – Czy możemy iść dokądś, gdzie jest ciepło?

– Umieram z głodu. Odebrałaś już swój paszport?

Zacząłam otwierać torebkę, żeby mu go pokazać, ale zeszywniałe palce odmówiły mi posłuszeństwa, więc tylko przytaknęłam.

Kiedy wyszliśmy na Trafalgar Square i ruszyliśmy wzdłuż szeregu lwów, w powietrzu zawirowały pierwsze drobne płatki śniegu.

Odchylił się na oparcie krzesła i zaczął:

– Już ci mówię, czego się dowiedziałem i przez co, jak możesz sobie wyobrazić, wszyscy się wściekli, że próbuję ingerować w ich dochodzenie. Zresztą ta sprawa wyszła na światło dzienne zaraz po tym, jak pani Finch zaginęła.

– Lara – przypomniałam mu, rozgryzając plasterek ogórka.

– Tak. Lara. Przepraszam. Zapomniałem, że nie jestem na służbie. Zawsze staram się nie myśleć o swoich sprawach, kiedy jestem na urlopie. Zazwyczaj spędzam wolne dni, spacerując po plaży i w ogóle nie czytam gazet. Mniejsza z tym. Wróćmy do Lary. Otóż jakieś dwanaście lat temu wpadła jak bomba na posterunek policji, bardzo zdenerwowana, i zeznała coś absolutnie niebywałego.

Wziął frytkę z talerza. Siedzieliśmy w elegancko urządzonej burgerowni przy Charing Cross Road, gdzie nagle zaczęłam doceniać, o ile lepiej jest jeść w czyimś towarzystwie. Samotne siedzenie w restauracji miało swoje dobre strony, jak sądzę, jeśli dysponowało się dobrą lekturą i było w odpowiednim nastroju. Ale i tak nie mogło się to równać z towarzystwem przy stoliku.

Jednocześnie zmroziła mnie świadomość, że poza Larą nie miałam żadnych bliższych znajomych od pięciu lat. Aż trudno mi było w to uwierzyć. To dlatego teraz coś się we mnie budziło w poczuciu szczęścia. Rozpychało się między rzeczami, które musiałam mieć na uwadze, by nacieszyć się tą chwilą.

– Co takiego?

– No właśnie. To naprawdę niewiarygodne. Otóż zjawiała się na posterunku

z własnej woli, wyraźnie zrozpaczona, i oświadczyła, że przez kilka miesięcy szmuglowała narkotyki we wschodniej Azji i że przez nią jakaś kobieta trafiła do więzienia. Jak możesz sobie wyobrazić, nikt nie wiedział, co z tym począć. W każdym razie nie podjęto żadnych działań. Ona wybiegła z budynku, a następnego dnia pojawiła się w towarzystwie starszego mężczyzny, jak się okazało, jej ojca, który wyjaśnił, że córka była w stanie silnego stresu i nawet nie miała pojęcia, co wygaduje, a całą tę historię po prostu zmyśliła. Ale nieco wcześniej ktoś się przypadkowo zainteresował jej zeznaniem i odkrył, że zeznała to samo policji w Singapurze, po czym została uznana za natręta i wsadzona na pokład najbliższego samolotu ze stanowczym zaleceniem, żeby nigdy tam nie wracała.

– A więc przyznała się do przemytu narkotyków? – Zmarszczyłam brwi i pociągnęłam łyk wina. – Lara?

– Tak, wiem. Nikt jej nie uwierzył. Niemniej pozostaje pytanie, dlaczego to zrobiła? Chciała kogoś chronić? Coś zasygnalizować? W aktach nie było żadnych szczegółów z Singapuru, ale poprosiłem o ich udostępnienie.

– I to wszystko wyszło już na jaw? A wy nadal ignorujecie te fakty?

Uniósł brwi.

– To zespół z Penzance je ignoruje. Ja nie mam nic wspólnego z tym dochodzeniem. Problem polega na tym, że jej romans z Guyem Thomasem przyćmił wszystko inne. Nie było potrzeby wnikania w jej daleką przeszłość, kiedy jej bliska przeszłość, a raczej teraźniejszość, zdawała się wszystko wyjaśniać.

– Tak. Rozumiem.

– Lecz ponieważ chwilowo mam urlop, a ty starasz się rozwikłać tę zagadkę, z przyjemnością pomogę.

Uśmiechnęłam się do niego i podniosłam swojego wegetariańskiego burgera jak do toastu.

– Dzięki.

Poszliśmy przez lekką śnieżycę do National Gallery, gdzie zaprowadziłam go do mojego ulubionego obrazu, *Bachusa i Ariadny* Tycjana.

– To przez ten błękit – wyjaśniłam. – Potrafiłam przychodzić tu i stać długo przed tym płótnem, dopóki nie ogarnął mnie spokój. Zresztą podoba mi się mit o Ariadnie, porzuconej przez kochanka, którego uważała za miłość swojego życia, gdy tymczasem zjawił się przed nią Bachus i nie tylko zaproponował jej małżeństwo, ale też w ramach ślubnego prezentu dał jej koronę z gwiazd. Szczerze mówiąc, dziwi mnie, że jestem już tak długo w Londynie, a dotąd nie przyszedłam, żeby przywitać się z tym obrazem.

W rzeczywistości jednak wcale się nie dziwiłam. Aż do tej pory starałam się za wszelką cenę unikać wszystkiego, co mnie kiedyś dręczyło.

– Mogę zrozumieć, dlaczego skutecznie zwalczał stany nerwowe – przyznał Alex. – Nawiasem mówiąc, czy ona przyjęła złożoną jej ofertę?

– Chyba tak. – Byłam pewna, że ją przyjęła, lecz z niewiadomych powodów nie chciałam dzielić się tą wiedzą z Alexem.

Skinął głową.

– A wiesz, co na mnie działało podobnie?

– Słucham.

– Kręcenie się po galerii, tak jak teraz, i oglądanie wszystkich obrazów przedstawiających Madonnę z dzieciątkiem. Na niektórych te maluchy wyglądają tak dziwnie, że człowiek ledwie się powstrzymuje, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Na przykład mają twarze starców albo dziwnie pocięte zmarszczkami szyje. Aż widać po nich, jak bardzo artysta się starał, żeby wyglądały poważniej od prawdziwych dzieci. Bo to przecież byłoby niegodne syna Boga i tak dalej. Strasznie trudno jest uzyskać taki efekt.

Zapatrzyłam się na niego.

– Ja też tak robiłam. Większość niemowląt na obrazach wygląda jak dzieci z filmowych horrorów. Ale od czasu do czasu można natrafić na tak urocze i słodkie, że zapomina się o wszystkich innych.

– Masz rację! Jednak te są wyjątkowo rzadkie.

– Podoba ci się szkic Leonarda, który tu wystawiają? Ten przedstawiający świętą Annę i Jana Chrzciciela?

Zaśmiał się krótko.

– Chyba nie mógłbym powiedzieć, że nie podoba mi się coś autorstwa Leonarda da Vinci. Możemy podejść i popatrzeć na niego? Prawdę mówiąc, uwielbiam ten szkic. Jest na nim jedno z moich ulubionych niemowląt. – Popatrzył na mnie z szerokim uśmiechem. – Zamierzasz powiedzieć, że nie jest to najlepszy temat na szkic malarski, czy ja mam to zrobić?

– Właśnie czekałam, aż ty to zrobisz.

– A ja wielkodusznie zamierzałem zostawić to tobie.

– No cóż, uznajmy w takim razie, że zostało to już powiedziane.

Kiedy tak krążyliśmy po galerii, uświadomiłam sobie, jak mało o nim wiem i że w gruncie rzeczy patrzę na znane obrazy, kręcę się między wycieczkami szkolnymi i grupkami studentów, słuchając opowieści ich przewodników w towarzystwie nieznajomego. W końcu aż do dzisiaj rozmawialiśmy ze sobą wyłącznie o Larze.

– A co myślisz o tej dżungli? – zapytał, gdy stanęliśmy przed płótnem Henriego Rousseau pod tytułem *Zaskoczony!* Na obrazie znajdowała się gęstwina dżungli namalowana przez człowieka, który nigdy dżungli nie widział, z łbem tygrysa szczerzącego kły pośród stylizowanej roślinności.

– Podoba mi się, ale przed nią nie stałabym godzinami – oznajmiłam. – Niemniej to znamienne, że w sali, gdzie oprócz *Słoneczników* Van Gogha wisi wiele płócien Cézanne'a, oboje podeszliśmy do tego właśnie obrazu. To znaczy, że przyciąga wzrok. Czy Rousseau nie był przypadkiem celnikiem?

– Nie, nie był. Tak był nazywany.

– Owszem, był zwany *le Douanier*.

– Dzisiaj wydaje się to problematyczne, co nie? Chodzi mi o kryjący się za tym podtekst: oficer służby celnej uwielbiany przez artystów, traktowany jak ukochane dziecko środowiska, wytwarzające te urocze prymitywne malunki. Jego obrazy to głównie sceny z dżungli, pełne podtekstów kolonialnych i przesiąknięte orientalizmem oraz innością. W opisie zaznaczono, że kopiował kształty liści z rycin paryskich ogrodów botanicznych.

Alex patrzył na mnie z lekkim uśmiechem błakającym się po wargach.

– Absolutnie. To bardziej historyczny relikwyt tamtych czasów niż ponadczasowe dzieło sztuki. Mimo wszystko jest fascynujące, prawda? Z uwagi na strukturę społeczną, na hierarchię. Na to, jak wszyscy oceniają warunki jego powstania.

– Otóż to – przyznałam. – Znasz tę galerię równie dobrze, jak ja. Podświadomie spodziewałam się, że będę musiała ci tłumaczyć pewne rzeczy, skoro oprowadzam kornwalijskiego policjanta po londyńskiej galerii sztuki. Ale bardzo się myliłam. To tylko świadczy o tym, jak mało cię znam, Alexie Zielowski. Więc ty także mieszkałeś kiedyś w Londynie?

Spojrzał na mnie z rozbawioną miną.

– Nazwisko Zielowski powinno dać ci do myślenia. Nie jestem Kornwalijczykiem z krwi i kości, chociaż tam się wychowywałem. Masz rację, kończyłem Uniwersytet Londyński. Mieszkałem tu przez lata, zanim wróciłem do Kornwalii, by pielęgnować tamtejszy styl życia, jak to mówią ludzie. Tam czułem się jak w domu, nie mówiąc już o tym, że trochę się zestarzałem i znudziłem, więc podjąłem wyzwanie spotykania w pubach dawnych kumpli ze szkoły i temu podobne. Ale pociągało mnie też niedzielne surfowanie i wędrówki nadmorskim szlakiem do najbliższego pubu.

– I nie miała z tym nic wspólnego żadna dziewczyna? Mogę się założyć, że miała.

Zaśmiał się.

– To aż tak oczywiste? Owszem. Miała na imię Juliet. Ale nic z tego nie wyszło. Absolutnie nic. Zastanawiałem się nawet, czy nie wyjechać z Kornwalii, kiedy zerwaliśmy, ale szybko się przekonałem, że wcale tego nie chcę. Ona do dzisiaj tam mieszka. Jest już mężatką, urodziła dziecko. I, co dziwne, serdecznie się przyjaźnimy. Układa się między nami znacznie lepiej niż wtedy, kiedy byliśmy parą.

Staliśmy już w holu galerii, blisko wyjścia. Pomyślałam, że to miłe, iż przyjaźni się ze swoją byłą dziewczyną. To tylko dobrze o nim świadczyło. Alex był uroczy i czuły, ani trochę tak wybuchowy jak Laurie. Wiadomo było, czego się po nim spodziewać, czego nie dało się powiedzieć o porywczym Lauriem.

Zaraz jednak odepchnęłam od siebie podobne myśli.

Rozdział 22

Bar rzeczywiście mieścił się w dawnej podziemnej toalecie publicznej, do której prowadziły schody z rogu Aldwych, dokładnie w samym centrum West End.

– Jesteś pewna co do tego? – zapytał Alex, kiedy stanęliśmy na szczycie schodów. – Biorąc rzecz dosłownie, mamy zejść w głąb muszli klozetowej.

– Tutaj po raz ostatni widziano razem Larę i Guya. W każdym razie w okolicy tego baru. Wiem, że sprawy się nieco skomplikowały, ale i tak musimy to sprawdzić.

– Wcale nie musimy, ale sprawdzimy. To na swój sposób intrygujące. Bo przecież, do diabła, dlaczego ze wszystkich lokali w tej okolicy...

Stojący kilka stopni niżej portier przyglądał nam się badawczo.

– Mamy rezerwację – powiedziałam mu, przekonana, że powinnam wziąć sprawy w swoje ręce. – Iris Roebuck. Stolik dla dwóch osób.

– Oczywiście. – W policzkach zrobiły mu się dołeczki, kiedy się uśmiechnął. – Życzę miłego wieczoru.

Jak tylko zeszliśmy na sam dół schodów, spostrzegłam z ulgą, że wszystko powinno być w porządku: lokal w najmniejszym stopniu nie wyglądał tak dziwnie, jak to sobie wyobrażałam. Bar był mały, ale dzięki lustrom na ścianach wydawał się większy. W ciasnej przestrzeni zmieściło się tylko sześć stolików, trzy wysokie ze stołkami barowymi i trzy normalnych rozmiarów. Wszystkie były zajęte przez ludzi sprawiających wrażenie najbardziej niewinnej klienteli w całym Londynie. Przy dwóch siedziała gromadka kobiet w krótkich spódniczkach i szpilkach, z jaskrawoczerwonymi szminkami na wargach, zaśmiewających się głośno. Miały po trzydzieści, czterdzieści lat, i pomyślałam, że umówiły się na wspólny babski wieczór. Następny stolik zajmowała para po pięćdziesiątce, w wieczorowych strojach, która sprawiała nieco wrażenie ludzi przyjezdnych. Była jeszcze para młodych Japończyków, oraz druga, wyraźnie speszona, jakby to była ich pierwsza randka, i na końcu dwie rozchichotane kobiety popijające prosecco.

Półki za barem były zastawione różnorodnymi alkoholami.

– Witam państwa – odezwał się za naszymi plecami młody blondyn. Był rozluźniony, jak gdyby znakomicie się czuł w roli dystrybutora napojów wysokowych. – Należy się państwu po lampce darmowego szampana. Mam go podać już teraz?

– Jasne. – Na szczęście Alex był równie zrelaksowany, jak ja. Ponieważ wszystkie stoliki były zajęte, stanęliśmy przy zatłoczonym barze. Uwierały mnie trochę nowe buty, chociaż były na płaskim obcasie. Wyglądało na to, że dziesięciofuntowa opłata rezerwacyjna nie gwarantowała tu jeszcze miejsca przy stoliku. W każdym razie zapewniła nam pierwszego drinka.

W tej ciasnocie z trudem zdjęłam kurtkę.

– O mój Boże! – wycedził niespodziewanie Alex z takim naciskiem, że aż się

przestraszyłam. Powiedział to tak głośno, że musiał być niesamowicie zaskoczony.

– O co chodzi?

– O ciebie. Wyglądasz rewelacyjnie.

Oboje popatrzyliśmy na moją sukienkę, czerwoną i jedwabistą, którą kupiłam podczas pierwszego dnia pobytu w Londynie.

– I to cię wprawiło w takie osłupienie?

– Proszę to uznać za komplement – wtrącił barman, aż poczułam się zażenowana. – Dodam jeszcze, że to absolutna prawda.

– Aha – mruknęłam. – Dziękuję.

Przesunął po kontuarze dwa kieliszki napełnione jasnym spienionym winem. Sięgnęłam po jeden z nich.

– Dzięki. Mam pytanie. Pewnie ma pan już dość ludzi pytających o to samo, ale kilka tygodni temu była tu moja przyjaciółka. Wiem, że rozmawiał pan o tym z dziennikarzami i policją, ale jestem ciekawa, czy ją pan pamięta. Ją i jej przyjaciela.

Pomyślałam o Guyu, nagle zaskoczona, że ten mężczyzna, którego nigdy nie spotkałam, nie żyje. A przecież chciałam go poznać. Tylko nie było okazji. I teraz nie żył, ktoś dźgał go nożem tak długo, dopóki nie wyzionął ducha. A poprzedniego wieczoru był właśnie tutaj, dokładnie w tym barze, gdzie teraz staliśmy.

Barman westchnął ciężko i sięgnął po coś pod kontuar.

– Proszę – rzekł, stawiając przede mną koszyk z popcornem, który przesunęłam w stronę Alexa. – Zgadza się. To była pani przyjaciółka? Straszna historia.

– Wie pan, ona go nie zabiła. Nie mogłaby tego zrobić. Zabójcą musi być ktoś inny, kto zaraz potem zniknął. Razem z nią.

– Ludzie robią dziwne rzeczy, kiedy dostają obsesji na punkcie drugiej osoby.

Odruchowo sięgnęłam po popcorn, zanim przypomniałam sobie, że go nie lubię. Alex się nie odzywał, wyczuwałam, że nie popiera mojego zachowania.

– Naprawdę nie mogłaby tego zrobić. Wiem o tym. Pamięta ich pan z pobytu w tym barze?

– Policja twierdzi, że to jednak ona zabiła. Podejrzewam, że to mi wystarczy. – Spojrzałam na Alexa, który zmarszczył brwi, sygnalizując niechęć do tego, bym ujawniała jego profesję. – Ale owszem – dodał po chwili barman. – Pamiętam ich.

– Jak się zachowywali?

Do baru podeszła kelnerka z umiejętnie potarganymi długimi włosami oraz dziecięcymi skrzydełkami dobrej wróżki na ramionach i położyła przed nim na kontuarze jakąś kartkę.

– I dwa razy prosecco – powiedziała.

– Już się robi.

Przyglądałam się, jak przyrządza trzy koktajle, napełnia dwa kieliszki prosecco i otwiera butelkę piwa. Kiedy się z tym uporał, wróciła kelnerka, żeby przestawić wszystko na tacę. Alex przez cały ten czas siedział w milczeniu, a ja bałam się nawet na niego spojrzeć.

– Przepraszam. Muszę się skupić. Mówiliśmy o pani przyjaciółce. Usiedli przy tamtym stoliku. – Wskazał parę przyjezdnych spoza Londynu. Kobieta popatrzyła na nas ze zdziwioną miną, zastanawiając się na pewno, dlaczego o nich rozmawiamy. – Wypili po koktajlu. Dość długo rozmawiali. Dużo się śmiali, jeśli dobrze pamiętam. Potem słuchali śpiewaczki. Nie robili niczego dziwnego ani niezwykłego. Aż nie chce się wierzyć, że następnego dnia ten facet stracił życie.

– I nie zauważył pan niczego niezwykłego?

– Nie, niczego. Przykro mi. Hej, powinniście szybko zająć tamten stół!

Alex był już na miejscu, ledwie para Japończyków zdążyła wstać, najwyraźniej zadowolony, że nie musi uczestniczyć w mojej rozmowie.

Kilka godzin później świat zaczął mi wirować przed oczami. Piłam chyba już czwarte martini, jadłam popcorn, żeby czymś zagryźć alkohol, i opierałam się na ramieniu Alexa, który tak przestawił swoje krzesło, żeby być tuż przy mnie. Rozmawialiśmy o Kornwalii, sztuce i życiu policjanta. Przedstawiałam mu różne luźne historie z mojego życia.

– Nie mam zbyt wielu przyjaciół – powiedziałam. – Kiedyś miałam. Teraz już nie mam. Ale to miłe, że tu jesteś. Nawiasem mówiąc, po co przyjechałeś?

– Bo cię lubię – odparł.

– Jako przyjaciel.

– Tak.

– To dobrze. – Już miałam ochotę opowiedzieć mu o Lauriem, ale ugryzłam się w język. Zdecydowanie lepiej było w ogóle o nim nie wspominać. Nie chciałam się popłakać. Śpiewaczka była wysoką, szczupłą ciemnoskórą kobietą, która proponowała zestaw dość prostych popularnych piosenek, starając się zachęcić gości do wspólnego śpiewania.

– Kto się odważy zaśpiewać następną? – zagadnęła, wskazując optymistycznie nadzwyczaj mały skrawek wolnej przestrzeni. – Znaie ją wszyscy, bez trudu pomożecie mi w jej wykonaniu. Nazywa się *Hey Jude*.

Jakimś cudem po kilku taktach wstaliśmy razem z Alexem i chwiejnym krokiem podeszliśmy do niej. Rzecz jasna, była to piosenka, którą można śpiewać bez końca, i ostatnią część cały bar śpiewał donośnym chórem. O mało się nie przewróciłam, gdy próbowałam zaprezentować kilka elementów tanecznych, lecz Alex złapał mnie pod ramię i uratował przed runięciem na nasz stół. I trzymał mnie mocno w pasie, dopóki nie odzyskałam równowagi.

Wyszliśmy w mrok nocy. Nie miałam pojęcia, która jest godzina, ale miasto wciąż tętniło życiem. Mijały nas taksówki i autobusy, na chodnikach było wielu przechodniów, wszędzie paliły się światła. Czułam, że serce wali mi jak młotem. Tego wieczoru miałam już aż nadto atrakcji.

Alex wziął mnie za rękę i nie puszczał, mimo że próbowałam się uwolnić.

– Iris – powiedział. – To do mnie bardzo niepodobne. Przyjechałem za tobą aż

do Londynu. Bardzo długo mówiłem wszystkim, że jestem samowystarczalny i nie tęsknię za żadnym związkiem. Powtarzałem to tyle razy, że sam w to uwierzyłem. Po prostu nie mogłem znieść, kiedy ludzie próbowali mnie swatać. Sam pomysł umówienia się z kimś na randkę wydawał mi się nienaturalny. Kiedy spotykałem jakąś kobietę, nachodziła mnie ochota, żeby uciekać parę kilometrów dalej. Aż tu nagle pewnego dnia powszedniego spotkałem ciebie i coś w tobie, możliwość przebywania z tobą... właściwie wszystko, co się z tobą wiąże... postawiło cały mój świat na głowie. Dasz wiarę? Wiesz, ile mnie kosztowało, żeby to ukryć, kiedy przyjechałem do twojego domu? Bo przecież w końcu nie miałem ku temu żadnego powodu. Mogłem zadzwonić do ciebie z komendy i zlecić komuś innemu spisanie twoich zeznań. Ale bardzo chciałem cię zobaczyć. To było tak przemożne pragnienie, że nie zdołałem mu się oprzeć. I wtedy...

– Cicho. Proszę, przestań! Proszę.

Nie chciałam, żeby wygadywał takie rzeczy. Położył mi dłoń na ramieniu, a ja odwróciłam się do niego, żeby jeszcze raz kazać mu się zamknąć. Był moim przyjacielem, ale znalazł się na prostej drodze, żeby to zrujnować.

On jednak pochylił się ku mnie, ujrzałam jego twarz tuż przy swojej. Był dużo wyższy ode mnie, toteż musiał się naprawdę nisko schylić. Powinnam się była cofnąć, ale w kluczowej chwili nie zrobiłam tego i niespodziewanie nasze wargi się zetknęły.

Już całkiem zapomniałam, jakie to uczucie. Całowanie się z obcym człowiekiem było bardzo dziwne i zaskoczyło mnie tak podstępny urokiem nowości, że wbrew sobie mu uległam, wiedzona ciekawością. Przypominało zanurzenie się w lodowatej wodzie, kiedy jest się rozgrzanym. Było zatrważające, zaskakujące i cudowne zarazem. No i było prawdziwe. Działo się w rzeczywistości. Zostawiłam Lauriego w Kornwalii i całowałam się z detektywem. Z innym mężczyzną.

Jak tylko ta myśl skryształizowała mi się w głowie, odepchnęłam go i dałam nura pod jego ramieniem.

– Nie mogę – powiedziałam. – Po prostu nie mogę, Alex. Mam chłopaka. Wiesz o tym. Dlatego przykro mi, ale naprawdę nie mogę.

Wziął mnie pod ramię i delikatnie obrócił twarzą ku sobie.

– Iris – rzekł. – Ocknij się wreszcie. Posłuchaj. Nie wiem nawet, jak ci to powiedzieć, ale... wiem o Lauriem. Naprawdę wiem. Nie ma sprawy.

Próbowałam się wyszarpnąć, lecz przytrzymał mnie mocniej.

– Nic nie wiesz – oznajmiłam stanowczo. – Niczego nie rozumiesz.

Znowu marzłam. Byłam wstawiona, robiło mi się niedobrze i chciałam stamtąd odejść, znowu być sama.

– Wiem. Przykro mi, Iris. Naprawdę. Ale wiem wszystko. Sprawdziłem go dokładnie, kiedy wymieniłaś jego nazwisko, ale wiedziałem już wcześniej, bo gdy tylko się poznaliśmy w domu Finchów, po powrocie do domu przeszukałem internet, chcąc się dowiedzieć o tobie jak najwięcej. I wtedy odkryłem, że mój przyjaciel, Dave, stary kumpel ze szkoły, służył w drogówce, kiedy zdarzył się ten wypadek. I był tam. Stąd wiem dokładnie, co się stało. Przykro mi, Iris, ale jesteś

niezwykła. Niemniej od razu się wycofam, jeśli tego zapragniesz. Chciałbym jednak, żebyś wróciła do rzeczywistości. Sama zaczęłaś już to robić. Tak więc chciałbym ci pomóc.

– Nie.

– Iris?

– Nie.

– Iris, Laurie Madaki nie żyje. Dobrze o tym wiesz. Widzę to. Pięć lat temu wskutek wypadku spadł z roweru. I zginął na miejscu, lekarz przybyły na miejsce zdarzenia stwierdził zgon. Wiem, że po prostu nie byłaś w stanie psychicznie się z nim rozstać...

Wyszarpnęłam rękę i rzuciłam się do ucieczki, nie chcąc dłużej tego słuchać. Odważyłam się powiedzieć to, czego nie dało się cofnąć i czego nigdy już nie mogłam mu wybaczyć. Przebiegłam cały łuk Aldwych, minęłam wylot Kingsway i skręciłam we Fleet Street, w stronę katedry Świętego Pawła, nie bacząc na to, że ludzie dziwnie na mnie patrzą. Miałam nadzieję, że nie będzie mnie gonił, ale dopiero po pewnym czasie odważyłam się zatrzymać taksówkę, żeby dojechać nią do hotelu, gdzie rzuciłam się na łóżko, zapłakana, i szybko zapadłam w przesiąknięty żalem pijacki sen.

Rozdział 23

Jak tylko go spotkałam, przeczuwałam, że do tego dojdzie. Wiedziałam też, że zwiążemy się ze sobą na zawsze i że zrobię wszystko, aby do tego doprowadzić. Wiedziałam, że jeśli będę musiała być z dala od niego, moje życie legnie w gruzach. Wiedziałam, że to mój jedyny mężczyzna. Gdybym nie mogła być z Lauriem, pewnie pozostałabym samotna do dzisiaj. Trzymałam się go kurczowo, znacznie dłużej, niż powinnam, nadeszła jednak pora, żeby wreszcie zerwać te więzi.

Wszystko, co powiedział Alex, było prawdą. Pęknięcia w mojej skorupie poszerzały się już co najmniej od roku, aż wreszcie całkiem się otworzyły. Ten dom, który zbudowałam na zaprzeczeniach i złudzeniach, teraz legł wokół mnie w gruzach.

Leżałam na hotelowym łóżku w półśnie, spoglądając, jak światło poranka sączy się do środka przez firanki, gdyż zapomniałam zasunąć zasłony, i zmuszałam się do odtwarzania wspomnień z tamtego dnia, kiedy go poznałam. Wcześniej czułam się absolutnie niezależna, miałam stałe zlecenia z wydawnictwa, wynajęte mieszkanie, przyjaciół, rodzinę oraz życie, z którego każdy by się cieszył. Co prawda, ciągle brakowało mi pieniędzy i okresowo czułam nieodpartą potrzebę poczynienia jakichś planów na przyszłość, ale poza tym było mi dobrze.

I nagle, w barze, na przyjęciu urodzinowym przyjaciółki, zobaczyłam jego. Miał, jak ja, dwadzieścia siedem lat, więc ani trochę się nie spodziewałam spotkać miłość mojego życia. Niewiele brakowało, żebym nie przyszła. Miałam za sobą ciężki dzień w pracy, chciałam tylko wrócić do siebie i wskoczyć do kąpieli. Zmusiłam się, żeby poprawić makijaż i podejść do Covent Garden, tylko dlatego, że miałam prezent urodzinowy dla Alice, butelkę szampana w kartonowym pudełku, które udało mi się upchnąć w mojej największej torebce, a nie chciałam ani zostawiać go w pracy, ani taszczyć z powrotem do domu.

Podeszłam do baru po butelkę firmowego wina, kiedy nagle uświadomiłam sobie, że stoi przy mnie mężczyzna. Wcześniej nawet przez chwilę nie wierzyłam w miłość od pierwszego wejrzenia.

– Cześć – zagadnął. Był wysoki, ciemny, z łagodnymi piwnymi oczami, ubrany w niezły garnitur.

– Cześć – odparłam, nie mając pojęcia, jak inaczej mogłabym zareagować.

– Jesteś z przyjęcia urodzinowego?

Oboje obejrzelismy się w kierunku stolika. Nie znałam Alice za dobrze, chodziłyśmy razem na studia i zaprzyjaźniłyśmy się bliżej, kiedy obie znalazłyśmy pracę w Londynie. Jej znajomi byli zwolennikami dużo bardziej hucznego świętowania urodzin, niż mogłabym się spodziewać. Do oparcia krzesła były przywiązane baloniki napełnione helem, a podłogę w tamtym końcu sali zaścielało confetti zrobione z kolorowych arkuszy papieru pakowego i zużytych kopert.

– Zgadza się – przyznałam. – Nie spodziewałam się tylko, że przerodzi się w tak huczną fetę.

– Zatem nie jesteś miłośniczką takich przyjęć, zgadza się?

– Nie. To domena Alice. – Wskazałam ją. Miała długie blond włosy i nosiła szeroką szarfę z napisem objaśniającym jej status.

– No tak. Mogłam się spodziewać, że to ta „Urodzinowa dziewczyna”.

– To wyraźna wskazówka.

Chciałam dodać coś jeszcze, lecz nic nie przychodziło mi na myśl. Bo przede wszystkim pragnęłam podtrzymać tę rozmowę, ale w taki sposób, żeby nie pomyślał, że się z nim spoufalam i że chciałabym wyjść z przyjęcia i usiąść z nim gdzieś w zaciszu. Może to i były śmieszne życzenia. Raczej tak. Pewnie zjawił się tu w towarzystwie swojej dziewczyny.

– No więc? – zagadnęłam. – Nie należysz do uczestników tego przyjęcia, prawda?

Uśmiechnął się.

– Nie. Wpadłem tu na jednego szybkiego drinka. Ale nie był wystarczająco szybki, bym zdążył przed waszym przyjściem.

– Jasne. Wszystkie bary w centrum Londynu o szóstej po południu to wymarzone miejsca, jeśli szukasz chwili wytchnienia w samotności.

– Tak, wiem.

Musiałam zapytać, więc wypaliłam bez namysłu:

– Jesteś tu z dziewczyną?

– Nie ma nikogo takiego. A ty? Przyszłaś z chłopakiem?

– Nie.

– To może dołączmy do peletonu i zdobądźmy dla siebie coś do jedzenia, dobrze?

– Jasne.

Nawet nie znaleźliśmy jeszcze swoich imion, niemniej wyszliśmy razem na Long Acre i dopiero tutaj niezależnie od siebie doszliśmy do wniosku, że moglibyśmy zajrzeć do hinduskiej restauracji przy Royal Opera House. W ogóle go wtedy nie znałam, podejrzewałam jednak, a raczej nie miałam żadnych wątpliwości, że jesteśmy sobie pisani. Ku mojemu zdumieniu on także był podobnego zdania, wyglądało więc na to, że po prostu wpadliśmy na siebie w najbardziej odpowiednim momencie. Co więcej, wszystko między nami od razu zaczęło się układać, potwierdzając jedynie moje przeczucie od chwili, kiedy nasze spojrzenia się zetknęły.

Niemniej tych kilka ostatnich lat było tylko wyblakłym widmem naszego związku. Laurie z tamtego wcześniejszego okresu na pewno by nie chciał, żebym dalej tak żyła. Byłby wręcz przerażony taką perspektywą. Gdyby sprawy na tym świecie potoczyły się inaczej, na pewno zapragnąłby żyć pełnią życia i spotkał kogoś innego.

Gdyby on, ten prawdziwy Laurie, zobaczył mnie wczoraj wieczorem w towarzystwie Alexa, pewnie byłby zadowolony. Może smutny, ale zadowolony.

Mijało pięć lat od czasu, kiedy nie byliśmy już razem, pięć długich, smutnych lat udawania, że jest inaczej. Jednak ten widmowy Laurie, którego stworzyłam sobie na swój użytek, okazał się istotą podłą i zaborczą, w żadnym stopniu niepodobną do człowieka, którego pokochałam.

Nastał mroźny zimowy poranek. Mój telefon dopominał się o ładowanie, ale nie zrobiłam tego, bo bałam się, że Alex będzie próbował się ze mną skontaktować, a nie miałam jeszcze odwagi, żeby spojrzeć mu w oczy. Czułam się zasłużenie skołatana, fizycznie i umysłowo. Coś łomotało mi pod czaszką. Wstałam wcześniej i robiłam to, co zawsze, gdy budziłam się smutna: wyszłam na spacer. Byłam zdana tylko na siebie. I to od dawna, od bardzo dawna.

Powiew zimnego powietrza dobrze mi zrobił. Z radością weszłam do małej kawiarenki na rogu i klapnęłam na rozchwiane żelazne krzeselko przy kaloryferze. Zamówiłam podwójne espresso, świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy oraz wegetariańskie śniadanie i spróbowałam czytać gazetę, żeby nie myśleć.

Świat wyglądał inaczej. Uginałam się pod balastem smutku, ale na swój sposób czułam się wyzwolona. Nie byłam zależna od nikogo, a to oznaczało, że mogę wyruszyć na poszukiwanie Lary. Prawdę mówiąc, zamierzałam polecieć do Bangkoku i przekonać się, co dam radę zdziałać na miejscu.

Upiłam się po raz pierwszy od pięciu lat. Przez tydzień po wypadku upijałam się do nieprzytomności każdego wieczoru. I nie chciałam już nigdy wytrzeźwieć.

Próbowałam ze wszystkich sił wyobrazić sobie Lauriego czekającego na mój powrót. Bez skutku. Po raz pierwszy pomyślałam, że dom w Budock naprawdę nie był naszym domem. Ja tylko tam mieszkałam z moimi kotami. Mieszkałam sama, nie licząc kotów. Nie miałam chłopaka, ponieważ on zginął. Mogłam tylko mieć nadzieję, że koty jakoś sobie poradzą. Później mogłam zadzwonić do sąsiadów i zapytać o nie. Miały kłapkę w drzwiach. Powinny jakoś sobie dać radę same przez kilka następnych dni, kiedy wyjadę za granicę. Powinnam poprosić sąsiadów, żeby zaczęli je dokarmiać.

Rozejrzałam się w desperackim poszukiwaniu czegoś, na czym mogłabym się skupić. Na podłodze leżała czarno-biała szachownica kafelków. Wyglądała jak coś z eleganckiego hotelu przeszczepione do małej kawiarenki na rogu. Można by na niej grać w szachy, tylko trzeba by dobrać figury odpowiedniej wielkości. Można by nawet użyć zwykłych małych figurek. Pewnie wyglądałyby dziwnie na nieproporcjonalnie dużych polach planszy, ale przez to gra mogłaby być ciekawsza. Tak samo grałoby się na zwykłej szachownicy maluteńkimi pionkami i miniaturową królowką.

Dostałam swoje śniadanie, podziękowałam kelnerce wymuszonym uśmiechem i zakotwoczyłam swoje myśli w teraźniejszości. Dzisiaj zamierzałam przyszykować pułapkę na Leona Campiona. Zaczęłam jeść nerwowo, trochę z głodu, a trochę z powodu kaca.

Nie pijałam więcej niż po pół kieliszka czerwonego wina. Sama tak zdecydowałam dla zachowania zdrowia psychicznego (jeśli tylko w stosunku do kogoś takiego jak ja można mówić o zdrowiu psychicznym) i teraz się przekonałam, że była to słuszna decyzja. Z mej pamięci wyłaniały się oderwane obrazy, które odbierałam jak kolejne akty agresji. Pocałunek Alexa wywołał istną lawinę. Aż nie byłam pewna, czy jeszcze kiedykolwiek dam radę się z nim spotkać. Ale przecież znał prawdę, wiedział o wszystkim już od dłuższego czasu, a mimo to chciał spędzać czas ze mną. I nawet chciał mnie pocałować.

– Czy mogę tu podłączyć komórkę do ładowania? – zapytałam kelnerkę, gdy przechodziła obok.

– Oczywiście – odparła. – Tam na ścianie jest gniazdko.

Zaledwie włączyłam telefon, pojawiła się informacja o nieodebranych SMS-ach. Kilka było od Alexa, ale ich nie chciałam czytać, a jeden z nieznanego mi numeru. Wyświetliłam go i przeczytałam:

„Cześć, Iris. Tu Sam Finch. Ciekaw jestem, co porabiasz i czy mogłabyś wpaść do mnie dzisiaj. Chętnie się z tobą zobaczę. Poza tym chciałbym ci coś pokazać”.

Sygnal rozległ się pięć razy i już układałam w głowie, co mogłabym nagrać na jego poczcie głosowej, gdy w końcu odebrał.

– Cześć, Iris. Witaj.

– Cześć, Sam. Jak sobie radzisz?

Zapadło dłuższe milczenie.

– Do dupy. Cholerne piekło. Wiesz co? Nigdy dotąd nie przeklinałem. Teraz knę bez przerwy. Nawet gdy nam się nie udawało ze sztucznym zapłodnieniem, nigdy nie czułem potrzeby, żeby przeklinać, bo miałem przy sobie żonę. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Jemu się wydawało, że miał żonę, czy teraz mu się wydaje, że nie czuł potrzeby???

– Och, Sam... – Gorączkowo próbowałam wymyślić, jak mogłabym go pocieszyć, ale prawda była taka, że nie miałam dla niego pocieszenia. – To rzeczywiście straszne. Aż trudno mi sobie wyobrazić, co przeżywasz.

– Już wolałbym, żeby zabiła mnie zamiast jego.

– Ale ona go nie zabiła! Naprawdę. Przecież znasz Larę...

– W tym właśnie sęk – przerwał mi ostro – że ani trochę nie znam Lary. I ty jej nie znasz. Możesz na okrągło powtarzać, że ona była taka urocza i nie mogła nikogo zabić, ale prawda jest taka, że wcale jej nie znałaś. Tylko ci się tak wydawało. I mnie się tak wydawało. Myślałem, że byliśmy szczęśliwi. Nie tylko szczęśliwi. Myślałem, że nasz związek jest twardy jak kamień. Myślałem, że świetnie rozumiemy się nawzajem. Myślałem, że zdecydowała się na pracę w Londynie, żebyśmy mogli spłacić zaległe raty kredytu i rozpocząć proces adopcji dziecka z zagranicy. Sprawdzałem już odpowiednie kontakty w Nepalu, gdyż powtarzała, że bardzo tęskni za tym krajem i jest w stanie pogodzić się z myślą o adopcji dziecka tylko pod warunkiem, że znajdziemy je właśnie tam, w górach. Chciałem spełnić jej życzenie. Nigdy nie przyszło mi na myśl, że w ciągu tygodnia

ona w zasadzie żyje z innym facetem. Takim byłem frajerem. Głupim pieprzonym frajerem. A to przecież dopiero początek wszystkiego.

Nie mogłam znaleźć na to odpowiednich słów, bo takie nie istniały.

– Bardzo mi przykro, Sam.

– Tak, wiem.

– Więc ona była wcześniej w Nepalu?

– Nie, nigdy. Ja chciałem ją tam zabrać, obwieźć po sierocińcach.

– Ale była w Azji.

– Owszem, w zaszrannej Tajlandii. Właśnie w związku z tym chciałem ci coś pokazać.

Zmarszczyłam brwi, nie bardzo rozumiejąc.

– Co chciałeś mi pokazać?

Przez chwilę nie odpowiadał.

– Och, nic takiego. Nie przejmuj się. Wrócimy do tego przy okazji, jak mnie odwiedzisz. Mogę na to liczyć?

– Nie bardzo. Jestem w Londynie. Mieszka tu moja rodzina. Pamiętasz?

– Mówiłaś przecież, że nie utrzymujesz kontaktów z rodziną.

– To nie takie proste. Więc co chcesz mi pokazać?

– Och, naprawdę nie ma się czym przejmować. Zacząłem przeglądać jej rzeczy. Za bardzo świeciły mi w oczy. Mój brat, Ben, kiedy był tutaj, namawiał mnie, żebym spakował to wszystko i wyniósł na śmietnik, ale gdy razem z mamą w końcu wrócili do Sussex, zostałem z tym wszystkim sam i postanowiłem wreszcie coś z tym zrobić. Zacząłem więc przeglądać jej rzeczy, przesiedziałem nad tym całą noc. Pakowałem do worków i wynosiłem. Bo przecież ona i tak nie wróci. No i natrafiłem na tę starą książkę, której nigdy wcześniej nie widziałem.

– Starą książkę? Jaką starą książkę?

Mój telefon znów zaczął sygnalizować wyczerpany akumulator, toteż przesunęłam się z krzesłem bliżej ściany i ponownie włączyłam ładowarkę do prądu.

– To jest dziennik – wyjaśnił. – Stary dziennik Lary. Z pobytu w Tajlandii. Przerzuciłem go tylko, bo nie dawałem rady czytać. Jest tam bardzo dużo dziwnego gówna. Właśnie dlatego chciałem ci go pokazać. Żebyś i ty mogła to przeczytać, zanim przekażę ten dziennik policji. Jesteś jedyną znaną mi osobą, która mogłaby przeczytać dla mnie te zapiski.

– Sam, o jakim dziwnym gównie mówisz? Chodzi o narkotyki?

– Wiedziałaś, czym się zajmowała? To kolejna rzecz, o której nie wspomniała mi nawet jednym słowem.

– O niczym nie wiedziałam. Sam, dasz mi go przeczytać? Czy mógłbyś... no cóż, przysłać mi go do Londynu? Wiem, że powinieneś go przekazać policji, ale równie dobrze ja mogę to zrobić tutaj, kiedy go przeczytam.

Przez pewien czas się nie odzywał.

– Czemu nie? – odparł w końcu. – Co to szkodzi, do cholery. Jesteś bardziej zaangażowana w tę sprawę niż ja. A jeśli mam go wysłać pocztą, przynajmniej

będę miał powód, żeby wyjść z domu. I pójść na pocztę, rzecz jasna. To nic trudnego. Tylko spacer przez miasto i z powrotem. Sprawdzę, kto się na mnie gapi. Podaj adres.

– Już ci mówię. – Wyciągnęłam z torebki kartkę papieru z firmowym nadrukiem hotelu i podyktowałam mu adres.

– Ale wiesz co, Iris?

– Tak?

– Kiedy wrócisz, będziesz musiała tu przyjechać i spotkać się ze mną. Zgoda? Proszę.

Skrzywiłam się z poczucia winy.

– Oczywiście. Obiecuję.

– Możesz wpaść ze swoim chłopakiem, jeśli chcesz. Bo nie chcę, żebyś pomyślała, że jestem natrętny, i w ogóle...

– W porządku. Mój chłopak... – Urwałam, wzięłam głęboki oddech i ku własnemu zaskoczeniu odpowiedziałam spokojnie: – Mojego chłopaka już tu nie ma.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział ze smutkiem w głosie, ale gdy usłyszałam, że nabiera powietrza, żeby jeszcze o coś zapytać, wtrąciłam pospiesznie:

– Posłuchaj, Sam. Znasz Leona Campiona?

– Niestety tak.

– Ktoś wymienił jego nazwisko.

– To ojciec chrzestny Lary. Nie znosi mnie, nie znosił od samego początku. Był zapatrzony tylko w nią. Gdybyś go spotkała, nie pozdrawiaj ode mnie. Raczej powiedz, żeby się odpierdolił. Prawdę mówiąc, jeśli ktokolwiek ma coś wspólnego ze zniknięciem Lary, dla mnie Leon byłby jednym z głównych podejrzanych. On i Olivia.

– Rozumiem.

Przerwał połączenie, obiecawszy jeszcze dzisiaj wysłać ten dziennik. Miałam nadzieję, że dotrzyma słowa, chociaż nie do końca na to liczyłam.

Dom rodziców Lary był duży i brzydki, jak wielki betonowy klocek, jeszcze bardziej odpychający, niż się tego obawiałam. W głowie wciąż mi się kręciło od zabójczych resztek martini i prosecco, a więc trunków, których obiecywałam sobie nie wziąć już nigdy więcej do ust.

W miejscu dawnego przydomowego ogródka teraz był wylany asfaltem plac, na którym stały dwa samochody. Pierwszy (jej ojca, jak podejrzewałam) wielki jeep, ostentacyjnie i całkiem niepotrzebnie wyposażony we wszystkie wzmocnienia i dodatkowe elementy wozu terenowego, przez co robił śmieszne wrażenie w tej podmiejskiej sypialni. Drugim, sprawiającym prawdziwe wrażenie wszędobylskiego, był mały peugeot jego żony.

Aż nie chciało mi się wierzyć, że Lara tu się właśnie wychowała, zresztą wcale nie byłam tego pewna. Dom był całkiem pozbawiony wyrazu, toporny, przesadnie

wyposażony i nudny. Próbowalam sobie wyobrazić nastoletnią Larę, oszłamiającą blondynkę kipiącą potencjałem umysłowym, kiedy wracała do tego domu w szkolnym mundurku. Wyobrażałam sobie też nadąsaną i rozzłoszczoną Olivie podążającą jej śladem.

Ale nawet w moich wyobrażeniach zaszły pewne zmiany. Sam miał rację, ani trochę jej nie znałam. Ale w końcu spotkałyśmy się tylko cztery razy, zaliczałam ją dopiero do moich potencjalnych serdecznych przyjaciółek. Nigdy bym się nie spodziewała, że ona może mieć aż takie sekrety.

Gong przy drzwiach odegrał *Twinkle, Twinkle, Little Star*, doskonale słyszalne przed wejściem. Stałam przed progiem, nie za bardzo mając nawet pojęcie, co powiedzieć, gdy już po chwili zza drzwi doleciał odgłos czyichś kroków. Rozległ się stukot otwieranych licznych zamków i zasuwek, po czym drzwi się otworzyły i odniosłam wrażenie, że stoi przede mną Lara.

Ale to nie była ona. Oczywiście, że nie. Była jednak tak bardzo podobna, że przez dłuższy czas nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Jak gdyby w zwolnionym tempie dotarło do mnie, że ta wysoka i postawna blondynka w zielonym szlafroku musi być matką Lary. Ona też bardzo się różniła od tego, czego się spodziewałam. Miała tak kształtną sylwetkę, że trudno było sobie wyobrazić, iż wydała na świat córkę, nie mówiąc już o drugiej.

Spoglądała na mnie spod półprzymkniętych powiek, z lekkim zdziwieniem na twarzy, nie odzywała się jednak.

– Ach, dzień dobry – wydusiłam w końcu z siebie. – Pani Wilberforce?

Z ociąganiem skinęła głową.

– Mam na imię Iris. Jestem przyjaciółką Lary. Z Kornwalii. Chciałam...

Nagle straciłem rezon. Nie miałam pojęcia, czego chciałam.

– Witam – odpowiedziała cicho słabym głosem. Nie zaprosiła mnie do środka, nawet się nie poruszyła. Stała w drzwiach niczym duch gospodyni tego domu.

– Bardzo przepraszam, ale jest pani tak podobna do Lary...

Znowu skinęła głową.

– Owszem.

– Nie wiem, czy Olivia o mnie wspominała. Przedwczoraj wypiliśmy razem drinka. Jestem... – Dotarło do mnie nagle, że pewne słowa nie przejdą mi przez gardło. Wydało mi się śmieszne twierdzenie, że przyjechałam z Kornwalii po to, żeby podjąć tu prywatne dochodzenie mające dowieść niewinności ich zaginionej córki. Tym bardziej nie mogłam powiedzieć tej kobiecie, że jej córka prawdopodobnie ukradła mój paszport i uciekła do Bangkoku. Wyjaśnienia przychodzące mi do głowy były nieprzekonujące. Pewnie uznałyby je za obelżywe albo wzięły mnie za szaloną.

Wzięłam głębszy oddech.

– Kiedy przyjechałam do Londynu i pomyślałam o Larze, przyszło mi do głowy, żeby wpaść do państwa i powiedzieć, że nie wierzę w to, co wszyscy o niej mówią. Przepraszam. Powinnam była wcześniej zadzwonić.

– Aha – odrzekła. – Ale może wejdiesz, skoro już tu jesteś, moja droga.

Otworzyła drzwi nieco szerzej i ujrzałam mężczyznę, ojca Lary, zbliżającego się szerokim korytarzem wyłożonym grubym chodnikiem. Był bardzo gruby, łysiejący i mierzył mnie przenikliwym wzrokiem.

– Czym możemy pani służyć? – zagadnął ostro, nawet nie próbując zamaskować swojej otwarcie wrogiej postawy.

Matka Lary posłusznie usunęła się na bok i on zajął jej miejsce w otwartych drzwiach. Zaczęłam bąkać swoją historyjkę od początku.

– Kim pani jest? Przyjaciółką Lary? No cóż, doceniamy pani wizytę, ale mówiąc szczerze, widywaliśmy tu już tylu dziennikarzy podających się za jej znajomych, że nie zamierzam ryzykować w ciemno.

– Ale Olivia... – zaczęłam.

– Nie obchodzi mnie, co mówi Olivia – warknął i jak tylko zatrzasnął mi drzwi przed nosem, usłyszałam dobiegające zza nich krzyki:

– A ty chciałaś ją wpuścić do środka! Bo chciałaś, słyszałem wyraźnie! Do kurwy nędzy, Victorio!

Stałam tam jeszcze przez chwilę z płonną nadzieją, że znieważona matka Lara znowu pojawi się w drzwiach, żeby porozmawiać ze mną na osobności, ale tak się nie stało. W końcu odeszłam stamtąd i wróciłam na stację kolejki podmiejskiej. W sklepie spożywczym kupiłam sobie francuskiego palucha z serem, przygrzanego w mikrofalówce do stanu całkowitej płynności sera, i ruszyłam w drogę powrotną do miasta. W pociągu przyszło mi na myśl, że powinnam przeczytać wiadomości od Alexa, mając nadzieję, że znajdę właściwe słowa, żeby mu odpowiedzieć.

Rozdział 24

Biuro Leona Campiona mieściło się na drugim piętrze wielkiego budynku przy Liverpool Street. Był to jeden z tych starych, zwalistych gmachów, które w innych częściach Londynu już przerabiano na ekskluzywne apartamenty, tylko w samym centrum pozostały jeszcze biurami.

Nie miałam żadnych konkretnych planów. Wciąż dokuczał mi jeszcze lekki kac i czułam resztki alkoholu krążące w moim krwiobiegu. Miałam tylko nadzieję, że już nie czuć go ode mnie. Postukując obcasami o wyłożoną kafelkami podłogę w drodze do recepcji, pomyślałam, że warto by zadzwonić do Alexa z przeprosinami. Już prawie byłam na to gotowa.

Tego dnia wychodziłam z założenia, że nic mnie już nie obchodzi. Nie bałam się, że Leon Campion rzuci mi przekleństwem w twarz. Ostra reakcja ojca Lary, która ze strony kogoś innego upokorzyłaby mnie i rozżłościła, w najmniejszym stopniu nie wpłynęła na mój nastrój.

– Słucham – zagadnęła znudzona młoda sekretarka, która przynajmniej nie patrzyła na mnie z przerażeniem.

– Dzień dobry – rzuciłam. – Jestem umówiona na spotkanie z Leonem Campionem z Champion Associates.

– Oczywiście. Proszę być tak miłą i się tu wpisać.

Miałam wrażenie, że nie dokończyła zdania. Co mogłoby się stać, gdybym się nie wpisała? Odpowiedź nie nasuwała się sama przez się, ale przynajmniej nie czułam się wyzwana przez nią na ring. Nawet się nie spodziewałam, że tak gładko uda mi się przejść ten etap. Miałam gotowy plan B, zgodnie z którym chciałam pokręcić się przed wyjściem z budynku w nadziei, że on w pewnej chwili wyjdzie na lunch.

Wpisałam się na listę prawdziwym nazwiskiem, wsiadłam do małej windy z lustrem i wcisnęłam guzik oznaczony cyfrą 5, jak mnie poinstruowano.

Po wyjściu z niej znalazłam się w kolejnym małym sekretariacie, gdzie za biurkiem siedziała kobieta o wyzywającym wyglądzie, która rozmawiała przez telefon i przerzucała papiery, nie racząc nawet na mnie spojrzeć.

Była oporzędzona jak koń wyścigowy, jej gęsta natapirowana grzywa połyskiwała od lakieru, na twarzy miała tyle makijażu, że aż trudno było sobie wyobrazić, jak naprawdę wygląda, a masywne złote kolczyki tak bardzo wyciągały jej małżowiny w dół, że aż nie była w stanie przytknąć słuchawki do wysłużonego ucha, które sprawiało wrażenie, jakby zaraz miało się urwać pod nadmiernym obciążeniem. Odruchowo skrzywiłam się ze współczucia. Nigdy nie zdobyłam się na to, żeby przekłuć sobie uszy.

Podłoga była zakryta grubą wykładziną, umeblowanie stwarzało atmosferę wnętrza przesiąkniętego luksusem, ale miałam w pamięci, że to mała firma. Z recepcji prowadziły w głąb biura tylko jedne drzwi i jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, że za nimi rozciąga się rozległa przestrzeń biurowa albo wielka sala

zastawiona licznymi biurkami, pełna wzmożonej aktywności. Bardziej sprawiało to wrażenie firmy jednoosobowej.

Kobieta uśmiechnęła się do mnie i dała znak, że za chwilę będzie gotowa ze mną porozmawiać.

– Owszem – rzuciła do słuchawki – ale obawiam się, że nam to nie wystarczy, proszę pana. Będziemy potrzebowali szczegółowego wykazu inwentarza, zanim pan Champion zdecyduje się przyjrzeć bliżej temu wnioskowi przed wstępną dyskusją... Tak. Te wymogi są aktualne... Będę czekała na pańską odpowiedź. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę, nie czekając na odpowiedź.

– Słucham panią. – Przywołała na twarz wyraz profesjonalnej recepcjonistki, z uśmiechem, który ani trochę nie odzwierciedlał się w jej spojrzeniu. – Czym mogę służyć?

Nadeszła kluczowa chwila. Musiałam to odpowiednio rozegrać. Rozmawiałam z tą kobietą przez telefon, ale nie musiałam jej teraz o tym przypominać. Wolałam się nawet nie domyślać, czy pamięta wszystkie rozmowy telefoniczne, czy nie.

– Dzień dobry. Czy mogłabym zamienić parę słów z panem Championem? – rzekłam tytułem próby.

Wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na jotę.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Czy była pani umówiona?

– Jestem przyjaciółką Lary. I naprawdę chciałabym zamienić z nim tylko parę słów. To sprawa prywatna.

Nadal nie zareagowała.

– No cóż, jak powiedziałam, pan Champion jest nieosiągalny. Prawdę mówiąc, wyjechał z kraju. Gdyby zechciała pani zostawić jakąś wiadomość, na pewno zatroszczyłabym się, aby ją otrzymał.

– Bardzo dziękuję. Może zostawię tylko swój numer telefonu i adres mailowy.

– Ale, jak powiedziałam, może minąć trochę czasu, zanim otrzyma pani jego odpowiedź.

– Jest ojcem chrzestnym Lary, prawda?

– To są jego prywatne sprawy.

Skupiła wzrok na klawiaturze i zaczęła na niej coś wystukiwać samymi opuszkami palców, żeby nie uszkodzić długich, grubo polakierowanych paznokci. Zrozumiałam aluzję, wycofałam się, usiadłam na małej kanapie w rogu i ułożyłam na kolanach kartkę papieru, zaciskając w palcach długopis, który od niej dostałam. Jako podkładkę wykorzystałam ilustrowany magazyn, „Management Today”, i skupiłam się na tym, co mogłabym napisać. Musiało to być na tyle przykuwające uwagę, żeby skłoniło do spotkania ze mną człowieka naprawdę zainteresowanego sprawą Lary.

„Leon”, zaczęłam, przybierając ton całkowitej pewności siebie. „Próbowałam się z Tobą skontaktować telefonicznie i osobiście. Nazywam się Iris Roebuck i jestem przyjaciółką Lary z Kornwalii. Chciałabym...”

Przerwałam w tym miejscu. Jak miałam to ująć, żeby dobrze brzmiało?

Skreśliłam to „chciałabym” i napisałam dalej:

„Podobnie, jak jej najbliższa rodzina, jestem bardzo zmartwiona losem Lary, przekonana, że nie popełniła żadnego z zarzucanych jej potwornych czynów. Wydaje mi się, że wiem, co jej się przytrafiło, i właśnie o tym chciałabym z Tobą porozmawiać, ponieważ ma to związek z jej przeszłością, z pobytem w Azji. Olivia...”

Przerwał mi szum rozsuwających się drzwi windy. Ledwie spojrzałam na wysiadającego mężczyznę, wiedziałam, że to on. Dalej siedziałam bez ruchu w kącie sekretariatu, mając nadzieję, że zagadnie recepcjonistkę, jakby mnie nie zauważył, ale od razu spojrzał na mnie, przeszył mnie piorunującym spojrzeniem.

Wiedziałam wcześniej, jak wygląda, z długimi siwymi włosami i smukłym prostym nosem, niemniej spodziewałam się kogoś bardziej budzącego strach swoim wyglądem. Tymczasem wyglądał przyjaźnie, chociaż miał smutną minę. Polubiłam go od pierwszego wejrzenia, i to bardziej, niż mogłabym się spodziewać.

Spojrzał na mnie, uśmiechnął się skąpo, po czym odwrócił się do sekretarki.

– Coś nowego? – zapytał, a mnie naszły wątpliwości, czy chodzi mu o mnie, czy pyta ogólnie.

Recepcjonistka podsunęła mu spis nieodebranych telefonów i wiadomości mailowych, z których część była na pewno od dziennikarzy, po czym dodała:

– Jest jeszcze ta dama, panna Roebuck, przyjaciółka Lary Finch. Powiedziała mi, że jest pan nieosiągalny, i właśnie usiadła, żeby napisać wiadomość.

– Dzięki, Annie.

Serce zabiło mi mocniej, kiedy podszedł bliżej, lecz jego maniery szybko mnie uspokoiły.

– Panna Roebuck? – zapytał z uprzejmym uśmiechem, mierzając mnie wzrokiem. Wstałam, brzydząc się poczuciem niższości, jakie zapewniało miejsce na kanapie.

– Pan Champion – odparłam, wyciągając rękę na przywitanie. Pewnie, po męsku uścisnął mi dłoń. Sięgnął po kartkę, na której pisałam wiadomość.

– Przyjechała pani z Kornwalii?

– Tak.

– Jeśli byłem zanadto oschły w rozmowie telefonicznej, teraz przepraszam. Szczerze. To dla mnie trudny okres. Pewnie dobrze pani o tym wie.

– Nic nie szkodzi.

– Nieprawda, jednak szkodzi. Muszę przyznać, że gdy teraz patrzę na panią, wiem, że Lara o pani mówiła. Wspominała o przyjaciółce z długimi włosami, która jeździ na rowerze. Widziałem też zdjęcia, na których przeskakiwała pani przez płot, żeby się spotkać z pogrążoną w żałobie wdową po Guyu Thomasie.

– Zgadza się. To byłam ja.

– I co pani teraz tu robi?

– Przekazuję wyrazy współczucia od Sama.

– Aha. I rozumiem także – dodał, spoglądając na początek mojej notatki – że wie pani o tym, co jej się przytrafiło w Azji i co, przyznaję, może być kluczem do

tej sprawy. Przejdźmy do mojego gabinetu, moja droga. Choć obawiam się, że jestem lekkim paranoikiem i będę musiał sprawdzić parę rzeczy. Rozumiesz?

– Oczywiście.

– Zawsze czułem się odpowiedzialny za Larę. Tym bardziej jestem zdruzgotany, że... – Spojrzał na mnie, jak gdyby nie mógł dokończyć tego zdania. – Annie – rzucił przez ramię. – Zrobisz nam kawy?

– Zaraz przyniosę.

Jego gabinet był ogromny, z wielkimi oknami po obu stronach, z których kiedyś zapewne rozciągała się piękna panorama Londynu, lecz teraz widać było dachy kilku niższych sąsiednich budynków, a dalej ściany wieżowców. W dole trwał wzmożony ruch uliczny, ale tutaj nie docierały żadne hałasy. Powietrze przepełniały zapachy kojarzące się z luksusem, od drogiego papieru po lakier mebli i od aromatu kawy po wodę kolońską gospodarza.

Leon minął duże stylowe biurko założone papierami i poprowadził mnie do stojących w rogu rozłożystych foteli.

– Teraz opowiedz mi o Larze, proszę – rzekł, kiedy oboje usiedliśmy. – Nie zamierzam cię przeświecać, ponieważ ci wierzę, wolę jednak nie ryzykować i chcę sprawdzić podstawowe fakty. Jak się poznałyście?

Zaskoczył mnie jego spokojny, wyważony ton.

– Jasne – mruknęłam, zbita z tropu. – No więc mieszkam w Kornwalii, niedaleko Falmouth, prawie od pięciu lat.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął iPhone'a.

– Niedaleko Falmouth? A konkretnie gdzie?

– W pobliżu Budock. To wieś, dosyć duża, z której bez trudu można dojść spacerem do Falmouth. Mieszkam w pewnej odległości od wioski, w dość odludnym miejscu, ale łatwo będzie odszukać to miejsce.

Sprawdził lokalizację mojego domu w Google Earth, kierując się moimi wskazówkami, po czym odłożył telefon.

– Więc tam mieszkasz. Sama?

Nazywałam go naszym domem, ale to był mój dom.

Duch Lauriego mógł się tam jeszcze gdzieś kręcić, towarzyszył mi tak długo, że chyba nie mógł nagle tak po prostu zniknąć. Ciekawa byłam, czy po powrocie odczuję jeszcze jego obecność choćby przez ułamek sekundy. Miałam nadzieję, że tak. Chciałam trzymać się kurczowo ostatnich śladów po nim, jeśli to tylko będzie możliwe.

Tęskniłam za starym piecykiem na drewno, za moimi kotami i monotonnym życiem z dala od całego świata. I tęskniłam za Lauriem bardziej, niż można to sobie wyobrazić.

– Tak – wydusiłam z siebie. – Mieszkam tam sama.

– W porządku. Jak poznałaś Larę?

– Spotkałyśmy się na promie. Płynęłam do St Mawes bez żadnego szczególnego powodu, ona robiła to samo. – Opowiedziałam mu całą historię. – Pozostałyśmy w kontakcie. Któregoś dnia wpadłam do niej na herbatę i kiedy tam byłam,

odebrała od kogoś telefon z propozycją podjęcia pracy w Londynie.

Uśmiechnął się lekko.

– To musiałem być ja.

– Zauważyłam, że bardzo chciała porozmawiać z Samem o tej propozycji, więc wyszłam. Potem, gdy już zaczęła tu pracować, spotykałam ją kilka razy w mieście, jednak całe weekendy poświęcała Samowi. Przyjechała do mojego domu w Wigilię, jadłyśmy paszteciki z mięsem. Nic nie wiedziałam o tym, że ma romans czy coś w tym rodzaju. – Mówiłam dalej, chcąc się wykazać, lecz robiłam to z taką gorliwością, że aż czułam do siebie obrzydzenie.

– I kiedy zaginęła...

– Byłam w ich domu w tamten sobotni rano, ponieważ bardzo chciałam się z nią zobaczyć. Prawdę mówiąc... – Głos uwiązał mi w gardle, gdyż wolałam nie ujawniać zbyt wielu faktów o sobie. Popatrzył na mnie pytająco, podjęłam więc swoją relację, powiedziałam o wygranej na loterii i mojej przemożnej chęci dokonania jakichś zmian.

– Przeniosłam się do Kornwalii z dość szczególnych powodów – zakończyłam, mając nadzieję, że mój głos brzmi jeszcze normalnie. – I właśnie postanowiłam, że muszę się zdecydować na kolejną odmianę życia.

Zamilkłam na chwilę. Oddychaj, powtarzałam sobie w myślach. No, dalej. Wdech i wydech. Musisz znaleźć siły, żeby przez to przebrnąć. Nagle zalała mnie fala tak przemożnego smutku, jak pięć lat temu, i teraz już nie byłam w stanie ukryć tego przed nim.

Leon wyjął z kieszonki marynarki idealnie zaprasowaną chusteczkę i podał mi ją.

– Dziękuję.

Zdobyłam się na nadludzki wysiłek i przemówiłam przez łzy:

– Chciałam porozmawiać z Larą, ponieważ jest jedyną znaną mi tam osobą, która mogłaby mi szczerze doradzić. – Nie zdobyłam się na nic więcej i głośno wydmuchałam nos w chusteczkę. – Przepraszam – dodałam.

– Nic nie szkodzi. Przykro mi. Z powodu przyczyny twojego smutku i konieczności nawiązania do niej. Nie musisz się spieszyć.

– Dziękuję. Zatem nacisnęłam dzwonek i otworzył mi Sam, a potem... – Zrelacjonowałam mu tamten dzień, wizytę policji, wiadomość o śmierci Guya, aresztowanie Sama i jego wyjazd na komendę. – Ale wiedziałam od początku, że ona tego nie zrobiła – rzekłam na koniec. – Jestem tego pewna.

– Rozumiem. W związku z tym dokopałaś się do wiadomości o drobnej wpadce w Azji? – zapytał nadspodziewanie ciepło. – Wcieliłaś się w rolę panny Marple?

– Jeśli chce pan to tak nazwać – odparłam, ocierając resztki łez z policzków – proszę bardzo. Gdybym była facetem, nie potraktowałyby mnie pan tak lekceważąco. Ale nie ruszają mnie drwiny z panny Marple. Zdecydowałam się przyjechać do Londynu, co przypadkiem było dla mnie szczególnie, wręcz nieopisanie trudne, żeby na miejscu sprawdzić, czy zdołam ustalić, co się naprawdę wydarzyło. Może pan to deprecjonować, skoro taka pańska wola. Lara

by tego nie robiła.

– Więc niech będzie Sherlock Holmes w spódnicy. Zresztą Sherlock mogłoby być także damskim imieniem. I to całkiem interesującym. Przepraszam za swoje seksistowskie teksty. Naprawdę nie chciałem deprecjonować twoich poczynań. Szczerze mówiąc, jestem pod wrażeniem, panno Roebuck. I po przyjeździe do Londynu spotkała się pani z Olivią.

– Okazała się urocza.

Uniósł brwi.

– Olivia?

– Tak, naprawdę. Byłam przygotowana na spotkanie z odpychającą osobą, tymczasem okazało się inaczej. Nawet ją polubiłam. Wiem, że jej stosunki z Larą były straszne, lecz moim zdaniem Olivia też swoje wycierpiała.

– To ciekawe, co mówisz. W porządku. Próbowłaś też rozmawiać z Wilberforce'ami?

– Niewiele z tego wyszło. Mama Lary, chyba Victoria, jeśli się nie mylę, była gotowa mnie wpuścić do domu. Ale jej tata zatrzaskał mi drzwi przed nosem. Nawet mu się nie dziwię. To zrozumiałe.

Rozległo się pukanie do drzwi i otworzyły się, zanim Leon zdążył zareagować. Annie postawiła tacę z kawą na małym niskim stoliku i bez słowa zawróciła do drzwi.

– Dzięki, Annie. Posłuchaj, Iris. Przykro mi. Naprawdę. Rozumiem, dlaczego Bernie zamknął ci drzwi przed nosem, z tego samego powodu ja chciałem wysłuchać twojej szczegółowej relacji. Brzydzę się mediami, a ty na początku wydałaś mi się przebiegłą dziennikarką. Wierzę ci, jak wierzyłem od chwili, kiedy cię zobaczyłem, ale zostały podejrzenia, których nabrałem po naszej rozmowie telefonicznej. Gdybyś rzeczywiście była przebiegłą reporterką, cała twoja bajeczka ległaby w gruzach z chwilą, gdy zacząłem szukać twojego domu w Google Earth. Nie dałabyś rady wymyślić dostatecznie przekonującej historii. Mam jeszcze ochotę zadzwonić do Sama i sprawdzić, kto z nim był tamtego koszmarne ranka, jednak szczerze mówiąc, zniechęca mnie perspektywa tej rozmowy. Annie?

Ledwie odrobinę podniósł głos, a ona niemal natychmiast weszła do gabinetu.

– Annie, mogę cię o coś prosić? Czy dałabyś radę zadzwonić do Sama Fincha i zapytać go, kto z nim był w domu rankiem w sobotę piętnastego?

Nawet nie mrugnęła okiem.

– Już to robię.

Odwrócił się z powrotem do mnie.

– To było coś straszne. Istny koszmar. Do dziś próbuję sobie wmawiać, że odnajdzie się gdzieś cała i zdrowa. To oczywiste, że nie zabiła Guya Thomasa. Całkiem oczywiste. Nie byłaby zdolna do takiego czynu. Poza tym, jak sama zauważyłaś, przeżyła olbrzymią traumę w Tajlandii i zawsze twierdziła, że tamta sprawa kiedyś się na niej zemści. Powtarzałem jej, że jest w błędzie, że to już przeszłość, ale ona nie mogła o tym zapomnieć. Wspominałem o tym policji, sugerując, by uznali to za ważną poszlakę w dochodzeniu, ale nie byli

zainteresowani, ponieważ z ich punktu widzenia ta sprawa była dawno zamknięta, a im do zakończenia prac potrzebne było tylko odnalezienie zwłok Lary. Rzecz jasna, to się nie zdarzy, ponieważ ona jest cała i zdrowa. Przynajmniej głęboko w to wierzę.

Powędrowałam myślami do Alexa. I pomyślałam o dzienniku Lary, zdecydowałam się jednak nie wspominać o nim, dopóki go nie przeczytam.

– Owszem, ja też rozmawiałam z policją na ten temat, lecz w ogóle nie interesowały ich wcześniejsze wydarzenia z Azji. Proszę posłuchać, mam wrażenie, że gdybym tam poleciała, mogłabym na własną rękę odnaleźć Larę.

Westchnął ciężko, jakby się nagle postarzał i osłabł.

– Ale jest jeden problem, Iris. Mogę ci mówić po imieniu?

– Oczywiście.

– Gdyby odleciała stąd czy w ogóle przekroczyła granicę jakimkolwiek środkiem transportu, pozostałby po tym wyraźny ślad. Ale takiego nie ma. Po prostu nie ma. To najważniejszy powód moich obaw o jej bezpieczeństwo. Lara to zaradna młoda dama, znam ją od urodzenia. Lecz nawet ona nie potrafiłaby zniknąć, nie zostawiając za sobą żadnego śladu.

– Leonie – odparłam. – Masz rację. Sprawa wygląda jednak nieco inaczej.

Już miałam mu powiedzieć o paszporcie, kiedy wróciła Annie i popatrzyła na mnie z przepaszającym uśmiechem.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Rozmawiałam z nim. Na początku zareagował agresywnie, ale w końcu przyznał, że spędził tamten dzień z przyjaciółką pani Finch o imieniu Iris, po czym opisał pannę Roebuck. – Skinęła mi głową, ponownie się uśmiechając. – Dokładnie. Powiedział, że przyjechała na rowerze i miała charakterystyczne ciemne włosy z jasnymi końcówkami. Był jej bardzo wdzięczny za wsparcie. Powiedział też, że rozmawiał z nią przez telefon dzisiaj rano.

– Tak, rozmawialiśmy – potwierdziłam.

– Dziękuję, Annie. Zatem wszystko jasne. Jeszcze raz przepraszam, Iris, za swoje podejrzenia.

– Nic się nie stało. W pełni to rozumiem. Dobrze, że mamy to za sobą. – I opowiedziałam mu o zaginionym paszporcie oraz locie do Bangkoku.

– To zdumiewające – przyznał. Wstał szybko i zaczął krążyć po pokoju. – W takim razie musimy się tam udać i ją odnaleźć. Właśnie przedstawiłaś mi jedyne dobre wieści od bardzo długiego czasu. Pomogę ci na każdym etapie. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Sfinansuję ci podróż, opłacę wszystko, co będzie konieczne.

– To pan... przynajmniej tak zakładam... był z nią na posterunku, kiedy odwoływała swoje wcześniejsze zeznania dotyczące przemytu narkotyków.

Oczy mu się rozszerzyły.

– Mój Boże, naprawdę jesteś dobra. Gdybyś kiedykolwiek szukała pracy, przyjdź do mnie, mówię całkiem poważnie. Dowiedziałaś się i o tym?

– Owszem, zgadza się.

- Więc tym bardziej rozumiesz, jak bardzo delikatna to sprawa.
- Tak, rozumiem – zablefowałam, ale on mnie prawie nie słuchał.
- Zatem poleciała do Bangkoku.
- Chcę wyruszyć jej śladem – powiedziałam po raz kolejny. – I odnaleźć ją. Nie patrzył na mnie. Ze zmarszczonymi brwiami pogrążył się w zadumie.
- Naprawdę? Byłabyś gotowa to zrobić? Gdybyśmy dokonali tego we własnym zakresie, bez angażowania policji, może by się nie przestraszyła. Nie umiem sobie wyobrazić, po co tam wróciła. Chyba że nie zrobiła tego z własnej woli. Jeśli Jake znalazł się na wolności, mógł jakimś sposobem przejąć nad nią kontrolę. W takim wypadku rozumiałbym, czemu odleciała do Bangkoku. Wiesz może, czy osoba posługująca się twoim paszportem podróżowała sama?
- Nie mam pojęcia.
- Bardzo chciałam go wypytać o Jake'a, ale tego nie zrobiłam. Wolałam, żeby Leon myślał, że wiem więcej, niż mu powiedziałam, bo dzięki temu mógł mi bardziej zaufać.
- Westchnął głośno.
- Iris. Wybierz się ze mną na drinka. Wyjdźmy z tego gabinetu i spróbujemy ułożyć jakiś plan działania.
- Uśmiechnęłam się do niego, przekonana, że wreszcie sprawy ruszają z miejsca.
- W porządku – odparłam – ale ja nie piszę się na żadne mocniejsze trunki. Wczoraj wieczorem zdecydowanie z nimi przesadziłam.

Nazajutrz rano obudziłam się i przeciągnęłam w hotelowym łóżku. Miałam lecieć do Bangkoku, wieczorem razem z Leonem zarezerwowaliśmy miejsce w samolocie. W małym śródmiejskim barze namówił mnie do wypicia jednego kieliszka jedwabistego czerwonego wina i wspólnie wszystko przedyskutowaliśmy.

Domyślałam się wreszcie, kim mógł być tajemniczy Jake. Nawet jeśli Sam nie znalazł odwagi, żeby wybrać się do centrum Falmouth i wysłać mi dziennik (prawdę mówiąc, byłam przekonana, że poszedł po rozum do głowy i przekazał go policji), i tak mogłam już lecieć do Bangkoku, żeby rozpocząć jej poszukiwania. Ziewnęłam szeroko i przeciągnęłam się jeszcze raz, uszczęśliwiona, że już nie czuję skutków kaca. Musiałam zadzwonić do Alexa.

Rozległo się pukanie do drzwi i ruszyłam boso, żeby otworzyć. Po drodze odczytałam z wyświetlacza mojej komórki, że jest wpół do dziesiątej. Od lat nie spałam tak dobrze.

– Przesyłka dla pani – powiedział młody boy, wręczając mi pękatą kopertę. Podziękowałam mu, zastanawiając się mętnie, czy nie powinnam mu dać napiwku, po czym wstawiłam czajnik elektryczny, zanim rozerwałam opakowanie z folii bąbelkowej. Na kopercie Sam nagryzmolił moje nazwisko i adres hotelu grubym czarnym markerem.

Wyciągnęłam ze środka dziennik w podniszczonej twardej oprawie, grubej i czarnej, powycierany i przybrudzony na kantach. Usiadłam na brzegu łóżka

i zaczęłam czytać.

Część III

Dziennik Lary

21 marca 1999
Sydney

Jake wrócił!!! Ledwie mogę wytrzymać. To tak samo cudowne, jak i przerażające. Chciałabym go chociażby dotknąć i popatrzeć na niego.

Zbliża się pora wyjazdu z Australii. Przybył tego popołudnia stamtąd, dokąd udaje się między zleceniami, więc tego ranka, mając trochę wolnego czasu, poszłam odebrać listy z poste restante. Miałam ochotę wyrzucić je od razu do kosza i teraz żałuję, że tego nie zrobiłam. Dostałam list od mamy, paskudną pocztówkę od Olivii i list od Leona i Sally, podpisany przez Sally. Napisałam krótką odpowiedź do mamy.

Zaczęłam od tego, że musiałam na tydzień przyjechać do Sydney, żeby odnowić swoją tajską wizę. „To urocze miasto i kiedyś chętnie wpadnę tu na dłużej, ale na razie chcę jak najszybciej wrócić do Bangkoku i mojej pracy”. To powinno wszystkich uszczęśliwić. Tylko takie rzeczy powinna pisać w listach złota Lara.

Owa praca, którą jakoby wykonuję, powinna mi sama z siebie zapewnić wizę, ale chyba nikt nie zwraca uwagi na takie szczegóły. Może poza Leonem.

Już się nie mogę doczekać wyjazdu. Australia jest nazbyt czysta! Muszę wrócić do Tajlandii. Przynajmniej znów mam teraz przy sobie Jake'a, a to oznacza, że sprawy ruszyły z kopyta.

Żałuję, że tata mi nie powiedział, czy mama zna prawdę (choćby w części), czy nie. List od niej naprawdę mnie przygnębił. Zazdroszczę ludziom mającym opiekuńcze matki. Moje życie wyglądałoby całkowicie inaczej, gdybym miała kogoś, kto potrafi rozmawiać z dziećmi, nie podchodząc do nich jak do małych, dokuczliwych niedogodności losu, które trzeba tolerować. Tylko wyobraźcie sobie opiekuńczą matkę, która traktuje szkolne przedstawienia i inne podobne imprezy jak coś, w czym naprawdę chce uczestniczyć! Moja mogła bez trudu wymusić, byśmy się nawzajem z Olivią tolerowały, ale jej nigdy na tym nie zależało. Gdyby mama była otwarta na jakiegokolwiek znaczące wzajemne oddziaływanie, nie musiałabym nigdy aż tak bardzo trzymać się taty, i nie byłoby mnie dziś tutaj, gdybym nie musiała zdobyć pieniędzy na kaucję za niego.

A więc to wszystko jej wina! Lecz gdybym jej to powiedziała, usłyszałabym: „Och, czyżby? Przykro mi”, po czym odwróciłaby się i odeszła.

Kiedy obie piszemy do siebie listy, pozostawiamy mnóstwo rzeczy niedopowiedzianych, bo nie chce mi się wierzyć, że jej niewinność jest autentyczna. „Sprawy się skomplikowały w ojca interesach”, napisała mi dzisiaj, „ale trzeba żyć dalej z podniesionym czołem!”.

Zgadza się, interesy taty skomplikowały się do tego stopnia, że poprosił mnie,

żebym oddała mu pieniądze za moje chesne w prywatnej szkole, do której, ma się rozumieć, nie miałam najmniejszej ochoty chodzić. I tym się właśnie teraz zajmuję. Mama nie może o tym wiedzieć, bo inaczej nie pisałaby o tym w liście. A może jednak?

Porwałam ironiczną kartkę Olivii z widokiem na Buckingham Palace. Nawet nie przeprosiła, tylko napisała coś w rodzaju: „mam nadzieję, że dobrze się bawisz”, co oznaczało, że była w nadzwyczaj przyjaznym nastroju. Obiecałam sobie nie odzywać się do niej w najbliższym czasie, jeśli w ogóle kiedykolwiek.

Tak czy inaczej, zostawiłam swoją rodzinę po drugiej stronie kuli ziemskiej, co jest dla niej najlepszym miejscem. Jutro będzie właśnie ten dzień. Myślę o nim z takim podnieceniem, z jakim nie podchodziłam jeszcze do niczego w swoim życiu.

Na razie muszę lecieć, bo Jake czeka na nas z jakimiś niewyszukanymi miejscowymi potrawami i piwem. Zmuszę się, żeby coś zjeść, chociaż wcale nie jestem głodna. Bo jestem zanadto podniecona, żeby odczuwać głód.

Jutro będziemy już w Tajlandii. Podróż numer cztery. Może powinnam skończyć na numerze trzecim? Bo mam wrażenie, że zanadto kuszę los, chociaż wiem, że stać mnie na to. Niemniej trzymam kciuki...

22 marca
Bangkok

Jest bardzo gorąco. Parno. Duszno. Uwielbiam to.

Udało się. Pisanie przychodzi mi z trudem, bo ręce mi się tak trzęsą, że ledwie mogę utrzymać długopis. Ale udało się.

To najbardziej niesamowita sprawa. Mam ochotę śpiewać i tańczyć przez całą podróż Khao San Road. Mam ochotę wdrapać się na sam stromy szczyt dachu pokrytego zardzewiałą żelazną blachą, rozrzucić szeroko ręce i krzykiem obwieścić swoje szczęście niebiosom. Nikt mnie nie pokona. To ja pokonam system.

Żałuję, że nie mogę powiedzieć prawdy Olivii, tylko po to, żeby ją zaskoczyć. Nigdy by mi nie uwierzyła.

Nie zrobiłam niczego, co świat zewnętrzny mógłby zarejestrować. Postąpiłam dokładnie tak samo, jak wszyscy wokół mnie. A potem wzięłam taksówkę na Khao San Road, żeby się skryć w tłumie turystów i zameldować w niepozornym zapchlonym motelu. Siedziałam w kawiarni, czytałam książkę i piłam już trzecią colę, kiedy zjawił się Jake, uściskał mnie, powiedział, że jestem wspaniała, podczas gdy Derek (który wyglądał gorzej niż zwykle, bo zapuścił sobie dziką plerezę i skołtunioną brodę, chcąc się skryć między turystami, ale najwyraźniej przesadził) zgarnął marynarkę i zniknął. Misja numer cztery została pomyślnie zakończona. Przetrwałam ją w całkowitym spokoju.

Za każdym razem gdzieś w głębi mej duszy odzywa pragnienie, żeby się nie udało. Pewnie inaczej bym tego nie wytrzymała. Gdybym w przyływie desperacji

postanowiła wrócić do normalnego życia i pojechała do domu, żeby dalej grać rolę rasowej blondynki, chyba nie umiałabym patrzeć śmiało przed siebie i zachowywać lodowaty spokój. Pewnie musiałabym się upodobnić do otaczających mnie turystów, którzy traktują cały świat jak jeden wielki plac zabaw i sądzą przy tym, że są tak bardzo oryginalni i wyróżniają się spośród innych.

Ale i tak nie mogę uwierzyć, że stałam się aż tak zła. Pamiętam, z jaką pogardą obserwowałam tchórzliwy tłumek w szkole, ludzi, którzy nie chodziliby na lekcje, gdyby tylko mieli odwagę z nich zrezygnować, którzy nawet nie przymierzali się do odrobienia pracy domowej, a tylko wdawali się w bójki, przeklinali i mieli w nosie wszelkie konsekwencje. Świetnie wiedziałam, że mogłabym do nich dołączyć. Ale z jakichś powodów nie miałam na to ochoty. Kierował mną jakiś impuls wypływający z głębi duszy, który teraz wyrwał się na wolność.

Naruszyłam powszechne reguły w takim zakresie, o jakim ci idioci ze szkoły nawet nie mogliby pomarzyć. Teraz jednak muszę odłożyć ten dziennik (Jake wpadłby w szal, gdyby się dowiedział, że istnieje jakikolwiek trwały ślad prowadzący do niego) i wyjść na dość uroczyste przyjęcie koktajlowe.

Bangkok, kocham cię.

25 marca

Wysłałam prawie wszystkie pieniądze do domu. Może to załamujące, ale w końcu jestem naprawdę dobrą córeczką.

Dziwnie się czuję, kręcąc się po Bangkoku jak każdy inny obywatel. Na swój sposób czuję się całkowicie bezpieczna, ale jest w tym też trochę rozczarowania. Nie zebrałam wystarczająco dużo sił, żeby wybrać się na zwiedzanie miasta. Dziś razem z Jakiem zafundowaliśmy sobie „pełne angielskie śniadanie” w najczęściej uczęszczanym miejscowym barze, a potem graliśmy w scrabble, obserwując przechodniów. Uwielbiam obserwować skrajne przypadki. Z jednej strony przyglądam się nastolatkom, którzy po raz pierwszy wyrwali się z domu, oszołomionym i przestraszonym, ale jednak wytrzymałym. Łatwo sobie wyobrazić, jak dokonują konfrontacji swoich pierwszych wrażeń z doświadczeniami wyniesionymi z domu. Kiedy widzę takich, mam ochotę do nich dołączyć i pozostać w ich towarzystwie przez kilka tygodni, żeby zobaczyć, co się stanie, gdy w końcu okrzepną.

Na przeciwległym biegunie mam ofiary. To ludzie znerwicowani, zresztą z całkiem innych powodów niż cała reszta. W tej klasie widuję głównie białych, uprzywilejowanych podróżników, jak również beznadziejnie uzależnionych, na których aż przykro patrzeć. Ci brodacze (bo każda ofiara, jaką dotąd spotkałam, była mężczyzną) z błyszczącymi oczami, w ciuchach, które ewidentnie noszą od lat, ciągle mi przypominają, że sprawy mogą przybrać zły obrót.

Ale mniejsza z tym. Pokonałam Jake'a w scrabble, więc zaczął udawać, że ta

gra go nudzi. W końcu zapowiedział, że nasza następna podróż ma się odbyć już za trzy tygodnie.

– Muszę się zająć pewnymi sprawami – rzekł. – Tak więc, dziecino, będę musiał cię zostawić na jakiś czas. Zakotwicz na plaży. Dam ci telefon komórkowy i zadzwonię, kiedy będziemy cię potrzebować.

To mnie trochę zdenerwowało, ale nie dałam nic po sobie poznać. Mogłam wytrzymać kilka tygodni na tajskiej plaży, to naprawdę nie należało do tych rzeczy, za które można żywić urazę. Prawdę mówiąc, uwielbiałam, gdy Jake nazywał mnie „dzieciną”. Nikt w Londynie nie wyrażał się nigdy o mnie w ten sposób. Zresztą ja nigdy wcześniej nie byłam w tym typie, który można by tak nazywać. Wzorowa uczennica o imieniu Lara zniknęła bezpowrotnie. Nie został po niej żaden ślad. Jej miejsce zajęła przestępcza „dziecina” wyposażona w tajski telefon komórkowy.

27 marca

W autobusie za Bangkokiem

Jake odjechał. Nawet nie chcę wiedzieć nic poza tym. Wystarczy mi, że doskonale spełniam swoją rolę, i na tym kończy się moje zadanie. To dziwne, jaki rozpala się we mnie wewnętrzny blask, kiedy mi mówią, że jeszcze nie spotkali nikogo, kto zachowywałby się tak doskonale jak ja. Bo dziwną rzeczą jest mieć jakiś ukryty talent.

Nowiutki telefon komórkowy zapakowałam do plecaka. Mam go trzymać dobrze schowany, naładowany i sprawdzać kilka razy dziennie. Poza tym jestem na wakacjach. Tęsknię za Jakiem, lecz niewiele rzeczy w życiu jest lepszych od podróży autobusem z pękatem kryminałem na kolanach, tajskimi krajobrazami przesuwającymi się za oknem i udawaniem mało rozgarniętej, gdyby ktoś chciał do mnie zagadać.

To zresztą linia turystyczna (za najniższą cenę nawet w skali turystycznej) i wszyscy w autobusie to tacy sami traperzy, jak ja.

Mam dojechać do Krabi, stamtąd przeprowić się statkiem do Koh Lanta, a tam już rozłożyć się na plaży, zająć lekturą i wypoczynkiem. Nie dbam o to, jeśli przez cały ten czas nie zamienię z nikim ani słowa.

Mój plecak, w którym, jak sędzę, nie ma niczego podejrzanego, jedzie na dachu, przywiązany do relingu wraz z pozostałymi bagażami. A ponieważ to tania linia turystyczna, autobus wolno podskakuje na wybojach ze wszystkimi oknami szeroko otwartymi, bo nie ma w nim klimatyzacji. Trudno się w nim pisać.

Chyba jakoś sobie poradzę, jeśli ktokolwiek natknie się na ten dziennik. Powiem, że to zwykłe fantazje, bo przecież wystarczy tylko na mnie spojrzeć, żeby w to uwierzyć. Nawet nie jestem pewna, czy naprawdę tak napisałam.

Mężczyzna siedzący po drugiej stronie przejścia raz za razem próbuje ze mną rozmawiać, ale nie mam na to ochoty, więc udaję, że śpię.

31 marca, chyba

Leżę na plaży i rozmyślam o Jake'u. Nie ma dla nas przyszłości i to jedna z tych rzeczy, która bardzo mi się podoba. Wręcz nie mamy o czym ze sobą rozmawiać. Cudowny układ!

Kiedy go spotkałam, wciąż naiwna i rozzłoszczona na Ollego, myślałam inaczej. Podświadomie od razu zaczęłam go dopasowywać do tego, czego wszyscy się po mnie spodziewają.

Przystojny Australijczyk: co za wspaniała pamiątka z wakacji, którą będę mogła przywieźć ze sobą do domu, kombinowałam. Może nawet przystojny żonaty Australijczyk. To by im dało do myślenia.

Ale kiedy zrozumiałam, o co mu chodzi, musiałam wnieść poprawki do tej narracji. To było jak wyzwolenie. On w najmniejszym stopniu, nawet w żartach, nie nadaje się na męża. Wspólnie przeżywamy chwilową przygodę i już niedługo, bardzo niedługo nasze drogi się rozejdą. I to jest najbardziej ekscytujące ze wszystkiego. Łączy nas tylko seks i interesy, i to jedynie tak długo, dopóki obojgu nam to odpowiada.

Spotkaliśmy się na Khao San Road. Bo gdzież by indziej? Byłam wtedy zdana tylko na siebie, świeżo po przylocie z Londynu i jeszcze do głębi wstrząśnięta. Tata o mało nie dostał apopleksji, gdy się dowiedział o moim wyjeździe, więc tym bardziej się wściekł na Olivię, że mnie do niego zmusiła. Czułam się samotna i skonfliktowana ze wszystkimi. Nie znałam nikogo na tym kontynencie, nie miałam nawet pojęcia, jak się tu poruszać. Wcześniej kupiłam trochę ciuchów na ulicznym straganie, żeby łatwiej się wtopić w tłum, a moje plany obejmowały jedynie zajęcie miejsca w kawiarni, żeby poczytać książkę przy kawie, może przy piwie. Uznałabym to za swoje osiągnięcie.

Ale gdy podniosłam wzrok, zobaczyłam go, jak mi się przyglądał z drugiej strony ulicy.

Podszedł szybko, stanął przede mną i uśmiechnął się.

– Cześć – powiedział. – Jestem Jake.

Nie mogłam zrobić nic innego, jak też się uśmiechnąć i odpowiedzieć:

– Lara.

Razem poszliśmy dalej ulicą i to było to. Tej nocy, dokładnie tej nocy, odkryłam uroki seksu i uzmysłowiłam sobie, czego mi brakowało w dotychczasowych nudnych związkach. Ma trzydzieści trzy lata, więc jest o jedenaście lat starszy. Uwielbiam jego australijski akcent i kręcone włosy, które bez przerwy opadają mu na twarz. Uwielbiam sposób, w jaki na mnie patrzy. Uwielbiam, gdy chce, żebym łamała reguły i była dla niego niedobra. Nie jesteśmy bratnimi duszami. I to najlepsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przytrafiła.

2 kwietnia

Siedzę na łóżku zasłonięta moskitierą, pisząc tę notatkę. Dzisiaj znalazłam przyjaciółkę, Rachel. I jestem szczęśliwa.

Nadal nie mam wiadomości od Jake'a, chociaż bez przerwy sprawdzam pocztę w komórce. Zresztą wcale jej się nie spodziewałam do tej pory, bo nie chcę nic wiedzieć o jego transakcjach i innych sprawach. To po prostu nie moje poletko. W ciągu minionych trzech tygodni zrozumiałam, że naprawdę chodzi o duży interes.

Ale mimo wszystko jesteśmy ze sobą, więc mógłby przynajmniej od czasu do czasu przesłać pozdrowienia. Wysłałam mu krótką wiadomość, żeby dać znać, że wciąż tu jestem, ale nie odpowiedział. Mam nadzieję, że nic mu nie jest, bo właśnie dziś do mnie dotarło, że gdyby coś się stało, nawet o niczym bym nie wiedziała.

Niemniej i tak nie mam nic do roboty poza czekaniem.

Wiem, że przy głównej drodze jest bar z dostępem do internetu, ale trzymam się od niego z daleka. Nie chcę czytać maili ani wysyłać pocztówek czy czegoś w tym rodzaju. Chcę tylko leżeć na piasku i czytać.

Koh Lanta to większa wyspa, niż się spodziewałam, po drodze statek zawinął do portu na mniejszej o nazwie Koh Jum i wysiadło tam mnóstwo ludzi o niekonwencjonalnym wyglądzie, pomyślałam więc, że mogłabym tam popłynąć i rozejrzeć się trochę. Pewnie i tak tego nie zrobię, bo to by wymagało zebrania się w sobie i spakowania plecaka, a bardzo się cieszę, że nie muszę tego robić.

Pozostaję na południowym końcu wyspy i staram się oszczędnie gospodarować swoim skromnym budżetem.

Wysłałam już do domu wiele tysięcy funtów, które zarobiłam, ryzykując życie. Wiem, że to brudna, parszywa forsa. On też zdaje sobie z tego sprawę. Lecz tylko Leon zakwestionował moją wymyśloną pracę w „American Bank”. Ojcu na pewno jest dużo łatwiej przyjąć moje tłumaczenia za dobrą monetę.

W ostatnim liście użył nawet określenia: „niezależnie od tego, skąd pochodzą”. Łobuz.

Wróćmy jednak do Koh Lanty. Mieszkam w drewnianym domku letniskowym przypominającym szopę, do którego muszę się wspinać po setkach stopni prowadzących na szczyt skalistego klifu. Mam z niego piękny widok na morze i stały ląd po drugiej stronie zatoki. Nocami widać setki świateł łodzi rybackich wpływających na zatokę. Jest bardzo ciepło i parno. Jeśli zdarzy mi się wyłączyć wentylator pod sufitem, robi się tak gorąco, że budzę się w nocy zlna potem, z trudem łapiąc oddech. Tylko w takich chwilach dopadają mnie złe przeczucia.

Uwielbiam takie życie bardziej, niż potrafię to wyrazić. Cokolwiek mi się jeszcze w życiu przydarzy (a teraz mam już dość jasno skryształizowane poglądy, jak powinnam je sobie dalej ułożyć), dobrze wiem, że nie spotka mnie nic lepszego niż to. Znalazłam się w punkcie zwrotnym. Kiedy rozmawiałam dziś z Rachel, po raz pierwszy czułam potrzebę, żeby się przed kimś wygadać i zrelaksować. Niemal fizycznie czułam, jak opuszcza mnie napięcie.

Przyleciałam prawie bez bagażu. Ale tu wszyscy turyści chodzą ubrani tak

samo, w rzeczy, które można tanio kupić na ulicznych straganach. Workowate spodnie, T-shirty z logo tajskiej Coca-Coli i plastikowe klapki. Jestem tysiące kilometrów od wykształconej w prywatnych szkołach, zamkniętej w sobie londyńskiej dziewczyny, której przede wszystkim zależało na unikaniu kłopotów za wszelką cenę.

Dla mnie obecnej, z nowym wzbogaconym podejściem, otwierają się dwie drogi. Tym razem mogę wpaść. Wtedy po prostu zobaczę, co się stanie. Pewnie byłoby to koszmarne przeżycie, ale prawie wcale się tym nie przejmuję. Chyba już wolałabym, żeby tak się stało, niż miałabym wrócić do swojego dawnego życia. Gdyby mnie złapali, sprawę opisałaby cała prasa, tłumaczono by, że zrobiłam to, bo jestem młoda i głupia. Wszyscy w domu byłiby zaskoczeni. Tata poczułby się okropnie i pewnie byłby bardzo skonfundowany w rozmowach ze wszystkimi swoimi „kontaktami”.

Mogłam też przerwać. I zostać w Azji, znaleźć sensowną pracę w Bangkoku, Singapurze czy Kuala Lumpur. Mogłabym tu zamieszkać i podróżować po tej części świata. Im bardziej o tym myślałam, tym większą miałam na to ochotę. Chyba po raz pierwszy poczułam, że nie chcę zostać przyłapana na granicy. Ta perspektywa wzbudziła we mnie niepokój. Oznaczała, że stawka ryzyka jest za duża.

3 kwietnia

Wczesnym rankiem siedzę na werandzie swojej chałupy i patrzę, jak Rachel krząta się po swojej, sprawdza, czy wyschły sarong i bikini, które rozwiesiła wczoraj wieczorem.

To moja nowa przyjaciółka. Jest z Nowej Zelandii. Kilka dni temu obie zaznałyśmy przyjaźni od pierwszego wejrzenia, mniej więcej tak samo, jak ja i Jake, kiedy ogarnęło nas pożądanie od pierwszego wejrzenia. Pozycja biednego turysty czasami przypomina sytuację czterolatka. Bo gdy ma się cztery lata, w piaskownicy podchodzi się do innego dziecka i mówi:

– Mam cztery lata.

W odpowiedzi pada:

– Ja też. Więc jesteśmy przyjaciółmi.

Tak to już jest. Gdy tylko zobaczyłam Rachel, spodobała mi się, zaczęłyśmy rozmawiać i w ten sposób się zaprzyjaźniłyśmy.

Jest wysoka, szczupła i uderzająco ładna. Kiedy spoglądam na nią, żałuję, że ja nie mam takiej sylwetki i długich włosów. Wygląda jak francuska gwiazda filmowa i jest zabawna.

Właśnie odwróciła się, uśmiechnęła i zapytała, czemu jej się tak przyglądam. Dodała nawet:

– Pisziesz o mnie?

Poznałyśmy się tutaj, kilka dni temu, gdy wczesnym rankiem stałam na balkonie i patrzyłam na morze. Obudziłam się wcześniej i wyszłam przed dom,

żeby podziwiać łodzie rybackie w różowym blasku wschodzącego słońca. Byłam tylko w workowatym T-shircie i kapciach, stałam pogrążona w zamyśleniu, kiedy powiedziała:

– Dzień dobry!

Tak się spłoszyłam, że aż krzyknęłam.

Ale zaraz zaśmiałam się, bo zrobiło mi się głupio, gdyż ona stała tak samo na sąsiednim balkonie, kilka metrów ode mnie, i robiła dokładnie to samo, co ja. Spoglądała na morze.

– Jestem Lara – odparłam, chociaż nigdy się tak nie wyrywam. Zwykle zachowuję rezerwę tak długo, jak tylko się da.

– Rachel – powiedziała.

– Australijka?

– Kiwi.

– Och, przepraszam. Popełniłam faux pas?

– Owszem. Tak by było, gdybym była pretensjonalna i przeczulona.

I w ten sposób się zaprzyjaźniłyśmy. Razem poszłyśmy na śniadanie, potem razem na plażę, rozmawiałyśmy, gdy miałyśmy na to ochotę, wymieniłyśmy się książkami, milczałyśmy, gdy nie było nic do powiedzenia. Znalazła na półce w barze niewiarygodnie miniaturowy zestaw do gry w scrabble i długo grałyśmy. Jesteśmy do siebie bardzo podobne.

Nigdy wcześniej nie miałam takiej przyjaciółki jak Rachel. Co, jak teraz rozumiem, wynikało stąd, iż moje życie domowe było tak pełne ograniczeń, tak napięte i przygnębiające, że nigdy nie miałam okazji nawiązać prawdziwej przyjaźni. Żałosne.

Ona również nie ma idyllicznej sytuacji w domu, chociaż mało na ten temat mówi. Ja też nie przedstawiłam jej kiczowatej historii mojej znajomości z chłopakiem, która przywiodła mnie aż tutaj, ale pewnie to zrobię.

Słońce przygrzewa coraz mocniej, muszę się nasmarować olejkiem i włożyć kapelusz, bo inaczej się spiekę. Rachel wychodzi właśnie ze swojego domku i kieruje się do schodków mojego. Mogłabym zaproponować, żebyśmy ograniczyły koszty i zamieszkały razem.

6 kwietnia

Trzymam komórkę na małej półeczce z surowego drewna, do której mogę dosięgnąć tylko z rozchwianego krzesła, i mimo że nadal włączam ją i sprawdzam pocztę dwa razy dziennie, coraz mniejszą mam ochotę na wiadomość od Jake'a.

Chciałabym tu zostać na zawsze. Nikt by mnie nie znalazł. Nie odbierałabym listów, kartek ani maili, a tylko Jake zna mój numer telefonu. Nikt z szerokiego świata nie ma pojęcia, gdzie jestem.

Dziwnie się czuję ze świadomością, że moi rodzice, państwo Bernard i Victoria Wilberforce, korzystają z brudnych pieniędzy zdobytych przez ich zepsuta

ulubioną córkę. Wszystko po to, żeby mogli pielegnować swój wizerunek na przedmieściach. Mogą nie wiedzieć, skąd się biorą te pieniądze, ale chyba powinni zapytać. Jak mogą zezwalać mi na kontynuowanie tej działalności na drugim końcu świata? Jak może ich nie obchodzić, co tu robię? Aż zaczynam się zastanawiać, czy oni w ogóle mnie lubią.

Zawsze udawałam, że wcale nie jestem ich pupilką, chociaż niewiele rzeczy było bardziej oczywistych. Olivia powtarzała, że kochają mnie setki, może nawet tysiące razy bardziej niż ją, ale ja zawsze zaprzeczałam, bo przecież nie mogłam powiedzieć: „tak, oczywiście masz rację”. Teraz jestem bardzo daleko od nich. Nie mam pojęcia dlaczego, ale zawsze mi się zdawało, że tata jej nienawidzi. Wcale się nie dziwię, że stała się taka wredna.

Nigdy nie wybaczę ojcu tamtego dnia. Wziął mnie pod rękę i wprowadził do swojego gabinetu, do którego nie wolno nam było wchodzić. Śmierdziało tu starym dymem papierosowym, bo gdy tata palił, tylko lekko uchylał okno, sądząc, że to wystarczające wietrzenie.

Usiedliśmy przy idiotycznym biurku wykończonym na wysoki połysk. Pamiętam, że widziałam swoje odbicie w wypolerowanym lakierze i tylko udawałam, że mu się nie przyglądam.

– Posłuchaj, Laro – zaczął. – Chcę ci powiedzieć coś, co powinnaś zachować tylko dla siebie.

Nabrałam obaw, że chce mnie wtajemniczyć w swój romans. Przemknęło mi przez myśl, że jego kochanka musiała zajść w ciążę, skoro poczuł się zobowiązany do powiedzenia mi o tym. Pomyliłam się jednak.

– Mój interes – rzekł – handel winem, nie idzie już tak dobrze, jak przedstawiam to wszystkim dokoła. Mam pewne plany i prowizje od nich pewnie przyniosą trochę zysków, ale sam ich nie zrealizuję. W każdym razie w tej chwili bardziej steruję w kierunku... jak sądzę, bankructwa. Nie mogę się spodziewać niczego innego. Twoja matka domyśla się, że sytuacja nie jest najlepsza, ale jest pewna, że i z tej opresji wyjdę obronną ręką. Tymczasem wcale się na to nie zapowiada.

Pamiętam, że trzymałam palce na krawędzi biurka i patrzyłam, jak moje opuszki stykają się z ich odbiciami w lakierze. Robiłam to, gdyż nie znajdowałam słów, żeby mu odpowiedzieć.

– Wiem, że szukasz pracy, ale na pewno niedługo ją znajdziesz, prawda, skarbie? Jesteś świetnie wykształcona, masz doskonały zawód.

– Tak. Na pewno znajdę.

– Obie odebrałyście kosztowne wykształcenie.

– Zgadza się.

Wtedy przedstawił mi swój plan awaryjny, przygotowany na wypadek, gdybym jakimś zrzędzeniem losu nie zdołała mu pomóc wykaraskać się z kłopotów. Przyznał, że do tej pory pomagał mu Leon, ale już nie może go prosić o następną pożyczkę. Wspomniał więc o ubezpieczeniu na życie. Od razu zrozumiałam, co ma na myśli.

Znienawidziłam go. Do tej pory nienawidziłam tylko Olivii. Do całego świata

podchodziłam otwarcie. On okazał się biedny, bezradny i żałosny. Nie musiałam już starać się o jego aprobatę. Mogłam go śmiało nienawidzić. Oznaczało to jednocześnie, że nie muszę się dłużej zachowywać jak przestraszona owieczka, zawsze oceniająca, co mu się spodoba, a co nie. Otworzyły się przede mną nowe ścieżki, mające perspektywami.

Wymamrotałam coś pod nosem.

– Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy – dodał. – Moja droga Lara.

Powinnam mu była powiedzieć, żeby sobie poszedł i się powiesił. Nie powinien był mi tego robić. Różne firmy bankrutują z dnia na dzień. Inni ludzie jakoś sobie z tym radzą, nie szantażując dwudziestodwuletniej córki groźbą samobójstwa, jeśli nie wyczaruje im forsy.

Podjęłam pracę kelnerki w całodobowej francuskiej kawiarence niedaleko Dworca Wiktorii, dopóki nie uzbierałam pewnej sumy, ale zamiast mu ją dać, spakowałam plecak i wykupiłam bilet do Bangkoku.

O mało nie dostał apopleksji, tyle że ja miałam to w nosie. Wtedy też mógł iść i się powiesić, ale tego nie zrobił. Więc kiedy Jake złożył mi propozycję, uświadomiłam sobie, że mam okazję wszystko naprawić.

8 kwietnia

Rachel przeprowadziła się do mojej chaty. Sypiamy na jednym dwuosobowym łóżku, wieczorami starannie upychając brzegi moskitiery pod materacem, tworząc naszą wspólną małą fortecę.

Mam pewien plan. Muszę tu zostać, z dala od Londynu. Właśnie tu chcę zbudować swoje dorosłe życie.

Rachel potrzebuje pieniędzy. Mówiła już o tym, że będzie musiała wracać do Nowej Zelandii, bo kończą jej się fundusze. Dlatego zaproponowałam, że chwilowo ja będę płaciła za nas obie, dopóki ona nie zmieni zdania. Tak więc moja potrzeba zostania w Tajlandii i jej brak pieniędzy skłoniły mnie do opracowania planu. Przedstawiłam go jej dzisiaj w barze.

– Pojedziemy do Singapuru – powiedziałam. – To niezbyt daleko stąd. Możemy złapać samolot z Krabi, na pewno jest stałe połączenie. Tam będziesz mogła wziąć posadę nauczycielki. Możesz uczyć angielskiego albo pracować w angielskiej szkole na innej posiadzie, wszystko jedno. Ja też znajdę sobie pracę. Jeśli wspólnie wynajmiemy mieszkanie w Singapurze i będziemy ciężko pracować, szybko uzbieramy trochę pieniędzy. A potem wybierzemy się do Nepalu, żeby przez jakiś czas pomieszkać w górach.

Przyznała, że ten plan zapowiada się obiecująco. Wspólnie mamy dopracować jego szczegóły.

To jedyna osoba, jaką w życiu spotkałam, która nie uważa, że pomysł zamieszkania w nepalskich górach jest głupi i dziwaczny.

10 kwietnia

Kurwa.

Dzisiaj po południu Rachel poszła do chaty przede mną. Zostałam dłużej na plaży, pogrążona w pólśnie, zastanawiając się, kiedy w końcu przyjdzie wiadomość od Jake'a. Myślałam o tym, czy nie wyrzucić jego telefonu do morza. Ale bezmyślnie zostawiłam ten dziennik na łóżku i musiała do niego zajrzeć.

Nie powinno się czytać dzienników przyjaciół. Nic dobrego nie może z tego wyniknąć. Potrafię sobie wyobrazić, jak z ciekawości sięgnęła po niego, zaczęła czytać, potem coraz szybciej przerzucać kartki, aż wreszcie uzmysłowiła sobie prawdę.

Zanim ja dotarłam do domku, zdążyła już przeczytać każde słowo i spakować swoje bagaże.

– Narkotyki?! – syknęła mi prosto w oczy, jak tylko się zbliżyłam. Jej twarz, wykrzywiona w grymasie pogardy, wyglądała zupełnie inaczej. – Szmuglujesz narkotyki?

Próbowałam przemówić jej do rozsądku.

– To tylko dlatego, że... – wymamrotałam.

Ale ona nie chciała słuchać.

– Do tego wysyłasz pieniądze do domu, co nie? Wszystko wiem, wyczytałam to w twoim dzienniku, Lara. Twój ojciec, bla, bla, bla. Podejrzewałam, że jest coś, do czego nie chcesz mi się przyznać, dlatego pomyślałam, że jeśli zajrzę do tego dziennika, w którym ciągle coś zapisujesz, to może wreszcie dowiem się prawdy. Przemycasz zabójczy towar przez granicę, głupia dziewucho, a pieniądze z tego procederu wysyłasz swojemu ojcu. To jest bardziej popieprzone niż cokolwiek, o czym do tej pory w życiu słyszałam.

Właściwie określiła moje poczynania. Nigdy nie zapomnę tych słów. Miała absolutną rację.

Zapytałam dokąd się wybiera. Odparła, że poprosi brata, żeby przesłał jej trochę pieniędzy, by mogła wrócić do Nowej Zelandii. Urwała nagle, odwróciła się i wyszła. Nawet nie ruszyłam się z miejsca, toteż musiała wyjść na skałę poza ścieżką, żeby mnie ominąć.

15 kwietnia

Nie ma śladu po Rachel, chociaż wypatruję jej bez przerwy.

Jake wreszcie zadzwonił. Z nowinami.

Uruchamiamy nasz „projekt”. Biorąc pod uwagę, ile chce mi zapłacić, to naprawdę wielka transakcja. Mam się z nim spotkać w Krabi za trzy dni, co oznacza, że muszę zacząć myśleć o wyjeździe z Kantiang Bay.

Nie jestem pewna, czy starczy mi odwagi, żeby zrobić to jeszcze raz. Powiedziałam mu to wprost. Odparł drwiąco, że nie ma mowy, żebym się teraz wycofała.

Mogłabym po prostu uciec, wtedy musiałyby zwerbować do współpracy kogoś innego.

Jednak uznałam, że jeśli to zrobię, będzie to ostatni raz, który dostatecznie ustawi mnie na start do nowego życia. Chciałam na własną rękę znaleźć pracę w Singapurze, a potem napisać do taty i postawić jasno sprawę, że nie może oczekiwać więcej pieniędzy ode mnie. Gdyby udało mi się zgromadzić trochę oszczędności, wyjechałabym i wynajęła jakąś chatę w Nepalu, dokładnie tak, jak planowałam z Rachel, a potem napisała do niej, wyjaśniła gdzie jestem i być może któregoś dnia zjawiłaby się tam, wyłaniając się niespodziewanie zza zbocza góry.

Ale mogłam wszcząć ten proces już teraz, nie podejmując zlecenia. Mogłabym już teraz się wycofać. Już jutro złapać samolot do Krabi, a stamtąd ruszyć dalej i Jake nigdy by mnie nie odnalazł. Pewnie by nawet nie próbował. Zostałabym bez pieniędzy i musiałabym szybko znaleźć sobie pracę, ale to stanowiło najmniejszy kłopot. Poradziłabym sobie, skoro radzą sobie tysiące ludzi.

Ale pieniądze od niego pozwoliłyby mi od ręki kupić dom w Himalajach, co do tego nie mam wątpliwości. Jednakże to zajęcie jest tak ogłupiające i odrażające na tak wielu poziomach, że aż trudno mi sobie wyobrazić, co sobie myślałam, gdy się na nie godziłam. Czy naprawdę do tej pory zrobiłam to już cztery razy?

Muszę ruszać. Ktoś wchodzi po schodach.

Później

Byłam przerażona, kiedy ją zobaczyłam. Myślałam, że przyjdzie, żeby mnie wydać. Już ją oskarżałam o wizytę na komendzie policji. Obawiałam się, że zjawia się lada chwila, żeby mnie aresztować.

Muszę jednak pamiętać, żeby trzymać ten dziennik w ukryciu. Mogłabym go rzucić do morza, co zapewne zrobię. Jak wezmę dobry zamach z mojego balkonu na szycie klifu, powinien wpaść do wody.

Ale powiedziała, że musiałabym odejść, żeby sobie przemyśleć parę rzeczy. Inaczej odnosi się do mnie – przyłapuję ją na tym, że mi się przypatruje bez słowa. Mówi jednak, że tęskniła za mną i nie mogła odejść, zostawiając tyle spraw niezakończonych. Musiałyśmy porozmawiać.

Dziś wieczorem jest ognisko na plaży i jak zawsze przy takiej okazji zjawiają się ludzie z gitarami, które wytrzasnęli jakimś magicznym sposobem. Właśnie teraz miejscowi chłopcy (chyba) grają i śpiewają *American Pie*. Razem z Rachel mamy ochotę zejść i dołączyć do nich. Chcę dać sobie w gaz i zaśpiewać solo.

Jeszcze później (na lekkim gazie)

Tej gorącej nocy usiadłyśmy przy linii zasięgu fal i rozmawiałyśmy. Gdy ktoś się zbliżał, milkłyśmy, ale to głównie ja przez wiele godzin piłam i opowiadałam

Rachel o wszystkim. Niczego przed nią nie ukrywałam. Powiedziałam jej o bankrutującym interesie ojca, o Olivii i Ollym, absolutnie o wszystkim.

Ciekawiło ją, jak to robię. Opowiedziałam więc o swoim transie, sposobie zachowania całkowitej pewności siebie, postawie wzorowej uczennicy. Opowiedziałam, jak w czasie lotu pogrążam się w lekturze, robię notatki albo oglądam film, idealnie spokojna, panująca nad sobą. Opisałam dreszcz emocji, jaki się odczuwa, gdy plecak wyjeżdża na taśmie odbioru bagażu. Wyjaśniłam, że ciągnąc walizkę na kółkach albo niosąc plecak, przechodzę przez kontrolę celną z niezachwianą pewnością, że wyglądam konwencjonalnie, nie wzbudzam żadnych podejrzeń, gdyż w najmniejszym stopniu nie czuję strachu.

Na koniec opisałam jej to wspaniałe, niepowtarzalne uczucie bezgranicznej radości, kiedy pozbywam się towaru.

Zacząłam już mówić, że się waham, czy odbyć jeszcze tę jedną podróż. Jednocześnie ona zaczęła mówić, że nie powinnam rezygnować, powinnam się zdecydować na ten jeszcze jeden przelot, skoro jestem w tym dobra. Zapytała, czy mogłaby polecieć ze mną, żeby poobserwować, jak to robię. Potem udałybyśmy się razem do Singapuru i rozpoczęły nowe życie, jeśli tylko obiecuję, że te pieniądze z przemytu zachowam dla siebie, nie wyślę ich ojcu. Zaczęłyśmy rozmawiać o Nepalu. Ten pomysł podoba jej się tak samo, jak mnie. W wyobraźni już widzę, jak mieszkamy razem w jakimś górskim zakątku. Zawsze o tym marzyłam, a teraz nadarzała się sposobność, żeby ten plan zrealizować. Pieniądze, które tu zarobiłam, mogłyby mnie ustawić do końca życia, ale ja wysłałam je ojcu, by jego znajomi nie wiedzieli, że jego biznes jest na skraju bankructwa. Rachel mówi, że najwyższa pora, abym i ja miała z tego coś dla siebie.

Zamierzam tak zrobić.

16 kwietnia

Tęsknię za Jakiem. Jestem niesamowicie podniecona perspektywą spotkania z nim. Mam ochotę już teraz zerwać z siebie wszystkie ubrania i aż się dziwię, że Rachel nie widzi, w jakim jestem stanie. Ona ma chłopaka, ale nie potrafię rozgryźć, czy to nudziarz w stylu Ollego (aż śmiać mi się chce, jak bardzo to wielkie O do niego pasuje!), czy raczej przypomina Jake'a. Ze sposobu, w jaki o nim wspomina (z goryczą), skłonna jestem wnioskować, że złamał jej serce.

W każdym razie na pewno będę za nim tęskniła, gdy razem z Rachel rozpoczniemy nowe praworządne życie w Singapurze, żeby zarobić na wyjazd w góry, ale znajdę sobie kogoś innego. I tak nie chcę być elementem jego świata na dłużej. Było mi z nim wspaniale i teraz wiem, że nigdy, przenigdy nie powinnam wiązać się z nikim bezpiecznym i nudnym. Zawsze będę wdzięczna Jake'owi, że mnie tego nauczył. Mam zamiar związać się z kolejnym mężczyzną, który sprawi, że będę czuła mrowienie od pięt aż po czubek głowy i stanę się niezdolna do myślenia o czymkolwiek innym niż seks.

Znów podstawówka!!! Zaprzeczone orzeczenie musi iść w parze z zaprzeczonym podmiotem!!!

Na razie z niecierpliwością czekam na to ostatnie zadanie, a z jeszcze większą na jego zakończenie, które ma oznaczać pierwsze chwile mojego nowego życia. Oczywiście muszę je zacząć na innym kontynencie niż ten, na którym mieszka moja rodzina.

Powiedziałam Rachel także o wszystkich swoich przygodach z Olivią, jak i o tym, że wysłanie tego jednowyrazowego maila, „przepraszam”, musiało ją dużo kosztować. Kiedy go odebrałam, aż uśmiechnęłam się na myśl, jak mało mnie to teraz obchodzi, i gdy opisałam tę scenę, obie z Rachel zaśmiałyśmy się w głos. Kiedy teraz leżę na plaży, a ona pływa w morzu, zamierzam to opisać, by udowodnić, że ta historia nie ma już dla mnie znaczenia.

Chodziłam z Ollym prawie przez dwa lata, od końca pierwszego roku studiów na uniwersytecie. On był Panem Rozsądnym. Chłopakiem z publicznej szkoły o nienagannych manierach. Wpadłam mu w oko, gdyż wyjątkowo do niego pasowałam – dziewczyna po prywatnej szkole, niemająca żadnych złych nawyków. Stworzyliśmy najbardziej nijaką parę świata. Jako gracz rugby był, ma się rozumieć, wyższy i silniejszy ode mnie, miał rumianą cerę i staroświeckie maniery, które oznaczały, że będzie w całej rozciągłości pogodzony ze światem w dniu swoich czterdziestych szóstych urodzin.

Tak więc nieuchronnie zmierzaliśmy w kierunku nudnej przyszłości. Mieliśmy się oficjalnie zaręczyć (wiem, że chciał prosić tatę o moją rękę), potem wziąć ślub kościelny, na którym miałabym długą białą suknię, i gdy ojciec prowadziłby mnie do ołtarza, spode łba łypałaby na mnie siostra w mało twarzowej sukni druhny, bo dla własnej satysfakcji zmusiłabym ją do jej włożenia. Potem mielibyśmy dwójkę dzieci, chłopca i dziewczynkę, Olly robiłby karierę w City, a ja pracowałabym na pół etatu i nadzorowała nianię.

W którymś momencie przeżyłabym załamanie nerwowe i zrobiła coś szalonego, tego jestem kurewsko pewna.

Mniejsza z tym. Wydawało mi się, że szczęśliwie zmierzamy przez życie, uprawiając obowiązkowy seks kilka razy w tygodniu i uczęszczając do barów w Fulham pełnych takich samych ludzi jak my. Robiliśmy się przedwcześnie postarzali, do tego sądziliśmy, że to wspaniałe. Czuliśmy się całkowicie dorośli.

Aż nagle któregoś dnia, gdy byłam w Bloomsbury i przechodziłam przez Tavistock Square, pod wpływem chwilowej zachcianki postanowiłam zajrzeć do studenckiej nory Olivii, żeby się z nią przywitać. Mieszkała wtedy w suterenie jednej z tamtejszych rozsypujących się kamienic. Całe mieszkanie składało się z sześciu sypialni na dwóch piętrach, z ciasną łazienką na każdym piętrze, kuchenką w korytarzu przy schodach i zalanym betonem „ogródkiem” przed drzwiami. Mimo wszystko jego usytuowanie wśród tanich hotelików w Tavistock Place było zdumiewające. Olivia upiera się, że zawsze będzie mieszkała w centrum Londynu. To jej wyraz buntu przeciwko wychowaniu na przedmieściach.

Drzwi otworzyła jedna z jej współlokatorek, gruba blondynka w okularach,

która zawsze zbiera włosy w niechlujny kok i ten stale się rozłazi w ciągu dnia, wysuwa się z niego jedno pasemko po drugim. Jak tylko zobaczyłam osłupiałą minę Grubaski, od razu się domyśliłam, że Olivia coś kombinuje.

– Cześć – powiedziałam. – Olivia jest u siebie?

Aż widać było, jak jej mózg trzeszczy z wysiłku.

– No... – zaczęła. – Nie! Nie ma jej. Przykro mi. Przekazać, żeby do ciebie zadzwoniła?

Byłam tak zaintrygowana, że przecisnęłam się obok niej i ruszyłam brudnym korytarzem. W powietrzu krzyżowały się zapachy curry, zatechłego alkoholu i nieumytej toalety (tuż przede mną wyszedł z łazienki mężczyzna tylko owinięty ręcznikiem kąpielowym i zrobił wielkie oczy na mój widok). Starając się nie patrzeć na zaśmiecony mały stolik przy szczycie schodów ani na sterty brudnych naczyń w kuchennym zlewie, zbiegłam szybko do sutereny.

Jej pokój znajdował się na samym końcu, już pod schodami, przy drzwiach prowadzących na podwórko. Ścigająca mnie grubaska krzyknęła w desperacji:

– Olivia! Jest tu Lara!

Wszczął się rejwach. Doleciały mnie stłumione szepty, odgłosy panicznych kroków i pomruki. Ale nawet wtedy, nawet na ułamek sekundy, nie dotarła do mnie prawda. Gdybym nie zobaczyła tego na własne oczy, nigdy bym nie uwierzyła.

Dopałam drzwi w kilku susach i otworzyłam je, wciąż mając przecucie, że ingeruję w nie swoje sprawy, chociaż zaraz się okazało, że jednak moje. Moja siostra w pośpiechu zbierała poły i zawiązywała szlafrok, a mój chłopak, w samych gaciach, tkwił do połowy w małym okienku wychodzącym na podwórze.

Jak się okazało, ta para spotykała się ze sobą już od pewnego czasu. Olly próbował wyjaśniać, że chciał porozmawiać ze mną szczerze o sprawach, które są między nami „nie tak”, bo w przeciwnym razie nigdy by do tego nie doszło, tyle że ja w ogóle nie chciałam go słuchać.

– Wyjeżdżam za granicę – oznajmiłam Olivii. – Więc ty możesz go sobie zatrzymać.

Do Ollego nie odezwałam się ani jednym słowem, już nigdy. Zapragnęłam wtedy jak najszybciej wynieść się stamtąd i jakimś sposobem przemówiła mi do wyobraźni Tajlandia. Zrobiłam to bez chwili zastanowienia. Oliver i Olivia: doskonała para.

Tata prosił mnie o pomoc finansową w celu ratowania podupadającego interesu. Był rozsierdzony, że mimo to postanowiłam wyjechać za granicę, ale powiedziałam, że znajdę sposób, aby mu pomóc. I tak też się stało.

Zlekceważyłam wszystkie listy i maile od siostry i zamierzam dalej je ignorować. Ja już nie mam siostry.

Olly nie ruszył moim śladem i nie odnalazł mnie, dzięki Bogu. Ma dosyć oleju we łbie, musiał brać pod uwagę możliwe skutki decyzji pójścia do łóżka z moją siostrą i godzić się z tym, że jeśli poznam prawdę, między nami wszystko będzie

skończone. To prawda, że jest głupi, ale nie aż tak bardzo. Już nigdy się z nim nie spotkam.

Jakże oczyszczające jest przywołanie z pamięci tamtej sceny i uznanie, że w gruncie rzeczy jestem wdzięczna tym dwojgu za ich zdradę. To oni będą musieli dalej z tym żyć. Nie ja. Nie mam zamiaru w ogóle mieć z nimi czegokolwiek wspólnego. I to jest najbardziej wyzwalająca rzecz na świecie. Nie muszę wychodzić za skończonego nudziarza, który jest kiepski w łóżku. Nie muszę mieć siostry. Jestem zależna tylko od siebie. Teraz moją siostrą jest Rachel, z którą znowu wybieramy się razem na plażę.

18 kwietnia Krabi

Krabi jest pełne „falangów”, to znaczy obcych. Mam pełną świadomość, że ja także się do nich zaliczam, lecz mimo to widok tych tłumów mnie razi. Jest coś irytującego w tym, że wszyscy się uważają – powinnam napisać: wszyscy się uważamy – za wyjątkowych. Wystarczy jeden rzut oka dookoła, żeby się przekonać, że to bezzasadne mniemanie. Wszyscy są ubrani tak samo, zachowują się tak samo, traktują Tajlandię jak wielki park rozrywki. Bardzo bym chciała, żeby dla odmiany Tajowie wybrali się tłumnie w jakiś rejon świata i zaczęli tam obijać, sprawiając wrażenie, że chcą zamieszkać w slumsach.

Mniejsza z tym. Tego ranka razem z Rachel wyjechałyśmy z Koh Lanty – wspaniałej Koh Lanty. Siedziałyśmy godzinami na pokładzie promu płynącego w kierunku stałego lądu (z długą przerwą na zabranie drugiego tłumy z Koh Jum), miałam więc mnóstwo czasu, żeby uspokoić nerwy.

Trzymałam ten dziennik na kolanach i zastanawiałam się, czy nie wyrzucić go do morza. Teraz wiem, że powinnam tak zrobić.

Zabrakło mi odwagi. Może go zniszczę przed wejściem na pokład samolotu w Krabi.

Jake zawsze potrafił uwolnić mnie od obiekcji. Powiedział jedną rzecz, która utkwiała mi w pamięci: „W każdym kraju są ludzie uzależnieni od narkotyków. Tylko nieliczni korzystają z krajowych produktów. Więc jak sądzisz, jaka jest skala przemytu? To prawdziwie kwitnący przemysł, Laro, a odsetek ludzi złapanych na przemyśle jest minimalny. Wpadają tylko ci, na których służby celne dostaną cynk albo w których zachowaniu dopatrzą się czegoś podejrzanego. Tobie to nie grozi, bo jesteś po prostu genialna. Poza tym nasza działalność nie rzuca się w oczy. Przemycamy towar na małą skalę i trzymamy się poniżej granicy wykrywalności rządowych radarów. Nikt nikogo nie podkablkuje, ponieważ nie depczemy nikomu po odciskach i nie kopiemy pod sobą wzajemnie dołków. To bezpieczniejsze niż przejście przez ulicę”.

Tym mnie rozśmieszył, bo była to oczywista bzdura. Pół godziny później o mało nie wpadłam pod rykszę, rozciąłam sobie nogę i obtarłam łokieć, musiałam więc

przysiąc, że przynajmniej w moim wypadku miał rację.

Mimo wszystko przeżywam atak wyrzutów sumienia.

Dotarliśmy do Krabi w porze lunchu, pojechaliśmy taksówką do taniego hoteliku przy jednej z głównych dróg i wynajęliśmy dwa małe pokoiki z wentylatorami, bez klimatyzacji, usytuowane naprzeciwko siebie po dwóch stronach podwórza. Żeby się do nich dostać, trzeba wejść na zaplecze recepcji, stamtąd przez kuchnię (pełną poobijanych aluminiowych garów i wypełnioną zapachami w połowie apetycznymi i w połowie odrażającymi), potem przez patio właścicieli obiektu. Dopiero stamtąd wychodzi się na rozległe podwórze otoczone sześcioma gościnnymi chatami i trzema ciasnymi toaletami z prysznicem.

Kiedy się żyje w takich warunkach, wszystko zmierza ku prostocie. Kto by tu potrzebował telewizora, dywanów czy innych śmieci, w którym otoczeniu się wychowywałam? Słońce świeci na mój dziennik, nad którym siedzę przy plastikowym stoliku, i mam poczucie bezgranicznej swobody. Naprzeciwko Rachel czyta *Plażę* Alexa Garlanda. Później mamy się spotkać w barze z Jakiem. Jestem podniecona i przejęta.

19 kwietnia

Dziś mam lekkiego kaca. Piłyśmy piwo do obiadu, ale potem Jake wyciągnął butelkę whisky Sang Thip i jak tylko ją ujrzałam, domyśliłam się, że to początek końca.

Byłam zdenerwowana, gdy przedstawiałam mu Rachel, bo nie wiedziałam, czy przypadną sobie do gustu. W końcu to para moich najlepszych przyjaciół, prawdę mówiąc, to moi jedyni przyjaciele. Rachel o tym wie, ale nie Jake. Na szczęście okazało się, że całkiem dobrze się dogadują. Mówiąc wprost, oboje wyszli z tego samego założenia „tak wiele o tobie słyszałem” (Jake na początku był lekko przewrażliwiony, gdyż zdążyliśmy wcześniej zamienić ledwie parę słów, ale odniósł się do niej bardzo szarmancko), i po krótkim czasie można było pomyśleć, że we trójkę przyjaźnimy się od dawna. Żadne z nas nie nawiązało do koszmarnej rzeczywistości tego, co nas wkrótce czekało.

Już zapomniałam, jak bardzo tęskniłam za tym, żeby był przy mnie.

Bardzo chciałabym się porównać z samą sobą sprzed roku, kiedy to co tydzień wychodziłam z Olym na niedzielny lunch u moich rodziców i nie miałam zielonego pojęcia, że ta nudna i mdła blondynka (czyli ja) znajdzie się wkrótce w Tajlandii i znajdzie sobie za chłopaka australijskiego przemytnika narkotyków. Chciałabym zobaczyć jej minę, gdyby się tego dowiedziała.

Wstałam wcześniej, Jake nadal śpi w naszym łóżku, a Rachel jeszcze się nie pojawiła. Nie wiem, która jest godzina, ale kogut pieje tak donośnie, że chyba pobudził już wszystkich. Mam ochotę wyjść na spacer, ale Krabi to jedynie punkt przesiadkowy, a nie malowniczy kurort rządzący się swoimi prawami. Więc tylko posiedzę sobie w chłodnym blasku porannego słońca.

Kiedy wszyscy mieliśmy już w czubie, Rachel zapytała Jake'a, czy może mi towarzyszyć w podróży.

Jeśli dobrze pamiętam (a nie mogę być tego pewna ze względu na ból głowy), zaśmiał się w głos i powiedział, że owszem, może, jeśli tylko nie robi i nie powie niczego, co mogłoby stanowić ryzyko dla naszego przedsięwzięcia.

Muszę się napić wody. Mieszkający w domku naprzeciwko Niemiec wyszedł właśnie w workowatych bokserkach, z ręcznikiem na ramieniu i siatką w turecki wzorek, kierując się pod prysznic. Uśmiechnął się do mnie i grzecznie powiedział dzień dobry. Ludzie budzą się stopniowo. Zamierzam pójść do sklepu po wodę mineralną. Dopiero później będziemy mogli się wybrać na najlepsze śniadanie na kaca, jakie można dostać w Krabi. Bo jeśli mielibyśmy gdzieś szukać najlepszego jedzenia, to tylko w Krabi. To brzydkie miasteczko przypomina osadę graniczną z filmów o Dzikim Zachodzie, jest tylko bramą prowadzącą do innych miejsc. Można tu zjeść i się napić, ale wtedy, gdy się czeka na autobus, prom albo samolot.

20 kwietnia

Jutro odlatujemy. Lot potrwa czterdzieści pięć minut i po tym czasie wszystko się zmieni.

Kiedy dotrzemy do Singapuru, zamierzam zerwać z Jakiem.

Jednakże ilekroć będzie przechodził kontrolę celną w Singapurze, będę go witała otwartymi ramionami.

Wczoraj zasiadłyśmy z Rachel przy sąsiednich terminalach komputerowych i przeglądałyśmy internet w poszukiwaniu potencjalnych miejsc zatrudnienia w Singapurze. Obie znalazłyśmy dla siebie obiecujące propozycje. Ona obdzwoniła wszystkie szkoły międzynarodowe i w dwóch umówiła się na wstępne rozmowy o pracy na przyszły tydzień. Ja też znalazłam dwie reklamowane posady, które mi pasują. Wydrukowałam (długie i biurokratyczne) wzorce aplikacji i zaczęłam rozpracowywać drogę do uzyskania wizy ze zgodą na podjęcie pracy.

Derek ma na nas czekać na lotnisku w Changi, jak tylko wylądujemy. Wrzucimy mój plecak do bagażnika jego auta i pojedziemy do hotelu z zapasem gotówki wystarczającym do tego, byśmy robiły, co tylko dusza zapragnie.

Muszę się pozbyć swoich złych przeczuc co do Rachel. Na pewno się nie przestraszy. Da radę.

21 kwietnia

Podniecona. Zdenerwowana. Niezdolna do wydukania jednego pełnego zdania.

Wybieramy się dziś wieczorem na koktajle w barze hotelu Raffles. Tak właśnie robią ludzie w Singapurze. Wystarczy tylko, że tam dolecimy.

Siedzę w samolocie. Rachel nie ma przy mnie, ponieważ Jake uznał, że nie

powinniśmy siedzieć razem. Tak więc jestem sama w samolocie, uspokajając swoje nerwy. Muszę przez to przejść. Nie mogę czekać. Alkohol w podróży też nie jest dla mnie. Zaczekam na późniejsze koktajle w Raffles.

Później

To nie może być prawdą. Po prostu nie może. Nie może.

23 kwietnia
Singapur

Trudno mi to opisać.

Wyznam tylko, że leżę na zapluskwionym materacu w odrażającym hotelu przy Orchard Road w Singapurze.

I nawet nie mogę płakać. Świat się dla mnie skończył.

Jestem zdana wyłącznie na siebie. Zostałam sama.

Później

Próbuję to opisać. Próbuję wyznać, co się stało, krok po kroku. Potem pokażę to ludziom, którzy mi nie wierzą, na dowód. Bo nikt mi nie wierzy. DLACZEGO NIKT MI NIE WIERZY?

Razem z Rachel złapałyśmy samolot. Ja miałam plecak khaki, który dostałam od Jake'a. Rachel miała swój, granatowy, z mnóstwem upchniętych w nim moich rzeczy. Resztę swoich rzeczy przekazałam jak zwykle Jake'owi.

Lotnisko w Krabi jest małe. Starannie szykowałam się do przejścia przez kontrolę celną. Prawie nie zwracałam uwagi na Rachel. Strasznie długo czekałyśmy w kolejce do odprawy.

Rachel się nie odzywała, ale wyglądała dobrze. Tylko od czasu do czasu zerkała w moim kierunku i uśmiechała się blado, ale poza tym nie rozmawiałyśmy ze sobą. Nie chciałam, żeby mnie rozpraszała.

Jake stał w kolejce daleko za nami. Nie siedział przy nas w poczekalni. Zawsze tak robił. Mężczyźni są dużo częściej brani do szczegółowej kontroli. Kobiet prawie wcale się nie kontroluje, chyba że są wobec nich jakieś podejrzenia.

Odprawę paszportową przeszłyśmy bez trudu. Mówiłam ja, potem obie równocześnie zrobiłyśmy duże oczy i odparłyśmy „Nie” na pytanie: „Czy ktoś mógł ingerować...?”. Nasze plecaki odjechały na taśmie podajnika, obklejone lotniskowymi nalepkami.

W poczekalni nie podeszłyśmy do Jake'a. Starłam się zabawiać Rachel. Wypiłyśmy kawę, zjadłyśmy lunch, pokręciłyśmy się po sklepach. Była przerażona tym, co ryzykuję, widziałam to w jej oczach, ale było za późno.

Żadne z nas nie miało pojęcia, co nas czeka.

Oczywiście wcale nie było za późno. Mogłyśmy zasymulować jakąś sytuację nadzwyczajną i wyjść z powrotem do Krabi. Wystarczyło przejść zaledwie kilka metrów. Kto by się przejmował biurokracją? Mogłyśmy też odlecieć i wyjść z hali przylotów bez bagaży. Ale zdarzyło się to, co wydawało się konieczne i nieuchronne.

Jeszcze zanim weszłyśmy do samolotu, ledwie mogła nad sobą zapanować. Staralam się to lekceważyć, ale siedziała pięć rzędów przede mną i widziałam, jak ciągle wstaje i wychodzi do toalety. Próbowałam się uśmiechać, gdy wracała, ale jej twarz przypominała maskę, dlatego musiałam ją ignorować, żeby trzymać się swojej roli.

Potem wylądowaliśmy. Zaczekałam na nią, żebyśmy mogły wsiąść razem. Tego nie było w planie, ale musiałam z nią zamienić kilka słów.

– Rozdzielimy się – powiedziałam.

Sprawiała wrażenie przerażonej, nie było szans, żeby przeszła kontrolę. Przypominała latarnię morską. Musiałam się zająć sobą, żeby wejść w swój zwykły trans. Myślałam, że nawet jeśli ją wezmą na przeszukanie z powodu podejrzanego wyglądu, i tak nie będzie to miało znaczenia, gdyż ona nie ma nic do ukrycia. Gdyby i mnie wytypowali do sprawdzenia razem z nią, to byłaby katastrofa.

Oba plecaki, trochę wygniecione, jeden granatowy i drugi khaki, wyłoniły się na taśmie dosyć szybko. To był dobry znak. Wzięłam swój (ten khaki), położyłam go na wózku i odjechałam.

– Zobaczymy się za chwilę – szepnęłam do niej. – Już prawie koniec.

Przybrałam postawę wzorowej uczennicy i przeszłam kontrolę celną z wysoko uniesioną głową, aż się uśmiechnęłam po drugiej stronie, gdy poczułam przypływ ogromnej ulgi. Myślałam wyłącznie o koktajlach w hotelu Raffles. Byłam przekonana, że mój pierwszy krok na singapurskiej ziemi to chwila rozpoczęcia mojego nowego życia.

Derek czekał na nas. Cmoknął mnie w oba policzki, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi, wziął z wózka plecak i zarzucił go sobie na ramię. Kiedy ruszył do taksówki, zostałam z tyłu, żeby poczekać na Rachel.

Oczekiwanie się przeciągało. Wcale nie byłam zaskoczona, że musi minąć trochę czasu, zanim przejdzie odprawę. Gdybym była celniczką, od razu wyciągnęłabym ją z kolejki na przeszukanie. Cieszyłam się, że mój plecak już zniknął, bo gdyby nawet wszystko zeznała, i tak nie było już dowodów.

Nadal nie wychodziła.

Nie widziałam też Jake'a, ale byłam pewna, że obserwuje wszystko z dystansu. Dlatego czekałam spokojnie, żałując, że z hali przylotów nie widać, co się dzieje w punkcie odpraw. Miałam obawy, że wróci Derek, ale się nie pojawił.

Nagle wyszedł Jake. Od razu podszedł do mnie, wziął mnie pod rękę i pociągnął do wyjścia.

– Co się dzieje? – zapytałam. – Gdzie jest Rachel? Jake? Gdzie jest Rachel?

Wyszarpnęłam rękę z jego uścisku. Pokręcił głową.

– Uspokój się, Laro. Nie rób sceny. Nie tutaj.

– Ale ona przecież nic nie zrobiła. Nie mogło jej się przydarzyć nic złego.

– Wszystko ci powiem – odparł. – Powiem ci. Ale nie tutaj.

Wyciągnął mnie z klimatyzowanej hali na gorące parne powietrze i skręcił w stronę postoju taksówek.

Nie zamierzałam wsiadać. Nie mogłam zostawić Rachel samej. Zaczęliśmy się spierać półgłosem, tłumiąc emocje, bo żadne z nas nie chciało niepotrzebnie przyciągać uwagi.

– Dobra – syknął w końcu. – Albo wsiadasz do taksówki, albo zostawię cię tutaj bez pieniędzy i bez możliwości dowiedzenia się, co się stało. Już nigdy więcej nie zobaczysz swojej przyjaciółki.

Byłam na niego wściekła, ale wsiadłam. Pojechaliśmy do chińskiej dzielnicy, gdzie usiadł przy stoliku na ulicy przed barem i zamówił piwo. Wcale nie miałam na nie ochoty, ale gdy spróbowałam, szybko wypłam całe. Nie smakowało mi i nie chciałam go pić, jednak alkohol w jednej chwili dokonał we mnie przemiany. Poczułam przyływ śmiałości.

– No, słucham – rzuciłam ostro. – Gdzie ona jest?

Wtedy mi powiedział. A gdy skończył, wstał i odszedł, a ja zyskałam pewność, że już nigdy go nie zobaczę.

25 kwietnia

Błagałam policjantów, żeby mnie aresztowali. Odmówili jednak i zagrozili deportacją.

W plecaku khaki nie było nic oprócz heroiny. Bezpieczne dostarczenie tego największego transportu, jaki do tej pory przemycałam, do Singapuru, najbardziej przerażającego miejsca na świecie dla przemytników, było rzeczą absolutnie genialną i wyjątkową, jak powiedział Jake.

Oprócz tego (co teraz sama wydedukowałam) ukrył kilogram towaru w plecaku Rachel. Nie zdradził powodu. Albo nie mógł się powstrzymać, albo specjalnie postanowił użyć jej jako zasłony dymnej, wiedząc, że niezależnie od wszystkiego będzie wyglądała na zdenerwowaną i przestraszoną. Wrobił ją i nawet nie poczuwał się do winy.

Powiedział mi, że wszystko w tej podróży wiązało się z dużym ryzykiem. Obaj z Derekiem wiedzieli, że tajaska policja już się przygląda ich poczynaniom i ruchom. Od początku planowali, że będzie to ostatni transport, do którego przemycenia wykorzystają mnie.

– To ja podjęłam decyzję, że to ostatni raz! – krzyknęłam na niego. – To ja chciałam z tobą zerwać!

Przeszłam przez odprawę celną z taką ilością heroiny, że mógł mnie czekać jedynie wyrok śmierci. Rachel także miała w bagażu wystarczającą do tego porcję, o czym nawet nie wiedziała, ale została zatrzymana i musiała pożegnać się

z życiem.

Kiedy skończył mi mówić prawdę, złapał mnie za rękę i warknął:

– Tylko nie zrób niczego głupiego, Laro – rzekł.

Szarpnęłam ręką, ale nie zdołałam jej wyrwać.

Zaczęłam płakać, gdy zdałam sobie sprawę, że absolutnie nic nie mogę zrobić w tej sytuacji. Mogłam spróbować i tak też zrobiłam, nadal próbuję i pewnie tak szybko nie przestanę, ale to wszystko jest bezcelowe. Wybuchnęłam słusznym gniewem, powiedziałam, że go nienawidzę, ale to nic nie dało. Nie dbał o moje zdanie. Nigdy mnie nie kochał, chyba nawet za bardzo mnie nie lubił. Zachował się jak biznesmen, który dla dobra swoich interesów musi teraz skierować uwagę na kogoś innego.

Przyznał się, że on także miał w bagażu towar, jakby to jakimś sposobem miało wzbudzić we mnie uczucie do niego. Nigdy dotąd nie brał go do swego bagażu, tylko kilka razy skłaniał Dereka do nastawienia celników przeciwko sobie, żeby potem przejść przez odprawę przodem, bym ja, podążając za nim, mogła bezpiecznie ją pokonać. Ale tym razem chyba naprawdę to zrobił. Tak więc dzisiaj przewieźliśmy naprawdę duży transport, a jedynym jego kosztem okazało się poświęcenie mojej najlepszej, prawdziwej przyjaciółki.

Zanim się rozstaliśmy, dał mi mniejszy plecak i powiedział, że muszę go wziąć.

– Jesteś zameldowana w jednoosobowym pokoju w hotelu YMCA i wszystkie twoje rzeczy powinny już być na miejscu.

Nawet nie umiałam mu spojrzeć w twarz. Podałam mu małą czarną torbę podróżną, ale oddał mi ją z powrotem.

– Mówię poważnie, Lara – rzekł. – W pełni na to zasłużyłaś. Nie bądź głupia.

W torbie były moje ubrania, klucz do pokoju hotelowego, mały plik gotówki oraz skrawek papieru z zapisanym numerem szyfru sejfu hotelowego. Już wcześniej przerabialiśmy ten sposób zapłaty, ale tylko raz. Zazwyczaj rozliczaliśmy się w czasie wspólnej podróży taksówką.

Wzięłam od niego tę torbę i odeszłam. Nawet się nie obejrzałam.

Wróciłam taksówką na lotnisko i weszłam do hali przylotów. Kiedy usiłowałam przejść z powrotem odprawę celną, mając nadzieję, że gdzieś tam ją spotkam, smutni panowie w ciemnych garniturach zastępowali mi drogę i kazali się zatrzymać. Byli niscy i niepozorni, ale bardzo zdecydowani. Nie zauważyłam żadnych uśmiechów, obrzucali mnie lodowatymi spojrzeniami.

Całkiem się załamalam. Po prostu nie byłam w stanie zebrać się do kupy. Szlochałam, wyłam i płakałam. a to wyeliminowało jakąkolwiek szansę na to, żebym została potraktowana poważnie.

– To moja przyjaciółka – powtarzałam. – Ona tu jest.

Najpierw zostałam wydalona ze strefy odpraw celnych, a potem z terenu lotniska. Raz za razem przysięgałam, że mówię prawdę. Na początku powiedziałam, że przemycałam narkotyki, więc poprosili mnie o dostarczenie swojego bagażu. Zabrali mój plecak do szczegółowej kontroli, ale nie znaleźli w nim niczego ciekawego.

Później, z powodu braku dowodów i nieustannego zakłócania porządku, zostałam aresztowana i wywieziona do parking.

Usiadłam na betonowym skraju drogi dojazdowej do lotniska Changi (w takim miejscu, gdzie nikt nie siada na krawężniku), mając świadomość, że jestem w najgłębszym dołku swojego życia.

Podeszła do mnie policjantka i kazała stamtąd odejść. Była nawet dość miła, ale gdy zaczęłam się znów uzalać, zmieniła podejście. To nasunęło mi pewien pomysł i zaczęłam się zachowywać jak niespełna rozumu, mając nadzieję, że zostanę aresztowana i w ten sposób dostanę się do serca systemu sprawiedliwości w tym kraju.

W końcu celniczka przetrząsnęła mój bagaż, stwierdziła, że nie mam żadnych pieniędzy, tylko kartę magnetyczną YMCA, i sprowadziła dla mnie taksówkę.

Pieniądze miałam w przenośnej walizeczce, całe pliki banknotów. Próbowałam obmyślić jakiś plan działania, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Przede wszystkim musiałam wyciągnąć Rachel stamtąd, gdzie była przetrzymywana. Kiedy po raz ostatni byłam zdana tylko na siebie, szłam Khao San Road w Bangkoku na spotkanie z Jakiem. Teraz dałabym wszystko, żeby cofnąć się do tamtej chwili i przejść obok niego obojętnie.

Poszłam na policję i opowiedziałam o wszystkim oficerowi, wokół którego roztaczała się tak przemożna aura władzy, że aż truchlałam w trakcie rozmowy. O mało się nie zsikałam, opowiadając mu wszystko o przemytniczym procederze, lecz jednocześnie czułam tak wielką ulgę, że mogę się przed kimś wygadać, że prawie się popłakałam.

Obrałam sobie za cel udowodnienie, że Rachel jest drobną płótką uwikłaną przez osoby trzecie i dlatego powinna wyjść na wolność. Czułam jednak, że powtarzane przeze mnie zdanie: „Dlaczego nie chcecie jej uwolnić od zarzutów?”, nie trafia na podatny grunt.

Niemniej spisał moje zeznania. Był zainteresowany wyłącznie Jakiem i Derekiem, opowiedziałam mu więc absolutnie wszystko, co wiedziałam o tych dwóch. Wiem, że nic im nie grozi. Jeszcze w trakcie swojej relacji uzmysłowiłam sobie, że to nawet nie są ich prawdziwe imiona.

Kiedy wciąż nawiązywałam do Rachel, nie chciał nawet potwierdzić, że została aresztowana. W ogóle nie chciał nic powiedzieć na jej temat. A ponieważ nie miałam narkotyków ani żadnych dowodów na potwierdzenie swoich słów, kazał mi wracać do domu.

– Wierzę w pani opowieść, panno Wilberforce – rzekł. – Nawet bez dowodów. I właśnie z tego powodu nakazuję pani jak najszybciej wyjechać z Singapuru i więcej tu nie wracać.

Wziął mój paszport i coś do niego wpisał, później się przekonałam, że zostałam grzecznie deportowana bez wyznaczonego terminu.

To było dwa dni temu. Nie wyjechałam. Muszę przed wyjazdem zobaczyć się jeszcze z Rachel.

W miejscowych gazetach opisywali jej przypadek, ale ponieważ jest z Nowej

Zelandii, prawdopodobnie nic nie znajdę w prasie angielskiej. Przeniosłam się ze schroniska YMCA do tego koszmarnego hotelu. Po części dlatego, że moim zdaniem to dobre miejsce, aby nie rzucać się w oczy, a po części przez moją dziwną fascynację tutejszym brudem i ubóstwem.

Aresztowano ją za próbę przemytu kilograma heroiny znalezionej w jej plecaku. To automatycznie skazuje ją na karę śmierci.

29 kwietnia W samolocie

Popamiętają mnie w punkcie odpraw celnych. Mało mnie to obchodzi. Miałam nadzieję, że mnie aresztują, ale oczywiście tego nie zrobili, bo przecież podjęli decyzję o mojej deportacji, a przekonali się, że nie wyjechałam, dopiero gdy sama zgłosiłam się do odprawy.

Wrzeszczałam na całe gardło, gdy wsadzali mnie do samolotu. Miotalam się i przeklinałam. Chciałam być aresztowana, ale oni przewrotnie nie chcieli tego zrobić. Po prostu odsyłali mnie do domu. Więc kiedy drzwi zamknęły się za mną i samolot wystartował, od razu się uspokoiliam. Nic mnie nie obchodziło, co sobie pomyślą inni pasażerowie. Nie mogłam już nic zrobić. Nie ustane jednak w próbach wyciągnięcia Rachel z więzienia.

Jake okazał się pieprzonym łajdakiem. Nienawidzę go ponad wszystko i gdybym kiedykolwiek miała okazję wyrównać z nim rachunki, na pewno to zrobię.

15 maja W domu rodziców

Chyba się uduszę w tej cholernej zatechłej atmosferze, jeśli zostanę tu jeszcze choćby chwilę dłużej. Nie wytrzymuję. Oni są całkiem pochłonięci trywialnymi sprawami. Kogo to obchodzi? Kogo obchodzi, kiedy wywozą śmieci albo co robią sąsiedzi?

Udało mi się znaleźć informacje o Rachel na nowozelandzkiej stronie internetowej. Chyba już nigdy jej nie zobaczę, ponieważ wszystko wskazuje na to, że wyrok śmierci zostanie wykonany.

Moja przyjaciółka straci życie przeze mnie. Z tego co mi wiadomo, prawdopodobnie zostanie powieszona. Moja najlepsza przyjaciółka, jedyna prawdziwa przyjaciółka, jaką w życiu miałam, zawisnie na stryczku i wyzionie ducha.

To moja wina. Gdybyśmy się nie spotkały, wróciłaby do Nowej Zelandii i mogła dalej żyć. Ja ją zabiłam przez to, że przemycałam narkotyki. Jakkolwiek spojrzeć na tę sprawę, to ja jestem winna.

I wiem, że nie mogę nic zrobić, żeby to powstrzymać. Codziennie wysyłam listy.

Zbieram kopie, gdyż jest ich tak dużo, że w przeciwnym razie łatwo mogłabym się pogubić.

Nie poddam się. Rodzice martwią się o mnie. Ponieważ nie jestem już ich wzorową córeczką.

Nie mają pojęcia, jaka jest prawda.

21 września

Zobaczyłam dziś notatkę w gazecie.

Trzymałam ten dziennik głęboko ukryty, zawinięty w ścierkę, z tyłu najwyższej półki regału w mojej szafie. To jedyne miejsce, gdzie mogę jeszcze coś napisać. Potem nie chcę go więcej widzieć w moim domu.

Zaczęłam czytać sobotnie wydanie gazety, bo siedząc samotnie w moim mieszkaniu, zмагаłam się z chęcią przypomnienia sobie tego wszystkiego jeszcze raz od początku. To mieszkanie to zwykła kawalerka w północnym Londynie, do tego w dzielnicy, która nie cieszy się dobrą reputacją. Szczerze mówiąc, jest znana przede wszystkim z więzienia dla kobiet, co czasami każe mi myśleć, że cały wszechświat zaczął mnie prześladować i robić wszystko, abym nigdy nie zapomniała.

Mieszkanie jest dość przyjemne, bo choć wynajęte, to mam je tylko dla siebie. Mimo to złożyłam ostatnio ofertę na zakup segmentu w zabudowie szeregowej w Battersea. Ale kiepsko sobie radzę, zdana tylko na siebie. Naprawdę potrzebuję chłopaka, jak mi się zdaje, żeby powstrzymać skłonności mojego umysłu do sterowania w nieodpowiednie rejony.

Czytałam gazetę, starając się nie myśleć o R. Cały czas, całymi dniami starałam się o niej nie myśleć. I nagle rzuciła mi się w oczy niewyraźna ziarnista fotografia. To był Jake. „Mózg siatki narkotykowej aresztowany w Tajlandii”, głosił tytuł. Rzeczywiście wcale nie nazywał się Jake, miał na imię Donald. I wyglądało na to, że ta jego „mała operacja poniżej granicy wykrywalności rządowych radarów” była czymś zupełnie innym. Aresztowali go w Bangkoku, lecz nie na lotnisku i nie za przemyt narkotyków. Wpadł w pułapkę zastawioną przez policję. Nie było to powiedziane wprost, ale wywnioskowałam, że zwerbował do swojej przemytniczej akcji kolejną młodą dziewczynę, tajną agentkę policji.

Powinam się cieszyć. Nie powinam histeryzować, płakać, dygotać i rzucać różnymi przedmiotami po mieszkaniu. Wiem, że to mu uniemożliwi krzywdzenie kolejnych osób, wiem też, że w przeciwieństwie do R. w pełni na to zasłużył. Ale w mej pamięci odżywają wspomnienia. Tracę panowanie nad sobą.

Tak więc Jake siedzi w więzieniu. Tak samo jak Rachel, schwytana przez jego podstęp. Nie wątpię, że Dereka też już mają albo złapią niedługo. Jake nie da rady już go chronić.

Siedziałam w ciasnym pokoiku przesłuchań w Singapurze i mówiłam policji wszystko, co wiedziałam o Jake’u. Wystawiłam im go, tego jestem pewna.

Zrobiłyśmy to razem z Rachel. W końcu wysłuchali chociaż części z moich zeznań.

Niemniej ze wszystkich znanych mi osób zaangażowanych w ten proceder jestem jedyna, która pozostaje na wolności.

Jestem jedyna, która zrujnowała życie tylu ludziom.

Sprawdzam informacje o Rachel. Jeszcze żyje. Piszę do niej po raz kolejny, ale wiem, że mogę się spodziewać tylko ostrej, niewybrednej odpowiedzi od jej brata, który każe mi zostawić ją w spokoju.

24 stycznia

Jeszcze jeden wpis. Potem zamierzam ukryć ten dziennik na dobre. Nie mogę go wyrzucić, ale nie mogę też nigdy więcej go otworzyć.

Spotkałam dzisiaj mężczyznę. Po tym, jak odrzucałam liczne propozycje wyjścia razem na drinka i ignorowałam ludzi zaczepiających mnie na ulicy czy gdzieś indziej, wreszcie spotkałam kogoś. I wiedziałam, że będziemy razem, jak tylko go zobaczyłam. Tak też się stało.

W niczym nie przypomina Jake'a, dlatego go wybrałam. Nie czuję się przy nim impulsywną dzikuską. Nie miałam ochoty zerwać z siebie ubrań, kiedy na mnie patrzył. Ale daje mi poczucie bezpieczeństwa. On nigdy mnie nie poprosi, żebym zaryzykowała swoje życie po to, żeby się wzbogacić.

W sobotę po południu kręciłam się samotnie po Soho. Mam przyjaciół z pracy, ale nie chcę zawracać im głowy. R. była moją jedyną prawdziwą przyjaciółką i wiadomo, co z tego wynikło. Zabiłam ją.

Napisała do mnie jeden list, kilka miesięcy temu. Spaliłam go w zlewie w łazience, bo nie mogłam znieść jego treści, a teraz żałuję, że to zrobiłam. Napisała, że była świadoma tego, czego się podejmuje.

„To wcale nie jest twoja wina, jak zapewne myślisz”, napisała. „Sama zapytałam Jake'a, czy nie mogłabym się zajmować tym samym, co ty. Powiedział, żebym o niczym ci nie mówiła, bo nie chciał, abyś się o mnie martwiła. Więc sprawa wcale nie wygląda tak, jak myślisz”.

To wyjaśniało, dlaczego w samolocie była tak przerażona. Ale ja starałam się o tym nie myśleć i to pochłaniało całą moją energię.

Postanowiliśmy pokręcić się trochę po centrum Londynu, może wejść gdzieś do kina albo galerii sztuki. Jednakże ja w wyobraźni siedziałam w więzieniu Changi, czyli tam, gdzie powinnam się znajdować. Byłam z Rachel, która nienawidziła mnie tak bardzo, że nie życzyła sobie, bym ją odwiedziła, w ogóle nie chciała ze mną rozmawiać, prosiła tylko brata, by kazał mi się odczepić. Wyobrażałam sobie, że siedzi w zatłoczonej celi z innymi więźniarkami, niezdolna się z nimi porozumieć, odarta ze swojej godności. Wyobrażałam sobie ją martwą. Próbowiałam odpychać od siebie tę myśl, lecz ta stale natrętnie powracała, bo wiedziałam, że na dzisiaj została wyznaczona jej egzekucja.

Nagle wydało mi się to nie do zniesienia. Weszłam do baru, kupiłam butelkę

piwa i usiadłam samotnie pod oknem. Zależało mi tylko na tym, żeby się upić. Na dworze padało.

Szyba po wewnętrznej stronie była zaparowana. Narysowałam na niej palcem więzienie. Sam prostokąt budynku, ale z kratami w oknach. Za jednym z nich nakreśliłam podobiznę Rachel.

Nim zdążyłam dorysować stryczek na jej szyi, ktoś zagadnął nad moją głową:

– Czy to miejsce jest wolne?

Odparłam, że tak. Myślałam, że chce zabrać krzesło do sąsiedniego stolika i dołączyć do grona przyjaciół, ale on usiadł na nim.

Popatrzyłam na niego. Był dość przystojny. A ja potrzebowałam kogoś. Roztaczał wokół siebie poczucie bezpieczeństwa. Może być, pomyślałam. Nadaje się do tego, żeby mnie uratować.

Zamówiłam kawę, głównie po to, żeby udawać, że wcale nie piłam samotnie wczesnym popołudniem. Gdyby zwrócił uwagę na pustą butelkę po piwie, powiedziałabym mu prawdę. Ale nie zapytał, więc nie wyjaśniłam.

Zaczęliśmy rozmawiać. Okazał się w porządku. I jakoś tak wyszło, że poszliśmy razem do kina. Zrobiła się z tego najzwyklejsza randka. Był normalny. Nie zamierzał mnie rekrutować do żadnych podejrzanych zadań. Był mną wyraźnie oczarowany, a ja czułam się przy nim bezpieczna.

Ma na imię Sam.

Część IV

Tajlandia

Rozdział 25

Iris

Wszystko ułożyło się prawie w logiczną całość.

Słońce stało wysoko i mocno grzało, ale powietrze było mgliste, parne i duszne, nie tak palące, jak to sobie wyobrażałam. Miasto dostarczało tak wielu wrażeń, że mogłam tylko uchwycić się kurczowo krawędzi siedzenia i mocno zaciskać powieki, gdy miałam już tego dość.

Ale to, rzecz jasna, nie mogło wyeliminować smrodu, będącego mieszaniną woni pyłu i kurzu, gotowanej żywności, zagniwających śmieci, dławiącego w gardle skwaru i toksycznych ścieków. Nigdy nie traktowałam powietrza jako czegoś czystego i wrażliwego na zanieczyszczenia, ale teraz atakowało ono moje zmysły. Czułam skwar w nosie, w gardle i w płucach, przez co stale kaszlałam.

Siedziałam na tyle tuk-tuka, który złowieszczo pode mną wibrował, gdy jego silnik próbował dorównać mijającym nas pojazdom, i miałam zdecydowanie za mało przestrzeni pomiędzy mną a potencjalnie żalonym końcem pod kołami wielkiej ciężarówki. Tą perspektywą za bardzo się nie martwiłam. Coś podobnego spotkało Lauriego, toteż byłoby całkiem zrozumiałe, gdyby spotkało także i mnie. Przez wiele lat uciekałam przed podobnymi skojarzeniami, żeby skończyć tu i teraz.

Tuk-tuk nie był zabudowany po obu bokach i tylko to, że się poruszaliśmy, że odczuwałam na twarzy pęd mocno rozgrzanego powietrza, powstrzymywało mnie od załamania nerwowego wywołanego wrogim klimatem. Nie byłam przystosowana do takich warunków.

Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że lawirujemy między samochodami, ciężarówkami i taksówkami, przy czym wszystkie pojazdy były milion razy lepiej zabezpieczone przed takim ruchem drogowym od naszego tuk-tuka. Wokół nas tłoczyły się beładnie budynki, jedne z popękanego i osypującego się betonu, inne ze stali i szkła. Na ulicznych straganach sprzedawano żywność, a wszędzie było tłoczno i gwarno.

O mało nie wypadłam z siedzenia wskutek gwałtownego hamowania, a mój kierowca obejrzał się i uśmiechnął szeroko.

– To już tu? – zapytałam.

– Już tu – odparł.

Zapłacałam mu hojnie i zapatrzyłam się, jak odjeżdża. Gdy tak stałam na chodniku i czułam, jak całe moje ciało wciąż jeszcze dygocze od wibracji tej podróży, zebrało mi się na płacz.

Sądziłam, że to taki dobry pomysł, żeby polecieć do Tajlandii i poszukać Lary, albo ukrywającej się przed odrażającym Jakiem/Donaldem, albo znów będącej pod jego kontrolą (być może nawet zabitej przez niego). Teraz, gdy już tu byłam, pojęłam nagle, jak niedorzeczny to był pomysł. Nawet nie zbliżyłam się do

wyjaśnienia, co ją spotkało w Londynie, a przecież tamto miasto znałam, odszukałam jej rodzinę oraz ludzi, którzy ją kochali i pragnęli odnaleźć. Teraz byłam na innym kontynencie, gdzie nie znałam ani jednej osoby (nie licząc Lary, jeśli jeszcze żyła), i podążałam tropem skazanego przemytnika narkotyków, który, jak wynikało z informacji znalezionych w internecie, cztery lata temu został przeniesiony do więzienia w Australii, a dwa lata temu zwolniony, po czym złowieszczo zniknął bez śladu. Mógł przebywać gdziekolwiek.

Wysłałam do Alexa SMS-a z przeprosinami i przed wyjazdem przesłałam mu dziennik. Nie miałam odwagi spotkać się z nim i porozmawiać. Wiedziałam, że po przeczytaniu notatek Lary zrozumie, dlaczego musiałam tu przyjechać.

Lara wysłała Jake'a do więzienia. Mógł więc szukać na niej zemsty. Potrafiłam sobie wyobrazić, że wsiada do nocnego pociągu z Londynu, żeby zamordować Guya i zrobić Larę. Ona przeczuwała, że coś się święci. Musiała przeczuwać, bo inaczej nie ukradłaby mojego paszportu w ramach środków bezpieczeństwa.

Teraz zadawałam sobie pytanie, co chciałam tu zrobić. Kręcić się po Bangkoku z jego stary zdjęciem wydrukowanym z komputera i pytać każdego podejrzanego typka, czy nie widział go ostatnio? Grzecznie tropić w pojedynkę psychopatycznego przemytnika narkotyków i zabójcę? Krążyć legendarną Khao San Road i zaglądać w twarze wszystkim kobietom w poszukiwaniu Lary? Nie miałam żadnego gotowego planu i to było głupie.

Przyjazd tutaj był doniosłym, ale próżnym gestem i przypomniał mi jedynie, że ja się nie nadaję do takich rzeczy. Nigdy nie miałam żyłki podróżniczej, nawet wtedy, gdy Laurie jeszcze żył i byłam szczęśliwa. To mnie przerastało.

Zarezerwowałam pokój w hotelu wybranym na chybił trafił. Był dość drogi, uznałam więc, że powinien być niezły. Od zewnątrz był pomalowany na bladozielono, a gdy tylko weszłam przez plastikowe drzwi, klimatyzacja zaatakowała mnie z mocą zimnego prysznica. Wszystkie włoski na rękach od razu stanęły mi dęba i przeszył mnie lodowaty dreszcz.

To miejsce, to miasto, ten kontynent – wszystko było nie dla mnie. Przypomniałam sobie opis Lary, gdy spacerowała ulicą i zwróciła uwagę na przystojnego Australijczyka, który okazał się przemytnikiem narkotyków. Wydawało mi się to tak niewiarygodne, że wręcz zabawne. Lara była dużo lepsza ode mnie we wszystkim. Bez wysiłku nawiązała romans z pozornie nieosiągalnym przystojniakiem poznanym w pociągu. Ukradła mój paszport w przemyślny, wyszukany sposób. Tak bardzo pokochała Azję, że najpierw chciała się dorobić w jednym kraju, żeby później zamieszkać w górach innego. Na pewno w żadnej mierze nie byłam dla niej na tyle interesująca, byśmy mogły zostać dobrymi przyjaciółkami. Ja byłam stworzona do cichego życia.

Pokój był mały i skromnie wyposażony, ale miał oddzielną małą łazienkę, drzwi się zamykały, a oprócz wentylatora pod sufitem była też klimatyzacja. Wydawał się dobrym miejscem do przeczekania, niezłą kryjówką. Usiadłam na łóżku, na którym leżał cienki, twardy materac, pewnie dobrze wpływający na schorzenia kręgosłupa, i próbowałam sobie wmówić, że muszę być dzielna.

Sytuacja wydawała się śmieszna. Czułam się sparaliżowana. Byłam zdolna tylko do wymazania wszystkiego z pamięci poprzez lekturę książki, którą kupiłam na lotnisku. Miał to być thriller, lecz jak dotąd nie rozumiałam z niego ani słowa. Wszystkie mięśnie miałam stale napięte.

W końcu zadzwoniłam do Leona. Odebrał jeszcze w trakcie pierwszego sygnału.

– Iris!

– Cześć, Leonie.

Niemalże słyszałam, z jakim oczekiwaniem łaknie moich słów po drugiej stronie świata, toteż z niesmakiem myślałam o tym, że będę musiała go rozczarować. Dlatego nie odpowiedziałam.

– Dotarłaś szczęśliwie na miejsce? – zapytał w końcu.

– Tak, dzięki. To naprawdę...

– Szok kulturowy?

– I to olbrzymi. Boże, nie jestem pewna, czy go zniosę.

– Na pewno zniesiesz. Spróbuj wysłać jej maila i jeszcze raz sprawdź jej wpisy w portalach społecznościowych. Wyjaśnij, gdzie jesteś. Tylko nie wspominaj o niczym, co mogłoby ją odstraszyć. Przedstaw jakiś dowód, że to ty. Nie Olivia ani Sam, ani policja, ani ja. Nie wymieniaj też imienia Jake’a, bo i to mogłoby ją odstraszyć. Zdaj się na prostotę. Zrób z tego sprawę wyłącznie między tobą a nią.

Pokiwałam głową, zanim sobie przypomniałam, że nie może mnie widzieć.

– W porządku – wydusiłam z siebie.

– I wiesz co, Iris? Czy widziałaś tych wszystkich idiotów, którzy aż się palą, by się stąd wyrwać do Tajlandii? Jeśli oni mogą to wytrzymać, to wierz mi, moja droga, możesz i ty. Jasne? Wyjdź z hotelu. Idź na tę Khao San Road, zacznij się tam kręcić i rozglądać. Albo idź na zwiedzanie jakiejś świątyni czy czegoś w tym rodzaju. Postaraj się zaaklimatyzować.

Wzięłam głęboki oddech.

– Masz rację. W porządku. Zaraz pójde na spacer.

– I zostań w kontakcie. Sprawujesz się doskonale. Będę czuwał przy telefonie przez całą dobę, o każdej porze dnia i nocy.

Nie byłam przyzwyczajona do takich upałów, co do tego nie miałam złudzeń. Byłam stworzona do londyńskich chmur i kornwalijskiej mżawki. Mimo to przebrałam się w luźną spódniczkę i koszulkę, żałując, że w trakcie pakowania nie pomyślałam o lepszych butach, ale zaraz poczułam się bardziej stosownie. Zebrałam włosy z tyłu głowy w koński ogon, przeobrażając się w niezależną od mody dwunastolatkę i przeklinając przy tym, że jednak nie zdecydowałam się na wizytę u fryzjera i skrócenie zdecydowanie za długiej fryzury.

Włożywszy na nogi buty do jazdy na rowerze, wyruszyłam śmiało na poszukiwanie sandałów. Dobrze było mieć przed sobą jakiś konkretny cel.

Chodniki były nierówne, powietrze sprawiało wrażenie twardej ściany gorąca i obcych zapachów tak jak wcześniej. Atmosfera, jak poprzednio gorąca, parna

i przepelniona obcymi zapachami, wydawała się twarda jak skała. Nigdzie nie znalazłam choćby śladu najslabszego ruchu powietrza. Stopy w butach zaczęły mi się lepić i ślizgać od potu. Znałam rejon, którego szukałam, czyli oddaloną o kilka przecnic sławną Khao San Road opisywaną przez Larę w dzienniku. Nawet bez tego wiedziałam, że to cel wędrówek wszystkich turystów w południowo-wschodniej Azji. Wiedziałam, że tam na pewno znajdę jakieś stosowne obuwie do kupienia. Ale poza tym byłam jak dziecko we mgle.

Nastało popołudnie. Czekał mnie wieczór, jutrzejszy dzień i następne. W moim domu w Budock, mając za towarzystwo tylko koty i ducha, czułam się dużo mniej osamotniona niż tutaj. Ale w końcu byłam w Tajlandii, uważanej przez wielu za istny raj na ziemi.

Zbliżałam się do centrum tej nirwany wszystkich traperów świata. Łatwo było to poznać po coraz większej ilości ludzi na ulicy. Byli mi obcy i chciałam wyłącznie ukryć się przed nimi, kiedy więc zobaczyłam sklep obuwniczy z szeroko otwartymi drzwiami, zdobyłam się na odwagę i weszłam do środka.

Za ladą stał pulchny mężczyzna, który uśmiechnął się szeroko na mój widok. Musiał się gotować w sztywno nakrochmalonej koszuli i wełnianym bezrękawniku, ale nie było tego po nim widać.

– Chce pani obejrzeć moje buty? – zagadnął, po czym spojrzał na moje stopy. – Och, mój boziu! Pani potrzebuje butów!

– Owszem – przyznałam. – Zapomniałam spakować sandałów.

– Zaraz znajdziemy odpowiednie. A kiedy je pani włoży, wydadzą się tak cudowne, że już nigdy nie będzie pani chciała kupować butów w innym sklepie.

Wyobraziłam sobie podróż samolotem do Tajlandii, ilekroć będę potrzebowała nowych butów.

– Niewykluczone – odparłam.

– Niech pani powie przyjaciołom, że najlepsze buty są u wylotu Khao San.

– Powiem moim przyjaciołom – powtórzyłam, zastanawiając się, co by powiedział, gdybym mu wyjaśniła, jak niewielu mam przyjaciół: kobietę podejrzewaną o dokonanie zbrodni, która skradła moją osobowość, policjanta, który mnie pocałował, zamiast odesłać na leczenie z powodu moich halucynacji, ducha zabitego chłopaka, który dopiero teraz się ulotnił, oraz sześćdziesięcioletniego maklera z londyńskiego City, będącego jedyną osobą, z którą utrzymywałam kontakt. – Tak – dodałam. – Powiem wszystkim.

Wyszłam ze sklepu w wygodnych sandałach, które przekonały mnie wrażeniem butów czystych i świeżych, przepuszczających mnóstwo powietrza, dzięki czemu moje przegrzane i śmierdzące stopy oddychały z każdym krokiem. Zdecydowałam się wstąpić gdzieś na kawę. Postanowiłam przy tym wyznaczyć sobie tylko jeden cel naraz. A po zajęciu miejsca z kawą przy stoliku chciałam włączyć telefon i trochę się nim pobawić.

Sławną Khao San Road, gdzie Lara poznała Jake'a i gdzie prawdopodobnie

oboje mogli się teraz ukrywać, bardzo różniła się od moich wyobrażeń o niej. Obawiałam się, że będzie brudna i odpychająca, pełna odstraszających narkomanów i handlarzy, szaleńców, ludzi nawiedzonych i zblazowanych stałych bywalców, którzy będą mnie uważnie obserwować. Uważałam, że w tym miejscu od razu rzucę się w oczy jako naiwna i obca, stanowiąca doskonały cel dla wszelkiego rodzaju złowrogich typków.

Ale to była tylko zwykła ulica. Przy skrzyżowaniach stały stragany z jedzeniem, więc pod wpływem impulsu kupiłam sobie torebkę plastrów ananasa i szłam dalej z lepkiem sokiem ściekającym mi po brodzie. Wzdłuż ulicy ciągnęły się lokale, wśród których przeważały sklepy odzieżowe, jak również bary, kawiarnie i hoteliki, lecz także eleganckie salony, do których wchodziło się drzwiami. Tutaj też można było poczuć odrobinę ciepłej bryzy, na którą z wdzięcznością wystawiałam twarz.

Mijająca mnie para w średnim wieku przywitała mnie skinieniem głowy. Oboje mieli krótko przystrzyżone siwe włosy, długie szorty oraz T-shirty z koszulowej bawełny, i wyglądali bardziej na ludzi wybierających się na pieszą wycieczkę po szwajcarskich Alpach niż na traperów wałęsających się po ulicach stolicy Tajlandii. Przy stoliku pobliskiej kafejki dwie kobiety pochylały się nad przewodnikiem i robiły jakieś notatki. Były ubrane w elastyczne topy i minispódniczki, wyglądały na Włoszki. Zaczęłam się rozglądać za odmieńcami i bezdomnymi, ale najdziwniejszym człowiekiem, jakiego zobaczyłam, był mężczyzna z długą siwą brodą i rozbieganymi oczami, a przecież łatwo mogłam spotkać dziwniejsze typki w londyńskim metrze. Na pewno nie był to Jake, przynajmniej tak mi się wydało. Nie dysponowałam jego aktualną fotografią. Ale i tak szanse, że to on, były znikome.

Wybrałam kawiarenkę z dziwną słomianą strzechą i usiadłam przy stoliku na ulicy.

Alex wysłał mi pięć maili. Po raz pierwszy od czasu, gdy od niego uciekłam, zmusiłam się, żeby przeczytać choćby jeden, ten ostatni.

„Iris, byłem w twoim hotelu. Oczywiście nie po to, żeby cię śledzić, ale ze zwykłego niepokoju o ciebie. Powiedziano mi, że wymeldowałaś się kilka dni temu. Dzwoniłem do twojego domu w Kornwalii, lecz oczywiście nikt nie odebrał. Nie mam pojęcia, co jeszcze mogę zrobić. Czyżbyś wybrała się do Azji w poszukiwaniu Lary? Czy tylko ukrywasz się przede mną gdzieś w Londynie? Nie musisz się już nigdy ze mną spotykać, ale proszę, błagam, daj znać, że nic ci nie jest. W przeciwnym razie będę musiał sam złożyć raport o zaginięciu i zacząć cię szukać oficjalnymi metodami. Jeszcze raz przepraszam za wszystko, co zaszło między nami. Wywarłem zbyt silną presję. Świetnie to rozumiem. Zachowałem się po chamsku. Nawet nie chcę wiedzieć, co o mnie myślisz. To wszystko. Proszę, uważaj na siebie, i jeszcze raz proszę, bardzo proszę, daj znać, że nic ci nie jest. Potem już nigdy nie będziesz musiała mieć ze mną do czynienia.

Twój przyjaciel, Alex”

Z trudem przełknęłam ślinę. Na tego maila powinnam odpowiedzieć, toteż

zmusiłam się, żeby odpisać, chociaż skleciłam dość formalną odpowiedź i wysłałam ją, nawet nie czytając.

„Jestem w Bangkoku, nie czuję się tu najlepiej, ale wszystko jest w porządku. Przepraszam, że potraktowałam cię tak ostro. Zachowałam się jak wariatka. Ale nie masz się czym martwić. Zadzwońię po powrocie do domu. Nic mi tu nie grozi. Jeszcze jedno, Alex – wysłałam ci coś, co wyjaśni, dlaczego tu przyleciałam. Nie wiedziałam, jak zaadresować przesyłkę, więc wpisałam adres komendy policji w Falmouth. Powinieneś ją odebrać i przeczytać. Dziękuję”.

Pozałowałam tego chwilę potem, jak wysłałam maila. Nie było w tej odpowiedzi niczego, co mogłoby świadczyć o moim głębokim uczuciu do niego. Mimo wszystko dawałam mu przynajmniej znać, że jestem cała i zdrowa, ponadto powinien mieć bodziec do sprawdzania poczty komendy w Falmouth. Później zrobiłam jeszcze jeden wpis na tweetowym koncie Lary, choć podejrzewałam, że raczej nie powinnam się spodziewać odpowiedzi. Dałam jej znać, że mam pieniądze, bo jeśli tylko nie wróciła do wcześniejszego procederu, powinna odczuwać braki w przyptywie gotówki. Później wysłałam jeszcze wiadomość pod jej stary adres mailowy, co również wydawało mi się bezcelowe, gdyż wiedziałam od Alexa, że konto jest monitorowane i gdyby tylko się na nie zalogowała, wywołałoby to alarm na komendzie policji. Lara nie była aż tak lekkomyślna.

zostawiłam stosik bahtów na stoliku i ruszyłam z powrotem do hotelu, niosąc swoje stare buty w reklamówce, która wrzynała mi się w przegub ręki. Po drodze zatelefonowałam i zarezerwowałam miejsce w samolocie powrotnym do Londynu. Nie było z tym żadnych kłopotów, gdyż miałam kartę bankową.

Kiedy skręcałam w ulicę, przy której stał hotel, na rogu zahaczyłam czubkiem sandała o jakąś dziurę w asfalcie i się potknęłam. Ktoś natychmiast zmaterializował się przede mną i wyciągnął obie ręce, żeby mnie podtrzymać. Zdołałam jednak sama utrzymać równowagę.

Podniosłam wzrok, speszona, i kiedy go zobaczyłam, zamknęłam oczy.

– Nie – powiedziałam. – Nie! Nie ma mowy!

– Cześć, Iris – odparł swoim charakterystycznym głosem. – Uspokój się, dobrze? Pokręciłam głową.

– Nie – powtórzyłam. – Ciebie tu nie ma. To skończone.

– Prawie skończone.

Odwróciłam się.

– Istniejesz tylko w moich myślach. Ale wyglądasz lepiej. Przepraszam, że na zakończenie zrobiłam z ciebie tak żalostną postać.

– Hej – rzucił. – Nie ma sprawy.

Zerknęłam na niego i szybko odwróciłam głowę. Wyglądał inaczej niż ten Laurie, który kręcił się po domu w Budock. Bardziej przypominał prawdziwego Lauriego, mojego wieloletniego partnera. Wysoki i barczysty, z błyszczącymi oczami i gładką cerą, miał na sobie tajskie szorty, które ładnie na nim leżały, luźny T-shirt oraz klapki. Wyciągnęłam do niego rękę, ale zaraz ją cofnęłam. Chciałam zachować to złudzenie, choćby jeszcze tylko na chwilę.

– Powinno ci się tu podobać – powiedziałam.

– Oczywiście, że mi się podoba! Przecież to Tajlandia! Tobie też by się podobało, gdybyś tylko sobie na to pozwoliła. Wiesz co, Iris?

W jego głosie pobrzmiwały przerażające tony.

– Tak? – spojrzałam na niego. Oczy mu błyszczały, często mrugał.

– Jesteś idiotką. Poznałaś kogoś. To porządny facet. Będiesz z nim szczęśliwa. Tylko go przeproś, że zachowałaś się jak cipa, ale chętnie znowu się z nim spotkasz. Bo ze mną było ci wspaniale, lecz dzieli nas granica nie do pokonania. Bardzo się starałaś odrzucić względy logiczne, ale nawet wspaniała panna Roebuck nie mogła się im oprzeć i muszę przyznać, że się z tego cieszę. To wcale nie było dla ciebie dobre, idiotko. Chcę, żebyś była szczęśliwa. Na pewno ją odnajdziesz. Ona tu jest. Zadbaj o niego.

– Laurie... – mruknełam, gdyż chciałam go wypytać o wiele rzeczy, do których nawiązał, ale jego już nie było.

Usiadłam na chodniku i rozpłakałam się, aż kierowca tuk-tuka się zatrzymał, żeby zapytać, czy nic mi nie jest. Potem poszłam do hotelu, wyciągnęłam się na łóżku, zapatrzyłam w sufit i zaczęłam układać plany.

Rozdział 26

Lara

Zawieszam palce nad klawiaturą. Obie moje dłonie, uniesione i gotowe do pisania, wyraźnie się trzęsą. Nie wiem, co mam robić.

Na początku postępowałam zgodnie z planem, wszystko zależało od tego, czy postąpię właściwie. Przynajmniej wiedziałam, co robić. Uwzględniłam w swoim planie różne okoliczności. Nawet przez chwilę nie przyszło mi do głowy, że Guy straci życie.

Znów paraliżuje mnie ta świadomość. Guy nie żyje. Miłość mojego życia, mój ukochany, odszedł na zawsze. Jego dzieci straciły ojca, rodzice syna, żona męża. Ja straciłam przyszłość. I to wszystko przeze mnie.

Kiedy tu przyleciałam, myślałam o sobie jak o kimś innym, marionetce przyczajonej w tym jedynym znanym mi mieście, w którym mogłam zniknąć, uciekając przed złym człowiekiem. Ale to szybko przestało działać. Teraz już sama nie wiem. Żyję jakby w pożyczonym czasie. Coś będzie musiało się zmienić.

Drapię się przy granicy moich włosów. Jest piekielnie gorąco. Z każdym dniem coraz bardziej nienawidzę tego, ale nie mam odwagi zdjąć. Nawet nocami kładę obok siebie na poduszce jak postrzępioną ośmiornicę, gotową do użycia w sytuacji alarmowej. Przez to nie mogę wejść do morza, żeby się schłodzić.

A teraz jeszcze kończą mi się pieniądze.

Chciałabym ją zignorować. Nie powinna mieć z tym nic wspólnego, to nie jej sprawa. Ale będę musiała pozwolić, żeby mnie znalazła. Nie mam pieniędzy, spokoju, w ogóle niczego. Straciłam dosłownie wszystko, co miałam, wszystko, czym byłam. Jestem półdzikuską.

Wyjechałam z miasta, bo coraz bardziej mnie wciągało i rysowała się groźba, że zrobię coś strasznego. Ona mówi, że ma pieniądze. Teraz tylko to się liczy. Ma pieniądze i jest jedyną osobą, która dotarła za mną aż tutaj. Mogę jej zaufać. Muszę jej zaufać.

Biorę głęboki oddech i zaczynam pisać:

„A więc znalazłaś mnie. Nie mów o tym nikomu. Nikomu!”

Wolę nie wymieniać jego imienia. Nawet nie chcę przywoływać go w myślach. Ale to Iris mnie znalazła, a nie on. Teraz musi już wiedzieć, że to był on.

Przedstawiam swój plan. Zajmuje wiele prywatnych wpisów na Twitterze. Kończę tak:

„Plan rezerwowy: jak coś pójdzie nie tak, idź na ulicę Food Street”.

To duże ryzyko. Jednak nie mam wyjścia. Zostało mi tyle pieniędzy, że gdy będę mało jadła, wystarczy mi na pięć dni. Ona powinna być tutaj za trzy.

Rozdział 27

Iris

Miała rację co do Koh Lanty. Czułam dreszcze, gdy stanęłam na balkonie domku letniskowego, próbując się otrząsnąć z przytłaczającego wrażenia. To właśnie tu Lara poznała Rachel i z tego powodu Rachel straciła życie. O Zatoce Kantiang dużo czytałam jeszcze przed otrzymaniem dzienników Lary, jednak teraz mogłam ją podziwiać na własne oczy.

Wyglądała idyllicznie, jak napisała w dzienniku. Wzdłuż długiej, ocienionej palmami plaży biegnącej lekkim łukiem nad zatoką, ze skalistymi przylądkami na obu końcach, ciągnęły się liczne restauracje i hotele. Na tym końcu, gdzie się znajdowałam, wybrzeże było już całkowicie zabudowane, bary sąsiadowały z innymi barami, a domki letniskowe stały jeden obok drugiego. Trochę dalej mieścił się luksusowy ośrodek wypoczynkowy, gdzie ludzi rozwożono do domków elektrycznymi samochodzikami, a wille oddzielały od siebie wypielegnowane ogródki.

Rachel nie żyła. To sprawdziłam dwukrotnie. Wysłałam nawet maila do człowieka będącego zapewne jej bratem i dość szybko otrzymałam chłodną, zniechęcającą odpowiedź:

„Kim jesteś? Proszę, zostaw naszą rodzinę w spokoju. Moja siostra straciła życie trzy lata temu. Będę wdzięczny, jeśli nie dostanę odpowiedzi. Philip Atkins”.

Oczywiście mogła to być fałszywka, ale nic na to nie wskazywało. Rachel nie została stracona, tylko deportowana do więzienia w Nowej Zelandii, gdzie popełniła samobójstwo. Sporo było wpisów na ten temat na nowozelandzkich stronach internetowych. Jednakże nigdzie nie wymieniono imienia Jake'a, jeśli nie liczyć krótkiej wzmianki o jego wyjściu z więzienia. On, podobnie jak Lara, dosłownie zapadł się pod ziemię.

Mógł pragnąć rewanzu. Ale wcześniej musiał ją odnaleźć. A ona (jak zakładam) odpowiedziała mi w swoich wpisach na Twitterze, przerażona. Ukrywała się, przejęta strachem, i nalegała, żebym nikomu o niej nie mówiła. Groziło jej niebezpieczeństwo i wiedziałam, że będę musiała jej zapewnić ochronę, choć jak dotąd nic nie wskazywało, żeby Jake wpadł na mój trop, ponieważ nie miał najmniejszego pojęcia, kim jestem.

Ale nie mogłam tego wykluczyć. Zdawałam sobie sprawę, że może znać moje imię na podstawie skradzionego paszportu. Teraz w Tajlandii przebywały aż dwie Iris Roebuck, a ja byłam jedną z nich. To nakazywało mi zachować wzmożoną czujność.

I nie mogłam też wykluczyć, że wpisów Lary na Twitterze dokonał ktoś, kto nie miał z nią nic wspólnego. Być może nawet Jake, jeśli monitorował jej łączność. Mogła to być również Rachel, bo maila od jej brata również mógł napisać każdy. Niemniej słowa wyświetlające się na ekranie nie budziły większych podejrzeń. Nie

miałam pojęcia, w co się pakuję, i nie mogłam zawiadomić Alexa, co robię, bo na pewno kazały mi się natychmiast wycofać.

Lara, czy też ów ktoś, z kim miałam się spotkać, wybrała trudny do osiągnięcia punkt, do którego można się było dostać tylko karkołomną ścieżką wiodącą szczytem klifu na południe od głównej plaży wyspy. Jeśli to była pułapka, zostałamby odcięta od możliwości powrotu, ale i tak zamierzałam tam pójść. Czułam jednak, że to pochopna decyzja.

Na piasku leżeli opalający się ludzie. Idealna z wyglądu rodzina wysokich blondynów grała we frisbee, młodsze dzieci biegały po talerz, jeśli wylatywał poza krąg graczy, starsze przepraszały plażowiczów. W wodzie był jakiś mężczyzna, który płynął energicznym pieskiem w poprzek zatoki. Wszędzie było pełno wypoczywających ludzi z Zachodu.

Nigdy nie czułam się dobrze na trasach wspinaczkowych, toteż boleśnie obijałam sobie palce u nóg na krętej ścieżce wiodącej szczytem skał. Szlak był odstrasający, zwłaszcza w tym upale. Telefon komórkowy miałam wetknięty za gumkę majtek od bikini i gdy tylko minęłam punkt wykluczający możliwość powrotu, pożałowałam, że nie zdjęłam koszulki, bo choć pogoda była zdecydowanie cieplejsza w porównaniu z dżdżystym lutym, który zostawiłam za sobą, to i tak w przewiewnej bluzce robiło mi się za ciepło.

Zmoczyłam się wodą z małej kałuży w zagłębieniu skał. Była jednak tak nagrzana, że o mało nie poparzyłam sobie w niej stóp, toteż szybko wyskoczyłam. Popatrzyłam na swoje fioletowe paznokcie u nóg i przypomniałam sobie, jak lakierowałam je przed piecykiem, prowadząc w wyobraźni bolesną sprzeczkę z Lauriem. Miałam wrażenie, że od tamtego czasu minęły całe wieki. Lakier był popękany, w wielu miejscach poodpadał.

Kiedy obeszłam przylądek, szlak przeistoczył się w wąską ścieżkę prowadzącą pasem kamienistej plaży. Znalazłam się w całkowicie odludnym i niemal nieosiągalnym miejscu. Serce waliło mi jak młotem, gdyż wiedziałam, że dotarłam do celu: podobnie jak Lara, stałam się całkiem bezbronna.

Osoba siedząca na głazie spoglądała w moim kierunku ze śmiertelnie poważną miną. Miałam wrażenie, że patrzę w lustro.

Ale tego też się spodziewałam. Kobieta była mojego wzrostu, lecz szczuplejsza, miała jednak na sobie ubranie w moim stylu. Ja nigdy się nie zdobyłam na zrobienie porządku z dwukolorowymi włosami, ale tak samo nie zdobył się na to mój sobowtór. Włosy miała trochę dłuższe niż ja, bardzo ciemne bliżej skóry z blond końcówkami. Pod wpływem chwilowego kaprysu zdecydowałam się na takie ufarbowanie kilka miesięcy temu i żałowałam tego do tej pory.

Przez chwilę stałyśmy naprzeciwko siebie na tym skrawku plaży, przyglądając się sobie nawzajem.

– Lara? – zapytałam w końcu półgłosem, niemal szeptem.

Wstała i dopiero wtedy ujrzałam w pełni jej twarz. To była ona.

– Witaj, Iris.

Nie zdołałam nad sobą zapanować. Chciałam być spokojna i opanowana, ale wbrew sobie wybuchnęłam histerycznym płaczem. Ta bardzo szczupła, wychudzona postać miała twarz Lary okoloną moimi włosami. Ale była to Lara Finch, moja przyjaciółka. Lara Wilberforce, przerażająco skuteczna przemytniczka narkotyków. Serdeczna przyjaciółka Rachel i jej nemesis, dziewczyna Jake'a, chrestna córka Leona, namiętna kochanka Guya Thomasa, niewierna żona Sama.

Stała teraz przede mną.

– Iris – powtórzyła. – Mój Boże. To naprawdę ty. Oczom nie wierzę. To przez twój paszport, prawda? Strasznie mi przykro z tego powodu. Czy ktoś cię śledził?

– Nie. Wszyscy myślą, że nie żyjesz. Absolutnie wszyscy.

– Rozumiem. Odchodziłam od zmysłów, czytając artykuły w prasie – przyznała roztrzęsionym głosem. – Myślą, że to ja zabiłam Guya. Jakże bym mogła...

– Ja tak nie myślę. Nawet przez chwilę nie wierzyłam, że jesteś winna zabójstwa. Rozpracowałam całą twoją sprawę, Laro. Sam odnalazł twój stary dziennik, a ponieważ nie wiedział, co z nim zrobić, przekazał go mnie. I jak tylko go przeczytałam, domyśliłam się, że to musiał być Jake. Co się stało? Odszukał cię w pociągu i zastawił pułapkę? Jak mu uciekłaś?

Zmarszczyła brwi.

– Słucham?

Słońce paliło mnie w czubek głowy, silnie nagrzewało włosy, i malowało, jak się domyślałam, zaróżowiony pas na moim odsłoniętym brzuchu. I nagle usłyszałam za sobą czyjś miękki głos.

– Cześć, dziewczyno. Fajnie widzieć was tu razem!

Odwróciłam się na pięcie, rozpoznawszy ten głos, chociaż nie byłam tego całkiem pewna. Lecz zanim zdążyłam go przypisać komukolwiek, doskoczył do mnie i przycisnął mi coś do ust oraz nosa, i chociaż wierzgałam i próbowałam się wyszarpnąć, ponieważ dopasowując do siebie elementy tej układanki, nic to nie dało. Poczułam, że zmysły mnie opuszczają, jakby rozpływały się w powietrzu, i wszystko, co przekonująco świadczyło o mnie, zanika bez śladu.

Rozdział 28

Lara

Wymknęłam się pogoni. Przechytryłam wszystkich, chociaż tylko jego chciałam przechytryć. Ale odnalazł mnie. Zabił mojego kochanka, mojego ukochanego, na moich oczach, wmawiając mi, że robi to dla mojego dobra. A teraz odnalazł mnie ponownie.

I znów siedzę w pociągu, przeżywając w pamięci te najbardziej przerażające chwile mojego życia.

Rozsunęłam drzwi wąskiego przedziału sypialnego, mając nadzieję, że zobaczę Guya, gdyż bardzo pragnęłam go pocałować, gotowa byłam spędzić resztę nocy utulona w jego ramionach. Ale on leżał na łóżku w ciemnoczerwonej kałuży krwi. Miał nóż wbity w plecy. Podbiegłam do niego i wzięłam go w ramiona, starając się przywrócić mu życie. Wyciągnęłam z niego ten nóż, jeszcze zanim zdałam sobie sprawę, że w przedziale jest ktoś jeszcze, kto niespodziewanie przemówił.

Teraz opuszcza powoli Iris i układa ją na piasku, jakby rzeczywiście się o nią troszczył. Podejrzewam, że jest jej coś winien, bo to dzięki niej trafił od razu do mnie. Powinnam była jej dać dokładniejsze instrukcje, żeby nikomu nie ufała, ale bałam się nawet wymienić jego imię, kierując się paranoją, według której dysponował jakimś specyficznym alarmem odzywającym się na brzmienie jego imienia. Miałam nadzieję, że ktoś go widział w pociągu, że gdy napisała, że wszystko rozgryzła, to naprawdę poskładała wszystkie kawałki układanki.

Ale podejrzewała, że to Jake. Tymczasem on zniknął dawno temu i nie miał z tym wszystkim nic wspólnego. Ja też się zawsze obawiałam, że to właśnie Jake któregoś dnia stanie na mojej drodze. Wyobrażałam go sobie każdego dnia, przez co stale byłam gotowa do ucieczki. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Iris też będzie myślała w ten sposób, ponieważ nigdy nie sądziłam, że przeczyta mój stary dziennik.

– No, dobra – odzywa się z uśmiechem i chociaż nie myślałam o niczym innym od wielu tygodni, jakoś nie potrafię teraz powiązać tego człowieka z tym, którego kiedyś znałam. – Znów jesteśmy tylko we dwoje. To ona na razie musi się sama zatroszczyć o siebie. My wróćmy do chwili, kiedy się rozstaliśmy. Jak się masz, ślicznotko? Jak ci się powodziło? Spisałaś się doskonale. Mówiłem ci, żebyś uciekała, i tak zrobiłaś. Jestem z ciebie dumny.

Nie potrafię spojrzeć mu w oczy.

– Co ty tu robisz?

– Odnalazłem ciebie. Jak ci powiedziałem w pociągu, jestem w tobie zakochany. A to oznacza, że jestem dla ciebie gotów na wszystko, Laro. Absolutnie na wszystko. – Śmieje się krótko. – Myślę, że już tego dowiodłem.

Kłęknełam obok Guya, obróciłam w dłoni nóż i popatrzyłam na jego ostrze. Potem pogłaskałam go po twarzy. Pragnęłam wezwać pomoc, ale wciąż czułam się tak, jakbym śniła. Nagle ktoś stanął tuż za mną i położył mi rękę na głowie. Obejrzałam się szybko.

– Nie powinnaś była tego widzieć – powiedział Leon. – Nie mogłem znieść świadomości, że swoimi brudnymi łapskami wodzi po twoim ciele. Wybacz, kochanie. Nie miej mi tego za złe. Od dawna wiedziałem, że któregoś dnia będę musiał powiedzieć ci prawdę, nie chciałem jednak, żeby stało się tak, jak się stało.

Podniosłam się, nie całkiem rozumiejąc, co do mnie mówi, kiedy tłumaczył, że zawsze mnie kochał, od chwili kiedy byłam jeszcze małą.

– Nie martwiło mnie, kiedy byłeś z Finchem – powiedział z obrzydzeniem – ponieważ go nie kochałaś, niezupełnie. Wciąż byłeś moją Larą. Stanowiliśmy niezwykłą parę. Dopóki nie poznałaś jego. Chciał mi cię wykraść. Wybacz, ale po prostu nie mogłem do tego dopuścić.

Pamiętam, że odezwałam się wtedy głupio:

– Myślałam, że to będzie Jake.

– Byłaś w błędzie.

Od dawna przygotowywałam się na zasadzkę, ale nie na taką, mimo to zerwałam się do działania, zdumiona i odrętwiała. Wiedziałam, że mogę uciekać co sił w nogach przed kimś, kto chce mnie skrzywdzić, i więcej nikogo nie było mi trzeba. Nie spodziewałam się tylko, że to będzie Leon.

Popatrzył na mnie i uśmiechnął się.

– Pewnie będzie najlepiej, jak stąd znikniesz – przyznał. – Ja i tak cię wytropię w stosownym czasie.

Miałam wrażenie, że sięgam do mojego pakietu ratunkowego pozostającego w mojej szczelnie odizolowanej paranoi. W rzeczywistości okazało się, że postąpiłam dokładnie tak, jak powinnam, tyle że nie umykałam przed kimś, kto mnie nienawidził, ale przed człowiekiem, który mnie kochał do szaleństwa.

Jak tylko wjechaliśmy na stację w Reading, wysiadłam z wagonu drugiej klasy razem z grupką innych pasażerów, mając na głowie perukę, w którą zaopatrzyłam się w Hendon, żeby upodobnić się do Iris. Zgarnęłam jej pasemka na twarz i z pochyloną głową przekroczyłam z gromadką nieznanomych otwarte bramki biletowe na dworcu, po czym złapałam transport na Heathrow.

Wybrałam Bangkok, gdyż było to jedyne miejsce, gdzie ktoś taki jak ja mógł roztopić się w tłumie i przeżyć przez dłuższy czas, mając bardzo mało pieniędzy. Stopniowo przenosiłam się coraz dalej od miejsc, które odwiedzają turyści z Zachodu, sypiałam w najtańszych hotelikach, gdzie i tak czułam się tylko trochę bezpieczna, jadałam przy ulicznych straganach, regularnie zapadając na alarmujące sensacje żołądkowe. Logowałam się w sieci i obserwowałam z przerażeniem, jak wiadomość, że jestem morderczynią, roznosi się po całym świecie, z jeszcze większym przerażeniem odbierając doniesienia, gdzie mnie widziano. Na szczęście żadne nie pochodziło stąd. Bardzo chciałam wyznać wszystkim, że winien jest Leon, a nie ja. Chciałam porozmawiać z Samem, moimi

rodzicami, z Olivią, która, jak wynikało z doniesień prasowych, występowała w mojej obronie. I żałowałam, że obie zmarnowałyśmy tyle czasu na podsycanie wzajemnej nienawiści, kiedy prawdziwy zbrodniarz kręcił się niepostrzeżenie między nami.

W końcu miałam dość Bangkoku. Zatraciłam poczucie rzeczywistości i uciekłam do jedyne miejsce, jakie przychodziło mi na myśl: do Koh Lanty.

Iris, która nieświadomie sprowadziła do mnie Leona, leży nieprzytomna, a mój ojciec chrzestny, człowiek, którego kochałam i któremu ufałam przez trzydzieści pięć lat, konspiracyjnie szczyrzy do mnie zęby w uśmiechu, jak gdyby dawał do zrozumienia, że jeśli zgodzę się na jego warunki, wszystkie przeszkody znikną i już na zawsze będziemy razem.

Guy zginął przeze mnie. Teraz Iris czeka ten sam los. Nie mam szans stąd uciec, ponieważ dzika plaża z trzech stron jest otoczona skałami.

Jest tylko jedna rzecz, którą mogę zrobić. Przełykam ślinę i podejmuję próbę gry na zwłokę.

– Cóż, chyba naprawdę bardzo mnie pragniesz, Leonie – mówię z groteskową kokieterią. Słowa więzną mi w gardle, ale zmuszam się, by je wypowiedzieć. – Odnalazłeś mnie tutaj. Dobra robota. Wygrałeś.

Podchodzi bliżej. Wygląda głupio w białym T-shircie, nazbyt opiętym, bo uwypuklającym wielkie sutki, do tego w długich szortach i klapkach. Skwar nie służy Leonowi Championowi.

– Mówisz poważnie? – pyta. – Jesteś gotowa zaryzykować i związać się ze mną? Jestem jak księżę z bajki. Przechodziłem wiele różnych prób, żeby ciebie zdobyć. Czy w końcu zdobyłem rękę pięknej księżniczki?

Podchodzę i całuję go w policzek.

– Jasne, że tak. – Znów na siłę wypycham słowa z gardła. – Powiedz, co zamierzasz zrobić z Iris? Proszę, nie rób jej krzywdy. Bardzo proszę, Leonie. To moja przyjaciółka. Nic ci nie grozi z jej strony. Poza tym ci pomogła. Nie zabijaj jej.

Uśmiecham się do niego, żałując, że nie mogę odgadnąć, co się kryje za jego oczami. Zastanawia się nad moją prośbą.

– W porządku – odpowiada w końcu, westchnąwszy głośno. – Zrobię to dla ciebie, Laro. Żebyś nie mówiła, że nigdy nic dla ciebie nie zrobiłem, kochanie. Zabiorę ją stąd, ale jej nie zabiję. Masz na to moje słowo.

Rozdział 29

Iris

Ocknęłam się zapuchnięta i zgrzana. Gorące powietrze było tak duszne, że zaczęłam je łapać szybkimi, płytkimi, panicznymi haustami. Jak tylko to sobie uświadomiłam, wyteżyłam wolę, żeby się uspokoić, opanować oszalały puls i spróbować rozeznaczyć się w sytuacji.

Nie miałam pojęcia, gdzie jestem, ale słyszałam plusk wody. Otaczał mnie półmrok, ale to dlatego, że znajdowałam się w jakimś zamkniętym pomieszczeniu. Byłam tak zaskoczona, że wciąż żyję, że zaczęłam się zastanawiać, czy jednak nie umarłam.

Kiedy udało mi się wreszcie wyostrzyć wzrok, zobaczyłam, że jestem w pomieszczeniu o drewnianych ścianach. Była to jakaś chata czy barak, może raczej szopa. Gdzieś blisko pluskała woda. Prawie na pewno byłam wciąż w Tajlandii, w Koh Lencie, nad samym morzem.

A więc to był Leon. Leon! Ufałam mu bez zastrzeżeń. Umówiłam się z nim na spotkanie, przebrnęłam przez jego test, by udowodnić z kim jestem, po czym wszystko dokładnie mu opowiedziałam. Pamiętałam, jak stał przede mną i uśmiechał się lekko, ten uśmiech bardzo mi się podobał. Ufałam mu, a on mnie wykorzystał, żeby wytropić Larę. Nie znałam jeszcze szczegółów, ale miałam świadomość, że zrobiłam coś straszliwego, przerażającego.

A przecież od początku wiedziałam, że ktoś wrobił Larę. Nie podejrzewałam tylko, że to on. Był jej kochanym ojcem chrzestnym, największym stronnikiem i orędownikiem.

Okazał się potworem. Wiedziałam, że Lara jest w niebezpieczeństwie, lecz przyjeżdżając tutaj, zachowałam się niczym jej kat.

Nie mogłam się poruszyć, kilka minut zajęło mi ustalenie, że to nie przez ten środek, którym pozbawił mnie przytomności, ale dlatego, że mam ręce związane za plecami i skrępowane nogi. Na szczęście z moją twarzą wszystko było w porządku. Kiedy odważyłam się coś powiedzieć, udało się.

– Laurie – mruknęłam, jeszcze zanim sobie o nim przypomniałam. – Alex – dodałam.

Alex był bardziej realnym źródłem pomocy, ale znajdował się tysiące kilometrów stąd i o niczym nie miał pojęcia. Przekreśliłam się, żeby sprawdzić, czy wciąż mam telefon komórkowy wetknięty za gumkę bikini, ale go nie było. To oczywiste. Człowiek, który pozbawił mnie przytomności jakimś środkiem odurzającym, a potem związał i umieścił w tej szopie, nie mógł przecież zostawić mi telefonu za majtkami.

Nie potrafiłam nawet określić, o co mu chodzi, wiedziałam jednak, że popełniłam najstraszniejszą rzecz w moim życiu. Moja wielka radość z odnalezienia Lary trwała ledwie kilka sekund, nim ustąpiła miejsca swojemu

złowieszcemu zaprzeczeniu.

Ale zostawił mnie przy życiu. Pozostawało mi mieć nadzieję, że Lara miała rację. I że dysponowała jakimś planem awaryjnym. Ja byłam bezradna. Leżałam na podłodze, więc pozwoliłam sobie zamknąć oczy i pogrążyć się we śnie.

Obudziła mnie woda omywająca mi stopy. Początkowo, jak tylko odzyskałam świadomość, przyjąłam to z zadowoleniem, uczucie było cudowne. Spocona, w dusznym, gorącym pomieszczeniu, gdzie trudno było oddychać, czułam się zdecydowanie gorzej niż w Kornwalii czy Londynie. Powtarzałam sobie, że po powrocie już nigdy nie będę narzekać na europejski klimat. Dlatego zetknięcie stóp z chłodną, orzeźwiająca wodą wydało mi się tak cudowne.

Ale zaraz przypomniałam sobie, że leżę związana w jakiejś szopie w Tajlandii, a przed zaśnięciem moje stopy nie znajdowały się w wodzie. To mogło oznaczać tylko jedno: nadchodził przypływ.

Ale przecież nikt nie postawiłby szopy w miejscu, gdzie mogłaby się znaleźć pod wodą w czasie przypływu. Nikt nie stawiał niczego na plażach i na skałach. To nie miałyby sensu, więc musiało się dzieć coś innego.

Umysł miałam teraz dużo bardziej klarowny, toteż wykręciłam się, żeby ocenić swoją sytuację. Bolały mnie wykręcone do tyłu ramiona i napięte mięśnie, szczypała otarta skóra. Jak tylko to stwierdziłam, ból stał się nieznośny. Związałam mi ręce pomarańczową plastikową linką, w rodzaju tych, które strzepią się na setki elastycznych włókien. Przyszło mi do głowy, że pewnie znalazł ją gdzieś na tutejszej plaży, toteż ożyła we mnie nadzieja, że dam radę zerwać te więzy. Aż byłam zdziwiona, że nie wykorzystał czegoś mocniejszego.

Nogi skrępował mi taką samą linką, ale znacznie dłuższą, bo byłam nią owinięta od kostek aż nad kolana.

Woda stopniowo się podnosiła. To nie mógł być przypływ. Ale wcześniej omywała mi tylko palce stóp, teraz sięgała już do kostek. Pomyślałam jednak, że wykręcałam się i przetaczałam po podłodze, mogłam więc niechcący przemieścić się w jej kierunku. Przesunęłam się szybko jak najdalej od niej, chociaż przynosiła orzeźwienie. A w trakcie odkryłam, że jestem dodatkowo przywiązana do jakiegoś słupka znajdującego się wewnątrz szopy.

Po dwudziestu minutach musiałam uznać, że woda jednak faktycznie się podnosi. Leon Champion musiał jakimś sposobem umieścić tę szopę w takim miejscu, gdzie mógł ją zalać przypływ. Wiedziałam, że Alex zacznie się niepokoić, nie mając ode mnie wiadomości o spotkaniu z Larą, ale wiedziałam też, że minie bardzo dużo czasu, zanim jego troska przełoży się na próbę odnalezienia mnie. Nie mogłam tyle czekać. Byłam zdana tylko na siebie.

Ponownie spróbowałam odsunąć się jak najdalej od wody, ale ona już pluskała mi między kolanami. Wkrótce miała sięgnąć bioder, przekształcając się w groteskową karykaturę kąpieli w ciepłych źródłach czy na tropikalnych plażach. Nie było szansy, żeby zaczął się odpływ, nim woda zdąży zalać mnie

całkowicie. Człowiek pokroju Leona Campiona z pewnością nie podjąłby takiego ryzyka. A więc czekało mnie powolne zanurzenie w cudownie ciepłym morzu, aż utracę możliwość zaczerpnięcia oddechu.

Woda sięgała mi już do pasa. I groźnie zbliżała się do linii żeber. Zaczęłam z furią pocierać plastikową linką o ściankę szopy, ale nie było tu niczego, co stwarzałoby szansę uwolnienia się z więzów. Ten facet dobrze wiedział, co robi.

Ogarnęła mnie złość. Prawie przez pięć lat w wyobraźni utrzymywałam Lauriego przy życiu, bo nie mogłam się pogodzić z jego stratą. Teraz, kiedy naprawdę przydałaby się obecność jego ducha przy mnie, żeby pottrzymał mnie za rękę, pocałował, gdy woda będzie już sięgała mojej szyi, brody, ust, nigdzie go nie było.

Nie było tu niczego i nie było nikogo.

Rozdział 30

Lara

Obiecuj, że jej nie zabijesz – wyszeptałam.

Pogładził mnie po włosach.

– Obiecuję, skarbie. Nie jestem potworem! Prosiłaś mnie, żebym jej nie zabijał, więc tego nie zrobiłem.

– Naprawdę?

– Tak. Naprawdę. Przysięgam, że jej nie zabiłem.

– Dziękuję.

– Dla ciebie wszystko, moja droga. Wszystko. Jest twoją przyjaciółką, a to coś znaczy. Sporo zawdzięczam Iris Roebuck. Tak samo, jak ty.

Jesteśmy w odrażająco luksusowej willi. Ale Guy i tak nie żyje. Mój ukochany nie żyje, a ja już nic nie mogę dla niego zrobić, nie ożywię go. Tłumiłam w sobie rozpacz przez kilka ostatnich tygodni i teraz też będę musiała ją tłumić. Ulegnę jej, kiedy będę mogła, ale nie teraz. Teraz muszę się skupić.

Przebywanie w towarzystwie mordercy i spełnianie jego zachcianek wraz ze świadomością, że gdybym nie związała się z Guyem, żyłby do dzisiaj – wszystko to wręcz uniemożliwia mi odgrywanie narzuconej sobie roli. Niemniej zmuszam się do tego, bo nie mam innego wyjścia.

Willi jest umeblowana sprzętami z tropikalnego drewna, wszędzie stoją wazy pełne egzotycznych kwiatów. W Bangkoku żyłam na skraju nędzy, mając świadomość, że każdy zaoszczędzony baht pozwoli mi dłużej pozostać w ukryciu. Marzyłam wtedy o zdobyciu pieniędzy. Teraz oddałabym wszystko za możliwość powrotu do tamtej biedy, do świata, w którym Iris byłaby bezpieczna w Brytanii, a Leon wciąż by nie wiedział, gdzie jestem.

Z łatwością mogłam mu sama powiedzieć o swoich planach ucieczki, o skradzionym paszporcie i peruce Hendona. Gdybym miała się przed kimś zdradzić z tymi planami, to właśnie przed nim. Teraz efekt jest taki sam, jakbym to zrobiła.

Ściany pokrywa boazeria. Klimatyzację ustawiono tak, że jest nawet trochę za chłodno. Łoże królewskich rozmiarów jest masywne, następnym moim zadaniem będzie wymuszenie na Leonie zgody, bym mogła spać w drugiej sypialni. Tam jest zasuwka w drzwiach, już to sprawdziłam. Gdybym się mogła tam przenieść, przynajmniej odzyskałabym swobodę oddechu.

Leon obserwuje mnie z drugiego końca pokoju. Czy stoi, czy chodzi z kąta w kąt, spogląda na mnie z zadowoleniem.

– Czy pamiętasz tamten dzień, gdy miałaś chyba dwanaście lat? – odzywa się. – Zabrałem cię na zakupy do Marylebone. Pamiętasz? Byliśmy tylko we dwoje. Wydaje mi się, że właśnie wtedy zdecydowałem, że kiedyś będę dla ciebie kimś więcej niż tylko ojcem chrzestnym. Przeczuwałem, że wyrośniesz na piękną

kobietę. Nie pomyliłem się.

Owszem, pamiętam tamten dzień, choć wcale nie mam na to ochoty.

– Kupiłeś mi żółtą sukienkę.

– I buty.

– Były cudowne. Nosiłam je, dopóki nie stały się za ciasne.

– Zatem pamiętasz.

– Tylko że jesteś żonaty, Leonie. Ty i Sally...

– To bez znaczenia. Sally i ja nie byliśmy razem od lat. Nie masz się czym przejmować. Powinna się ucieszyć widokiem moich pleców.

– Czy ona wie... Chodzi mi o to, czy wie, gdzie jesteś.

– E tam, gównu ją to obchodzi.

– Aha.

Tęskniłam za tym, by móc zdjąć perukę, a teraz, gdy już nie muszę jej używać, chcę ją odzyskać. Było mi w niej gorąco, swędziała skóra, ale stanowiła szczególny element maskowania. Absolutnie nikt, ani straż graniczna na lotnisku, ani spotykani na ulicy policjanci, ani ciemne typki z Khao San Road, nikt się nie rozglądał za dziewczyną o takich włosach. Włosy bardzo mocno rzutują na wygląd człowieka.

Wiedziałam od początku, że Iris jest najsłabszym ogniwem w moich planach ucieczki. Zdawałam sobie sprawę, że gdy zauważy brak paszportu, na pewnym etapie połączy to z moimi odwiedzinami. Jednakże nie wyobrażałam sobie, że przyleci aż tutaj, żeby mnie odnaleźć, ani że wcześniej zwierzy się Leonowi, którego przecież nigdy przedtem nie spotkała i raczej nie powinna spotkać.

Mimo jego obietnic nie wątpię, że zapłaciła za to straszliwą cenę. Jak Guy i jak Rachel. Gdyby Iris mnie nigdy nie spotkała, żyłaby do dziś i wiodła doskonale szczęśliwe życie, a cała ta przygoda zapewne wydawałaby jej się czymś niewyobrażalnym. Mogłam jeszcze temu zapobiec, gdybym ją kategorycznie przed nim ostrzegła. Bojąc się nawet wymienić jego imię, skazałam ją... na to, co jej zrobił. Na śmierć.

– Zastanawiam się – mówi Leon – co teraz powinniśmy zrobić?

Przeciągam się i ziewam. Mój plan awaryjny to ulica Food Street w Singapurze. Muszę spróbować nakłonić go do wyjazdu do Singapuru na wypadek, gdyby jakimś cudem ona uszła z życiem czy też jeśli powiedziała policji albo komuś innemu, dokąd się wybiera i z jakiego powodu.

– Lećmy do Bangkoku – mówię, podwijając nogi pod siebie. – Bo chyba nie możemy tu długo zostać, prawda?

– Niestety nie. Nie ma takiej możliwości, choć pod wieloma względami byłoby to kuszące.

Podchodzi do mnie, gdy odpoczywam na sofie. Kuca przede mną, a ja staram się nie kulić ze strachu. Czuję woń jego oddechu. Kochałam tego człowieka bardziej niż własnego ojca, bo zdawało mi się od wczesnego dzieciństwa, że jest

jedyną osobą na świecie, której zależy na moim szczęściu. To właśnie u niego szukałam pomocy, gdy przeze mnie Rachel trafiła do więzienia. To Leon postawił mnie wtedy na nogi: Dobrze pamiętam, jak zabierał mnie na lunch, pisał maile, dzwonił do mnie do domu rodziców, kiedy leżałam całymi dniami i nocami, gapiąc się w ścianę i gotując powoli w gęstym sosie pogardy do samej siebie. Kiedy pobiegłam na komendę policji i zażądałam aresztowania, to Leon zmusił mnie, bym odwołała swoje zeznania. A kiedy za jego radą składałam wniosek o zatrudnienie, pisał mi referencje i tłumaczył, co mam mówić podczas rozmowy kwalifikacyjnej.

Teraz wiem, że robił to wszystko, gdyż chciał mnie osiąść.

– Problem polega na tym... – mówi mi prosto w twarz. Mam nadzieję, że nie domyśla się, jak bardzo nie chcę, żeby mnie pocałował, bo gdyby wiedział, na pewno by to zrobił. – ...że nie mam pewności co do Bangkoku. Dlatego że właśnie stamtąd przyleciałaś. Znasz to miasto na wylot. Wiesz, jak się w nim ukryć. Obawiam się, że mógłbym utracić swoje atuty, gdybyś postanowiła wyprowadzić mnie w pole. Bo ja nigdy tam nie byłem.

Czuję gęsią skórę na rękach. Widzę, jak wszystkie włoski stają dęba.

– Aha. – Przygryzam wargę. – A jeśli obiecuję, że będę grzeczna?

– Laro, kochanie. Ty i tak będziesz grzeczna. Właśnie zabezpieczam wszystkie drogi wyjścia.

– Tylko nie zmuszaj mnie, żebym wróciła do Singapuru – dodaję szybko, po czym zaciskam powieki. – Proszę, tylko nie to.

– Otwórz oczy i spójrz na mnie.

Robię to. Jak to możliwe, że dotąd nawet przez sekundę się go nie bałam? Wiedziałam, że różni się od innych ludzi. Wiedziałam, że jest bezlitosny dla swoich przeciwników, i podejrzewałam, że w interesach stosuje najbardziej paskudne metody, ale nie obchodziło mnie to, bo był dla mnie miły.

– To przez Rachel? Ta twoja singapurska fobia? Dlatego że gdy byłaś tam poprzednio, twoja przyjaciółka wylądowała w śmierdzącej więziennej celi? – Kiwam głową. – Sądzę więc, że powinnaś zwalczyć w sobie tę urazę, kochanie. Trzeba śmiało się mierzyć z takimi wyzwaniem. Teraz jesteś ze mną. Musisz zapomnieć o przeszłości.

– Ale mnie nawet nie wpuszczają do Singapuru. Byłam deportowana i wpisali mi coś do paszportu.

– Mylisz się. To dotyczyło Lary Finch. Albo raczej Lary Wilberforce. Ale nie Iris Roebuck. Jesteś jedyną Iris Roebuck, która w najbliższym czasie zgłosi się do odprawy paszportowej w Singapurze, możesz mi wierzyć. Nasza naiwna przyjaciółka, prawdziwa Iris, nigdy nie była znikąd deportowana, tego jestem pewien, ponieważ ta głupia suka nigdy niczego nie dokonała w swoim marnym życiu.

– Aha.

– Zaraz zarezerwuję dla nas bilety. Na dobrą sprawę nigdy tam nie byłaś. Nie znasz tego miasta. A ja je znam dosyć dobrze. Tam właśnie polecimy.

– Aha.

Przybliża się jeszcze bardziej do mnie.

– O nic się nie martw, Laro. To naprawdę wspaniałe miasto.

Kiedy wpisuje dane na klawiaturze laptopa, od czasu do czasu zerkając na mnie, uzmysławiam sobie, że jestem za spokojna. Powinnam się rzucić i wyskoczyć przez okno, wykrzykiwać imię Iris, próbować dzwonić na policję, żeby ją ratowali. Ale ja tylko ciągle leżę. Musiał mi coś zrobić i dopóki to nie minie, będzie miał nade mną pełną kontrolę.

Rozdział 31

Iris

Walczyłam aż do ostatniej chwili, szarpałam się w więzach, próbowałam przerwać sznur. Czułam, że powinno mi się udać, lecz choć wyęczałam wszystkie siły, wciąż nie było efektu. Wciskałam się najdalej jak tylko mogłam od wody, lecz ona wciąż się podnosiła, sięgała coraz wyżej.

Wyobrażałam sobie miny moich rodziców, od których stroniłam przez pięć lat spędzonych w żałobie, gdy do ich drzwi zapuka policja. Wyobrażałam sobie, jak w pierwszej chwili odrzucą tę wiadomość. Iris? Uwięziona w jakiejś dziwacznej szopie na plaży tajskiej wyspy? Nie, to na pewno jakaś pomyłka. Ale potem musieliby się z tym pogodzić, nawet jeśli było niewytłumaczalne.

Bo nikt nie mógłby wytłumaczyć, jak się tu znalazłam i co tu robiłam. Leon schwytał Larę, mogłam się więc domyślać, że ukryje się razem z nią gdzieś na zawsze, chociaż (zmusiłam się do logicznego myślenia) najprawdopodobniej musiał ją szantażować perspektywą oddania w ręce policji, żeby na każdym etapie spełniała jego życzenia. Czy zamierzał ją wywieźć z powrotem do Anglii i zmusić, by do końca życia pozostała jego marionetką? Zrobił to dlatego, że ją kochał, czy dlatego, że jej nienawidził?

Sama myśl, że do końca życia będzie ją trzymał w ukryciu dla swoich zachcianek, przyprawiła mnie o tak silne mdłości, że zwymiotowałam do wody, która sięgała mi już prawie do szyi. To było obrzydliwe. W stojącej wodzie wymiociny unosiły się wokół przez kilka minut, dopóki nie przyciągnęły ryb i w krótkim czasie aż się od nich zaroilo, mniejszych i większych, żerujących ochoczo na pływającej zawartości mojego żołądka. Wtedy też zauważyłam dziurę w drewnianej ścianie, przez którą dostawały się do środka. Zaczęłam więc napierać na będące pod wodą deski najbliższej ściany. Szopa nie była w najlepszym stanie. Liczyłam na to, że znajdę jakiś przegniły fragment i będę w stanie wybić dziurę w desce.

Udało się. Najpierw wybiłam piętą niewielki otwór. Potem nabrałam powietrza, zanurzyłam głowę pod wodę i rękami powiększyłam dziurę. Zdołałam wyrwać cały fragment ściany. Niewiele to jednak zmieniło, ponieważ byłam przywiązana do solidnej belki, której z pewnością nie miałam szans przełamać. W każdym razie dużo wcześniej musiałam się utopić. Resztki powietrza w szopie były tak rozgrzane, że nie miałam czym oddychać.

Znów zaczęłam krzyczeć. Robiłam to już wcześniej, ale bez rezultatu, postanowiłam więc zachować siły na próby rozerwania więzów. Z tego też nic nie wyszło, dlatego znów zaczęłam krzyczeć.

– Pomocy! – wrzeszczałam. – Ratunku!

Skoro już miałam umrzeć, bardzo chciałam, żeby zjawił się na ratunek Laurie. On już wiedział, jak to jest, kiedy siły życiowe opuszczają ciało. Przechodził już

przez to, w trochę innych okolicznościach, ale przecież tak samo, dlatego był mi potrzebny. Zaczęłam więc wykrzykiwać jego imię, raz za razem. Ale się nie pojawiał. Pożegnałam się z nim, z tym prawdziwym Lauriem, w Bangkoku, domyślałam się więc, że mogę zapomnieć o istnieniu jego ducha.

– Laurie! – krzyczałam mimo wszystko. – Pomóż mi! Pomocy! Przyjdź tu i uwolnij mnie!

Bardzo chciałam wierzyć w życie po życiu. Wmawiałam sobie, że gdy woda, która sięgała mi już do ust, podniesie mi się do nosa, wyruszę długim tunelem w stronę światła, gdzie na końcu spotkam Lauriego i moich dziadków, wszystkie moje zwierzaki, które zdechły, chomiki, koty i trzy króliki, biegające wokół mnie, skaczące i ocierające się o moje nogi, i wszystko dokoła, wspaniałe i magiczne, będzie trwało całą wieczność.

Ale nawet w skrajnej desperacji nie potrafiłam w to uwierzyć. Wydawało mi się, że nie istnieje nic poza unicestwieniem. Miałam na zawsze zniknąć spośród żywych.

Ciepła woda dostała mi się do ust. Nie mogłam jej wypluć, więc przełknęłam. I przez straszliwą chwilę myślałam, że znowu zwymiotuję. To już by nie wyszło mi na dobre. Zastanowiłam się krótko nad logistyką w takiej sytuacji. Czy w ogóle mogłam zwymiotować do wody, skoro nie byłam już w stanie zaczerpnąć powietrza ustami? Byłoby to bardzo nieprzyjemne, toteż całą siłę woli skierowałam na opanowanie torsji. Nie mogłam też już krzyczeć. Mogłam tylko odchylić głowę maksymalnie do tyłu, żeby jeszcze trochę przedłużyć możliwość oddychania.

W końcu woda sięgnęła mi nosa i drobnymi falami zaczęła się wlewać do środka, potem cofać, znów wlewać i znowu cofać. To robiło się nudne. Miałam ochotę od razu się zanurzyć, ale coś, jakiś instynkt, kazało mi się utrzymać przy życiu najdłużej jak to możliwe, zmuszało do ciągłego odchylenia głowy do tyłu, żeby nozdrza znajdowały się jeszcze nad powierzchnią wody tak długo, jak tylko się da.

Ale w końcu woda znowu sięgnęła mi do nosa. Nabrałam w płuca tyle powietrza, ile tylko mogłam, przekonana, że to mój ostatni w życiu oddech, lecz w tej samej chwili wydało mi się, że słyszę dobiegający gdzieś z oddali odgłos pracy silnika. Doleciały mnie też głosy ludzi, a warkot stopniowo zaczął się przybliżać.

Rozdział 32

Lara

Szprycuje mnie środkami uspokajającymi; jak tylko to odkryłam, wszystko stało się jasne. Przedwczoraj mogłam zebrać myśli i normalnie rozmawiać. Teraz poruszenie ręką czy nogą wymaga wzmożonego wysiłku i zebrania całej siły woli. Mówienie to już prawdziwy tryumf, zwłaszcza jeśli słowa mają być choć z grubsza zrozumiałe. Bez przerwy tylko śpię albo leżę. Wolę spać, wtedy przynajmniej odcinam się od wszystkiego. Nie wiem, co to za środki, ale blokują mi przepływ myśli. Sprawiają, że staję się jego bezwolnym jeńcem. Cała moja egzystencja wydaje się spowolniona i trwam w różowej mgiełce świadomości, że nie ma żadnych ważnych spraw, którymi musiałabym się martwić.

Guy nie żyje, ale to jest w porządku, bo przecież wszyscy podążamy w tym kierunku i nieważne, czy zdarzyło się to teraz, czy miałoby się zdarzyć za trzydzieści lat. Dla wszechświata nie stanowi to żadnej różnicy. Iris również zniknęła. I to także jest w porządku. Cokolwiek zrobi ze mną, też nie będzie miało znaczenia, ponieważ to Leon, mój ojciec chrzestny, i nic mi przy nim nie grozi.

Kupił mi piękne ubrania i czesze moje włosy. Nakłania mnie, żebym się malowała, co robię ostrożnie, bo ręce mi ciężą. Jem i piję to, co stawia przede mną, mając świadomość, że będzie dbał, abym była zdrowa i naszprycowana, jak też zachowała szczupłą sylwetkę mimo leżącego trybu życia.

Jeśli mnie pamięć nie myli, do tej pory mnie nie tknął. Cieszę się z tego, bo inaczej byłoby to nieznośne. Zarazem mnie to przeraża, gdyż oznacza, że ma jakiś długofalowy plan. Gdyby nie miał się dokąd udać i tylko czekał na wizytę policji, już by się na mnie rzucił. Oboje świetnie wiemy, że mógłby zrobić ze mną wszystko, stąd też to, że utrzymuje mnie w stanie ciągłego otumanienia, że ciągle czeka, jest jeszcze gorsze od każdej innej alternatywy.

Tylko w chwilach takich jak ta, gdy działanie środków zaczyna ustawać, gdy serce zaczyna mi mocniej bić i umysł się wyostrza, na nowo ogarnia mnie przerażenie. Bardzo się staram, by nie zauważył, że odzyskuję siły, i desperacko usiłuję znaleźć jakieś wyjście. Muszę odnaleźć swój telefon i zadzwonić po pomoc. Może to być też jego telefon, poradziłabym sobie. Zadzwoniłabym do domu, do rodziców i nakłoniła ich, żeby wszczęli alarm.

To śmieszne. Bo przecież alarm został już wszczęty i nawet ustawiony na najwyższy możliwy poziom, choć tylko Iris mnie odnalazła. Mogłabym zadzwonić i do niej, ale zabrał jej telefon i wyrzucił do morza. Widziałam to. Zresztą niezależnie od tego, co mi wmawia, jestem przekonana, że ją zabił. W najlepszym razie nie zrobił tego własnoręcznie, aby móc mi przysięgać, że zostawił ją przy życiu. Do tej pory na pewno już nie żyje, bo tylko ona wie, że to on jest winny.

Mogłabym wyskoczyć przez okno, gdyby nie to, że willa jest klimatyzowana, a jej właściciele wierzą tak bardzo w wydajność urządzeń, że okna się tu w ogóle

nie otwierają. Odkryłam to w czasie poprzedniego nawrotu przytomności, gdy zaskoczył mnie podczas próby wybicia szyby. Posadził mnie delikatnie i podał drinka pełnego alkoholu i środków uspokajających, więc szybko popadłam z powrotem w stan obojętności. Tym razem będę bardziej ostrożna.

Słyszę, jak w sypialni stuka w klawisze laptopa. Siedzę na sofie i się rozglądam. Oczywiście nigdzie w zasięgu wzroku nie ma telefonu. Trzyma swojego iPhone'a przy sobie. Moją tajską komórkę schował do sejfu, pamiętam jak przez mgłę, że przyglądałam się, jak to robił. To smartfon, który kupiłam w Bangkoku i załadowałam do niego jednorazową kartę, żeby nie dało się go wyśledzić (widziałam Sieć, mam pewne pojęcie, jak działają takie aparaty), ale nie znam kombinacji liczb do szyfrowego zamka sejfu.

Ale przynajmniej wiem, gdzie jest.

Wstaję najciszej jak potrafię i ruszam na palcach po lakierowanych deskach podłogi. Stukanie w klawisze ustaje. Zastygam bez ruchu, mając ochotę podbiec z powrotem do sofy. Jednak Leon wraca do pisania. Po chwili rozlega się jego ostry głos i na sekundę ogarnia mnie śmiertelny strach, ale zaraz przychodzi ulga.

– Annie! – mówi głośno. – To ja. Tylko sprawdzam. Co nowego?... Och, tak, dzięki, w porządku. Chciałbym wiedzieć, czy przyszły już dokumenty w sprawie Hitchensa. Mam na niego oko i możesz im to wprost powiedzieć. Nie będę akceptował żadnych żalonych wymówek.

Otwieram drzwi biurka. Trzeszczą cicho, ale Leon mówi dalej. Mam sejf przed sobą. Jest mały, tego rodzaju, jakie stosuje się w wyposażeniu pokoi hotelowych. Ale jest zamknięty.

Wciskam przypadkowy klawisz i rozlega się głośny elektroniczny pisk. Leon milknie na dobre, toteż biegnę na palcach do sofy, kładę się i zamykam oczy.

– Zaczekaj chwilę, Annie – mówi, po czym zagląda do pokoju. Czuję na sobie jego spojrzenie, ale nie otwieram oczu.

Jakiś czas później znów wracają mi zmysły. Wiem, iż żadnym sposobem nie zdołam stąd uciec. Okresy przytomności są krótkie, bo on stale mnie obserwuje i wie, że odzyskuję jasność umysłu między kolejnymi dawkami środka odurzającego. Nigdy nie zdążę uciec w tych chwilach.

Próbowałam tylko udawać, że jem, ale zmusza mnie do połykania. Kiedy zaczynałam krzyczeć i wzywać pomocy, zagroził, że da mi zastrzyk i pozbawi przytomności.

– Nie chcę tego – powiedział łagodnie – ale gdy będę musiał, zrobię to. Nie martw się, skarbie. Zrozumiesz, gdy będziesz gotowa.

– Nie zrozumiem! – krzyknęłam, tracąc panowanie nad sobą.

To był błąd, którego już nigdy nie powtórzę, gdyż trzasnął mnie z całej siły w twarz, a potem wrzeszczał, że go do tego zmusiłam, dopóki nie wymusił na mnie przeprosin.

Krótką samotnością mogę się cieszyć tylko wtedy, gdy idę do toalety. Okienko

w łazience jest małe, umieszczone wysoko, z matową szybą. Czasami staje pod drzwiami, pewnie z obawy, żebym sobie czegoś nie zrobiła. Ale najczęściej zostaje sama. Mam wrażenie, że uważa się za dżentelmena, dlatego pozwala mi na chwile intymności w łazience.

Nie mam pojęcia, od jak dawna tu jesteśmy i jaki dziś dzień. Niewykluczone, że to wcale nie trwa długo. Na pewno spałam, zapakował mnie do tego wielkiego łóża, a sam położył się na jednoosobowym tapczaniku stojącym w kącie sypialni. Wcześniej mocno mnie naszprycował, żeby uniknąć niebezpieczeństwa, że ucieknę, gdy będzie spał.

Jeśli bardzo mocno się skoncentruję, pewnie byłabym w stanie spróbować coś zrobić. Ale to by znaczyło, że w okresie przytomności musiałabym opracować taki plan, który zdołałabym wcielić w życie otumaniona. Gdybym teraz myślała o tym nadzwyczaj intensywnie, może udałoby mi się wryć go głęboko w pamięć. Wolałabym zostawić sobie pisemną notatkę, ale to niemożliwe.

Rozlega się pukanie do drzwi frontowych. Staram się nie reagować. Leon zjawia się po chwili.

– Nigdzie się stąd nie ruszaj, skarbie – nakazuje. Odpowiadam skinieniem głowy. Otwiera drzwi, podaje plik banknotów i mówi: – Dziękuję, to wystarczy. Ja się dalej tym zajmę.

Wnosi do środka tacę, kopniakiem zatrzaskuje drzwi i po chwili znika w drugiej sypialni, którą traktuje jak swoje biuro.

Po chwili wraca z posiłkiem, oczywiście już zaprawionym środkami uspokajającymi, i stawia tacę przede mną.

– Kochanie – zaczyna z uśmiechem, siadając obok mnie. – Pora na twój lunch.

A więc jest pora lunchu. Notuję w pamięci to spostrzeżenie.

– Chodź. Usiądź ze mną przy stole.

Dostaję na lunch wegetariański zestaw obiadowy, zupę jarzynową, sałatkę owocową i dwa napoje. On ma porcję pad thai, piwo i butelkę wody mineralnej. Kiedy siadamy naprzeciwko siebie przy grubo lakierowanym stole, przygląda mi się uważnie.

– Jutro stąd wyjeżdżamy, skarbie – mówi, obserwując moją reakcję. – Nie chcę żadnych głupich numerów, jasne? Robię to dla ciebie. Któregoś dnia to zrozumiesz. Już nigdy nie możesz wrócić do domu, bo wywołałabyś tylko lawinę głupich pytań powtarzanych w kółko przez tępych policjantów. Nie pozwolę, żeby zamknęli cię w którymś ze swoich więzień. Wykluczone. Dlatego zorganizowałem coś wspaniałego. Słuchasz mnie? Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Pokornie kiwam głową.

– Gdzie zawsze chciałaś zamieszkać?

– No... – Zależy mi na tym, żeby odpowiedzieć właściwie, ale nie mogę sobie przypomnieć, jaka jest właściwa odpowiedź. W różnym czasie chciałam mieszkać w różnych miejscach. – W Londynie?

– Och, Laro. – Uśmiecha się pobłaźliwie, ale cieszy go, że powiedziałam coś głupiego, bo to oznacza, że jego środki działają. – Nic podobnego. Nie martw się.

Widzę, że nie możesz się skoncentrować. Naprawdę nie pamiętasz, ile razy rozmawialiśmy o Nepalu? Opowiadałaś mi, że któregoś dnia kupisz sobie dom w górach, w Himalajach, rzucisz wszystko i tam się przeniesiesz. Bez Sama Fincha, bez głupich żonatych kochanków, całkiem sama. Będiesz oddychała czystym górskim powietrzem, codziennie chodziła na spacer, może zaczniesz hodować kilka kóz i kurczaków, żeby upodobnić się do tubylców.

Znowu kiwam głową.

– Kupiłem go, skarbie. Mamy dom oddalony o trzy godziny drogi od Katmandu. Stoi z dala od turystycznych szlaków, w pobliżu nie ma innych zabudowań. Musiałem za niego zapłacić cholernie wygórowaną cenę! Ale teraz możemy tam zamieszkać, we dwoje, na zawsze. Twoje marzenie się spełnia i spełnia się też moje marzenie.

Próbuję to sobie wyobrazić. Nic z tego nie wyjdzie. W końcu zjawia się tam ludzie, którzy mnie rozpoznają.

– Ale... – zaczynam ostrożnie, ponieważ czuję, że jego środki zaczynają działać. Jeszcze na chwilę zalewa mnie fala śmiertelnego przerażenia, ale zaraz ogarnia mnie błogi spokój. – Co z twoim interesem? Masz firmę w Londynie. No i Sally. Będą cię szukać.

– I to jest właśnie najlepsze, moja droga. Nie będą. – Urywa, żeby włożyć do ust i przeżuć porcję makaronu. – Odszedłem od Sally. To było nam pisane już od dawna. Jest zabezpieczona finansowo. Powinna być przekonana, że rozstanie było dla mnie silnym wstrząsem i wyjechałem gdzieś, żeby dobrać do siebie. Prawdopodobnie sądzi, że zaszyłem się gdzieś z gromadką młodych Azjatek. Wszystko mi jedno. Annie wie, że nie powinna o nic pytać, dopóki jestem z nią w kontakcie i z daleka kieruję wszystkimi sprawami. Nikt inny nie powinien się mną interesować. Zawsze mogę powiedzieć, że na jakiś czas przenieśliem się za granicę. Jestem wolnym agentem.

– Aha.

Nie jestem w stanie pojąć wszystkiego, co powiedział, ale wiem, że to nie jest dobre. Odkładam łyżkę.

– Bądź uprzejma dokończyć tę zupę, skarbie. No już, szybciotko. Potem będziesz mogła się znów położyć.

Sięgam po łyżkę i wykonuję polecenie. Zmusza mnie też do wypicia wody oraz napoju z drugiej szklanki, koktajlu z alkoholem, bez wątplenia także wzbogaconego środkami uspokajającymi. Chcę go zostawić, lecz nie pozwala mi na to.

Wreszcie wstaję od stołu na miękkich nogach, co przyjmuje z satysfakcją.

– Dobra dziewczynka – mówi.

– Muszę iść do toalety – mamroczę.

– Oczywiście. Dasz sobie radę?

– Tak.

– Tylko się pośpiesz. Nie chcę, żebyś tam zasłała.

Wraca do przerwanej posiłku, który popija piwem. Zamykam drzwi łazienki

i przypominam sobie wszystko jak przez mgłę. Jego środki dopiero zaczynają działać. Wcześniej udawałam. Szybko, dopóki jeszcze mogę, odkręcam kran i włączam wentylatorek, żeby zagłuszyć odgłosy, po czym klękam przed sedesem i wtykam sobie palce głęboko do gardła.

Robiłam to kilka razy, gdy byłam nastolatką. Jestem pewna, że większość nastolatków stosuje tę metodę. Okazuje się, że gdy człowiek raz opanuje właściwą technikę, spowodowanie wymiotów jest tak proste, jak jazda na rowerze. Odnajduję odpowiednie miejsce, szybko cofam rękę i zwracam cały lunch. Szybko tłumię torsje, gdy czuję, że mam już pusty żołądek.

Trzykrotnie spuszczam wodę w toalecie, żeby się pozbyć pływających na powierzchni szumowin, po czym myję zęby. Upewniam się jeszcze, że wyglądam dobrze, po czym zgięta wpół, jakbym miała zaraz zemdleć, dowlekam się do sofy.

– Wszystko w porządku? – pyta Leon z drugiego końca rozległego pomieszczenia.

– Mmm? – odpowiadam, układając się w swojej zwykłej pozycji.

– Nic takiego. Nie przejmuj się.

Zamykam oczy. Teraz jest dużo lepiej.

Rozdział 33

Iris

Przepraszam – mówię

Kobieta rozmawiała przez telefon, siedząc za biurkiem, na którym leżała rozłożona mapa, dwie starego typu księgi rachunkowe, lornetka i masa porozrzucanych papierów. Uśmiechnęła się do mnie, zakryła dłonią mikrofon i powiedziała:

– Chwileczkę.

Spojrzałam na tablicę za jej plecami i wiszące na haczykach klucze. Moja chata miała numer trzydziesty szósty. Na tym miejscu wisi klucz, chociaż swój zgubiłam gdzieś po drodze. Odpowiadam uśmiechem, wskazuję palcem tablicę, przekradam się obok niej i zdejmuję klucz z haczyka. Nawet nie próbuje mnie zatrzymać.

Słońce mnie oślepiało, gdy wspinałam się po kamienistej ścieżce. Byłam koszmarnie głodna, ale jeszcze bardziej zależało mi na szybkim powrocie do hotelu, żeby sprawdzić, czy ten psychopata wyrzucił wszystkie moje rzeczy do morza i spalił domek, żeby zatrzeć za sobą ślady. Był zdolny nawet podłożyć bombę w sypialni albo opłacić gromadę zabójców, którzy zastrzeliliby mnie z sąsiedniego dachu, gdybym się tylko pojawiła.

Jeśli zostawił mnie związaną na pewną śmierć, to aż bałam się pomyśleć, co robił Larze. Nie potrafiłam jeszcze rozgryźć wszystkiego dokładnie, ponieważ nie wiedziałam, co się naprawdę stało w pociągu. Wiedziała jednak, że próbowała się przed nim ukryć, a ja ją odnalazłam dla niego. Byłam również pewna, że gdybym nie zwymiotowała do morza, czym zwabiłam tutejsze ryby, zalewana falami szopa nie przyciągnęłaby uwagi rybaków z kutra, którzy uwolnili mnie z więzów i przywieźli na ląd.

Mój domek stał nietknięty. Najwyraźniej Leon postanowił nie zawracać sobie nim głowy. Chwyciłam portfelik z pieniędzmi i pobiegłam z powrotem do kobiety w recepcji, która skończyła rozmawiać przez telefon.

– Muszę zadzwonić – powiedziałam. – To bardzo pilne. Pozwoli mi pani?

– Rozmowa zagraniczna? – spytała, nawet na mnie nie patrząc, gdyż sięgała do szafy po formularze meldunkowe gości.

– Tak.

– Może pani stąd zadzwonić, ale potem będzie musiała zapłacić.

– Dziękuję!

– Proszę wybrać jedynekę i numer kierunkowy kraju.

Uświadomiłam sobie nagle, że nie znam numeru Alexa. Zaczęłam się gorączkowo zastanawiać, do kogo innego mogłabym zadzwonić. Nie widziałam się z Alexem od czasu, jak uciekłam, gdy mnie pocałował, co zdarzyło się jakby milion lat temu na bardzo odległej planecie. Po raz ostatni kontaktowałam się z nim

z Bangkoku. Na pewno nie miał pojęcia, co się tu stało.

Nie mogłam zadzwonić do rodziców. Bardzo wiele musiałabym tłumaczyć, nim mogłabym zacząć wyjaśniać, gdzie jestem i dlaczego. Jedynymi ludźmi, którzy wiedzieli o moim wyjeździe, byli Alex i Leon.

W końcu przywołałam z pamięci numer linii stacjonarnej Sama Fincha, który pamiętałam jeszcze z tamtego dnia, gdy znalazłam go na kartce przymocowanej do lodówki, kiedy Lara nie wróciła z Londynu. Powiadomienie go było jedyną rzeczą, jaka przychodziła mi do głowy. Dobrze pamiętałam, jak dyktowałam ten numer policji, która przyjechała na wieść o zaginięciu Lary: 551299.

Odebrał po szóstym sygnale.

– Halo?

Wzięłam głębszy oddech i zamknęłam oczy.

– Sam – zaczęłam – tu Iris.

– Iris. Cześć. Wszystko w porządku?

– Chyba cię nie obudziłam, prawda?

– Jest piąta nad ranem. Ale ja teraz nie śpiam. Jesteś jeszcze w Londynie?

Zawahałam się.

– Mniej więcej. Nie wrócę do Kornwalii jeszcze przez jakiś czas. Posłuchaj, Sam. Mam do ciebie pilną prośbę. Czy masz numer telefonu komórkowego detektywa Zielowskiego?

Przez kilka sekund dęsał się i mamrotał coś pod nosem, ale w końcu go znalazł.

– Do czego on ci jest potrzebny? Nawet już nie prowadzi śledztwa. Robił tylko przesłuchania na polecenie zespołu dochodzeniowego. W każdym razie nikt z tutejszej policji już nie jest mną zainteresowany. Musieli wrócić do ściągania kotów z drzew dla zrozpaczonych dzieciaków.

– Mam pilną sprawę. Zadzwonię do ciebie, jak będę mogła, i wtedy wszystko ci opowiem, dobra?

Rozłączyłam się i wybrałam numer Alexa, nawet nie pytając recepcjonistki, czy mogę jeszcze raz zadzwonić. Rozmawiała z jakimiś ludźmi, którzy dopiero co przyjechali. Przyglądałam się uważnie wszystkim przechodzącym przez recepcję, bo chwilowo nie miałam się gdzie schronić i nic nie mogłam na to poradzić.

Alex odebrał i od razu spytał zasnianym głosem:

– Iris?

Poczułam tak przemożną ulgę, że o mało się nie popłakałam.

– Posłuchaj – wyrzuciłam z siebie. – Nie odzywaj się, dopóki nie skończę. Musimy działać natychmiast i jest coś, co musisz dla mnie zrobić.

Odczekałam chwilę, żeby to do niego dotarło i żeby całkiem się obudził, po czym przykułam jego uwagę zupełnie surrealistyczną opowieścią.

– ...możliwe, że już zdążył ją zabić – zakończyłam – jednak zgodnie z planem awaryjnym miałam się udać na ulicę Food Street w Singapurze, więc właśnie zamierzam to zrobić i zobaczyć, co się stanie.

– Iris. Nie rób tego. Pozwól mi zawiadomić chłopaków z „Operacji Wodnik”. Oni polecą tamtejszej policji, żeby go aresztowała. Zostaw resztę mnie.

To było logiczne.

– Jasne – przyznałam. – Niech tajaska policja ich szuka. Oczywiście. Tak byłoby najlepiej.

– A ty wracaj. Dobrze? Zrobiłaś już wystarczająco dużo. Bardzo się o ciebie martwiłem i jak się okazuje, nie bez powodu. Aż trudno mi uwierzyć, że wyszłaś z tego cało. Nie kuś więcej losu. Wracaj do domu. Naprawdę zrobiłaś w tej sprawie wystarczająco dużo, a na pewno nie chciałybyś mieć już nigdy do czynienia z tym człowiekiem. Bóg jeden wie, czego się jeszcze dopuścił.

– Tak, wiem. Posłuchaj, polecę do Singapuru na wypadek, gdyby Larze udało się dostać na Food Street, zaraz potem wykupię bilet na lot powrotny do domu. W porządku? To rozwiązanie kompromisowe.

Milczał przez chwilę.

– Dobra. Tylko zostań w kontakcie. Dzwon do mnie. Kup sobie tajską komórkę i podaj mi jej numer. Ja... no cóż, puszcze maszynerie w ruch. Tyle mogę zrobić, Iris. Nie jesteś sama.

– Dzięki.

– Obiecuj, że będziesz dzwoniła.

– Obiecuję.

Kiedy zostałam wyciągnięta przez rybaków z kutra i dotarło do mnie, że nadal żyję, zaczęłam ich błagać, żeby mówili wszystkim, że znaleźli trupa. To byłoby najlepsze rozwiązanie, jeśli tylko dobrze zrozumieli. Byli cudowni, jeden wielki i muskularny, drugi młodszy i drobniejszy. Troskliwie się mną zajęli, trzymali mnie mocno, kiedy zwracałam słoną morską wodę z żołądka za burtę ich małego drewnianego kutra, potem dali mi słodkiej wody z butelki i próbowali się dopytać, co, u diabła, robiłam związana sznurem w zatopionej przez przyływ szopie.

Kasłałam i plułam, czując wdzięczność za to, że nie do końca się rozumiemy. Bo nawet bym nie wiedziała, od czego zacząć wyjaśnienia.

Kiedy popatrzyłam z zewnątrz na swoje więzienie, dojrzałam, że szopa pierwotnie stała na palach i dlatego tak łatwo można ją było przemieścić. W okolicy stało ich więcej podobnych do niej, butwiejących i porzuconych. Leonowi wystarczyło zwalić tę jedną, zaciągnąć ją bliżej linii wody i tam ją zostawić. Był szalony.

Rybaczy chcieli dzwonić na policję, ale się sprzeciwiłam i poprosiłam tylko, żeby podrzucili mnie bliżej plaży pod domkami hotelu. Bardzo martwili się o moje samopoczucie, starszy wyskoczył razem ze mną z kutra, chcąc odstawić mnie do jakiejś odpowiedzialnej osoby – chociażby recepcjonistki z hotelu – i przekazać w jej ręce, wyjaśniając, co mi się przytrafiło, ale stanowczo zaprotekowałam. Skończyło się na tym, że musiałam na niego nakrzyczeć, aby dał mi spokój, dopiero wtedy z ociąganiem ruszył z powrotem na kuter.

Byłabym o wiele bezpieczniejsza, gdyby zechcieli udawać, że znaleźli trupa, i jakimś cudem ta wiadomość trafiła do mediów. Ale szanse na to były już teraz

znikome. Musiałam więc bardzo uważać.

Patrzyłam na widoki wyspy przesuwane się za oknem taksówki. Nie odzywałam się do kierowcy, więc zrezygnował po kilku próbach nawiązania rozmowy. Spoglądałam na tablice zachwalające „przyjęcia w pełni księżyca”, które górowały nad szeregami przydrożnych barów i hotelików. Gdzieś dostrzeżałam też tablice z napisem „strefa tsunami”. Słońce prażyło dzisiaj niemiłosiernie i mimo że siedziałam przy opuszczonej szybie, w twarz uderzał mnie jedynie tropikalny żar. Mijaliśmy pojedynczych ludzi, tubylców, wczasowiczów albo traperów z plecakami. Po przeczytaniu starego dziennika Lary spodziewałam się, że będą tu głównie młodzi ludzie wędrujący z plecakami, ale tak nie było. Prawdę mówiąc, podejrzewałam, że teraz już mało kto podróżuje z plecakami, przynajmniej nie w taki sposób, jak kiedyś.

Za oknem wszystko wyglądało jak pokolorowane i nierealne. Aż bałam się pomyśleć, jakie to robiło wrażenie w większej skali. Teraz jednak nie pozostało mi już nic innego, jak wyjechać z wyspy.

Wystawiałam więc twarz na uderzenia gorącego powietrza i starałam się o niczym nie myśleć. Okazałam się bezużyteczna, cała ta sprawa mnie przerosła. Alex miał rację, powinnam teraz przekazać ją w ręce zawodowców, dostać się do Singapuru, na wszelki wypadek sprawdzić Food Street i wracać do domu. Raz ją odnalazłam, ale to nie znaczyło, że uda mi się po raz drugi.

Taksówkarz zatrzymał wóz przed terminalem przystani promowej na północy wyspy, po czym otworzył mi drzwi i wypakował moją torbę z bagażnika. Zaledwie wysiadłam na ten skwar, od razu się spociłam, a poczułam w głowie taki ucisk, jakby czaszka miała mi pęknąć. Kiedy zapłaciłam kierowcy ubranemu w grubą bordową bawełnianą koszulę, a on uśmiechnął się i odjechał, zrozumiałam, że muszę się wreszcie ruszyć. Nie mogłam tak stać w popołudniowym skwarze, na oczach wszystkich, łudząc się nadzieją, że wszystko będzie w porządku.

Jak spod ziemi wyrósł przede mną żyłasty mężczyzna i zapytał, czego potrzebuję.

– Taxi? Hotel? Restauracja? Łódź?

Odetchnęłam z wdzięcznością.

– Łódź – odparłam. – Dziękuję.

– Prom do Krabi? Jutro rano. Zaraz? A może łódź prywatna.

Miałam mnóstwo gotówki, więc skinęłam głową. Gdziekolwiek był teraz Leon i dokądkolwiek zmierzał, musiał przejść przez tę przystań. Być może już to zrobił, ale i tak musiałam wynieść się stamtąd jak najszybciej.

– Ile?

Po dwudziestu minutach zasiadłam w ślizgaczu z butelką schłodzonej wody mineralnej, zapłaciwszy równowartość około stu funtów za transport do przystani

w centrum Krabi. Z mojego punktu widzenia były to jak dotąd najlepiej wydane pieniądze.

Podróżując w tę stronę, zatrzymałam się w Krabi tylko na krótko. Teraz wyskoczyłam z motorówki, podziękowałam sternikowi, dałam mu hojny napiwek i pobiegłam do biura podróży po drugiej stronie ulicy. Gdzieś niedaleko za mną zaszczekał pies. W normalnych warunkach bym się wystraszyła, ale dzisiaj nie zwracałam na to uwagi. Gdyby skoczył do mnie z wyszczerzonymi kłami, jednym kopniakiem powybijałabym mu wszystkie zęby z pyska.

Na mój widok pulchna kobieta z włosami zebranymi w kok uśmiechnęła się szeroko.

– Dzień dobry, zapraszam. – Wskazała mi krzesło. Przy drugim biurku siedziała dwójka dzieci w szkolnych mundurkach i chichotała, pochylając się nad czymś. Nad nimi od ściany odklejał się wyblakły plakat przedstawiający uśmiechniętą młodą kobietę.

– Cześć – rzuciłam. – Czy może mi pani sprzedać bilet lotniczy do Singapuru?

Przysunęła sobie klawiaturę komputera.

– Oczywiście – odparła. – Kiedy chce pani lecieć?

– Dzisiaj?

Pokręciła głową i przygryzła wargi.

– Niestety. Przykro mi, ale jest za późno. Może być jutro albo w środę.

Westchnęłam głośno.

– Dobrze. Jutro. Dziękuję.

– Bilet będzie kosztował tysiąc dziewięćset bahtów.

– Nie ma sprawy. – Przemknęło mi przez głowę, żeby od razu poprosić ją o bilet do Londynu, ale rozmyśliłam się. Mogłam to załatwić przez internet albo po przylocie do Singapuru. Kupno biletu tutaj mogło być niebezpieczne.

– Doskonale. – Odśloniła zęby w szerokim uśmiechu. – Mogę prosić paszport? Życzy pani sobie również taksówkę na lotnisko? Wróci pani do mojego biura o wyznaczonym czasie.

Z radością na to przystałam, po czym ruszyłam pieszo przez Krabi, zastanawiając się, dokąd iść, bo słońce paliło za mocno. Chodniki były brudne, nierówne i pełne dziur, w Krabi panowała atmosfera miasta granicznego. Wszędzie kręcili się zagraniczni turyści, w większości spoceni od dźwigania wielkich toreb podróżnych lub plecaków. W tym skwarze jakaś złośliwa mucha upodobała sobie moje czoło. Widziałam oczyma wyobraźni, jak chciwie żeruje na moim wybornym pocie.

Nawet nie próbowałam przywoływać Lauriego. Zniknął na dobre i musiałam się z tym pogodzić. Taka była rzeczywistość: byłam sama, zdana tylko na siebie, bez konkretnego planu działania.

Musiałam się gdzieś przyczaić. O innej pilnej rzeczy przypomniałam sobie dopiero wtedy, gdy zobaczyłam swoje odbicie w szybie wystawowej dosyć

zapuszczonego sklepiku.

Wyglądało na to, że można w nim kupić wszelkie drobiazgi. Między buteleczkami lakierów do paznokci leżały kłódki, długopisy i młotki. Były lornetki do wyboru oraz plansze ze zdjęciami królewskich rodzin Tajlandii i Wielkiej Brytanii. Duszne powietrze śmierdziało kurzem.

– Czy ma pan nożyczki? – zapytałam starszego mężczyznę siedzącego na stołku i czytającego gazetę.

– Nożyczki? Oczywiście, że tak! – wykrzyknął z radością. – Tu są. Jakie pani sobie życzy?

Przyjrzałam im się. Był ich cały wybór, od małych szkolnych, którymi nie dało się nawet przeciąć kartki papieru, po masywne kuchenne, z plastikowymi uchwytami.

– Do strzyżenia włosów.

Wybrał jedną parę.

– Te będą najlepsze.

Spojrzałam na niego. Wyglądał sympatycznie. Miał na sobie granatowe, bawełniane, robocze spodnie z mocno zaprasowanymi kantami na nogawkach, nakrochmaloną białą koszulę i klapki na nogach. Roztaczał wokół siebie ciepłą, życzliwą aurę, a więc żółtą i bursztynową.

– Czy mogę skorzystać z lustra?

– Oczywiście.

Przyglądał się, jak obcinam sobie włosy powyżej linii ramion, w końcu zaśmiał się i wyciągnął rękę. Położyłam mu na dłoni dwukolorowy pukiel, a on popatrzył na niego ze zdziwieniem i wrzucił do kosza na śmieci. Stanął za mną, wziął ode mnie nożyczki i wyrównywał moje nieudolne cięcia. Miał przy tym tajemniczą minę, która dobitniej od słów mówiła: „Nawet nie ośmielę się zapytać”. Zostawiłam mu nożyczki, chociaż za nie zapłaciłam. Widziałam, jak starannie wyciera je szmatką i odkłada z powrotem na to samo miejsce w gablocie.

Znalazłam wolny pokój w pobliskim hoteliku, który z pewnością nie mógłby przyciągnąć uwagi Leona Campiona. Sypialnie gościnne znajdowały się w drewnianych domkach stojących łukiem wokół podwórza, na które wchodziło się przez kuchnię. Obok domków stały wspólne toalety i prysznice, a pokoje miały tylko podstawowe wyposażenie. Na żelaznym łóżku leżał materac zakryty jasnoniebieskim prześcieradłem, na nim leżało złożone drugie prześcieradło do przykrycia, poza tym nie było absolutnie niczego, nie licząc kłódki do zamknięcia drzwi. Dostałam domek położony naprzeciwko toalet na skraju podwórka. Przepęłniał je intensywny zapach jakichś smażonych potraw, w powietrzu krzyżowały się dwie rozmowy, jedna po tajsku, dobiegająca z kuchni, druga po niemiecku, prowadzona tuż za moimi drzwiami.

Przyszło mi nagle do głowy, że to może być ten sam hotelik, w którym przed laty zatrzymała się Lara, gdy razem z Rachel czekały na Jake'a i Dereka. Spędziła tu ostatnią noc przed pierwszym wielkim przełomem w jej życiu. Czyżby Rachel także spędziła tutaj swoją ostatnią noc na wolności? Na tę myśl aż przeszył mnie

dreszcz grozy.

Leon nie mógł mnie tu znaleźć. Usiadłam na łóżku, ale zaraz znów wstałam. Jeszcze nie mogłam sobie pozwolić na odpoczynek. Musiałam wyjść i odszukać właściwy sklep.

Dwie godziny później siedziałam na rozchwianym plastikowym krześle przed swoim domkiem i oglądałam mój nowy telefon. Byłam skonsternowana, za długo przebywałam w izolacji od współczesnego świata, żeby teraz wiedzieć, jak sobie poradzić z tajskim aparatem. Ale wkrótce zgromadził się wokół mnie personel hoteliku, który szybko uporał się z tym problemem. Rozmyślałam, że to dziwne. Przez lata ukrywałam się przed wszystkimi i wszystkim; złąkniona kontaktów z innymi ludźmi, stroniłam od nich. Teraz stykałam się z życzliwością na każdym kroku czy też raczej na każdym z wyjątkiem tego, który zaprowadził mnie do Leona Campiona.

Zadzwoiłam do Alexa, ale włączyła się poczta głosowa, nagrałam więc kilka wiadomości. Teraz zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do Sama i nie poprosić o numer Olivii. Ona musiała poznać prawdę o Leonie, a fakt faktem, byłaby doskonałym sprzymierzeńcem po mojej stronie. Zdałabym się na jej instynkt i wysłuchała rad.

Poza tym cała rodzina Wilberforce'ów miała prawo wiedzieć, że Lara żyje (a przynajmniej żyła jeszcze niedawno). I że jest w Azji. Musieli też dowiedzieć się prawdy o człowieku, którego wybrali na jej ojca chrzestnego. Tę informację na wszelki wypadek należało rozpowszechnić jak najszybciej.

Zadzwoiłam więc do Sama. Ale nie odebrał.

Nastał wieczór, ale zdecydowałam się nigdzie nie wychodzić. Kupiłam sobie w kuchni jarzynowe curry z ryżem oraz butelkę piwa i usiadłam na rozchwianym plastikowym krzeselku przy rozchwianym plastikowym stoliku, które przeciągnęłam z drugiego końca podwórka, gdyż nikt z nich teraz nie korzystał. Szybko zrobiło się ciemno i w parnym rozgrzanym powietrzu zaroilo się od moskitów.

Zjadłam wszystko. Aż do przyjazdu do Bangkoku nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo lubię tajskie potrawy. Z mojego londyńskiego życia pamiętałam jak przez mgłę, że stanowiły one jedną z opcji licznych rozmów z Lauriem na temat: „dokąd wybierzemy się dziś na kolację”. Teraz dochodziłam do wniosku, że to moja najbardziej ulubiona kuchnia z całego świata. Piwo było schłodzone. Niczego więcej nie potrzebowałam.

Liczyłam na to, że Alex oddzwoni. Po raz drugi zadzwoniłam do Sama i po trudnej rozmowie dostałam od niego numer Olivii.

– Posłuchaj – rzucił ostro. – Nie jestem twoim osobistym biurem numerów. Nie siedzę przy aparacie i nie przeglądam swojego notosu z telefonami, zastanawiając się, kim jeszcze pogardzam wystarczająco, żebyś zechciała z nim porozmawiać

w następnej kolejności. Jesteś zajęta z powodu dziennika, który ci wysłałem, prawda? W końcu mogłabyś mi powiedzieć prawdę.

– Przepraszam – odparłam. – Masz rację. Jestem ci to winna. Opowiem ci wszystko, jak tylko wrócę do domu.

Westchnął głośno.

– Ech, kogo to jeszcze obchodzi? Prawdę mówiąc, miło jest odebrać telefon od kogoś, kto jeszcze chce czegoś ode mnie. Bo nikt inny, do cholery, już o mnie nie pamięta. Nikt nie wie, jak ze mną rozmawiać, a teraz, gdy zainteresowanie sprawą wygasło, zostałem sam jak palec.

– Och, Sam. – Zastanawiałam się, czy jednak mu nie powiedzieć, co się dzieje, nie przekazać, że miał rację co do Leona Campiona, a ja się myliłam. – Posłuchaj, przyjadę do ciebie w odwiedziny, naprawdę.

– Jasne.

Olivia przyjęła bez zastrzeżeń wszystko, co jej powiedziałam.

– O mój Boże! – jęknęła. – Leon. To kutas. Aż nie chce mi się wierzyć. Przez całe życie miał na jej punkcie fioła. Ufała mu bardziej niż komukolwiek innemu. Moi rodzice mu ufali. Był u nich częstym gościem. Cholerny kutas. Zabiłabym go gołymi rękami. Łajdak. I wiesz co? Nawet jak jeszcze mówiłaś mi to wszystko, zrozumiałam, że nawet się nie dziwię. Może już wcześniej podejrzewałam to jakimś pieprzonym szóstym zmysłem. Nieważne. A więc jesteś w Tajlandii i mówisz, że ją widziałaś? Naprawdę ją widziałaś?

– Och, Olivio – odparłam. – Tak, widziałam ją, lecz niespodziewanie pojawił się Leon. Widziałam ją najwyżej minutę. Alex, ten detektyw z Kornwalii, który krótko był zaangażowany w dochodzenie, obiecał, że zmobilizuje tutejszą policję przeciwko niemu. Ja boję się z nimi rozmawiać. Nie chcę, żeby mnie zatrzymali na przesłuchanie. Leon zniknął razem z nią i wszystko, co mogę jeszcze zrobić, to lecieć do Singapuru i odnaleźć Food Street, gdzie miałyśmy się spotkać, gdyby sprawy się skomplikowały. Będę na miejscu jutro późnym wieczorem. O szóstej wylatuję z Krabi. Pójdę tam od razu i będę czekała, zasięgnę języka, a jeśli znajdę w pobliżu jakiś hotel, wynajmę w nim pokój.

– Nie do wiary, że jesteś w mieście znanym jako Crabby. Ta nazwa się źle kojarzy.

– Bo nie jest tu ładnie – przyznałam. – Ale to nic. Mnie się podoba. Co prawda, niewiele zdążę zobaczyć poza podwórkiem hotelu, w którym się zatrzymałam, ale trafiłam na miłą kobietę, która sprzedała mi bilet na samolot, potem starszego mężczyznę, który pomógł mi ściąć włosy, wreszcie ludzie z hotelu pomogli mi ustawić ten telefon. Nie narzekam.

– To dobrze. Tak więc na razie nie wiadomo, dokąd ten skończony drań zabrał moją siostrę?

– Nie, tyle tylko, że ona podróżuje z moim paszportem, więc jeśli jego nazwisko pojawi się razem z moim na jakiejś liście pasażerów, będziemy wiedzieli.

– Jeżeli i on nie podróżuje z fałszywym, bo to by znaczyło, że już nigdy jej nie zobaczymy. Nawet gdyby się okazało, że przeżyła podróż z Leonem, teraz może już być martwa.

– To prawda.

– Skoro tutejsza policja już o nim wie, nie mam po co iść na komendę, żeby to zgłosić. Rodzicom też na razie nic nie powiem. Poczekam, aż pojawią się jakieś konkrety. Ale powiem ci, co zrobię. Umówię się na spotkanie z Sally, jego żoną.

– O mój Boże. Naprawdę? Uważaj na siebie.

– To ty na siebie uważaj. O mało nie zginęłaś. Ale widziałaś Larę.

– Myślałam, że to robota Jake'a. Za późno uświadomiłam sobie, że ktoś stoi tuż za mną. I zanim rozpoznałam jego głos, było już za późno, bo chwilę później pozbawił mnie przytomności.

– Jaki Jake?

– Chłopak Lary sprzed lat. To długa historia. W każdym razie nie wyobrażałam sobie, że winny może być Leon. W końcu dobrowolnie zjawiłam się w jego biurze i powiedziałam mu, że ona odleciała do Bangkoku z moim paszportem. Kiedy dodałam, że podejrzewam właśnie Jake'a, uczeplił się tej poszlaki. Dał mi do zrozumienia, że mam absolutną rację.

– Doskonale mu to pasowało. No cóż, informuj mnie na bieżąco. Proszę, Iris, błagam cię. Chcę znać każdy twój krok. Gdybym nie była w tak zaawansowanej ciąży, już bym tam leciała, żeby być razem z tobą. Tak więc dzwoń do mnie, dobrze? Obiecujesz, że będziesz dzwoniła codziennie?

Mówiła tak spiętym i smutnym głosem, tak przepełnionym bezradnością, że miałam ochotę znaleźć się przy niej i uściskać ją serdecznie.

– Oczywiście, że będę dzwoniła – obiecałam. – Możesz na to liczyć. Zadbaj o swoje dziecko, a ja zajmę się resztą. Na pewno zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Przerwałam połączenie w poczuciu desperacji i bezradności. Naprawdę mogłam jedynie lecieć do Singapuru, odszukać umówione miejsce i czekać. Byłam pewna, że nic się nie wydarzy. Lara mogła być gdziekolwiek. Mógł ją zabrać do Bangkoku albo Kuala Lumpur, dwóch dużych miast znajdujących się bliżej od Singapuru, a stamtąd odlecieć w dowolny rejon świata.

Gdyby jeszcze Alex odebrał telefon. Wiedziałabym przynajmniej, czy policja zdołała cokolwiek osiągnąć. Wpatrywałam się w moją komórkę i czekałam na sygnał, ale się nie doczekałam.

W końcu spakowałam swój bagaż i ruszyłam w kierunku postoju taksówek.

Rozdział 34

Lara

Długa peruka sprawia, że jest mi tak gorąco i tak bardzo swędzi mnie skóra, że mam ochotę zerwać ją z głowy. Lecz ilekroć próbuję, powoli unosząc dłoń, on ją od razu odpycha. Potem przez pewien czas trzyma mnie za rękę. A gdy staram się ją uwolnić, gdyż w jego wielkiej suchej dłoni moja szybko robi się spocona i śliska, on tylko mocniej zaciska palce.

Jesteśmy na tylnym siedzeniu samochodu i jedziemy z lotniska do Krabi. Udaliśmy się najpierw na lotnisko, bo Leon chciał wykupić bilety do Singapuru. Tam, jak zapowiedział, czekały już na nas zarezerwowane bilety do Delhi, gdzie mieliśmy się przesiąść na samolot do Katmandu, by wreszcie rozpocząć nasze nowe życie.

Staram się nadal wymiotować po posiłkach, ale i tak nie czuję się dobrze. Otepienie wywołane środkami uspokajającymi prawie całkiem minęło, ale przez to, że zwróciłam prawie wszystko, co zjadłam, teraz czuję się bardzo osłabiona. Wciąż muszę walczyć o zachowanie jasności umysłu. W brzuchu głośno mi burczy, ale on chyba jeszcze sobie nie uświadomił, co to oznacza.

Jestem bardzo głodna.

Zamykam oczy. Śpię tak często, jak tylko mogę, bo sen jest jedynym sposobem na ucieczkę od niego. Zauważył, że płakałam na łodzi, którą płynęliśmy z Koh Lanty.

– O co chodzi? – zapytał.

Ten człowiek zamordował mojego kochanka oraz przyjaciółkę przybyłą mi na ratunek. To przez niego cały świat podejrzewał, że to ja zabiłam człowieka, którego kochałam. To on przyleciał do Tajlandii i schwytał mnie podstępem, a teraz wywoził w góry, gdzie miałam żyć jak jego zwierzątko domowe. I on chciał wiedzieć, dlaczego płaczę.

– O nic – odpowiedziałam.

Siedzimy w restauracji przy głównej drodze wyjazdowej z Krabi. Leon całkowicie zaskoczył mnie wyborem tego miejsca, gdyż jest to zupełnie normalna turystyczna restauracja, otwarta z trzech stron. Nie ma tu gładkich lakierowanych sprzętów, wypielegnowanych roślin tropikalnych ani klimatyzacji.

Widzę, jak się krzywi na widok klienteli z plecakami i wilgotnymi od potu włosami. Sam stara się tak ubierać, żeby nie wzbudzać podejrzeń, ma więc na sobie szare szorty i biały T-shirt. Przez to niczym się nie wyróżnia, jest naprawdę dobry w tym, co robi.

Wybiera stolik na skraju, tuż za szeregiem drewnianych słupów, z dala od drogi. Za plecami mamy siatkowe ogrodzenie, a za nim dom ze sznurem suszących się ubrań w pastelowych kolorach. Spoglądam w jego okno tak często, jak tylko

mogę. Na parapecie stoi waza z plastikowymi, sztucznymi kwiatami, ale w środku chyba nikogo nie ma.

Szybko wracam spojrzeniem do Leona.

Mam na sobie ciuchy, które mi kupił na podróż: zieloną koszulkę bez nadruku i parę dopasowanych szortów sięgających prawie do kolan. We włosach mam zieloną spinkę w kształcie kwiatka i zielone materiałowe sandały na nogach. Zawsze lubiłam styl Leona. Teraz przyprawia mnie o ciarki na plecach. Staram się nie myśleć o przyszłości w małym domku stojącym na odludziu nepalskiej prowincji, skazana po wieki na jego towarzystwo. Będzie mnie ubierał jak swoją lalkę, w ciuchy kupowane przez internet, i nikt się nigdy nie zatroszczy, żeby zapytać dlaczego. I nigdy nie zaufa mi do tego stopnia, żeby pozwolić mi gdziekolwiek pójść albo cokolwiek zrobić bez jego nadzoru. Stanę się jego zabawką, domowym zwierzakiem, maskotką, i będziemy zdani wyłącznie na siebie, dopóki któreś z nas nie umrze.

Wyobrażam sobie ten mały domek na zboczu wzgórza, ze spektakularnym widokiem na porywający krajobraz z błękitnym niebem i ośnieżonymi górskimi szczytami. Kiedy już tam dotrzemy, znów pozwolę mu na szprycowanie mnie środkami uspokajającymi, żeby się od tego odciąć. Będę go wręcz błagała, żeby mnie nimi szprycował.

Teraz patrzy na mnie tymi samymi, pełnymi ciepła oczami, co zawsze.

– Wszystko w porządku, kochanie? – pyta, pochylając się niżej nad stołem i obrzucając mnie troskliwym spojrzeniem, do którego zdążyłam się już przyzwycząić.

– Tak – odpowiadam powoli, jak zawsze, udając narkotykowe otepienie. – Leonie?

– Słucham, Laro.

– Dlaczego... – Odchylam się nieco do tyłu i marszczę brwi, jakbym miała kłopoty z koncentracją. – Dlaczego zabiłeś Guya? Nigdy mi nie powiedziałeś, co do mnie czujesz. Powinieneś był mi wcześniej wszystko wyjaśnić.

Kiwa głową, ruchem ręki przywołując kelnerkę.

– Poproszę jedno zielone curry z kurczakiem, jedno zielone curry jarzynowe, jedną porcję gotowanego ryżu i dwa piwa – wymienia rzeczowym tonem, gdy ona spisuje zamówienie w notesie, powtarza na głos kolejne pozycje i zaraz odchodzi. Przychodzi mi na myśl, że mogłabym spróbować jej podać krótką notatkę, lecz gdyby mnie na tym przyłapał, konsekwencje byłyby nie do zniesienia. Mimo wszystko na pewnym etapie zamierzam podjąć takie ryzyko. Nie mam długopisu ani papieru, ale mogłabym też w drodze do toalety przekazać personelowi restauracji prośbę o wezwanie policji.

Wykorzystam któryś ze sposobów tylko wtedy, gdy pojawi się spora szansa powodzenia, muszę jednak czegoś spróbować, bo czasu mam coraz mniej.

– Może nie wszystko zrozumiesz, ale i tak zamierzam ci to teraz wyjaśnić, zanim dostaniesz kolejną porcję swoich leków – mówi, przekładając cały ryż z miski na swój talerz. – Powiniennem unikać węglowodorów, jeśli chcę zachować szczupłą

sylwetkę.

– Jasne – odpowiadam niewyraźnie sennym głosem.

– Jak ci już wiadomo, kocham cię od bardzo dawna. Oczywiście bez perwersji, bo przecież nigdy cię nie dotknąłem, ani w dzieciństwie, ani gdy byłaś nastolatką. Weź pod uwagę, że nie tknąłem cię nawet teraz, prawda? Jeszcze będzie na to czas. Czekam, żeby nasza sytuacja stała się idealna. Niemniej kochałem cię. Moje małżeństwo z Sally było dosyć szczęśliwe, przynajmniej przez długi czas. Ale moje serce należało do ciebie, Laro, przez ostatnich dwadzieścia lat. Naprawdę nie zdawałaś sobie z tego sprawy? Myślałem, że wiedziałaś. Sądziłem, że istnieje między nami więź, którą ty również spostrzeżesz. Oboje uwikłaliśmy się w małżeństwa z ludźmi, którzy nas nie rozumieli, nie do końca i w niewłaściwy sposób. Mieliśmy tylko siebie. Staliśmy się wyjątkową parą, a ja byłem cierpliwy, ponieważ wiedziałem, że któregoś dnia będziemy razem. Zawsze to wiedziałem. Zawsze. Aż w końcu zwróciłaś się do mnie, szukając pracy, bo chciałaś wrócić do Londynu, gdzie mieszkałem, a zarazem uciec od Sama Fincha i tego wszystkiego, co sobą uosabia. Zrozumiałem, że nadszedł nasz czas. Chciałem poczekać, aż na dobre zerwiesz z Samem, żeby pojawić się na twojej drodze i uratować cię. Oddałbym ci wszystko. Najpierw chciałem cię zabrać w Himalaje na wczasy twojego życia. Potem moglibyśmy już robić wszystko, co by ci się zamarzyło. Miałem bardzo dużo planów i pomysłów, Laro. Chciałem przeżyć schyłkowe lata swojego życia w szczęściu absolutnym. Razem z Larą Wilberforce. Tylko tego naprawdę pragnąłem.

– Więc masz, czego chciałaś.

Obrzuca mnie ostrym spojrzeniem.

– Jak tylko pojawił się na scenie Guy Thomas, zrozumiałem, że mam poważny problem. Pewnie pamiętasz, jak ci mówiłem, żebyś się trzymała od niego z daleka? To było tamtego wieczoru w pubie, gdy Olivia obwieściła nam szczęśliwe nowiny. Miałem nadzieję, że to będzie jak oliwa dolana do ognia i przyspieszy twoje odejście od męża. Okazało się jednak, że oboje chcecie zostawić swoich życiowych partnerów. Oszalałaś na jego punkcie. Chciałaś rozpocząć z nim całkiem nowe życie. To dlatego musiałem wkroczyć do akcji. Natychmiast. Pomyślałem, że będę mógł roztoczyć nad tobą swoją opiekę, jeśli ogarnie cię rozpacz. Kochanie, nigdy nie chciałem, by ktokolwiek uważał, że to ty go zabiłaś. Właśnie dlatego dosypałem ci coś do drinka, żebyś poczuła się źle i usunęła się z drogi. Ale kiedy zrozumiałem, że oskarżenie padnie na ciebie, a ty roztopiłaś się bez śladu w bocznych uliczkach Reading, pomyślałem, że to wszystko może się ułożyć nawet lepiej.

Zachowanie spokoju podczas całej tej jego relacji bardzo dużo mnie kosztowało. Ledwie mogłam zapanować nad łzami. Jedyne, czego wtedy pragnęłam, to pognać co sił w nogach do najbliższej komendy policji. Nienawidziłam go. Nienawidziłam rodziców, że zwrócili na mnie jego uwagę, gdy byłam jeszcze niemowlęciem, że nakłonili go, by stanął przed ołtarzem i przysiągł Bogu, że będzie się mną opiekował. I nienawidziłam też siebie, za to, że przez całe swoje

pieprzone życie uważałam go za życzliwego i troskliwego ojca chrzestnego, myśląc, że osobą żądną zemsty i podążającą moim śladem jest Jake.

Ale przede wszystkim mam świadomość tej bolesnej poszarpanej rany w mojej duszy, w której powinien być Guy. Jeśli Leon zabierze mnie w te wysokie góry, rzucę się w przepaść przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Nagle się rozpromienia.

– Na razie mnie nienawidzisz, ale to cena, którą będę musiał płacić przez jakiś czas. Nie możesz pójść na policję, ponieważ jesteś poszukiwana pod zarzutem morderstwa, więc nawet o tym nie myśl. Nie będziesz mnie nienawidziła aż do śmierci. Przyswoisz sobie mój sposób myślenia. Bo przecież dotychczas nawet cię nie tknąłem, prawda? Nie chcę, abyś zmuszała się do czegokolwiek. Pragnę, żebyś z własnej woli zgodziła się zostać ze mną i oddała mi się dobrowolnie.

Wydaje się autentycznie wierzyć, że tak się stanie.

– Mimo wszystko po przyjeździe do naszej chaty w górach jeszcze przez pewien czas będę musiał cię uwodzić. Uczymy początek naszego nowego życia. Ale później będziemy już mieć dla siebie pod dostatkiem czasu. Przez kilka lat będę musiał trzymać cię pod dachem. Pewnie to zrozumiesz. Żeby zapobiec jakimś szalonym skokom z górskich ścieżek albo mostów, notatkom przekazywanym skrycie tubylcom i innym podobnym rzeczom. Będę sięgał po środki bezpieczeństwa, dopóki nie zobaczę w twoich oczach, że jesteś gotowa.

– Lecz przecież nawet nie będziesz mnie chciał – odparłam. – Teraz jestem tylko twoja. Czy cała sprawa nie wynikała z tego, że nie mogłeś mnie mieć?

Czuję się na tyle silna, żeby zjeść posiłek. Nawet Leon nie jest tak odważny, żeby w restauracji szprycować potrawy środkami uspokajającymi. Ale piwo szybko idzie mi do głowy.

– Widzę, że potrzebujesz leków – zauważyła. – To była bystra uwaga. Masz rację, w pewnym zakresie codzienne doświadczenia przebywania z tobą w dzień i w nocy przechodzą moje oczekiwania. Ale to się zmieni. Zawsze odznaczałaś się gładką cerą, a teraz... no cóż, nie chcę być okrutny. W dodatku twoja sylwetka... Jesteś wymizerowana. Będziemy musieli popracować nad twoim zachowaniem, dopóki nie stanie się odpowiednie. Spodziewałem się po tobie więcej wdzięku, moja droga. Trochę więcej klasy.

Patrzy na mnie, jakby oczekiwał przeprosin. Ale nie zamierzam go przeproszać, a to chyba w jakiś sposób dowodzi jego racji.

– W każdym razie – ciągnie, kładąc przede mną na stole dwie tabletki – lepiej to weź. Jeśli popijesz je piwem, powinny sprawić, że będziesz cudownie spokojna przez cały pobyt w Singapurze aż do chwili wylotu stamtąd. Rozumiem, że podróż do Singapuru to dla ciebie trudne przeżycie, ale tamte dni zostały daleko za tobą. Rachel dawno temu pożegnała się z życiem i wszyscy o niej zapomnieli.

Bardzo bym chciała, żeby nie był jedynym człowiekiem znającym moją przemytniczą przeszłość. Ilekroć do tego nawiązuje, mam przeczucie, że chce to wykorzystać przeciwko mnie. Żałuję, że udzielał mi wtedy mądrych, dobrych rad, że postawił mnie na nogi i udowodnił, że mimo wszystko muszę jakoś dalej

poukładać sobie życie. Brzydzą się myślą, że do końca moich dni będę mu to zawdzięczać.

Skóra pod peruką swędzi nieznośnie. Chciałabym ją zdjąć, ale nie mogę. Biorę obie tabletki, wpycham je sobie za policzek i udaję, że połykam, popijając piwem.

– Pokaż.

Otwieram szeroko usta. Leon wstaje i podchodzi do mnie. W ostatniej chwili błyskawicznie przełykam tabletki, które bez popicia stają mi w gardle. On wpycha mi palec do ust, a ja nie protestuję. Hamuję się nawet przed tym, żeby go ugryźć. Muszę sprawiać wrażenie „zamulonej”, jak on to nazywa.

– Dobrze – mówi. – Chociaż mam wrażenie, że połknęłaś je w ostatniej sekundzie. Odczekamy parę minut, żeby zaczęły działać, a potem niezwłocznie będę musiał złożyć wizytę w toalecie. Ty tu zostaniesz i będziesz pilnować naszych rzeczy. Zaufam ci. To będzie twój test.

Kiwam głową i biorę parę łyków wody, żeby przepłukać gardło, bo czuję się tak, jakby pigułki zostawiły za sobą krwawe ślady w drodze do żołądka.

– W porządku. – Robi kwaśną minę. – Nie zawieź mnie.

– Dobrze.

Odchodzi szybko. Jak tylko znika mi z oczu, sięgam do jego skórzanej teczki i wyciągam telefon. Nigdy wcześniej nie zostawiał mnie samej, tym bardziej ze swoimi rzeczami, muszę więc wykorzystać tę bezcenną okazję, zamiast pobiec do toalety i zwrócić obiad.

Nie mogę zadzwonić, bo od razu by to zauważył w spisie połączeń, zresztą zanim ktokolwiek mógłby się tu zjawić, nas już dawno nie będzie.

Otwieram ustawienia i przełączam Safari w tryb „prywatnego logowania”, po czym łączę się z internetem i wchodzę na swoje konto Twittera, chcąc przekazać wiadomość dziesiątkom tysięcy gości. Zamierzam podać szczegóły i czekać z nadzieją, że ktoś z braci dziennikarskiej potraktuje to poważnie i wyśle na miejsce reportera.

Ale gdy tylko wybieram ikonkę wiadomości, odnajduję całą serię prywatnych wpisów od Iris. Serce podchodzi mi do gardła. Czytam szybko i wystukuję odpowiedź.

„Też jestem teraz w Krabi, bar przy drodze z miasta na lotnisko, z dużym zadaniem i noclegownią turystyczną, obok kawiarni. Odlatuję wieczorem do SG. Pomocy”.

Następnie robię wpis ogólny o treści: „Pomocy! Żyję, jestem zakładniczką. Lara”. Kiedy kończę, ogarnia mnie panika. Leon mógłby bez trudu to zobaczyć. Szybko kasuję ten wpis.

Przełączam Safari na wcześniejsze ustawienia i chowam telefon do teczki Leona. Stoję jeszcze przy stoliku, kiedy on się wyłania zza rogu, toteż wolno podchodzę do ogrodzenia, udając, że zaciekawilo mnie suszące się pranie. Nogi zaczynają mi cierpnąć, a umysł stopniowo pogrąża się we mgle.

Wracam na swoje miejsce, coraz bardziej skołowana, czuję, że jest za późno na to, żeby biec do toalety i zmuszać się do wymiotów. Nic by to już nie dało. Chce

mi się spać. Leon coś do mnie mówi.

– Możesz się zdrzemnąć – powtarza. – Zaczekamy, aż znów będziesz mogła chodzić.

– Mmm – odpowiadam, kładąc głowę na brzegu stolika.

Nie powinnam była do tego dopuścić. Dociera do mnie, że zanim w pełni odzyskam przytomność, będziemy już w drodze do Delhi. Na zawsze zniknę w górach. To chyba największy błąd, jaki byłam w stanie popełnić. Mogłam wymiotować przy stoliku, za ogrodzenie, zamiast pisać wiadomość na Twitterze.

Zdobywam się na ogromny wysiłek, łapię się za brzuch i mamroczę:

– Toaleta.

– Oczywiście – odpowiada Leon. – Znam to uczucie. Idź śmiało. Chcesz, żebym cię zaprowadził?

W głowie mi się kręci. Chcę zaprzeczyć, ale on bierze mnie za rękę, pomaga wstać od stolika, chwytając pod ramię i prowadzi do ubikacji.

To zaraz za rogiem, na końcu rozbrzmiewającego echem korytarza, u stóp schodów.

– Wrócę do stolika – mówi – bo widzę, że i tak sama nigdzie nie pójdziesz.

Zamykam drzwi i stoję przez chwilę, oparta o białą ścianę.

Muszę się skupić. Nie mogę mu pozwolić na realizację planu.

Ściągam perukę, klękam przy sedesie i zwracam całą zawartość żołądka, chociaż wiem, że leki już krążą mi we krwi. Wymiotowanie już i tak nie zmieni mojego samopoczucia, lecz może choć trochę mi ulży. Nie jestem przyzwyczajona do tak pełnego żołądka, ale z żalem żegnam smaczne curry, z którego grzyby i kawałki groszku cukrowego zostają na powierzchni. Muszę aż pięć razy spuścić wodę, żeby się ich pozbyć.

Myję ręce, gdy nagle słyszę czyjś głos:

– Lara?

Z uwagi na otępienie nawet mnie to nie zaskakuje. Rozglądam się i po chwili dostrzegam umieszczone wysoko okienko. Jest zakratowane, ale bez szyby. Ona jest po drugiej stronie, najwyraźniej stoi na czymś, bo inaczej nie sięgnęłaby aż tak wysoko. Patrzy na mnie, włosy ma krótko przystrzyżone. Już nie jesteśmy do siebie podobne.

– Cześć – mówię. – Witaj.

– Mój Boże, Laro. Znalazłam cię. Jak tylko przeczytałam twoją wiadomość na Twitterze, wskoczyłam do taksówki i opisałam szoferowi ten bar. Od razu wiedział, o czym mówię. Wystarczyło, że powiedziałam o dużym zadaszaniu. Najwyraźniej wszyscy go tu znają. Nie mogę uwierzyć, że znów cię widzę. Nic ci nie jest?

– Daje mi jakieś pigułki. Staram się wymiotować. Ale tym razem jest za późno.

– Rozumiem. Posłuchaj. Wyjdź z toalety i skieruj się na tyły kuchni, tam jest drugie wyjście. Będę tam na ciebie czekała.

Zamyślam się. Ale w głowie mam mętlik.

– Złapie mnie. Nie dam rady uciec, a gdy mnie złapie, będzie jeszcze gorzej.

Skupiam całą swoją wolę, żeby wycedzić te słowa. Widok Iris i świadomość, że znalazła mnie po raz drugi, każą mi się trzymać w ryzach z całych sił, ze środkami uspokajającymi krążącymi we krwi.

– Musisz uciekać. Odwagi, Laro. Chodź do mnie. Złapiemy taksówkę i pojedziemy nią aż do Bangkoku.

– Nie mogę. Poważnie. I tak mnie znajdzie. Policja mu uwierzy. Wszyscy myślą, że to ja zabiłam... – Imię Guya nie chce mi przejść przez gardło, nawet teraz. – Musimy to rozegrać inaczej. Już wiem, co trzeba zrobić. Długo nad tym myślałam. Całymi dniami. Powiem ci, co zrobimy. Pomożesz mi?

Przedstawiam jej swój plan, z nadludzkim wysiłkiem artykułując słowa. Wygląda na przerażoną. Wychodzę z toalety, nie czekając na odpowiedź, i wracam chwiejnym krokiem do stolika, do mojego ciemiezcy.

– Już chciałem iść i sprawdzić, czy nic ci nie jest – mówi. – Cieszę się, że sama wróciłaś.

Kiwam głową i zamykam oczy.

Rozdział 35

Iris

Nie chciałam tego robić. Zauważyłam na Twitterze jej wiadomość, mówiącą o tym, że jest zakładniczką, i choć od razu została skasowana, zaraz pojawiła się z powrotem jako zrzut ekranu. Musiała więc trafić do prasy. A to oznaczało, że w którymś momencie Leon także mógł ją przeczytać. Teraz, gdy już miałam świadomość, w jakim stanie ją utrzymuje, świetnie rozumiałam przyczynę jej rozpaczliwego wezwania o pomoc.

Była straszliwie wychudzona. Cerę miała szarą i pełną wyprysków, oczy mętne, i widziałam, że musi zbierać w sobie wszystkie siły, żeby wyraźnie wymawiać słowa. Gdy tylko włożyła z powrotem perukę, absolutnie nikt, nawet jej rodzice, Sam czy biedny zamordowany Guy, nie rozpoznaliby w niej Lary Finch albo Wilberforce. Odmienił jej wygląd, doprowadzając do stanu wyniszczenia.

Świetnie pamiętałam tę Larę, która odwiedziła mnie w wigilię Bożego Narodzenia. Była pełna życia i energii. Pamiętałam, jak rozmawiałyśmy o pasztecikach w kruchym cieście i o tym, jak mogłybyśmy wykorzystać swoje umiejętności w postapokaliptycznym świecie. Teraz straciła wszystko, brakowało jej werwy, w ogóle nie była sobą.

A to dlatego, że zmuszała się do wymiotów, żeby maksymalnie uwolnić się od skutków podawanych przez niego tabletek. Ten człowiek nie tylko ją uwięził, ale powoli zabijał. Pragnął ją zniszczyć tak samo, jak wcześniej zamordował Guya Thomasa.

Jej plan był szalony, ale skłonna byłam go zrealizować. W jego efekcie on dostałby to, na co w pełni zasługiwał.

Zadzwoiłam do Alexa. Nadal nie odbierał. I nie widziałam nigdzie tutejszej policji. Nie miałam jednak czasu, żeby się tym przejmować. Olivia odebrała od razu, mimo że u niej był wczesny ranek.

– Hej – powiedziała. – Lara umieściła jakąś wiadomość na Twitterze. Ona to zrobiła?

– Tak. Mnie przysłała prywatną wiadomość, w której napisała, gdzie jest, i ją znalazłam. Widziałam ją. Udało mi się z nią nawet porozmawiać, kiedy wymiotowała w toalecie.

– Znów ją widziałaś? I co?

Zamyśliłam się nad tym, co odpowiedzieć.

– Jest żywa, ale w nie najlepszym stanie. W zupełnie kiepskim. Posłuchaj, Olivia. Poprosiła mnie, żebym zrobiła coś kompletnie szalonego. Chętnie usłyszałabym twoją opinię, zanim to zrobię.

Przedstawiłam jej plan. Olivia przemyślała go, a gdy znów się odezwała, jej głos zabrzmiał jeszcze mocniej, niż kiedykolwiek dotąd.

– Jeśli nie boisz się podjąć ryzyka – powiedziała – moim zdaniem powinnaś to

zrobić. Niech ten łobuz dostanie to, na co zasługuje. A jeśli coś pójdzie nie tak, wszyscy się za tobą wstawimy. Nie zostaniesz sama. To ci obiecuję. Zrobimy wszystko, żebyś nie ucierpiała, cokolwiek by się stało.

W końcu odnalazłam rejon opisany przez Larę. Był zdumiewająco blisko miejsc odwiedzanych tłumnie przez turystów, ale chyba właśnie o to chodziło.

Starałam się stłumić niepewność, kręcąc się tam i z powrotem, i sprawiać wrażenie takiej osoby, którą miałam udawać. Uliczka była wąska i kręta, pełna głębokich cieni mimo palącego mocno słońca.

Podszedł do mnie chudy kot i zaczął mi się nachalnie ocierać o nogi. Gdzieś w górze głośno wrzasnął ptak. Ulica była nierówna i wyboista, chodnik ciągnął się tylko po jednej stronie. Czułam na sobie zaciekawione spojrzenia tubylców, miałam ochotę rzucić się do ucieczki. Ale uparcie szłam wolno, przystawałam od czasu do czasu, potem ruszałam dalej.

Miałam przy sobie całą gotówkę, jaką udało mi się wypłacić w trzech bankomatach. Liczyłam na to, że wystarczy.

Krążyłam po tej uliczce przez dwadzieścia minut i miałam już zrezygnować, kiedy podszedł do mnie mężczyzna.

– Chcesz coś kupić? – zapytał.

Skinęłam głową, bojąc się, że rozpozna we mnie Angielkę, gdy wykrzyknę: „Tak! Oczywiście!”.

– Czego chcesz?

Przygryzłam na chwilę wargi, a kiedy się odezwałam, na szczęście zabrzmiało to jak głos lektora dziennika radiowego na kanale czwartym.

– Czy przypadkiem nie ma pan trochę heroiny? – zapytałam.

Rozdział 36

Lara

Lotnisko jest nieduże. Opieram się na ramieniu Leona, zachowując się jeszcze bardziej idiotycznie, niż powinnam, przesadnie demonstrując stan oszołomienia, żeby podsycić jego pewność siebie.

Pamiętam, że namówiłam Iris na swój idiotyczny plan. Mogła już zostać arestowana. Niewykluczone, że skazałam ją tak samo jak biedną Rachel na pobyt w czarnej dziurze azjatyckiego więzienia. Ze wszystkich możliwych rozwiązań wybrałam właśnie to, w którym kobieta będąca moją najlepszą przyjaciółką na świecie miała kupić narkotyki w Tajlandii.

Żałuję, że w tym wpisie na Twitterze wymieniłam nazwy Krabi. Żałuję, że go w ogóle napisałam. Mam nadzieję, że nikt go nie widział. Ale gdybym napisała, gdzie jestem, może zjawiłby się na lotnisku ktoś, kto by mnie szukał. Wyteżam wzrok, koncentrując się na ludziach w mundurach. Jest ich tu dużo, ale to zapewne ochrona lotniska. Na lotniskach zawsze jest mnóstwo mundurowych.

Nogi się pode mną uginają. Tego nie muszę udawać. Piwo i tabletki uspokajające źle działają razem. Z każdą minutą czuję się coraz gorzej.

Stoimy w kolejce do odprawy bagażowej. Leon często na mnie zerka, ale nic nie mówi. Nie jestem pewna, czy nawet byłabym w stanie wydusić z siebie choć jedno słowo. On stawia swoją walizkę na wózku bagażowym i sadza mnie obok niej. Podciągam kolana do brzucha, jak dziecko.

– Zjadła coś, co jej zaszkodziło – wyjaśnia komuś.

To kłamstwo. Nic nie jadłam od bardzo dawna.

Przechodzimy do hali odlotów. Jest mała, z wieloma rzędami plastikowych fotelików. Wspieram się na jego ramieniu i zmuszam nogi do działania. Jest tu sklep i wiem, co powinnam zrobić, staram się w myślach poskładać odpowiednie słowa. Muszę je wypowiedzieć. Muszę wejść do tego sklepu i coś kupić. Cokolwiek. Muszę zdobyć plastikową reklamówkę ze sklepu na lotnisku, bo to istotny element mojego planu. Słowa nie chcą mi się złożyć w głowie w pełne zdanie, ale i tak to zrobię. Zrobię to, zanim wyjdziemy z tej poczekalni.

Leon prowadzi mnie tam, gdzie jest mało ludzi, i sadza w plastikowym foteliku. Sam siada obok. Natychmiast kładę głowę na jego ramieniu i zamykam oczy.

– Lara! Skarbie! Musisz jakoś wejść do samolotu o własnych siłach, kochanie. Potem będziesz mogła spać dalej.

Pozwalam mu się dźwignąć z fotelika i wspierając się na nim silnie, znowu zmuszam nogi do działania. Idziemy do wejścia poczekalni i wychodzimy na korytarz. Leon pokazuje komuś nasze karty pokładowe i tłumaczy:

– Moja żona musiała się zatruć jakimś jedzeniem.

Schodzimy za tłumem pasażerów po schodach, skręcamy za róg hali i wychodzimy na palące słońce, od którego natychmiast zaczyna mnie boleć

głowa.

W samolocie opadam bezsilnie na fotel przy oknie i zamykam oczy. Mam świadomość, że coś zawaliłam, ale nie pamiętam już, co miałam zrobić. Powinnam była coś powiedzieć, ale zasnęłam i nie zrobiłam tego.

– Już w porządku – mówi Leon. – Odeśpisz to.

Budzę się gwałtownie, gdy koła stykają się z ziemią. Nadal nie potrafię się skupić na informacjach padających z głośnika, domyślam się jednak, że przybyliśmy na miejsce.

Jakaś drobna cząstka mojego umysłu rozpoznaje, że jesteśmy w Singapurze, gdzie nigdy, przenigdy miałam się już nie pojawić. Kiedy byłam tu po raz ostatni... W tym stanie nie potrafię tego nawet wyartykułować. Była ze mną Rachel, która potem odeszła na zawsze. Tutaj straciła życie.

Stopniowo przypominam sobie swój prowizoryczny plan. Wykręcam się na fotelu, żeby sprawdzić, czy Iris jest na pokładzie tego samolotu, ale w ten sposób tylko przyciągam uwagę Leona, który podnosi wzrok znad gazety.

– Singapur – mówi miękko i poklepuje mnie po kolanie. Jestem zbyt otumaniona, żeby się skrzywić. – Ale to tylko punkt przesiadkowy, jasne? Nic złego się tu nie stanie. Odlecimy nawet szybciej, niż ci się wydaje.

– Nie wychodzimy w ogóle z lotniska?

– Prawie. Niestety, te gówniane linie lotnicze dostarczą nas do jakiegoś „terminalu turystycznego”. Nie możemy się przesiąść od razu. Musimy przejść odprawę celną, wrócić do hali odlotów i z powrotem oddać bagaże do odprawy. Wiem, że to irytujące, ale takie jest życie.

Powoli kiwam głową.

– Rozumiem.

– Dobra dziewczynka.

Wiem, że ma rację. Jestem jego dobrą dziewczynką. Nigdzie nie zauważyłam Iris. Prawdopodobnie jej tu nie ma. Mam nadzieję, że nie wykonała swojej części planu, bo ja w swojej zawiodłam na całej linii.

Mimo to przemyka mi przez myśl, że nadal mogę go zrealizować. Po przespaniu się w samolocie jestem nieco przytomniejsza. Muszę spróbować. Muszę się zdobyć na ten ostatni desperacki wysiłek.

Zostaję nieco w tyle, jednak Leon czeka na mnie z nieskończoną cierpliwością. Podoba mu się moja powolność i bezradność. W końcu wysiadamy z samolotu i w straszliwej duchocie, jak zwykle z jego pomocą, gdyż mocno trzyma mnie pod ramię, schodzę po schodkach. Niejako szukając kolejnych stopni, schodzę powoli w swoich nieskazitelnie gustownych butach.

Niebo w Singapurze jest szare od nisko wiszących chmur. Od parnego skwaru ciarki chodzą mi po plecach, a duchota zatyka w gardle. Nienawidzę tego miejsca.

W budynku dostrzegam sklep.

– Mogę sobie kupić perfumy? – pytam, skubiąc go błagalnie w ramię. – Proszę,

Leonie. Chciałabym mieć perfumy. Czy mógłbyś...?

Waha się.

– Chcesz perfumy? Naprawdę?

– Tak. Chcę ładnie pachnieć.

Śmieje się.

– Jak najbardziej. Czemu miałbym się sprzeciwiać? Chodźmy. I tak musimy przeczekać kilka godzin. Ale wiesz co, skarbie? W którymś momencie będziesz musiała przejść odprawę paszportową. Przez krótki czas będę musiał cię zostawić samą sobie. Ale wszystko będzie w porządku.

Sam wybiera mi perfumy, ostrożnie wacha kilka flakoników, wreszcie wybucha śmiechem, bierze białe opakowanie i idzie z nim do kasy.

– Bez wątpliwości – mówi, podając kobiecie w białym fartuchu pudełko z napisem Chanel No. 5. Ja podtykam mu jeszcze apaszkę, którą na chybił trafił wzięłam ze stojaka, ale on wymienia ją na inną, różową, po czym dokłada ją do zakupów.

– Dziękuję panu – mówi kobieta za kontuarem, a ja biorę od niego foliówkę i zaglądam do środka.

– Dzięki – mówię.

Głaszcze mnie po peruce.

– Już niedługo dojdiesz do siebie – tłumaczy, układając mi palcami pasemka sztucznych włosów, a ja nie wiem, czy uznać to za pogrózkę, czy za obietnicę. – Moja Lara.

Idę dalej, machając torbą z zakupami. Niewiele sama zdołałam, do tego za późno, ale chociaż podjęłam próbę realizacji planu. Próbuję sobie teraz wmówić, że przynajmniej mam perfumy i apaszkę, ale zastanawiam się też, czy będę miała szansę na ucieczkę w Delhi. Może uda mi się jeszcze w którymś momencie uzyskać dostęp do jego telefonu.

Ale nic z tego nie wyjdzie. Żaden mój plan się nie powiedzie. Jedynym sposobem na odzyskanie wolności będzie skok z górskiej ścieżki w przepaść. To poskutkuje. Taki będzie mój następny plan. Już nie mogę się doczekać.

Stajemy na końcu kolejki do odprawy celnej, gdy nagle jakaś kobieta z krótkimi włosami podchodzi do mnie, wpada na mnie i zanim mogę się zorientować, co się dzieje, ostrożnie zabiera mi z ręki torbę z zakupami i wkłada drugą. Spoglądam w dół. Jest taka sama, również z napisem „Duty Free”. Wygląda identycznie jak ta poprzednia. Rozglądam się. To na pewno była ona? Nie jestem nawet pewna, co się stało. Mogłam sobie to wszystko wymyślić.

Mimo wszystko postanawiam realizować plan.

– Leonie?

Ogląda się na mnie z troską w swoich szarych oczach.

– Tak?

– Czy mógłbyś to wziąć? Trochę... kręci mi się w głowie.

Uśmiecha się i bez słowa bierze ode mnie foliówkę, nawet do niej nie zagląda. Dochodzimy do punktu kontroli i pokazujemy swoje paszporty. Nikt nas nie

zatrzymuje. Oficer straży granicznej długo mi się przygląda, ale pozwala iść dalej.

Mamy swoje bagaże i Leon układa wszystko na wózku.

– W porządku – mówi. – Możemy iść.

Znów łapię się za brzuch.

– Toaleta! – szepczę. – Dołączę za chwilę. Przepraszam.

Odchodzę w bok, mając tylko swoją torebkę. Robiłam to wcześniej. Idę śmiało, swobodnym krokiem, z uniesioną głową, na tyle wyprostowana, na ile to możliwe w moim stanie. Przechodzę przez odprawę celną i kieruję się do hali przylotów, udając, że spieszy mi się do toalety.

Kiedy robiłam to po raz ostatni, później na próżno czekałam na Rachel.

Tym razem Leon nie wychodzi z punktu odpraw. Aż na siłę tłumię w sobie nadzieję, że się go nie doczekam, że nie weźmie mnie pod rękę i nie pociągnie do stanowisk odbioru biletów.

Nie wiem, co robić. Jestem zdana tylko na siebie. Nie mam pojęcia, dokąd pójść. Nie mam telefonu ani pieniędzy. Nie wiem nawet, czy mam czas, żeby dokądś się udać. On lada chwila może wyjść do hali. Ale na razie go tu nie ma.

Usiłuję się skupić. Muszę stąd odejść. Nie wiem, co robić, ale muszę się pospieszyć.

Skup się.

Oglądam się przez ramię. Leona wciąż nie widać. Nie mogę donikąd pójść, nie mając pieniędzy. Leon zabrał wszystko, co miałam. Zabrał mi czystość umysłu i pamięć, mego kochanka i całe moje życie. Ruszam wolno przed siebie, kierując się za innymi ludźmi do wyjścia.

Ale zaraz staję, przepuszczając wszystkich przodem. Sala jest klimatyzowana. W chłodnym powietrzu wszystkie włoski na rękach stają mi dęba. On zjawi się za chwilę, a ja nie mogę nawet wystarczająco pozbierać myśli, żeby stąd wyjść.

Tylko stoję i patrzę. Ludzie wychodzą drzwiami z punktu odpraw, ale nie ma wśród nich Leona. Nie pojawia się.

Czekam i czekam, a jego nie ma.

Postanawiam usiąść na chwilę. Siadam po turecku pod ścianą i czekam dalej.

Po chwili ktoś kładzie mi rękę na ramieniu.

– Wstań. Chodź ze mną. Wstań i chodź.

Ale to nie jest jego głos. Człowiek, który bierze mnie pod ramię i pomaga stanąć na nogi, to nie Leon.

– Chodź, moja droga. Chodź. Wygląda na to, że twój zwariowany plan się powiódł. Zbierz się do kupy. Już wszystko w porządku, Laro. Jego nie ma. – Kładzie mi obie ręce na ramionach i delikatnie odwraca twarzą do siebie. Gapię się na nią z niedowierzaniem. – Lara. Wszystko będzie w porządku. Zaopiekujemy się tobą.

Rozglądam się, zaniepokojona tą liczbą mnogą. Otacza nas pięciu policjantów, którzy przyglądają mi się uważnie. Ogarnia mnie strach.

– Nie martw się – mówi Iris. – Nic ci nie grozi. Absolutnie nic. To koniec twoich kłopotów. Tylko nie mów im, co zrobiłyśmy Leonowi, dobrze? Niech to zostanie naszą tajemnicą. O tym policja nie musi wiedzieć. To ja ich zawiadomiłam i zatrzymali go. Załatwione. Zaraz przedstawię ci Alexa. Jemu też o tym nie mów. Jest z Falmouth. Próbowałam się do niego dodzwonić, ale nie odbierał, ponieważ leciał tutaj na spotkanie ze mną. Żeby odnaleźć ciebie.

Podchodzi do nas wysoki biały mężczyzna. Spogląda na Iris, która kiwa głową.

– Witaj, Laro – mówi. – Jestem Alex Zielowski. Nie znasz mnie, ale muszę przyznać z radością, że to wielki przywilej spotkać cię w końcu.

Patrzę na Iris. Nie jesteśmy już do siebie podobne, ponieważ krótko obcięła sobie włosy. To mi przypomina o peruce. Ściągam ją z głowy, a ona bierze ją ode mnie i chowa do swojej torby.

– Wreszcie po wszystkim – mówi. – Laro Wilberforce. Laro Finch. Witaj z powrotem. Zabierzemy cię do domu.

Epilog

Iris Wrzesień

Stoję na cmentarzu w zachodnim Londynie i jak zawsze rozmawiam z człowiekiem, którego tu nie ma. Rozmawiam na głos, gdyż w pobliżu nikogo nie ma i nie muszę się czuć zażenowana. Przez długie lata rozmawiałam z tym konkretnym martwym mężczyzną i jak się okazuje, trudno porzucić ten zwyczaj.

Jesienne słońce świeci mi prosto w oczy, więc je mrużę, oślepią i zmarznięta. Przytupuję bez przerwy, starając się rozgrzać zbyt optymistycznie obute stopy. Nie mogę się rozstać z sandałami, które kupiłam w Bangkoku, mimo że jest już zdecydowanie za zimno. Prawdę mówiąc, ubrana też jestem jeszcze letnio. Ten rok był burzliwy, pełen wrażeń, lecz dziwnym sposobem szczęśliwy.

Na nagrobku widnieją oba jego imiona i nazwisko: Laurence Jonathan Madaki. Jest też rok urodzenia i większy o trzydzieści dwa lata rok śmierci. Przyniosłam bukiet kwiatów i teraz patrzę na nie z zadowoleniem. Pamięć o nim kultywowana w sposób konwencjonalny napawa mnie poczuciem solidarności z tymi wszystkimi nieznanymi ludźmi odwiedzającymi inne groby, którzy pamiętają o zmarłych.

– No więc... – mówię – wyjeżdżam. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Wiem, że nie masz. Chciałbyś, żebym to zrobiła. – Uprzejmie robię przerwę, żeby się odezwał. – Wszystko już załatwione. No, może prawie wszystko. Mówiąc szczerze, boję się. Ale to będzie wspaniały wyjazd. Po co miałabym kupować los na loterię, gdybym nie chciała przeznaczyć wygranej na coś, co odmieni mi życie? To proste. Muszę to zrobić. Zawsze będę za tobą tęskniła, Laurie. Zawsze. Do śmierci pozostaniesz miłością mojego życia. Ale skoro ciebie tu nie ma, a życie jest takie krótkie i całkiem nieprzewidywalne, myślę, że lepiej będzie jeszcze trochę z niego pokorzystać.

Wyczuwam jego aprobatę. Nawet jeśli nie emanuje dosłownie z jego grobu, mam pewność, że ten Laurie, którego kochałam, chciałby, żebym to zrobiła.

Wyprowadziłam się z domu w Budock, a obie kotki o szekspirowskich imionach niechętnie przeszły pod opiekę Sama Fincha, który właśnie zaczął odkrywać uroki życia samotnego bezdzietnego mężczyzny po trzydziestce. Kiedy widziałam się z nim ostatnio, rzekł:

– Uwierzysz w to, Iris, że mam już poumawiane randki na trzy kolejne piątki i soboty? Do tego każda z inną kobietą! Piękną i oszałamiającą! Co, do diabła, widzą w takim nudnym palancie jak ja?

– No, wiesz, kobiety uwielbiają takich nudnych palantów – zapewniłam go.

– Dzięki.

– Kobiety marzące o dzieciach, porzucone w przeszłości przez swoich kochanków, uwielbiają... ustatkowanych mężczyzn, którzy potraktują je z należyty szacunkiem. To brzmi trochę lepiej niż nudny palant, prawda? Mimo

że oznacza to samo. Mówię to bez złościwości.

Zaśmiał się.

– Jasne. Gdybym kiedyś chciał się związać z którąś z nich, zawiadomię cię i pierwsza będziesz mogła ją przeświecić.

– Dzięki – odparłam. – Zrobię wszystko, żeby śmiertelnie cię przestraszyć.

Lara znowu zamieszkała w Londynie. Przeprowadzili z Samem kilka gorzkich i niezręcznych rozmów po jej powrocie do domu. Już chyba nigdy się do siebie nie odezwą, najwyżej w trakcie załatwiania rozwodu. Cóż, niektóre związki nie mają szans, żeby się skończyć happy endem.

Większość tego lata spędziłam z Larą, rozmawiałam z nią, spacerowałyśmy razem po Londynie, odwiedzałyśmy galerie sztuki, chodziłyśmy do kina, kręciłyśmy się nad rzeką. Wciąż jeszcze jest roztrzęsiona i pewnie minie sporo czasu, zanim całkiem dojdzie do siebie. Dopiero zaczyna nosić się z pomysłem, że któregoś dnia zapomni o Guyu. Zżera ją poczucie winy i strach, a zainteresowanie mediów, które rozpałiło się od nowa po jej powrocie do kraju, przysporzyło jej cierpień na równi z tymi, przez które przeszła. Ludzie do dziś ją wytykają palcami na ulicy, niektórzy nawet proszą o autograf. Siedzi więc w swojej kawalerce i stara się powoli układać swoje sprawy od nowa, chociaż widać już pierwsze zielone kiełki, których tylko ona jeszcze nie dostrzega. Zdystansowała się do rodziców, co tylko wyszło jej na dobre, a w efekcie zdumiewająco zbliżyła się do Olivii, zwłaszcza w tych pierwszych miesiącach po pierwszym maju, po przyjsciu na świat małego Isaaca. To prześliczny brzdąc, aż wzbudza we mnie tęsknotę za własnym dzieckiem, której dotąd nigdy nie odczuwałam, nawet gdy jeszcze żył Laurie.

Macierzyństwo odmieniło Olivie. Złagodniała i spotulniała, lecz to nadal jedna z najwspanialszych kobiet, jakie znam. Razem z Isaakiem świetnie sobie radzą w jej mieszkaniu w Covent Garden. Wszędzie z nim chodzi w nosidełku na brzuchu, patrzy na niego rozmiłowanym matczynym wzrokiem.

– To najlepsza rzecz, jaka mi się w życiu przytrafiła – powiedziała przedwczoraj, patrząc, jak wymachuje rączkami i gaworzy na dywanie w saloniku. – Kto by pomyślał? Isaac, chcesz, żeby ciocia Iris zmieniła ci pieluszkę? A może ma to zrobić ciocia Lara?

Lara go przewinęła. Nie może się uwolnić od myśli, że strasznie dużo jest winna całemu światu i do końca życia będzie pokutowała za to, co spotkało Guya, Rachel i Sama. Mam nadzieję, że któregoś dnia wreszcie się od tego uwolni.

Wychodzę z cmentarza na ruchliwą londyńską ulicę. Pożegnałam się z Lauriem i teraz jestem wolna.

Dzwonię do mamy.

– Będę u was za pół godziny – mówię, a ona odpowiada z radością, że zaraz nastawia wodę w czajniku.

Nieswojo się czułam, wracając do rodzinnego życia, i podobnie jak Lara, chociaż w inny sposób, wciąż próbuję się uwolnić od obsesyjnych myśli o strachu, jaki wzbudziłam u rodziców. Przecież oni też kochali Lauriego, a po jego śmierci

stracili również mnie. Teraz jednak wróciłam i choć wiele rzeczy wydaje mi się dziwnych, cieszę się z tego powrotu. Wciąż jest między nami wiele napięć, a moja siostra, Lily, otwarcie żywi do mnie urazę, jakbym była wyrodną córką, przez którą ona musiała się zajmować rodzicami przez pięć długich lat, ale i tak jest teraz dużo lepiej niż poprzednio.

Ani ja, ani Lara nie powiedziałyśmy nikomu, że to my podrzuciłyśmy Leonowi heroinę. Jej plan powtórzenia tego, co Jake zrobił Rachel, okazał się skuteczny. Leona aresztowano za próbę przemytu narkotyków, a gdy inne jego czyny wyszły na światło dzienne, został deportowany do Wielkiej Brytanii, gdzie postawiono mu zarzut morderstwa. Tak czy inaczej, przez długi czas nie powinien wyjść z więzienia. Lara bardzo się boi składania zeznań podczas jego rozprawy, ale wiem, że to zrobi. Popatrzy mu prosto w oczy i o wszystkim opowie przysięgłym. Może to przyspieszy jej powrót do normalnego życia.

Podchodzę już do przystanku autobusowego, gdy postanawiam jeszcze gdzieś zadzwonić. Alex odbiera od razu.

– Iris! Wszystko w porządku? Byłaś na cmentarzu?

– Tak – mówię. – I oczywiście wszystko w porządku. Dobrze, że się na to zdecydowałam. Zdradziłam mu, że wyjeżdżamy. Powiedziałam, że nie będzie nas co najmniej przez rok. Wiem, że nie może mnie usłyszeć, ale i tak się cieszę, że wszystko mu powiedziałam.

Wsiadam do autobusu i przeciągam swoją kartą miejską przed okienkiem kasownika. Rozlega się elektroniczny pisk, ruszam więc wąskim przejściem, wciąż z telefonem przy uchu. Siadam przy oknie i odwracam się w jego stronę, żeby inni pasażerowie nie słyszeli naszej rozmowy.

– Więc nie masz już wyrzutów sumienia? – pyta Alex.

Wyobrażam go sobie, jak siedzi w pociągu do Londynu w swoim czerwonym swetrze, rumiany, z gładko ogolonymi policzkami.

Śmieję się krótko.

– Żartujesz? Z powodu wyprawy przez całe Stany Zjednoczone, i to tylko na początek? Oczywiście, że nie mam wyrzutów sumienia. A ty?

– Mój Boże. Nie mogę się doczekać. Zobaczymy się u twoich rodziców za kilka godzin. Dobrze?

– Ja też nie mogę się już doczekać – odpowiadam, po czym chowam telefon do torebki i patrzę na wielką gromadę ptaków w oddali, odlatujących przed zimą na południe.